

Mujica Barbara Louise

Frida

Historia sławnej malarki i fascynującej kobiety.

Frida Kahlo, okaleczona przez polio w dzieciństwie i straszliwy wypadek w młodości, poślubia wielkiego malarza fresków Diego Riverę. Związek tych dwojga niezwykłych ludzi, pełen namiętności, miłości, zazdrości i kłamstw, zawładnął wyobraźnią świata.

CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ 1

Frida! Frida!

Wiem, co pan chce usłyszeć, doktorze, ale przepraszam, nie wyciągnie pan ode mnie żadnych plugawych zwierzeń. Wy, psychiatrzy, wszyscy jesteście tacy sami. Chcecie, bym przyznała, że jej nienawidziłam, że miałam jej za złe to, iż zawsze znajdowała się w centrum uwagi, ale mylicie się. W rzeczywistości nie znosiłam, kiedy ludzie na mnie patrzyli, a czynili to często, gdyż, prawdę mówiąc, z nas dwóch ja byłam ładniejsza. O n tak powiedział.

Nie, to nie fair. Proszę mi wierzyć, kochałam ją, mimo wszystko.

Niech pan słucha, odkąd pamiętam, była dla mnie dobra. Chroniła mnie. Wzorowałam się na niej jako na zdolniejszej, bardziej utalentowanej. Ja byłam cicha, ona - dynamiczna. Za to mnie uważano za ładniejszą. Może z początku ona tak nie myślała, ale... cóż, w końcu chyba uświadomiła sobie, że wszyscy podziwiają moją urodę, nawet jeśli ona jej nie dostrzega. Miała przecież swój rozum. O n zawsze mówił, że jestem olśniewająca. Oczywiście, straszny był z niego czaruś i kłamca. Ale i tak najbardziej lubił malować mnie, byłam jego ulubioną modelką. Nie podobało jej się, kiedy mu pozowałam, lecz i tak do niego chodziłam. Malował mnie bez przerwy, nago.

I wcale nie chodzi o to, że chciałam się na niej odegrać, nie dlatego to robiłam. Miała swoje mocne strony, a ja miałam swoje. Była mądra, a ja piękna. Ona? Jakże mogła być piękna? Kaleka z wąsami i jedną nogą krótszą? Czasem mi dokuczała, ale to nic dziwnego - z jej rozumem! Przecież uchodziłam za tępą. A poza

tym dokuczała wszystkim, nie wyróżniała mnie pod tym względem. Powiedzmy, że nie byłam wyjątkiem. Nie byłam wyjątkiem nigdy i w niczym.

Nie chodzi też o to, że nie wiedziałam, co robię. Owszem, wiedziałam, ale sądziłam, że jest jej wszystko jedno. Była taka dzika i ekscentryczna. Nigdy nie przywiązywała wagi do reguł. Nie przejmowała się cudzymi uczuciami. Pomyślałam sobie, dobra, skoro ma wszystkich w nosie, skoro sądzi, że każdy powinien robić, co zechce, i do diabła z tym, co ludzie powiedzą, to po prostu pójdę za jej radą.

Widzi pan, ona przewodziła, a ja szłam za nią. Zawsze szłam za nią.

Podam panu przykład. Pytał pan o nasze dzieciństwo, więc panu opowiem.

Zdarzyło się to dawno, dawno temu, kiedy byliśmy jeszcze małe. Minęło tyle czasu, a ja wciąż widzę to zdarzenie bardzo wyraźnie, jakby zostało wyryte w moim umyśle. Bo wie pan, ja też jestem artystką. Nie, nie taką jak ona, nie umiem malować obrazów na płótnie. Ale umiem przechowywać wizerunki w mózgu. Cóż, chyba to niezbyt cenna umiejętność, prawda?

Oto co widzę. Frida, przykucnięta za filarem, obserwuje nie-przyjaciółki. Estela, przywódczyni, szepcze do Marii del Carmen, głównego stratega, po czym daje sygnał pozostałym. Formują się linie frontu. Na dziedzińcu przebywa około czterdziestu dziewcząt, z których piętnaście szykuje się do ataku. Inne skaczą przez skakankę lub grają w klasy. Są pochłonięte zabawą. Frida zerka z ukrycia i zagryzając usta, ocenia siły wroga.

Uchodziła za rozkoszne dziecko. Nie tak jak ja. Trzeba przyznać, że byłam tłusta i trochę ociężała. W owych czasach uważano ją za ładniejszą - choć trwało to niezbyt długo. Miała prześliczną cerę barwy herbaty z mlekiem, różane policzki i pulchne rączki. W wieku sześciu lat nosiła puszyste, ciemne półdługie loki, okalające twarzyczkę delikatną jak u niemowlęcia. Wyprawiając ją do szkoły, Mami zawsze wpinała jej we włosy białą kokardę. Ubrana w perkalowy fartuszek Frida wyglądała jak aniołek.

Budynek szkolny, zbudowany w hiszpańskim stylu kolonialnym, miał wewnętrzne patio, otoczone kolumnadą. Niedawno spadł deszcz - jedna z owych nagłych ulew, które w kwietniu zdarzają się na Wyżynie Meksykańskiej - ale znów wyszło słońce i jego światło odbijało się jaskrawo od kałuż na płytach dziedzińca. Dziewczęta na środku patio ze śmiechem skakały po wodzie, prześcigając się, która bardziej chlapnie.

Frida nie zwracała na nie uwagi. Wzrok jej przykuwały Estela i Maria del Carmen, które wzięwszy się pod ręce, zajęły pozycje na czele swego oddziału. Zamierzały prowokować moją siostrę dotąd, aż wyjdzie zza kolumny. Lecz Frida nie chciała biernie czekać na szyderstwa. Wysunęła wojowniczo szczękę, o tak, i wyszła na otwartą przestrzeń.

- Frida! - szepnęłam, kryjąc się w półmroku arkady. - Frida, nie idź!

- Cicho bądź! - skarciła mnie. - Przestań się mazać! Zawsze wyzywała mnie od mazgajów.

Skulona za kolumną patrzyłam, jak zmierza w stronę atakujących dziewcząt. Wtem poczułam wilgoć i pieczenie skóry między nogami. Poruszyłam się i mocz spłynął na moje nowe, wykończone koronką skarpetki. Wiedziałam, że Mami się wścieknie.

Frida zatrzymała się przed Estelą, mrużąc oczy zapewne od słońca. Usta jej drżały, lecz poza tym ani drgnęła. Patrzyła prosto w twarz nieprzyjaciółki.

Estela wyszczerzyła zęby w uśmiechu i jakby na rozkaz dziewczęta we wrogiej grupie zaczęły skandować:

i Frida, *Frida Fue sewida Al Diablo Por Comida!*

i Frida, *Frida Escupida De su bosca Porjudia!*

Frida, Frida, Została podana Diabłu Na obiad!

Lecz nawet on jej nie chciał,

Fridy, Fridy,

I ją wypluł,

Bo jest Żydówką!

To było okropne! Okropne! Byłyśmy katoliczkami! Obie przystąpiłyśmy do pierwszej komunii, ale w tej wstrętnej szkole dziewczynki bez przerwy wyzywały nas od Żydówek, a wszystko z powodu Papy.

Chciałam, żeby Frida odwróciła się i odeszła, lecz ona tylko zacisnęła mocniej szczęki, hamując drżenie podbródka. Dzieci oderwały się od zabawy i zgromadziły się wokół niej, tworząc duży, nierówny półokrąg. Frida wyprostowała się i skrzyżowała ręce. Czułam coraz większy ucisk w żołądku. Zaczęłam łkać.

Podbródek Fridy zadrżał, lecz zamrugła kilka razy i powstrzymała łzy. Niektóre dzieci, drwiąco uśmiechnięte, pokazywały ją palcami. Nad dziedzińcem zawisła dziwna poświata. Frida przełknęła ślinę i odetchnęła głęboko.

- Zamknij się! - niemal plunęła w stronę Esteli. Dziewczynki zaczęły śpiewać jeszcze głośniej.

- Milczeć! - wrzasnęła Frida ponownie, lecz tym razem śpiew zagłuszył jej słowa.

Frida, Frida!

- Zamknijcie się! Zamknijcie! Skandowanie ucichło.

- Co za głupia piosenka! - krzyczała Frida. - Chyba jakaś idiotka ją wymyśliła!

Kilka dziewczynek zachichotało, inne podjęły śpiew, ale już nieco ciszej.

Wyjrzałam zza kolumny i stanęłam na palcach, ale byłam niższa od dzieci, które kordonem otaczały Fridę. Ponad ich głowami

niewiele mogłam dostrzec. Chciałam przepchnąć się na lepsze miejsce, lecz wiedziałam, że koleżanki będą się śmiały z moich mokrych majtek i skarpetek; poza tym mogły zaatakować także i mnie tylko dlatego, że byłam siostrą Fridy. Cofnęłam się więc do kryjówki.

Estela i Frida wpatrywały się w siebie, oddalone co najwyżej o pół metra. Nikt się nie poruszył. Napięcie między nimi narastało od dawna - od wielu tygodni, a może nawet od miesięcy, aż wreszcie doszło do konfrontacji, do ostatecznej rozgrywki. Inne dzieci patrzyły i czekały, przestraszone, lecz jednocześnie podniecone nadzieją, że stanie się coś okropnego.

- Nie jesteś stąd! Nie należysz do nas! - syknęła Estela. - Cudzoziemka!

Dziewczynki wzdrygnęły się, jakby na środek dziedzińca zeskoczył z dachu upiór. Wszystkie oczy skierowały się ku Fridzie. Miałam ochotę zabić Estelę, ale cóż mogłam zdziałać? Zostałam za filarem.

- Wcale nie! - odparowała Frida.

- Wcale tak, FREY-DA! - Estela z niemiecka, gardłowo wymówiła głoskę R. - Nawet imię masz obce!

Frida zawahała się przez chwilę. Rzeczywiście, pisała swoje imię z niemiecka, F-R-I-E-D-A. I nasz ojciec naprawdę był niemieckim Żydem węgierskiego pochodzenia.

Spojrzała Esteli w oczy.

- Nazywam się Magdalena Carmen Frieda Kahlo y Calderon. Ochrzczono mnie w kościele.

- Jesteś obca! Twój ojciec mówi po hiszpańsku z akcentem. Kiedy wymawia słowa *republica* albo *reuoludón*, to jakby chrząkała świnia!

- Nie jestem cudzoziemką, tylko Meksykanką!

- Meksykanie to katolicy!

- Jestem taką samą Meksykanką i katoliczką jak i ty! Co niedziela chodzę do kościoła! Do Świętego Jana! Powinnaś o tym wiedzieć, bo też tam chodzisz!

Doktorze, w żydostwie nie ma nic złego. Po latach Frida chełpiła się swoim żydowskim pochodzeniem. Ale wówczas,

w porewolucyjnym Meksyku, uważano za złe wszystko, co obce. A pan? Czy pan jest Żydem, doktorze?

- Twój ojciec ma na imię Wilhelm!

- Mój ojciec ma na imię Guillermo!

- To nie jest jego prawdziwe imię, FREY-DA! Naprawdę nazywa się Wilhelm!

- Wilhelm, Wilhelm! - zaczęły skandować dziewczynki. - Jej ojciec nazywa się Wilhelm!

Na włosy Fridy padł promień światła i czubek jej głowy rozjarzył się niczym aureola. W blasku słońca przypominała serafina, utkanego z iskier i pajęczyny. Podniosła do ust delikatne, dziecięce paluszki i wlepiała wzrok w Estelę.

- Matka mówi, że twój ojciec to jeden z tych cudzoziemców, których sprowadził tu Porfirio Dfaz - ciągnęła Estela. - Mówi, że obcy zniszczyli kraj, ale że teraz, dzięki rewolucji, wszystkich was powieszają!

- Twoja matka to głupia kurwa!

To był nieoczekiwany cios. Rodzice Esteli popierali rewolucję i reformę rolną Emiliana Zapaty, lecz byli to ludzie przyzwoici, nie żadna hołota. W ich kulturalnym, drobnomieszczańskim środowisku nie używano takiego języka. A już na pewno nie używały go młode damy, zwłaszcza sześćioletnie. Esteli zaparło dech w piersiach. Muszę się roześmiać! Jaką zrobiła minę, gdy usłyszała słowa Fridy!

Po dziedzińcu przebiegł szmer niedowierzania. Dziewczynki zachichotały niepewnie. „Słyszałyście, co Frida powiedziała? - szeptały. - Powiedziała: k...!“. Nawet chłopcy tak się nie wyrażali, wręcz przeciwnie, zachowywali się powściągliwie i z godnością. Tylko męty mówiły w ten sposób. Frida pogwałciła wszystkie reguły, a to wymagało odwagi! Byłam z niej dumna.

Dzieci spoglądały to na Fridę, to na Estelę, niepewne, pełne oczekiwania. Niektóre kiwały głowami i uśmiechały się do mojej siostry, niemal gotowe stanąć po jej stronie. Estela musiała odzyskać przewagę, którą odebrał jej ten bachor z niewyparzoną językiem.

- Twój ojciec pracował dla rządu Dfaza. Mama mówi...
- Twoja matka to kupa gówna! Jest taka wredna, że z jej cipy wychodzą pająki!
- FRIDA KAHLO!

Krzyk nauczycielki przeciął powietrze niczym trzask pioruna. Dzieci rozbiegły się jakby rozproszone potężną magnetyczną siłą. Panna Caballero w jednej chwili dopadła uroczej winowajczyni, chwyciła ją za ucho i wyprowadziła z patio.

- Jak ty się wyrażasz? Kto to słyszał, żeby porządna dziewczynka używała takiego języka? Ohyda! Frida wyrwała się, lecz nauczycielka chwyciła ją za falbankę fartuszka i szarpnęła ku sobie.

- Ty! - krzyknęła z obrzydzeniem. - Wyglądasz jak aniołek pana Boga, a jęzor masz niczym zamiatacz ulic! Mówisz, jakbyś chowała się w rynsztoku, a nie w przyzwoitym domu. Twoja matka to porządna, pobożna chrześcijanka! Wstydzilibyś się!

Pociągnęła Fridę pod arkadami w stronę drzwi prowadzących do naszej klasy. Ja dreptałam z tyłu. Nagle panna Caballero odwróciła się.

- A ty co? - zawołała, celując we mnie palcem tłustym jak kiełbaska. - Też tu jesteś? Oczywiście, gdzie Frida, tam i ty! Łazisz za nią jak cień. Ale lepiej uważaj, Cristinita. To rozrabiaczka i tobie też narobi kłopotu.

Zatrzymałam się i spojrzałam na nauczycielkę. Nogi mi się lepiły, a od mokrych majtek swędziała skóra. Poruszyłam się niespokojnie. Panna Caballero wzięła mnie za rękę, a następnie pociągnęła nosem. Mocz zaczynał cuchnąć.

- Och, nie! Znowu? - jęknęła. - Zrobiłaś w majtki, Cristina? Wy wstrętne smarkule!

Tak nas nazywała - wstrętne smarkule.

Złapała Fridę za ucho, a mnie za ramię, i wciągnęła nas do klasy.

- No - zwróciła się do mnie. - Zdejmuj te mokre majtki i daj mi je. Zawinę je w papier i oddam praczce twojej matki. Chodź tutaj, to cię obmyję.

Ale ja nie zdjęłam majtek, lecz cofnęłam się i skuliłam pod stołem. Panna Caballero rzuciła się za mną, usiłując unieść mi spódnicę.

- Sama to zrobię - załkałam.

Nie chciałam, żeby mnie dotykała. Nie chciałam zwłaszcza, żeby mnie myła i dotykała... tam w dole.

- Nie bądź głupia - warknęła.

Ujęła mnie za ramię, usiłując wyciągnąć spod stołu, ale ugryzłam ją w kciuk z całej siły, po czym wcisnęłam się w kąt. Krzyknęła krótko i ostro, bardziej ze zdumienia niż z bólu.

Próbowałam wyzwolić się z majtek bez podnoszenia spódnicy, aby panna Caballero nie zobaczyła mojej pupy. Słyszałam różne uwagi na temat nauczycielki, lecz byłam za mała, aby zrozumieć wszystkie aluzje. Jednak po sposobie, w jaki dorośli ścisiali głosy, gdy o niej mówili, poznałam, że musi być jakaś dziwna. Niektóre uwagi miały związek z jej nazwiskiem - *caballero* znaczy „mężczyzna” albo „pan”. Myślałam, że to dlatego, że miała duże, prawie męskie dłonie.

Nie wiem, co sądziła o niej Frida. Chyba uważała ją za osobę odrażającą i fascynującą zarazem. Lubiła płatać jej figle, wystawiać ją na próbę, jak dzieci często czynią wobec osób mających nad nimi władzę, ale również garnęła się do niej i chętnie się jej przyglądała. Uwielbiała zwracać na siebie uwagę panny Caballero - ale też moja siostra zawsze lubiła być ośrodkiem zainteresowania.

Nauczycielka była Metyską o jasnej skórze, grubych rysach i mocno zarysowanych ustach, które wyrażały zarówno stanowczość, jak i frustrację. Krążyły plotki, że nosi perukę, lecz nie miałyśmy co do tego pewności, albowiem żadna z nas nigdy nie widziała jej bez korony okalających głowę ciemnych warkoczy. Zawsze ubierała się na czarno, a jej stroje przywodziły na myśl przerobione suknie balowe z czasów dawno minionych. Pomimo szorstkiego obejścia miała krągłe, miękkie i zmysłowe ciało, palce zaś podobne do kiści dojrzałych bananów, pękate i czerwone. Odnosiłam wrażenie, że gdyby panna Caballero zechciała, mogłaby

być naprawdę miła - ale nie chciała. Nawet jako mała dziewczynka wyczuwałam, że coś powstrzymuje ją przed ukazaniem całej serdeczności, jaką w sobie skrywała.

Wreszcie osaczyła mnie w kącie między stołem a ścianą. Chwyciwszy mnie mocno jedną ręką, drugą nalała wody do miski i mokrą ścierką zaczęła wycierać moje nogi i pośladki.

- No, zadzieraj spódnicę - poleciła.

Bałam się okazać nieposłuszeństwo, więc zebrałam fartuszek w garść i uniosłam go do pasa. Pragnęłam umrzeć.

Frida powinna była mi pomóc. Przecież mogła zacząć krzyczeć albo rzucić czymś w pannę Caballero. Być może nie zrobiła tego, gdyż nie przyszłam jej z pomocą, kiedy Estela i inne dziewczynki z niej szydziły. Być może jej milczenie stanowiło coś w rodzaju zemsty. Tak czy inaczej, po prostu stała i patrzyła, jak ścierka przesuwana się w górę i w dół po moich udach i między nogami, w górę, w dół i pomiędzy, i znów, i znów.

- Szybko - syknęła panna Caballero. - Rozstaw nogi, żebym cię mogła porządnie umyć.

Rozsunęłam szerzej nogi i ugięłam kolana. Panna Caballero znów wzięła się do roboty, a Frida gapiała się na nią. Ten jeden, jedyne raz, kiedy powinna była coś powiedzieć, po prostu stała i się gapiała. Po wszystkim panna Caballero wypłukała ścierkę i wykręciła ją.

- A teraz - zwróciła się do Fridy - zdejmij majteczki i daj je Cristi. Frida spojrzała na mnie pogardliwie.

- A to niby dlaczego?

- Bo ci każe.

- To co? Dlaczego mam wracać do domu bez majtek? Przecież to ona się zmoczyła!

- Dlatego, że jesteś starsza - powiedziała ostro panna Caballero. Frida zastanawiała się przez chwilę, ale nie dostrzegła w tym wyjaśnieniu logiki.

- A co to ma do rzeczy, kto jest starszy? - odparła, wysuwając szczękę.

- Natychmiast! - krzyknęła panna Caballero.

Frida powoli ściągnęła majtki i podała mi je.

- Głupi bachor - syknęła.

- Spokój! - skarciła ją panna Caballero. Pomogła mi się ubrać i ciągnęła dalej:

- Myślisz, że jesteś taka dorosła, mała Frido? A pamiętasz lekcję przyrody? Kiedy tłumaczyłam, jak działa wszechświat? Frida wlepiała wzrok w czubki butów.

- Zgasiliśmy światło - mówiła panna Caballero - ja wzięłam do jednej ręki pomarańczę, a do drugiej zapaloną świeczkę, i pokazałam wam, w jaki sposób Ziemia krąży dookoła Słońca, a Księżyc wokół Ziemi. Przypominasz sobie?

- Tak - mruknęła Frida. Wiedziała, co będzie dalej. Z zaciśniętymi ustami czekała, aż nauczycielka ją upokorzy.

- Bardzo cię to podekscytowało, prawda?

Frida rzuciła jej niechętnie spojrzenie, ale milczała.

- No, przecież pamiętasz, Frido? - Tak. - Tak, proszę pani.

- Tak, proszę pani. - Frida wiedziała, że została pokonana. Na jej twarz wystąpił rumieniec, a szczęki zaciskały się coraz mocniej.

- I co wtedy zrobiłaś?

- Zmoczyłam się.

- Właśnie. Zmoczyłaś się.

Panna Caballero uśmiechnęła się z satysfakcją. Zwyciężyła. Ale owego dnia, podczas lekcji przyrody, jej zwycięstwo nie było tak oczywiste.

Wytropiwszy kałużę pod krzesłem Fridy, Estela natychmiast zaczęła skandować: „Frida się zsikała! Frida się zsikała!”. I wkrótce już cała klasa wołała: „Frida się zsikała!”.

Przyzwoita nauczycielka wyprowadziłaby Fridę z klasy i po cichu ją umyła. Ale panna Caballero wywlokła ją na środek sali i próbowała zadrzeć jej sukienkę. Jednak moja siostra była dla niej zbyt zwinna i szybka. Kiedy panna Caballero usiłowała przytrzymać ją za pasek, Frida wyrwała się,

potrącając przy tym miskę, którą nauczycielka przygotowała do mycia. Chciała ją myć przed całą klasą! Miska spadła na podłogę z łoskotem, jakby zderzyły się dwa samochody. Frida rzuciła się ku drzwiom, rozrzucając po drodze przezrocza i albumy. Ogłuszona hałasem zatoczyła się i uderzyła w półkę z farbami. Słoik czerwonej tempery rozprysnął się o posadzkę, farba bryznęła wokół niczym krew. A moja siostra, zamiast uciekać na wolność, zatrzymała się i wpatrzyła jak zaczarowana we wzór plam na podłodze. Nogi miała pochłapane do kolan, skarpetki przesiąknięte czerwienią.

Nagle pochyliła się i zanurzyła pulchne, sześciolatnie rączki w kałuży farby.

- Przestań! - wrzasnęła przeraźliwie panna Caballero, ale Frida już mazała dłońmi po sukience, ramionach i twarzy. Nawet jej powieki ociekały lepkim, ciemnoczerwonym płynem. Po prostu przeszła... jak to się mówi? Meta... metamorfozę, zamieniła się w upiora. W swoim pięcioletnim umyśle ujrzałam, jak z jej ust wycieka strużka krwi, oczy zaś promienieją nadziemskim blaskiem. Rozproszone smugi słonecznego światła, padające z okna, przeobraziły ją w istotę potężną i złowieszczą. - Natychmiast się wytrzyj! - rozkazała panna Caballero.

Frida zachichotała. Uniosła dłonie i poruszyła palcami niczym krab odnóżami. Widok był groteskowy. Przeraziłam się i tak wściekłam, że chciałam się rzucić na Fridę z pięściami.

W końcu panna Caballero zrezygnowała i tego dnia Frida wróciła do domu pokryta czerwienią.

Moja siostra upokorzyła pannę Caballero przed całą klasą, toteż nauczycielka korzystała z byle okazji, aby opowiedzieć, jak Frida podnieciła się na lekcji przyrody do tego stopnia, że aż narobiła w majtki. Chciała po prostu odegrać się na Fridzie, sprawić, żeby dziewczynka poczuła się, jakby wpadła w gówno.

Zaraz, zaraz, o czym to ja mówiłam? Jestem taka stara, że nie potrafię się na niczym skupić. A, tak, opowiadałam panu, że Frida zawsze mnie chroniła. Więc włożyłam suche majtki mojej siostry, ona zaś wzięła mnie za rękę. Wtuliłam głowę w jej ramię.

Pozostałe dzieci już czekały przed wejściem do klasy.

- Zaczekajcie tutaj - poleciła nam panna Caballero, wygładziła spódnicę i podeszła do drzwi. Na jej sygnał dziewczynki gęsiego weszły do sali i usiadły na miejscach.

- Chodź, Cristi! - szepnęła Frida. - Wynosimy się stąd! Szkoła mieściła się w piętrowym budynku w hiszpańskim stylu,

zbudowanym w kształcie kanciastej litery U wokół centralnego dziedzińca. Na parterze znajdowały się sale klasowe, składzik, małe biuro i niewielka kaplica, na piętrze zaś mieszkania właścicielki szkoły i panny Caballero. Nie było korytarzy; wszystkie pomieszczenia parterowe wychodziły na patio, a te na pierwszym piętrze - na balkon nad arkadami. Obie klasy miały od strony patio po dwoje drzwi, kiedy więc panna Caballero przez jedno z nich wpuszczała pozostałe uczennice, Frida pędem ruszyła ku drugim, ciągnąc mnie za sobą. Byłam przerażona.

- Nie możemy uciec! Mami nas zabije!

- Mami się nie dowie!

Panna Caballero zauważyła naszą ucieczkę i ruszyła w pościg, lecz nim zdążyła nas dogonić, wpadliśmy w otwartą bramę i wybiegliśmy na ulicę.

Znałyśmy każdy zaułek w Coyoacan. Nie wiem, doktorze, czy pan kiedykolwiek tam był, ale jest to malownicze miasteczko kolonialne, położone godzinę drogi na południe od Mexico City. Są tam barokowe kościoły, place i tianguis - miejscowe targi; kiedyś, w czasie wojny z Aztekami, zamieszkiwał tu Hernan Cortes. Obecnie bardzo się rozbudowało, oczywiście dzięki turystom. Turyści odwiedzają nasz dom - to znaczy, dom Fridy; przychodzą, gdyż mieszkała tu Frida, nie dlatego, że ja tu mieszkałam. Coyoacan, niegdyś otoczone rozległymi polami i ranczami, stało się obecnie przedmieściem miasta Meksyk, tego niepowstrzymanego, żarłocznego potwora. Choć jednak nasza kipiąca życiem, brudna i szalona stolica przypomina wszystkie wielkie miasta, Coyoacan zachowało pewien staroświecki urok - małomiasteczkową przytulność i ślady minionej historii.

Pobiegłyśmy brukowaną ścieżką, po czym skręciłyśmy w polną drogę prowadzącą do Viveros de Coyoacan, dużego, zadrzewionego parku, przez który wiała się leniwie wąska rzeczka. Uliczni sprzedawcy zachwalali kolorowe zabawki zrobione z drewna, tykw i papier-mâche, poprosiłam więc Fridę, żeby kupiła mi *balero*, grę w piłkę i kubek, którą bawiłyśmy się, gdy byłam dzieckiem.

- Świetnie, nie ma co! - ucięła krótko. - Kiedy wrócimy do domu z *balero*, Mami od razu się domyśli, że włóczyłyśmy się po ulicach! Naprawdę, Cristi, aleś ty głupia! Zawsze tak do mnie mówiła: „Naprawdę, Cristi, aleś ty głupia”. Plan Fridy był prosty. Pobawimy się w parku, mówiła, aż przyjdzie pora, by nasza niania, Conchita, odebrała nas ze szkoły, po czym zaczaiemy się w sklepiku papierniczym naprzeciwko bramy szkolnej - dostatecznie daleko, by uniknąć sępiego wzroku panny Caballero, lecz dość blisko, by zobaczyć Conchitę nadchodzącą ulicą. Wówczas podbiegniemy do niej i jak zwykle wrócimy z nią do domu. Mami nigdy się nie zorientuje.

Nie byłam przekonana do tego pomysłu, ale potulnie podreptałam za Fridą. Minęłyśmy pulquerię - bar, w którym podawano *pulque*, białawy sfermentowany napój wyrabiany z soku agawy. W owych czasach ściany pulquerü pokrywały barwne obrazki z meksykańskiego folkloru - rozbójnik napadający na wychudłego obszarnika, wulgarna dziwka licząca pieniądze. Chciałam jak najszybciej odejść z tego miejsca, ale Fridę oczarowały barwy owych wizerunków oraz sprośne piosenki, które śpiewali podchmieleni robotnicy budowlani.

Wyjęła monetę z kieszeni fartuszka i u ulicznego sprzedawcy kupiła mi quesadillę - tortillę z serem i sosem chili. Nie znała imienia tego człowieka, ale uważała go za przyjaciela, już wielokrotnie bowiem robiła u niego zakupy.

- Nie poplam fartuszka serem, bo Mami się domyśli, że kupiłam ci na ulicy jedzenie - nauczyła mnie ostro. - Wagarujemy - zwierzyła się sprzedawcy, który uśmiechnął się i wręczył jej drugą quesadillę.

- Mam tylko jednego *centauro* - powiedziała moja siostra.

- Nie szkodzi - odparł. - To podarunek dla ciebie. Pobiegliśmy do parku i bawiliśmy się około pół godziny, Frida

przez cały czas zrzędziła, żebym nie poplamiała sukienki, nie zabłocila bucików, nie zabrudziła skarpetek trawą, bo Mami natychmiast odgadnie, gdzieśmy byli.

Wreszcie popatrzyła na słońce i uznała, że pora wracać. Poprowadziła mnie zakurzonymi ulicami w stronę szkoły.

Wystarczyło jedno spojrzenie na sklep papierniczy, by krew zastygła mi w żyłach. Był zamknięty. Ponieważ sklepy zazwyczaj zamykano na sjęstę o drugiej i otwierano o piątej lub szóstej, zajęcia w szkole musiały skończyć się jakiś czas temu. Zobaczyłam, że inne sklepy na tej ulicy - kwiaciarnia, piekarnia i tortillena - także są zamknięte. Pod bramą szkoły nie czekały żadne dzieci. Ulica była pusta.

- Chodźmy! - rozkazała Frida. - Bo będą nas szukać!

- Teraz nam się oberwie! - rozplakałam się. - Wszystko przez ciebie!

Frida nie odpowiedziała. Złapała mnie za rękę i popędziłyśmy do domu.

ROZDZIAŁ 2

Frida tańczy

Zawsze uważałam, że to nasze doświadczenia szkolne sprawiły, iż Frida została meksykańską patriotką, tak diabelnie żarliwą, jakby chciała wszystkich przelicytować. Twierdziła, że meksykańskie niebo jest najczystsze, najcudowniejsze na świecie - mimo iż niebo nad Mexico City zazwyczaj ma barwę brudnych skarpetek lub moczu zanieczyszczonego kałem. Ale nikt nie mógł przy niej tego powiedzieć, o nie. Natychmiast oskarżała rozmówcę o to, że zaprzedał się jankesom, że jest pionkiem w rękach kapitalistów albo liże dupę europejskim elitom intelektualnym. Miała język paskudny jak szczyzny pijaka. Panu nie muszę tego mówić. Sam pan o tym wie. Potrafiła sponiewierać człowieka tylko dlatego, że sądził, iż niebo w Meksyku nie jest tak niebieskie, jak, dajmy na to, w Kalifornii. Po prostu taką miała naturę - każdą sprawę traktowała obsesyjnie. Dla Fridy niebo nad Meksykiem wyglądało niczym rozżarzony, płynny bursztyn lub turkusowy klejnot, albo płaszcz uszyty z odłamków szafiru. Nie mogła go traktować jak zwyczajnej masy zanieczyszczonego powietrza. Dla Fridy nic nie było po prostu takie, jakie było. Żyła we własnym, wyimaginowanym świecie. Oczywiście, on uważał to za czarujące, lecz, moim zdaniem, trochę przesadzała, co niekiedy drażniło ludzi. Zapewne to nie tylko jej wina; łatwo zostać fanatyczką, kiedy komuś nieustannie dokuczają, wyzywają od Żydówek i obcych. Ale, z drugiej strony, lubiła prowokować. Czasem zachowywała się tak brutalnie i konfliktowo, że wydobywała z otoczenia najgorsze cechy.

A może plotę bzdury? W końcu, kimże ja jestem, żeby sugerować jakieś wyjaśnienia? Niech pan sam spróbuje odgadnąć, co się działo w jej głowie! Przecież to pan jest lekarzem, na litość boską!

Chciałam tylko powiedzieć, że... no, jako cudzoziemiec doskonale pan rozumie, o czym mówię. Sam pan wie, jakie to uczucie być obcym, choć oczywiście obecna sytuacja nie da się porównać z tym, co musiałyśmy wtedy znosić. A ponadto pan jest poważnym człowiekiem, psychiatrą, my zaś byłyśmy wrażliwymi małymi dziewczynkami i wszystkie te wyzwiska - obce, Żydówki, emigrantki - wycisnęły na nas głębokie piętno. Zwłaszcza na Fridzie, bardziej agresywnej z nas obu, która zawsze znajdowała się w ogniu walki. To kolejna rzecz, jaką on w niej kochał - waleczność, aczkolwiek czasem sądzę, że grała tę rolę, by skupić na sobie jego uwagę. To znaczy, oczywiście, z pewnością była waleczna, waleczna z natury, ale później ta cecha stała się elementem odgrywanej przez nią komedii. Z niego także był niezły komediant. Rewolucjonista, twórca fresków dla mas - wszystko to stanowiło część postaci, którą stworzył na własny użytek.

Demonstrowanie, że jest taką samą, a nawet lepszą Meksykanką niż my wszyscy, przybrało u Fridy kształt obsesji. Wie pan, że urodziła się w 1907 roku, dokładniej mówiąc, 6 lipca 1907, ale zawsze podawała jako datę urodzin rok 1910, w którym wybuchła rewolucja meksykańska. Chciała być prawdziwą córą nowego Meksyku.

Niekiedy przymykała oczy i oznajmiała w uniesieniu:

- Jestem Meksykanką, jak ten orzeł, który szybując w powietrzu na rozpostartych skrzydłach ze śniegu i popiołu, szarpie mocarnym dziobem stratosferę!

- I sra na moje freski! - dodawał on, po czym śmialiśmy się bez końca.

A te jej długie, indiańskie suknie! Ludzie mówili, że chciała w ten sposób ukryć kulawą nogę i zatuszować kalectwo, ale to jedynie część prawdy. Przede wszystkim pragnęła podkreślić swoją *mexicanidad*, meksykańskość, solidarność z prostym ludem Mek-

syku, aczkolwiek w naszych żyłach płynęło tyle indiańskiej krwi, co kot napłakał. Chociaż nie - ojciec naszej Mami był Indianinem z Morelos. Ale Frida namiętnie utożsamiała się ze sprawą rewolucji, tym bardziej że o n zajmował w ruchu ważną pozycję. Poza tym lubiła wyróżniać się w tłumie. Jak to - znów odbiegam od tematu?

A, rzeczywiście, mówiłam o tym, że Frida zawsze mnie chroniła, zawsze, nawet gdy byliśmy małe. Opowiadałam o dniu, w którym uciekłyśmy ze szkoły.

Kiedy zdałyśmy sobie sprawę, jak późno się zrobiło, pobiegłyśmy do domu, modląc się w duchu, by Mami nie dowiedziała się o naszym wybryku i nie wściekła się na nas. Niestety, panna Caballero wysłała do naszego domu pomocnika, który powiadomił rodzinę o naszej ucieczce. „Pomocnicy” - tak ich nazywałyśmy, żeby nie mówić o nich „służący”, żeby móc udawać osoby demokratyczne, szanujące wszystkich bez wyjątku, żeby przekonać same siebie, iż nie uważamy ich za zwykłych Indian na posyłki. Ten konkretny „pomocnik” miał na imię Arturo i panna Caballero mawiała, że robi miny jak ciełe, któremu właśnie poderżnięto gardło.

Niestety, po drodze Arturo natknął się na Conchitę, która właśnie szła odebrać nas ze szkoły.

Kiedy Mami usłyszała, że uciekłyśmy z piekła, zwanego szkołą, nie zastanawiała się ani chwili, nie poczekała, aż zwyczajnie wrócimy do domu, lecz natychmiast posłała lokaja Manuela do naszego ojca, do jego pracowni, która znajdowała się aż w Mexico City.

Wyobrażam sobie tę scenę. Wiekowy, pokręcony artretyzmem Manuel wpada do ciemni Papy i oznajmia: - Dzieci zginęły!

Papa patrzy na Manuela swoim zwykłym, na poły nieprzytomnym wzrokiem, i usiłuje przyswoić informację. Widzę to tak wyraźnie, jakbym tam była - Papa spogląda osłupiały na Manuela i próbuje zrozumieć, co się stało.

- Senor! Dziewczynki zniknęły! Uciekły ze szkoły i nikt nie wie, co się z nimi stało! Panna Caballero przysłała umyślnego! Señora odchodzi od zmysłów!

Papa milczy.

- Pańskie córki, senor!

- Moje córki?

Mózg Guillermo Kahlo zaczyna przetwarzać usłyszaną wiadomość. Na czole Papy wykwitają diameciki potu.

Musi pan wiedzieć, że w owych czasach zaginione dziecko często kończyło jako dziecko martwe. Dorastałyśmy za dyktatury Victoriana Huerty, który objął władzę w 1913 roku, a jego ludzie znani byli z tego, że porywali dzieci z placów zabaw, aby ukarać lub wywrzeć nacisk na ich rodziny. Zwolennicy Zapaty, tacy jak moi rodzice, stanowili dla nich doskonały cel. Dostojnicy huertys-towscy obnosili się ze swą szacownością - przecież odebrali władzę buntownikom i przywrócili ład społeczny, nieprawdaż? - ale wynajmowali zbirów do brudnej roboty, ci zaś nie znali litości. Poderżnięcie gardła słodkiemu trzylatkowi było dla nich czymś równie łatwym jak zabicie kozy. Dzieci pierwsze padały ofiarami gry o władzę.

Jestem pewna, że gdy Papa w końcu zrozumiał, co Manuel doń mówi, rzucił zdjęcia, które właśnie wywoływał, i wypadł za drzwi bez kapelusza, zapominając o zostawionych na stole chemikaliach.

Jakim był ojcem? A co to ma do rzeczy? Przecież wyjaśniam panu, że Frida była dla mnie dobra, aby wreszcie przestał pan sugerować, iż ja... iż ja zrobiłam to, co zrobiłam, bo jej nie cierpiałam... nienawidziłam. Doskonale wiem, o co panu chodzi.

Więc co za różnica, jaki był Papa?

No dobrze, opowiem panu. Niech pomyślę. Był to dziwny człowiek. Jako ojciec odznaczał się dystansem, a nawet surowością, lecz w głębi serca bardzo nas kochał, zwłaszcza Fridę. Frida była dla niego wszystkim, może dlatego, że bardzo go przypominała

- genialna, opętana, szalona. Traktował Fridę jak ostatnie jajko na twardo na pikniku, jak ostatnią aspirynę w apteczce, jak ostatni dzbanek ponczu w lodówce. Frida chochlik, Frida łobuziak. Zabierał ją na niekończące się spacer, gdzie zbierali kwiaty lub kamienie i układali je według wielkości i kolorów. Czasem i ja chodziłam z nimi, ale zawsze czułam się zbędna, jak kurczak w cudzym kurniku. Papa miał nadzieję, że któregoś dnia Frida zostanie naukowcem albo lekarzem. Kiedy trzymał ją na kolanach i wpatrywał się w przestrzeń, wyglądał jak człowiek niespełna rozumu, nie z tego świata - niczym święty, będący świadkiem Zmartwychwstania.

Co się tyczy mnie, wcześniej uznał, że zostanę tym, czym istotnie się stałam - niczym.

Jestem zatem pewna, że myśl, iż Fridzie coś grozi, poraziła go niczym błyskawica i zamieniła jego biedny mózg w jajecznicę.

Tymczasem Frida i ja zbliżyłyśmy się ostrożnie do domu, który z daleka wyglądał jak gigantyczny tort oblany niebieskim lukrem, w którym belki i framugi okien pełniły rolę lasek cynamonu i kawałków czekolady. Był to rozległy budynek w hiszpańskim stylu kolonialnym, o wąskich, otwartych na ulicę oknach z okiennicami. Wewnątrz mieściła się amfilada pokoi otaczających ogromne patio, gdzie w wielkich donicach z terakoty kwitły krzewy geranium i kaktusy. Papa postawił ten dom kilka lat przed narodzinami Fridy i kazał go pomalować na ciemnoniebieski kolor, toteż odkąd pamiętam, wszyscy nazywali go Casa Azul.

W drodze do domu moja siostra próbowała nadrabiać miną, ale widziałam, że się boi.

- Może powinniśmy przekraść się do naszego pokoju - szepnęła

- i udawać, że byliśmy tam przez cały czas.

- Myślisz, że się uda?

- Może.

Dokładała starań, aby jej głos brzmiał przekonująco, ale obie wiedziałyśmy, że szukając nas, Mami zapewne przewróciła do góry nogami cały dom. Oczyma duszy widziałam, jak ciska

drobiazgami o ściany, przeklinając jednocześnie wszystkich świętych, pannę Caballero, a w szczególności swego męża niedołęgę, który obdarzył ją takimi krnąbrnymi dziećmi.

- Spróbujmy najpierw znaleźć Conchitę - podsunęła Frida. Przekradłyśmy się wokół domu do kuchni, nie znalazłyśmy tam

jednak Conchity. Tylko kucharka Inocencia klęczała przed ołtarzykiem obok spiżarki i modliła się do Najświętszej Pani z Guadalupe:

- Biedne dzieciątka... zbrodniarze... zabójcy... *Virgen Madre*... spraw, by wróciły do domu...

- Marnie to wygląda - szepnęła Frida.

Załkałam cicho, lecz ona uniosła do ust palec, każąc mi zamilknąć:

- Cśśś! Zamknij się, dzidziusiu!

Kucharka modliła się nadal, a po jej masywnych, śniadych policzkach spływały ciężkie Izy. Frida podkraśniała się do niej z tyłu i leciutko dotknęła jej ramienia.

- Inocencia! - powiedziała cicho.

Kucharka zaskoczona odwróciła się, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

- Frida!

Frida zachichotała. Nawet ja uśmiechnęłam się niepewnie. Inocencia, wciąż na kolanach, uściskała nas i jęła zawodzić:

- Oh, *gracias a Dios!* Dzięki Bogu! Och, dzięki Ci, Najświętsza Panienko!

Dźwignęła swe niezgrabne ciało do pozycji stojącej, po czym naląła nam soku i położyła na talerzu kilka tortilli.

- Gdzieście byli? - zapytała surowo, udając, że nas strofuje. - Wasza biedna Mami omal nie zwariowała ze zmartwienia. Idźcie do niej natychmiast i powiedzcie, że nic wam się nie stało.

Ja pożerałam tortille, ale Frida stała nieruchomo, zagryzając wargę.

- Może powiedziałaabyś, że cały czas byłyśmy z tobą? - zaproponowała po chwili.

- Ach, nie! Doña Matilda zdarłaby ze mnie skórę. Przeszukali cały dom, a wasza Mami posłała dwóch chłopców, żeby wyglądali was na ulicy. Kazała nawet Manuelowi jechać do miasta po waszego ojca.

- Posłali po Papę? Och, nie! - jęknęła Frida. - Może rzucimy się do rzeki, żeby chłopcy nas znaleźli? Mogłybyśmy udać, że się topiłyśmy, a oni, dzięki Bogu, uratowali nas w ostatniej chwili. Mami tak by się ucieszyła z naszego powrotu, że zapomnieliby o awanturze.

- Dajcie spokój - skarciła nas Inocencia z udawaną szorstkością.

- Lepiej idźcie do mamy, żeby zobaczyła, że nic wam nie jest, i wysłuchajcie, co ma do powiedzenia.

- No, proszę cię, Inocencia - powiedziała Frida - pomóż nam.

- Przytuliła się do kucharki i pocałowała ją w policzek. Zawsze umiała przymilać się do ludzi, żeby zrobili to, czego chciała.

- Chodź, Cristi. - Ukradkiem szturchnęła mnie w bok. - Wracamy nad rzekę.

Lecz mnie całkowicie pochłonęło niezdarne rozsmarowywanie awokado na jeszcze ciepłym placku. - Chodź, głupia! Przestań się obżerać! Nic dziwnego, że wyglądasz jak beczka!

- Daj mi święty spokój! - wrzasnęłam, rzucając w nią skórka awokado. - Wszystko przez ciebie! Idę do Mami!

To naprawdę ją rozwścieczyło. Wiedziała, że nie jestem ulubienicą Mami, która wołała nasze starsze siostry, Matilde i Adrianę. Jednak mimo wszystko Mami przedkładała mnie nad Fridę i z pewnością wiedziałaby, której z nas ma uwierzyć.

- No to wpadłyśmy - powiedziała ostro Frida. - Trudno. Otrząśnij się i przestań marudzić.

Lecz ja już biegłam do drzwi.

- Zaczekaj, głupia! - krzyknęła siostra. - Zastanów się chwilę! Może jakoś się wykręcimy. Powiemy, że porwali nas faceci z rządu, o których wszyscy wciąż mówią, no, ci, którzy łapią dzieci i dokądś je wywożą dużym czarnym samochodem. Zaraz... Powiemy, że

byli brutalni i źli, i mieli pistolety długie jak kutas byka. I że udało nam się uciec przez okno. Rany, po takim strachu Mami będzie zachwycona, że wróciłyśmy. Oczywiście, jeśli wszystkiego nie zepsujesz. Zaczęłam zawodzić:

- Mami! Mami, tu jesteśmy!

Mami, która właśnie pouczała służącą w odległej części domu, z początku nie była pewna, czy rzeczywiście dobiega ją mój krzyk, czy też wyobraźnia znów płata jej figle. Po latach wyznała mi, że przez cały ten ranek, od chwili gdy przybiegł posłaniec od panny Caballero, słyszała dziecięce głosy. W szafie rozlegały się chichoty, otwierała więc na oścież drzwi szafy - ale nikogo tam nie było. Coś jęczało w kuchni, kazała więc Inocencii przeszukać szafki, puszki i kosze - lecz na próżno. Upiorne szepty i szlochy doprowadziły ją niemal do hysterii.

- Sefiora! - Do pralni wtargnęła masywna postać Inocencii. - Maleństwa wróciły! Fridita jest w kuchni, a Cristina na patio!

- Wróciły? Nic im nie jest?

- Nie, señora, Bogu niech będą dzięki.

Mami ogarnął swego rodzaju religijny paroksyzm. Jęła zawodzić i krzyczeć:

- Och, Przenajświętsza Panienko, dziękuję, och, dziękuję!

Z miejsca, gdzie stałam, tuż za drzwiami na patio, słyszałam, jak się miota. W końcu wyraziła Paniencie należytą wdzięczność i wypadła na zewnątrz. Jej wzrok spoczął na mnie, skulonej pod ścianą i łkającej niczym Maria Magdalena. Złapała mnie za ramię i wymierzyła mi siarczasty policzek, który powalił mnie na ziemię. Chyba głośno wrzasnęłam, gdyż z domu wybiegli służący, Mami jednak nie pozwoliła im się zbliżyć.

- Przyprawdźcie Fridę. Jest w kuchni - rzekła rozkazująco. Ale Fridy nie było w kuchni ani w sypialni, ani w ogóle nigdzie.

Mami zaczęła dygotać, już nie ze strachu, lecz z furii. Zsiniąła z wściekłości i tylko czubek jej nosa, przypominający niedojrzałą truskawkę, zachował jakąkolwiek barwę. W końcu stara Inocencia,

która poczłapała do bramy, aby wyrzeć na ulicę, zauważyła Fridę w połowie drogi do następnej przecznicy.

- Tam, seño! - zawołała.

Conchita ruszyła w pogoń i mimo wierzgań Fridy przyniosła ją pod pachą do domu.

- Co to ma znaczyć? Gdzieście byli? - Mami chwyciła Fridę za ramiona i potrząsnęła nią, omal jej nie przewracając. - Szukaliśmy was jak szaleni! Gdzieście się podziewali?

Jej gorączkowe okrzyki odbijały się echem na patio, twarz miała ściągniętą grymasem, nieprzytomną. Przyszły mi na myśl gabinety luster w lunaparkach, które zniekształcały rysy twarzy i sprawiały, że człowiek wyglądał jak Pinokio albo jak demon z obliczem niczym gruszka. Wyobraziłam sobie Mami z ogromną głową w kształcie klepsydry, maleńkimi ramionkami i rozdętą talią. Przygryzłam wargę, aby powstrzymać się od śmiechu - nawet nie chcę myśleć, co by ze mną zrobiła, gdybym w owej chwili odważyła się uśmiechnąć. Być może dzisiaj nie opowiadałabym panu tej historii.

Mami przycichła, lecz nadal czuło się w niej napięcie, jak w strunie dobrze nastrojonej gitary. Uniosła dłoń, aby spoliczkować Fridę, ale ta zrobiła unik. To było okropne, ale zarazem obezwładniająco śmieszne. Nasza Mami, zwykle taka stateczna i zadowolona z siebie, machała ręką w powietrzu, jakby chciała zabić niewidzialną muchę; przypominała postać z tych amerykańskich filmów rysunkowych, które stały się popularne znacznie później, kota machającego łapą w stronę ptaszka, łaps, łaps! Straciła równowagę - duża, zażywna, solidna Mami nieomal upadła na podłogę! Lecz zaraz się wyprostowała, podniosła dłoń i tym razem trafiła Fridę prosto w ucho.

Wiedziałam, że musiało zboleć. Mimo że to nie mnie bito, poczułam się tak, jakby ktoś wymierzył mi w czaszkę cios pałką. Moja głowa, kark i ramiona pulsowały z bólu. Ale Frida nie rozplakała się. Stała i patrzyła Mami wojowniczo w oczy.

- Cholerne bachory! - zawyła Mami.

Frida skrzyżowała ręce na piersi.

- To nie była wina Cristi - oznajmiła z udawanym spokojem.

- To przeze mnie.

Widzi pan, o tym właśnie mówię. Frida zawsze chroniła mnie, jak umiała. Stawiła Mami czoło i przyznała się, że to ona była niegrzeczna.

- Sam Lucyfer zagnieździł się w twojej duszy, zepsuta dziewczyno! To są słowa Mami. Wyobraża pan sobie, żeby dorosła kobieta

mówiła w ten sposób do sześciolatki? Nic dziwnego, że Frida wyrosła na takie ziółko.

Nie, nie to chciałam powiedzieć. Nie chodzi mi o to, że Frida okazała się zła. Wręcz przeciwnie, w głębi duszy była słodka niczym dojrzały owoc mango, wręcz urocza. No, może nie urocza, ale dobra. Dokładnie to pragnę panu powiedzieć, doktorze. Zawsze brała na siebie całą winę.

- To przeze mnie - powtórzyła. - Biłam się w szkole. Mami, ja nie chcę tam wracać! Nienawidzę panny Caballero!

Czy Frida rzeczywiście nienawidziła panny Caballero? Nie jestem tego pewna.

- Biłaś się? O co? - zapytała Mami. - O co poszło tym razem?

- Wyzywały nas... - zaczęłam wyjaśniać, lecz Frida uciszyła mnie spojrzeniem.

- O nic - odparła.

Nie zamierzała mówić Mami, że koleżanki w szkole znowu krzyczały, że jesteśmy Żydówki. Nie zamierzała dawać jej do ręki kolejnej broni przeciwko Papie. Mami uspokoiła się nagle.

- Przez was niedługo skończę w grobie - powiedziała po prostu.

- Muszę tyle znosić, a wy jeszcze robicie wszystko, żeby mnie unieszczęśliwić! Matko Boska, czym zawiniłam, że zasłużyłam sobie na takie dzieci?

Ale już nie krzyczała. Straciła do tego serce.

Papa, który zjawił się na patio, znekany patrzył w milczeniu na swoją żonę i córki. Mami przyjęła jego obecność bez słowa, nawet nie podeszła, by go powitać.

- Ojciec specjalnie rzucił pracę, bo myślał, że coś wam grozi. Przyjechał aż z miasta. Zamknął pracownię. Znowu jest chory

- dziś rano miał kolejny atak. Ale mimo to przyszedł. A wy? Wy po prostu płatałyście figle!
Ale wciąż nie podnosiła głosu.

Czułam się coraz bardziej winna. Papa rzadko jadał w domu popołudniowy posiłek; zazwyczaj Manuel brał koszyk z obiadem i wyruszał w długą drogę do Mexico City. Skoro Papa wrócił do domu do Coyoacan, musiał naprawdę odchodzić od zmysłów ze zdenerwowania.

- Proszę - zwróciła się do niego Mami, opuszczając patio.

- Powiedz im, że były niegrzeczne. Powiedz im, jak zamierzasz je ukarać.

Papa stał nieruchomo, wlepiwszy w nas nieobecny, oszołomiony wzrok.

Frida podbiegła do niego. Pochylił się, ona zaś zarzuciła mu ramionka na szyję i pocałowała go w policzek.

- Chodź, Cristi! - zawołała.

Poszłam za jej przykładem i ucałowałam ojca, ale potem uciekłam do sypialni. Pewnie uznałam, że lepiej będzie zostawić ich samych, aby Frida opowiedziała całą historię po swojemu. Rzecz jasna, ona grała w niej główną rolę, ale naśladowała również inne osoby. Jako Estela mówiła głosem zgrzytliwym niczym gwóźdź drapiący po tabliczce. Przedstawiając pannę Caballero, wydymała policzki i owijała palce szmatami, by wydawały się grubsze. Jak ukazywała mnie? Czy w ogóle występowałam w jej opowieści? Za to Frida, mistrzyni komedii, odnosiła olśniewające zwycięstwo nad wrogami. Bohaterka! Wybawicielka!

Wczołgałam się do łóżka i zasnęłam.

Następnego ranka Frida powiedziała mi:

- Wiesz, wczoraj w nocy przyszła do mnie księżniczka Frida Zorafda.

Miałam zaledwie pięć lat. Wierzyłam we Fridę Zoraidę.

- Sądysz, że kiedyś odwiedzi także i mnie? - zapytałam.

- Oczywiście, że nie - odparła. - To moja przyjaciółka. Siedziała na wyściełanym krzeselku, będącym miniaturą wersją krzesel w salonie, i patrzyła przez okno na ulicę Allende. Wyglądała mizernie. Poprzedniego dnia poszłyśmy spać bez kolacji, gdyż Mami była tak wściekła, że nie pozwoliła Inocencii nas nakarmić. Miałam wrażenie, że Frida chciałaby się rozplakać, ale przecież nigdy nie płakała przy mnie.

- Nagle usłyszałam jej głos - ciągnęła.

- Jej głos? - szepnęłam. - Co powiedziała?

Frida to ma szczęście, pomyślałam. Prawdziwa księżniczka, Frida Zorafda, przychodzi do niej, kiedy moja siostra potrzebuje przyjaznej duszy.

- Musiałam wyteżać słuch - mówiła - lecz wreszcie usłyszałam wołanie księżniczki Fridy Zorafdy, dobiegające jakby z wnętrza Ziemi: „Frida, Frida!”. Wstałam i podeszłam do okna.

Słodki głos księżniczki dzwonił melodyjnie niczym orientalny szklany mobil: „Frida, chodź, chodź się bawić!”. Ten głos nie był ludzki; pochodził z innego świata.

„Czy to ty, księżniczko Frido Zorafdo?” - zapytała Frida.

Nikt nie odpowiedział.

„Czy to ty, księżniczko Frido Zorafdo?” - zapytała Frida po raz drugi.

Odpowiedź przyszła w postaci dalekiej, ledwie słyszalnej piosenki.

Ukrywam się w twojej głowie! Otwórz teraz drzwi! Już nic więcej ci nie powiem, A więc uwierz mi!

- Byłam okropnie podniecona! - opowiadała Frida. - Chuchnęłam na szybę, a kiedy się zamgliła, narysowałam palcem drzwi. Poczułam, że wylatuję przez te drzwi, wznoszę się nad równiną otaczającą Coyoacan i docieram do mleczarni w Pinzón, nad ogromny szyld „Lecheria Pinzón”. Długo krążyłam wokół niego, aż wreszcie przeleciałam przez literę O.

Frida spadała i spadała, aż znalazła się w środku Ziemi, gdzie czekała na nią księżniczka Frida Zorafda.

Księżniczka była małą dziewczynką, taką samą jak Frida. Miała identyczny dołeczek w podbródku, rumiane policzki i dużą, białą kokardę. Ale zamiast fartuszka nosiła długą czerwonopomarańczową szatę ozdobioną cekinami, koralikami i okrągłymi lusterkami wielkości monet, wykończoną fioletową plecioną taśmą. Pulchne stopki księżniczki okrywały fioletowe filcowe botki z zadartymi noskami.

„Chodź - powiedziała głosem niczym pękające szkło. - Chodź, zatańcz ze mną!”.

Wzięła Fridę za ręce i pocałowała ją w policzek, po czym zaczęła tańczyć lekko, jakby nic nie ważyła, kołysząc się to w jedną stronę, to w drugą; mocno ścisnęła palce Fridy, podczas gdy jej stopy w fioletowych botkach unosiły się nad ziemią.

„Tańcz! - ponagliła ją. - Tańcz!”.

Frida obracała się i podskakiwała, a Zorafda naśladowała jej ruchy, nie dotykając gruntu, wdzięczna niczym balonik.

„Cudownie! - wołała roześmiana. - Jesteś taka urocza i piękna. Uwielbiam twój fartuszek, jest taki śliczny!”. Frida uśmiechnęła się i ucałowała ją.

- Czułam ciepło w całym ciele - opowiadała. - Od razu poprawił mi się humor, zapomniałam o Mami i tych bachorach ze szkoły.

„Podoba mi się twoja suknia - rzekła Frida do księżniczki Zorafdy, po czym dodała: - Miałam dziś w szkole zły dzień”.

Zawsze mówiła księżniczce o swoich kłopotach.

„Co się stało? - zapytała księżniczka, delikatnie głaszcząc Fridę po policzku. - Musisz mi wszystko opowiedzieć”. „Dzieci mi dokuczały, zwłaszcza Estela i Maria del Carmen”. „Wstrętne dziewczuchy”.

„Wiesz, jak mnie przezywały?”. „No, jak?”.

„Obca, Żydówka. Księżniczko Frido Zorafdo, czy jestem obca? Czy jestem Żydówką?”.

„Nie, skądże znowu. Śmieszny pomysł!". „Mówiły, że nie jesteśmy prawdziwymi Meksykankami, bo nasz Papa urodził się w Niemczech". „Ależ to głupie! Musisz się na nich odegrać". „Też tak pomyślałam. I wiesz, co zrobiłam?". „Powiedz!".

„Obrzuciłam je obelgami, mówiłam im straszne rzeczy!".

„Frido, to wspaniale! Słusznie postąpiłaś. Ja też bym tak zrobiła".

„A potem panna Caballero przyszła mnie skrzyczeć, a ja uciekłam i ukryłam się w parku!".

Księżniczka Frida Zorafda wybuchnęła śmiechem, który w uszach Fridy zabrzmiał jak świergot miliona wróbli, jak dźwięk tysiąca dzwonków. Dziewczynki objęły się i roześmiane długo tańczyły, obracając się wkoło.

- Cristi, to było cudowne - powiedziała Frida. Znów wyjrzała przez okno.

- Jest tam jeszcze? - wyszeptalam z nadzieją. Wstałam i podeszłam do siostry, wypatrując śladów księżniczki na ulicy Allende. Ale monotonię brukowanej jezdni przerywały jedynie wysokie dęby na tle bezbarwnego nieba.

Czy Frida zmyśliła to wszystko tylko po to, by wzbudzić moją zazdrość, czy też wierzyła w swoją opowieść? Nie wiem. Możliwe, że księżniczka Frida Zorafda naprawdę istniała w jej dziewczynskim umyśle. Moja siostra miała tak bujną wyobraźnię, że nie sędzę, by kiedykolwiek odróżniała fantazję od rzeczywistości, nawet gdy już dorosła. W końcu co to jest rzeczywistość? Czy ktoś to w ogóle wie? Czasem nie jestem już pewna, co właściwie zaszło między Fridą a mną. Czasem nie jestem pewna, czy istotnie zrobiłam to, co pan mówi.

ROZDZIAŁ 3

Kulawa Frida

Frida zawsze była świetną aktorką i uwielbiała odgrywać różne role. Dlatego gdy pewnej nocy obudziła się z krzykiem, uznałam, że znowu udaje.

Dziecko krzyczące z bólu. Odłamek szkła w brzuchu, sopel lodu w krtani, który zatrzymuje oddech i paraliżuje nas do tego stopnia, że leżymy bezradni w ciemności, nie mogąc nawet wezwać pomocy. Jaka matka to zniesie? Kiedy moje dzieci, Antonio i Isolda, były jeszcze małe, czasami któreś z nich zrywało się z krzykiem, ja zaś wpadałam w panikę, gdyż w moich uszach wciąż rozbrzmiewały poszarpane fragmenty koszmarnych wrzasków Fridy. Lecz w noc, o której mowa, nie byłam jeszcze matką, ale małą dziewczynką, i przede wszystkim pomyślałam, że Frida miała zły sen albo wzdęcie, a teraz wydziera się samolubnie, chcąc postawić na nogi cały dom. Nie zdarzało się to zresztą po raz pierwszy, gdyż moja siostra nabrała nawyku wołania w nocy. Uwielbiała, gdy zaspana Mami w czepku z falbankami i niezdarna Inocencia, okryta wystrzępionym szalem, wpadały niczym upiory do naszego pokoju i po omacku spełniały wszystkie zachcianki biednego, cierpiącego maleństwa, aby tylko nieszczęsne kochanie mogło znów zasnąć.

- Inocencia, kubekyerbabuena! -1 kucharka człapała do kuchni, aby przyrządzić napar kojącej herbaty.

- Mami, nowa lalka! -1 Mami wyrywała mi lalkę z ręki i układała ją na piersi siostry.

Zazwyczaj spałyśmy z Fridą w jednym pokoju, jednak przez cały tamten tydzień była trochę przeziębiona, więc Mami ulokowała mnie w łóżku z Adrianą i Matilde.

Starsze siostry chyba nie słyszały krzyku, gdyż żadna ani drgnęła. Z patio dobiegły mnie kroki Mami, lecz poza tym dom pogrążony był we śnie. Może mi się przyśniło, pomyślałam, wtuliłam się w plecy Adriany i spróbowałam usnąć.

Zapadałam już w drzemkę, kiedy ciszę rozdarł następny krzyk. Tym razem popędziłam do sypialni, którą zwykle dzieliłam z Fridą. Przed wszystkim chciałam jej powiedzieć, żeby się zamknęła, żeby przestała się wydzierać. Ale Mami i Papi uprzedzili mnie - Mami dygotała na całym ciele, Papi, wciąż rozespany, niepewnie podążał do łóżka mojej siostry.

Myślę, że utajony niepokój drażył go od wielu dni. Frida chorowała; miała gorączkę, ból głowy, ból gardła. To tylko przeziębienie, powtarzał ojciec. Miał sześć córek - nas cztery oraz dwie z pierwszego małżeństwa. Oczywiście, Mami dopilnowała, by zaraz po ślubie nasze siostry przyrodnie trafiły do klasztoru. Chciała się ich pozbyć, aby nic nie przypominało ojcu „tamtej kobiety”. W późniejszych latach wszystkie bardzo się zaprzyjaźniłyśmy, ale to już inna historia.

Papi, który raczej nie brał udziału w naszym wychowaniu, wiedział jednak, że u małych dzieci często występuje gorączka i ból gardła. Ale potem zaczęły się nudności i wymioty - a wreszcie biegunka.

- To pewnie wirus żołądkowy - powiedział. Było to po południu.

- Pewnie tak - przytaknęła Mami. Kroiła owoc przesłoczy i kiedy przekłuła rdzawą skórkę, słodki, żółty sok pociekł jej po ręce. - Ale i tak trzeba wezwać doktora.

- Wzywaj, jeśli chcesz. - Papi spojrzał w twarz Mami, wypatrując śladów poważnego zmartwienia. Uważał kobiety za stworzenia tajemnicze niczym koty, mające swoje tajemne sposoby zdobywania wiedzy.

Mami zagryzła wargę i dalej kroiła owoc równymi, spokojnymi cięciami. Być może ojciec dostrzegł niepokój w jej oczach, a może po prostu chciał się upewnić, zapytał więc:

- Chyba nie sądzisz, że to coś więcej niż zatrucie pokarmowe? Wydaje mi się, że zadrżał mu głos, ale było to tak dawno temu,

iż nie mogę przysiąc. Nasz umysł odkrywa fakty wciąż na nowo; tyle razy przeżywamy je w myślach, że po pewnym czasie nie wiemy już, czy zdarzyły się naprawdę, czy też wymyśliliśmy je, za każdym razem odrobinę upiększając kolejne sceny, dodając szczegóły tu czy tam, aż obraz mentalny zaczyna całkowicie odbiegać od rzeczywistości.

Mami nie odpowiedziała, ale nie posłała po doktora. Nie mieliśmy pieniędzy, a lekarze drogo kosztowali. Chyba sądziła, że można poczekać jeszcze jeden dzień.

Tego wieczoru Frida położyła się spać o zwykłej porze. Już w ciągu dnia skarżyła się na zeszywnienie karku i pleców. Wciąż myślałam, że marudzi, aby zwrócić na siebie uwagę, ale Papi gładził ją po głowie i tulił do snu w taki sposób, że coś mnie zastanowiło.

- Źle się czuję, Papo - jęczała nieustannie. Z trudem łapała oddech, jej głos był cichy i urywany.

Papa spojrział na jej ściągniętą, wystraszoną twarzyczkę i wzdrygnął się, jakby miał w brzuchu gniazdo żmij.

- Boże - szepnął - co prawda nie wierzę w Ciebie, ale spraw, aby to było tylko przeziębienie.

Jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Fridy, ja zaś poczułam - czemu tego nie powiedzieć? - ukłucie zazdrości. Niech pan nie zapomina, że miałam tylko pięć lat i sądziłam, że siostra po raz kolejny odgrywa rolę umierającej sieroty, gdyż chce, by Papa z nią posiedział.

- Wiem, Fridusiu - powiedział ojciec. - Jutro na pewno wezwiemy doktora.

Zgasił światło. Był tak pogrążony w myślach, że nie zauważył mnie, skulonej w cieniu. Ale ledwie wyszedł za drzwi, Frida znów go zawołała:

- Papo - jęknęła, kiedy usiadł obok niej. Miała szklisty, rozgorączkowany wzrok. - Dzisiaj Cristi była dla mnie okropna.

Nienawidziłam jej. Przyznaję, że w tamtej chwili jej nienawidziłam.

- Ależ skądże, jestem pewien, że nie. Cristina to małe dziecko. Robi głupstwa, ale na pewno nie chce ci dokuczyć.

- Ależ tak! Jest wstrętna!

- Powiem Mami, żeby z nią porozmawiała.

Typowe! Mnie nie posadził sobie na kolanie, nie pogłaskał po głowie, nie zapytał, czy głupie oskarżenia Fridy są prawdziwe. Zamiast tego wygłaszał bzdury: „Powiem Mami, żeby z nią porozmawiała!”. Pozwalał Fridzie na wszystko tylko dlatego, że była jego ulubienicą.

Frida zaczęła zawodzić:

- Zabrała mi lalkę!

Kłamała! Nie tknęłam jej lalki. Czasem brałam jej zabawki, ale nie tego dnia, bo w ogóle nie wpuszczono mnie do pokoju. Ale czy Papa pomyślał, by mnie o to zapytać?

- Dobrze. Jutro każemy jej oddać lalkę.

- Chcę teraz!

- Teraz Cristina śpi. Musimy poczekać do jutra.

Paluszki Fridy zwinęły się w piąstkę, a jej ciało zadrżało z furii.

- Teraz!

Umierałam z chęci wykrzyknienia: „Nie mam twojej paskudnej lalki!”, ale nie chciałam, by się dowiedzieli, że podsłuchuję.

Papa wyglądał na wyczerpanego. W chorobie Frida zaczęła tak kapryścić, że nawet on z trudem to znosił. - Idź już spać, Fridusiu. - To niesprawiedliwe! Chcę teraz!

Papa po raz drugi zgasił światło i ciężkim krokiem poczłapał do gabinetu.

- Wiecie, kim jestem? - powiedział do niewidzialnych istot, które zamieszkują noc. Mówił tak cicho, że ledwie go słyszałam. - Jestem jak jakiś przedpotopowy gad, który powinien być umrzeć tysiące lat temu.

Zajrzałam przez dziurkę od klucza, dużą i staroświecką, do której pasował potężny klucz z kutego żelaza, i zobaczyłam, że ojciec przerzuca płyty, nie czytając etykiet, po czym robi to jeszcze raz, bardziej uważnie. Wreszcie wybrał nagranie, włączył gramofon i zapadł się w miękki, wygodny fotel. Po chwili dźwięki sonaty Beethovena wypełniły pokój i wysączyły się na zewnątrz. Papi zamknął oczy. Widziałam, że próbuje skupić się na muzyce, ale Frida znowu zaczęła jęczeć. Wyprostowany pochylił się ku drzwiom, choć z pewnością nie mógł słyszeć jej wołania, gdyż zagłuszała je muzyka. Znow targnął nim skurcz, jakby miał zmije w brzuchu. Mimo że byłam bardzo mała, wyczuwałam jego napięcie; teraz wiem, że usiłował stłumić dręczące pytania, które czaiły się na krawędzi jego świadomości. A co, jeśli choroba Fridy to nie zwykłe przeziębienie? A co, jeśli dolega jej coś naprawdę poważnego?

Widziałam, jak siedząc w fotelu, zapada w drzemkę, budzi się, po czym znow zasypia. Powstrzymywał się przed pójściem do łóżka, jakby wierzył, że siedząc, jest mniej bezbronny wobec nękających go demonów. Kłopoty finansowe już przedtem nadwerężyły jego siły, a ten nowy lęk rozdzierał go do głębi. W końcu, z trudem podnosząc coraz cięższe powieki, wyprostował głowę, dźwignął się na nogi i ruszył w stronę drzwi. Dałam nura pod dekoracyjny stolik, stojący przy drzwiach do gabinetu, i stamtąd patrzyłam, jak tatuś wlecze się do sypialni rodziców.

Okna sypialni zazwyczaj zasłaniały ciężkie kotary, lecz jedna z nich była trochę odsunięta, a skrzydło okienne - uchylone, aby zapewnić dostęp powietrza. Stałam na odwróconej konewce i wspierałam się na palce. Stąd widziałam, co dzieje się wewnątrz, słyszałam też, choć z pewnym trudem, stłumione głosy rodziców. Mami leżała w łóżku z głową wspartą na poduszce i czytała Biblię.

- To pomaga? - zapytał Papi.

Nie sędzę, by jego sarkazm był zamierzony, jednak Mami nie odpowiedziała. Zamknęła książkę i odwróciła się na bok. On położył się obok niej, pocałował ją w ucho i zgasił światło.

Wpatrywałam się w ciemny pokój, ale rodzice najwyraźniej skończyli rozmowę. Zaczynałam odczuwać senność; dalsze stanie

w ciemności nie miało sensu. Wróciłam do pokoju sióstr i wczołgałam się pod kołdrę obok Adriany, jednak nie mogłam zasnąć. Cały czas myślałam, że w pokoju obok leży Papa, że przewraca się i wierci na posłaniu niczym kot w pokrzywach. Wyobrażałam sobie, jak wpatruje się w dławiącą ciemność, wyęzając słuch, aby usłyszeć płacz lub inny dźwięk, wskazujący, że stan Fridy się pogarsza.

Wreszcie zapadłam w przerażający koszmar, w którym Papa przeżywał koszmar jeszcze okropniejszy. Wtem oba nasze koszmary przerwała straszna rzeczywistość - przenikliwy krzyk Fridy rozdarł noc i przeszył moją głowę igłą bólu. Ale nie poruszyłam się; zamiast tego niemal namacalnie odczułam gargantuiczny wysięk Papy, który z trudem podniósł dłoń i odrzucił kołdrę sztywnymi, ołowianymi palcami. Rozległ się kolejny krzyk, ostrzejszy i bliższy niż pierwszy, a jednak odległy o tysiące mil.

Nie zauważyłam, kiedy Adriana i Matilde usiadły na łóżku, lecz wyczułam ich ruchy, szybkie i automatyczne, jakby głos Fridy uruchomił w nich jakieś sprężyny. Mimo to znalazłam się przy drzwiach przed nimi i bosą pognałam do naszej sypialni.

- Powinnaś była wezwać lekarza - mówił Papa. - Niesłusznie z tym czekałaś.

Mami posłała mu wściekłe spojrzenie.

- Moja noga! - wyła Frida. - Moja noga! Boli! Strasznie!

- Która? - Mami niepokojąco sprawnie odrzuciła koce.

- Ta, prawa. O, tutaj. - Frida wskazała łydkę.

Papa przyglądał się, jak Mami podciąga koszulę Fridy do kolan i rozciera jej nogę. Miała posepną minę, ale nie płakała i nie histeryzowała. W ogóle nie zachowywała się, jakby nastąpiło jakieś nieszczęście.

- Tutaj? - zapytała, masując energiczniej.

- Boli! - wrzasnęła Frida. - Nie wytrzymam! To boli, Mami! Boli tak okropnie, że chciałabym ją obciąć!

Papa zadrżał i mocno zacisnął powieki.

- Pośle po doktora Costę - wymamrotał.

- Natychmiast - zarządziła Mami. - Idź po Inocencję - zwróciła się do mojej siostry Matilde - niech zaraz przyjdzie, a ty - to do Adriany - zagotuj wodę!

- Chyba nie trzeba budzić służby - szepnął Papa.

- Tylko Inocencję i Manuela. Poślemy Manuela po lekarza. Lecz zanim Matilde zdążyła zawołać Inocencję, ta pojawiła się w drzwiach, trzymając w dłoni różaniec, podobna do wełnistej, zjawiskowej owcy w wygniecionej koszuli nocnej, ze skrzyżowanymi na czubku głowy warkoczami, które opadały na boki niczym uszy. Frida niemal się uśmiechnęła.

- Inocencia wygląda zabawnie - przymiliła się do ojca przez łzy.

- Najświętsza Dziecino Przenajświętszego Ojca! - jęknęła Inocencia. - Co się stało małej Fridzie?

- Przynieś maść. Dziecko bardzo cierpi.

Mami ugniatała nogę Fridy pewnymi dłońmi, a gdy się zmęczyła, zastąpiła ją Inocencia. Frida jednak wciąż krzyczała.

- No, Frida, Fridita - mruzczała kucharka uspokajająco. - No, maleńka. Zawsze byłaś taka dzielna. Przestań płakać. Papi i ja odprowadziliśmy Manuela aż na chodnik. Na ciężkim czarnym niebie wisiał otoczony poświatą księżyc. Natężyłam wzrok, by zobaczyć, czy rysuje się na nim jakaś twarz, ale nic nie dostrzegłam. Był zaledwie bryłą martwej materii.

Doktor Costa długo nie przychodził. Manuel opowiadał później, że musiał bez końca walić w bramę, zanim pojawił się służący z lampą w ręce. - Pan doktor śpi - oznajmił sługa.

- Oczywiście, że śpi - odparł Manuel. - Przecież jest środek nocy. Wszyscy śpią. Ale to pilny wypadek. Obudź go. Służący protestował, lecz Manuel się uparł.

- Mała Frida Kahlo jest chora. Córka pana Guillerma i pani Matilde, dom na rogu Londres i Allende. Lekarz, kiedy wreszcie się zjawił, był wymięty i zaspany, ale na szczęście nie zapomniał o swojej czarnej torbie. Po trzech kwadransach zjawił się Manuel; okazało się, że Costa przyjechał

samochodem z szoferem, kazać Manuelowi iść piechotą - taki był z niego sukinsyn. Ale Frida zawsze kochała lekarzy, jak kochała każdego, kto zechciał poświęcić jej trochę czasu, kto chciał ją oglądać, badać, z uwagą przysłuchiwać się każdemu jej słowu. Ja odwrotnie, nienawidzę ich. No, może nie wszystkich - nie pana.

Doktor starannie zbadał Fridę, ale nie doszedł do żadnych wniosków. Powiedział tylko, że rano trzeba będzie pojechać z nią do szpitala, aby zrobić badania.

- Nie wolno jej ruszać - zaprotestowała Mami. - Za bardzo cierpi.

Ale oboje z ojcem wiedzieli, że nie mają wyjścia.

Matilde i Adriana zostały w domu, lecz z jakiegoś powodu, którego nie pojmuję do dziś, rodzice nalegali, abym ja z nimi pojechała. Być może sądzili, że podczas długiej podróży z Coyoacan do Mexico City moja obecność wpłynie na Fridę kojąco, a być może zabrali mnie, bym ją bawiła. Pamiętam szpitalną atmosferę, woń choroby i formaldehydu. Wszystko było tam zielone - zielone ściany, zielone podłogi, zielone krzesła, aż do mdłości. Jedyne siostry miały na sobie białe kornety i habity.

Papi toczył wokół nieprzytomnym wzrokiem. Kto wie, o czym myślał? W tamtych czasach ludzie nawet w myślach bali się wymawiać nazwę straszliwej choroby dziecięcej, na którą nie było lekarstwa. Twarz ojca okrywała bladość; zapewne ovladnął nim pierwotny, larwalny lęk. Patrząc na niego, domyśliłam się, że czuje w ustach smak popiołu.

- Zaprawdę, należę do narodu wybranego - powiedział na głos. - Wszystko w moim życiu gnije. Mami odmawiała różaniec.

- Zdrowaś Mario, laskiś pełna... - Jej głos zazgrzytał niczym patyk, przeciągany po drewnianych sztachetach płotu.

- Przestań! - rzekł ojciec przeraźliwym szeptem, aż ludzie się obejrzel.

- Mam przestać? Przecież modłę się do Najświętszej Paniienki o zdrowie naszej córeczki!

- Musisz wierzyć w lekarzy.

- Wierzę w Boga.

- A ja nie - powiedział Papi półgłosem. Z otepiałą miną osunął się na drewniane szpitalne krzesło.

Uznałam, że całkiem o mnie zapomniał, ale nagle zapytał:

- Wiesz, o czym myślę, Cristina?

- O czym, Papi?

- Wywołuję w głowie oszalamiające obrazy: fale walące o skały, biblijne burze, wypadki drogowe, wybuchy wulkanów, ryczące tygrysy itede. Zgadniesz dlaczego?

- Dlaczego, Papi?

- Aby zagłuszyć modlitwy Mami.

- Ależ Mami modli się za Friditę.

Nie odpowiedział. Głos Mami zawodził dalej:

- *Dios te salve, Mana, llena exes de gxacxa; el Señor es contigo; bendita tu exes entre todas las mujexes... Dios te salve, Mana... salve Maria... salve Maxia...*

- Czy ja kocham tę kobietę?

- Co? - zapytałam.

Przed nami stanął nieznajomy mężczyzna z cierpkim grymasem na twarzy.

Ojcu natychmiast wróciła przytomność umysłu. Zauważyłam imbirową plamę na białej kurtce obcego, ćwierćcentymetrowy czarny włos, wyrastający z jego lewego nozdrza, kilkanaście żółtawych drobin łupieżu na jego kołnierzyku. Uświadomiłam sobie, że to lekarz. Z oddali dobiegał płacz dziecka i chrypliwe wrzaski ptaków. Coś metalowego upadło na posadzkę; gdyby stało się to bliżej, łoskot rozsadziłby nam czaszki. Obok przeszła pielęgniarka, niosąc cuchnące kwiaty. Za nią przekuśtykał chuderlawy starzec, wsparty na ramieniu dorastającego chłopca. Papi spojrzał na swoje paznokcie. - Zbadaliśmy Fridę i postawiliśmy diagnozę - oznajmił lekarz.

- Matko Święta - szepnęła Mami. Ja się nie odezwałam.

- Z przykrością muszę państwu powiedzieć, że wasze dziecko cierpi na paraliż dziecięcy. Nie wiedziałam, co to znaczy „paraliż dziecięcy”, ale wzdrygnęłam się na dźwięk słowa „przykrość”.

- Znany także jako poliomyelitis, czyli polio.

Popatrzyłam na matkę i ojca. Wszyscy wiedzieli, czym jest polio - straszną chorobą, która tak wyniszcza dzieci, że nie mogą chodzić, jeździć na rowerze, rzucać piłką ani nawet grać w klasy. Przez głowę przemknęła mi ohydna myśl: Ha! Teraz nie będzie już we wszystkim najlepsza! Nie, proszę, niech pan zaczeka. To nie była prawdziwa myśl, coś, nad czym bym się skupiła. To był po prostu... błysk. Uleciał od razu, ale ja poczułam się okropnie winna, jakbym kogoś zdradziła. Przecież nie może pan mnie oskarżać, w końcu miałam tylko pięć lat. Nic nie rozumiałam, a Frida bez przerwy mnie prowokowała. Uczucie to minęło, nie zastanawiałam się nad nim - iskra świadomości, która zgasła w mgnieniu oka.

Nie wiedziałam, co robić. Jakiej reakcji po mnie oczekiwano? Czy powinnam się rozplakać? Może powinnam uwiesić się na Mami lub dostać ataku hysterii? Z zachowania rodziców nie mogłam nic wynioskować. Mami ścisnęła różaniec, ale miała suche oczy; jej powściągliwość zdumiała mnie, wręcz oszołomiła, choć przypuszczałam, że wszelkie tamy pękną z chwilą, gdy lekarz wyjdzie z sali.

- Państwa córka ma paraliżującą odmianę polio - ciągnął doktor. - To choroba wirusowa, na którą nie ma lekarstwa. W aktywnym stadium Frida będzie musiała pozostać w łóżku, aby oszczędzać kończyny. Bóle można łagodzić gorącymi okładami.

- Czy ona umrze? - zapytałam szeptem. Mój głos zabrzmiał bardzo cicho nawet dla mnie samej, a słowa zawisły w powietrzu, drżąc niczym ptaki na śniegu.

- Wszyscy kiedyś umrzemy - odparł sucho lekarz.

W tamtej chwili żałowałam, iż Papa nie jest krzepkim, muskularnym mężczyzną, który umiałby dać komuś w zęby. Żałowałam, że mówi po hiszpańsku z obcym akcentem.

Mami otworzyła usta, lecz dobrą chwilę potrwało, nim zmusiła się do mówienia:

- Jak długo... jak długo potrwa to aktywne stadium?

- Trudno powiedzieć. Musicie bardzo uważać, by przyjmowała dużo płynów. Musi dużo pić, rozumiecie?

Powiedział „rozumiecie”, jakby mówił do dwulatków, a Papi wpatrywał się weń, jakby miał przed sobą kretyna.

- Musicie dawać jej dużo do picia, żeby uniknąć odwodnienia. To znaczy utraty wody.

Odwodnienie może spowodować zatrzymanie stolca. Kiszki są wtedy zablokowane suchą, twardą materią i pacjent nie może wydalać.

- Ten człowiek przyzwyczał się mówić do Indian - mruknął Papa pod wąsem.

- A potem? - zapytała Mami. - Kiedy minie... stadium aktywne? Wstrzymałam oddech. A co, jeżeli doktor nie przewidywał żadnego „potem”?

- Proszę odpowiedzieć na pytanie - rzekł Papi.

Chyba chciał, by polecenie zabrzmiało rozkazująco, ale głos mu się łamał. Widzi pan, był uwięziony między lękiem o stan Fridy a niechęcią wobec obezwładniającej arogancji lekarza. Z jednej strony pragnął wydobyć zeń jak najwięcej informacji, z drugiej - dać mu po głbie.

- Potem - odparł lekarz (mam wrażenie, że dodał „jeśli będzie jakieś potem”) - Frida będzie musiała jak najwięcej ćwiczyć, aby ograniczyć skutki paraliżu. Tańczyć. Skakać przez skakankę. Te rzeczy. Jego głos wciąż brzęczał, ale już go nie słuchałam. Mój umysł zatrzymał się na słowach „jeśli będzie jakieś potem”... Tak, jestem pewna, że tak powiedział - no, prawie pewna. Jakże mam panu opisać, co czułam w owej chwili? Z rywalizacji między nami Frida zawsze wychodziła zwycięsko, a ja, cóż, byłam zazdrosna. Zdarzały się chwile, gdy jej nie znosiłam. W tym wieku nienawiść między siostrami jest czymś naturalnym. Chodzi o to, że nigdy nie chciałam, żeby... żeby umarła. Nie życzyłam jej śmierci, rozumie pan!

- Chciałbym porozmawiać z naszym lekarzem rodzinnym - mówił Papa. Jego obcy akcent był wyraźniejszy niż zazwyczaj.

- Proszę bardzo. Jest u Fridy. Może pan ją teraz zobaczyć. Frida siedziała na krześle z nogami skrzyżowanymi wdzięcznie

w kostkach. Jej twarzyczkę wciąż wykrzywiał grymas bólu, lecz najwyraźniej zdążyła już oczarować młodego asystenta doktora Costy, doktora San Pedro. Siedział naprzeciwko niej, pochłonięty rozmową i tak oczarowany, jakby miał do czynienia z fascynującą, światową kobietą. Doktor Costa stał przy oknie, palił cygaro i puszczał wiatry, nie zwracając na tę parę żadnej uwagi.

Cóż mam jeszcze dodać? W szkole Frida zawsze mnie broniła. Teraz, kiedy nie mogła już chodzić do szkoły, odkryłam, że nie potrzebuję obrończyni. Świetnie radziłam sobie sama - nie wdawałam się w awantury, nawiązałam kilka przyjaźni i dostarczałam klasie zajmujących opowieści o okropnej chorobie Fridy i o bohaterskiej walce całej naszej rodziny, aby odpędzić od progu śmierć. Teraz zdarzało się, że to ja byłam gwiazdą - niezbyt często, lecz od czasu do czasu.

Ale Papa... Niedawno pytał mnie pan o Papę, o to, jakim był ojcem. Mogę tylko stwierdzić, że choroba Fridy go odmieniła. Dotychczas żył w swoim świecie, zatracając się w melancholii i oparach samotności. Chadzał z Fridą na spacer - niekiedy zabierając mnie na doczepkę - ale nawet podczas tych eskapad, zdominowanych przez wspólne upodobanie do kamieni, ptaków i owadów, zdawał się unosić się kilka metrów nad nami, miły, acz zdystansowany. Lecz przez te dziewięć miesięcy, kiedy Frida była przykuta do łóżka, stał się znacznie uważniejszy - przynajmniej w stosunku do niej.

Frida wychudła i spoważniała. Jej usychająca prawa noga zwisała bezwładnie niczym martwy wąż - transformacja, która zarazem przerażała ją i fascynowała. Czasem moja siostra wzbudzała we mnie lęk; godzinami przyglądała się w lustrze swojej twarzy, porównując wychudłe rysy z pyzatymi policzkami, które Papi uwiecznił na fotografii jeszcze kilka miesięcy temu. Z perwersyjną

przyjemnością obserwowała, jak jej ciało traci na wadze, oczy zaś zapadają się coraz głębiej.

- Robimy wszystko, co możliwe - powtarzał jej Papa.

- Mami też tak mówi.

- Doktor zapewnia, że kiedyś będziesz mogła chodzić.

- Doktor pierdzi jak suka w ciąży. Papi udał, że się gniewa.

- Za każdym razem zasmradza mi pokój.

- To dobry lekarz i próbuje ci pomóc.

- Wiem, ale śmierdzi jak nocnik.

- Frida...

Frida zachichotała, Papa zaś puścił oko i ścisnął ją za rękę.

Widzieliśmy, że Frida usiłuje przed nim udawać, iż nadal jest tą samą psotną dziewczynką, ale w rzeczywistości robiła się coraz bardziej zgaszona i nieobecna. Czasem wracając z pracy do domu, ojciec zastawał ją zatopioną w myślach, zapatrzoną w dżdżyste niebo za oknem. Przypominała iguanę - całymi godzinami gapiała się w przestrzeń z otwartymi oczami i nieruchomą twarzą.

Co to znaczy, jak się wtedy czułam? O co pan właściwie pyta?

Cóż, nie byłam zadowolona, widząc, jak moja siostra prze... przeobraża się w jakieś... stworzenie.

Fizycznie? Chodzi panu o zmiany fizyczne? Nie, proszę pana, patrzeć, jak się kurczy i zapada w siebie, nie sprawiało mi przyjemności. Dziwię się, że pan może nawet sugerować coś takiego. To prawda, że po latach bycia pękata, mniej atrakcyjną siostrą cieszyłam się, kiedy zaczęto mnie uważać za ładną, zdrową i uroczą. Ale czułam się winna z tego powodu - nikt nie miał wątpliwości, że to ja jestem rozkoszną małą pięknoscią, a ja czułam się, jakbym jej coś ukradła. To było niesamowite. Wszyscy obawialiśmy się, że umrze, mnie zaś przerażało to, że na moich oczach zamieniała się w szkielet. Sądziłam, że w jakiś sposób za to odpowiadam, gdyż czasem - niezbyt często - kiedy byłyśmy bardzo małe, pragnęłam, żeby zniknęła. A potem znienacka rzeczywiście zaczęła niknąć, blednąć, więdnąć. Lecz przysięgam

panu - przysięgam - że kiedy zachorowała, najbardziej na świecie chciałam, aby wyzdrowiała.

Rzecz w tym, że nie tylko wyglądała dziwnie, ale zachowywała się, jakby żyła w innym wymiarze. To znaczy, zawsze miała swoją zmyśloną księżniczkę Zorafdę, lecz teraz przekroczyła pewną granicę. Rozmawiała z tłumem niewidzialnych ludzi - najwyraźniej jedynych, przy których czuła się szczęśliwa. Papa powiedział, żeby się nie martwić, że to na pewno serdeczne, kapryśne dusze dające jej pocieszenie i umiejące ją rozśmieszyć. Istotnie, czasem Frida, pochłonięta urojoną paplaniną, znieścacka zaczynała chichotać. Jednak gdy ojciec pytał ją o nowych przyjaciół, robiła się nadęta i posepna.

Przez większość czasu przebywała sama w swoim pokoju. Nie umiała nawet przekuśtykać do okna, aby narysować na szybie drzwi. Mimo to wyczarowywała księżniczkę Fridę Zorafdę, po prostu zamykając oczy, oddychając głęboko i deklamując następujące magiczne słowa:

Zorafdo, Zorafdo, Przyjdź się bawić Z małą Fridą. Nie odmawiaj, Choć jest ciemno, Przyjdź i zaraz Zatańcz ze mną!

- Wiesz - powiedziała do mnie - księżniczka też ma uschniętą nogę.

- Skąd wiesz? - zapytałam.

- Widziałam się z nią. Zeszłej nocy przyszła do mnie z mgły. - Odwróciła oczy i wlepiła wzrok w przestrzeń. Ależ przedstawienie.

A jednak Frida nie kłamała. Naprawdę umiała wywołać księżniczkę z mgły - mgły swojej samotności. W jej opowieści Frida Zorafda miała na sobie tę samą co przedtem, czerwonopomarańczową szatę, tylko była inaczej obuta. Zamiast spiczastych botków na lewej nodze nosiła baletkę, na prawej zaś - ciężki ortopedyczny but i szynę.

- Zaprosiła mnie do tańca - ciągnęła Frida - a kiedy powiedziałam, że nie mogę już tańczyć, oznajmiła: „Oczywiście, że możesz!”.

Słuchałam oczarowana.

„Nie widzisz, że mam chorą nogę?” - zapytała ją Frida.

„Nie widzisz, że ja też?” - odparła księżniczka.

I księżniczka Frida Zorafda wzięła moją siostrę za ręce i złożyła na jej policzku słodki pocałunek, po czym obie wzbily się w powietrze, a ich brzydkie buty szybowwały po niebie niczym lśniące, czarno-srebrne zeppelin.

Mami słuchała poleceń lekarza jak kapitan wykonujący rozkazy generała.

- Przynieś wanienkę i napełnij ją ciepłą wodą orzechową - z wojskową precyzją komenderowała Inocencją. - To uśmierzy ból.

Inocencją przygotowywała leczniczą kąpiel.

- Teraz niech Frida pomoczy nogę przez pół godziny. Inocencją myła nogę Fridzie.

- Teraz zrób kompresy z gorących ręczników i przykładaj je do łydek.

Kiedy Inocencją się zmęczyła, Mami i Papi czuwali na zmianę na stołeczku przy łóżku chorej.

Frida poddawała się tym zabiegom bez skargi. Jestem pewna, że rozkoszowała się zamieszaniem wokół swojej osoby. Z drugiej strony jednak irytowała się, kiedy zaczynałam paplać o szkole. Nie chciała słuchać o złośliwych psotach Esteli ani o idiotycznej uległości Marii del Carmen. Nie interesowała jej obsesja panny Caballero na punkcie czystych majątek. Niecierpliwiły ją opowieści o zmiennych dziewczynskich sojuszach i przyjaźniach. Przypuszczam, że wszystkie te historie poznawane za moim pośrednictwem, z drugiej ręki, brzmiały tak samo. Czasem przychodziły ją odwiedzić dzieci z sąsiedztwa, pękające od nowin o przyjęciach, pierwszych komuniach i najlepszych koleżankach. Frida słuchała przez jakiś czas, nie ukrywając znudzenia, po czym odwracała się, chwyciła za nogę i, skrzywiona, zaczynała jęczeć.

Nie wątpię, że istotnie cierpiała. Ale czasem wydawało mi się, że chętnie przyjmuje ból jako coś egzotycznego, odmiennego od jazgotu przyjaciółek. Być może niechętnie akceptowała fakt, że szkolne życie bez niej toczy się normalnie.

Przez dziewięć miesięcy Frida pozostawała przykuta do łóżka. Dziewięć miesięcy! To cała wieczność w życiu sześciolatki! Po dziewięciu miesiącach sześć lat zamienia się w siedem, a pyzata buzia przeobraża się w ukształtowany, wyrazisty profil. Pamiętam, kiedy moja Isolda była w tym wieku. A gdy sześciolatka jest chora na polio, transformacja przybiera jeszcze bardziej dramatyczny charakter. Dziecinna pulchność Fridy znikła całkowicie, a zamiast niej pojawiła się chuda, wymizerowana maska; promienne, figlarnie błyskające oczy zostały zastąpione matowymi, wyblakłymi źrenicami. Ale, co najgorsze, jej dotychczasowa, czupurna pewność siebie ustąpiła miejsca bolesnej nieśmiałości siedmiolatki, która wie, że jest inna niż wszyscy.

Dziewięć miesięcy... okres, przez który dziecko rośnie w łonie matki, aby wynurzyć się na światło słońca. Okres, w ciągu którego Frida stała się inwalidką.

W końcu nadszedł dzień, gdy znowu mogła stanąć na nogach, ale... Proszę spojrzeć na tę rodzinną fotografię, doktorze. Została zrobiona w 1914 roku. Ta wyrosnięta dziewczynka, kryjąca się za krzakami, nie jest tym samym dzieckiem, które rok wcześniej stawiało czoło klasowej jędzy. Niech pan spojrzy! Zmieniła się. Teraz jest słaba i ponura. Nie chce chodzić po ogrodzie ani pływać, ani jeździć na nowym, czerwonym rowerze, który kupił dla niej Papa. Pragnie tylko wtopić się w cień. Od koleżanek woli swoją księżniczkę Fridę Zorafdę. Snuje się smętnie, zamiast podjąć ogromną pracę, dzięki której mogłaby odzyskać siły.

Ale Papa nie zamierzał pozwolić, aby jego ukochane dziecko zmarniało i umarło.

- Nie jestem Hiobem - powiedział do Mami. - Nie dam Bogu wszystkiego sobie zabrać.

- Myślałam, że nie wierzysz w Boga - odparła Mami cierpko.
- Bo nie wierzę - rzekł Papa. - Właśnie dlatego nie pozwolę, by uszło mu to na sucho.
- Chodź - zwrócił się do Fridy - idziemy na spacer. Ale Frida nie chciała.
- Zalecenie lekarza.

Frida dąsała się i marudziła, lecz ojciec był nieugięty.

- Tym rrrazem nie uda ci się postafić na sfoim - zaskrzeczał. Gdy był podenerwowany, jego niemiecki akcent rozlewał się niczym galareta. - Iciemym! Sarras!

Frida nie śmiała się często, ale słysząc chropawe „rrr” Papy, musiała zachichotać. Mówił, jakby płukał gardło.

- Tak jest, Herr Kahlo.

- Nie mów do mnie Herr Kahlo!

- Dobrrra, dobrrrra, Herr Kahlo! Jusz idę, Herr Kahlo! Oboje wybuchnęli śmiechem. Na ogół Papi nie lubił, gdy kpiono z jego wymowy, ale to był dobry znak - Frida najwyraźniej odzyskiwała animusz. Z początku nie chcieli zabierać mnie ze sobą, ale Papi rychło zdał sobie sprawę, że Frida czuje się lepiej, mając kogoś, z kim może się bawić, albo raczej - przed kim może się popisywać.

Najpierw po prostu przechadzaliśmy się po ogrodzie, gdzie Frida mogła co chwila odpoczywać pod wielkim cedrem, lecz już wkrótce kuśtykała za piłką, którą jej rzucałam.

Pewnego dnia oznajmiła:

- Wejdę na ten cedr!

- Ależ lieber Frida, chyba nie jesteś jeszcze na to gotowa - zdumiał się Papi.

- Niech pan posłucha, Herr Kahlo - rzekła Frida z udawanym sprzeciwem. - Jeśli zechcę wejść na to drzewo, to wejdę.

- Nie fejdziesz! - zakpił Papa, podjudzając ją do czynu.

- Alesz tak, Herr Kahlo, srobieę, co będę chciała!

- No to zobaczymy.

Frida skoczyła na cedr, obejmując pień nogami i ściskając go mocno kolanami. Następnie centymetr po centymetrze zaczęła podciągać się do góry.

- Brawo! - zawołał Papa.

- Sam pan jest brrafo, Herr Kahlo! - odkrzyknęła Frida. - Mówi pan tak, jakby się pan dusił!

Papa zabierał nas do parku Chapultepec, gdzie Frida wiosłowała po jeziorze. Nauczyła się walki wręcz oraz boksu; kiedyś, gdy odwiedzili nas krewni, spuściła jednemu z kuzynów takie lanie, że uciekł do domu z płaczem, trzymając się za zakrwawiony nos.

Doktor Costa jednak nie uważał zapasów za dobry pomysł.

- Gra w klasy! - powtórzyła drwiąco Frida, gdy zasugerował, że to bardziej odpowiednia zabawa dla małej dziewczynki.

- Gra f klasy! - zawtórował córce Papa i uszczypnął ją w łokieć. - Strrrasznie staromodny, uprzedzony szłofiek - szepnął. - Gra f klasy, dopre sobie!

Papa nie miał pieniędzy na nowy sprzęt do swojej pracowni, ale jakoś znajdował gotówkę, żeby obsypywać Fridę chłopięcymi zabawkami. Kupował jej łyżwy, piłki, podarował jej też klakson do nowego jaskrawoczerwonego roweru, na którym w końcu nauczyła się jeździć. Nigdy nie proponowała mi, że pobawi się ze mną którąś z tych rzeczy, ale, prawdę mówiąc, niespecjalnie mnie to obchodziło - wolałam lalki.

Czasem w pachnące, ciepłe popołudnia chodziliśmy do parku, gdzie Frida wskakiwała na rower i pędziła przed siebie niczym demon, spychając z alejek zakochane pary, strasząc mniejsze dzieci, przewracając kosze piknikowe i zmuszając psy do ucieczki. Zaczęła też nieźle pływać i nawet ścigała się z chłopakami. Grała w piłkę nożną, z kim się dało - z kuzynami, sąsiadami, wręcz z ulicznikami, którzy wałęsali się przy puląenach. A jak jeździła na łyżwach! Kiedy się rozpędziła, jej spódnica wzdymała się niczym latawiec zrywający się do lotu. Ależ to był widok!

Frida robiła postępy, ale nie wszystko przychodziło jej łatwo. Po chorobie została z jedną nogą krótszą. Kalectwo stanowiło nie lada

brzemie dla jej siedmioletniego umysłu, więc Papa pokazał jej, jak wkładać skarpetki jedna na drugą, aby wypełnić łydkę, oraz dopilnował, by lekarz wykonał specjalny bucik z podwyższonym obcasem. Wsparta łokciem na silnej dłoni ojca, Frida nauczyła się chodzić, z początku pewnie, potem równo, a w końcu wdzięcznie. Czasem jeździła z nim na wyprawy fotograficzne; wędrowali całymi kilometrami, po czym Frida wracała objuczona znalezionymi na wsi kamykami i kawałkami kory. Po kolacji siadywała z Papą na patio, ciesząc się pięknem świetlików czy zabawnym zachowaniem żab. Papa, zazwyczaj powściągliwy, zdawał się otwierać w towarzystwie Fridy, sądzę nawet, że powierzał jej swe najskrytsze myśli. Niekiedy podczas wspólnych wycieczek padał ofiarą ataku epilepsji; wtedy Frida odpędzała gapiów i pilnowała ekwipunku, dopóki kryzys nie minął, dzięki czemu stali się sobie jeszcze bliżsi. Papę i Fridę łączyła głęboka przyjaźń. Czy byłam zazdrosna? Nie wiem. Chyba po prostu zaakceptowałam ten stan rzeczy.

Papa nigdy nie miał syna. To znaczy, owszem, miał - Mami urodziła chłopca, który jednak zaraz umarł, sądzę więc, że ojciec dostrzegął we Fridzie wszystko, co mógłby dać mu syn - wszystko, czym on sam mógłby być, gdyby jego życie ułożyło się inaczej. Toteż kiedy Frida się rozchorowała, cóż, po prostu nie chciał zrezygnować z marzenia.

Jako student na uniwersytecie w Norymberdze Papa miał wypadek. Upadł tak nieszczęśliwie, że zranił się w głowę, co spowodowało owe ataki epilepsji, które nękały go przez resztę życia. Biedny Papa! Musiał zrezygnować z kariery uniwersyteckiej, a w dodatku zaraz potem umarła mu matka. Niebawem jego ojciec ożenił się z kobietą, którą Papa uważał za nadętą jędzę. Świat Papy uległ rozpadowi, uznał więc, że najlepszym wyjściem będzie wyjazd z Niemiec. Miał dziewiętnaście lat, ciągnęła go przygoda, pożyczył zatem trochę pieniędzy, zarezerwował przejazd do Meksyku i odtąd nigdy nie obejrzał się za siebie.

Widywałyśmy je na ulicach Coyoacan - Estelę, Marię del Carmen, Aurorę, Ines i wszystkie wstrętne koleżanki ze szkoły. Kiedy szłyśmy chodnikiem, trzymając Papę za rękę, stały w rzędzie

i gapiły się na nas. Papa był bardzo przystojny - a może nie był? Trudno zachować obiektywizm w kwestii własnego ojca. Chyba uchodził za pięknego; mówiono, że ze swoją jasną skórą i falującymi jasnymi włosami należał do najprzystojniejszych mężczyzn w mieście. Ale koleżanki z nas szydziły. Pokazywały palcami ciężki bucik Fridy i zaczynały skandować:

- Kulawa Frida!

- Idź dalej - mrucał wówczas Papa. - Nie zwracaj na nie uwagi. Odpędzał je, a Frida trzymała język za zębami. Nie mogła

przecież przy Papie powiedzieć tych wszystkich okropnych słów, które myślała.

Lecz wreszcie doktor Costa uznał, że jest dostatecznie silna, by wrócić do szkoły. Tam znalazła się na terytorium wroga i nie mogła już liczyć na pomoc Papy. Musiała bronić się sprytem.

Dziewczynki podzieliły się na dwa obozy. Niektóre z nich podziwiała Fridę. Stoczyła walkę z koszmarem i wyszła z niej niepokonana. Podziwiała ją nie tylko z powodu zdumiewającego powrotu do zdrowia, lecz także za osiągnięcia sportowe, wdzięczny krok, śmiałość, animusz i, oczywiście, za barwne słownictwo.

Innym jednak nie w smak była uwaga, którą poświęcano Fridzie. Nagle panna Caballero zaczęła wychodzić ze skóry, aby jej dogodzić: „Chodź, Frida, pomogę ci założyć tornister! Daj rękę, Frida, pomogę ci wejść na schody!”.

Maria del Carmen głośno potępiała przymilne zachowanie panny Caballero, lecz Estela nie odważyła się dokuczać Fridzie na boisku, gdzie nauczycielki bacznie nas obserwowały. Wszystkie bardzo bały się Mami.

Ale Frida i ja czasem chodziłyśmy do parku.

Pewnego zimnego, mokrego popołudnia Frida jeździła na rowerze, ja zaś bawiłam się lalką. Nie wiedziałyśmy, że Estela i jej paczka śledzą nas, ukryte w krzakach.

Kiedy Frida przejeżdżała ścieżką ze spódnicą wydetą na wietrze, przed jej rowerem upadł kamień. Frida, zaskoczona, zahamowała

z piskiem opon. Wówczas spadł na nią deszcz patyków i kamieni, z których jeden zadrasnął jej twarz tuż pod dolną powieką.

Z gąszczy wyłoniła się grupka dziewcząt. Frida popatrzyła na nie w oszołomieniu i usiłowała odjechać. Jednak Ines i Anita przytrzymały ją za spódnicę, aż straciła równowagę. Koleżanki utworzyły szpaler i zaczęły skandować:

i Frida *Kahlo Pata de paño!* i *Un pie bueno, El otro malo!*

Frida Kahlo! Kulawa Frida! Jedna noga prosta A druga krzywa!

Jak zwykle, jedyną bronią Fridy był jej język.

- Suki! - wrzasnęła. - Sram na wasze głupie piosenki!

- Frida Kahlo! - śpiewały dziewczynki.

- Zejść mi z drogi! - krzyknęła Frida. - Wyszłyście waszym matkom z odbytu! Nie urodziłyście się zwyczajnie, między nogami!

Widzi pan, że w wieku sześciu lub siedmiu lat Frida wiedziała wszystko o tych sprawach - i ja też. Wszak miałyśmy starsze siostry.

Dziewczynki, przyzwyczajone do niewyparzonej buzi Fridy, nie przejęły się zbytnio. Nadal skandowały:

- Frida Kahlo! *Pata de paño!*

Frida postawiła zdrową stopę na lewym pedale i spojrzała na nie z nienawiścią. Chórem dyrygowała Estela, używając patyka jako pałeczki.

Frida nacisnęła na pedał i ruszyła przed siebie, taranując Marię del Carmen i Ines, które upadły na piasek.

- Idiotka! - zapiszczała Ines. - Podarłaś mi fartuszek!

Anita rzuciła się w pogoń za Fridą, usiłując chwycić ją za spódnicę. Ale Frida, która była już daleko, zawołała z uciechą:

Ines, Anita, Carmen, Estela Są za brzydkie, By mieć przyjaciela!

- Hołota! - syknęła Estela. - Wiemy dobrze, jakich ty masz przyjaciół! Pozwalasz się macać po...

- Żebyście widziały, jak się mocuje! - przerwała jej Anita. - Mama mówi, że to obrzydliwe. Tarza się z chłopakami po podłodze i w ogóle!

- Nigdy nie wyjdiesz za mąż! - wrzasnęła Ines za Fridą. - Kto by zechciał kulawą dziewczynę?

Ale zza zakrętu wciąż dobiegał szydrczy głos Fridy:

Ines, Anita, Carmen i Estela Są za brzydkie, By mieć przyjaciela!

ROZDZIAŁ 4

Wojna!

Był to zły czas dla cudzoziemców. Meksykiem wstrząsała rewolucja i naród nade wszystko chciał dopaść Dfaz i bandę jego zagranicznych kumpli.

Porfirio Dfaz sprawował władzę w latach 1877-1880, a następnie od roku 1884 do rewolucji. Z początku jego rządy nie wydawały się takie złe. Głośno opowiadał się za postępem i Meksyk rozwijał się szybciej niż kiedykolwiek. Przemysł kwitł, państwo rozbudowało sieć kolei, porty i budynki użyteczności publicznej. Linie telegraficzne wyrastały jak grzyby po deszczu. Po raz pierwszy w dziejach naszego kraju można było iść do urzędu i nadać telegram dosłownie wszędzie, od Oaxaca po Chihuahua. Budżet państwa został zrównoważony, co nie zdarzyło się od dziesięcioleci. Na co więc jeszcze mieliśmy narzekać?

Dla wielu ludzi odpowiedź brzmiała po prostu - na obcych. Byli wszechobecni. Rządzili wszystkim. Dfaz żywił cudaczny pogląd, rodem z Francji, jakoby społeczeństwo przypominało ogromne zwierzę i podlegało tym samym prawom nauki, co każdy żywy organizm. Jego zdaniem, społeczeństwo było podobne do pawiana czy, dajmy na to, do pumy, więc kiedy chorowało i nie zachowywało się jak należy - na przykład nie załatwiała się regularnie albo nie nauczyło się polować w wieku lat dwóch - należało sprowadzić doktora, który by je wyleczył. Już ten doktor by je wytresował, aby robiło to, co powinno! Rozumie pan? A gdyby nie chciało, dostałoby zastrzyk albo elektrowstrząs i zanim byśmy się obejrzieli, znów prawidłowo wykonywałoby

wszystkie sztuczki. Dfaz sprowadził więc *científicos*, naukowców, którzy mieli zorganizować kraj, wie pan, spełnić rolę lekarzy chorego społeczeństwa. Ale Meksyk nie miał pieniędzy na realizację ich projektów, a zatem Dfaz udał się po prośbie za granicę. Na przykład do firmy Pearson i Syn, brytyjskiego przedsiębiorstwa, które zaprojektowało niezwykle potrzebny system kanalizacji w stolicy. Albo do Amerykanów, Francuzów i Brytyjczyków, którzy ułożyli tysiące kilometrów torów kolejowych, wydobywali srebro i złoto oraz wypompowali tysiące ton ropy. I wszystko to świetnie - ale kiedyśmy się ocknęli, okazało się, że obce firmy przejęły naszą ziemię i zasoby naturalne. A najgorsi byliście wy, Amerykanie!

Byłam tylko dzieckiem, kiedy Dfaz i jego *científicos* rządili krajem, lecz przez cały czas mego dorostania, w okresie rewolucji, a także później, ludzie mówili tylko o tym - jacy źli byli cudzoziemcy i jak musieliśmy się pozbyć wszystkich obcych wpływów. I oczywiście mieli rację; cudzoziemcy wycisnęli z Meksyku wszystkie soki i porzucili go niczym cytrynę. Oczywiście, istnieli też ludzie, którzy twierdzili, że obcy przeobrazili Meksyk i pomogli nam wejść w dwudziesty wiek. Jednak cudzoziemcy naprawdę wyrządzili nam dużo zła. Przynajmniej ci, którzy oszukali nasz kraj, przyjechali i zaraz wyjechali albo ciągnęli od nas pieniądze, siedząc w domu na swoich tłustych anglosaskich tyłkach i lokując zyski w szwajcarskich, angielskich lub amerykańskich bankach, podczas gdy nasz lud harował w kopalniach i na polach, aby oni mieli na whisky i koniak. Nie, panie doktorze, nie chodzi o takich cudzoziemców jak my. My nie byliśmy obcy, choć Papa urodził się w Niemczech, o czym rodzina Mami nigdy nie pozwoliła mu zapomnieć. Krewni mamy siadywali na patio, sączyli sangrię i wyśmiewali się z akcentu Papy. Rzucali jadowite uwagi o pazernych obcych i kątem oka obserwowali jego reakcje. A potem, kiedy zdawało im się, że dosięgli celu, wymieniali między sobą znaczące spojrzenia. Chociaż kto wie, ile Papi naprawdę rozumiał z ich rozmów. Zwykle na zaczepki tych ludzi reagował swoim ostrym, nieco szalonym chichotem. Czy zgadzał się z nimi, czy z nich szydził? A może po

prostu nie zwracał na nich uwagi? Tak czy inaczej, cudzoziemcy tacy jak Papa nie stanowili problemu. Tacy ludzie jak Papa przyjeżdżali do Meksyku, osiedlali się tu, pracowali i wnosili istotny wkład w jego rozwój.

Dlaczego Mami wyszła za ojca? Czy kiedykolwiek go kochała? Podobno tak. Stanowił dobrą partię i uchodził za przystojnego.

O Mami mówiono - wstydzę się powtarzać to panu - mówiono, że zaczyna się starzeć. Przedtem była zaręczona z innym mężczyzną, również Niemcem, który umarł, więc... jak to się mówi? Musiała odreagować. I wtedy zjawił się Papi, wdowiec z dwiema córeczkami. Mami czuła, że nie zostało jej wiele czasu; w tamtej epoce za mąż wychodziły kilkunastoletnie dziewczęta, a ona miała już dwadzieścia cztery lata, młodość mijała... Więc gdy poznała Papę... Spotkało się dwoje ludzi, którzy po prostu powinni zawrzeć małżeństwo, ludzi atrakcyjnych, lecz mających dość poważne mankamenty. W jej wypadku przeszkodą był wiek, w jego - dzieci. Wie pan co? Nie chcę o tym mówić. Opowiem panu innym razem. Nie, nie będzie pan musiał długo czekać. Tak, zanim pan wyjdzie, obiecuję. Mówiłam o Dfazie, więc proszę, żeby mi pan nie przerywał, dopóki nie skończę.

Rzecz w tym, że naród meksykański stawał się coraz biedniejszy,

I wszyscy mówili, że to wina obcych. Połowa ludności wiejskiej żyła w niewolnictwie. Chłopi byli tak zadłużeni u bogatych obszarników w hacjendach, że musieli pracować za darmo, aby ich spłacić. Tymczasem większość ludzi nie widziała różnicy między cudzoziemcami takimi jak Papa a krwiopijcami, którzy żerowali na naszych zasobach, a naszym peonom kazali gnić na polach.

Dfaz sądził, że jest bardzo wyrafinowany, że jest francuską ekierką, a tymczasem okazał się zwykłą meksykańską tortillą, owsianym plackiem z Oaxaca. Chełpił się tym, że ukończył studia prawnicze. Co do mnie, nigdy niczego nie studiowałam, to Fridę uważano za zdolną i to ją posyłano do szkół. Ale dużo nauczyłam się samodzielnie. Robiłam, co mogłam, żeby poszerzyć słownictwo, żeby nie mówić jak poganiacz mułów, który cały dzień chrząka do

zadków. Zawsze starałam się jak najlepiej dobierać słowa. W młodości próbowałam co dzień poznać jakiś nowy wyraz. Zdziwił się pan, co? Nie mam do pana żalu. W końcu wszyscy uważają mnie za głupią.

Tak czy inaczej, Dfaz bardzo się odznaczył w walce z dyktatorem Santa Aną i cesarzem Maksymilianem, jeszcze za rządów Francuzów. Mawiano o nim, że posiada niesłychaną energię i że jest bardzo ambitny. Co ciekawe, pomimo zmagania z Francuzami w okresie cesarstwa uważał Francję za kolebkę wszelkiej kultury. To znaczy, sądził, że Francuzi są jak ostatnia kropla *pulque* w szklance. Chyba powinnam powiedzieć „niczym ostatnia kropla szampana albo koniaku”, a może czegoś jeszcze bardziej wytwornego. *Pulque* jest dla prostaków, takich jak ja. W każdym razie Dfaz wielbił Europejczyków i tak bardzo pragnął stać się jednym z nich, że zamawiał w Paryżu rozmaite zbytkowne pudry i pomady, aby rozjaśnić sobie skórę - zupełnie jakby glista przestawała być glistą tylko dlatego, że zanurzyła się w kałuży białej farby. We własnym mniemaniu był takim cholernym... jak to się mówi?... kosmo... kosmopolitą, że nie chciało mu się zadawać z motłochem. Zamiast tego przymilał się do bogatych obszarników i pozwolił im przejmować wspólne tereny należące do Indian. Poza tym lizał dupę klerowi, co nie wyszło mu na dobre, jak pan bowiem wie - to znaczy, przypuszczam, że pan wie - od chwili, gdy Juarez wyrzucił stąd Francuzów, w naszym kraju obowiązują prawa ograniczające władzę Kościoła.

Jak pan może tak mówić! Oczywiście, że jesteśmy dobrymi katolikami! Nie mamy nic przeciwko klerowi, to znaczy, przynajmniej ja nie mam, Wierzę w Boga, i w ogóle. Natomiast Frida nienawidziła księży. Chłopy, co się nie pieprzą, mówiła o nich. Mężczyźni, którzy noszą suknie i wciągają ubranie przez głowę. Może to i dobrze, że po rewolucji nie pozwolono księżom nosić sutann na ulicy; Frida na pewno podkradałaby się do nich i zadzierała im sukienki: „Hej, *padre*, co tam masz? Co to za zbędna kieszka? Używasz jej kiedy?”. Uwielbiała dokuczać duchow-

nym. Natomiast on, cóż, pod koniec nawet wrócił na łono Kościoła, ale nigdy nie wierzył w nic, tylko w swój talent i w to, jaki jest ważny. Nie potrzebował Boga, bo sądził, że sam jest bogiem.

Wracając jednak do Dfaza, kolejną rzeczą, jaką spieprzył, była edukacja publiczna. Nie sądził, że to w ogóle ma znaczenie. I tak robotników i chłopów ogarniała coraz większa desperacja i coraz bardziej wrogo odnosili się do niego, jego *dentificos* i jego cudzoziemców.

W 1910 roku odbyły się wybory, w których Dfaz przegrał, wygrał zaś Madero. Jednak Dfaz nie poddał się. Madero, syn bogatej dziedziczki i wnuk znanego polityka, ukończył studia za granicą, chyba w Kalifornii i we Francji, ale nie był snobem. Pragnął zmian. Czytał rewolucyjne gazety i nie bał się pobrudzić sobie rąk. Moja siostra Adriana pamięta jeszcze, jak chodziła z ojcem na jego wiece. Papa właściwie nie miał cierpliwości do polityki, ale jako fotograf lubił robić zdjęcia ważnych wydarzeń

- protestów, przemówień i tak dalej. Madero przyciągał ogromne tłumy. Spotkania z nim przypominały cyrk - sprzedawano na nich orzeszki, cukrową watę, a także karykatury polityczne w stylu rysunków Posady, ukazujące księży oraz bogaczy w postaci wystrojonych szkieletów z nagimi czaszkami i pustymi oczodołami. Otóż Madero zyskał takie poparcie, że Dfaz zaczął się niepokoić. Zrobił więc to, co zwykle robią dyktatorzy w trudnej sytuacji

- wtrącił rywala do więzienia. Madero jednak zdołał się wymknąć i zanim ktokolwiek się zorientował, przygotował rewolucję.

Wybranego dnia w całym Meksyku wybuchły zamieszki - małe pożary, które siły Dfaza bez trudu ugasiły. Lecz w Chihuahua rozruchom przewodził niejaki Pancho Villa, były bandyta, który rozpoczął karierę od zamordowania kochanka siostry. I nieoczekiwanie Pancho naprawdę dał Dfazowi popalić, do tego stopnia, że jeszcze w 1911 roku, kiedy Madero został wybrany prezydentem, Dfaz wciąż uciekał gdzie pieprz rośnie. Zatrzymał się dopiero w Paryżu - nareszcie na łonie cywilizacji - i tamże umarł.

Uczciwi prezydenci w Meksyku nie żyją długo. Przywódcy rebelii Pancho Villi, przywykli do tego, że rządzą się własnymi prawami, nie zamierzali przyjmować poleceń od nikogo. Ponadto prezydent popełnił wielki błąd - usiłował pozbyć się Victoriana Huerty, ambitnego, bezwzględnego skurwysyna, który służył jako generał jeszcze pod Dfazem. Huerta nie pozostał mu dłużny - zawiązał spisek z jego przeciwnikami i opanował Mexico City. Z jego rozkazu Madero został zamordowany.

Wybuchły powszechne rozruchy. Carranza, który zastąpił Huer-tę, usiłował polepszyć dolę chłopów, ale prawdziwi radykałowie, tacy jak Zapata, nadal nie byli zadowoleni. Domagali się natychmiastowej reformy rolnej, uważali, że Carranza się ociąga. W końcu Zapata wszedł w układ z Villą i Carranza musiał pośpiesznie opuścić miasto. Fortuna kołem się toczy... Cóż mam powiedzieć? Dla nas Zapata był bohaterem. Pochodził z Morelos, podobnie jak rodzina Mami. Frida czciła go niczym boga, co się zaś tyczy jego, to wymawiając nazwisko Zapaty, zdejmował kapelusz, zupełnie jakby mówił o Jezusie Chrystusie. Naprawdę, zniżał nabożnie głos i wruszał się do łez. Wie pan, że jeden z jego najśłynniejszych obrazów przedstawia właśnie Zapatę na białym koniu? W każdym razie, dorastając, uważałam Zapatę za bohatera - i chyba słusznie. Tak, na pewno był bohaterem. Nie ponosił winy za to, że jego obdarci, rozhukani żołnierze zachowywali się jak zwierzęta. Sam Zapata nigdy nikogo nie zgwałcił ani niczego nie ukradł.

Krążą o nim różne historie... Kiedyś jego żołnierze porwali grupę kobiet, no, takich... takich, co ciągnęły za rządowym wojskiem. Buntownicy wzięli je do niewoli, żeby móc się z nimi zabawić po walce. Tak samo jak na przyjęciu zabiera się do torby trochę ciastek na potem. Zresztą kto wie, może po wszystkim mieli zamiar je zabić? Ale zjawił się Zapata, zobaczył kobiety i zapytał: „Skąd wzięłyście się w tym obozie? Jesteście zapatystkami?”. Kobiety zamarły z przerażenia, bo wcale nie były zapatystkami, należały do oddziałów rządowych - choć, prawdę mówiąc, wygłodniałemu żołnierzowi poglądy nie robią różnicy, jedna dupa

jest równie dobra jak inna, wszystko mu jedno, do jakiej partii należy. Ale te kobiety bały się przyznać, że nie są zapatystkami, że należą do mężczyzn walczących po przeciwnej stronie. „To tylko rządowe kurwy - wyjaśnił jeden z żołnierzy. - Trzymamy je na potem”. Ale Zapata uwolnił kobiety. „Wracajcie do swoich mężczyzn - powiedział. - Nic do was nie mamy. To nie wy walczycie przeciwko siłom wyzwolenia”. Wojsko Zapaty składało się głównie z biednych wieśniaków, których wykorzystywano tak długo, że teraz uznali, iż mają prawo do wszystkiego, co zdobędą na wojnie - do kawałka ziemi, kawałka chleba, kawałka dupy. To z ich powodu nazwano Zapatę Attyłą Południa. Jego ludzie plądrowali wioski, palili chaty, kradli dobytek, gwałcili kobiety. Czasem mordowali całe rodziny. Przez cały kraj ciągnął się za nimi szlak krwi i wyprutych flaków. Jednak musi pan sobie uświadomić, że od czasów konkwisty straszliwie ich eksploatowano. Frida zawsze powtarzała, że nie można tych ludzi winić za to, co robili, bo im samym robiono rzeczy znacznie gorsze, a poza tym, mówiła, kto wie, może stronnicy rządu po prostu zmyślają te okropne historie, a co najmniej wyolbrzymiają fakty. Wie pan, po pewnym czasie żołnierze zabijają już tylko dla radości zabijania. Buntownicy, na przykład, spędzali wszystkie ciężarne kobiety, wieszali je za nogi i rozpruwali im brzuchy nożami, po czym rzucali martwe płody psom na pożarcie. Wszystko to działo się na oczach mężów, oczywiście tych, którym nie udało się uciec. Zdarzenia te relacjonowali mi ludzie, którzy widzieli je na własne oczy. Większość wciąż nie mogła o nich spokojnie mówić, nawet mężczyźni zalewali się łzami.

Carranza przebił się do stolicy i w 1917 roku został wybrany na pierwszego prezydenta - zgodnie z nową konstytucją. Ale jego też zamordowano.

Dzięki rewolucji nauczyliśmy się doceniać nasze meksykańskie dziedzictwo. Dfaz wmawiał nam, że powinniśmy szukać wzorców w Europie; w szkołach uczono europejskiej historii, europejskiej sztuki, europejskiej filozofii - bzdura, przecież nie jesteśmy

Europejczykami. Rewolucjoniści skończyli z tym wszystkim. Przepęłniała ich nacjonalistyczna furia. Zaczęło się od okrzyków: „Śmierć Porfirio Dfazowi! Śmierć cienrificos! Śmierć cudzoziemcom!“. Kiedy zaś usunięto Dfaza i cienrificos, należało jeszcze rozprawić się z cudzoziemcami, których wciąż wielu pozostało w Meksyku, aby pić naszą krew. Trzeba przyznać, że Carranza to był chłop z jajami. Nie przebierał w słowach. Na przykład, kazał wam, Amerykanom, trzymać się z dala od Meksyku, toczył nieustanne spory z rządem Stanów Zjednoczonych, a kiedyś nawet opowiedział się przeciwko waszym wojskom po stronie swych rywali, Huerty i Villi. W 1919 roku - data ta jest droga każdemu meksykańskiemu uczniowi - o mało nie wywołał wojny z Wujem Samem, wywłaszczył bowiem zagraniczne spółki naftowe. Dobrze wam tak. Sądziście, że jesteśmy waszą zabawką. Sądziście, że możecie z nami robić, co chcecie, a my w swojej głupocie nawet tego nie zauważymy.

Pamiętam, że kiedy byłam dzieckiem pod rządami rewolucjonistów, wszystko, co meksykańskie, uważano za dobre, a to, co zagraniczne, odrzucano. Panie nosiły stroje ludowe zamiast europejskich sukien. Wytworne damy, które przychodziły do mojej mamy grać w kanastę, przywdziewały suknie w stylu *veracruzana*. W malarstwie, rzeźbie, architekturze, muzyce, tańcu, w każdym aspekcie kultury zaczęto na nowo doceniać przeszłość Meksyku. Oczywiście, o n miał wielki wpływ w tym ruchu. Jego freski głosiły chwałę naszej kultury. O n, który poprzez swoją sztukę uczył masy odkrywać spuściznę przodków, stał się gwiazdą, bohaterem rewolucji. To była pierwsza rzecz, której się o nim dowiedziałam - że jest bohaterem narodowym.

Ale zbaczam z tematu, jak zwykle. Hmm... A więc nowy rząd dążył do odrodzenia stylu przedkolumbijskiego. Płacili malarzom - Orozco, Siqueirosowi i oczywiście jemu, wielkiemu Riverze - za pokrywanie ścian budynków freskami opartymi na motywach ludowych. Wielbiłyśmy Riverę, gdyż uosabiał wszystko, czym chciałyśmy się stać - był dobrym Meksykaninem, a zarazem

komunistą służącym swemu ludowi. Nie, skądże, ja nie byłam komunistką, ale Frida - jak najbardziej. Rząd pragnął przekonać masy, że nowy Meksyk należy do wszystkich, i lansował meksykańskie motywy poprzez filmy, nagrania, sztukę. Muzyka mariachi stała się bardziej popularna niż charleston. Dzieci w szkole uczyły się tańczyć *jarabe tapatio*. Powszechny okrzyk brzmiał: 'Viua Mexico.' *Viua lo mexicano!*

Jak to, o co tu chodzi? Po co o tym wszystkim mówię? Po to, żeby pan zrozumiał - był to zły czas dla cudzoziemców.

Ale w 1891 roku, kiedy Papa przyjechał do Meksyku, czas był dobry. Co bardzo Papie odpowiadało, gdyż był na wskroś cudzoziemcem. Wyglądał na cudzoziemca, zachowywał się jak cudzoziemiec, mówił po cudzoziemsku i czuł się cudzoziemsko. Fotografie w rodzinnym albumie ukazują szczupłego, przystojnego mężczyznę o brązowych włosach, subtelnym ustach i intensywnym spojrzeniu oczu, które pamiętam jako orzechowe. Nawet wtedy wyglądał niczym nawiedzony, jasnowidz albo wieszcz. Jego rodzice, Jakob Heinrich Kahlo i Henriette Kaufmann, węgierscy Żydzi, osiedlili się w Baden-Baden, gdzie się urodził ojciec. Mój dziadek, jubiler, handlował także sprzętem fotograficznym.

Papa w młodości uderzył się w głowę i odtąd cierpiał na ataki epilepsji. Musiał zrezygnować ze studiów i nie bardzo wiedział, co dalej robić. Wkrótce zmarła jego matka, ojciec zaś poślubił kobietę, którą Papi zawsze określał jako sukę hund. „Oj - mawiał do Mami, kiedy ją poniosło. - Nie unosz się tak. Pszypominasz mi tę sukę hund". Z młodości pamiętam, że w domu zawsze były psy - maleńkie meksykańskie *escuincles* - ale nigdy suczki, gdyż przypominały Papie sukę hund. Najbardziej na świecie Papa pragnął uciec od tej kobiety i w ten sposób trafił do Meksyku.

Przybył tu prawie bez grosza. Na szczęście w Meksyku istniała nieduża, acz kwitnąca społeczność niemiecka i Papa rychło znalazł pracę w Cristaleria Loeb, sklepie ze szkłem stołowym, który należał do jakiegoś Niemca. Później został zatrudniony w sklepie jubilerskim La Perla, także niemieckim, i tam poznał moją matkę, Matilde

Calderon. Pierwsza żona Papy, Meksykanka, zmarła przy porodzie swej drugiej córki, mojej siostry przyrodniej, Margarity. Wieczorem w dniu jej śmierci Papa przyszedł do Mami po pociechę, ona zaś pocieszyła go tak skutecznie, że trzy miesiące później się pobrali.

Plotkarze mówili, że rozpaczliwie szukała chłopca i miała szczęście, że znalazła kogoś o takich możliwościach. Jak już mówiłam, poprzednio była związana z innym Niemcem, który - nie wiem dlaczego - popełnił samobójstwo. Wydarzenie to rzuciło cień na jej psychikę, ale także i na reputację. W Meksyku dziewczynie po przejściach nawet teraz trudno jest wyjść za mąż, a co dopiero w tamtych czasach.

Fotografie mamy w albumie rodzinnym ukazują surową kobietę o ciemnej karnacji, dużych brązowych oczach i wydatnym podbródku. Była najstarszą z dwanaściorga dzieci i żarliwą katoliczką. Jej matka, a moja babcia, córka hiszpańskiego generała, wychowała się w klasztorze. Odznaczała się nieugiętą religijnością, graniczącą z fanatyzmem, i chociaż w rodzinie to Papa uchodził za prawdziwego Niemca, właśnie babcia - Abuelita - zawsze przywodziła mi na myśl pruskiego oficera. Była bardzo przesądna i uważała, że wszędzie czają się złe duchy, więc zawsze nosiła krzyżyki, aby je odstraszyć.

Kiedyś, gdy miałam zaledwie siedem czy osiem lat, podarowała mi śliczny złoty krzyżyk i pouczyła, że nigdy nie wolno go zdejmować. Krzyżyk odstraszy upiory, mówiła, odpędzi demony. Działa podobnie jak czosnek, tylko mocniej. Otóż pewnego czwartku rano poszliśmy na targ. Oczywiście miałam na sobie krzyżyk. Nie wyobraża pan sobie, jaki ruch i gwar panował na placu! Stał tam rozklekotany diabelski młyn, sprzedawano baloniki i cukrową watę, a także chusty ręcznej roboty, mantyle, ręcznie tkane sukno, fantazyjne grzebienie, koronki, groszowe broszury z tych, co drukują powieści w odcinkach, modlitwy, obrazki Najświętszej Panienki i nagich kobiet, tortille, fasolę, pierożki z papryką, rozmaite gatunki sera, świnie, krowy, owce, kozy i psy. Wszędzie było pełno ludzi, kupujących, sprzedających, jeżdżących na diabelskim młynie,

a także zwykłych gapiów. Tak mnie to wszystko podnieciło, że fiknęłam salto - w końcu byłam małą dziewczynką - i krzyżyk spadł mi z szyi prosto w piach. Natychmiast go podniosłam, ale babcia zaczęła mną potrząsać i bić mnie po twarzy, aż pękła mi warga; wrzeszczała, że co ja sobie wyobrażam, kim jestem, żeby tak obrażać Jezusa Chrystusa? Czego się spodziewać po córce Żyda, wychowanej w braku szacunku dla naszego Pana Zbawiciela? Zmusiła mnie, bym zakrwawionymi ustami ucałowała ów kawałek metalu. Potem kazała mi klęknąć i na miejscu odmówić dziesięć zdrowasiek. Moja siostra kazałaby Abuelicie - Panie Boże, przebacz - żeby wsadziła sobie w dupę swój głupi krucyfiks, ale ja po prostu siedziałam bez ruchu. Abuelita stała nade mną, ująwszy się pod boki, mocno wsparta na nogach niczym dwa dęby.

- No, już! - rozkazała.

Ale nie chciałam się ruszyć. Abuelita górowała nade mną, jej splecione w węzły warkocze przypominały szcurze uszy, a rozwścieczony głos sprawiał, że przechodnie pokazywali nas palcami.

- Módl się! - wrzasnęła ponownie.

Ale ja wciąż siedziałam na trawie z nogami wyciągniętymi przed siebie i nie zamierzałam klękać.

- Módl się! - zagrzmiała.

Zza stanika wyciągnęła koronkową chusteczkę, rozwinęła ją i wyjęła srebrny różaniec, po czym sama uklękła do modlitwy. Widzi pan, chciała mi pokazać, jak to się robi. Wokół nas wciąż kręcili się ludzie zmierzający od świńskiej zagrody do diabelskiego młyna, od sprzedawcy tortilli do stadka jaskrawo upierzonych ptaków, ale Abuelita nikogo nie dostrzegała. Po prostu klęczała i odmawiała różaniec.

Po chwili zachciało mi się siusiu. Bałam się powiedzieć jej o tym, ale bałam się także wstać i odejść. Czułam się jak bukłak, który zaraz pęknie. Naprawdę cierpiałam.

- Abuelita... - zaczęłam. Nie przerwała modlitwy.

- Abuelita...

- Co? - odezwała się wreszcie.

Wlepiłam wzrok w ziemię. Łzy wezbrały mi pod powiekami; z przerażeniem pomyślałam, że płyn ciekący z jednego miejsca może pobudzić fontannę gdzie indziej.

- No, co? - powtórzyła.

- Nic - szepnęłam.

Wróciła do różańca. Rozpostarłam spódniczkę, niepostrzeżenie zsunęłam majtki i popuściłam. Uf! Co za rozkosz! Nie tylko mi ulżyło, ale w dodatku stawiałam opór Abuelicie! Poczułam się jak koń, który wyrwał się ze stajni, jak więzień, który przesadził więzienny mur. Mocz nie był piekący, lecz ciepły, pachniał amoniakiem i płynął gładko niczym cytrynowa woda z dzbanka. Abuelita zaś przez cały ten czas odmawiała różaniec.

Lekko uniosłam pupę, aby nie zmoczyć sukienki, i po cichu zmówiłam modlitwę dziękczynną do Najświętszej Pani. Abuelita, pogrążona w modlitwie, nic nie zauważyła. A wszędzie wokół nas zaaferowani i szczęśliwi ludzie krążyli od jałówek do galerii strzelniczej, od barwnego stadka baloników do kataryniarza i jego tańczącej małpki.

Jak pan zapewne się domyślił, Mami pobożności uczyła się od swej matki. Jej ojciec, Antonio Calderon, był fotografem; po nim odziedziczyła dbałość o szczegóły, która przyczyniła się do jej obsesji na punkcie sprzątanina. Wszystko musiało być doskonałe, każdy przedmiot musiał leżeć na swoim miejscu. Wracając z zakupów, z kanasty czy z kościoła, matka sprawdzała obrazki na ścianach, po czym wzywała pokojówkę.

- Rufina! - wołała przenikliwie. - Mówiłam ci, żebyś nie odkurzała ram. Teraz wszystko wisi krzywo! Aj, jak można mieszkać w domu, gdzie ciągle jest bałagan!

Po czym przeciągała palcem po ścianach, gzymsach i przedmiotach w salonie.

- Tu jest pełno kurzu! - upominała Rufinę.

Pokojówka mamrotała: Si, *señora*, ale widać było, że myśli o czym innym, zapewne o swoim chłopcu w Oaxaca.

W kwestii wyglądu mama była jeszcze bardziej wymagająca. Uwielbiała stroje. Do kościoła wkładała rozkoszny czarny dżersejowy kostium w stylu, który nazywano „luksusowo ubogim”, z pikowanym kołnierzykiem i z kokardkami przy szyi i pasku, składający się z wykończonego lamówką żakietu i spódnicy do pół łydki. Popisywanie się bogactwem tuż po wojnie nie wchodziło w rachubę, ale Mami nie mogła przecież ubierać się jak chłopka. Nie, nie dla niej suknie *ueracruzana*, chyba że na specjalne okazje. I zawsze miała świetne dodatki - czarne rękawiczki z cienkiej skórki, kapelusik z wąskim rondem, rzucającym na jej oczy dramatyczny cień, prześliczne czółenka na grubym słupku z pensjonarskim paseczkiem. Upierała się przy dobrej jakości nawet wtedy, gdy wkładała tradycyjne indiańskie stroje, aby okazać swoją solidarność z ludem. Podwójne szwy. Staniki na podszewce. Nienagannie wyhaftowane róże przy szyi i obrąbku spódnicy. I oczywiście pieczołowicie dobrana biżuteria. Swoją pasję do ubrań Frida odziedziczyła po Mami. Właściwie Frida i Mami miały ze sobą więcej wspólnego, niż którakolwiek zechciałaby przyznać.

Dziadek Antonio był ciemnowłosym mężczyzną o indiańskich rysach i pełnych ustach. Nosił peruczkę i opadające wąsy, które upodabniały go do karykatur Zapaty, tak popularnych po śmierci przywódcy, kiedy jego kult wyszedł już z mody i wielu ludzi zapomniało, co dla nich zrobił. Antonio nigdy nie mówił wiele, ani do nas, ani do swoich córek, przynajmniej tak opowiadała Mami. Zawsze twierdziła, że jest milczący jak cień, cichy jak zapadający zmierzch. Udało mu się jednak utrzymać rodzinę. Mieli mały dom, podniszczony, lecz znośny; byli, jak to nazywano, „biedni, ale przyzwoici”. „Przyzwoici” w owych czasach oznaczało, że bez wahania zapraszano ich na obiad do lepszych domów pod warunkiem, że oprócz nich nie przychodził nikt inny.

Mama nie odebrała wielkiego wykształcenia, lecz odznaczała się dużym rozsądkiem. Nie sędzę, by wiedziała cokolwiek o surrealizmie, Freudzie albo rewolucji październikowej czy o innych dziwnych bzdurach, o których rozprawiali zawsze Frida i Diego

- lubili czuć się lepsi od innych - ale liczyła pieniądze niczym maszyna. Jak mówiłam, uwielbiała, gdy wszystko było na swoim miejscu. Dlatego pozbyła się moich sióstr przyrodnych, Marii Luisy i Margarity. Nie chodziło wyłącznie o kłopot, jaki sprawiały, lub o to, że ich obecność nieustannie przypominała ojcu o innej kobiecie. Nie, po prostu znalazły się w niewłaściwym miejscu. Przez całe lata prawie ich nie znałam i myślałam, że są podobne do złych sióstr Kopciuszka. Kopciuszkiem oczywiście byłam ja. Ha! Kupa śmiechu! To o n a była Kopciuszkiem. To o n a poślubiła księcia. W końcu wszystkie zostałyśmy przyjaciółkami, prawdziwymi siostrami, ale to nastąpiło znacznie później.

Kolejne zadanie, jakie postawiła sobie Mami, polegało na zrobieniu z Papy Meksykanina. Zawsze mówiła, że jest równie germański jak sznycel wiedeński. Kiedy Papa ożenił się po raz wtóry, przyjął nowe imię, Guillermo - nie mógł przecież nosić imienia Wilhelm, prawda? - i Mami twierdziła, że naprawdę się starał zostać Meksykaninem, jednak pozostał outsiderem. Każdy szczegół przypominał mu, że jest emigrantem. Wyraźny akcent z brzydkim, gardłowym „r” drażnił go i wprawiał w zakłopotanie, ale nie umiał sobie z nim poradzić. Pikantne meksykańskie potrawy szkodziły mu na żołądek. Ale najbardziej działała mu na nerwy jego własna sztywność kontrastująca z ogólnym nieładem życia w Meksyku. A do tego dochodziła jeszcze religia. Papa w żadnym wypadku nie był fanatykiem. Właściwie nie praktykował swojej wiary. Ale jakoś nie mógł się przekonać do katolicyzmu Mami i jej rozmiłowanie w wizerunkach Chrystusa na krzyżu zawsze wydawało mu się chore. Co innego, powiadał, nadstawiać drugi policzek albo zamieniać wodę w wino, ale oczekiwać, że ludzie będą klękali i czcili kogoś, z kogo kapie krew, tego już za wiele. Papa nienawidził kolekcji krucyfiksów Mami i nie pojmował, dlaczego musi gromadzić obrazki ранego Chrystusa, na których krew tryskała z jego czoła, z boku, z poranionych dłoni. Krew! Krew! Krew! *Blut! Blut! Blut!* Mówił, że nie może patrzeć na te obrazki przed obiadem, że przyprawiają go o mdłości. Stopniowo stawał się ateistą i religijne akcesoria Mami doprowadzały go do coraz większego szału.

Miał na wskroś niemieckie podejście do pracy i czasu. Punktualność i skrupulatność graniczyły u niego z obsesją - kiedy wychodził do pracy, można było nastawiać zegarek. Nie oddawał się sjeście; inaczej niż robili to i nadal robią meksykańscy mężczyźni, nie wracał nawet do domu na obiad.

Z czasem coraz bardziej wycofywał się z aktywnego życia. Być może uznał, że popełnił błąd, przyjeżdżając do Meksyku i osiedlając się w tym pięknym, lecz chaotycznym i źle zarządzanym kraju. Być może żądaliśmy od niego zbyt wiele. Być może walka, by stać się jednym z nas, okazała się dla niego za trudna. Tak czy inaczej, spędzał coraz więcej czasu samotnie w swoim pokoju, czytając, wykonując na fortepianie dwugłosowe inwencje, słuchając muzyki i grając w szachy ze swoim jedynym przyjacielem - chudym, starym człowiekiem, o którym nikt nic nie wiedział. Człowiek ów, nazwiskiem Neftali, tak słaby, że z trudem podnosił figury szachowe, był zręcznym strategiem i posiadał zdolność koncentracji, więc Papa, który zdawał się lubić jego towarzystwo, miał w nim godnego przeciwnika, choć rzadko zamieniali choćby słowo. Pamiętam, że przychodził do nas co jakiś czas. Miał ziemistą cerę i rzadkie włosy, a jego oddech cuchnął - nie wiem czym, może tytoniem i nieświeżą rybą. Stary don Neftali... On i Papa potrafili siedzieć godzinami przy stole, zastanawiając się nad ruchem lub czekając na ruch przeciwnika. I przez cały ten czas nic nie mówili. Don Neftali szanował potrzebę milczenia u Papy. Być może dlatego Papa go lubił.

Wydawało się, że z wyjątkiem Fridy żadne z dzieci nie znaczy dla Papy zbyt wiele. Nie zachowywał się wrogo, jedynie chłodno lub obojętnie. Frida powiadała, że był archetypowym, posepnym romantykiem niemieckim, balansującym na krawędzi obłądu.

Ale nawet romantycy muszą zarabiać na życie. To Mami nakłoniła Papę, aby zajął się fotografią, zapewne dlatego, że parał się nią jej ojciec. Zawsze mówiła, że gdyby nie ona,

Papa do niczego by nie doszedł. To właśnie dziadek, Antonio Calderon, pożyczył mu pierwszy aparat fotograficzny. Dzięki niemu Papa rozpoczął karierę, robiąc zdjęcia głównie krajobrazów, ruin, budynków i wnętrz. Później niekiedy fotografował także tłumy i wydarzenia polityczne, nie dla prasy ani dla rządu, lecz dla siebie, sądził bowiem, że są to tematy ciekawe z artystycznego punktu widzenia. Był niezwykle dokładny i skrupulatny, a cechy te procentują w fotografii. Komponował ujęcia z ogromną starannością, dbając o perspektywę, kąt, oświetlenie. Wszystko to, co po latach uczyniło Fridę wielką malarką, zaczęło się od Papy, który stał się wielkim fotografikiem. A ponieważ precyzja wymaga najlepszego sprzętu, Papa zaczął importować doskonale niemieckie aparaty i obiektywy.

Nic dziwnego, że przyciągnął uwagę *cientificos* Dfaza; ci chłopcy naprawdę umieli docenić europejską technikę i talent. Zbliżała się setna rocznica wyzwolenia Meksyku spod władzy Hiszpanii, więc *cientificos*, świadomi niepopularności rządu oraz faktu, że stawką są ich własne tyłki, uznali, iż tylko wielka pompa może poprawić opinię Dfaza i podnieść morale ogółu. Sekretarz skarbu postanowił zatem opublikować serię luksusowych albumów sławiących meksykańskie dziedzictwo i zaczął rozglądać się za kimś, kto wykona fotografie architektury indiańskiej i kolonialnej. Papa znakomicie nadawał się do tej pracy.

Jakże dumny był z owych zdjęć! Mami oprawiła najlepsze z nich i powiesiła w salonie: Popocatepetl o zachodzie słońca, z nieregularnym, poszarpanym szczytem, tonącym w mglistych cieniach; katedra w Puebla o kanciastych dzwonnicach podobnych do dwóch olbrzymów; rozświetlone ulice kolonialnego Tasco; uwodzicielskie balkony; czerwone dachówki; bramy z kutego żelaza. Obchody stulecia niepodległości stanowiły jedno z niewielu zdarzeń, dla których Papa zachował jakikolwiek entuzjazm. Podróżował po całym Meksyku. „Muszałem czekać na ujęcie dfie godziny, szeby słońce padało dokładnie tak, jak tszeba” - przechwalał się później. Każda fotografia miała swoją historię. Nau-

czyłam się z nich więcej o historii i geografii Meksyku niż ze wszystkich podręczników. Papa poświęcił na to przedsięwzięcie cztery lata, od 1904 do 1908 roku. Używał najlepszych, importowanych aparatów i przygotował prawie tysiąc szklanych płyt.

Rząd dobrze mu zapłacił. Pierwsza rata wystarczyła na wybudowanie nowego domu na rogu ulic Allende i Londres, w eleganckiej dzielnicy Coyoacan, dogodnie położonej w pobliżu rynku i targu miejskiego. To był nasz dom, tam się wychowałam, ale później stał się ich domem, jej i Diega. Teraz mieści się w nim muzeum - muzeum Fridy Kahlo. Nikt nie pamięta, że ja też kiedyś tam mieszkałam.

Podobnie jak inne tradycyjne budynki, nasz dom nie posiadał korytarzy. Z pokoiów na duże patio prowadziły stylowe francuskie portfenetry. Mami, obdarzona nienagannym gustem, umeblowała salon wytwornymi paryskimi meblami, zgodnie z modą panującą wśród zamożnych Meksykanów z klasy średniej - którymi wszak byliśmy. Mówię oczywiście o czasach, zanim staliśmy się biedni, co nastąpiło mniej więcej wtedy, kiedy cudzoziemcy ostatecznie wyszli z mody, to znaczy, kiedy Papa utracił prawie cały majątek.

Obok salonu mieściła się tradycyjna jadalnia oraz duża kuchnia. Do jadalni przylegała sypialnia rodziców - układ, który obecnie wydaje się dziwny, ale wówczas był czymś normalnym i zwyczajnym. Po zewnętrznej stronie domu wychodziły na ulicę wysokie okna z szarymi okiennicami. Mieszczan z Północy zapewne zaszokowałyby jaskrawoniebieski tynk, zwany *azul añil*, i czerwone wykończenia gzymsów, ale w Coyoacan taki widok zdarzał się często. Znajdowało się tu wiele barwnych budynków, całe ulice, gdzie domy żółte sąsiadowały z różowymi i lawendowymi, prowadząc na myśl kalejdoskop, paletę, na której malarz wypróbowuje wszystkie możliwe połączenia. Być może stąd właśnie Frida zaczerpnęła swe oszałamiające poczucie koloru. Ja również zawsze kochałam nasycone barwy, pewnie dlatego, że wśród nich dorastałam - czerwień jak płynne słońce, zieleń niczym zmiażdżony

szmaragd, błękit jasny niby oczy dziecka. Brukowane chodniki co jakiś czas urywały się, a w tych wypełnionych ziemią przerwach rosły masywne cedry, rzucające na domy głęboki cień i nadające ulicom łagodny, miękki wygląd.

Papa nie zajmował się polityką. Najbardziej lubił siedzieć i myśleć. Rozmyślał o wielu różnych rzeczach, ale reżim Dfaza do nich nie należał. Rząd dał mu dobrze zarobić, i to go zadowalało.

- Więc ten reżim jest skorumpowany, czo nofego poza tym? - powiadał. - Skorumpowany, ale pszynajmniej jest cicho. Cicho, znaczy jest dobsze. Następny rząd będzie skorumpowany i hałaśliwy.

Lecz kiedy wybuchła rewolucja, trzeba było opowiedzieć się po jednej ze stron; albo się buntowników popierało, albo występowało się przeciw nim. Jednak on wciąż nie umiał się zdecydować.

- Komu potszebne to samieszanie? - pytał Mami. - Czemu nie mogli dać nam spokoju?

Po upadku Dfaza w Coyoacan rozgorzały walki między zapatystami a zwolennikami Carranzy. Nasza rodzina opowiedziała się po stronie tych pierwszych - dziadek Antonio był Indianinem i pochodził z Morelos, rodzinnych stron Zapaty. Mama otworzyła dom dla rewolucjonistów i pozwalała im wchodzić do salonu przez okna od ulicy Allende. Inocencia, Concha i Rufina cięły na szarpie stare prześcieradła, Mami zaś przemywała rany żołnierzy jodyną i mydłem. Nie należała do kobiet opiekuńczych i jestem pewna, że zapach krwi, potu i gówna przyprawiał ją o mdłości, ale uważała, że spełnia patriotyczny obowiązek, pomagając ludziom walczącym z tyranem, który zaprzedał się Francuzom, Brytyjczykom, Amerykanom i innym obcym mocarstwom, pragnącym wyrwać dla siebie kęs naszego kraju.

Nie mieliśmy wiele jedzenia, jedynie tortille. Targ był zamknięty. Wyjście z domu groziło śmiercią. Na placach i w alejkach toczyły się walki, a w każdej bramie kryli się strzelcy wyborowi. Byłam bardzo mała i czasem nie ufam już swym wspomnieniom z okresu rewolucji. Czy to możliwe, że nasłuchawszy się opowiadań, pamiętam nie sceny, które widziałam, lecz te, które mi opisywano?

Albo wręcz sceny z książek? Lub filmów? Kiedy byłam nastolatką, bez przerwy rozmawiano o wojnie, mówiono o niej nawet później, gdy już dorosłam. Diego i Frida wciąż opowiadali różne historie, choć przecież Frida była wówczas dzieckiem, tak jak i ja; słuchając jej, można by pomyśleć, że walczyła na froncie, trzymając w każdej ręce pistolet. Ja nie jestem pewna, co zdarzyło się naprawdę, a co wymyśliłam sama - czasem w ogóle niczego nie jestem pewna. Nie tak jak Frida. Ona zawsze wiedziała wszystko najlepiej.

Istnieją jednak pewne obrazy, które wryły mi się w pamięć, straszliwe, prześladowające mnie wspomnienia. Sytuacje, które musiały rzeczywiście mieć miejsce, albowiem widzę je niezwykle wyraźnie.

Byłam wówczas bardzo malutka. Na ulicę przed naszym domem - Boże, jakież to straszne - wybiegło dziecko, chłopczyk mieszkający kilka domów dalej. Frida czasami grywała z nim w piłkę. Miał proste czarne włosy opadające na ogromne ciemne oczy i słodki uśmiech. Niekiedy bawił się nago na patio - miał nie więcej niż cztery, pięć lat - i Frida psikała na niego wodą, by zobaczyć, jak wstaje jego mały kutasik. Wówczas zanosila się śmiechem. Otóż ten chłopczyk - na imię miał José Luis - wybiegł na ulicę i... Boże... pamiętam to, jakby zdarzyło się przed chwilą... snajper odstrzelił mu głowę. Widziałam to, widziałam przez okno. Jezu Chryste, ten biedny chłopczyk... biedny aniołek. Jego wyprostowane ciało stało jeszcze prawie przez minutę, zanim upadło, nadal drżąc, niespełna pięć metrów przed naszymi drzwiami. Krew tryskała z jego tętnic i tworzyła gęste, lepkie kałuże, które później wypily beapanski psy. Nieszczęsna, oszalała z bólu matka chłopca dostała histerii - doña Ramona, zawsze taka dobrze wychowana... to było jej jedyne dziecko. Nie mogła zabrać jego ciała z ulicy, gdyż żołnierze strzelali do wszystkiego, co się ruszało. W końcu nie potrafiła już dłużej znieść tej udręki, poczołgała się po bruku i zebrała w spódnice kawałki czaszki synka, a potem jego korpus. Cudownym sposobem nie zabili jej, lecz może byłoby lepiej, gdyby to zrobili.

Pamiętam też inny wypadek. Jakiś osioł wymknął się z zagrody i dostał kulę w oko. Biedak leżał, rycząc i kwicząc z bólu, aż w końcu jakiś snajper strzelił mu w głowę - nie po to, by skrócić jego cierpienia, lecz by go wreszcie uciszyć. Tę scenę też widziałam z okna i chociaż chodziło tylko o zwierzę, jego cierpienie dotknęło mnie prawie równie mocno jak śmierć José Luisa. Osioł krzyczał tak okropnie - hiii-haaa hiii-haaa - że serce się krajało. Dlaczego musieli go zabić? Byłam dzieckiem i nie rozumiałam politycznych przyczyn rewolucji. Widziałam tylko, jak krew miesza się z kurzem i odpadkami, jak spływa po bruku, wsiąka w szpary i użyźnia ziemię pod ogromnym, bujnym cedrem przed naszym domem.

Chyba chodziło tylko o to. Ktoś musiał umrzeć, aby użyźnić i nakarmić duszę Meksyku. Ktoś musiał umrzeć, aby zapewnić nam przyszłość. Ale biedny mały José Luis i to nieszczęsne, niczego niepodejrzewające stworzenie?... Czasem nic już nie ma sensu.

ROZDZIAŁ 5

Prepa

Odbicie w lustrze było mylące. Ukazywało smukłą i zgrabną młodzieńką dziewczynę o gęstych, czarnych, kręconych włosach, równo obciętej grzywce i mocno zarysowanych brwiach, które prawie spotykały się nad nosem, nadając właścicielce surowy, niemal srogi wygląd. Gdy marszczyła czoło, tworzyły ciemną, prostą kreskę nad jej czarnymi oczyma. Frida robiła wrażenie dziewczyny, która dobrze się uczy, słucha nauczycieli i przynosi chlubę rodzicom - dziewczyny, której wzorowe zachowanie wzbudza komentarze takie, jak: „Och, señora Kahlo, pewnie bardzo się pani cieszy”. Świetnie wiedziała, jak wywoływać takie wrażenie. Wiedziała, co robić, by dorośli się zachwycali: „Cóż za doskonała młoda dama! Gdyby tylko jej młodsza siostra była bardziej... no, bardziej do niej podobna!”.

Nie nosiła mundurka - w jej nowej szkole tego nie wymagano - lecz prosta biała bluzka, dopasowany sweter i ciemnoniebieska plisowana spódniczka przypominały stroje, jakie noszą do szkoły dzisiejsze dziewczęta, wie pan, te głupie granatowe blezery i żakiety. Na nogach miała grube czarne pończochy i wygodne, praktyczne trzewiki, takie, które nigdy nie przemakają, łatwo w nich chodzić i nie ocierają stóp. Prawy bucik wypchany był szmatami, żeby dobrze trzymał. Całość wieńczył czarny słomkowy kapelusik z szerokim rondem, opasany białą wstążką, której końce luźno zwisały na plecach. Zaiste, „doskonała młoda dama”!

Przyjrzawszy się swemu odbiciu, Frida założyła ręce i zacisnęła wargi, usiłując zrobić stanowczą minę. Następnie wyprostowała

się - mierzyła około 157 centymetrów - i spojrzała groźnie na tę drugą Fridę w lustrze. Zdjęła kapelusz, znów go włożyła i zaczęła poprawiać wstążki, by znalazły się dokładnie na środku pleców. Wzięła ręczne lustro i sprawdziła, jak wygląda z tyłu. Zmoczyła śliną grzywkę i przejechała po niej palcem, aby upewnić się, że jest idealnie równa. Potem otworzyła szufladę z bielizną, wyciągnęła ukrytą wśród majtek szminkę i nałożyła na wargi odrobinę koloru. Pomazanym szminką palcem musnęła policzki - tylko odrobinę, żeby Mami niczego nie zauważyła. Znów zwróciła się do lustra, starannie oglądając efekt pod różnymi kątami. Nie. Nie tak, to na nic. Energicznie starła szminkę, wyciągnęła następną i spróbowała innego koloru. Wreszcie przybrała majestatyczną pozę - wysoko uniesiony podbródek, ściągnięte ramiona, stopy w pozycji numer cztery niczym balerina Degasa. Uwielbiała pozować, bez końca przeglądała się w lustrze i być może dlatego, jako artystka, namalowała tak wiele autoportretów. Kochała patrzeć na siebie, była sobą zafascynowana.

Nie zamierzam jej krytykować. Wiem, co pan myśli, ale ja nie czynię jej wyrzutów. Po prostu mówię, że...

Nie sędzę, by mnie dostrzegła. Chyba zapomniała o moim istnieniu.

- Mizdrzysz się jak małpa! - zadrwiłam. Obróciła się, jakbym strzeliła do niej z gumki. Ping! Uniosłam ręce i podrapałam się pod pachami.

- Małpa! - zaczęłam chrząkać. - Małpa! Małpa! Frida pokazała mi język i wybuchnęła śmiechem.

- Co się stało, Frida? Myślisz, że nie wyglądasz jak małpa? A właśnie że tak!

W moją stronę poleciał grzebień, ciśnięty mocną ręką, lecz się uchyliłam. Frida wykrzywiła twarz i rozciągnęła palcami usta w groteskowym, małpim uśmiechu.

- Uech! Uech! Uaaa! - zarechotała do lustra. - Ja małpa! Ja małpa!

Siedziałam na łóżku z podwiniętymi nogami i patrzyłam, jak siostra szykuje się do pierwszego dnia w Preparatora, szkole przygotowawczej.

- Wyglądam jak nudziara!

- Nie, Frida, to nieprawda - zaprzeczyłam. - Wyglądasz uroczo.

- Uroczo? Nie chcę wyglądać uroczo! Szczenięta są urocze! To już wolę być małpą!

Wypięła biust i jęła kroczyć po pokoju.

- Carmen Frida Kahlo, nadzwyczajna seksbomba Krajowej Szkoły Przygotowawczej!

Roześmiałam się. Nie chciałam psuć jej humoru w pierwszy dzień szkoły. Gdyby coś nie wyszło, mogłaby oskarżyć mnie, że zapeszyłam. Ale sądziłam, że odgrywanie uwodzicielki w Preparatorii to niezbyt dobry pomysł. Miałam już czternaście lat i wiedziałam, że takie rzeczy bywają niebezpieczne.

- Uważaj, Frida! Tam są sami chłopcy. Jak będziesz zanadto kręcić tyłkiem, wpędzisz się w kłopoty. I lepiej pilnuj tej niewyparzonej buzi.

Frida zmieniła postawę przed lustrem. Oblizwała i odeła swoje zmysłowe usta, po czym wystawiła język, jakby obdarzała niewidzialnego kochanka głębokim pocałunkiem.

- Kochany! - zaczęła dyszeć. - Kochany!

Znów otworzyła usta i poruszyła wargami niczym w ekstazie.

- Och! - jęknęła. - Och, kochany, nie przerywaj!

Z ukosa zerknęła na swoje odbicie i przeciągnęła dłońmi wzdłuż ciała.

- Ach! Ach, och, aaach, aaach! Podeszła do lustra i udała, że je liże.

Śmiałam się tak bardzo, że musiałam zacisnąć nogi, aby się nie posikać.

- Frida, co ty wyprawiasz!

- Pilnuję swojej buzi, ciapo! Przecież właśnie powiedziałaś: „Pilnuj swojej niewyparzonej buzi!”.

Więc tylko wykonuję polecenia, jak dobrze wychowana trzynastolatka. - Przyjęła pozę pełną

godności. - Jak przystało na dobrze wychowaną trzynastolatkę - poprawiła się. - Po prostu pokazuję, jaka jestem posłuszna.

Skłoniła głowę z pozorną pokorą. Udawanie potulnego, łagodnego stworzenia znakomicie jej wychodziło. W ten sposób mogła zawsze dopiąć swego - tak lub odgrywając waleczną małą bun-towniczkę, w zależności od tego, co lepiej działało na rozmówcę.

Z rozbiegu skoczyła na łóżko i wylądowała z nogami skrzyżowanymi po turecku.

- Frida jest grzeczna! - zaintonowała niczym przedszkolak, podskakując na siedząco. - Frida jest grzeczna!

- Kłamczucho, nie masz trzynastu lat, tylko piętnaście.

- Trzytnaście! Chcesz ze mnie zrobić staruszkę, ty mała suko!

- Daj spokój, Frida, przecież wiem, ile masz lat. Na litość boską, jestem twoją siostrą! Ja mam czternaście lat, a ty jesteś ode mnie starsza o jedenaście miesięcy.

- Pan Bóg nie ma tu nic do rzeczy! To Papa porządnie bzyknął Mami, a potem zjawiałaś się ty. Może sądzisz, że zostałam niepokalanie poczęta, jak mały Jezusek? A poza tym, co to za różnica, że ujmę sobie dwa lata! Straciłam dwa lata szkoły, jak byłam chora na polio.

- Tylko rok!

- A kogo to obchodzi? I tak będę najmłodsza w klasie! A jeśli nie, to przynajmniej będę jedną z niewielu dziewczyn.

- Tak, Frida. Będiesz kimś wyjątkowym.

To właśnie chciała usłyszeć - że jest wyjątkowa, niezwykła. Ostatnia papryczka w garnku. Ostatnia kropla wody na pustyni. Rzeczywiście, była swego rodzaju fenomenem, ale musiała wciąż to potwierdzać.

- No pewnie, że będę wyjątkowa. Niech pilnują swoich starych, zasiedziałych tyłków!

Wiedziałam, że w rzeczywistości Frida się denerwuje. Ja też się denerwowałam, choć przecież to nie ja szłam do szkoły. Czułam łaskotki w żołądku, jakby latało tam stado much, nie dużych motyli, lecz małych, rozwścieczonych muszek. Krajowa Szkoła

Przygotowawcza była ogromna, Frida zaś była jedną z garstki dziewcząt. Co więcej, codziennie sama miała jeździć tramwajem do miasta. Wędrowała już po Coyoacán ze mną, Papą lub Conchitą, ale to było co innego. Teraz udawała się na nieznane terytorium, i to samodzielnie. Sama myśl o tym przyprawiała mnie o drżenie. Krajowa Szkoła Przygotowawcza - Preparatoria - nie tylko uchodziła za najlepszą szkołę średnią w Meksyku, ale stanowiła coś w rodzaju symbolu - jakże mam to ująć? - buńczucznego ducha, który opanował nas po rewolucji. Aby pojąć, co to oznacza, że Frida, nasza Frida, moja siostra, została do niej przyjęta, musi pan zrozumieć, jakie znaczenie miała ta szkoła.

Pierwotna Prepa była jezuickim kolegium, przygotowującym bogatych chłopców z przedmiotów takich, jak łacina, francuski i teologia. Kiedy Juarez został prezydentem i zaczął maczetą trzebić europejską tradycję, Prepa przekształciła się w ambitną szkołę średnią o niemalże uniwersyteckim programie. Chodziło o to, by przygotować najlepszych uczniów, śmietankę, *la crema de la crema*, do rządzenia krajem. Ale gdy władzę przejął Dfaz, wszystko się pokręciło, gdyż wtrącili się *cientificos* i znów przerobili Prepę na liceum typu europejskiego. Jednak po rewolucji minister edukacji José Vasconcelos uczynił z Prepy najświetniejszą szkołę średnią w kraju, która stała się magnesem przyciągającym najlepszych nauczycieli i najbardziej obiecujących młodych ludzi. Jej uczniowie upajali się swoim własnym znaczeniem. Mieli przecież zbudować nowy naród! A teraz Frida została jedną z owej grupy wybrańców. Fiu, fiu! Druga Izabela Katolicka! Druga Maria Curie! Odtąd wszyscy wiedzieliśmy, że Frida będzie kimś wielkim. Nikt w to nie wątpił, a już na pewno nie Frida.

Papa od początku planował posłanie Fridy do Prepy. Moja siostra była inteligentna, dostatecznie inteligentna, żeby zostać lekarzem. Bez przerwy zbierała kamienie, liście i inne rzeczy. A ja nie. Kamienie są brudne, więc wolałam zbierać kwiaty. Papa, domorosły artysta, podczas naszych spacerów niekiedy szkicował

albo malował akwarele; Frida w tym czasie włóczyła się wzdłuż brzegów rzeki i zносиła do domu rośliny i zwierzęta, aby zrobić im sekcję. Papa kupił jej mikroskop, pod którym zawsze coś oglądała, kawałki owadnich skrzydeł albo nitki dmuchawca. Zastanawiam się, czy rzeczywiście tak ją to ciekawiło, czy też po prostu lubiła słuchać zachwyty Papy, gdy przynosiła mu szkiełka z preparatami. „Umysł taki jak Fridy - powiadał - nie może się zmarnować”. Tyle że on mówił „smarnofać”.

Mami pozostawała nieprzekonana. Uważała, że od czasu gdy Frida rozchorowała się na polio, Papa wychowuje ją jak chłopca. A teraz chciał posłać ją do szkoły dla chłopców, aby wyuczyła się chłopięcego zawodu. Prepa właśnie otworzyła podwoje dla dziewcząt, lecz na razie niewiele z nich skorzystało z okazji. Porządne dziewczęta z przyzwoitych rodzin nie potrzebowały takiego wykształcenia, jakie oferowała Prepa - przynajmniej w opinii Mami. Chyba uważała, że Frida i bez tego jest nieznośna - pobudliwa, nadaktywna i pyskata - a w towarzystwie bandy chłopaków (nawet z najlepszych rodzin) wyrośnie na jeszcze większego łobuziaka.

Papa rzadko się przy czymś upierał, ale tym razem postawił na swoim. Jego własna kariera uniwersytecka zakończyła się przedwcześnie, nie miał też syna, który zrealizowałby jego niespełnione ambicje. Nasza sytuacja finansowa była gorsza niż kiedykolwiek i musieliśmy niesłuchanie oszczędzać, lecz pójście Fridy do pracy nie wchodziło w grę. Miała iść do Preparatorii, a potem na uniwersytet i zostać lekarzem.

Mami nie spodziewała się, że Frida zda egzaminy wstępne, ale myliła się. Papa triumfował.

- A nie mówiłem! Frida jest tak samo zdolna jak chłopiec! - piał, kołysząc się na piętach.

- Rrracja, Herr Kahlo! - przedrzeźniała go Frida. - Jestem zdolna i jeszcze im wszystkim pokaszę!

Preparatoria mieściła się w monumentalnym budynku, stojącym w pobliżu Zócalo - głównego rynku - zwanego Plaza de Cons-titución. Widział go pan, prawda? W okolicy znajduje się także katedra, Pałac Narodowy i budynki rządowe. Rolę wielkiej damy pełni tu katedra Najświętszej Dziewicy, rozsiadła po jednej stronie placu niczym tłusta, podstarzała matrona, obdarta, lecz

wyzywająca, która czeka, by wnuki złożyły jej wyrazy szacunku. Rozchodzące się stąd gwiazdziście aleje prowadzą do najdalszych części miasta, pociętych siatką mniejszych ulic, tworzących nieforemną szachownicę. Wtedy, jak i teraz, wszelkie możliwe miejsca zajmowały maleńkie sklepiki z żywnością i sukniami, restauracyjki, księgarnie, sklepy meblowe, pralnie, tortillerie, apteki, słodko pachnące perfumerie i śmierdzące olejem warsztaty samochodowe.

Frida ukochała wolność, jaką dawało jej uczęszczanie do Prepy. W owych czasach dziewczęta rzadko kiedy wychodziły z domu bez osoby towarzyszącej, ale ona wałęsała się niczym chłopak. Sama podróżowała tramwajami i autobusami wśród chłopów w *serapes* oraz matron udających się na zakupy. Tramwaj stanowił demokratyczny środek transportu. Czasem jeździłam z nią do śródmieścia, ale ruch i hałas nie bardzo mi się podobały. O każdej niemal porze dnia place i ulice były pełne ludzi. Ubrani w garnitury mężczyźni z teczkami ocierali się o wieśniaków w luźnych białych portkach i w ponczach; kataryniarze rzępolili swe melodyjki; uliczni sprzedawcy handlowali zabawkami, ozdobnymi papugami z papier-mache, gumą do żucia, widokówkami, lodami, soczystymi kąskami pikantnego mięsa, zwanymi *carnitas*, oraz figurkami Dziewicy Marii. Niekiedy chłop na koniu zajeżdżał drogę jakiemuś samochodowi. Mój żołądek buntował się za każdym razem, gdy miałam przejść przez ulicę. Ale Fridę fascynował rozgwar miasta. Uwielbiała patrzeć na okupujących plac małych sprzedawców gazet, ucząc się ich żargonu i naśladowując ich zawadiackie ruchy. Nauczyła się od nich wielu obrazowych przekleństw, zupełnie jakby dotąd nie znała ich dostatecznie dużo.

Była jedną z trzydziestu pięciu dziewcząt w szkole, liczącej sobie około dwóch tysięcy uczniów. Pierwszego dnia zajęć wpisała się na listę tym przepięknym charakterem pisma, którego nauczyła

nas w podstawówce panna Caballero: Carmen Frieda Kahlo y Calderon. Wtedy jeszcze pisała swoje imię z niemiecka.

- Chciałam zrobić jak najlepsze wrażenie - powiedziała mi później. - Ale z chwilą gdy ujrzałam przełożoną dziewcząt, nabrałam pewności, że skończę, sikając na jej petunie. Starsza pańcia, sztywna jakby kij połknęła! Nazywa się Dolores Angeles Castillo. Zaprowadziła nas do wychodzącej na patio arkady na najwyższym piętrze i zaczęła wydawać nam polecenia, pewnie żebyśmy od początku pojęły, że to ona jest tu szefową - *madrina* - całego stada. Mówię ci, wyglądała, jakby miała zamiar kazać rozstrzelać każdą, która nie zatańczy, jak ona zagra. Nie zrobiłaby tego sama - po prostu kiwnęłaby na któregoś ze swoich goryli, a on wyciągnąłby broń i bum! bum! - byłoby po krzyku. „Tu powinniście przebywać, kiedy nie macie zajęć w klasie - oznajmiła panna Castillo. - To znaczy na przerwach i podczas wolnych godzin”. Znienawidziłam ją! - ciągnęła Frida. - Szukałam kogoś o twarzy spiskowca, kto pomógłby mi stawić jej czoło.

Ale koleżanki były zbyt zastraszone, aby nawiązać kontakt choćby wzrokowy. Jedna z nich, osoba o władczej minie i długim, szczurowatym nosie, przypominała Fridzie Estelę. Wysoka, żylasta i ciemna, stała prosto, trzymając przed sobą teczkę z książkami, najwyraźniej ogromnie zadowolona ze swojego wzrostu. Nieduża, wymuskana dziewczyna w bluzce z falbankami i szerokiej spódnicy była podobna do Ines. Miała podobnie jasną skórę, ściągnięte w węzeł kruczoczarne włosy i chłodny, pogardliwy wyraz twarzy.

Frida musiała odnieść wrażenie, że stacza się w przepaść, ocierając się o ostre odłamki pamięci. Wiele czasu minęło, odkąd koleżanki dokuczały jej z powodu uschniętej nogi i oskarżały, że nie jest „prawdziwą Meksykanką”, ale teraz wyraźnie słyszała ich jątrzące drwiny - „Frida, Frida! Frida, Frida!”...

- Posłałam tej szczurowatej dziewczynie ostre spojrzenie: „Nie zaczynaj ze mną!” - mówiła Frida. - Ale zbyt była zajęta podlizywaniem się, żeby zwrócić na to uwagę.

- „Macie być tutaj przez cały czas, chyba że będziecie na lekcjach - zakończyła panna Castillo. - Czy to jasne?“. „Tak, psze pani" - odparły chórem szczurowata i ta, co ubrała się jak do Pierwszej Komunii. - Lizusy!

Ha! Oto moja Frida, od razu pokazuje się z najlepszej strony!

- Przepraszam, panno Kahlo - powiedziała wtedy panna Castillo. - Mówiłaś coś?

- Nie, nic - mruknęła Frida posłusznie.

- Ale postanowiłam już, że nie będę się zadawać z tymi wymóżdżonymi, nadętymi półgłówkami - opowiadała mi później. Były zanadto *cursi* - afektowane, na pokaz, wulgarnie snobistyczne. Miała zamiar poszukać sobie innych przyjaciół, być może wśród chłopców. Albo poradzić sobie sama.

W Preparatorii wrzało jak w ulu. W jednej ławce chłopcy powtarzali czasowniki francuskie - *je parle, tu paries* - w innej zmagali się z zawilościami języka Quiche. Na otoczonym arkadami patio dwudziestu czy trzydziestu uczniów sięgało dłońmi do nieba, po czym schylało się, by dotknąć palców u nóg pod komendę nauczyciela wrzeszczącego: *Arriba... dos... tres... cuatro! Abajo... dos... tres... cuatro!* Wszędzie stali uczniowie, którzy wygłaszali namiętne oracje i zaczepiali przechodniów niczym handlarze zachwalający swój towar. Kupcie reformę polityczną mojej marki! Porzućcie cywilizację Zachodu i uznajcie własne dziedzictwo! Nie! Uznajcie cywilizację Zachodu, ale powiedzcie *gñngos*, żeby się trzymali z dala od Meksyku! Nie! Spróbujcie wprowadzić rewolucyjne zmiany! Nie! Rewolucja była klęską! Rewolucja była triumfem! Rewolucji w ogóle nie było! Wolna miłość na sprzedaż! Nie! Powróćmy do katolickiej moralności! *Viua la Raza Cósmica!*

Idea Raza Cósmica była hołubionym dzieckiem Vasconcelosa, który usiłował przeforsować pomysł, że w Ameryce Łacińskiej wszystkie rasy świata zmieszają się, aby stworzyć „piątą" lub „kosmiczną" rasę, co przyniesie pokój i dobrobyt. Postępowcy uważali, że Vasconcelos jest geniuszem. Konserwatyści mieli go za gówniarza.

W Preparatorii przeważali synowie wybitnych postaci, młodzi ludzie, którzy wiedzieli, że pewnego dnia też staną się sławni. Frida co dzień przynosiła do domu jakąś historię o osobach z pierwszych stron gazet. Poznała Salvadora Azuelę, którego ojciec napisał najważniejszą książkę o rewolucji meksykańskiej. Kolegowała się z Salvadorem Novo i Carlosem Pellicerem, którzy wyrosli na znanych poetów, oraz z Xavierem Villaurrutią, który zrewolucjonizował meksykański teatr.

- Carlito napisał tę silwę tylko dla mnie - chwaliła się. - Jutro będziemy czytać nową jednoaktówkę Sala!

I tak dalej, i tak dalej. Nigdy nie pytała, jak ja spędziłam dzień. Była zadowolona z siebie i samowystarczalna, jak oni wszyscy. Miałam wrażenie, że wciąż tkwią w jakimś... orgazmicznym upojeniu. Zupełnie jakby sądzili, że każdy ich nowy pomysł powinny witać fajerwerki, aby podkreślić jego genialność. Bez przerwy kłócili się między sobą, usiłując zdyskredytować się nawzajem. I bez przerwy wyklócali się z nauczycielami. Byli okropnie zajęci wymyślaniem kraju od nowa. Eksperymentowali z nowymi formami literackimi i z nowymi ideami politycznymi. Nawoływali do protestów. Odpalali bomby. Mazali po ścianach. Robili sobie kawały. Musi pan pojąć, że Meksyk przeżywał męki odrodzenia, a uczniom przypadły określone role w tej transformacji. Byli pijani dumą.

Niebawem Frida znalazła dla siebie niszę. Z początku po powrocie do domu opowiadała mi o wszystkim, co zaszło. Lecz wkrótce zaczęła zostawać po lekcjach na zebraniach lub chodziła z przyjaciółmi do kawiarni. Nie miała już dla mnie czasu. Nie miała już czasu dla nikogo z nas.

Ale prawdziwa zmiana nastąpiła, gdy poznała Alejandra.

Wedle słów Fridy, pierwszy raz ujrzała Alejandra Gómeza Ariasa, kiedy rozmawiał z inną dziewczyną - jasnowłosą pięknoscią o miękkim, zmysłowym ciele i wydatnych, uwodzicielskich ustach. Frida zauważyła ją owego pierwszego dnia, kiedy panna Castillo kazała paniąkom trzymać się na przerwach z dala od chłopców, i wówczas uznała ją za skończenie *cursi*.

- To *escuincla* - opowiadała mi. - Escuincla od stóp do głów! Pewnie wypycha sobie stanik.

Escuincla to rasa bezwłosego meksykańskiego psa, ale także slangowe określenie nastolatki. Frida nazywała tak dziewczęta, które uważała za głupie albo zarozumiałe. Prawdę mówiąc, do mnie też zawsze mówiła *escuincla*.

Wracając jednak do Alejandra i jego towarzyszek, w owej chwili Frida nienawidziła ich obojga. On - nie znała jeszcze jego nazwiska - zdawał się całkowicie oczarowany głupiutką panienką i pochylał się ku niej, jakby pluła miodem.

- Myślałam, że zaraz zaczniesz wylizywać jej usta. Nie mogłam znieść tego, jak ona się nad nim ślini.

Nie zamierzała stać i gapić się na nich, ale z jakiegoś powodu ociągała się z odejściem z korytarza; udawała, że na kogoś czeka, sprawdzała godzinę na zegarku, rozglądała się - a czasem popatrywała też na chłopca i jego rozkochaną suczkę *escuincla*.

Był przystojny, o ciemnej karnacji, miękkim, łagodnym spojrzeniu i prędkim uśmiechu. Miał szeroki, lecz zgrabny nos, pełne usta, mocny podbródek i gęste włosy, szesane z myślącego czoła.

O jego pochodzeniu świadczyło nawet ubranie - nieskazitelnie biała, doskonale wyprasowana koszula, modny krawat w prążki

i dwurzędowa marynarka. Poza tym zachowywał się z uprzejmością i obyciem młodzieńca z dobrej rodziny. Miał wtedy około osiemnastu lat.

Snob! - pomyślała Frida, ujrawszy Alejandra po raz pierwszy.

Rozmowa tak go pochłoneła, że nie zauważył stojącej nieopodal Fridy. Zapewne doprowadziło ją to do pasji - przyzwyczała się, że zawsze zwracano na nią uwagę. Była przecież najmłodsza i najinteligentniejsza, wszyscy wiedzieli, kim jest. Ale ten chłopiec jakby jej nie dostrzegał. Wyjął zeszyt i zanotował słowa dziewczyny, po czym ona uściśnęła jego dłoń i pobiegła korytarzem. Po kilku krokach odwróciła się i kilkakrotnie do niego pomachała, a on odwzajemnił gest pożegnania. Następnie odwrócił się nagle i popatrzył wprost na Fridę.

- Poczułam jakby mrowienie stóp - opisywała później. - Miałam wrażenie, że rój biedronek łaskocze mnie w podbicie. Postukałam w bucik. Musiałam się ich pozbyć! Ale wtedy poczułam, że biegną wzdłuż stopy do kostki, wchodzą pod kolana i wbiegają mi po udach prosto do cipki!

Przepraszam, ale takiego właśnie języka używała.

Pod spojrzeniem Alejandra Frida poruszyła się nieswojo i odwróciła wzrok; biedronki najwyraźniej już pełzły jej po plecach. Zerknęła na zegarek i niecierpliwie tupnęła nogą, dając do zrozumienia, iż osoba, na którą rzekomo czeka, spóźnia się. Spojrzała w głąb korytarza, westchnęła i znów sprawdziła godzinę.

- Wiem, że o tej porze w holu musiało się aż roić od uczniów - opowiadała - ale mnie wydał się dziwnie cichy i opustoszały. Byłam pewna, że Alejandro wcale nie nabrał się na to udawane czekanie na koleżankę, ale nie potrafiłam wymyślić nic innego. Chyba dostrzegł, że obserwuję go kątem oka.

Zachichotała i urwała dla większego efektu. Lubiła przeciągać i dramatyzować opowieści, aby jak najdłużej przykuwać uwagę słuchaczy.

Powiedziała sobie, że nie spojrzy na niego, ale podniosła wzrok i ujrzała jego kpiące oczy oraz promienny uśmiech.

Z przyjemnością wyobrażam sobie tę scenę. Nawet teraz, po tylu latach, lubię zamknąć oczy i ujrzeć Alejandra... jego zdumiewające kości policzkowe, umięśnione ramiona i szeroką pierś pod szlachetną tkaniną marynarki, wytworny krawat... i ten szczególny, towarzyszący mu zapach migdałów, cynamonu i piżma... oraz Fridę... wykrochmaloną, zapiętą pod szyję, lecz poruszającą się w tak niezwykły sposób, o krągłych biodrach i zaczepnym uśmiechu. To jakby scena z filmu.

- *Que hubo?* - zapytał. - O co chodzi?

Mówił, jakby znał ją od zawsze. Frida nie mogła oderwać wzroku od jego ust.

- Czekam na koleżankę, Adelinę Zendejas - skłamała. - Ale chyba nie przyjdzie.

- Słuchaj - zagadnął. - Chciałbym zadać ci pytanie. Co sądzisz o meduzach?

- Co?

- No wiesz, meduzy.
- O czym ty mówisz?
- Mówię o meduzach.
- Jak to o meduzach?
- No, mają nieśmiertelną duszę, czy nie? Chodzi o to, czy meduza może być zbawiona?

Frida spojrzała nań, jakby zwariował, i przygryzła wargę, aby powstrzymać śmiech - albo płacz. Naśmiewał się z niej? Sądził, że jest dzieckiem? Albo idiotką, tylko dlatego, że była dziewczyną? Tamtą *escuincla* traktował całkiem inaczej - spijał z jej warg każde słowo i nawet robił notatki! Frida nie lubiła, kiedy z niej kpiono.

- Spadaj! - warknęła i szybko odeszła, gubiąc się w tłumie uczniów.

Pozwoliła sobie na reakcję dopiero, gdy upewniła się, że już jej nie widzi. Wchodząc do klasy, nie mogła powstrzymać chichotu. Biedronki wciąż chodziły po całym jej ciele.

Tego dnia ujrzała go raz jeszcze w otoczeniu grupy chłopców pograżonych w ożywionej rozmowie. Niektórych rozpoznała - Miguela Lire, Alfonso Ville, Jesusa Bios y Valles. Rozglądając się konspiracyjnie, Jesus szeptał coś poufnie do kolegów, oni zaś zanosili się donośnym śmiechem.

Frida szła pod rękę z Carmen Jaime, jedną z niewielu dziewcząt w Prepie, z którymi, jak sądziła, warto było się zadawać. Carmen, bystra i zbuntowana, nosiła luźne męskie stroje i czarną pelerynę. W rozmowie posługiwała się swego rodzaju szyfrem, zmuszając słuchacza, by nieustannie weryfikował tok jej myślenia. O ptakach mówiła „pierzaste kwiaty”, o rybach - „naczynia”. Zamiast „wiatr wieje”, wołała „bogowie kichają”. Kwiaty nazywała „osiadłymi motylami”, zwierzęta - „czworonogami w wielobarwnych płaszczach”, sen - „spotkaniem z Morfeuszem”, umieranie - „przepłynięciem Lete”. Czytała wszystko, co wpadło jej w ręce, znała

całą literaturę hiszpańską, od Cyda po Unamuna. Sporo wiedziała o filozofii, studiowała zarówno starożytnych Greków, jak i współczesnych Niemców oraz doktryny Wschodu. Czasem przychodziła do nas do domu i wówczas Frida wypraszała mnie z pokoju.

- Jesteś za głupia, żeby to zrozumieć - powiadała. - Idź, pobaw się lalkami.

W owej chwili Carmen wprowadzała Fridę w tajniki swego prywatnego języka.

- Kto to? - szepnęła Frida, wskazując grupę chłopców.

- To? Chodzi ci o boskiego ducha Miguela Lire, którego głos przypomina lirę, z którego to powodu znany jest jako El Lira - oczywiście, nie La Lira, choć lira jest rodzaju żeńskiego, bo to by oznaczało, że ciężko dyszy za plecami dziewcząt lub gryzie poduszkę, rozumiesz, te rzeczy - ale El Lira. O niego ci chodzi?

Carmen zawsze mówiła rzeczowym tonem, wolnym od egzaltacji. Wygłaszała takie przemowy, jakby dyktowała służącej listę zakupów.

- Nie, o tego obok.

- O Alejandra? Nie znasz Alejandra?

- Kto to jest?

- Iskrownik!

- Co?

- Źródło energii! Słońce! Apollo w złotym rydwanie! Przewodnik stada!

- Jakiego stada?

- Jakiego? Naszego - Cachuchas! Chodź, mój pączusku, niech cię przedstawię.

Fridzie spodobał się sposób, w jaki chłopcy powitali Carmen. Żadnego flirtowania, żadnych *piropos* - kwiecistych komplementów porównujących kobiety do aniołów, róż i kropli rosy. Odnosili się do niej z szorstkim koleżeństwem, wskazującym, iż nie zamierzają liczyć się ze słowami tylko dlatego, że znalazła się wśród nich kobieta.

- Frida - powtórzył Miguel. - Frida Cało. Już się poznaliśmy. *Que hubo*, Frida?

- Cało, Cało. Uczysz ją swego cało, Carmen? - zapytał Alberto.

- Bo jeśli tak, i jeżeli okaże się zdolna, nazwiemy ją La Cało! *Cało* oznacza slang, ale Fridy nie śmieszyły żarty Miguela. Obie

byłyśmy przeczulone na punkcie naszego nazwiska. Te wszystkie szyderstwa, które musiałyśmy znosić w dzieciństwie!

- Nazywam się Kahlo - rzekła Frida. - Pisane przez K oraz H. K-A-H-L-O.

Zapadła niezręczna cisza; Frida tylko czekała, aż ktoś powie, że nosi cudzoziemskie nazwisko. Pierwszy odezwał się Alfonso.

- A co to za nazwisko? Nie jest meksykańskie.

- Niemieckie, señor Aldea - odparła drwiąco Frida. Rozumie pan, doktorze? Nie wiem, jak dobrze zna pan hiszpański - to znaczy owszem, wiem, że cały czas mówimy w tym języku, ale nie jestem pewna, czy dostrzega pan wszystkie subtelności. W każdym razie nazwisko Alfonsa, Villa, oznacza miasto albo dom na wsi, a słowo *aldea* również oznacza miasto.

- Ale to nic nie znaczy - ciągnęła Frida. - Co prawda, mój ojciec jest Niemcem, ale ja jestem Meksykanką. Czekala, by ktoś zakwestionował jej wypowiedź, ale nikt się nie odezwał.

Zastanawiała się też, kto pierwszy poruszy temat jej nogi. Zamierzała posłać tego kogoś do diabła i kazać pilnować własnego nosa, nieważne, kto to będzie.

„Owszem, mam krótką nogę - chciała powiedzieć. - Ale słyszałam, że ty masz krótkiego kutasa! Chcesz porównać?”.

Albo:

„Chcesz kopa tam, gdzie zabolę, żebyś zobaczył, że jestem całkiem sprawna?”. Zaczęła śmiać się w duchu. - Co ci się stało w nogę? - zapytał Alejandro.

Cholera! - pomyślała. Dlaczego to musiał być on? Ugryzła się w język, zdusiła cwaniacką ripostę i zastanowiła się. Nagle sytuacja przestała być śmieszna.

- Chorowałam na polio, kiedy miałam sześć lat - odparła wreszcie.

- Przykro mi - powiedział Alejandro.

- Nie lituj się nade mną! - zawołała gniewnie.

- Nie lituję się nad tobą, po prostu przykro mi, że miałaś polio. Wyobrażam sobie, że w tej chwili Frida odwróciła twarz.

Zapewne chciało się jej płakać i zacisnęła zęby, aby powstrzymać drżenie warg.

- Słuchaj - rzekł.

W duchu słyszę jego głos, głęboki i poważny, widzę jego minę, skupioną, żarliwą, rozumną.

- Tak?

- Myślałaś może o tym, o co pytałem cię przedtem?

- O czym?

- O meduzach? Frida zawyła:

- Ty palancie!

Oboje parsknęli śmiechem. Frida rzuciła się w pogoń za Alejandro, ścigając go wokół patio i wygrażając mu książką.

Niech pan posłucha, musi pan coś zrozumieć. Pomimo... różnic między nami, Frida wszystko mi opowiadała. Przynajmniej z początku, a czasami również i później. A kiedy wyszła za mąż i zaczęły się kłopoty z Diegiem, poczułam się tak, jakbyśmy znów stały się dziećmi. Gadałyśmy godzinami - właściwie to ona gadała, zawsze miała coś do opowiedzenia. Byłam jej powiernicą, najlepszą przyjaciółką. Nie tylko wtedy, lecz przez całe nasze życie. Zawsze kiedy miała problem, zwracała się do mnie. Przyjaźniłyśmy się, wtedy i zawsze.

O co panu chodzi, jak to, co robiłam przez cały ten czas? Prosił pan, żebym mówiła o Fridzie, nie o sobie. To ona pana interesuje. Nie, doktorze, nie jest tak, jak pan myśli. Nie czuję niechęci. Wcale nie. Po prostu to ja zawsze musiałam robić to, co trzeba, bo Fridę zbyt pochłaniało jej ekscytujące życie. Kiedy Mami się rozchorowała, to ja... Nieważne.

Ach, ma pan rację. I mnie zdarzyło się kilka interesujących rzeczy. Frida nie była jedyną osobą z rodziny Kahlo, która spała z wielkim Diegiem Riverą.

Co do pańskiego pytania... Nadal chodziłam do szkoły w Coyoacán i nikt nie wspominał o tym, żeby mnie posłać do Prepy. To nie wchodziło w grę. Nawet gdybym zdała egzaminy wstępne - a na pewno bym nie zdała - nie starczyłoby pieniędzy na czesne dla nas obu.

Frida przyłączyła się do Cachuchas, czyli paczki niesfornych uczniów, która swą nazwę wzięła od małych czerwonych czapeczek, zwanych *cachucha*, jakie noszono w Prepie. Wśród Cachuchas znajdowali się najzdolniejsi uczniowie, a ich przywódcą był Alejandro Gómez Arias.

Wtedy nikt nie przypuszczał, że niektóre z tych dzieciaków wyrosną na wybitnych intelektualistów; Alejandro został znanym prawnikiem i dziennikarzem, Jose Gómez Robledo był jednym z pierwszych profesorów psychiatrii w Meksyku, Manuel Gonzalez Ramfrez został prawnikiem i pisarzem, Lira - jak pan wie - poetą, a Carmen Jaime, jedyna oprócz Fridy dziewczyna w grupie, skończyła jako badaczka siedemnastowiecznej literatury hiszpańskiej. No i Frida Kahlo. Wszyscy wiedzą, jaką karierę zrobiła.

Cachuchas pripraviali pana Vincente Lombardo Toledano, dyrektora Preparatorii, o nieustające koszmary. Biedny don Vincente. Frida zwykła przedrzeźniać go przed jednym z owych lusterek, w których każdy wygląda jak Pinokio. Skrzeczała wówczas niczym ropucha: „Te cholerne bachory! Te wstrętne, cholerne bachory! Chciałbym wyrzucić je wszystkie na pysk!”. To prawda, wie pan. Bardzo chciał się ich pozbyć. Nie tylko zachowywali się bezczelnie i zadziornie, ale wytwarzali wokół siebie chaos. Kiedyś przejechali szkolnym korytarzem na osłach, a innym razem odpalili fajerwerki na szkolnym patio. Pamiętam, że spuścili butelkę z trzeciego piętra tuż przed nosem nauczyciela łaciny, Elfasa Galdósa. Butelka gruchnęła o ziemię i wybuchła niczym bomba, a lśniące odłamki szkła wystrzeliły w górę jak gejzer i posypały się na bruk. Oczywiście,

mnie tam nie było, powtarzam tylko to, co mówiła Frida. „Lśniące odłamki szkła”. „Jak gejzer”. Widzi pan, nie jestem głupia i nadal wszystko pamiętam. Tylko cud sprawił, że Galdósowi nie urwało głowy. Mógł stracić wzrok. Frida zazwyczaj opowiadała mi te historie późnym wieczorem; siedziała na moim łóżku i śmiała się tak histerycznie, że musiała biegać po nocnik - to znaczy wtedy, kiedy jeszcze znajdowała czas, żeby ze mną porozmawiać. Dopóki nie zajęła się kolegami do tego stopnia, że omal zapomniała o siostrzyczce.

Zachowywała się tak, jakby owe wybryki dowodziły wyższości członków paczki nad pospółstwem - czyli resztą uczniów. Udawałam, że mnie też to śmieszy, ale prawdę mówiąc, postawa Cachuchas brzydziła mnie. Nie obchodziło ich, że stary człowiek mógł umrzeć na atak serca. Chodziło tylko o to, żeby się pośmiać, rozumie pan? Żeby narozrabiać i zwrócić na siebie ogólną uwagę.

Pewnego dnia powiedziałam Fridzie:

- Wiesz co, może ci się zdaje, że jesteś największym cudem świata, ale przecież mogliście zabić tego staruszka. Jak byście się wtedy czuli? Gdybyście musieli iść na jego pogrzeb i patrzeć, jak spuszcza trumnę do grobu? Gdybyście wiedzieli, że robaki wpelzają mu do ust i wyzerają język, mózg i wnętrzności?

Za młodu Fridę śmierć przerażała i zarazem fascynowała. Urzekła ją sama myśl o rozpadzie ciała. Zepsucie ciała - to gorący temat dla księży. Frida uwielbiała o nim słuchać, to znaczy, gdy jeszcze była katoliczką i chodziła do kościoła. Wspomniałam o tym, żeby ją trochę podręczyć.

Po pewnym czasie Frida zaczęła odczuwać wyrzuty sumienia z powodu starego Galdósa, więc w akcie skruchy udała się do katedry, żeby zapalić świeczkę Najświętszej Pani. Poszłam razem z nią. Uklękła i zaczęła wyjaśniać Dziewicy Marii, że jest jej przykro, że czuje się niczym kupa łajna w rynsztoku, ale potem jakoś zboczyła z tematu i jęła mówić o tym, że Galdós dostał za swoje, że był cholernym snobem, nadętym draniem, jednym z tych, którym wydaje się, że ich gównem nie śmierdzi, którzy nigdy nie robią błędów ortograficznych i wiedzą, jak się pisze Ober-

ammergau i Massachusetts, ale na mszy siadają w ostatniej ławce i trzepią konia. Następnie wybuchnęła histerycznym śmiechem. Śmiała się tak bardzo, że ludzie zaczęli się nam przyglądać. Musiałyśmy wyjść i tym skończyła się jej pokuta.

Kiedy w auli odbywał się wykład, który Cachuchas uważali za nudny, strzelali w wykładowcę kulkami z papieru. Za główny cel obierali sobie konserwatywnych profesorów, ich zdaniem omawiających niemodne tematy. Ale dlaczego sądzili, że lepiej wiedzą, co interesuje resztę uczniów, a co nie? Ciekawe, od kiedy stali się takimi autorytetami? Dlaczego uważali się za arbitratorów - arbitrów - dobrych wykładów?

Oczywiście, byli lewicowi. Jak wszyscy, nawet ja. Chociaż, prawdę mówiąc, miałam niewielkie pojęcie o polityce. Rzecz w tym, że daliśmy się ponieść rewolucyjnej retoryce nowego rządu i... Nie. To nieprawda, że nic nie rozumiałam. Rewolucja nauczyła nas odczuwać dumę z tego, kim jesteśmy, z naszego dziedzictwa, dumę... ale mówiłam już o tym, prawda? Jednakże to nie ideologia połączyła Cachuchas, lecz namiętność członków grupy do psot.

Frida uwielbiała być towarzyszką Cachuchas, jednym z kumpli. No i zadurzyła się w Alejandrze. A może i nie. Czy to rzeczywiście była miłość?

Przestała wracać do domu po lekcjach. W chłodne jesienne popołudnia chodziła z kolegami do Biblioteki Iberoamerykańskiej kilka przecznic od szkoły, gdzie Cachuchas lubili przesiadywać. Wszyscy namiętnie czytali, a półki w bibliotece uginały się od książek po hiszpańsku, angielsku, francusku i niemiecku. Czytelnia działała niczym magnes, odciągając ich od powtarzających się doświadczeń i przewidywalnych wykładów. Wkrótce spędzali w bibliotece więcej czasu niż w Prepie. Ja nigdy tam nie chodziłam. Po co miałabym chodzić? W owym czasie prawie nigdy nie bywałam w mieście. Siedziałam w domu i pomagałam Mami obrębiać sukienki albo polerować srebra. Z pieniędzmi było tak krucho, że musieliśmy odprawić większość służby, więc miałam sporo pracy. Frida nie musiała się przejmować takimi sprawami.

W bibliotece Cachuchas czytali, rysowali, spierali się i plotkowali. „Dzisiaj rozmawialiśmy o Heglu” - mówiła Frida, jakbym wiedziała, kim był ten cholerny Hegel. Czasem inspirowała ich twórczość pisarzy europejskich - Hugo, Wellsa, Dos... Dostojewskiego oraz tego, który pisał o łodziach podwodnych, zanim je wynaleziono - Verne'a. Wymyślali fantastyczne podróże do dalekich krain, pokonywali Wielki Mur Chiński, spływali z biegiem Wołgi albo zwiedzali kryptę Notre Dame.

Frida wciąż czytała. Od lat studiowała książki Papy i dużo wiedziała o filozofii niemieckiej. Ja tam nigdy ich nie czytałam. Nikt też nie proponował, żebym spróbowała. Nikt nie sądził, że jestem dostatecznie bystra, aby pojąć cokolwiek z Hegła. Ale przyjaciele Fridy czytali wszystko. Moja siostra poznała pisarzy rosyjskich, Puszkina i Tołstoja, bez przerwy o nich mówiła. Oczywiście, czytała tylko przekłady. Była bardzo zdolna, lecz nie dość zdolna, by nauczyć się rosyjskiego. Natomiast o n znał rosyjski; wie pan, oni - znaczy Rosjanie - używają innego alfabetu. Każdy uczeń miał swój specjalny kącik, a bibliotekarze byli *chochos*, zachwyceni, że młodzi ludzie tak rzucają się na literaturę. I naturalnie dawali im wolną rękę.

Biblioteka mieściła się w ładnym budynku. Frida pokazała mi go raz czy dwa. Niegdyś był tu kościół, po którym pozostała elegancka, wysoka nawa, trochę uczłowieczona dzięki labiryntowi regałów. Ściany zdobiły freski Roberta Monte Negro y Nero, który założył Muzeum Sztuki Ludowej, a główną salę ubarwiały kolorowe flagi wszystkich państw południowoamerykańskich. Wyglądało to bardzo przyjemnie.

Pamiętam scenę, którą opisała mi Frida. Zgromadzeni w kącie Cachuchas rozłożyli się na krzesłach, stołach i na podłodze. Carmen, spowita w swą czarną pelerynę, recytowała wiersz Góngory poety hiszpańskiego złotego wieku, jeden z tych, jakich musieliśmy uczyć się w szkole na pamięć:

Luis de Góngora y Argote (1561-1627).

Mientras, por *competir eon tu cabello, oro brunido al sol relumbra en uano; mientras con menosprecio en medio el llano mira tu blanca frente el lilio bello;*
mientras a cada labio, por cogello, mas ojos que al clauel temprano; y mientras thunfa eon desden laesione del luciente cristal tu gentil cuello:
goza cuello, cabello, labio y frente, antes que lo que fue en tu edad dorada oro, lilio, clavel, chstal luciente,
no sólo en piata o viola troncada se vuelva, mas tu y ello juntamente en tierra, en humo, en polvo, en sombra, en nada.

Kiedy chcąc lokom twym dorównać złotym daremnie złoto w słońcu lśni jaskrawo; kiedy ze zmarszczką na swym białym czole patrzysz surowo na kwiat polnej lilii;

kiedy twe wargi więcej śledzi oczu niżeli goździk wczesny, gdy rozkwita i kiedy triumf wzdardliwy odnosi wdzięczna twa szyja nad kryształu blaskiem;

ciesz się urodą szyi, warg i włosów póki nie tylko młodości twej dary złoto, kryształy, lilie i goździki

zmieniają się w srebro i zeschnęły kwiat fiołka, lecz i ty z nimi cała się obrócisz w garść ziemi, smugę dymu, pyłek, cień i nicość.

Zaczęli się spierać. Miguel powtarzał, że poeta właściwie nie napisał nic nowego - Miguel zawsze mówił takie rzeczy - a potem oznajmił:

- Bawi się obrazami.

- Jednak - zaprzeczy! Jesus - nie powiedziałbym, że nie zajmuje żadnego stanowiska filozoficznego.

- Góngory nie interesuje stanowisko filozoficzne przerwał mu Miguel. - On chce po prostu odświeżyć poezję hiszpańską, modyfikując konwencjonalną retorykę miłosną.

A może Miguel tego nie mówił, może zmyślam to wszystko stosownie do swoich wyobrażeń? Podoba się panu, kiedy naśladuję głosy? Tyle razy słyszałam te argumenty, czasem na własne uszy, gdy przychodzili do nas przyjaciele Fridy - co nie zdarzało się często, bo mieszkaliśmy daleko - a czasem w wykonaniu mojej siostry, która umiała to robić lepiej niż ja. Odtwarzała całą dyskusję, łącznie z gestykulacją. Jedni wydawali się nadeći, inni mówili żarliwie, jeszcze inni - zaciekle.

Wedle przedstawionej przez nią wersji tej historii, siedziała na podłodze pochłonięta dyskusją, Alejandro zaś stał tuż za nią, oparty o regał. Nagle, bez uprzedzenia, pochylił się i dotknął jej ramienia końcami palców.

Opowiadała mi o tym, gdy siedziałyśmy po ciemku na patio. Poczułam, że moje ramię przeszywa dreszcz, a w majtkach chodzą mi mrówki. Wzdrygnęłam się i chciałam się podrapać, z pewnością też się zaczerwieniłam. Bałam się spojrzeć na Fridę, żeby nie zauważyła, co się ze mną dzieje, choć w mroku z pewnością nie mogła dostrzec mojej twarzy.

A potem Alejandro dotknął jej włosów. Szarpnęła się, zaskoczona. Przysunął się i lekko ją uszczypnął. Obejrzała się wreszcie i zobaczyła, że mruga do niej, dając znak, by za nim poszła.

Wyszedł pierwszy. Odczekała dziesięć minut, po czym wstała jak gdyby nigdy nic i również wyszła, zostawiając książki na stole.

Frida uwielbiała opowiadać mi o swoich... hm, doświadczeniach. Byłam od niej młodsza zaledwie o jedenaście miesięcy, ale w tym wieku jedenaście miesięcy to cała epoka, kawał czasu. Nigdy dotąd nie zadawałam się z chłopakami, więc kiedy Frida opowiadała, jak Alejandro na nią patrzy, jak jej dotyka, po prostu

nie mogłam się oderwać. Podniecałam się, zupełnie jakby to się przydarzyło mnie samej. A potem, potem szłam w kąt patio, za krzaki, no i... wie pan. Jestem pewna, że Frida dostrzegала, jak działają na mnie te historie, i upiększała je, dodawała rozmaite szczegóły, po to tylko, żebym poczuła się nieswojo. Czekał na nią w holu.

- Chodź - powiedział, prowadząc ją do małego pomieszczenia, używanego jako magazyn. - Spójrz - szepnął - kupiłem to na ulicy.

Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął barwny drobiazg z papier-mache - małego malowanego tukana na łańcuszku.

- Pomyślałem, że ci się spodoba. - Pochylił się i zapiął łańcuszek na jej szyi. - Kupiłem go od Lucha, starego handlarza przed katedrą. Ten był najładniejszy.

- Czułam jego oddech na twarzy - opowiadała później. - Pachniał karmelem.

Znów oblaży ją biedronki, te same, które poczuła, gdy pierwszego dnia zobaczyła go w Prepie, ale tym razem pełzły od jej łokci pod pachy, a potem...

Ja też je czułam.

Stała na czubkach palców i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Fridita, moja maleńka dziewczynka z Prepy...

- Nie jestem już dziewczynką, Alex.

- Jak mam opisać jego głos? - opowiadała. - Ciepły i jasny jak promienie słońca. Słodki i rozkoszny jak cukierki.

Zamknęłam oczy i usłyszałam głos Alejandra. Miałam wrażenie, że zaraz zemdleję.

- Zrobiło mi się gorąco, a jednak cała drżałam - szeptała Frida. - Nasze usta znalazły się tuż obok siebie. - Proszę! - zaczęła go błagać. Jego pocałunek był delikatny, wręcz rycerski.

- Nie - tchnęła - nie tak!

Wspięła się wyżej na palce i przywarła doń całym ciałem, równocześnie wsadzając mu język w usta. Przyciągnął ją do siebie i mocno, głęboko pocałował. Ale Fridzie to nie wystarczało.

Taka już była. Nic jej nigdy nie wystarczało.

- Powiedz, no powiedz, co zrobił potem! - prosiłam.

- Co mi dasz, jeżeli ci powiem?

- Mojego... mojego klauna, kukiełkę!

- A na co mi twoja głupia kukiełka! - roześmiała się. - Kukiełki są dla dzieci. Nie interesuje mnie twój klaun.

Specjalnie mnie dręczyła.

- To nie wiem. Co byś chciała?

Papa kupił mi tę kukiełkę na ulicy. Miała piękny czerwony kołnierz i barwnie malowaną twarzyczkę. Traktowałam ją jak skarb, chętnie jednak rozstałabym się z nią, żeby usłyszeć dalszy ciąg opowieści Fridy, choć Papa zmartwiłby się na wieść, że ją oddalam. Papa był... jak to powiedzieć?... Wrażliwy. I choć nie byłam jego ulubienicą, kupił mi prezent - prezent, na który nie mógł sobie pozwolić.

- Twój złoty medalion!

- Och, Frida, nie! Wszystko, tylko nie medalion!

- A właśnie że medalion! Włożę do niego kosmyk włosów Alejandra!

- Ależ, Frida! - załkałam. - Nie mogę go oddać. To prezent komunijny. Mam go od lat. Mami mnie zabije. Ale Frida zawsze zdobywała to, czego chciała.

Sądę, że Alejandro bardzo się zdumiał. Lubił pofiglować, ale pochodził z dobrej rodziny i w gruncie rzeczy wiedział, jak daleko wypada posunąć się z dziewczyną.

- Spokojnie, mała Frido - roześmiał się. - Zaczekaj, nie śpiesz się tak. Ale Frida nie chciała czekać.

- Tak - dyszała. - Śpieszmy się! Śpieszmy!

Znów ją pocałował. Zamknęła oczy i ujrzała pod powiekami pajęczynę jaskrawych świateł na tle fosforyzującej czerni, siatkę błyszczących, cieniutkich nici, błękitnych, turkusowych, czerwonych i różowych. Każdy centymetr jej ciała przeszywały dreszcze.

W każdym razie tak mi to opisała. „Pajęczyna jaskrawych świateł. Siatka błyszczących, cieniutkich nici”. A może i nie. Może sama zmyśliłam to później?

Mocno chwyciła go za włosy.

- Całuj mnie - błagała. - Naprawdę mnie całuj!

Lekko ukąsiła jego wargi, po czym otworzyła usta. Gryzła i ssała, jakby chciała go pożreć, jakby chciała wchłonąć go całego, połknąć, na zawsze zatrzymać w sobie. Uwiesiła się jego szyi, zmuszając, by ją uniósł, i z całej siły ocierała się o niego.

O Boże, po tylu latach jeszcze czuję ich namiętność.

- Ależ z ciebie żarłoczna istotka!

Alejandro pewnie miał wrażenie, że znalazł się w zamkniętym pomieszczeniu z bombą.

- Jestem głodną tygrysyką! - mruknęła gardłowo Frida. - I zamierzam cię zjeść!

- Frida, proszę...

Jego głos brzmiał niewyraźnie i kleiście - przynajmniej tak to opisała. Podniecała ją myśl, że to przez nią zaczął mówić w taki zdławiony, chrapliwy sposób.

- Alex, kochany - mruzczała - to takie cudowne!

Wsunęła dłonie pod jego marynarkę i zaczęła go gładzić po plecach. Lekko wilgotne sukno pachniało cytryną i skorupiakami. Wtuliła twarz w szyję Alejandra i przez chwilę chłoneła tę woń, po czym rozluźniła mu krawat i rozpięła koszulę. Polizała skórę na jego piersi i poczuła na języku jej słodko-słony smak. Oddychał ciężko, z wysiłkiem.

- Wydawało mi się, że mam halucynacje - opowiadała. Przez błyszczącą sieć pod jej powiekami przewijały się idee,

widzialne, niemal dotykalne pomysły, które, zda się, pulsowały w rytm nierównego oddechu Alexa. Idee, które odznaczały się barwą, formą i ruchem, ku centrum zaś sieci zmierzała jedna dziwna, piękna, przerażająca myśl: J a tego dokonałam. Ja sprawiłam, że odjęło mu dech. Potrafię sprawić, że straci panowanie nad sobą, siłę woli, a nawet rozsądek. Kocha mnie. Kocha mnie.

Tak właśnie myślała, jestem tego pewna.

- Czuję, jak mnie pragniesz! - szepnęła mu do ucha. Wsunęła dłoń w jego spodnie i przesunęła niżej, na pośladki.

Dotknęła ich krągłości, pęknięcia między nimi, mocnych, napiętych mięśni górnej części uda. Zaczęła delikatnie go ugniatać, aż łzy stanęły mu w oczach. Musiał być całkiem sztywny. Na pewno czuła, jak napiera na nią przez tkaninę spodni.

- Dotknij mnie!

Wyciągnęła bluzkę ze spódnicy.

- Frida, nie! Jesteś jeszcze dzieckiem!

- Nie takim znów dzieckiem, Alex. Mam piętnaście lat, nie trzynaście, jak ci powiedziałam.

- Nieprawda! Dzieciak z ciebie!

- Kłamałam!

Powiedziała wszystkim, że jest młodsza, niż była w istocie, i w tej chwili to się na niej zemściło.

- Teraz kłamiesz!

- Nie, mówię prawdę!

- Skąd mam wiedzieć?

- Bo jestem z tobą, Alex, a tobie nigdy bym nie skłamała. Kiedy mówiłam, że mam trzynaście lat, była przy tym cała paczka! To co innego!

Wzięła jego rękę i wsunęła sobie pod bluzkę.

- Poczuj mnie! - błagała. - Dotknij mnie, chcę, żebyś dotknął moich cyków! Włóż mi palec pod stanik! Widzisz, jest luźny, możesz włożyć rękę! Ale dłonie Alexa mocno obejmowały Fridę w talii.

- Dlaczego skłamałaś, mówiąc, ile masz lat?

- Bo kiedy chorowałam na polio, straciłam dwa lata życia. One się nie liczą.

Ha, Frido! Wszystko na nic! Pewnie aż się skręcała. Chciała, żeby chłopak ją pomacał, a on wyraźnie przeprowadzał śledztwo!

- Przecież to bez sensu! - upierał się.

- A co to nas obchodzi?

Próbowała położyć jego dłoń na swej piersi, ale czar przysł. Odepchnął ją lekko.

- Nie mogę tego zrobić tutaj - szepnął.

- Ależ możesz!

Podążyła do przodu, trykając go w pierś niczym koźlą. Rozchyliła mu koszulę, wzięła w usta jego sutek i delikatnie ugryzła.

- Och, Alex - jęknęła - pozwól mi possać, mi *Amor!* Pozwól! Ach, pozwól!

- Dygotałam od czubków włosów po podeszwy stóp - opowiadała mi później.

Ale to nieprawda. Kłamała. Wszystko się skończyło. No, może nie dla niej... ale z pewnością dla niego.

- Nie, Frida, nie! - powtarzał w kółko. - Nie tutaj! Tutaj nie możemy!

Frida odsunęła się. Musiała. Alex nie zamierzał posunąć się dalej i koniec.

- Musiałam chwycić się szarki, żeby nie stracić równowagi - opowiadała tego wieczoru, gdy siedziałyśmy w ciemności na patio. Mówiła niskim głosem, jakby zwierzała się z rozkosznego sekretu, a nie przyznawała do porażki. - Kręciło mi się w głowie, moje ciało stało się ciężkie i płynne, miałam wrażenie, że zaraz się rozpląnę i przesiąknę przez podłogę. Och, Cristi - jęknęła. - Do niczego nie doszło, a jednak było cudownie! To był początek! Wiedziałam, że odtąd Alex i ja będziemy parą!

W rzeczywistości na pewno myślała, że wszystkie dziewczyny umrą z zazdrości.

Wyciągnęła do Alexa dłoń, on zaś ucałował jej palce jeden po drugim. Następnie złożył pocałunki na jej dłoniach i wnętrzach przegubów.

- Kocham cię, Alex - rzekła Frida.

Obdarzył moją siostrę tym samym olśniewającym uśmiechem, jakim rozbroił ją przy pierwszym spotkaniu.

Na tym ta historia powinna się zakończyć, ku niebu powinny popłynąć różnobarwne baloniki, a skrzypce zagrać... bo ja wiem... walca? Ale Frida nigdy nie wiedziała, kiedy przestać.

- Alex? - zagadnęła cicho.

- Hm?

- Pamiętasz tę dziewczynę, z którą rozmawiałeś tego dnia, kiedyśmy się poznali?

- Jaką dziewczynę?

- No wiesz, tę z jasnymi włosami.

- Nie pamiętam.

- Ależ pamiętasz! Chyba ma na imię Raquel.

- Nic nie wiem.

- Wiesz. W całej szkole jest tylko trzydzieści pięć dziewczyn. Musisz wiedzieć, o kogo chodzi.

- Nie jestem pewien, Fridita. No i co?

- O czym z nią rozmawiałeś?

- Nie pamiętam, przysięgam. W ogóle jej sobie nie przypominam. Ale...

- Ale co?

- Ale pamiętam pewną bardzo ważną kwestię... o filozoficznym... nie, teologicznym znaczeniu...

- Tak? Jaką ważną kwestię?

- Zaraz, zaraz, niech sobie przypomnę... Coś o meduzach? Frida z rozmachem objęła chłopaka ramionami.

- Ależ z ciebie złośliwiec! - powiedziała, szturchając go palcem w brzuch.

A więc, widzi pan, przynajmniej ta historia dobrze się kończy.

- Chodźmy - popchnął ją lekko w stronę drzwi. - Musimy wracać.

- Okej.

- Idź pierwsza. Odczekam dziesięć minut i też przyjdę.

- Nie, chodźmy razem.

- Ale wtedy wszyscy się dowiedzą.
- No to co?
- Chyba nie chcesz, żeby pomyśleli...

Ale właśnie tego chciała. Nic nie sprawiało jej większej przyjemności niż gorszenie otoczenia. Uwielbiała, kiedy ludzie otwierali szeroko oczy i gapili się na nią z niedowierzaniem. Czowała się wtedy lepsza od nich.

- Nie do wiary, że on wciąż ulega burżuazyjnym przesądom - mówiła do mnie z oburzeniem. - Zwykli ludzie, Indianie, nie wstydzą się takich rzeczy. Miłość, seks, rodzenie dzieci - to dla nich naturalne. Dlaczego my nie możemy traktować tego tak samo? Jak sądzisz, po co robiliśmy rewolucję? Żeby wyzwolić się z więzów europejskich manier!

- Proszę cię - zaprotestowałam - tylko nie zaczynaj przemówienia. Rozzłościła się... wstała i... i weszła do domu. Na... następnego

dnia... kiedy wróciła ze szkoły... miała na szyi medalion... mój złoty medalion... ten, który dostałam na Pierwszą Komunię... a w środku tkwił pukiel włosów Alexa. Przepraszam... nie wiem... nie wiem, czemu tak chlipię... nagle poczułam się taka... taka... ja prawie nigdy nie płacę... Wszystko jedno... widzi pan... tutaj... mam ten medalion... widzi pan? Zabrałam go po jej śmierci. Zawsze go noszę. Dostałam go tyle... tyle lat temu... kiedy byłam mała. Zawsze go noszę. Przy... przypomina mi Fridę.

ROZDZIAŁ 6

Wybryki

Nasza siostra Maty zachowywała się jak kotka w rui i mama w żaden sposób nie potrafiła sobie z nią poradzić. Wilberto Luzarraga, chłopiec, którego rodzice wybrali dla Maty, miał doskonałe rewolucyjne referencje, ale nosił sztuczkowe garnitury i wiązał sznurowadła w idealnie symetryczne kokardki, więc oczywiście zupełnie nie nadawał się do romansu. Nie, Maty poleciała na podrywacza imieniem Paco, który przybłąkał się nie wiadomo skąd i który z pewnością (przynajmniej zdaniem Mami) nie zarobiłby na utrzymanie, ale za to miał zmysłowe brązowe oczy i wąsy niczym Zapata, chociaż właściwie był jeszcze chłopcem. Maty bez przerwy odgrażała się, że z nim ucieknie, a Frida ją podjudzała.

- Umrę! Nie mogę żyć bez Paca! - żaliła się Maty.

- To idź do niego! Idź! - zachęcała ją Frida. - Sypia z nim - szepnęła do mnie na stronie.

- Skąd wiesz?

- Powiedziała mi.

Musiałam mieć minę, jakbym ujrzała Pancho Villę wchodzącego nago do kościoła, bo Frida zachichotała.

- Ależ z ciebie dzieciak, Cristi. Jak sądzisz, co dziewczyna z takimi cyckami jak Maty robi ze swoim chłopakiem? Łuska groch albo haftuje pościel? Oczywiście, że się pieprzą.

Frida miała wtedy około siedmiu lat.

To prawda, że Maty zawsze oglądała się za chłopakami. Po wojnie, kiedy ulice znów stały się bezpieczne, Mami co piątek zabierała moje siostry i mnie na ricrnguis - indiańskie targi. Ludzie

z rozkoszą i ulgą wychodzili z domów i w piątkowe poranki tłumnie podążali na rozległy plac targowy, aby kupić na straganach ziarno i warzywa. Handlowano tu wszystkim - kolorową ceramiką, ozdobami z papier-mache, koszykami, haftowanymi bluzkami, ręcznie tkanymi kocami, krochmalem na wysypkę i węglem na ból brzucha. Mami uwielbiała chodzić na targ. Nie wysyłała służby, lecz sama załatwiała sprawunki, zwykle zabierając ze sobą Inocencję, która pomagała jej nosić torby. Wciągała brzuch - pomimo czci oddawanej Najświętszej Paniencie była z niej niezła kokietka - po czym wkraczała między stragany i targowała się, aż uzyskiwała pożądaną cenę.

W kwestii targów Maty prawie dorównywała Mami chytrą, lecz szybko traciła zainteresowanie negocjacjami i nigdy nie umiała się porządnie skupić. Zaczynała, na przykład, użerać się z handlarzem kur: „I to ma być kura? Ta wychudła pokraka? Wygląda, jakby zdechła na suchoty! U don Tita dostanę dwa razy grubszą kurę za pół ceny!”. Ale wówczas wpadał jej w oko jakiś młody przystojniak, który przyszedł po koce, owies dla konia albo siodło, i całkiem zapomniała o kurach. Druga pod względem starszeństwa, Adriana, nadawała się tylko do tego, by pomagać Inocencji dźwigać paczki, a Frida i ja, jako małe dziewczynki, głównie pętałyśmy się wszystkim pod nogami, co chwila wpadając w tarapaty.

Na targach kwitła zapatystowska propaganda. W każdy piątek za jednego *centauro* można było kupić ilustrowany zbiór rewolucyjnych *corridos* - pieśni ludowych - wydawanych przez drukarza nazwiskiem Jose Guadalupe Posada. Oglądałyśmy karykatury wypindrzonych panius z towarzystwa, przedstawionych jako szkielety w ogromnych kapeluszach z kwiatami, i pękałyśmy ze śmiechu. Po powrocie do domu chowałyśmy się w maminym *armaño* i śpiewałyśmy, wrzeszcząc wniebogłosy:

Si Adelita me fuera eon otro La seguía por tierra y por mar, Si por mar en un buque de guerra Si por tierra en un tren militar.

Gdyby Adelita uciekła z innym, Ściagałbym ją przez lądy i morza, Jeśli po morzu, to wielkim okrętem, A jeśli po lądzie, to pociągiem wojskowym.

Maty nie śpiewała. Nie interesowała jej polityka ani *corridos*. Interesowali ją wyłącznie mężczyźni. Od chwili zaś, gdy ten łobuz Paco wśliznął się podstępnie w jej życie, mówiła już tylko o tym, że z nim ucieknie. „*Quiero realizarme en el amor* - powtarzała.

- Chcę się spełnić w miłości". I przewracała oczami niczym Claudette Colbert.

Frida i Maty zaplanowały ucieczkę, nic mi o tym nie mówiąc. Byłam zaledwie dzieckiem, a poza tym uważały mnie za tchórza. Może bały się, że powiem o wszystkim Papie - na pewno bym tak zrobiła, gdyż przerażał mnie sam pomysł, że Maty ucieknie i będzie mieszkać z kimś obcym. Nie chodziło o niejasne pochodzenie tego człowieka i nie o to, że nie miał pieniędzy. Byłam za mała, by dbać o jego koneksje lub portfel. Po prostu bałam się, że Maty odejdzie na zawsze i już nigdy jej nie zobaczę. Miałam sporo racji. Zniknęła na bardzo długo, kiedy bowiem uciekła ze swoim ukochanym, zbyt się wstydziła, aby pokazywać się w Coyoacan. Zatrzymała się aż w Veracruz i minęły całe lata, zanim wróciła.

Tej nocy, kiedy odeszła, poszła spać o zwykłej porze, ale nie zasnęła. Frida pomogła jej zawinąć ubrania i pieniądze w tobołek, a następnie ukryła tak dobrze, że nawet Rufina go nie znalazła

- Rufina, która szorowała podłogę naszej sypialni szczoteczka do zębów, szukając domniemanych dowodów winy. Żaden szczegół nie umknął uwagi służącej. Sprośne książki, podarte liściki miłosne, popiół z papierosa - wszystko to dostrzegała okiem sępa i biegła do Mami, aby na nas donieść. Ale nawet jej nie udało się znaleźć tobołka Maty i po dziś dzień nie mam pojęcia, gdzie go schowały. Może zagrzebały go w brudnej bieliźnie Fridy, a może wepchnęły w poszewkę. Z Fridy był prawdziwy Houdini, kiedy coś miało zniknąć.

Oczywiście, że widziałam Houdiniego. Nie na żywo, ale w kronikach filmowych. Jest pan dokładnie taki sam jak Frida. Też pan uważa, że nie mam pojęcia, co się dzieje.

W każdym razie kiedy wszyscy poszli spać i w domu zapanowała taka cisza, że słyhać było, jak ćma pierdzi, Maty na palcach przekradła się do naszego pokoju i zdjęła nocną koszulę, pod którą miała długą, starą, czarną spódnicę, białą bluzkę i szal.

- Czemu Maty jest ubrana? - zapytałam szeptem.

- Zamknij się, kurzy mózdzku - odparła Frida. - Służymy sprawie prawdziwej miłości.

Jak już panu mówiłam, Frida w owym czasie miała siedem lat, Maty zaś około piętnastu.

Pomagając Maty w ucieczce, Frida czuła się dojrzała, ważniejsza, uczestniczyła w dorosłym świecie romansu i przygody. Ja, jako dziecko, nie byłam na to gotowa, przynajmniej zdaniem Fridy. Zawsze nazywała mnie dzieckiem, choć urodziłam się tylko jednaście miesięcy po niej.

Przetarłam oczy i zaczęłam się zastanawiać, czy Frida znów powie mi, że to zdarzenie ma coś wspólnego z księżniczką Fridą Zorafdą. Już jakiś czas temu pojęłam, że księżniczka nie istnieje, ale nigdy nie wiedziałam, jaką bzdurę znów wymyśli moja siostra. Tymczasem Frida aż pokraśniała z podniecenia i nieustannie podskakiwała, jakby ktoś przypalał ją w pięty. Krążyła wokół Maty, szeptała i świergotała, zakrywając dłonią usta, aby nie narobić hałasu. Maty ze swej strony zachowywała się z dziwną rezerwą, a kiedy Frida podała jej tuzin monet wysupłanych ze zwiniętej pończochy, z trudem opanowała drzenie górnej wargi. Następnie Frida wyjęła spod poduszki fotela kilka przedmiotów: cenną haftowaną chusteczkę do nosa, złoty krzyżyk, scyzoryk i ulubiony kolorowy kamień, który znalazła na spacerze z ojcem. Wcisnęła to wszystko w dłonie Maty i płasając, podbiegła do okna. Otworzyła je ostrożnie, żeby nie zaskrzypiało - czasem to okno piszczało jak rodząca maciora, ale kto wie, może Frida zdążyła je naoliwić - i zanim się obejrzałam, Maty już przekładała nogę przez parapet. W migotliwym świetle lampy naftowej jej

skóra nad trzewikiem miała wygląd kości słoniowej; wzdrygnęłam się na myśl o tym, że spocznie na niej szorstka, podobna do granitu ręka Paca. Odwróciłam wzrok od rozwartych ud siostry i zachciało mi się płakać. A może i nie? Może wszystkie te myśli przysły mi do głowy dopiero, kiedy byłam starsza i zaczęłam wspominać? Tak czy inaczej, Maty w mgnieniu oka znalazła się na zewnątrz.

Ogarnął mnie smutek, jakby ktoś umarł. Jak to, pana to dziwi?

To prawda, że do tej pory niewiele mówiłam o Maty. W końcu interesuje pana Frida. Ale w dzieciństwie Maty i ja byłyśmy sobie bardzo bliskie. Maty grała rolę starszej siostry, przyjaciółki i przewodniczki, właśnie do niej się przytulałam, kiedy czułam, że porywa mnie płynący rynsztokiem potok szczyń. Miałam niewiele lat, gdy uciekła, i przez większość okresu, który opisuję, pozostała nieobecna. Co innego Frida; ta zawsze znajdowała się w centrum wydarzeń. Przez całe moje życie wszystko kręciło się wokół Fridy.

Wróćmy jednak do opowieści.

Poczułam, że mój świat się rozpada. Przeszyła mnie myśl, że skoro Maty mogła odejść, to może to zrobić także Mami, Adriana lub Frida, a ja zostanę sama. Tymczasem Frida biegała po pokoju, chichocząc i machając rękami. Dla niej był to tylko kolejny figiel.

Z ulicznych ciemności niczym duch wynurzył się Paco, niosąc latarnię o mętym, niesamowitym świetle, które zniekształcało jego twarz, nadając jej diaboliczny wyraz. Maty podała mu rękę i oboje zniknęli w mroku nocy.

I to właściwie koniec. Nie wszyscy żyli długo i szczęśliwie, Maty zaś ponownie zjawiała się u nas dopiero znacznie później. Ale, Bogu dzięki, nie straciliśmy jej na zawsze, powinnam chyba zatem powiedzieć: „Ciąg dalszy nastąpi...”.

Jak to, pan nie rozumie, po co to wszystko opowiadam? Chodzi o to, że Frida zawsze była skłonna do psot. Pomoc, jakiej udzieliła Maty, nie miała nic wspólnego z fascynacją prawdziwą miłością. Nie istniał żaden romantyczny motyw, skrzypce nie grały w blasku księżyca. Po prostu Frida lubiła przekraczać granice, sprawdzać,

ile jej wolno. Taka była jako mała dziewczynka i taka pozostała wiele lat później jako uczennica Prepy. Właśnie do tego zmierzam. Niech pan zaczeka, nie mogę mówić o wszystkim naraz. Zaraz, zaraz... szkoła... Zaraz, niech złapię oddech.

Jak już mówiłam, Prepa stanowiła miejsce szczególne i bez przerwy zjawiały się tam jakieś ważne osobistości. Chcę powiedzieć, że osoby wybitne nie były w Prepie czymś nadzwyczajnym. W skład ciała pedagogicznego wchodziłi ludzie znani w całym Meksyku, niekiedy wręcz prominenci, tacy jak José Vasconcelos; nawet prezydent republiki czasem wygłaszał tam gościnne wykłady. Zblazowana młodzież zazwyczaj niewiele sobie robiła z odwiedzin dygnitarzy, lecz gdy Lombardo Toledano ogłosił, iż do szkoły przybędzie aktor Camilo Ramón Echegaray, dzieciaki wprost oszalały. Echegaray grywał w teatrze, nie w filmie, i uważany był za najlepszego aktora w hiszpańskojęzycznym świecie.

Musi pan wiedzieć, że w owym czasie prawie nie istniała oryginalna dramaturgia meksykańska i większość spektakli w Pałacu Sztuk Pięknych czy w teatrach lokalnych grano w języku kastylijskim. Była to przeważnie klasyka, *Rycerz z Olmedo* Lope de Vega i podobne rzeczy. Z rzadka wystawiano regionalne meksykańskie musicale, ale nawet wtedy aktorzy prawie zawsze pochodzili z Hiszpanii. Wymawiając „c” i „z”, wytwornie seplenili, a swoje kwestie deklamowali niczym oratorzy, choćby grali włóczędów lub klaunów.

Otóż Papa zabrał Fridę do teatru, żeby obejrzeć grę Echegaraya. Ja nie poszłam. Właściwie nikt mnie nie zapraszał, lecz wcale mnie to nie obeszło. Bywałam już w teatrze i szczerze nie znosiłam staroświeckich hiszpańskich sztuczydeł. Co innego, gdyby ominął mnie musical z dużą ilością *corndos*.

Frida, która uznała Echegaraya za osła, zareagowała tupaniem i gwizdami - wielka szkoda, bo Papa wydał mnóstwo pieniędzy na bilety, a z pieniędzmi było u nas krucho. Biedny Papa. Opowiedziała mi o tym, wielce z siebie zadowolona, niczym hrabina w ośmiokonnej karecie.

Carmen, która także obejrzała spektakl, nazwała Echegaraya „rżącym czworonogiem”. „Dlaczego zamiast tego kolonialisty - fukala - Lombardo Toledano nie zaprosi do Prepy meksykańskiego poety albo dramaturga?”.

Wspólnym wysiłkiem Cachuchas wymyślili, w jaki sposób okazać dyrektorowi Toledano, co sądzą o jego gościu. Rano przed występem Echegaraya, kiedy uczniowie gromadzili się w auli, Angel Moreno przemycił do jednej z pustych klas trzy duże świnie z farmy swego wuja.

- Były piękne! - relacjonowała potem Frida.

Przyjaciele mojej siostry patrzyli w zdumieniu, jak Frida wyciąga z teczki resztki tkanin, błyskotki, kawałki wstążek, włóczki i papierowe kwiaty, po czym przyozdabia zwierzęta misternymi girlandami.

- Wszyscy uznali, że mam doskonale wyczucie koloru - wyznała, bardzo z siebie dumna. - Tylko ten głupi Lorenzo, wiesz, co powiedział? Że powinnam projektować suknie!

Najwyraźniej uważała projektowanie sukien za coś poniżej swojej godności, choć kiedy dorosła, często nosiła stworzone własnoręcznie kreacje. Ale rozumiem, dlaczego kolega uznał, iż powinna zająć się modą. Była ogromnie wybredna w kwestii strojów i biżuterii, doboru barw, wstążek do włosów. Wszystko musiało do siebie pasować. Sprytna Frida. Muszę przyznać, że jej zdolności nie ograniczały się tylko do matematyki, fizyki i filozofii. Umiała tak się wystroić, że tuszowała swoje defekty. To znaczy, nie była specjalnie ładna - mówiłam już o tym - ale bardzo dbała o wygląd. Godzinami ubierała się i układała włosy. Musiała odwrócić uwagę ludzi od brzydkiej, zdeformowanej nogi.

Frida stworzyła najmodniejsze świńskie stroje, jakie kiedykolwiek widziano. W pewnej chwili jedna z macior, nic sobie nie robiąc z mody, zaczęła żuć kawałki krepiny leżące na podłodze.

- Nie dawajcie jej jeść! - wrzasnął Alberto. - Nasra na podłogę w auli!

- Tym lepiej - roześmiała się Frida. - Jedno gównu zasługuje na drugie.

O wyznaczonej porze dwaj członkowie grupy, stojący na warcie przy drzwiach, dali znak Fridzie i Alejandro. Świnie zostały wypuszczone i przepędzone korytarzem do auli.

Echegaray przygotował dla nas recytacje wielkich monologów z hiszpańskich utworów dramatycznych. Właśnie zbliżał się do kulminacyjnego punktu przemowy Sigismunda z drugiego aktu *Życie jest snem* i z patosem deklamował: „Czym jest życie - snem szaleńca”, gdy Alejandro, jedna po drugiej, wepchnął świnie do sali zgromadzeń.

Zwierzęta, rozdrażnione koniecznością noszenia kostiumów i przerażone nieznanym otoczeniem, z piskiem popędziły wzdłuż przejścia niczym uciekinierzy z domu wariatów. Rozpętało się piekło. Niektórzy uczniowie rzucili się na świnie, inni weszli na krzesła, wszyscy zaś się śmiali i przeraźliwie krzyczeli. Zapanował nieopisany zamęt. Wielki aktor zrobił się fioletowy jak oberżyna i aż się zapluł z wściekłości. Gdy Lombardo Toledano podał mu na uspokojenie szklanekę wody, Echegaray roztrzaskał ją o mównicę.

- Wpadł w hiperboliczny szał - orzekła Frida. Tak właśnie powiedziała: „Hiperboliczny szał”.

Lombardo Toledano nie znosił wszystkich Cachuchas, ale szczególnie znienawidził Fridę. Przynajmniej tak mówiła; Frida wołała nienawiść niż obojętność, więc może trochę przesadzała. A może i nie; Lombardo bowiem tego samego dnia złożył skargę na ręce Vasconcelosa. Wyobrażam sobie, jak załamując dłonie, wypłakuje się przed ministrem edukacji: „W tych warunkach nie mogę kierować szkołą. Ta dziewczyna nie szanuje żadnych autorytetów”.

Lecz Frida, bezwstydna niczym dziwka w letnią noc, sama poszła do Vasconcelosa.

- A czego pan się spodziewa? - zapytała.

Widzę naszą uroczą Fridę, jak stoi przed nim, ubrana w skromną bluzeczkę i plisowaną spódniczkę, z kokardą we włosach, szeroko otwierając ogromne, zniewalające oczy.

- Mieliśmy odzyskać Meksyk dla Meksykanów, a Lombardo Toledano sprowadza nam z Hiszpanii ten gnijący odwłok.

Kto wie, co Vasconcelos powiedział dyrektorowi o tym spotkaniu, lecz nie minęło kilka dni, a Papa został poproszony na rozmowę.

- Opiecalem, sze odtąd Frida będzie chodzić na lekcje i grzecznie się sachofyfać - zobowiązał się. Mami się wzburzyła.

- Mówiłam ci, że to błąd, posyłać ją do szkoły dla chłopców

- syczała. - Niczego się nie uczy i tylko traci czas! Wyrośnie na gorsze ziółko od swojej siostry!

Choć minęło dużo czasu, ucieczka Maty wciąż tkwiła ciemniem w sercu Papy. Mami wspomniała o niej, gdyż wiedziała, że w ten sposób pobudzi ojca do działania.

- To sze musi skończyć! - ryczał Papi na Fridę, która tym razem nie ośmieliła się pokpiwać z jego akcentu; widziała, że jest naprawdę zdenerwowany i nie chciała sprowokować kolejnego ataku padaczki.

Jej zachowanie poprawiło się, przynajmniej na jakiś czas.

Ale potem, na lekcji psychologii, narysowała karykaturę nauczycielki jako śpiącej słonicy i puściła ją w obieg po klasie. Lekcja skończyła się przed czasem.

Na francuskim sklepiła ze sobą stronice podręcznika, z którego korzystał nauczyciel, żeby nie mógł go otworzyć.

A pewnego ranka Cachuchas przejechali na mułach szkolnym korytarzem.

Do najgorszych wybryków należał ten z fajerwerkiem.

Antonio Caso, nauczyciel filozofii, był bardzo szanowany w kręgach intelektualnych, ale Cachuchas uważali go za prawicowego snoba.

- Wykłada nam Platona! I Arystotelesa! - zżymała się Frida.

- Kiedy wreszcie zaczniesz mówić o czymś istotnym? O Marksie i Engelsie nawet nie wspomni!

- O kim?

- O Marksie i Engelsie! Rany boskie, Cristi, ale z ciebie głupek. No pewnie. Głupia Cristi. Skąd miałam coś wiedzieć o Marksie

i Engelsie? To nie ja uczyłam się w Prepie. Wielu rzeczy dowiedziałam się później, bo Frida bez przerwy o nich mówiła. On sporo mnie nauczył, dużo usłyszałam także od komunistów, którzy kręcili się koło Fridy po jej ślubie. W tamtych czasach jednak nie miałam o niczym pojęcia.

Caso prowadził wykłady w Generalito, dużej sali, gdzie niegdyś mieściła się kaplica. Cachuchas właściwie chcieli tylko trochę go postraszyć, nie wyrządzając wielkich szkód. Ktoś, nie pamiętam już kto, zaproponował, by przywiązać kilka fajerwerków mułowi do ogona i wpuścić go do sali wykładowej, lecz ktoś inny przypomniał, że już raz zrobili taki figiel z psem.

- Ale pomysł z fajerwerkami jest niezły - powiedziała Carmen. W końcu ustalili plan działania. Chodziło o to, żeby umieścić

nieduży fajerwerk na zewnątrz okna znajdującego się tuż nad katedrą wykładowcy. Do fajerwerku mieli przywiązać długi lont, który paliłby się przez co najmniej dwadzieścia minut. Większość Cachuchas udałaby się na wykład, a Alejandro, Miguel i Manuel chcieli w ogóle opuścić szkołę, żeby uniknąć podejrzeń. Osoba zapalająca lont zyskałaby czas na ucieczkę, a wszyscy mieliby alibi.

Pociągnęli zapalki, żeby wyłonić osobę, która podpali lont. Padło na Pepe - Josego Gómeza Robledo.

- Niech to szlag! - jęknął. - Dlaczego to ja zawsze odwalam brudną robotę?

Ustalonego dnia Alejandro, Manuel i Miguel dołożyli starań, by Lombardo Toledano zauważył, że wychodzą ze szkoły przed wykładem Antonia Caso. Frida, Carmen i reszta chłopców poszli na wykład i siedząc w ostatnim rzędzie, udawali, że pilnie notują. Gómez Robledo podpalił lont, wrócił do sali i usiadł obok Fridy.

Czekali.

Frida co pół sekundy zerknęła na zegarek. Pepe gryzł wargę.

Carmen nieustannie zerknęła w okno i szarpała kołnierz swej luźnej brązowej kurtki. BUM!

Szyba pękła z hukiem, a na głowy uczniów posypał się deszcz kamyczków i odłamków szkła.

Wśród słuchaczy wybuchła histeria, rozległy się krzyki, wycia i zawodzenia. Frida i Carmen próbowały udawać zaskoczenie, lecz spojrzały po sobie i parsknęły śmiechem.

Pozostali patrzyli na wykładowcę. Nie wiedzieli, co robi - ciśnie notatkami o ziemię i wybiegnie z sali? Wybuchnie gniewem? Wskaże kogoś palcem?

Zapadło długie milczenie. Uczniowie wiercili się niespokojnie, wstrzymując oddech. Niektórzy rozglądali się po sali, szukając na twarzach kolegów oznak winy.

Caso otrzepał ubranie i spojrzał na morze twarzy przed sobą. Na policzku miał kilka małych skaleczeń, lecz większość odłamków spadła na jego ubranie i na katedrę. Zaczekał, aż wrzawa ucichnie, i powiedział:

- Panie i panowie, tak jak wspominałem, poetyka Arystotelesa była opacznie rozumiana przez całe pokolenia nowoczesnych dramaturgów. Istota trzech jedności, czasu, miejsca i akcji, nie polega na tym...

Muszę powiedzieć panu coś o Fridzie. Bardzo ją kochałam. Była inteligentna i zabawna, wszystko mi opowiadała. Przyjaźniłyśmy się. To prawda, że Maty zajmowała w moim sercu szczególne miejsce, ale odeszła, kiedy miałam zaledwie sześć lat, poza tym była ode mnie o wiele starsza. Mnie i Fridę dzieliło tylko jedenaście miesięcy, czułyśmy się jak bliźniaczki. Jak pan sądzi, dlaczego potrafię przywołać te wszystkie wspomnienia? Bo Frida relacjonowała mi każde wydarzenie. To prawda, niekiedy spędzała z przyjaciółmi tak wiele czasu, że zapominała o mnie, lecz potem nadrabiała zaległości i wszystko mi mówiła, obficie sypiąc szczegółami. Może trochę przesadzała, ale cóż to szkodzi? Chyba naprawdę nie zdawała sobie sprawy, że ubarwia swoje historie, że w myślach je rozbudowuje. Oddzielenie faktów od zmyśleń przychodziło jej z trudem, ale, mój Boże, komu przychodzi to łatwo? Kto potrafi naprawdę ujrzeć rzeczy takie, jakimi są? Tylko Bóg. Każdą swoją

psotę Frida przeżywała dwukrotnie - raz, kiedy ją popełniała, drugi raz, kiedy o niej mówiła. Albo i częściej niż dwukrotnie, gdyż niektóre historie opowiadała mi w kółko, za każdym razem dodając nowe szczegóły. Opisywany wyczyn stawał się coraz bardziej zwariowany, a jej w nim rola - coraz większa.

Nikt nie znał Fridy tak jak ja. Ani Maty, ani Mami, ani o n.

To było u niej jak... jak choroba. A może lepszym określeniem jest „obsesja”. Zawsze musiała być ośrodkiem wydarzeń. Wszyscy musieli patrzeć właśnie na nią. Chciała wydawać się inna - i taką się wydawała, ale przyzna pan, że to dziwne. Z jednej strony, wszystkie miałyśmy w żyłach krew żydowską, a w Meksyku nawet kropla tej krwi wyróżnia człowieka, choćby był praktykującym katolikiem. A poza tym, hm... Frida zabiłaby mnie, gdyby to słyszała... była kaleką. Te dwie rzeczy rzeczywiście ją wyróżniały, lecz ona usiłowała je zamaskować. Zamiast tego pragnęła przekonać świat, że jest bardziej meksykańska niż Najświętsza Panienka z Guadelupe i bardziej sprawna fizycznie niż Alfredo Codona.

Nie słyszał pan o Alfredzie Codonie? Meksykańskim akrobacie, który pierwszy wykonał potrójne salto? Nigdy nie widział go pan w kronice filmowej? Ha! I pan ośmiela się sądzić, że to ja nie wiem, co się dzieje na świecie!

Jak już mówiłam, Frida chciała ukryć właśnie te rzeczy, które czyniły ją inną. Czasem myślę, że nie bardzo lubiła sama siebie, więc udawała, że nie obchodzi jej, czy inni ludzie darzą ją sympatią. Ale ta lekceważąca postawa stanowiła jedynie maskę.

Nie wiem, czy to, co mówię, ma jakiś sens.

Nie, nie próbuję zastępować pana w pracy. Po prostu opisuję swoje wrażenia. Myślałam, że o to panu chodzi. Jeżeli nie chce pan słuchać, proszę odejść. I tak dość się już dzisiaj nagadałam.

ROZDZIAŁ 7

Płaz

Powiem panu tyle - Diego był najbrzydszym człowiekiem, jakiego widziałam, dostatecznie nieładnym, by odnieść zwycięstwo w każdym konkursie brzydoty. Przypominał górę budyniu, za pomocą łopaty upchaną w wyświniony roboczy kombinezon.

Diego Rivera należał do grupy artystów, którym Vasconcelos zlecił namalowanie fresków na murach Prepy. Może pan sobie wyobrazić, że kiedy siedział na rusztowaniu, z ogromnymi pośladkami zwisającymi po obu stronach deski, stanowił dla Cachuchas doskonały cel. Pepe Robledo zaproponował, żeby podpalić wióry, których pełno walało się na podłodze pod platformą artysty. Alejandro jednak uznał, że lepiej powtórzyć numer z fajerwerkiem.

- Farba się rozprysnie i zostawi jakby ślady po ukąszeniach na całej alegorii poezji miłosnej - namawiał.

Cachuchas zamienili życie pozostałych malarzy w takie piekło, że niektórzy zaczęli przychodzić do pracy z bronią. Ale z Riverą sprawa nie przedstawiała się tak łatwo. Pracował akurat za zamkniętymi drzwiami w amfiteatrze im. Bolfvara, gdzie uczniowie nie mieli wstępu. Inwazja na pełną skalę nie wchodziła w grę.

Te zakazy i ograniczenia sprawiły, że dla Fridy cała zabawa stała się tym bardziej kusząca. Poza tym zżerała ją ciekawość - kim jest ten malarz wielki jak góra, o twarzy niczym żaba? Wyglądał sympatycznie, wcale nie był snobem. Przystawał na korytarzu, żeby porozmawiać z wielbicielami, i puszczał oko do ładnych dziewcząt. Frida sądziła, że nie pozwalał, aby uczniowie przyglądali

się jego pracy po prostu dlatego, że nie chciał się rozpraszać, ale chłopcy mieli na ten temat inne zdanie.

Rivera mierzył ponad metr osiemdziesiąt i ważył sto trzydzieści pięć kilogramów. W wyświechtanym kombinezonie i ogromnym kowbojskim kapeluszu sam stanowił niezły obrazek. Nosił brudne bucior, wiecznie zachlapanie farbą i tynkiem, oraz pas z amunicją i duży pistolet, potwierdzający jego rewolucyjny zapał (a może tylko do obrony przed Cachuchas). Miał rzadkie, zawsze rozczochrane włosy, dużą, okrągłą, dziecięcą twarz, pyzate policzki i mnóstwo podbródków. Jego oczy przypominały płazie ślepia - wylupiaсте jak u ropuchy, szeroko rozstawione, zdawały się poruszać niezależnie od twarzy we wszystkich kierunkach, zapewniając właścicielowi panoramiczną wizję. Usta też miał szerokie; odnosiło się wręcz wrażenie, że za nimi skrywa się cienki, lepki język, który za chwilę błyskawicznie schwyta muchę. Skóra Rivery odznaczała się zielonkawym odcieniem, z wyjątkiem piersi i wielkiego brzucha, gdzie była kremowa niczym podbrzusze żaby. Chodził rozpięty do pasa, w wiecznie rozchełstanej koszuli, obnażając beczkowaty korpus i miękkie ciało, pokryte kępkami włosów. Po dniu spędzonym w dusznym audytorium pot lał się strumieniem spod jego pach, z policzków i karku, co nadawało mu wygląd wodnego stworzenia, które właśnie wynurzyło się z jeziora. Miał nabrzmiąte białe piersi, przypominające pagórki sadła, gruby kark i prawie żadnych ramion. Z ogromnego torsu sterczały przednie kończyny, zakończone tłustymi, zdumiewająco drobnymi dłońmi o cienkich paluszkach - Frida zawsze powtarzała, że nie może uwierzyć, iż jest ich aż pięć, nie cztery, jak u żaby, i że te małe, pulchne łapki umieją tworzyć wspaniałe, potężne malowidła.

Muszę jednak przyznać, że przy całej swej otyłości Diego nie robił wrażenia ociężałego. W porównaniu z nim nasz szczupły, zgrabny Papa poruszał się znacznie bardziej niezdarne. Diego odznaczał się zwinnością, ale, co ważniejsze, umiał także długo pozostawać bez ruchu. Kiedy wykańczał jakiś detal fresku, jego

ciało wydawało się unieruchomione na wieczność, po czym raptownie zmieniał pozycję, robił gigantyczny dwu- lub trzymetrowy krok w bok, prawie sus, wie pan, zupełnie jak żaba. Wspomniałam już, że Frida od razu go polubiła, choć lojalność wobec Cachuchas kazała jej płać mu najzłośliwsze psikusy. Nie, nie tak. Płatała mu figle, bo się jej podobał i chciała zwrócić na siebie jego uwagę. Zachowywał się tak skromnie i przyjaźnie, że nie umiała się oprzeć jego urokowi, ja zaś pokochałam go po prostu, słuchając jej opowieści.

Oczywiście, wszystko to była gra. W rzeczywistości Diego Rivera wcale nie odznaczał się skromnością. Był pełen poczucia własnej ważności niczym tłusta hiszpańska kiełbasa.

Musi pan zrozumieć, że Diego już w wieku trzydziestu sześciu lat uchodził za gwiazdę, choć później, kiedy namalował freski w Pałacu Narodowym i obrazy, do których pozowałam, jego sława jeszcze wzrosła. Mówiłam już panu, że byłam jego ulubioną modelką. Nie, nie Frida - ja. Zawsze mówił, że moje miękkie... Że jestem pełniejsza, łagodniejsza. Frida miała w sobie jakąś twardość. Ja byłam bardziej kobieca.

O Diegu krążyły niezliczone plotki. Kiedy, na przykład, oglądałyśmy jego zdjęcie w „La Republica”, Frida nagle oświadczyła, że musi być półkrwi Chińczykiem. Nie wyglądał na Chińczyka, ale ona uznała, że przypomina brzuchatego Buddę. Carmen określała go: „Ten z fizjonomią prosięcia”. Naprawdę, czasem miałam dość tej całej Carmen i jej wymyślnych określeń.

W Prepie powiadano, że Diego jest częściowo Żydem, ale Frida nie brała udziału w tych dyskusjach. Nadal boleśnie odczuwała swoje pochodzenie. Mówiono też o Riverze, że ma w sobie krew portugalską i hiszpańską, albo indiańską. Ale w rzeczywistości nikt nic o nim nie wiedział.

- Podobno pochodzi z Rosji - oznajmił Pepe. - Ktoś słyszał, jak rozmawiał po rosyjsku z jednym z nauczycieli.

- Nie jest Rosjaninem - zaprzeczył Alejandro. - Po prostu w Paryżu miał dziewczynę Rosjankę.

- Miał dwie dziewczyny! - dodał Alberto.

- Miał także wiele innych dziewczyn - poprawiła Adelina Zandejas. - Przynajmniej tak twierdzi kuzyn ojca chrzestnego mego stryja, który zna Lupe Marin, kochankę Rivery.

- Tę modelkę? - zapytał Alberto. - Tę, która mu pozuje?

- Jedną z jego modelek. Ma ich cały tłum - Lupe, Nahui Oln i wiele innych.

- Myślicie, że pozują mu nago? - zainteresował się Pepe.

Chociaż wszyscy uważali się za zdeklarowanych rewolucjonistów, lekceważących burżuazyjne poglądy, za jedno spojrzenie na zgrabne damskie uda poszliby na piechotę do Oaxaca.

- Oczywiście, że nago! Nie widzieliście rysunków? - potwierdził Alejandro, który zawsze najlepiej się orientował. - To z tego powodu nie chcą nas tam wpuścić.

Przyznaję, że w ustach Fridy opowieści te brzmiały intrygująco. Nie miałam zamiaru uczyć się w Prepie, żeby zostać lekarką, ale dałabym wszystko za możliwość poznania niezwykłych ludzi, którzy przekraczali bramę szkoły, takich jak aktorzy filmowi Mimf Derba i Joaquin Cross, wie pan, ten z *El automobil gñs*. Co do mnie, to nigdy nie przydarzało mi się nic niezwykłego. To znaczy, mężczyźni oglądali się za mną, miałam wielbicieli, krzepkich chłopaków z wąsami, w znoszonych butach, z maczetami do zabijania węży. Ale nigdy nie poznałam żadnego artysty ani aktora.

- Nigdy i nikomu nie pozowałam nago - oświadczyłam, pełna świętego oburzenia.

- A ja tak. Boże, Cristi, ależ z ciebie *escuinclá*! Przecież wciąż jesteś tą samą osobą, w ubraniu czy bez niego.

Wiedziałam, że próbuje mnie zgorszyć, ale i tak się rozzłościłam.

- Wiesz - ciągnęła - nie miałabym nic przeciwko temu, żeby zostać modelką Diega Rivery.

- Jesteś obrzydliwa.

- Wielkie rzeczy! Przecież chcę zostać lekarką, a lekarze przez cały dzień oglądają gołych ludzi, tak samo jak artyści. Artyści

i lekarze muszą być wolni od tych głupich drobnomieszczańskich uprzedzeń, które żywicie ty i Mami.

- Jesteś katoliczką, prawda? "

Mami i Abuelita włożyły wiele wysiłku, usiłując zaszczepić w nas ideały skromności i czystości. Oraz poczucie przyzwoitości. *El decoro, hija* - gderwała Mami, kiedy przyłapała mnie z nogami na stole lub z palcem w nosie. *El decoro!*

Wzmianka o naszej ukochanej wierze bynajmniej nie speszyła Fridy.

- Tak - odparła - ale to Pan Bóg robi cycki i kutasy, no nie?

- A poza tym - użyłam ostatniego atutu - słyszałam, że on jest komunistą!

- No to co? To może i ja zostanę komunistką!

- Myślałam, Frida, że jesteś katoliczką. Komuniści nie wierzą w Boga.

- To będę nowym rodzajem komunistki.

Od samego początku Diego kojarzył się Fridzie z dwiema rzeczami. Nie, nie z malarstwem. Z seksem i komunizmem - dwiema sprawami, o których, pomimo obowiązującej lewicowej retoryki, nie rozmawiało się w szykownym meksykańskim towarzystwie. Owszem, w czasie wojny wszyscy popieraliśmy Zapatę - ale komunizm to co innego. Komunizm uważano za zagranicznego potwora, który zionął nienawiścią do naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa. Żaden szanujący się katolik za żadne skarby nie zostałby komunistą; mógł myśleć jak komunista, mówić jak komunista, wynosić pod niebiosa robotników i mieszać z błotem imperialistyczne świnię, ale nie mógł nazywać się komunistą. Przynajmniej tak myślałam, bo tak powiedziała mi babka.

Jak już wspomniałam, o Diegu krążyły najrozmaitsze historie. Podobno kiedy był chłopcem, ojciec przyłapał go na rozcinaniu brzucha myszy, gdyż Diego chciał zobaczyć, skąd się biorą małe myszki. Podobno na pierwszą dziewczynę wlaźł w wieku lat dziewięciu. Podobno miał romans z Mulatką (żoną maszynisty z Meksykańskich Kolei Centralnych). Podobno bez przerwy tego

chciał, zupełnie jak byk, toteż dupczył wszystkie napotkane kobiety bez różnicy - aktorki, prostytutki, gospodynie domowe, modelki, artystki, sekretarki, turystki. Podobno miał tak długie prace, że okaleczył macicę jednej z kochanek. No i, oczywiście, był bohaterem rewolucji, nie z powodu dokonań na polu walki, ale dlatego, że walczył z niesprawiedliwością za pomocą pędzla. Wolność, równość, braterstwo, prawda i tortilla w każdym żołądku - Rivera symbolizował to wszystko, i żeby to udowodnić, został komunistą z prawdziwą legitymacją partyjną. Tak powiadano. Rozumie pan zatem, co mam na myśli, mówiąc o seksie i komunizmie. Dwa tematy tabu. Jakże Frida mogła się oprzeć takiemu mężczyźnie? Człowiekowi, który reprezentował wszystko, co było zakazane w wytwornych rozmowach? Naturalnie, zakochała się w nim. Ale nie od razu. Na początku to była tylko fascynacja.

Czy ja też uległam tej fascynacji? Trudno powiedzieć. Nigdy nie spotkałam Diega, nigdy nawet go nie widziałam. Udawałam, że mnie nie interesuje, ale Frida wciąż opowiadała o nim anegdoty, codziennie przynosiła do domu nową historyjkę. Chyba - tak mi się zdaje - chyba zasiała we mnie jakieś ziarno. Mimo wyłupiastych oczu i licznych podbródków, Diego w jej relacjach był kimś tak egzotycznym, tak zabawnym i sympatycznym, że w końcu musiałam się zadurzyć.

Frida postanowiła za wszelką cenę poznać Diega Riverę.

Starannie to zaplanowała. Któregoś dnia, kiedy Diego malował fresk w amfiteatrze im. Bolfvara, zaczęła, aż budynek opustoszeje. Artysta zaczynał pracę o czwartej rano, z pierwszym brzaskiem, i malował nieprzerwanie do zmierzchu, starając się dokonać jak najwięcej, zanim wyschnie tynk. Nie chodził nawet do domu na obiad; Lupe przynosiła mu jedzenie w dużym kolorowym koszu, przybranym kwiatami i przykrytym małym płóciennym obrusem, haftowanym w ludowy wzór. Frida bacznie obserwowała jej przyjścia i wyjścia, widziała też inne kobiety, które czasem odwiedzały Diega, przynosząc mu smakołyki lub prezenty. Skoro więc one miały wstęp do amfiteatru, czemu nie ona, Frida?

- Musisz mi pomóc, *mana* - rzekła do swej przyjaciółki, Agustiny Reyna, zwanej La Reyna, Królowa.

Postanowiły poczekać. Czekwały długo, całe popołudnie. Najpierw poszli do domu uczniowie, potem profesorowie, potem wyszedł dyrektor, wreszcie zniknęli dozorczy. Wtedy dziewczyny splotły ramiona niczym taran i zaczęły dobijać się do drzwi amfiteatru.

Uno dos tres, BUM! Uno dos tres, BUM!

Niezbyt to subtelne.

Zza atakowanych drzwi dał się słyszeć pomruk Rivery:

- Co się tam dzieje?

Uno dos tres, BUM! Uno dos tres, BUM!

Ostatnie pchnięcie i drzwi stanęły otworem.

Proszę sobie wyobrazić osłupienie Diega. Z wyżyn rusztowania ujrzał małą, drobną dziewczynkę, w granatowej spódnicy do połowy łydki, białej bluzce i wzorzystym swetrze. Dziewczynka miała delikatne rysy i ciemne włosy; wyglądałaby jak dziecko, gdyby nie zgrabna figura i duże, jędrne piersi. - Co mu powiedziałaś? - dopytywałam się.

Nawet nie usiłowałam ukryć ciekawości. Moja siostra na własne oczy widziała wielkiego Diega Riverę! Czy rzeczywiście pojmowałam, kim był? Prawdę mówiąc, nie jestem tego całkiem pewna, ale wiedziałam, że to ważna osoba.

- Zapytałam, czy mogę popatrzeć, jak pracuje. Tylko tyle. „Czy mogę popatrzeć, jak pan pracuje?”. To wszystko. Takim samym tonem, spokojnym i pewnym, zapewne mówiła do Diega. Wyobrażam sobie, że musiał się uśmiechnąć. - Co odpowiedział? - Że będzie zachwycony.

Przysiadła na stołku z wzrokiem wlepionym w pędzel malarza. Tego dnia na rusztowaniu przebywał sam, lecz na dole siedziała Lupe Marin i dziergała.

- Dech mi zaparło - opowiadała Frida. - Jego ruchy były tak szybkie i pewne, że w miarę jak nakładał kolory - czerwony, zielony, fioletowy, złoty - ściana zdawała się rozkwitać pod jego dłonią.

Tematem fresku było stworzenie świata ze szczególnym uwzględnieniem Meksykanów. Płaszczyznę wypełniały imponujące alegoryczne postacie - Mężczyzna, Kobieta, Wiedza, Poezja Miłosna, Tradycja, Tragedia, Muzyka, Miłosierdzie. Niektóre z nich miały cztery metry wysokości i przedstawiały prawie wszystkie typy ludzkie napotymane w Meksyku - białych, Indian, Metysów. Fresk doskonale wtapiał się w luk sklepienia i nawet uwzględniał wbudowane w ścianę organy. Frida gapiała się niczym zahipnotyzowana.

Lupe Marin przyglądała się jej z grymasem niechęci. Lupe pozowała do trzech alegorii, Kobiety, Sprawiedliwości i Pieśni. Uwagę Fridy przykuł zwłaszcza siedzący akt Kobiety - chłopka lub robotnica o rozłożystych piersiach i krągłym brzuchu, która urodziła czworo, a może i pięcioro dzieci, nie dała sobie nic wmówić i wiedziała, co trzeba zrobić i dlaczego. Miała lekko rozstawione nogi, masywną szczękę, krzywy nos, usta pełne ostrych zębów oraz silne ramiona i uda, jakby nawykłe do ciężkiej pracy. Fridzie postać ta wydała się odrażająca i zarazem żywotnie kobieca.

- Wcale nie wyglądała jak Lupe - mówiła potem Frida. - Lupe to wysoka, wspaniała osoba o oliwkowej cerze i oszłamiających zielonkawych oczach. Ma czarne włosy, jakby rozczesane wiatrem, i usta niczym soczysta śliwka, bardzo dojrzała, aż się wydaje, że zaraz wypłynie z nich sok.

Kobieta Diega była ciężka, bliska ziemi. Frida uznała, że to niesłychane, iż Rivera tak zeszpecił Lupe, ona zaś zgodziła się pozować do portretu, który tak ją zdeformował. Lecz równocześnie Fridę urzekła zdolność artysty do przekształcania przedmiotów w idee. Obraz nie przypominał Lupe, bo nie taki był jego cel. Miał uosabiać kobiecość, wyrażać... zaraz, jak to ujęła Frida? Coś w rodzaju żywotnej energii rozrodczej. Kobieta owa była związana z ziemią, stanowiła część życiowych sił przyrody. Teraz to rozumiem, bo ja również pozowałam do takiego portretu.

- W głowie ścierały mi się różne myśli - relacjonowała Frida.

Zapomniała o upływie czasu. Zapomniała, gdzie się znajduje. Miała wrażenie, że naprawdę jest świadkiem „stworzenia”. Istotnie, Diego czasem tak działał na ludzi.

Lecz Lupe zaczęła się niecierpliwić.

- Dziewczynko - powiedziała w końcu - nie musisz iść do domu? Pewnie rodzice już czekają na ciebie. Będą się niepokoić.

I wie pan, co zrobiła Frida? Spojrzała prosto w wyraziste, zielone oczy Lupe. Jak już mówiłam, Lupe Mann była prawdziwie olśniewającą istotą, odpowiednią kochanką dla wielkiego artysty. Ale Frida nie zamierzała dać się jej zastraszyć.

- Nie - odparła chłodno.

I znów jęła się przypatrywać malarzowi.

Ręka Diega poruszała się z lekkością motylego skrzydła, ale obrazy kreślił mocno i zdecydowanie. Ten podobny do ogromnej żaby mężczyzna przejawiał niezwykłą subtelność dotyku. Choć technikę opanował po mistrzowsku, jego prace nie miały w sobie nic z martwej precyzji, lecz promieniowały żywiołowym wigorem i namiętnością wielkiej sztuki.

Lupe słynęła z gwałtownego usposobienia. Kiedy lepiej ją poznałam, wielokrotnie widziałam tego przykłady. Wyobrażam sobie jej rozdrażnienie obecnością Fridy - w końcu dziewczyna siedziała tu już przeszło dwie godziny. Lupe odczekała jeszcze kwadrans, po czym przeszła do ataku. Frida stanowczo nadużywała uprzejmości artysty.

- Pora, żebyś już poszła do domu - oznajmiła Lupe tonem niepozostawiającym wątpliwości, że oczekuje natychmiastowej reakcji.

Frida udała, że nie słyszy.

- Powiedziałam - powtórzyła Lupe - że pora, byś sobie poszła. No, wynocha!

Wstała i rzuciła robótkę na krzesło.

Frida nie odezwała się ani słowem. Imponująca postać Lupe górowała nad nią, lecz Frida się nie ugięła.

- Słuchaj - rzekła Lupe, chwytając dziewczynę za ramię. - Masz stąd iść!

Diego odwrócił się ku nim, szczerząc zęby w uśmiechu. Uwielbiał, kiedy kobiety kłóciły się o niego, a napady zazdrości Lupe wręcz go śmieszyły. Ponadto oczarował go upór Fridy.

- Daj jej spokój, Lupita - powiedział łagodnie. - Nie przeszkadza mi.

- Ale mnie przeszkadza! - warknęła Lupe, usiadła jednak i wróciła do robótki.

Przerobiła trzy rządki, ale nie wytrzymała, odrzuciła robotę i wściekle dysząc, jęła przemierzać aulę tam i z powrotem.

- Niech to szlag trafi, Diego! - wrzasnęła wreszcie. - Chcę, żeby sobie stąd poszła. Wypędź ją!

Diego wciąż malował, a Frida nadal go obserwowała. Lupe usiadła i założyła ręce, nadąsana.

- Jasna cholera! Nie wiem, dlaczego z tobą wytrzymuję.

- Bo mnie kochasz.

- Świnia! Twoje ego jest tak rozdęte jak twój brzuch!

- Właśnie dlatego mnie kochasz! - odparł Diego, nie przerywając pracy.

Ma niesłychaną zdolność koncentracji, pomyślała Frida. Wreszcie wstała.

- Dziękuję panu - powiedziała. - Jestem wdzięczna, że pozwolił mi pan popatrzeć. - Po czym zwróciła się do Lupe i z uśmiechem rzekła: - Cześć!

Lupe natychmiast zajęła się robótką. Jednak Frida nie zamierzała pozwolić, aby tamta ją zignorowała. Weszła tutaj i siedziała dokładnie tak długo, jak chciała, ani chwili krócej. Lupe musiała przyjąć to do wiadomości.

- Do widzenia, senorita Marin. - Frida wyciągnęła rękę. Pat.

Lupe odwróciła głowę, ostentacyjnie wpatrując się we fresk.

- Słuchaj! - zawołała do Diega. - Ten fragment obok mojej nogi nie bardzo ci wyszedł, tutaj, gdzie zaczyna się postać męska.

Diego nie pofatygował się, by spojrzeć, nawet jej nie odpowiedział.

Frida nadal stała nieruchomo, z wyciągniętą do Lupe ręką. Wreszcie Lupe podniosła wzrok.

- Milo mi było panią poznać, senorita Marin - rzekła Frida. Jej wzrok i dłoń pozostały niewzruszone.

- Do widzenia - mruknęła Lupe i uśmiechnęła się mimowolnie. Frida zarzuciła torbę na ramię i pewnym krokiem opuściła

pomieszczenie, trzymając się prosto i wdzięcznie.

Ta historia przeszła do rodzinnej legendy. Frida opowiedziała mi ją tego samego wieczoru, kiedy wróciła do domu ze szkoły. Opowiadała mi ją niejedną raz, wyszła z niej bowiem zwycięsko. Była Dawidem, który rzucił wyzwanie Goliatowi - Lupe. Wiele lat później także sama Lupe opowiedziała mi to zdarzenie. No i Diego.

- Wiesz, Diego - powiedziała Lupe po wyjściu Fridy - ta mała jest niesłychana! Jak myślisz, ile dziewczynek odważyłoby się wprosić tutaj i stawić czoło kobiecie takiej jak ja?

Diego roześmiał się tylko i wrócił do pracy.

Lupe polubiła Fridę pomimo wszystko. To dziwne, kobiety Diega miały to do siebie, że zaczynały od rywalizacji, ale kończyły jako przyjaciółki. Kochały się i nienawidziły zarazem. Zupełnie... zupełnie jak Frida i ja.

Jakże mam panu opisać Diega Riverę? Niełatwo poznać prawdę o nim, nawet komuś takiemu jak ja, kto przecież dobrze go znał. Krążyło o nim tyle historii, skandale lgnęły doń niczym druga skóra, a co najgorsze, kłamał jak najęty. Mieli z Fridą wiele cech wspólnych.

Spędziłam życie otoczona sławnymi ludźmi - rzecz jasna, myślę o Fridzie i Diegu, ale także o politykach, aktorach, gwiazdach filmowych... A tak, osobiście poznałam gwiazdy filmowe, mnóstwo artystów i fotografików, oraz takich ludzi jak Trocki, Vasconcelos, Cantinflas, Dolores del Rió, Siqueiros oraz Edward Weston, fotografik, który robił wspaniałe portrety Lupe. Same znakomitości. To ja się wyróżniałam, głównie dzięki temu, że niczym się nie wyróżniałam. Ale chodziłam na wszystkie przyjęcia, mityngi i wernisaże, gdyż byłam siostrą Fridy Kahlo.

Więc chce pan się dowiedzieć czegoś o Diegu? Mogę powiedzieć tyle, że urodził się 8 grudnia 1886 roku, bo zawsze dostawał z tej okazji prezenty. Obchodził również imieniny, albowiem uwielbiał przyjęcia, a kiedy ktoś zapominał o uroczystości, Diego tracił panowanie nad sobą i miotał się niczym pszczoła na strychu w upalne popołudnie. Brat bliźniak Diega zmarł we wczesnym dzieciństwie. Według oficjalnych źródeł, ojciec Rivery, nauczyciel, ogromny mężczyzna, także imieniem Diego, urodził się jako syn Hiszpana i Meksykanki z portugalsko-żydowskiej rodziny, matka Diega natomiast, Maria del Pilar Barrientos, miała hiszpańsko-metyskie korzenie. W żyłach Diega płynęła zatem bardzo mieszana krew - hiszpańska, żydowska, portugalska, indiańska... Chyba brakowało tylko chińskiej. Udzielając wywiadów, za każdym razem wymyślał inną historyjkę o swoim pochodzeniu. Czasem dorabiał sobie przodków Holendrów, czasem prababkę Azjatkę albo dziadka w Afryce. Powiedziałałby wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Wedle własnych relacji Diega, był on genialnym dzieckiem. Jego stara ciotka Vicenta twierdziła, że od urodzenia przemawiał pełnymi akapitami i gdy tylko zdołał utrzymać w ręce ołówek, zaczął rysować skomplikowane obrazki. Rysował wszędzie, nawet na kartach rodzinnej Biblii - być może na znak, że kiedyś zostanie *comecura*, pożeraczem księży. Rysował tak dużo, iż jego ojciec uznał w końcu, że czasami warto ustąpić, by zwyciężyć. Powiesił w pokoju Diega tablice i kazał mu zabrać się do roboty. Dojrzewający chłopak malował na nich wszystko, co zobaczył w swoim mieście, Guanajuato, i wszystko, co widział w wyobraźni - pociągi, ołowiane żołnierzyki, kwiaty, ptaki, sikającego psa, potwora na wrotkach, piramidy oraz opierzone skrzydlate węże.

Kiedy ciotka Vicenta zabrała Diega do kościoła i kazała mu się modlić do Najświętszej Pani, chłopiec zwrócił jej uwagę, że posąg wykonany jest z drewna i nie ma uszu. Kiedy ciotka poskarżyła się ojcu chłopca, Diego senior zaczął zabierać go na zebrania miejskich jakobinów. Pewnie dlatego Diego wyrósł na radykała.

Diego miał pięć lat, kiedy urodziła się jego siostra Maria. Oczywiście, był ciekaw, skąd się biorą dzieci seks zawsze należał do jego głównych zainteresowań. Zaczął więc przeprowadzać doświadczenia (historia o ciężarnej myszy jest prawdziwa). Studiował podręczniki anatomii i do swego repertuaru dodał obrazy ludzkiego ciała. Uwielbiał rysować katastrofy kolejowe i wypadki, oraz rozrzucone na ziemi poszarpane trupy. Wycinał również żołnierzyki z papieru i rozgrywał wielkie kampanie wojskowe z mnóstwem ofiar.

Następne lata życia Diega są trochę zamazane. Legenda głosi, że w dziewiątym roku życia odbył stosunek płciowy z osiemnastoletnią amerykańską nauczycielką, po czym zabrał się do żony maszynisty na kolei. Proszę pomyśleć, dziewięćolatek! Miał groteskowy wygląd, a mimo to kobiety nie umiały mu się oprzeć. Nawet piękne kobiety, czego przykładem jest Frida. Albo ja.

Diego senior uznał, że jego syn ze swym upodobaniem do seksu i rozlewu krwi oraz wyraźnym talentem strategicznym stanowi doskonały materiał na generała. Zapisał go do akademii wojskowej, lecz Diego dostał ataku szału i uparł się, że będzie studiował na uczelni artystycznej. Niebawem zdobył stypendium Akademii Sztuk Pięknych San Carlos; zawsze jednak powtarzał, że więcej nauczył się od miedziorytnika Posady niż od wszystkich profesorów. W owym czasie Posadę uważano za bohatera, a jego prace znali nawet chłopcy i pokojówki. Sławny grafik wystawiał swoje dzieła w niewielkim sklepiku w pobliżu akademii i Diego codziennie przyklepał swój szeroki nos do witryny, aby przyglądać się, jak pracuje. Pewnego razu artysta zaprosił go do środka i przyjaźń została nawiązana. Diego twierdził, że Posada wywarł nań przemożny wpływ, tworzył bowiem sztukę dla ludzi, czego pragnął również i on.

Wtedy, tuż przed rewolucją, studenci protestowali niemal nieustannie, a Diego oczywiście musiał brać udział w każdej awanturze. Niebawem, w czasie kolejnych zamieszek, został zatrzymany i wyrzucony z uczelni. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre

nie wyszło. Diego zabrał swoje farby i pędzle i, na zawsze porzuciwszy pracownię, reguły i teoretyków, przez cztery lata wędrował po meksykańskiej prowincji, malując to, co widział. Malował rzeczy olśniewające i zwyczajne, co niekiedy wychodziło na to samo. Malował Indian o nieruchomych twarzach, fioletowe wulkany na tle nieba barwy topazu, spokojne, sielankowe krajobrazy. Namalował również portret swojej matki. - O Boże! - zawołała nieszczęsna kobieta, ujrzawszy obraz.

- Kim jest ta przysadzista, pospolita osoba o niezgrabnej figurze? Teraz pojęłam, że mnie nie kochasz!

Ta historia weszła do rodzinnej legendy.

Większość obrazów Diega podobała się jednak nie tylko matce, ale i szerszej publiczności. Jego sława jako artysty rosła. Jednak nie zaszedłby daleko, gdyby na tym poprzestał. Wszak pępkiem i sercem świata była Europa. Wszystko brało się stamtąd - polityka, sztuka, nauka, seks. Diego świetnie bawił się w Meksyku, królował w barach i burdelach, ale wiedział, że pragnie czegoś więcej. Najlepsi nauczyciele mieszkali za granicą; Europa kusila i wzywała niczym odległa gwiazda. Cóż, kiedy Papa Rivera nie mógł sfinansować tak dalekiej podróży i Diego popadł w nudę i rozdrażnienie. Malował coraz mniej. Zawsze hipochondryczny, teraz nabrał przekonania, że ślepnie. Rivera senior zrozumiał, że musi jakoś rozruszać swego syna. Talent jest jak rzadki kwiat, który więdnie bez odpowiedniej pielęgnacji. Kiedy zatem na południowym wschodzie kraju wybuchła epidemia żółtej febry, seńor Rivera, który pracował jako inspektor w Departamencie Zdrowia Publicznego, dostrzegł w tym pewną szansę. Wyjechał do Veracruz, żeby sporządzić raport o tamtejszej sytuacji zdrowotnej, i zabrał ze sobą syna, którego dla bezpieczeństwa osadził w stolicy stanu, zwanej Jalapa. Nowe otoczenie podziało na chłopca jak peyotl. Kolorom wróciła promiennosc, kształtom - wyrazistosc i atrakcyjnosc. Diego znów ujrzał świat

- odcienie, wzory, kontrasty, formy - i jął zapełniać płótna wizerunkami subtropikalnej roślinności i eleganckich dworów

kolonialnych. Diego senior był wniebowzięty. Pewnego dnia zaprosił gubernatora stanu, Teodora Dehesę, żeby obejrzał prace Diega, i, tak jak oczekiwał, obrazy spodobały się gościowi. Gubernator użył swoich wpływów, aby załatwić chłopcu stypendium zagraniczne. Spełniło się marzenie Diega i jego ojca. Tuż przed wyjazdem Diega do Hiszpanii - około 1907 roku

- w zakładach włókienniczych odbył się olbrzymi wiec, podczas którego tłum robotników zaatakowała kawaleria. Żołnierze strzelali z bliska do mężczyzn, kobiet, nawet do dzieci, zostawiając stosy trupów na ziemi przesiąkniętej krwią. Diego, który widział to zdarzenie, nigdy go nie zapomniał. Między innymi to wspomnienie sprawiło, że został prawdziwym rewolucjonistą i uczynił ze sztuki środek edukacji ludu i opowiadania jego historii. Wiele lat później kiedy malował freski w Pałacu Narodowym, przedstawił scenę masakry na ścianie po lewej stronie. Pewnie ją pan widział

- wieśniacy, do których mierzą z karabinów ustawieni rzędem żołnierze. Ciarki od tego przechodzą.

Diego wyjechał z ogarniętego chaosem Meksyku, lecz zmierzał w stronę jeszcze większego chaosu. Nie wiem zbyt wiele o Hiszpanii, ale z tego, co mi opowiadał, pamiętam, że w przededniu wojny ze Stanami Zjednoczonymi kraj ten utracił swe ostatnie kolonie, co stało się przyczyną narodowej katastrofy. Hiszpańscy republikanie dążyli do obalenia monarchii, socjalizm i anarchizm zyskiwały zwolenników z lewa i z prawa, wszędzie wybuchały strajki. Monarchiści strzelali do ludzi, rewolucjoniści rzucali bomby i palili fabryki, natomiast republikanie pisali jedną konstytucję po drugiej. Źle się tam działo, prawie tak samo źle, jak u nas.

W Hiszpanii Diego nie dowiedział się wiele o sztuce, za to sporo o polityce. Słuchał, patrzył i dał się uwodzić rewolucyjnej retoryce. Godzinami przesiadywał w kafejkach i gadał. Nigdy zbyt wiele nie czytał, ale teraz zaczął przerzucać anarchistyczne broszury. Nabył nawet egzemplarz *Kapitału* Marksa i przestudiował kilka stron.

Krążące powszechnie idee nie były dlań niczym nowym. Słyszał je już poprzednio, podczas protestów studenckich w Mexico City i strajku pracowników młynów. „Ale tych kilka miesięcy w Madrycie - powiedział mi później - sprawiło, że wszystko nabrało sensu”.

Jego wyobraźnia rozkwitła. Wyruszył na północ przez Belgię, Holandię i Anglię, chłonąc kulturę popularną. Studiował wielkich mistrzów, nie przypominam sobie nazwisk... Breughel, Hogarth... nie pamiętam. Spotykał innych malarzy, a także pisarzy i działaczy politycznych. No i sypiał z mnóstwem kobiet. Wcale się nie wstydził o tym mówić. Kiedy Frida go poznała, na początku historii o jego podbojach jej nie przeszkadzały, była wręcz dumna z sukcesów, które odnosił jako kochanek. Dopiero później romanse Diega zaczęły ją upokarzać. Zwłaszcza...

Zawsze wiedziałam, że Diego ma inne kobiety. Nigdy nie należał wyłącznie do mnie, choć czasem mawiał, że mnie lubi najbardziej. Nie stawiałam mu takich wymagań jak Frida. Nie robiłam scen. Stanowiłam dla niego - jakby to określić - schronienie...

Gdziekolwiek się udał, wywoływał zamieszanie. Ludzie odwracali się, by nań popatrzeć. Frida zwykła nazywać go chodzącą hiperbolą. Chodząca hiperbola, wyobraża pan sobie? Frida знаła różne mądre wyrazy. I rzeczywiście Diego był taki... przesadny. Miał nadmiar wszystkiego. Brzuch wylewał mu się na spodnie. Nosił dziwaczne stroje. Przeróżliwie cuchnął, gdyż nigdy się nie kąpał, nigdy nie prał ubrania, nigdy nie czesał włosów. W Brukseli związał się z Marią Gutierrez Blanchard, malarką, pół Francuzką, pół Hiszpanką. Już sam stanowił osobliwy widok, lecz kiedy szedł bulwarem z Marią - garbuską i karlicą - przechodnie wręcz wytrzeszczali na nich oczy.

O swym belgijskim okresie opowiadał miliony historyjek. Doskonale zmyślał i nie zamierzał zawracać sobie głowy prawdą. Twierdził na przykład, że pewnego razu, kiedy w pobliżu jego domu w Brukseli wybuchł pożar, chwycił pod pachę obrazy, wybiegł na ulicę i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jest bez majątek! Może to i prawda, kto wie? W końcu Diego świetnie się czuł bez majątek.

Maria przedstawiła go rosyjskiej emigrantce, malarce Angelinie Bielów- i wkrótce Angelina zastąpiła Marię w łóżku Diega. Żaden stały związek nie przeszkadzał mu sypiać ze wszystkimi napotkanymi kobietami. Ładne, brzydkie, grube, chude, od ulicznicy i kwiaciarki z rogu po matrony z towarzystwa - uwodził je, jak popadło. Skąd wiem? Bo bez przerwy o tym gadał.

W końcu Diego wylądował w Paryżu, gdzie na ogół lądują początkujący artyści, i zamieszkał razem z Angeliną i Marią. Bardzo lubił taki układ, kiedy dzieliły się nim dwie kobiety. Ponieważ cała trójka wyżej ceniła sztukę niż czystość, nikt się nie fatygował, aby wyszorować podłogę lub choćby pozmywać naczynia. W końcu smród zrobił się tak uciążliwy, że sąsiedzi wezwali policję.

W owym czasie w Paryżu mieszkało mnóstwo sławnych artystów - Cezanne, Rousseau, Picasso, Klee. Diego zobaczył malarstwo, które różniło się od wszystkiego, co dotychczas widział. „Byłem przejęty po czubki włosów” - mówił mi później. A może nie do mnie, tylko do Fridy, a ja tylko kręciłam się w pobliżu? Włóczył się po mieście i zwiedzał galerie dopóty, dopóki z podniecenia nie dostał gorączki. Tak przynajmniej opowiadał.

Zaczął malować. Zaprzyjaźnił się z Picassem, pod którego wpływem jego styl zmienił się i rozwinął. Niebawem zyskał sobie w Paryżu niezłą renomę, zaczęto o nim mówić nawet tutaj, w Meksyku. Kiedy więc Dfaz powziął zamiar zorganizowania wystawy malarstwa dla uczczenia trzydziestolecia reżimu, zaprosił na obchody również Diega.

W dniu otwarcia wystawy wybuchła rewolta Madero; Zapata poprowadził powstanie wieśniaków na południu, Villa zaś - na północy. Oszołomiony biegiem wydarzeń Diego zapomniał o wernisażu. Wszystkie dyskusje w kawiarniach Europy, wszystkie abstrakcyjne idee nabierały kształtu przed jego oczami! Słowa zamieniały się w czyn! Diego całkowicie uległ Zapacie. Oto miał przed sobą prawdziwego bohatera, rewolucjonistę nadnaturalnej wielkości, wodza na białym koniu, który tylekroć pojawiał się później na jego obrazach.

Był tak podniecony, że zdawało się, iż pozostanie w Meksyku do końca wojny domowej. Jednak nie został - wrócił do Paryża.

W Meksyku rewolucja zmieniała kraj, a we Francji kubizm zmieniał sztukę. Diego musiał czuć się rozdarty. A może i nie -w końcu był artystą, nie wojownikiem. Prawdę mówiąc, uważam, że Diego w ogóle nie posiadał wojowniczych cech. Nie odznaczał się odwagą ani dyscypliną, chyba że chodziło o malarstwo. Nie znosił wojskowego drylu i nie umiał słuchać rozkazów. Kochał ideę rewolucji, ale wojny były czymś, co prowadzili inni ludzie. Kiedy wybuchła pierwsza wojna światowa, próbował, aczkolwiek bez przekonania, zaciągnąć się do armii francuskiej, głównie dlatego, że służyli w niej jego znajomi, ale właściwie wcale nie miał na to ochoty; nie dla niego długie marsze w błocie. Na szczęście oficer rekrutacyjny uznał, że Diego ze swym wielkim brzuchem będzie stanowił zbyt wyraźny cel dla nieprzyjaciela, i odrzucił jego zgłoszenie. Nie, Diego nie nadawał się na żołnierza. Żołnierz musi ponosić ofiary na rzecz innych, a Diego nie lubił się poświęcać, bardzo lubił natomiast, kiedy inni poświęcali się dla niego. Był egocentrykiem i hedonistą. Naprawdę, nie krytykuję go; pewnie artysta musi taki być. Diego zbyt uległ urokowi kubizmu, by tracić czas na czyszczenie karabinów. Wie pan, co to jest kubizm, prawda? Kubizm redukuje kształty do ich geometrycznych składowych - kół, prostokątów, kwadratów. Widzi pan, spędziwszy życie z takimi ludźmi, jak Frida i Diego, sporo się od nich nauczyłam, gdyż oni wiedzieli wszystko o sztuce i bez końca o tym rozprawiali. Musiałam zapamiętać choćby odrobinę - przecież nie jestem aż tak głupia, jak sądziła Frida.

Diego namalował wiele kubistycznych obrazów, ale po jakimś czasie paryska awangarda znużyła go. Jego zdaniem, kubizm zamienił się w kolejną szkołę malarstwa, zbiór teorii i reguł. Pragnął tworzyć sztukę, która byłaby bardziej autentyczna, bardziej osobista. Do jego obrazów zaczęła zakradać się tęsknota za Meksykiem, Zapata na białym koniu. Poza tym Diego poczuł się opuszczony, gdyż wielu jego przyjaciół poszło na wojnę, w Paryżu zostali głównie cudzoziemcy, a ci przymierali głodem. Dokoła

wybuchaly bomby i nikt nie chcial juz kupowac obrazow. Po coz wiec mial dluzej tu tkwic?
- *Bombas! Bombas!* - opowiadal pozniej Diego, wymachujac zabimi ramionami. - *Bombas!*
Wszedzie bombas.' *Pum! Bumbum!* - Opisyl w naprawde tragiczne wydarzenia, lecz Frida i ja pokladalyśmy sie ze smiechu.

Pieniadze z paryskiego stypendium skonczyly sie. Wszyscy przezywali te same klopoty - Diego, Picasso, Juan Gris, Modigliani, Lipschitz. Chce powiedziec, ze byli biedni. „Kiedy ktoremus z nas udalo sie cos sprzedac - opowiadal mi pozniej Diego - wszyscy mieliśmy co jeść". Ale zdarzaly sie tygodnie, ba, miesiace, kiedy nikt nic nie sprzedawal. Diego twierdzil, ze kiedyś nie jadal przez piec dni, da pan wiarę?

Diego mial przyjaciol i kobiety, ale wciaz byl cudzoziemcem wzrod cudzoziemcow, zbyt pochlonietym wlasna pracą, by naprawde stac sie czlonkiem jakiejś grupy. Malowal od switu do zmierzchu bez wytchnienia, az z wyczerpania kretilo mu sie w glowie. Zaczal sie dziwnie zachowywac. W kolklo powtarzal, ze opetaly go duchy. Nabral przekonania, ze jego watrobe i nerki zaatakowala nieznana choroba, i zaczal stosowac cudaczne diety. Jednego dnia uwazal, ze jego galke oczne juz nie mieszczą sie w oczodołach, drugiego - ze serce bije mu nieregularnie, następnego - ze ma zbyt czarne stolce, a na skórze wystapily ciemne plamy. Czasem czul, iz jego ogromne ciało rośnie coraz bardziej i wylewa sie z workowatego ubrania. Skarzył sie, ze pokój, w którym mieszka, stal sie duszny i ciasny. Wciaz biegal do okna, zeby miec wiecej przestrzeni, zdawalo mu sie bowiem, ze jego tors sie nadyma i unosi nad Paryzem niczym ogromny balon.

Wszyscy wiedza, ze Diego byl wielkim malarzem. Nie wiedza natomiast, ze byl szalony. Nie dawalo sie z nim wytrzymac, a jednak kobiety byly sie o niego - Maria, Angelina, a potem rowniez Mariewna, Lupe i Frida.

Chyba kobiety pociaga geniusz. A moze po prostu chodzi o to, ze taki duzy dzieciak jak Diego wzbudzal w kobietach opiekuńcze

odruchy? Ponadto, pomimo swoich wad, był ogromnie seksowny i kiedy miał dobry nastrój, umiał sprawić, że kobiety czuły się przy nim piękne i ważne. Nie chciał jednak żadnych zobowiązań i nie życzył sobie, aby cokolwiek przeszkadzało mu w pracy. Pozbył się Marii i został tylko z Angeliną, która uważała się za jego żonę, lecz gdy zaszła w ciążę, dostał szału.

- Wyrzucę tego bachora przez okno! - wrzeszczał.

Ukojenie znalazł w ramionach innej emigrantki, Mariewny Worobiow-Stebelskiej, córki żydowskiej aktorki i carskiego urzędnika, zresztą Polaka. Mariewna, która wiedziała, jaki los spotkał Angelinę, rozpoczęła romans z Diegiem od wręczenia mu dwóch podarków, pary kotów syjamskich oraz kondomu. To dlatego niektórzy Cachuchas sądzili, że Diego jest Rosjaninem - dzięki swoim rosyjskim kochankom i ich znajomym z kręgów emigracyjnych nauczył się niezle mówić po rosyjsku. Znajomość tego języka pozwoliła mu prowadzić polityczne spory w kawiarniach paryskich, później zaś obrażać sowieckich dygnitarzy, którzy uważali się za znawców sztuki.

Kiedy Angelina urodziła dziecko Diega, synka imieniem Dieguito, szanowny tatuś nawet nauczył się zmieniać pieluchy. Ale zima była chłodna, a warunki życia - okropne, toteż chłopczyk zmarł w wieku dwóch lat. Diego płakał - płakał pomimo wszystko. Niepomna ostrzeżeń Mariewna także zaszła z Diegiem w ciążę i urodziła dziewczynkę, Marikę. Diego długo nie przyznawał się do ojcostwa, ale widziałam zdjęcia małej - jest niezmiernie do niego podobna. On zapewne też tak uważał, gdyż całymi latami posyłał jej pieniądze.

W Paryżu sprawy wyraźnie się psuły i Diego coraz bardziej tęsknił za domem. Kubiści drażnili go, a z Picassem staczał wręcz boje. Tymczasem rewolucja w Rosji obiecywała nowy ład światowy, toteż Diego coraz poważniej traktował swoje posłannictwo jako malarza w ojczystym Meksyku - wszak zapanował tu nowy rewolucyjny reżim. Wrócił do kraju, przed wyjazdem obiecując Angelinie i Mariewnie, że ściągnie je do siebie. Nigdy tego nie uczynił.

Wybrał doskonałą porę. Kiedy wrócił do Meksyku w 1921 roku, Vasconcelos właśnie lansował pomysł, że należy edukować masy za pomocą sztuki. Rząd miał w planach ogromny program budownictwa - szkoły, muzea, biblioteki - i pragnął, by mury budynków zdobiły freski uświadamiające Meksykanom ich historię i wartości. Meksykański lud, meksykański krajobraz, bogaty folklor naszego kraju - oto rzeczy, które zawsze pobudzały twórczą wenę Diega. I oto Vasconcelos zaprosił go do udziału w realizacji fresków. Diego, który we Włoszech widział dużo dzieł sztuki masowej, nie zastanawiał się długo. W taki oto sposób trafił do amfiteatru im. Bolfvara w Preparatorii, gdzie moja siostra Frida zastała go przy malowaniu alegorii.

Czy trudno mi mówić o Diegu? Cóż za dziwne pytanie! Nie, wcale nie. Spędziłam u jego boku wiele lat. Znałam go lepiej niż ktokolwiek inny, być może nawet lepiej niż Frida. Czy mi trudno? No, może trochę. W końcu, kiedy się kogoś kocha... Tak, kochałam go. Był okropnym człowiekiem, ale takim... żywym, wibrującym, jak maszyna pod parą. Wszystko traktował równie namiętnie - jedzenie, miłość, muzykę, politykę, sztukę. Zwłaszcza sztukę. Zabierał się do malowania z zaciętością dzikiego kota. O, był niezwykle uważny, zgoła skrupulatny. Ale ja nie mówię o technice. Mówię o pasji - pasji, dzięki której Diego uchodził za ekscytującego towarzysza, ale która również działała demoralizująco na otoczenie, groziła bowiem zmiżdżeniem każdemu, kto się doń zanadto zbliżył. Diego potrafił przejechać po człowieku jak walec i spłaszczyć go na placek.

Ale najbardziej w Diegu kochałam to, że... że traktował mnie jak prawdziwą osobę. Opowiadał mi o tym, co przeżył w Paryżu, o zmarłym synku, o Picassie i Dzielnicy Łacińskiej. Bez przerwy mówił o sobie. Był całkowicie sobą pochłonięty. Dlatego mogę o nim tak wiele powiedzieć. Tak, wiem, że zmyślił niektóre z tych historii, często je ubarwiał, były przesadne - hiperboliczne - ale rozmawiał ze mną, jakby sprawiało mu to przyjemność, jakby nie uważał mnie za głupią. Widzi pan więc, iż z przyjemnością

powtarzam panu, co mówił, choć nie dam gwarancji, że to prawda. Frida też bez przerwy była zajęta sobą. Dlatego ci dwoje tak się kłócili i złościłi na siebie - każde z nich musiało cały czas stanowić centrum uwagi. Jeśli pan chce wiedzieć, to sądzę, że oboje mnie potrzebowali, a to dlatego, że niczego nie żądałam, nie jazgotałam nieustannie, nie musiałam być gwiazdą. Dość wcześnie, jeszcze w dzieciństwie, zrozumiałam, że nigdy nie zostanę gwiazdą, i tym lepiej. Nigdy nie próbowałam rywalizować, więc oboje do mnie lgnęli. Traktowali mnie jak oazę spokoju.

Opowieści Diega układają się w ciekawą historię. Widzi pan, jak uważnie mnie pan słucha, jak pan w lot chwyta każde słowo? Nie tylko dlatego, że to pana praca, ale dlatego, że fascynuje pana wielki Diego Rivera.

Frida bardzo go przypominała. To była niesamowita dziewczyna. Ludzie nie mogli się jej oprzeć bez względu na to, jak ich drażniła. Kochałam ją bardziej niż kogokolwiek na świecie, wyjąwszy oczywiście własne dzieci. Dlatego kiedy teraz, po tych wszystkich latach, ludzie mówią, że ja... że ja ją zniszczyłam, po prostu nie mogę tego znieść. Przepraszam, nie wiem, czemu tak nagle się załamuję... To niesprawiedliwe... tak ją kochałam... Byłyśmy sobie takie bliskie. Proszę... proszę posłuchać. Pewnego dnia, kiedy chodziła jeszcze do Prepy - to był dzień wolny od zajęć - otóż pewnego dnia weszłam do sypialni i aż pisnęłam zdumiona:

- Frida! Twoje włosy! Coś ty zrobiła!

Frida, ubrana w męski garnitur, kamizelkę i krawat, podziwiała w lustrze swój odmieniony wygląd. Miała pięknie polakierowane paznokcie i jaskrawo umalowane usta. Taki styl panował wówczas w kręgach awangardy - męski strój i wyraźny makijaż. Fridę zachwyciło moje zaskoczenie. Podobało się jej również, że spodnie zakrywają jej uschniętą nogę.

- Frida, odpowiadaj! - ryknęłam. - Coś zrobiła z włosami?

- Obciąłam je na pazia, ty kretynko! Wszyscy tak robią! Ty też powinnaś!

- Ja? Nigdy!

- Obetniesz je, obetniesz - rzekła z satysfakcją. - Robisz wszystko to co ja, tylko... później. Żadna z nas nie wiedziała, jak prorocze okażą się te słowa.

- A poza tym - ciągnęła - Cachuchas bardzo się podoba moja fryzura. Zwłaszcza Alexowi. Po prostu ją uwielbia. To właśnie w nim cenię; nie należy do tych staroświeckich facetów, którzy oczekują, że kobiety będą kręcić włosy i omdlewać na widok kuśki!

- Frida! - musiałam wyglądać na wstrząśniętą, gdyż moja siostra usiadła na łóżku i zaczęła masować mi plecy.

- Nie bądź taką cnotką, Cristina. Nie znoszę drobnomieszczkańskiej pruderii. Czasem mówisz zupełnie jak Mami.

Lecz jej głos brzmiał łagodnie, nie słyszałam w nim szyderstwa.

- Wcale nie mówię jak Mami - odparłam. - I właściwie Mami wcale o mnie nie dba. Ciągłe płacze z powodu Maty.

Od kiedy Frida i Papa wywieździeli się, że Maty mieszka ze swoim chłopakiem w okolicy Doctores, Mami stała się niemożliwa. Najpierw uparła się, że chce zobaczyć córkę, ale gdy Maty przyszła nas odwiedzić, nie wpuściła jej do domu. Kiedy jednak Maty zachowywała dystans i przez dłuższy czas się nie zjawiała, Mami dostawała szału.

- Mami sądzi, że to moja wina, prawda? - powiedziała Frida. - Według niej, rodzina się rozpadła, bo pomogłam Maty uciec z domu. Nie odpowiedziałam.

- Nienawidzę tu siedzieć. Wolałabym być w szkole z Cachuchas.

- Ty i twoi Cachuchas doprowadzicie do tego, że w końcu wyrzucą was z Preparatorii.

- Nie bądź głupia, Cristi. Jesteśmy ostrożni i działamy wspólnie. A poza tym jesteśmy o wiele sprytniejsi niż nauczyciele. Frida naprawdę tak sądziła. Uważała, że nic im się nie może stać, gdyż są inteligentniejsi niż ktokolwiek na świecie.

- Papa cię zabije, kiedy się dowie, ile lekcji opuściłaś. Zastanawiałam się, czy nie powinnam sama mu o tym powiedzieć. Mieliśmy tyle kłopotów finansowych, a tu Frida urywała się

ze szkoły. Ja musiałam zarabiać na życie i pracowałam u drukarza przy składzie. Dlaczego Frida nie mogła iść do pracy?

- Po co chodzić na lekcje głupich, nudnych nauczycieli? - odcięła się Frida.

- To nauczyciele są głupi i nudni? A podobno to taka nadzwyczajna szkoła! Coś mi się wydaje, że Mami miała rację - po prostu tracisz tam czas.

Pamiętam, że odełam się i wlepiłam wzrok w sufit. Frida podniosła się z łóżka i pańskim gestem wyjęła coś z chlebaka. Spojrzałam na nią osłupiała. Trzymała w palcach papierosa, już skręconego, przygotowanego do palenia! Kiedy się upewniła, że na pewno patrzę, zapaliła, zaciągnęła się i wydmuchnęła dym nosem. Musiałam zrobić oczy wielkie jak talerze.

- Ty palisz!

- Pewnie, że pałę - sarknęła Frida. - Wszyscy palimy.

- Mami cię zabije!

Frida stanęła przed lustrem, przyjęła pozę wampa i obserwując swe odbicie, zaciągnęła się jeszcze raz. Ściągnęła zmysłowo wargi i puściła w stronę lustra kilka kółek.

- Kto cię tego nauczył? Alex?

- Może.

- Jesteś w nim zakochana?

- Może. - Chwyciła poduszkę i rzuciła nią we mnie. - Chyba tak.

- Co ze sobą robicie?

- O co ci chodzi?

- Dobrze wiesz, o co!

- Nic ze sobą nie robimy, idiotko! Chodzimy razem do biblioteki, czytamy książki, gadamy i płatamy figle nauczycielom. - Całujesz się z nim?

- Oczywiście! - Pozwalasz mu się dotykać?

Frida spojrzała na mnie, jakby ujrzała jakąś prehistoryczną ropuchę.

- I co w tym złego? - zapytała, potrząsając głową. Najwyraźniej tak bezmyślne pytanie nie zasługiwało na odpowiedź, której raczyła udzielić jedynie z litości dla istoty niższej. - Uwielbiam, kiedy to robi.

- Pozwalasz mu się dotykać... no wiesz, tam na dole? Mówiłam z trudem, gdyż z przejęcia ledwie chwytałam dech.

Zastanawiałam się, czy Frida to dostrzega. Lubieżnie poruszyła językiem.

- Chciałabyś wiedzieć, ty tępaku. - Wydmuchnęła w moją stronę kółko dymu. - Ale, wracając do twego pytania, owszem, kocham go.

Rzeczywiście go kochała. Alex był rycerzem na koniu, żarliwym rewolucjonistą, buntownikiem, idealistą i zarazem ideałem, Zapata, Rudolfem Valentino i Don Kichotem w jednej osobie. Frida adorowała go z dziewczęcą namiętnością, która w nieskończone, mgliste, księżycowe noce każe nam marzyć o utopiach i wyspach zaczarowanych.

Dlatego to, co nastąpiło potem, tak mną wstrząsnęło.

Frida znów usiadła na łóżku, wydmuchując w stronę okna drżące pasma dymu.

- Powiedz, jakie jest twoje najskrytsze marzenie? - szepnęła.

- Najtajniejsze, najsekretniejsze marzenie? Rzec, której pragniesz nade wszystko?

Pomyślałam, że kpi sobie ze mnie. Pomyślałam, że cokolwiek powiem, i tak mnie wyśmiej. Więc powiedziałam prawdę.

- Chciałabym być taka, jak ta aktorka filmowa, Emma Padilla.

- Uwielbiałam Emmę Padillę.

Jednak Frida nie wyśmiała mnie. Spojrzała mi w oczy i zapytała:

- Wiesz, jaka jest moja największa ambicja? - I nie czekając na odpowiedź, oznajmiła: - Chcę urodzić dziecko Diega Rivery!

Zaniemówiłam. Wciąż na mnie patrzyła, czekając, jak zareaguję.

- Oszalałaś? - zapytałam w końcu.

W owym czasie nie wyobrażałam sobie, że moja siostra zechciałaby pójść do łóżka z takim tłustym, wielkim mężczyzną. Nie poznałam go dotąd osobiście, ale widziałam zdjęcia.

- To staruch! - zawołałam. - Ma trzydzieści sześć lat! I jest odrażający!

Tylko o tym pomyślałam. Trzydzieści sześć lat! Wręcz zgrzybiałość!

- Przecież by cię rozgniótł! - dodałam po dłuższej przerwie. Wzruszyła ramionami.

Pokręciłam głową:

- A co z Alejandrem?

- Nadal go kocham.

- Przecież nie możesz pragnąć obydwóch! Nie można kochać dwóch osób naraz!

- A czemuż by nie? Mężczyznom się jakoś udaje! Nie wierzyłam własnym uszom.

- Czy Diego Rivera w ogóle wie, że istniejesz? - zapytałam. - Rozmawiałś z nim sam na sam, naprawdę rozmawiałś od tamtej pory, kiedy wdarłaś się do amfiteatru?

Oczywiście, że nie, ale Frida się tym nie przejmowała. Doprawdy, nie wiem, co jej chodziło po głowie. Zadurzyła się w Diegu? Chciała mnie zgorszyć swoją bezczelnością? Nie wiem, może pan mi powie. Znów zaciągnęła się papierosem.

- Frida, naucz mnie, jak to się robi, dobrze?

Musiałam zmienić temat. Niepokojące pomysły Fridy przyprawiały mnie o zawrót głowy.

- No, nie wiem, *escuincla*, czy nie jesteś trochę za młoda. Ale skręciła świeżego papierosa i podała mi.

- Co mam robić?

- Wsadź go do ust, głupia!

Pokazała mi, jak się przypala, i kazała mocno się zaciągnąć. Marny czarny tytoń straszliwie śmierdział, dym zaś podrażnił mi gardło. Próbowалаm powstrzymać kaszel, ale od tego poczułam się jeszcze gorzej. Zaczęłam się krztusić. Rozbolała mnie krtań. Łzy pociekły mi z oczu. Poczułam, że moją twarz okrywają pąsowe plamy i że kapie mi z nosa.

Frida zaśmiewała się histerycznie. Padła na łóżko i przytuliła mnie mocno.

- Biedna dzidzia - gruchała, raz po raz wybuchając śmiechem. - Biedna dzidzia.

Pocałowała mnie w policzek. Teraz już i ja się śmiałam.

- Trzymaj się mnie, mała - powiedziała Frida, klepiąc mnie po plecach. - Wszystkiego cię nauczę.

- Jasne - odparłam, gasząc papierosa i kładąc głowę na kolanach siostry. - Właśnie tego się boję.

ROZDZIAŁ 8

Cisza przed burzą

Niebawem Frida wymyśliła, jak wśliznąć się do amfiteatru, nie forsując drzwi, a brewerie, które nastąpiły później, stały się osnową mitów i legend. Chciałabym tylko wiedzieć, po co w kółko opowiadali te historie. Dlaczego trzy poważne osoby - Lupe, Diego i moja siostra - które w życiu dokonały tylu fascynujących rzeczy, znajdowały taką przyjemność w powtarzaniu historyjek z czasów szkolnych jednej z nich? Zwłaszcza że ta pannica ukradła kochanka owej drugiej kobiecie. Czy pan widzi w tym jakiś sens? Frida zaczynała opowiadanie, Diego je upiększał, następnie Lupe coś dodawała, a potem znów zabierała głos Frida. Po co?

Pewnego dnia gdzieś się zapodział kosz z obiadem. Diego się wściekł. Lupe utrzymywała, że postawiła kosz tuż przy rusztowaniu. Obiad jednak zniknął, więc Diego podniósł raban, jakby chodziło o tragiczną w skutkach katastrofę. Taki właśnie był - najmniejszą niedogodność postrzegał jako nieszczęście. Niedogodność dla siebie, rzecz jasna. Co innego, gdy to on sprawiał komuś kłopot, na przykład siadając ciężko na kanapie i doprowadzając do jej załamania albo zapominając przyjść na przyjęcie na swoją cześć, które gospodarze planowali od trzech tygodni. Takie gafy traktował jako wybaczalne niedopatrzienia, nic nieznaczające wpadki.

- Tu jest jakiś obiad - zauważyła nagle Lupe. - Pewnie zostawiła go któraś z twoich wielbicielek. Wskazała na niepozorny koszyk, stojący w kącie.
- Od rana nikt tu nie przychodził - zdziwił się Diego. - Ani Teresa, ani Leonarda, ani Flavia.

Diego miał cały harem adoraterek, które podziwiałały go przy pracy, a cóż można przynieść grubemu mężczyźnie, na którym za wszelką cenę chce się zrobić wrażenie? Oczywiście coś do jedzenia. Zawsze przynosiły mu smakołyki.

- One mnie kochają! - zatkał. - Nie tak jak ty! Mówisz, że ci na mnie zależy, ale chcesz mnie zagłodzić!

Lupe tylko wzruszyła ramionami. Diego miał niespożyte apetyty. Kiedy był głodny, chciał jeść. Kiedy był zmęczony - spać. Kiedy był napalony, nie zamierzał o tym rozmawiać, zastanawiać się, czy to właściwe, ani nawet sprawdzać, czy to możliwe. Nic z tych rzeczy. Kiedy czegoś chciał, to chciał to mieć natychmiast.

Lupe podała mu koszyk.

- Masz - powiedziała. - Pewnie zostawiła go jedna z tych dziwek, do których chodzisz, kiedy mnie nie ma.

Diego sięgnął do środka i wyjął soczyście wyglądający kawałek melona, jednak jego wrażliwe palce natychmiast wyczuły, że waga i faktura się nie zgadzają.

- Co to jest?

- Wygląda jak plaster melona - odparła Lupe.

- Nic podobnego - sarknął Diego.

No pewnie. Kawałek papier-mache w dotyku różni się od melona.

- Masz rację - rzekła Lupe, odbierając mu koszyk. - To w ogóle nie jest owoc.

Razem przejrzelili zawartość koszyka i znaleźli przykryty talerz, pełen *enchiladas* zrobionych z prawdziwych tortilli, lecz nafaszerowanych kamykami i szmatami, pływającymi w błotnistym sosie, termos lepkiego płynu, cukierki z papier-mache oraz zgniły banan.

Frida, obserwująca całe zajście z kryjówki na balkonie amfiteatru, wybuchnęła histerycznym śmiechem. Wyglodniały, upokorzony Diego złapał koszyk i cisnął nim w jej stronę z taką siłą, że wiklina pękła, a kamyki i błoto rozprysły się na ścianach. Następnie usiadł na podłodze, ukrył twarz w

dłoniach i rozplakał się niczym osierocone dziecko. Lupe wzruszyła ramionami i pełna niesmaku odeszła. Wreszcie Diego wstał i spojrzał w stronę balkonu.

- Kto tam jest? - krzyknął.

Frida nie odezwała się ani słowem.

- Kto tam? - wrzasnął znów Diego.

A potem niespodzianie odrzucił głowę i ryknął z uciechy. Sapał i parskął, cały się trząsł, aż wreszcie Lupe też się roześmiała. Wtedy Frida z udawaną pokorą wstała i pokazała się.

- To ty! - zawołał Diego. - Znowu ty!

Nie wiem dokładnie, co stało się potem, ale chyba Frida zwróciła im koszyk z obiadem przygotowanym przez Lupe, po czym wszyscy troje zasiedli do jedzenia.

Wie pan, to okropne, co powiem - no, może nie okropne, lecz chyba zuchwałe - ale czasem wydaje mi się, że z nas dwóch Frida była głupsza. Nie głupia do książkowej nauki, ale dziecinna; proszę tylko spojrzeć, jak się upajała swoimi wspomnieniami z Prepy, nawet gdy już dorosła. Zupełnie jakby nie mogła dojrzeć, dorosnąć, jakby wciąż żyła przeszłością. Może chciała w ten sposób zapomnieć o bólu. Nie mogę znieść myśli o cierpiącej Fridzie. Zwłaszcza że czasem przyczyną jej bólu byłam ja.

Figle trwały. Raz Frida spędziła na kolanach kilka godzin, smarując mydłem schody w amfiteatrze. Chodziło o to, by Diego pośliznął się i upadł, tak jak ci faceci, którzy w filmach przewracają się na skórcie od banana. Czy pragnęła, by skreślił kark? Czy tak postępuje się z mężczyzną, z którym chciałoby się mieć dziecko? Ale Diego nie upadł. Powoli, krok po kroku zszedł po schodach, jak żaba, która skacze i czeka, skacze i czeka. Lecz następnego dnia beztróska ruszył po schodach elegancki Antonio Casa, i bums! Wylądował na tyłku! I tak to się ciągnęło przez kilka miesięcy; Frida napełniła błotem kapelusz Diega, potem zamieniła mu farby i wsadziła do jego kieszeni zdechłą iguanę. Głupie, szczeniackie wybryki. Ale wtedy coś się stało.

Dwudziestego trzeciego listopada 1923 roku wybuchła rebelia przeciwko prezydentowi Obregónowi, skutecznie wstrzymując

pracę rządu. Zapanował zamęt. Obregón usiłował przeprowadzić reformę rolną, której żądali rewolucjoniści, lecz posiadacze ziemscy zajadle go zwalczali. Wy, Amerykanie, także nie ułatwiście mu zadania, obawialiście się bowiem utraty waszych holdingów naftowych. Do świąt Bożego Narodzenia walki rozprzestrzeniły się na całe miasto. Obregón użył wojska i zginęło siedem tysięcy ludzi. Vasconcelos podał się do dymisji (później zgodził się wrócić na stanowisko). Studenci w całym kraju demonstrowali swe poparcie dla ministra edukacji, Cachuchas zaś, jak zwykle, znaleźli się w samym centrum wydarzeń - wrzeszczeli, rzucali butelki i bazgrali na murach. To znaczy, wszyscy z wyjątkiem Fridy. Frida została w domu. - Panuje chaos - oznajmiła Mami. - Nigdzie nie pójdziesz. Frida protestowała, krzyczała, że jej przyjaciele ryzykują życie, ale Mami okazała się nieugięta.

Moja siostra dąsała się, lecz tym razem musiała posłuchać. Ze wszystkich sił pragnęła przyłączyć się do kolegów, czuła się samotna i bezużyteczna, a nawet winna - oto siedziała bezpiecznie w Coyoa-can, kiedy jej przyjaciele obrywali po głowach na ulicy, a poza tym omijała ją podniecająca awantura. Krążyła więc po pokojach, szukając jakiegoś zajęcia. Czasem czytała książki - o sztuce orientalnej, o impresjonizmie, o totemach indiańskich. Prawdę mówiąc, jak na kogoś, kto uważa się za rewolucjonistkę, nie śledziła wydarzeń bieżących zbyt uważnie i nigdy nie przeglądała gazet. Czasem pomagała Mami w pracach domowych. Zatrudnialiśmy niewiele służby i ciągle było coś do roboty - musiałyśmy biegać na posyłki, cerować ubrania, gotować i dbać o rośliny pokojowe. Mami uchodziła za gospodynię doskonałą i nauczyła prowadzenia domu nawet dziką, zbuntowaną Fridę. Zresztą Frida istotnie miała świetne wyczucie koloru i artystyczny smak, uwielbiała wypełniać przestrzeń przedmiotami, kolorami, formami. Za pomocą kilku kwiatów, precyzyjnie umieszczonej serwetki, ornamentu z ceramiki lub papier-mache umiała zamienić pokój w arcydzieło. Kochała meksykańskie rzemiosło i umiała zestawić tradycyjną francuską kanapę z jaskrawo pomalowanym, drewnianym krzesłem w taki sposób, że oba meble wyglądały jak dla siebie stworzone. Przemeblowała nasze sypialnie, starannie wybierając właściwe miejsce dla każdego wazonu, obrazu i drobiazgu, i syczała na mnie, kiedy cokolwiek przestawiłam. Ale projektowanie wnętrz nie wypełniało jej życia, nie

wystarczały jej też niekończące się zobowiązania towarzyskie drobnomieszczańskiej meksykańskiej rodziny - wizyty u sąsiadów, wycieczki i przyjęcia, bankiety, Pierwsze Komunie, śluby i chrzciny. Frida brała w nich udział, ale okropnie się nudziła. Myślami była gdzie indziej.

Nie myślała o Diegu Riverze, o nie. Myślała o Aleksie. Całkiem zapomniała, że chce mieć dziecko Diega.

Pisała do Alexa niemal codziennie. Godzinami układała dla niego wiersze i ozdabiała stronic rysunkami. Nigdy nie pokazywała mi tego, co napisała. Prawie się do mnie nie odzywała, chyba tylko po to, by mi zarzucić, iż jestem głupią *escuincla*, która nie odróżnia... bo ja wiem... Marksa od Świętego Mikołaja. Zupełnie jakby miała do mnie pretensje o wszystkie okropne rzeczy, dziejące się wokół nas. Warczała na mnie, bym dała jej spokój, oskarżała, że chce czytać jej listy, ukraść jej papierosy, zniszczyć jej stroje. A potem następowały rzadkie chwile, kiedy przytulała się do mnie i nazywała mnie swoją muñequita *preciosa*, drogocenną laleczką. Opowiadała mi o Cachuchas i o figlach, jakie płatali. Mówiła, że mnie kocha i że zawsze będzie się o mnie troszczyć, żeby nie wiem co.

Chodziłyśmy razem do kościoła i przyjmowałyśmy komunię.

- Modłę się o Alexa i o wszystkich Cachuchas - powiadała.

Spowiadała się, po czym wracała do domu, płacząc, że przystąpiła do komunii, chociaż zapomniała wspomnieć o jakimś ważnym grzechu. Kiedy indziej znów oświadczała, że przestała wierzyć w spowiedź.

- Mam się zwierzać jakiemuś facetowi w spódnicy? - pytała. - Mam mu opowiadać o Aleksie, kiedy on nigdy nie był z kobietą i nie ma najmniejszego pojęcia, o co tu chodzi?

Nadszedł styczeń, a Frida nie zapisywała się na następny semestr. Zostało niewiele czasu, tymczasem Mami zabroniła jej wychodzić, dopóki na ulicach nie zapanuje spokój. Cachuchas prawie nas nie odwiedzali, do Fridy jednak dotarły pogłoski, że Alex zaczął się spotykać z Agustina Reyną.

- Ta Reyna, jak ona mogła! - łkała mi Frida w podolek. Styczeń minął, ale kryzys polityczny wciąż trwał. Frida nie

wróciła do Prepy i wyglądała na coraz bardziej osamotnioną i smutną. Cóż mogłam poradzić? Próbowałam ją pocieszać, lecz prawdę mówiąc, jej towarzystwo nie należało do przyjemnych. A poza tym miałam swoich przyjaciół. I w końcu Frida postanowiła:

- Wszystko mi jedno, co powie Mami - oznajmiła. - Jadę do miasta. Muszę zobaczyć się z Alexem.

ROZDZIAŁ 9

Objawienia

Czasem mam wrażenie, jakbym całe swoje życie przeżyła za pośrednictwem Fridy. To ona miewała przygody; to ona doświadczała nadzwyczajnych emocji. Moje życie pochodziło z drugiej ręki, tak samo jak ubrania, które nosiłam po Fridzie. Również smak pierwszej miłości poznałam dzięki Fridzie i Alexowi. Oczywiście, bywałam zadurzona, chłopcy zaczepiali mnie i puszczały do mnie oko, ale ów rozkoszny, tajemny ból, wulkan tryskający lawą w piersi, uczucie, że się rozpływam w ramionach jakiegoś chłopaka, nie dotyczyły mnie, lecz Fridy i Alexa. Pierwszy pocałunek przeżyłam, gdy Alex pocałował Fridę. Gdziekolwiek szłam, ona docierała tam przede mną, a wielką miłością mego życia był jej kochanek. Niekiedy siostry, nawet sobie bliskie, zmierzają przez życie niezależnie, każda ku własnemu przeznaczeniu. Lecz nie w tym wypadku. Brutalna prawda jest taka, że bez Fridy Cristi by nie istniała.

O sprawach miłości wiedziałam wszystko i nic - oczywiście, mówię o czasach, gdy miałam około piętnastu lat. Znałam mechanikę kontaktu między kobietą i mężczyzną; choć babcia uważała, iż psy powinny nosić pieluchy zasłaniające intymne części ciała, jakże mając siostrę taką jak Frida, miałam nie wiedzieć, gdzie się co wsadza? Ale tego, co się czuje, będąc z chłopcem, doświadczyłam dzięki Fridzie.

Dzień, w którym spotkała się z Alexem w mieście, przepelniały złe wróżby. Panowała złowieszcza i ciężka atmosfera. Po niebie upstrzonym kłaczkami brudnej waty buszował wiatr, szaleńczo

szarpiąc gałęziami drzew. Porzucona na ulicy drewniana skrzynka zawirowała jak pijana, po czym z hukiem roztrzaskała się o mur kościoła. Skąd o tym wiem? Oczywiście, opowiedziała mi to Frida, i to niezliczoną ilość razy. A może... może odtwarzałam tę scenę w myślach tak często, że prawie przeżyłam ją naprawdę.

Alex siedział na brzegu łóżka. Frida przywarła doń i wtuliła twarz w jego pierś. Gdzieś dalej matka wołała do synka: „Pancho, chodź prędzej! Zaraz się zacznie!”, a handlarz popędzał pomocnika: „Ruszaj się, pakuj towar na wózek! Już spadła pierwsza kropla!”.

Alex ujął Fridę pod brodę i popatrzył jej w oczy.

- Nie martw się, księżniczko, to tylko deszcz.

Zupełnie jakbym tam była, zupełnie jakby chodziło o mnie. Przeżywałam tę chwilę we śnie, marzyłam o niej na jawie. Jak wyglądał pokój? Skąd miałam wiedzieć? A jednak widziałam go - proste, tradycyjne, wiejskie meble, miednica, lampa naftowa, zapach stęchlizny i ciepłe, wilgotne powietrze. Czule ją całuje, najpierw czoło, potem brwi i oczy, jak w kinie. Frida czuje, jak palce Alexa gładzą jej ramię. Kiedy jego kciuk dotyka wnętrza łokcia, ona drży z rozkoszy.

- Alex... - szepcze, zupełnie jak Emma Padilla w... jak się ten film nazywał? - Alex, chroń mnie przed burzą! - Jakże mam cię ochronić? - pyta Alex. - Nie powstrzymam deszczu!

- Alex!

- Jesteś bezpieczna. Burza nam nie przeszkodzi.

- Kocham cię, Alex! Powiedz, że ty też mnie kochasz!

Alex lekko muska wargami policzek Fridy i całuje ją w usta. Ona rozwiera wargi i wsuwa język między jego zęby. On wkłada dłoń pod jej bluzkę i pieści jej plecy. To rzeczy, których nigdy nie pokazują w kinie, przynajmniej nie pokazywano ich wtedy. Ale ja zamykam oczy i widzę to wszystko. Frida czuje, jak ciepło jego dłoni rozchodzi się w jej żyłach. Powoli rozpina bluzkę.

Melodramat, co? No, niech pan przyzna. Wszyscy wiedzą, że Cristina Kahlo uwielbia lepkie sceny miłosne. Pewnie gdyby dzisiaj

ktoś mi powiedział, że pieprzył się w tanim hotelu, nie wywarłoby to na mnie takiego wrażenia, ale proszę nie zapominać, że usłyszałam tę historię od Fridy, kiedy miałam zaledwie piętnaście lat, w wieku, gdy człowiek jest ogromnie wrażliwy na kwestie erotyzmu, staniki itede. A te obrazy towarzyszyły mi przez wiele lat.

- Alex - poprosiła Frida - powiedz, że mnie kochasz!

Szybę smagnęły pierwsze krople deszczu. Kłaczki waty zamieniły się w okrywający niebo mroczny całun.

Frida uniosła się tak, że jej piersi znalazły się przy ustach Alexa. Zakołysała się lekko, dotykając sutkami jego warg.

- Całuj mnie - nalegała. - Całuj.

Rozkosz mąciła jej w głowie, jednak gdzieś za mostkiem poczuła kłębek bólu wielkości orzecha.

- Ach, Alex, jak dobrze! Cudownie! Ale powiedz, że mnie kochasz!

Ściągnęła z niego koszulę i zaczęła całować jego plecy, ramiona, wilgotne włosy na piersi.

- Powiedz, no, powiedz, że mnie kochasz...

- Moja Fridusia. Moja dziewczynka z Prepy.

- Tylko nie Fridusia! Nie dziewczynka z Prepy! Kocham cię! Powiedz to, Alex, no, powiedz!

O Boże, co to znaczy? Miała wrażenie, że kłębek bólu w jej piersi napełnia się lękiem i rośnie, prze do góry, utrudnia oddychanie. - Alex, co się dzieje? - Nic, Frida. Nic, moja królewno.

Musiała go zapytać. Nie chciała tego, ale umierała z niepewności.

- Alex, kochałeś się z La Reyną, prawda?

- Fridita - mruknął - umówiliśmy się, że nie będziemy o tym mówić.

Ach, jacyż zdradliwi i bez serca potrafią być mężczyźni.

- Nie jestem na ciebie zła! Naprawdę!

- Frida, proszę cię - jęknął Alex. - To był przypadek, po prostu tak wyszło. Nie chcę już więcej mówić o Agustinie Reynie.

- W porządku. To urocza dziewczyna i skoro ją kochasz... cóż, to ja także ją pokocham. Pokocham wszystkich, których ty kochasz.

Leżeli obok siebie w milczeniu przez dłuższą chwilę. Wtem Frida znów zaczęła:

- Alex...

- Mmm?

- Myślisz, że pojedziemy kiedyś do San Francisco? Teraz, kiedy podjęłam pracę, mogę zaoszczędzić trochę pieniędzy.

Frida zamierzała wrócić do Prepy i pracować po lekcjach oraz w czasie wakacji. Ale, prawdę mówiąc, raczej nie zamierzała odkładać na wyjazd do San Francisco - musiała pomóc Papie wyżywić rodzinę, gdyż jego interesy były w całkowitej rozsypce. Jej tymczasowa praca w studiu ojca się nie liczyła, nie przynosiła bowiem prawie żadnych dodatkowych dochodów. Przedtem Frida miała niezłą posadę w aptece, skąd jednak została wyrzucona za pomyłki w rachunkach - pod koniec dnia kasa zawsze wykazywała braki. Podobno w szkole świetnie radziła sobie z matematyką, lecz liczby jakoś ją przerastały. Chciała jednak pracować, ponieważ czuła się winna. W końcu dlaczego to nigdy nie starczało nam pieniędzy? Zdrowie Fridy, koszty leczenia, chesne...

Alex nie odpowiedział. Podniósł jej dłoń do ust i ucałował najpierw wewnątrz, potem nadgarstek.

- Wiesz, dlaczego lubię pracować w studio Papy? - szepnęła. - Bo mogę z łatwością wymykać się na spotkania z tobą.

Alex uśmiechnął się i dotknął jej piersi czubkami palców. Frida miała wspaniałe piersi, gładkie i jędrne. Nic dziwnego, że lubiła malować się nago. Uwielbiała stać przed lustrem i przyglądać się swemu ciału. Taka mała dziewczynka, a takie heroiczne piersi.

Coś było nie tak - Alex zabierał się do rzeczy machinalnie, najwyraźniej się nie angażując. Kiedy Frida przywarła doń całym ciężarem, opadł na wznak na łóżko. Wczołgała się na niego; był sztywny i gotów do działania, ale nieobecny duchem.

Burza przybrała isticie starotestamentowe rozmiary. Deszcz lał jak z cebra, szyby drżały i brzęczały pod naporem nawałnicy.

- Nie znoszę tego robić w hotelu - poskarżył się Alex. - Nie czuję się swobodnie w tej dziurze.

- Cóż, nie możemy jechać do mnie, do Coyoacán. To zbyt daleko, a poza tym Mami wciąż siedzi w domu. Nie chce nawet, żebym z tobą chodziła. Wyobrażam sobie, jak by zareagowała na wieść, że się kochaliśmy.

Alex roześmiał się.

- U ciebie też nie da rady - ciągnęła Frida. - Wszędzie kręci się służba, nawet kiedy rodziców nie ma w domu. Czy chodzi o miejsce, Alex? To ci przeszkadza?

- Nic mi nie przeszkadza - szepnął, przyciągając ku sobie jej głowę.

Pajęczyna błyskawicy rozdarła niebo, w ulicę uderzył grzmot. Deszcz bezlitośnie walił o bruk, wiatr niemal wyrywał domy z posad.

Frida uwolniła się ze spódnicy. Następnie rozsznurowała swoje masywne, brzydkie trzewiki i ściągnęła pończochy. Podniosła ubranie i starannie złożyła je na krześle, skrzętnie chowając pod nim buty. Alex rozpiął spodnie.

Kochała się z kunsztem doświadczonej kurtyzany, niezwykłym u uczennicy. Pyszniła się swoimi umiejętnościami, bez przerwy się nimi przechwalała. Alex zamknął oczy i jęknął.

- Pozwól - gruchała Frida - wiem, co lubisz. Fridusia wie, co ci się spodoba.

Poruszali się z precyzją pary wyćwiczonych tancerzy, unosząc się i opadając, wznosząc się i dysząc w rytmie ulewy. Tak przynajmniej opisywała to Frida.

Kiedy już było po wszystkim, odpoczywali przytuleni, słuchając uderzeń kropel o szyby. Wiatr ucichł. Przestało grzmieć. Deszcz już nie zaciął z ukosa, lecz padał prosto w dół, równo i ciężko. Alex leżał bez ruchu. Upewniwszy się, że śpi, Frida odwróciła się na bok i spojrzała na przemoczone, szare niebo.

Czuła się bardzo samotna.

- Kiedy byłam mała opowiadała mi później - i ogarniał mnie taki nastrój, jak wtedy, u boku Alexa, przywoływałam księżniczkę Fridę Zorafdę.

Jej oczy wezbrały łzami. Otarła twarz dłonią, żeby Alex ich nie zobaczył. No i co z tego, pomyślała, że zobaczy, jak płacę? A poza tym przecież śpi. Ale na wszelki wypadek dokładnie osuszyła policzki.

ROZDZIAŁ 10

Łamanie reguł

Minęły trzy lata od chwili, gdy Frida zakradła się do amfiteatru im. Bolfvara, aby podglądać Diega przy pracy. Rivera już dawno skończył freski w Prepie, a i ona nie była już tą samą dziewczynką, która niemal wyważyła drzwi i stawiała czoło Lupe Marin. Nadal lubiła zabawę i przygody, nadal odznaczała się beczelnością i arogancją, ale wyrosła na kobietę. Miała otwartą, śmiałą minę osoby, która zna reguły, ale postanowiła ich nie przestrzegać.

Alegoria Diega wzbudziła szalone kontrowersje. Satyrycy dowcipkowali na jej temat, gazety drukowały karykatury. Pedro Henriquez Urena, sławny intelektualista z Republiki Dominikany, pisał na jej temat z zachwytem. Antonio Caso, pomimo swoich konserwatywnych poglądów, nazwał Diega geniuszem. Alex twierdził, że fresk jest do dupy, ale pewnie był zwyczajnie zazdrosny. Jakiś inny uczeń powiedział, że postać Kobiety, do której pozowała Lupe, to najbrzydsza istota płci żeńskiej, jaką kiedykolwiek widział. Paniusie z towarzystwa uważały, że należy ją zamalować wapnem, a prawicowi uczniowie systematycznie ją niszczyli.

Frida uwielbiała tę pracę ze względu na sposób, w jaki Diego połączył wiedzę zdobytą w Europie z prawdziwie autentyczną, wibrującą meksykańską energią. Chociaż fresk został uszkodzony, nadal widziała go w najwcześniejszej, czystej, wspaniałej wersji.

Ale nie miała zbyt wiele czasu, by napawać się freskami Diega. Musiała się skupić na poszukiwaniu pracy, gdyż nasza sytuacja była rozpaczliwa - groziła nam wręcz utrata domu. Ja zrezygnowałam z posady w drukarni i znalazłam zajęcie w sklepie

z artykułami przemysłowymi. Frida przez jakiś czas pracowała w fabryce, z czego była niesłychanie dumna, uważała się bowiem za komunistkę i lubiła przebywać wśród robotników. Ale wkrótce znużyło ją to zajęcie, zaczęła więc chodzić na kursy stenotypii i maszynopisania w szkole dla sekretarek, by móc się zatrudnić w jakimś biurze. Te plany jednak również spełzły na niczym. W owych czasach funkcję sekretarzy spełniali niemal wyłącznie mężczyźni i jeśli kilka osób ubiegało się o posadę, prawie zawsze dostawał ją chłopiec - i to pomimo rzekomego upadku starego systemu. Rewolucja nie do końca wymiotła stare uprzedzenia.

Frida stała się nieznośna. Czuła się sfrustrowana, gdyż nie mogła studiować na uniwersytecie razem z przyjaciółmi, nie zdołała znaleźć odpowiedniej pracy i jak zwykle wyżywała się na mnie. Jak to się dzieje, pytała, że ja, taka głupia, bezużyteczna, rozlazła, mam posadę i chłopca, ona zaś nie ma nic? Najbardziej oczywiście drażniła ją kwestia chłopca, bo Alex właściwie zniknął z pola widzenia. Chodziło o to, że w niedzielę zaczął do mnie przychodzić Eusebio Vega, miejscowy chłopak o mocnych udach i szerokich ramionach. Frida nazywała go tępym wołem i twierdziła, że świetnie do mnie pasuje, bo nie umiał wysiedzieć na filmie, żeby zaraz nie zasnąć, ale sądzę, że po prostu była zazdrosna, gdyż jej własny świat chwiał się w posadach.

- Co mam do stracenia? - zapytała, słysząc o wolnej posadzie w bibliotece Ministerstwa Edukacji.

O świcie wyjechała do miasta. Poranek był przejrzysty i świeży, a okrzyki handlarzy ulicznych musiały przypominać jej o innych cudownych rankach, które spędziła z Alexem.

Na biurku w dziale kadr biblioteki piętrzyły się stosy papierów - opowiadała mi później.

Gnuśny urzędnik bez pośpiechu odszukał właściwe formularze i zapadł w drzemkę, podczas gdy Frida wypełniała je w trzech egzemplarzach. Meksykańska biurokracja! Nie wytepiła jej nawet rewolucja! Na parapecie usiadła rozleniwiona ćma, odruchowo bijąc skrzydełkami.

Co to znaczy, że zmyślam to wszystko? Ma pan na myśli ten fragment o ćmie? No i co z tego? Tak wyobrażam sobie tę scenę. Nie było mnie przy tym, wie pan. Muszę opowiadać tę historię tak, jak usłyszałam ją od Fridy. No to co, że koloryzuję? Próbuję tylko... Chce pan tego słuchać czy nie? No to proszę nie przerywać. Wszystko mi się płacze. Zapomniałam, na czym stanęłam.

Frida uważnie przeczytała listę nieistotnych pytań, znajdujących się w formularzu, i zaczęła na nie odpowiadać. Potem... potem... Widzi pan, co się dzieje, kiedy pan mi przerywa? Tracę wątek. Wreszcie skończyła i podetknęła papiery urzędnikowi pod nos. Rozdrażniony, że ktoś mu przeszkadza, niecierpliwie wyjął z szuflady oficjalnie wyglądające pieczęcie i ostemplował podanie.

- Zadzwonimy do pani - wymamrotał, wskazując Fridzie drzwi. Ale Frida nie dała się spławić.

- Chwileczkę - powiedziała. - Potrzebuję pracy teraz, nie w przyszłym roku. Kiedy do mnie zadzwonicie?

- Proszę posłuchać, señorita, o tym decyduje główny bibliotekarz, a jego nie ma.

Frida zasepiła się

- A gdzie można go znaleźć? - zagadnęła.

- Jeszcze nie przyszedł.

- A kiedy przyjdzie?

- Skąd mam wiedzieć? Nie informuje mnie o swoich planach. Jestem tylko urzędnikiem.

Typowy meksykański funkcjonariusz państwowy, maleńki trybik w ogromnej biurokratycznej maszynie. Zajmował się wyłącznie wydawaniem formularzy i przyjmowaniem podań, rozumie pan? Tylko tyle. Ale Frida oczekiwała, że natychmiast zaproponuje jej pracę. Genialna Frida. Mogła gadać bez końca o Freudzie, Marksie i Darwinie, ale nie umiała wykombinować, że zwykły urzędnik wykonuje zwykłą pracę, to znaczy przyjmuje podania.

- Nie zamierzam czekać, aż ktoś się ze mną skontaktuje - oznajmiła. - Przyjdę później.

- Jak pani chce, ale wątpię, czy to coś da. Niech pani spróbuje o pierwszej.

Frida nie wspomniała o tym, ale urzędnik zapewne znów pogrążył się w drzemce.

Punktualnie o pierwszej znów się zjawiała. „Leżał na biurku bezwładnie jak trup” - opowiadała później.

- Jest dyrektor? Widział moje zgłoszenie? - zapytała głośno. Urzędnik uniósł głowę i z trudem otworzył oczy.

Drzwi otworzyły się i do pokoju bez słowa weszła młoda dziewczyna, być może studentka lub praktykantka, która wzięła z biurka stos papierów i skierowała się do wyjścia.

- Świt blednie przy twoim uśmiechu - zaczepił ją sennie urzędnik.

Dziewczyna roześmiała się.

- Idź spać, dziadku - powiedziała.

- Ay, anioły w niebie są w żałobie, bo najpiękniejszy z nich zstąpił na ziemię i pracuje w bibliotece!

Dziewczyna zachichotała wyrozumiale i pokręciwszy głową, znikła za drzwiami.

- Wyobraź sobie! - mówiła Frida z oburzeniem. - Ja tu czekam na odpowiedź w sprawie życia i śmierci, w końcu grozi nam utrata domu, a ten osioł nie zwraca na mnie uwagi i flirtuje z jakimś kurzym mózdzkiem!

Chrząknęła, zwracając uwagę urzędnika, że wciąż tu jest.

- Co? A, dyrektor? Tak, przyszedł - oznajmił - ale nie miał czasu zająć się podaniami.

- Sama z nim porozmawiam - nalegała Frida.

- Nie może pani, señorita. To główny bibliotekarz.

- Mełłam w ustach obelgi - zwierzała się Frida - ale tym razem postanowiłam wziąć na wstrzymanie. Wiedziałam, że jeśli zrażę do siebie tego kretyna, nigdy nie dostanę pracy. Zapytałam więc uprzejmie, czy mogłabym przynajmniej zobaczyć się z dyrektorem. Nie, nie mogłabym, odpowiedział. Dlaczego? Bo poszedł na obiad! „Na obiad?” - zdumiałam się. - Przecież dopiero pierwsza! Przerwa

obiadowa w bibliotece zaczyna się o drugiej!". „Proszę pani - rzeki urzędnik. - Proszę przyjść po południu. Sam oddam mu pani podanie".

Wydaje mi się, że facet próbował zachować się uprzejmie, choć Frida przyczepiła się do niego jak rzep.

Kiedy przyszła o czwartej, dyrektor nie wrócił jeszcze z obiadu, a gdy pojawiła się o siódmej, okazało się, że poszedł już do domu.

- Jutro na pewno będzie - zapewnił ją urzędnik.

- Jasna cholera! - wrzasnęła Frida. - Wiem, co stanie się jutro! Najpierw skurwysyna jeszcze nie będzie, potem, kiedy wrócę, okaże się, że wyszedł na obiad, i tak całymi tygodniami!

Mądrała z tej Fridy. Wyżyła się na urzędniku.

Teraz historia robi się niejasna, pewnie dlatego, że - inaczej niż w wypadku poprzedniej części - Frida nie opowiedziała mi jej od razu. Dalszy ciąg usłyszałam dopiero po pewnym czasie od samej Fridy, ale także od Alexa Gómeza Ariasa, a następnie od Diega, od Tiny Modotti - późniejszej przyjaciółki mojej siostry - oraz od wielu innych osób, których, rzecz jasna, nie było przy całym wydarzeniu. Sądzę, że krążyły wśród nich różne wersje rozpowszechniane przez Fridę, przy czym każdy słuchacz po swojemu upiększał opowieść zgodnie z indywidualnymi upodobaniami. Zapewne Frida przerabiała ją w myślach tysiąc razy. Lecz kto w ogóle zna prawdę o czymkolwiek?

W każdym razie wydaje mi się, że w pewnej chwili z sąsiedniego pokoju wyrzała atrakcyjna kobieta, która zapytała:

- Mogę w czymś pomóc?

Frida szczegółowo opisała tę kobietę, aczkolwiek, jak już mówiłam, nie od razu. Nienagannie ubrana, o doskonale utrzymanych paznokciach, zachowywała się, jakby słyszała całe zajście. Jej granatowa prosta suknia do pół łydki tuszowała zarysy biustu i bioder, a prostotę łódkowego dekoltu podkreślał sznur pereł, sięgający niemal do pasa. Miała pończochy w nowym, modnym „opalonym” kolorze i w niczym nie przypominała typowej pracownicy biblioteki.

- Jestem zastępcą bibliotekarza do spraw nabytków - oznajmiła. - Czy ma pani jakiś problem?

- No pewnie, że mam problem, do diabła! - warknęła Frida, lecz natychmiast ściszyła głos. -

Przepraszam, ale przez cały dzień usiłuję złożyć podanie o zatrudnienie i...

- Proszę ze mną - rzekła kobieta.

Przedstawiła się jako Leticia Santiago. Od pięciu lat pracowała w bibliotece i wiedziała, jak denerwująca potrafi być tutejsza biurokracja, ale wiedziała też, jak ją ominąć. Zaprowadziła Fridę do małego biura na tyłach budynku, na którego ścianach wisiały reprodukcje obrazów - dwa tahitańskie akty Gauguina, cyrkowiec Picassa i *Kobieta* Diega Rivery. Frida wpadła w zachwyty.

- Och! - zawołała. - Lubi pani Riverę?

- Tak - odparła Leticia. - A pani?

Uśmiechnęła się do Fridy i dotknęła jej włosów. Fryzura na pazia już dawno odrosła i teraz Frida nosiła długie loki, związane z tyłu albo puszczone luźno na ramiona.

- Tak.

- Od razu wydało mi się, że Leticia jakoś dziwnie mi się przygląda - mówiła Frida, kiedy wreszcie postanowiła podzielić się ze mną tą historią. - Mówiła przyjaźnie, ale jej oczy były czarne jak węgle i niesamowicie groźne. Poczułam się nieswojo.

- Niech pani posłucha - oznajmiła Leticia. - Osobiście zajmę się pani podaniem. Proszę się niczym nie martwić. Wszystko wyjaśnimy do jutra do dziesiątej rano.

Brzmiało to wspaniale. Po co kwestionować taki szczęśliwy traf? Frida jednak zawahała się.

- Coś nie tak?

Moja siostra nie chciała rozgniewać rozmówczyni. Zastanowiła się pośpiesznie.

- Eee... przepraszam, że pytam, ale pensja?...

- Zapewniam, że będzie pani zadowolona z wynagrodzenia. Starając się odsunąć wszelkie wątpliwości, Frida pozwoliła sobie

na radość. Praca! Nareszcie, po tylu tygodniach poszukiwań!

- Teraz będę mogła naprawdę wam pomóc - powiedziała Papie. - I zajęcie jest naprawdę ciekawe. Zostanę asystentką w Dziale Nabytków.

Ale nie pisnęła ani słowa o Leticii ani jemu, ani mnie.

Papa poczuł się okropnie. Z niechęcią myślał o tym, że Frida musi pracować; nie chciał, by zrezygnowała ze studiów, tak jak niegdyś on. Pocałował ją w policzek.

Nazajutrz Frida zjawiała się w bibliotece bardzo wcześnie, ale Leticia była już na miejscu. Wedle dokładnej relacji Fridy, bibliotekarka miała na sobie sięgającą kolan żółtą suknię z obniżoną talią i białym wiązadłem, perłową obrożę i luźny sznur pereł, jej głowę zaś opasywał biały turban. Jak Fridzie udało się zapamiętać te szczegóły? Pewnie dlatego, że przywiązywała do strojów równie wielką wagę jak Leticia. A może dlatego, że sama Leticia ją fascynowała.

Prezencja Leticii bardzo się podobała Fridzie, lecz zarazem ją onieśmiała. W porównaniu z modnymi przyjaciółkami Mami i koleżankami z Prepy, które wciąż nosiły spódnice dziesięć centymetrów nad kostkę, ta kobieta była prawdziwą rewolucjonistką. Frida obsesyjnie dbała o wygląd, ale teraz poczuła się jak kuchta. Spódnicę miała wyciągniętą, zbyt ciemne pończochy i zwyczajny sweter. Pomyślała jednak, że ze swoją chudą prawą nogą nigdy nie mogłaby nosić takich krótkich spódnic i jasnych pończoch.

Leticia zaprowadziła Fridę do biura i wyjaśniła, na czym będzie polegała jej praca. Kiedy mówiła, Frida wpatrywała się w jej usta, umalowane doskonale dobraną szminką.

- Wszystko jasne, moja droga?

- Chyba tak, proszę pani.

Leticia była dużą kobietą i gdy pochyliła się, aby wziąć dokumenty ze stojącego za Fridą biurka, lekko musnęła piersią jej ramię.

- Na przykład na tej fiszce musisz poszukać podklasyfikacji

- wskazała odpowiednie miejsce, dotykając dłoni mojej siostry.

- Nie czułaś obrzydzenia? - zapytałam później Fridę.

Ale dla niej seks nie miał wymianu moralnego. Akceptowała wszystko, co było ciekawe i przyjemne. Już dawno odrzuciła burżuazyjne uprzedzenia, zanim jeszcze wstąpiła do Związku Młodych Komunistów.

- Denerwujesz się? - szepnęła Leticia.

- Nie, wcale nie - odparła Frida. - Ale sądzę, że dalej poradzę sobie sama.

- Wszyscy możemy radzić sobie sami - zamruczała Leticia – ale o wiele przyjemniej jest robić to z kimś.

Tutaj historia gmatwa się jeszcze bardziej. W wersji Alexa bibliotekarka objęła Fridę w talii i przyciągnęła ją do siebie, ta zaś była zbyt oszołomiona, by się opierać. Diego twierdził, że Frida, urzeczona słodkim, kwiatowym zapachem perfum Leticii, sama wykonała pierwszy ruch. Wedle Fridy, Leticia nagle przeciągnęła palcem wzdłuż jej górnej wargi i powiedziała:

- Masz maleńki wąsik. Jakie to czarujące - a następnie pogładziła jej brwi, dodając: -1 podobają mi się twoje zrosnięte brwi. Wyglądają jak skrzydła ptaka.

Kiedyś Frida wstydziła się trochę meszku nad górną wargą i szerokich brwi, ale w końcu je polubiła i nawet podkreślała je na swoich obrazach. Ludzie, na których jej zależało, uważali je za atrakcyjne, aczkolwiek, prawdę mówiąc, ja nigdy nie podzielałam tej opinii.

Leticia ujęła w dłoń twarz Fridy i lekko pocałowała ją w usta.

- Kochałaś się kiedyś z kobietą, moja droga? - zapytała szeptem. - To znacznie przyjemniej niż z mężczyzną, Kobieta wie, co lubią kobiety.

Zaczęła delikatnie gładzić ciało Fridy, uciskając najwrażliwsze miejsca.

Czuje się pan nieswojo, słuchając tej historii? Chce pan, żebym przestała? Powiedział pan, że pragnie wszystkiego się dowiedzieć, więc robię, co mogę, aby spełnić pana życzenie. Na pewno życzy pan sobie, żebym opowiadała dalej? No cóż, proszę dać mi znać, a natychmiast zmienię temat. Na temat Fridy jest tyle do powiedzenia. Jeśli nie chce pan tego słuchać, mogę mówić o czym innym.

- Widzisz? - powiedziała Leticia. - Całkiem inaczej niż mężczyzna. Mężczyzna by cię miętosił, a kobieta jest czuła. Chodź, kochanie, pozwól mi. Czy to nie rozkoszne? A teraz ty zrób mi to samo!

I jednym ruchem ręki ściągnęła swoją luźną suknię. Stała przed Fridą ubrana tylko w bieliznę, pończochy i pantofle na obcasach, a jej długi naszyjnik prowokacyjnie wskazywał trójkąt między nogami. Miała duże, krągłe piersi, które stanik nieco zmniejszał; krepdeszynowe majteczki zdobił wspaniały haft.

Co o tym sądziłam? Nie wiem. Nie podobało mi się to. Ja nie kończyłam ekskluzywnych szkół, gdzie uczono modnych rewolucyjnych idei. Nie należałam do dysydenckich ruchów, odrzucających konwenanse. Po prostu... po prostu zgorszyłam się. Owszem, czemu mam to ukrywać? Kiedy dowiedziałam się o... no, wie pan, o... nietypowych poczynaniach Fridy, poczułam się zgorszona. Byłam przyzwoitą katolicką dziewczyną, chciałam tylko wyjść za mąż i mieć ze sześcioro dzieci, chociaż nie całkiem mi się udało... ale taką miałam nadzieję. Później stałam się bardziej wyrozumiała, a nawet pobłażliwa. To znaczy, przyznałam rację Fridzie. Czemu powstrzymywać się od czegoś, co nas uszczęśliwia? Czemu nie przyjąć miłości, bez względu na to, kto ją oferuje? Co ma do tego moralność? Każdy związek powinien być dozwolony, pod warunkiem, że się nikogo nie krzywdzi. Niestety, mój związek miał właśnie tę wadę - był dla kogoś krzywdzący.

- No chodź, skarbie - powtarzała Leticia gardłowym, niskim głosem. - Nowoczesne dziewczęta nie potrzebują mężczyzn. Same zaspokajają swoje potrzeby.

- Podawała mi piersi niczym dwa dojrzałe melony - opowiadała później Frida.

Co zrobiłam? Rozpłakałam się.

- Miała dłonie jak jedwabne rękawiczki, a palce twarde i dające rozkosz - ciągnęła Frida.

Dręczyła mnie. Moja siostra znęcała się nade mną.

- To było cudowne! - powtarzała w kółko. Chciała, żebym się wiała ze wstydu. Śmieszyło ją, że czułam obrzydzenie do tego, co robi.

Romans z Leticją Santiago nie nastęrczał większych trudności. Miała własny gabinet, a poza tym znała w bibliotece każdy kąt. Ponadto była posiadaczką mieszkania przy ulicy Aguascalientes, nad warsztatem mechanicznym, które dzieliła z wyrozumiałą siostrą i pokojówką o podobnych upodobaniach.

Jednakże wszyscy w bibliotece, każdy urzędnik i każda sekretarka, wiedzieli, że Leticia Santiago jest lesbijką; stanowiła przedmiot obserwacji i nieustannych plotek. Wkrótce zaczęto łączyć jej nazwisko z Fridą i niebawem Mami dowiedziała się o skandalu.

Wybuch nastąpił pewnego wieczoru, kiedy Frida wróciła z pracy, niecały miesiąc po jej spotkaniu z Leticją. Gdy tylko przestąpiła przez próg, mama dopadła ją, chwyciła za włosy i zaczęła potrząsać. Boże, to było straszne. Schowałam się w kuchni za plecami Inocencii. Mami bila Fridę po twarzy, waliła pięściami, kopała, szarpała za ucho, ugryzła w rękę i cały czas wrzeszczała, wrzeszczała, wrzeszczała. Dziwka! Hańba! I znów: Ladacznica! O, Najświętsza Panienko! O, Matko Boża! I jeszcze: Suka! Zboczona! Gorsza niż Maty! Gorsza niż Maty! I nie przestawała wrzeszczeć, dopóki nie wysiadły jej płuca i nie dostała ataku kaszlu.

Fridzie nie przyszło do głowy, że może podnieść rękę w samoobronie.

Wreszcie Mami omdlała i padła na fotel. Rufina i Manuel przybiegli, niosąc sole trzeźwiące. Ja wachlowałam ją i klepałam po policzkach. Chyba właśnie wtedy Mami zaczęła miewać ataki podobne do tych, na które cierpiał Papa.

Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Frida nie zdążyła jeszcze zwierzyć mi się ze swego związku z Leticją. Nie wyobrażałam sobie, jaki postępek mógł wywołać taką histerię Mami. Papi po prostu patrzył na to wszystko smutnymi, zapadniętymi oczami. Całymi dniami się nie odzywał.

W końcu zapukał do drzwi sypialni.

- Chodź, Fridita - powiedział. - Znalazłem ci inną pracę. Ta będzie lepsza.

Fernando Fernandez, stary znajomy Papy i właściciel drukarni komercyjnej, w imię starej przyjaciółki zaproponował Fridzie pracę w charakterze płatnego czeladnika. Miał w swej pracowni mnóstwo reprodukcji, lecz mojej siostrze najbardziej podobały się obrazy szwedzkiego impresjonisty Andersa Zorna. Jego radosne, żywiołowe wiejskie dziewczęta w kąpeli były tak niewinne i wolne od poczucia winy, że zdawały się naigrawać z mieszczańskich obyczajów, które Frida znienawidziła bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

- Jestem taka jak te dziewczęta - mawiała. - Nie dbam o to, co myślą inni. Mogłabym kąpać się nago w Xochimilco i wszystko mi jedno, kto by zobaczył moje ciało.

Ale nie mówiła całej prawdy. Epizod z Leticją zostawił głębokie blizny w jej psychice; zaczęto postrzegać ją w innym świetle i nie sądzę, by ów nowy wizerunek do końca jej odpowiadał.

Fernandez mówił, że powinna nauczyć się rysować, i kazał jej kopiować Zorna. Produkowała jeden rysunek po drugim.

- Twierdzi, że mam ogromny talent - zwierzała mi się. Całymi godzinami pracowała nad techniką.

- Uważa, że mogłabym zajmować się tym zawodowo.

Ale nie chciała być zawodową artystką. Nadal pragnęła zostać lekarzem, choć podejrzewała, że nigdy nie pójdzie na uniwersytet.

- Właściwie to byłabym okropnym lekarzem - przyznała. - Sama myśl, że miałabym wtykać ludziom palec w dupę, żeby zarobić na życie, przyprawia mnie o mdłości.

Fernandez nieustannie ją zachęcał.

- Mówi, że jestem niezwykła - powtarzała.

Wiedziałam, dokąd to wszystko zmierza. Schlebiał jej, nadskakiwał, Frida zaś dojrzała już do kolejnego romansu, gdyż po aferze z Leticją musiała sobie udowodnić, że nadal pociągają ją

mężczyźni. Fernandez był mężczyzną w średnim wieku i przyjacielem Papy, lecz według Fridy miał piękne, wrażliwe usta, które lekko drżały pod jego bujnym wąsem.

Romans z Fernandezem nie trwał długo, ale Frida nauczyła się rysunku.

Czy Papa kiedykolwiek się dowiedział? Nic nie mówił, wkrótce jednak po odejściu Fridy z drukarni sposepniał jeszcze bardziej - po czym stało się coś okropnego. Może sądził, że jest karany, a może ukarał sam siebie za to, że pozwolił Fridzie iść do pracy i zadać się z Leticją, a potem z Fernandezem?

Pomimo kłopotów finansowych, dzięki oszczędności Mami zdołał kupić fabrycznie nowy obiektyw Zeissa. Zamówił go bezpośrednio w niemieckich zakładach Zeiss-Abbe i poprosił producenta, by go przechował, póki nie znajdzie się jakiś Niemiec jadący do Meksyku, który mógłby osobiście dostarczyć przesyłkę. Wysłanie obiektywu pocztą graniczyło z szaleństwem, albowiem poczta meksykańska była równie nieobliczalna jak kobyła w ciąży. Mijały miesiące, lecz w końcu skarb został dostarczony przez niemieckiego dziennikarza, piszącego artykuł o Obregónie.

Papa był niezwykle przejęty. Sprawdzał obiektyw, szukając skaz, obracał go w dłoniach, unosił do światła, raz po raz wycierał miękką ściereczką, po czym włożył z powrotem do pudełka i zaniósł do gabinetu.

Następnego dnia przed pójściem do pracy wyjął go ponownie, aby się nim nacieszyć. I wówczas, zniecka, jego wzrok się zamglił, a dłonie zadrżały. Obiektyw wysliznął mu się z palców, potoczył po stole i runął z trzaskiem na podłogę. Papa zamarł bez ruchu, patrząc na pęknięte szkło, doskonale szlifowany kryształ, na którego pieczętotę czekał prawie rok. Zdawało się, że oczy, załzawione, lecz tym razem skupione, niemal wyskakują mu z czaszki, aby pochwycić lśniące okruchy. Tygodniami, miesiącami zastanawiał się później, co mogło spowodować ten osobliwy wypadek. Może się czegoś przestraszył? Może potknął się o stół? Nie pamiętał. Może miał łagodny

atak padaczki? Przypominał sobie jedynie nagłą, niewytłumaczalną słabość dłoni, niesamowity dotyk szkła wyslizgującego mu się z rąk i okropny widok obiektywu toczącego się po stole i spadającego, spadającego, bez końca spadającego na posadzkę. Oczyma duszy wciąż widział, jak pęka na milion kawałków, w zwolnionym tempie wzbijających się w górę.

Tyle że obiektyw w gruncie rzeczy się nie rozbił. Papie tak się tylko wydawało. Kiedy wreszcie otrząsnął się z szoku, zobaczył, że kryształ tylko pękł, co na swój sposób było jeszcze gorsze. Gdyby uległ całkowitemu zniszczeniu, Papa zmiótłby fragmenty i oplakał stratę. Ale obiektyw pozornie wydawał się cały, nieuszkodzony, a przecież w ogóle nie nadawał się do użytku.

Papa podniósł go z czułością, jakby dotykał martwego dziecka. Owinął go we flanelową szmatkę i schował do futerału. Frida i ja widziałyśmy całe zajście, ale żadna z nas się nie odezwała. Mami przebywała w dalszej części domu, a może poszła do kościoła, nie pamiętam. Obie wiedziałyśmy, że musimy dochować tajemnicy, zachować sekret Papy dla siebie. Choć nie powiedział ani słowa, obie zrozumiałyśmy, że nie wolno nam go zdradzić. Spakował swoje rzeczy i poszedł do pracy, jakby nic się nie stało.

Jakże miał przyznać się Mami, że skutkiem wszystkich jej wyrzeczeń był jedynie pęknięty obiektyw? Biedny Papa. Odnoszę wrażenie, że sądził, iż szkło stłukło się z własnej woli - że była to nadprzyrodzona kara za to, że przestał zarabiać, uniemożliwiając Fridzie kształcenie się na lekarza. Chyba uwierzył, że wszystko - los, ojciec, cielesna słabość, wydarzenia polityczne, nawet przedmioty w jego domu - sprzysięgło się przeciwko niemu. Uznał, że od chwili, gdy upadł i rozbił sobie głowę, aż do chwili, gdy upuścił i rozbił obiektyw, nieustannie prześladują go nieszczęścia, które zamieniły go w ofiarę.

Ale poranek jeszcze się nie skończył. Znalazłszy się na brukowanej ulicy, Papa znów poczuł zawrót głowy. Było wilgotno, Pewnie zastanawiał się, co będzie robił w swej pracowni w Mexico City, skoro nie miał zamówień. Może zamierzał udawać, że pracuje,

czyścić sprzęt, polerować soczewki? Może liczył, że pojawi się jakiś klient? Nad drzwiami pracowni wisiał szyld: GUILLERMO KAHLO, PEJZAŻE, BUDYNKI, WNĘTRZA, FABRYKI, ITP. Zawsze istniała możliwość, że ktoś zamówi u niego zdjęcie... czego? Rafinerii? Kawałka ziemi? Na żądanie wykonałby nawet portret, choć nie lubił fotografować ludzi, chyba że w tłumie. W scenach zbiorowych jednostki nie miały znaczenia, liczyła się całość. „Po co mam robić zdjęcia ludzi, których muszę upiększać? - mawiał. - Po co upiększać to, co Bóg stworzył brzydkim?”

Może Papa, idąc ulicą, zastanawiał się nad tym wszystkim. Może dlatego zakreśliło mu się w głowie - poczuł znużenie, zniechęcenie, własną nieprzydatność. W każdym razie nagle się zatoczył. Pewnie oczyma duszy ujrzał, że gałęzie drzew przed domem stają się coraz większe i wyciągają się ku niemu, po futerał od obiektywu. Pewnie chodnik wydał mu się dłuższy, każdy brukowy kamień urósł do wielkości góry, a krawężnik zamienił się w przepaść. Pewnie myślał, że jeśli upadnie, będzie spadał w nieskończoność. Pewnie w jakimś momencie przypomniał sobie, że gdzieś musi być ulica, ale na razie widział tylko ogromną dolinę bez końca i początku. Zazwyczaj wyczuwał zbliżający się atak, więc zapewne wiedział, co się z nim dzieje, rozpoznał objawy - nogi jak z waty, trudności z oddychaniem.

Jak długo leżał? Kilka chwil, może trochę dłużej. Kiedy odzyskał przytomność, siedział skulony w bramie naszego domu, a nad nim pochylał się służący z lekarstwem na padaczkę i szklanką wody. Mami udzielała mu wskazówek:

- Nie ruszaj go. Uważaj na torbę ze sprzętem. Niech nikt jej nie dotyka. Spokojnie... spokojnie.... teraz przenieście go do sypialni. Ostrożnie... Ostrożnie!

Frida i ja przyglądałyśmy się z okna całemu zajściu. Już przedtem widywałyśmy ataki ojca, ale i tak byłyśmy wystraszone. Kiedy wniesiono go do domu, zaczęłam płakać.

Papa odpoczywał. Czy był świadom, że Mami krząta się po pokoju? Czy wiedział, że jest w domu, zamiast znajdować się

w drodze do pracowni? Pewnie nie od razu. Z początku czuł się zdezorientowany, ale powoli odzyskiwał zmysły, i w pewnej chwili musiał z przerażeniem przypomnieć sobie swój pęknięty obiektyw.

Mami, która porządkowała jego sprzęt, właśnie podniosła futerał obiektywu.

- Zostaw to - warknął. Wyglądał, jakby miał mdłości. Mami uniosła brew.

- Co?

- Wychodzę - oznajmił Papa.

- Nie sądzę - odparła spokojnie Mami.

- Tak - rzekł Papa. - Wychodzę.

- Może trochę odpoczniesz? - zaproponowała.

- Nie chcę odpoczywać - odpowiedział ze znużeniem. - Chcę już iść.

Mami chciała, żeby został jeszcze chwilę, ale Papi niepokoił się o obiektyw. Bał się, że mama go znajdzie. Podciągnął się do pozycji siedzącej i odetchnął głęboko. Jego wzrok przykuły palce Mami, manipulujące przy klamercie futerału.

- Co tam masz, że się tak denerwujesz? - zapytała Mami. - Zdjęcia swojej dziewczyny?

- Nie mam dziewczyny - powiedział Papi kwaśno.

- *Gracias* - odparła Mami. Wygramolił się z łóżka i przyglądał ubranie.

Mami pożegnała go chłodno i obiecała, że przyśle mu obiad przez Manuela.

- Pewnie nie będziesz miał ochoty wracać do domu - mruknęła. Papi, jak zwykle w takich razach, oznajmił, że ma za daleko do

domu, żeby wracać na obiad. Kurczowo chwycił futerał z obiektywem i torbę ze sprzętem, po czym otworzył drzwi.

- Bóg wyrównuje ze mną rachunki, bo byłem złym ojcem i ateistą - szepnął do siebie, wychodząc. Niewiele wiedział. Bóg dopiero zabierał się do roboty.

ROZDZIAŁ 11

Siedemnasty września 1925

Siedemnasty września 1925. Kiedy wspominam ten dzień, przychodzi mi na myśl chmura wron. Widzę szkło i rzeki krwi, wilki pożerające mięso pełne robactwa, miecze wbite w drgające ciała, zdeptane róże, zabłocone trupy, płody wyrwane z brzuchów matek, krucyfiksy oblane moczem, odchody, wymioty, łzy i śmierć. Widzę śmierć. Nie mogę znieść tej myśli, a jednak wraca do mnie bez przerwy. Nawet dziś, choć zdarzyło się to prawie czterdzieści lat temu.

To miał być cudowny dzień.

Nie spotykałam się już z Eusebio, nie dlatego, że przestałam go lubić, ale dlatego, że poznałam Antonia Pinedo. Sądziłam, że Pinedo bardziej spodoba się rodzicom, zwłaszcza Mami - miał pracę, idealnie czyste paznokcie i regularnie chodził na mszę. Byłam młoda i wciąż sądziłam, że ludzie mnie pokochają, jeżeli spełnię wszystkie ich życzenia. Ja także przypadłam Antoniowi do gustu, bo miałam pełną, miękką figurę i niewiele odeń wymagałam. Skoro romans Fridy z Leticją Santiago okrył wstydem nasze nazwisko - nawet służba czuła się zakłopotana - uznałam, że do mnie należy odzyskanie honoru rodziny, a ponadto chciałam przy okazji zasłużyć na wieczną wdzięczność rodziców. Uparłam się zatem, że sprawię, iż Pinedo się ze mną ożeni, i flirtowałam z nim niemiłosiernie, aż wpadł w moje sidła niczym pasikonik w pajęczą sieć. Właśnie 17 września miał odbyć z Papą zasadniczą rozmowę. Jak się jednak okazało, los chciał inaczej - nie ja zostałam bohaterką tego dnia. Została nią Frida.

Po południu niebo się zachmurzyło. Być może był to znak, a może i nie, w końcu prawie wszystkie wrześnie popołudnia były szare. Frida nie dbała o ciśnienie atmosferyczne. Pogodziła się z Alejandrem i kiedy wyjeżdżała do miasta, by się z nim spotkać, wręcz szalała z radości. Alejandro traktował ją z wielką czułością, prawdę mówiąc, od miesiący nie obdarzał jej takimi względami. Trzymając się za ręce, poszli na spacer po dzielnicy Zócalo, aby obejrzeć stragany, ustawione z okazji obchodów święta narodowego Meksyku, i posłuchać wołania handlarzy, którzy zachwalali swe towary z entuzjazmem zarezerwowanym dla specjalnych wydarzeń.

Cómpreme este muñeco, señoíta! Kup ode mnie tę lalkę, panienko!

Cómpreme este titere, señor! Niech pan kupi ode mnie tę kukiełkę!

Uwagę Fridy zwróciła barwna, miniaturowa parasolka.

- To parasolka dla lalki - rzekł Alex, widząc zachwyty Fridy - a ty przypominasz laleczkę, więc kupię ją dla ciebie.

Zapłacił za drobiazg i uroczyście wręczył go Fridzie, która wspięła się na palce i pocałowała go w usta przy wtórze głośnych zachęt handlarza: *Andale*, hijo.

- Widzisz? - powiedziała Frida. - Ci ludzie nie wstydzą się miłości. Tylko drobnomieszczańscy głupcy, tacy jak moja matka, mają ludziom za złe rzeczy, które są zupełnie naturalne!

To dziwne, ale znacznie lepiej pamiętam, jak spędziła popołudnie Frida niż ja sama. Nie widziałam, co się stało, ale później rozmawialiśmy o tym przez długie godziny, gdy Frida dochodziła do zdrowia. Chodzi jednak o coś więcej. Kiedy coś przytrafiało się Fridzie, ja także w kółko przeżywałam to w myślach, wymyślając wciąż nowe szczegóły, aż zaczynało mi się wydawać, że uczestniczę w wydarzeniach z jej życia.

Zakochana para wałęsała się po ulicach, przystając, by kupić *taco* albo *churro*. Niewielki deszcz zmusił ich do schronienia się pod daszkiem, ale niebawem znów ruszyli przed siebie;

popołudniowe opady zdarzają się tu prawie codziennie i nikt właściwie nie zwraca na nie uwagi. Na *plaza* Frida i Alex spotkali kolegów ze szkoły i przez chwilę z nimi rozmawiali, a następnie poszli obejrzeć towary wystawione przed katedrą, srebrzystą i zjawiskową w mżącym deszczu.

- Robi się późno, *mi amor* - westchnęła Frida. - Muszę się zbierać.

- Słodki ból rozstania! - zadeklamował Alex melodramatycznie.

- Zamknij się, głuptasie - odparła Frida ze śmiechem. - Nie mógłbyś przynajmniej zacytować jakiegoś meksykańskiego poety?

- *Como hermanay hermano uamos los dos cogidos de la mano...* Jak brat i siostra pójdziemy ręka w rękę...

- Nie poznaję tego, to jakieś gówno!

- Nie gówno, tylko Enrique Gonzalez Martinez! Chciałaś usłyszeć meksykańskiego poetę.

- Tak, ale nie podoba mi się całe to gadanie o bracie i siostrze. Nie jestem twoją siostrą, tylko twoją kobietą!

Alex chwycił ją w talii i pocałował w kark, po czym ruszyli w stronę tramwaju.

- Boże, ale się śpieszysz, żeby się mnie pozbyć - poskarżyła się Frida.

- Nie mów do mnie Boże, wystarczy Alex! Szturchnęła go w żebra, on zaś uszczypnął ją w policzek. Kiedy znaleźli się na przystanku, Alex pomógł Fridzie wsiąść do tramwaju. Nagle jęknęła i wyskoczyła z powrotem.

- Co się stało?

- Moja parasolka! Ta, którą mi kupiłeś. Pewnie zostawiłam ją na którymś straganie, kiedy kupowaliśmy jedzenie! Chodź, wrócimy i poszukamy jej.

Cofnęli się po własnych śladach. Co prawda nie znaleźli parasolki, lecz udało się im odszukać handlarza, który ją sprzedał.

- Chodź, kupię ci drugą - powiedział Alex. - Przecież nie mogę pozwolić, by moja mała *chamaca* była nieszczęśliwa!

Ale parasolek już nie było.

- Przykro mi, señor - rzekł sprzedawca. - Może panience spodoba się coś innego. Proszę, tu mam ładne ba/ero.

I pokazał im drewniany kubek z przyczepioną do niego drewnianą kulką na sznurku. Zakręcił nią kilkakrotnie i złapał do kubka, aby pokazać, jakie to łatwe. Alex zapłacił, po czym ruszyli z powrotem.

Na rogu zatrzymał się drewniany autobus, pomalowany w wesołe wzory. W owym czasie autobusy były w Meksyku osobliwością; niedawno je wprowadzono i nadal przyciągały tłumy ludzi niczym kolejka w wesołym miasteczku. Czasem Frida zabierała mnie do miasta tylko po to, by przejechać się autobusem.

- Chodź, pojedziemy! Możemy później przesiąść się do tramwaju. Pędem pobiegli w stronę masywnego pojazdu.

Deskę rozdzielczą autobusu kierowca ozdobił obrazkami Świętej Dziewicy z Guadalupe i fotosami rozebranych dziewcząt o zastygłych, plastikowych uśmiechach. Z lusterka wstecznego zwisał rozkołysany różaniec. Wzdłuż obu boków autobusu ciągnęły się zatłoczone ławki, lecz Alexowi i Fridzie udało się znaleźć z tyłu miejsca siedzące. Naprzeciwko nich kobieta w *rebozo* karmiła niemowlę, a robotnik w wielkim sombrero palił papierosa, jowialnie proponując skręty współtowarzyszom podróży. Na przedzie siedział malarz pokojowy w zachlapanym farbą kombinezonie, czekający z przymkniętymi oczami, aż autobus ruszy. Między nogami ścisnął puszkę farby, w dłoni zaś trzymał paczkę złotego proszku.

Kierowca, młody wąsaty Metys, agresywnie uruchomił silnik i śmiało wyjechał z bocznej uliczki. Najwyraźniej sądził, że skoro autobus jest o tyle większy od aut i wozów konnych, to one powinny się go bać, toteż parł przed siebie, nie zważając na zagrożenie, niczym krewki rycerz rwący się do boju. Jakiś samochód, na którym wymuszono pierwszeństwo, ostro skręcił w lewo, trąbiąc jak opętany.

Kiedy dotarli do targu San Juan przy skrzyżowaniu ulic Cua-hutemotzfn i Cinco de Mayo, z przecznicy nadjechał tramwaj

z Xochimilco. Kierowca autobusu zamierzał skrócić w Calzada de Tlalpan, ale tramwaj najwyraźniej mu przeszkadzał. Zahamował, po czym ponownie ocenił odległość i uznał, że zdąży. Tymczasem stateczny, nieśpieszny tramwaj zbliżał się nieubłaganie, jakby motorniczy postanowił wymusić na autobusie pierwszeństwo przejazdu. Jednak kierowca autobusu nie ustąpił.

I stało się. Tramwaj staranował autobus, uderzając go w sam środek, i rozmiądzzył pojazd o ścianę domu.

Autobus nie pękł od razu. Z niezwykłą elastycznością zdawał się wyginać i rozciągać w nieskończoność. Alex zniemacka znalazł się twarzą w twarz z robotnikiem palącym papierosa, a Frida padła na podolek karmiącej matki. Wszystko trwało zaledwie ułamek sekundy, lecz Fridzie wydawało się, że wydarzenia przebiegają w zwolnionym tempie. Nad głowami pasażerów leniwie przelatowały różne przedmioty - gazeta, obrączka ślubna, kocyk dziecka, fotos, pędzel, klucze, papierosy, kłębek włóczki i drobiny złotego proszku. I wówczas, z przeraźliwym trzaskiem, pojazd się rozpadł. Ludzie wypadli na tory w potoku drzazg i odłamków metalu. A tymczasem tramwaj nieubłaganie posuwał się naprzód, jakby pieczętując zwycięstwo nad przeciwnikiem.

Alex, rzucony pod wagon, otworzył oczy i ujrzał nad głową metalowe podwozie, a wokół pokrwawione ciała. Dwie lub trzy osoby nie żyły, inne umierały. Gdzieś płakało dziecko.

Momentalnie ocenił położenie kół. Gdyby tramwaj przesunął się choćby o centymetr, przeciąłby go na pół. Ostrożnie wysunął się z ciasnej przestrzeni. Z wyjątkiem braku połowy marynarki, nie odniósł żadnych strat.

Rozejrzał się za Fridą i ujrzał, że leży na ulicy. Była zupełnie naga - przy zderzeniu podmuch zdarł z niej ubranie. Wyglądała fantastycznie, wręcz karnawałowo, albowiem całe jej ciało pokrywał złoty proszek malarza.

- Miren *a la pequeña bailarina!* - krzyknął jakiś człowiek. „Patrzcie na tę małą tancerkę!”. Pewnie uznał, że ma przed sobą tancerkę albo cyrkówkę o wiotkim, zgrabnym ciele, odzianą w czerwień i złoto.

Stosy tłuczonego szkła. Potoki krwi. Wyrwane wnętrzności. Zmiażdżone czaszki. Skręcony metal i skręcone kończyny. Odór zółci i przerażenia. Krzyki. Łkanie. Syreny.

Frida krwawiła - żelazna poręcz przebiła jej miednicę. Nie wiedziała, co się z nią dzieje; może wpadła w histerię albo w stupor, a może po prostu nic nie czuła. Wciąż krzyczała:

- Moje balero! Gdzie jest moje balero? Tylko mi nie mów, że zgubiłam je także!

Alex patrzył struchlały, jak Frida wodzi rękami wokół siebie w poszukiwaniu zabawki, nieświadoma tkwiącego w niej pręta. Usiłował ją uspokoić i unieruchomić, wreszcie okrył ją strzępami marynarki i wziął na ręce. Frida jednak nadal się wrywała.

- Moje *balero*! - wołała rozpaczliwie.

Do Alexa podbiegł człowiek o znajomej twarzy.

- Gzy to Frida Kahlo? O Boże! Co z niej tak sterczy? Musimy to wyjąć!

I chwycił metalowy pręt. Alex odchodził od zmysłów.

- Kim pan jest? - wrzasnął.

- Pracuję w szkole, w Prepie! Co to za różnica? Niech pan ją położy! I niech ktoś wezwie karetkę!

Mężczyzna przygwoździł Fridę kolaniem do ziemi i szarpnął. Frida zawyła. Z rany trysnęła krew. Razem z Alexem zanieśli ranną do pobliskiej sali bilardowej i położyli przy oknie. Alex gładził ją po ręce, ale nawet nie zauważyła jego obecności. Była półprzytomna z bólu.

Frida krzyczała tak głośno, że Alex nawet nie usłyszał syreny ambulansu Czerwonego Krzyża. Pomógł sanitariuszom ułożyć ją na noszach i pojechał z nią do szpitala na ulicy San Jeronimo. W drodze nie przestawał się modlić:

- Dobry Boże, nie pozwól, by umarła. Proszę, nie daj jej umrzeć. Jak wszyscy uważał się za rewolucjonistę, ale są chwile, gdy

człowiek zapomina o polityce. Kiedy dojechali do szpitala, był całkowicie wyczerpany i na skraju histerii.

Znużona pielęgniarka z myszką nad górną wargą przytrzymała go za rękę i coś do niego powiedziała. Myszka zdawała się kurczyć i rozszerzać w rytm jej słów i Alex, aby uchronić się przed omdleniem, ze wszystkich sił skupił na niej uwagę. Wszystkie siostry miały na sobie przepasane w talii, białe fartuchy do kostek oraz czepki ze znakiem Czerwonego Krzyża. W ascetycznej atmosferze szpitala wyglądały jak duchy wynurzające się z niewyraźnych wnętrz i znów w nich znikające, drobiny światła migające tu i tam, anioły prowadzące oszołomionych pielgrzymów do miejsca schronienia.

- Proszę pana - powiedziała pielęgniarka. - Nie może pan tu zostać. Musimy przygotować tę panią do operacji.

- Przeżyje?

Myszka nie poruszyła się.

- Proszę powiedzieć, przeżyje?

- Wszystko w ręku Boga - mruknęła w końcu pielęgniarka.

- Jeśli jego życzeniem jest, by ocalała, przejawia swoją moc za naszym pośrednictwem.

- Chciałem zmiażdżyć tę myszkę i głos, który zdawał się pochodzić od zjawy - opowiadał mi Alex.

W myślach wrzeszczał na pielęgniarkę: „Przestań bredzić o Jezusie, gadaj, czy Frida będzie żyła!”.

Ale nie powiedział tego głośno - był zbyt przejęty, zbyt wystraszony. Po prostu usiadł i czekał.

Rokowania nie były najlepsze - Frida odniosła wielokrotne złamania i wiele głębokich ran.

- Czy ktoś zawiadomił jej rodziców? - zapytał Alex, kiedy trochę ochłonął.

- Jeszcze nie. Nie mieliśmy na to czasu - westchnął doktor.

- Oczywiście, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, ale to będzie cud, jeśli przeżyje.

Frida miała pękniętą w trzech miejscach miednicę, jak również pęknięcie kręgosłupa, złamany obojczyk i dwa żebra, zmiażdżoną prawą nogę, zwichniętą prawą stopę i przemieszczony lewy bark.

Pielęgniarka powiadomiła Alexa, że Frida znajduje się na sali operacyjnej. Alex odwrócił się do ściany i zrobił coś, na co rzadko sobie pozwalał - rozplakał się.

Kiedy boimy się, że umrze ktoś bliski, oczekiwanie ciągnie się bez końca. W powietrzu roi się od demonów. Anioły zmagają się z nimi co sił, ale czasem ponoszą klęskę - prawdę mówiąc, przegrywają dość często. W budynku szpitalnym niegdyś mieścił się klasztor i wszystkie sale jawiły się jako ciemne, zimne i pełne nadprzyrodzonych szeptów. Wszędzie kręcili się ludzie, biegający, szepczący, wydający polecenia, jednak Alexa ogarnęła ogromna cisza. Zamknął oczy i zamiast obrazu Fridy, radosnej nastolatki, figlarnej uwodzicielki, ujrzał eksplodujący stos połamanych kości.

Jego ramienia dotknęła pielęgniarka.

- Będzie żyła? - zapytał ze znużeniem.

- Na razie martwię się panem.

- Nic mi nie jest. - Alex spojrzał na siostrę.

Nosiła na kołnierzyku symbol oznaczający, że jest zakonnica. Po rewolucji w Meksyku siostrom zakonnym zabroniono nosić habity, aczkolwiek niektóre łamały ten zakaz. Z wyjątkiem owego symbolu strój siostry był taki sam jak jej świeckich koleżanek.

Alex tak niepokoił się o Fridę, że zapomniał o własnym stanie, teraz jednak poczuł tępy ból, promieniujący od czubka głowy do podstawy czaszki. Nie uświadamiał sobie jeszcze, że sam odniósł poważne obrażenia i że spędzi w łóżku najbliższych kilka miesięcy.

Kiedy Frida obudziła się, przy jej łóżku siedziała Śmierć. Tak przynajmniej mówiła do Maty:

- Nie chodzi tylko o to, że ją wyczułam. Ja ją zobaczyłam! Tańczyła po pokoju, czasem jeździła na rowerze dookoła łóżka, czasem znów brała gitarę i grała wesołe, porywające melodyjki, takie, które każą człowiekowi wstać i pójść w objęcia śmierci.

Przez całe swoje życie Frida uważała śmierć za atrakcyjną, wręcz pociągającą. Nawet w dzieciństwie, chociaż się jej bała, była nią zafascynowana.

- Błagałam, żeby przestała mówić - relacjonowała mi potem Maty - ale Śmierć w jej opowieści nie wyglądała tak strasznie, jak wtedy, gdy miałyśmy po sześć czy siedem lat, lecz przypominała szkielet - jej, Fridy, szkielet, ubrany w jej, Fridy, strój, niebieską spódnicę, białą bluzkę i sweter. Na czaszce szkieletu namalowana była czerwona róża. Bardzo ładna, jak żywa. Frida mówi, że Śmierć jest wesoła, że to młoda dziewczyna...

Jak pan sobie zapewne wyobraża, Maty ogromnie przejęła się tą rozmową, lecz ja pojęłam, o co chodziło Fridzie. Lekarze uważali, że jest bliska śmierci, więc próbowała stawić jej czoło i jakoś się z nią pogodzić.

Z wypadku jako rodzina odnieśliśmy pewną korzyść, albowiem więzy między nami znów się zacieśniły. Co prawda, Mami wciąż nie chciała wybaczyć Maty, ale zrozumiała, iż musimy się wspierać, aby pomóc Fridzie. Maty, Adriana i ja jeździliśmy do szpitala prawie codziennie, natomiast Mami i Papa - w miarę możliwości, aczkolwiek nie od samego początku. Mami tak się zdenerwowała na wieść o nieszczęściu, że całkiem się załamała, a Papi podupadł na zdrowiu do tego stopnia, że z trudem wychodził z domu.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Fridę po wypadku, omal nie zemdlałam. Tkwiła unieruchomiona w konstrukcji podobnej do trumny; jej tułów okrywał ciężki gipsowy pancerz, a nogi wisiały na czymś w rodzaju huśtawki. Maty bała się jej dotknąć, a ja ze strachu nawet się do niej nie zbliżyłam. Wyglądała jak mumia i przeraziłam się, że umarła.

- Niedługo stąd wyjdiesz - powtarzała Maty w kółko.

- Ale kto to wie, dokąd? Może do Coyoacan, a może prosto na cmentarz. Ale przynajmniej nie umrę dziewczicą. Pręt, który wbił mi się w brzuch, rozwiązał ten problem!

- Doprawdy? - zapytała Maty. - A ja słyszałam, że straciłaś dziewictwo zupełnie inaczej.

Zaśmiała się sztucznie, po czym obie zamilkły.

- Mami i Papa pozdrawiają cię serdecznie - powiedziałam, "żeby przerwać milczenie. - Papi znów ma ataki, ale przyjedzie, jak tylko będzie mógł.

- Chcę go zobaczyć.

- Wiem. Nie martw się, przyjedzie. Wiesz, że Adri zemdląca, kiedy dowiedziała się, co się stało?

- To prawda - potwierdziła Adriana. - Alberto uznał, że w moim stanie nie powinnam jeździć do miasta, ale i tak postanowiłam cię odwiedzić.

- W twoim stanie?! - warknęła wrogo Frida. - Rzeczywiście, dobre sobie! To ja o mało nie umarłam, to mnie pręt przebił brzuch!

- Przepraszam - szepnęła Adriana, połykając łzy.

Frida natychmiast pożałowała swoich słów i zaczęła popłakiwać:

- Tylko wy mnie kochacie. Wy, moje najdroższe siostrzyczki. A potem powiedziała coś, co naprawdę mnie rozżłościło.

- Zwłaszcza ty, Maty. Ty jedna o mnie dbasz, ty i moi przyjaciele Cachuchas. Wszyscy już zdążyli mnie odwiedzić. To dziwne... Kiedy uciekłaś z Hernandezem, Mami powiedziała, że jesteś czarną owcą, niedobrego, ale ty jedna mnie nie odepchnęłaś. Maty, jesteś aniołem.

Od kiedy to aniołem jest Maty? - myślałam. To ja od siedemnastu lat znosiłam wygłupy Fridy, jej arogancję i zadzieranie nosa. To ja dzieliłam z nią pokój, chociaż po ślubie Adrianie przeniosłam się do sypialni obok. To mnie zawsze się zwierzała i to ja pomagałam jej przetrwać okropne kłopoty z Alexem. Zawsze powtarzała, że jestem jej najlepszą przyjaciółką, jej cuate. A teraz okazało się, że to Maty kocha ją najbardziej!

- Jakże mogłabym cię odepchnąć? - zagruchała Maty. - Przecież pomogłaś mi uciec! Zamknęłaś okno i przez wiele godzin nikt nie zauważył, że mnie nie ma! Miałaś tylko siedem latek, pamiętasz? A poza tym jedna czarna owca warta drugiej, a Papa mówi, że według Mami jesteś najczarniejszą z owiec w naszej rodzinie, czarniejszą nawet niż ja!

I obie roześmiały się w siostrzanej komitywie. Chciało mi się rzygać. Nagle ucieszyłam się, że Mami nadal nie odzywała się do Maty, która od czasu, gdy poślubiła swego chłopaka, stała się dostojną matroną.

Frida gadała coś o Śmierci, La Pelona - „Łysej”, jak nazywamy ją w Meksyku. A potem zaczęła skarżyć się na Alexa. Nie przyszedł jej odwiedzić, chociaż do niego napisała. Nawet nie odpowiedział na list.

A więc o to chodzi, pomyślałam. To dlatego była dla mnie taka niemiła. To ja znałam wszystkie górki i dołki jej związku z Alexem, prawdopodobnie więc zwyczajnie się wstydziła. W końcu jeszcze niedawno nie przestawała paplać o pojednaniu między nimi.

- Alex też został poważnie ranny w tym wypadku - przypomniałam jej.

- Ale nie tak jak ja - odcięła się. - Mnie się oberwało najbardziej. A teraz nikogo nie obchodzę, nikt mnie nie odwiedza, tylko wy, Cachuchas i La Pelona.

- Doktor mówi, że im dłużej jej się nie dajesz, tym większą masz szansę całkiem jej się wymknąć - rzekła Maty pojednawczo.

- Wiesz co, Maty - powiedziała Frida - czasem myślę, że zawsze już będzie przy mnie.

Tak, panie doktorze, wiem, że właśnie przeżyła straszliwy uraz. Tak, do jasnej cholery, wiem, co to jest uraz! Jest pan taki sam jak Frida. Też pan uważa, że jestem głupia. Niech pan posłucha, chcę jedynie powiedzieć, że Frida miała skłonność do dramatyzowania i wygrywała swoje położenie, jak tylko się dało.

Oczywiście, że było mi jej żal. Za kogo pan mnie ma? W końcu to moja siostra, i w dodatku cierpiąca. Ale nawet w tak strasznym stanie umiała świetnie nami manipulować.

Wróćmy jednak do rzeczy. Ze szpitala Frida pisała do Alexa długie, szczegółowe listy. Opisywała w nich swoje bóle, diagnozy lekarzy, leczenie, jakiemu ją poddawano. Narzekała na pielęgniarki; co prawda twierdziła, że rozumie doskonale, iż nie mogą

poświęcać jej więcej uwagi - na jedną z nich przypadało dwudziestu pięciu pacjentów - ale i tak skarżyła się, że za mało o nią dbają. Czytałam niektóre z tych listów. Opowiadała w nich o odwiedzinach kolegów ze szkoły i przyjaciół z Organizacji Młodych Komunistów, psioczyła na nudę i na pecha, który ją spotyka. Wyznała Alexowi, że płakała, kiedy dowiedziała się, że on także bardzo cierpiał. Nie wiem, czy to prawda. Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś płakał z powodu cudzego bólu.

Biedna Frida. Musi pan przyznać, że to niezwykła dziewczyna. Tak wiele przeszła, a jednak wciąż walczyła, nie poddawała się. Cierpiałam, widząc, jak się męczy. Była taka drobna, lecz miała żelazną wolę i ducha niczym gejzer. Bardzo ją kochałam. Pomimo tego, że wciąż tak mnie złościła i tak głęboko mnie skrzywdziła, kochałam ją bardziej niż kogokolwiek na świecie. Naprawdę.

ROZDZIAŁ 12

Portrety

Po wypisaniu Fridy ze szpitala Mami doznała takiej ulgi, że dała na mszę dziękczynną, na którą posłusznie udaliśmy się wszyscy, oczywiście z wyjątkiem Fridy, bo nie wolno jej było się ruszać, oraz Papy, zbyt wstrząśniętego, by rozmawiać z Panem Bogiem. Następnie Mami zamieściła w miejscowej gazecie ogłoszenie z podziękowaniami dla Czerwonego Krzyża. Ogólnie uznano to za niezwykle miły gest, chociaż Elena Cabrera Andrade, matka Esteli, zaczęła opowiadać wszem i wobec, iż Matilda Kahlo jest gotowa posunąć się bardzo daleko, aby jej nazwisko znalazło się w kolumnie towarzyskiej.

Frida zachowywała się nieznośnie. „Cristi, pomaluj mi paznokcie u nóg! Nie, nie tak, ty kretyńko!”, „Cristi, przeczytaj mi ten artykuł! Głupia! Nawet nie rozumiesz, co czytasz!”, „Cristi, podaj mi lusterko!”, „Cristi, przynieś mi szklanę wody!”, „Cristi, daj mi liścik, który przyszedł od Alexa! Wiem, że go schowałaś!”.

Była przekonana, że ukrywam przed nią listy, które rzekomo codziennie przysyła jej Alex, bo jestem zazdrosna o ich płomienny romans. W rzeczywistości Alex w ogóle do niej nie pisywał. Albo bardzo rzadko. A poza tym sama przeżywałam płomienny romans, Pinedo i ja zamierzaliśmy się pobrać, więc miałam inne rzeczy do roboty niż zwracanie sobie głowy Fridą i Alexem.

Z początku odwiedzali ją Cachuchas, lecz w miarę upływu czasu coraz rzadziej chciało im się tracić dwie godziny na podróż tramwajem do Coyoacán. Frida nie lubiła być sama i często wołała mnie, abym z nią posiedziała, szybko jednak robiła się

nieprzyjemna i zaczynała narzekać, że nie poświęcam jej dość uwagi. Istotnie, wiem, że nudziła się jak mops, ale to żaden powód, by wciąż na mnie warczeć. Skończyło się na tym, że szukałam pretekstów, aby wyjść z domu i spędzać z nią jak najmniej czasu.

W sprawie ślubu postawa Mami mnie rozczarowała. Podobno matki powinny wpadać w szal radości, kiedy ich córki wychodzą za mąż, prawda? Robić zakupy, sporządzać listy gości, układać menu przyjęcia weselnego i tak dalej, czyż nie? I dawać ogłoszenia do prasy, na przykład: „Wybitny europejski fotografik Guillermo Kahlo i madame Matilde Calderon de Kahlo mają zaszczyt zawiadomić o ślubie swej córki Cristiny z...”. Myślałam, że przy okazji ślubu Mami choć zażąda od Papy pieniędzy na nowe suknie, ale nic z tego. Mami musiała zająć się Fridą. No tak, oczywiście, Frida miała poważny wypadek.

Uznałam, że to bardzo niesprawiedliwe, gdyż właśnie ona zawsze sprawiała kłopoty. No i Maty - z niej też nie mieliśmy wiele pożytku, przynajmniej wedle tego, co Mami twierdziła przez całe lata. Ale teraz nagle wszystko się zmieniło, bo Maty wreszcie wyszła za mąż i Mami jej przebaczyła. Maty zaczęła do nas codziennie przychodzić i od nowa zaprzyjaźniła się z Fridą, z którą stanowiły nierozłączną parę. A przecież to ja powinnam być na pierwszym miejscu, w końcu to ja brałam ślub, czyż nie? Zrobiłam wszystko jak należy, postępowałam zgodnie z zasadami, prawda? Ale Mami podejmowała Maty jak odzyskaną córkę marnotrawną i wręcz wyłaziła ze skóry, aby dogodzić biednej, malej, chorej Fridzie.

Frida prawie codziennie układała długie, błagalne listy do Alexa, w których wyliczała swoje dolegliwości i żebrała, by odwiedził ją lub do niej napisał. „Och, Aleksie kochany, przez całą noc wymiotowałam! Proszę, przyjdź do mnie!”. Albo: „Aleksie, mój drogi, ukochany, mam tak chory żołądek, że nawet nie mogę pierdzieć! Marzę o tym, żeby cię zobaczyć!”. Po czym następowały długie, szczegółowe opisy jej operacji - ramienia, kręgosłupa,

macicy. Doprawdy, jak na taką mądrą była dość głupia. No, bo który chłop ma ochotę czytać o chorobach? Czy skarżenie się kochankowi na bolesność przy sraniu jest przejawem mądrości? Nic dziwnego, że Alex prawie przestał odpowiadać, a kiedy jeden jedyny raz przyszedł ją odwiedzić, Rufina powiedziała mu, że Fridy nie ma w domu. Tyle lat minęło, a ona wciąż nie mogła wybaczyć Fridzie i Maty, że ją nabrały tej nocy, kiedy Maty uciekła do swego Paca. Korzystała z każdej okazji, by odegrać się na Fridzie, toteż poinformowała Alexa, że Frida poszła z wizytą, nie pamiętam już do kogo. Niech pan sobie wyobrazi! A on całą godzinę jechał do nas tramwajem! Frida dostała szału.

- Ta służka mnie nienawidzi! - łkała. - Nie znosi mnie!

Prawdę powiedziawszy, wszyscy mieliśmy już trochę dość utyskiwań Fridy. Owszem, bardzo cierpiała, lecz równocześnie natrętnie domagała się współczucia. Bez przerwy jęczała, choć w istocie stan jej zdrowia znacznie się poprawił. Wedle Mami, wstawiła się za nią Matka Boża, wie pan przecież, że Matka Boża kocha grzeszników. Zupełnie tak jak Jezus. Dlatego wszedł pomiędzy łotrów, pamięta pan? I proszę nie zapominać o Marii Magdalenie.

Zanim się obejrzeliśmy, Frida zaczęła siadać, stawać, wreszcie chodzić, aż pewnego grudniowego dnia uznała, że czuje się dostatecznie dobrze, by zaryzykować jazdę do Mexico City. Mami, która początkowo nie chciała o tym słyszeć - choć, prawdę mówiąc, niewiele to Fridę obeszło - zgodziła się ją puścić jedynie pod warunkiem, że będą jej towarzyszyła. Takie rozwiązanie nie odpowiadało Fridzie ani trochę; stanowczo nie życzyła sobie, bym ciągnęła się za nią, gdyż przede wszystkim pragnęła zobaczyć się z Alexem.

- Zostawię cię gdzieś, kiedy dojedziemy do miasta - oznajmiła. - Możemy umówić się na obiad w El Lazo Roto.

W pobliżu Zócalo wskazała mi miejsce, gdzie miałyśmy się spotkać.

- Tylko się nie oddalaj, bo zabłądzisz i będę musiała cię szukać przez całe popołudnie - ostrzegła mnie.

Nie znosiłam, kiedy mówiła do mnie, jakbym miała cztery latka, jakbym była idiotką. Nie mieściło się jej w głowie, że mogłabym pójść na spacer i się nie zgubić. Sądziła, że jestem za głupia, by patrzeć, dokąd idę.

- Nie ma go - oznajmiła pokojówka, kiedy Frida zapukała do drzwi państwa Gómez Arias.

Frida przez jakiś czas czekała na Alexa w salonie, po czym udała się do Biblioteki Iberoamerykańskiej. Na próżno. Nie znalazła go także w okolicach Prepy, choć zajrzała do wszystkich kafejek i sklepów, w których zwykł bywać, aż w końcu natknęła się na Agustinę Reyne, kupującą książki w Libreria La Mancha. Nie wiem, jak to się stało, że Frida nie zdołała się jej pozbyć; tak czy inaczej, zjawily się obie w El Lazo Roto, gdzie czekałam od dobrego kwadransa. Nie, nie miałam pretensji o spóźnienie, i, widzi pan, nie zabłądziłam.

Znalazłam się w niezręcznej sytuacji. Właściwie najlepiej byłoby, gdybym zniknęła. Po pierwsze, nie należałam do Cachuchas i z pewnością nie dorosłam intelektualnie do tego, by konwersować z tak znamienitymi osobami. Po drugie, obie chciały rozmawiać o Aleksie, a ja wyraźnie im przeszkadzałam i nie zamierzały bynajmniej się do mnie odzywać. Siedziałam jak głupia, jadłam *arroz eon polio* i gapiłam się w stół.

Rozmowa się nie kleiła; żadna z dziewczyn nie chciała pierwsza wspomnieć o Aleksie.

- To co, Frida, wrócisz do nas w przyszłym roku? - zagaiła wreszcie Agustina. - Skończysz Prepę i będziesz zdawać na uniwersytet?

- Nie wiem - odparła Frida. - Chyba nie dam rady dalej chodzić do szkoły.

Agustina nieudolnie udała rozczarowanie.

- Jaka szkoda! Ale mogłabyś zdać dodatkowe egzaminy.

Z powodu wypadku Frida opuściła sesję jesienną.

Gawędziły przez chwilę. Frida opowiadała o swych dolegliwościach, o tym, że utraciła nawyk systematycznej nauki, o kosztach leczenia.

- Kiedy tylko stanę na nogi, to znaczy, naprawdę stanę na nogi, będę mogła pójść do pracy i trochę pomóc rodzicom - zakończyła.

Zapadło pełne skrepowania milczenie, po czym Agustina zebrała się na odwagę.

- Co robiłaś rano w bibliotece? - zapytała chytrze.

Nie sądzę, by to pytanie dowodziło szczególnej subtelności.

- O co ci chodzi? - obruszyła się Frida. Obie wiedziałyśmy, o co jej chodzi.

- Szukałaś Alexa?

- N... nie - zająknęła się Frida. - P... po prostu chciałam zobaczyć, czy któreś z was tam jest.

- Wiesz - powiedziała Agustina - może spróbuj zapomnieć o Aleksie. Sama usiłuję o nim zapomnieć.

Ta uwaga zbiła Fridę z tropu; tym razem nie znalazła stosownej riposty.

- Wiesz - dodała La Reyna - Alex wcale nie jest dżentelmenem. Opowiadał o mnie okropne rzeczy! Mówił, że jestem prawie tak samo puszczalska jak ty!

Sam pan wie, że nie ukrywam, co sądzę o Fridzie. Jestem świadoma jej wad. Nigdy nie twierdziłam, że była doskonała, lecz słowa Agusty wstrząsnęły mną. Jak mogła powiedzieć coś tak okrutnego o mojej siostrze? Biedna Frida siedziała niczym ogłuszona. Agustina spojrzała na mnie i uśmiechnęła się, jakby właśnie uczyniła niewinną uwagę, na przykład: „Będzie padało”, albo: „Ta oświetlona katedra wygląda bardzo ładnie”. Wiedziałam, że Frida z trudem powstrzymuje łzy, prawie słyszałam, jak mówi do siebie: „Nie rozplaczę się przed nią, nie rozplaczę się”. Poczulałam niemal skurcz w klatce piersiowej i okropny ból pleców. Widzi pan, między mną a Fridą tak właśnie było; kiedy coś ją bolało, to bolało i mnie, kiedy cierpiała, to i ja cierpiałam.

To prawda, że czasem traktowałam ją ze zniecierpliwieniem. Nie sposób tego uniknąć, mieszkając z osobą tak wymagającą jak Frida. Ale jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Można kogoś kochać i zarazem go nie znosić. Krótko mówiąc, kiedy Frida była

nieszczęśliwa, ja również cierpiałam, więc owego dnia, siedząc w El Lazo Roto z Agustina Reyną, obie poczułyśmy się fatalnie.

- Wiesz, co jeszcze powiedział? - ciągnęła Agustina.

- Ona wcale nie chce tego wiedzieć - przerwałam.

Frida z wdzięcznością uściśnęła moją dłoń, lecz Agustina nie zamierzała zrezygnować.

- Powiedział, że jesteś gorszą dziwką niż Nahui Oln, ta kobieta, która pozowała Riverze.

Powiedział, że dawałaś jemu tak samo, jak dawałaś Lirze, i kto wie komu jeszcze, może Fernandezowi... Fridzie zrzędała mina. Być może zmartwiła się, że Alex wie o Fernändezie. Co do Liry, to ja w każdym razie pierwszy raz o tym słyszałam.

- Powiedział, że najgorszym wypadkiem, jaki przeżył, było spotkanie z tobą, ale nareszcie dochodzi do zdrowia. Uważam więc - zakonkludowała nieubłaganie La Reyna, smakując wrażenie, jakie jej słowa zrobiły na Fridzie - że skoro Alex zrujnował opinię nam obu, obie powinnyśmy o nim zapomnieć.

Tego popołudnia poszłyśmy obie jeszcze raz do Alejandra, lecz pokojówka odprawiła nas z kwitkiem. To prawda, że często krytykuję Fridę, musi jednak pan zrozumieć, iż byłyśmy ze sobą tak blisko, że oddziaływałyśmy na siebie nawet bezwiednie. Po powrocie z miasta Frida stała się... bo ja wiem... melancholijna. Teraz mówi się, że popadła w depresję. Pan powinien znać się na takich rzeczach; czy depresja to właściwe określenie? W każdym razie Frida pogrążyła się w przygnębieniu ponurym niczym czyściec i doprawdy trudno powiedzieć, czy stało się tak dlatego, że uwielbiała Alexa i nie mogła znieść jego utraty, czy też dlatego, że w ogóle nie znosiła, kiedy ktoś ją odpychał. Okropnie to przeżyłam; nie mogłam myśleć o swoim *novio* ani o ślubie, ani o niczym, myślałam wyłącznie o Fridzie. Zapomniałam o sukni, koronkach, muzyce, zaproszeniach i kwiatach, o których marzyłam od miesięcy. Zresztą i tak zabrakłoby na nie pieniędzy.

Już panu mówiłam, że pomimo tylu operacji Frida z początku nadzwyczaj szybko dochodziła do zdrowia. Wyszła ze szpitala po

niespełna miesiącu, lecz od czasu owej nieszczęsnej wizyty w stolicy zaczęła mieć nawroty choroby. Powiadają, że stan umysłu człowieka wpływa na jego samopoczucie. Czy to prawda? Pewnie tak, bo pod wpływem uczuciowego zawodu biedne, drobne ciało Fridy zdawało się rozpadać jak zamek z piasku zalany falą. Lekarze nie robili jej prześwietleń; uznali, że nie ma potrzeby, że jej kręgosłup świetnie się zrasta. Teraz odkryli, że chora jest w strasznym stanie, cierpi nieustanny ból i trzeba ją poddawać jednej terapii po drugiej. Tymczasem nie mieliśmy już pieniędzy i Papa nie mógł zapłacić za leczenie, zdaniem lekarzy niezbędne. Zamiast prawdziwych leków dali jej zatem gipsowy gorset, który pomagał jej przez jakiś czas, lecz wkrótce bóle znów powróciły.

Nie powinnam właściwie o tym wspominać, lecz marzyłam o pięknym ślubie i haftowanej sukni, wykończonej meksykańską koronką. Włożyłabym ślubną suknię Maty, gdyby ją sobie sprawiła, ale Maty żyła ze swoim ukochanym osiem czy dziesięć lat, zanim w końcu wyszła za niego mąż, toteż nie widziała powodu, by specjalnie celebrować to wydarzenie. Adri poszła do ślubu w starej sukni Marii Luisy, ostatecznie więc mogłabym pójść w jej ślady, aczkolwiek przyznaję, że niezbyt lubiłam swą przyrodnią siostrę. Lecz suknia po Marii Luisie miała plamę na gorsie, a któż chciałby zaczynać małżeństwo od plamy?

Owszem, wiem - powiedziałam, iż ślub całkiem wyleciał mi z głowy, że zbyt pochłonęły mnie sprawy Fridy, bym o nim myślała. Jednak, ściślej mówiąc, wydaje mi się, że po prostu wypchnęłam go ze świadomości. Ma pan rację - nie całkiem o nim zapomniałam. Żadna kobieta nie zapomni o własnym ślubie. Patrząc wstecz, sądzę, że już wtedy te wszystkie problemy bardzo źle wróżyły naszemu małżeństwu.

Frida nie interesowała się moim narzeczeństwem. Nigdy nie ciekawiło jej nic, co robiłam, dopóki... dopóki nie pokochałam kogoś, kogo ona także kochała. O, tak - wtedy zwróciła na mnie uwagę.

Nadal pisywała do Alexa, lecz bez skutku. Czowała się tym gorzej, że ja miałam narzeczonego, który odprowadzał mnie z pracy do domu i odwiedzał co niedziela. Pławiłam się w atencjach mego nouio i wiedziałam, że w końcu pójdę z nim do ołtarza, a panna młoda zawsze jest gwiazdą przynajmniej przez jeden dzień. Czy przechwalałam się tym przed Fridą? Czy robiłam to specjalnie, żeby sprawić jej przykrość? Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie. Zapewniam pana jednak, że podczas miesięcy poprzedzających mój ślub Frida była bardziej przygnębiona niż kiedykolwiek.

Przez większość czasu musiała leżeć w łóżku, lecz gdy wstawała, snuła się po domu i właśnie w ten sposób natrafiła na jedyną rzecz, dzięki której mogła uzyskać ulgę - farby Papy.

- Cristi, pamiętasz te chimeryczne poranki, kiedy byliśmy małe i chodziłyśmy z Papą na wyprawy malarskie? - zapytała mnie kiedyś.

Wstydziałam się przyznać, że nie wiem, co znaczy słowo „chimeryczne”, więc się nie odezwałam. Nie miało to jednak znaczenia, bo Frida wcale nie czekała na odpowiedź:

- Czasem pomagałam Papie rozstawiać sztalugi i farby - ciągnęła - ale, prawdę mówiąc, nie zwracałam wielkiej uwagi na to, co robił. A ty, Cristi?

- Ja też nie - wymamrotałam. Przecież dobrze wiedziała, że na ogół z nimi nie chodziłam, że zazwyczaj tylko ona mu towarzyszyła.

- A powinnam była bacznie się przyglądać, bo teraz mam wielką ochotę spróbować malowania. Sądzisz, Cristi, że sobie poradzę?

Wiedziałałam jedynie, że całe wykształcenie artystyczne Fridy sprowadzało się do pracy u Fernandeza; Papa nigdy nie posyłał jej na lekcje malowania, pragnął bowiem, żeby została lekarzem. Nawet kiedy widać już było, że Frida nie wróci do szkoły, nadal żywił tajemną nadzieję, że jakoś uda się jej zdobyć uprawnienia medyczne.

- Mogę sobie to wziąć? - zapytała Frida, pokazując Papie pojemniki z farbą. - Wyglądają, jakbyś nie używał ich całymi latami.

Odpowiedź Papy mnie zdumiała.

- Nie, Frida - powiedział. - To moje.

- Jego niemiecka natura bierze górę - szepnęła Frida. - Zawsze na początku się upiera, ale potem ustępuje.

I rzeczywiście, po kilku dniach zgodził się pożyczyć farby, ale tylko na jakiś czas.

- Dobrze - zgodziła się Frida. - Na jakiś czas. Oboje wiedzieli, że już nigdy ich nie odda.

Bóle nóg i pleców nie pozwalały Fridzie długo stać, więc Mami zamówiła u stolarza specjalne sztalugi, mocowane do łóżka, dzięki którym Frida mogła malować w pozycji leżącej. Następnie powiesiła obok łóżka lustro pozwalające Fridzie malować samą siebie, uznała bowiem, że będzie to dla córki miłą rozrywką. Prawdę mówiąc, wszyscy się ucieszyli, kiedy wreszcie znalazła sobie zajęcie i przestała zawracać nam głowę.

Co ciekawe, Mami, która po aferze z Leticją Santiago zaatakowała Fridę niczym hiena, teraz nieustannie dreptała po jej pokoju, a to zmieniając kwiaty, a to zbierając brudną bieliznę do prania. To ona kąpała i czesała Fridę, to ona zmieniała jej pościel. I teraz to ona zamówiła dla niej te cudowne, nowe sztalugi.

- Czy to możliwe - pytała Frida - by dziewczyna kochała swoją matkę i jednocześnie jej nienawidziła?

Co wywołało przyływ troskliwości Mami? Poczucie winy? Świadomość, że Frida może umrzeć? Zwykle macierzyńskie poczucie obowiązku? Nie wiem. W końcu to pan jest tutaj od wyjaśniania.

Z początku Frida malowała po kilka godzin dziennie, potem jednak to zajęcie zaczęło jej pochłaniać całe poranki i popołudnia. Pod koniec lata 1926 roku ukończyła pierwszy autoportret i wysłała go Alexowi w podarunku. Nie był specjalnie dobry; prawdę mówiąc, wydawał się trochę sztywny, całkiem inny niż prace, które namalowała później, kiedy nabrała wprawy. Frida ukazała

siebie jako renesansową damę, jakie widuje się w książkach, ubraną w aksamitną suknię i patrzącą w dal. Ale udało się - Alex nie tylko przyjął obraz, lecz ponownie zgodził się zostać *novio* Fridy.

Wie pan, Frida potrafiła zachowywać się arogancko, lecz równocześnie była bardzo wrażliwa. Chcę powiedzieć, że pomimo swoich zadziornych póz wcale nie grzeszyła wiarą w siebie. Czasem, kiedy malowała, nagle zaczynała płakać.

- To do niczego! Nie mam o tym pojęcia! Gdyby tylko Papa zechciał mnie uczyć!

Ale Papa miał zbyt wiele własnych problemów, by przejmować się nowym hobby córki.

Pewnego dnia nie mogła dobrać właściwego koloru na autoportrecie.

- Co za głupi obraz! - wrzasnęła. - Nienawidzę go!

Stałam bez słowa i patrzyłam na nią. Wiedziałam już, że nie należy się wtrącać. Przed chwilą pokłóciłam się z Antoniem o termin ślubu - miał dosyć ciągłego zwlekania - i sprzeczka z Fridą była ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam.

- Cholera! - wyła. - Niech to szlag trafi! Niech to diabli wezmą! Nic mi nie wychodzi!

Nagle chwyciła pędzel i zaczęła pokrywać płótno czarnymi krzyżami. Musiałam się odezwać.

- Co ty wyprawiasz! - krzyknęłam.

W końcu te płótna i farby kosztowały dużo pieniędzy. Już dawno zużyła zapasy Papy, który musiał jechać do miasta i kupić jej nowe materiały, a teraz ona je marnowała! Właśnie teraz, kiedy przed chwilą ojciec oznajmił, że nie ma za co urządzić mi wesela!

Frida nie przestawała bazgrać po płótnie, mieszając wszystkie barwy, aż zamieniły się w brązowoczną maź - maź koloru gówna. Pokryła swój portret gównem, rozumie pan? Gówno w oczach, gówno w ustach, gówno na czole!

- Przestań, Frida! Teraz ja wrzeszczałam.

Lecz Frida wpadła w amok i zrobiła coś, co naprawdę mnie przeraziło. Przycisnęła dłonie do mokrego płótna, po czym zaczęła rozmazywać obrzydliwą mieszanekę po swojej twarzy, włosach i czole. Przez cały czas płakała, naprawdę zalewała się łzami, które ciekły po jej policzkach, złościąc koryta w brudnożółtej farbie.

- Frida, przestań, proszę] - błagałam wstrząśnięta. - Przestań! Proszę cię, przestań!

Przestałam krzyczeć. Usiłowałam ją uspokoić, lecz chyba nie zdawała sobie sprawy z mojej obecności.

- O Boże - łkała. - Boże, nic mi nie wychodzi. Jestem do niczego, nic dziwnego, że nikt mnie nie kocha!

Po czym nabrała dłonią czerwonej farby z palety i zaczęła smarować nią głowę, gorset, pościel, poduszkę, wszystko dokoła. Brązowe, czerwone i czarne plamy pokryły całą jej twarz, jedynie zęby pozostały białe, choć i na nich widniały czerwone bryzgi. Wydało mi się, że z jej ust kapie krew, że jest skąpana we krwi. Na moich oczach zamieniała się w upiora! Nagle mignęło mi wspomnienie ze szkoły, kiedy to panna Caballero usiłowała upokorzyć Fridę w oczach innych dzieci, Frida jednak wyrwała jej się i wymazała farbą. I teraz historia się powtarzała! Zaczęłam przeraźliwie krzyczeć i dostałam takiego ataku hysterii, że Mami, która natychmiast nadbiegła, nie mogła zająć się Fridą, bo najpierw musiała zatroszczyć się o mnie. W końcu wezwano Inocencję, która przygotowała mi hierba Luisa z jakimś dodatkiem, po czym położyła mnie do łóżka. Chyba przespałam wówczas obiad i kolację.

Frida jednak nie przestała malować. Skupiała się głównie na swym ulubionym temacie: na sobie samej. Nie, to niesprawiedliwe. Przecież przez większość czasu pozostawała przykuta do łóżka, a więc sama musiała być sobie modelką. Kiedy zaczęła częściej siadać, niekiedy pozowały jej Maty albo Adri, namalowała też portret mój i Mami. Wszyscy powtarzali, że jej prace są świetne, że

ma talent. Zaczęła myśleć, że może uda się jej zarabiać na życie malowaniem. Ale wciąż niezbyt ufała naszym opiniom, i słusznie - w końcu oceniała ją rodzina i przyjaciele. Cóż mogliśmy wiedzieć o malarstwie?

- Kogo mam zapytać? - powtarzała. - Kto to uczciwie oceni? Sądzę, że z jednej strony szczerze pragnęła się dowiedzieć, czy

jej prace są coś warte, z drugiej jednak obawiała się zasięgnąć zdania prawdziwego fachowca. Każdy by się bał na jej miejscu.

- No cóż - powiedziałam - kiedyś poznałaś sławnego malarza. Frida przygryzła palec i zastanowiła się. - Nie - powiedziała wreszcie. - Nie mogłabym o to prosić Diega Rivery.

- Dlaczego nie? - nalegałam. - Mówiłaś, że to miły facet i nie jest snobem.

Stała przez chwilę w milczeniu.

- To jedyny człowiek, którego opinii ufam bezwzględnie.

O ile dobrze pamiętam, nie próbowała się z nim skontaktować ani tego dnia, ani następnego. Po tygodniu czy dwóch jednak znów napomknęła:

- Naprawdę przydałaby mi się obiektywna ocena. Wiem, że ty i Mami chcecie jak najlepiej, ale nie jesteście wiarygodne. Nie macie najmniejszego pojęcia o malarstwie. I ja też nie mam.

Uznałam, że to cud prawdziwy, iż Frida przyznała, że na czymś się nie zna. Zwłaszcza gdy chodziło o sztukę. W końcu przeczytała tyle książek Papy, tyle godzin przesiedziała w bibliotece, iż można by sądzić, że będzie się uważała za znawczynię.

- No - powiedziałam - to idź i znajdź eksperta. Poszukaj Rivery.

- Nie wiem, czy mnie sobie przypomni. Widziałam go tylko raz czy dwa, odkąd skończył malować amfiteatr. Zjawił się na przyjęciu Tiny; miał pistolet i ni z tego, ni z owego zaczął strzelać przez okno do latarni. Strzelił nawet do gramofonu Tiny! To było straszne... i śmieszne! Ale przyszedł z jakąś dziewczyną i na pewno nie zwrócił na mnie uwagi, chociaż objął mnie w talii i położył mi rękę na tyłku.

Frida mówiła o Tinie Modotti, kochance Edwarda Westona, wie pan, tego amerykańskiego fotografika. Tina przyjechała z nim do Meksyku i została tutaj, kiedy wyjechał. Należała do awangardowego towarzystwa, z którym Cachuchas zaczęli się zadawać po ukończeniu Prepy. Starzy znajomi Fridy czasem zabierali ją na przyjęcia do Tiny, gdzie bywali wszyscy artyści. Tina sypiała z większością z nich, z Diegiem także, a w jej domu odbywały się najdziksze orgie. Zbierała się tam śmietanka artystyczna i Frida polubiła wizyty u niej, nie tylko ze względu na towarzystwo, lecz również dlatego, że miała pewność, iż nie spotka Alexa. Chodził teraz z nową dziewczyną i ogromnie się zmienił. Bardzo, ale to bardzo spoważniał.

- A co to ma za znaczenie, czy Rivera cię pamięta! Pewnie był zbyt pijany, żeby wiedzieć, kogo maca po tyłku, ale to przecież nieważne. Frida, po prostu go odszukaj! Poproś go! Co masz do stracenia?

Frida nie odpowiedziała. Stała bez słowa, lecz po chwili na jej ustach wykwitł uśmiešek samozadowolenia i zrozumiałam, że podjęła decyzję.

ROZDZIAŁ 13

Spotkania i związki

O Fridzie i Diegu krąży wiele nieprawdziwych historii. Dziennikarze bez przerwy o obojgu pisali, a jeżeli czegoś nie wiedzieli, po prostu zmyślali. Przyjeżdżali do nas i przeprowadzali wywiady z całą rodziną, także i ze mną. Ciekawiło ich wszystko, co dotyczyło Fridy - jej stare listy, jej pieski, kolekcja jej lalek, jej brudne chusteczki, nawet jej siostry. A kiedy ukazała się książka Diega... zaraz, zaraz, kiedy to było... mamy rok 1963, a Diego zmarł w 1957... chyba w 1958 roku... w której opisał, jak poznał Fridę, to podobnie jak wszyscy inni pominął jeden istotny szczegół - byłam przy tym obecna.

Tyle że nikt mnie nie widział. Oto jak to się stało. W owym czasie Diego malował freski w Ministerstwie Edukacji i Frida w każdym razie sądziła, że są wspaniałe. Czyż nie uwiecznił na nich naszego meksykańskiego dziedzictwa, czyż nie przedstawił Indian pracujących na polach zwróconych im przez rewolucję, zbierających się, aby zadecydować o swoim losie, uczących się, aby dojść do czegoś w życiu? Trele-morele! W tamtych czasach Frida bez przerwy powtarzała tę śpiewkę, jakby wciąż stała na trybunie, głosząc komunistyczną propagandę. A ja pytam: czego, mianowicie, uczyli się ci Indianie? Hiszpańskiego, czyli języka konkwisty? Czy też sposobów uprawiania roli wymyślonych przez Europejczyków? Teraz ludzie zadają sobie pytanie, czy oświata Indian to istotnie był taki dobry pomysł, czy może doprowadziła ona jedynie do zniszczenia resztek ich kultury, ale wówczas nikt się nad tym nie zastanawiał. A zwłaszcza nie Frida. Ją także urzekły slogany

partyjne do tego stopnia, że wstąpiła do Związku Młodych Komunistów. Zaraz, o czym to ja mówiłam?

Chciała pokazać Riverze trzy lub cztery płótna, a ponieważ były ciężkie, ona zaś wciąż miała kłopoty z kręgosłupem, zaproponowałam, że pojedę z nią i pomogę je zawieźć. Nieważne, co o mnie mówią, zawsze dokładałam starań, żeby pomóc Fridzie.

Podróż tramwajem wspominam jako bardzo przyjemną. Frida miała lekką trewę, ale była zadziorna i rozmowna, poza tym bez przerwy żartowała na temat wyglądu Diega. Lecz w miarę zbliżania się do Ministerstwa Edukacji coraz częściej milkła, stawała się bardziej napięta, aż wreszcie powiedziała do mnie:

- Słuchaj, Cristi, sądzę, że nie powinnaś ze mną iść. Może daj mi te obrazy. Sama porozmawiam z Riverą.

Zaniemówiłam. W końcu zwolniłam się z pracy, żeby z nią pojechać, a ona teraz kazała mi spadać? Uznałam, że to okropnie niegrzeczne.

- A co ja mam robić, kiedy ty będziesz rozmawiać z Riverą?

- Możesz sobie pospacerować.

- Nie chce mi się spacerować.

Zbliżałyśmy się do Ministerstwa Edukacji. Kilka metrów od wejścia Frida odwróciła się do mnie.

- Dawaj te płótna - rozkazała. - Idź do cukierenki naprzeciwko - wskazała palcem na Pasteleria Agua Mansa - kup sobie ciastko i coś do picia. Przyjdę po ciebie, jak tylko skończę z nim rozmawiać. Przecież lubisz jeść - dodała sarkastycznie.

Oddałam jej obrazy. Odeszła, jak najszybciej umiała, choć oczywiście nie mogła iść zbyt prędko, bo dokuczała jej noga i kręgosłup, a w dodatku obrazy były ciężkie i nieporęczne. Poczekalam, aż trochę się oddali, po czym ruszyłam za nią do Ministerstwa. Jak pan sądzi, dlaczego właściwie nie chciała, żebym jej towarzyszyła? Czy dlatego, że byłam ładniejsza i nie życzyła sobie, by Diego zobaczył nas razem? Czy dlatego, że mógłby się domyślić, iż jest niesprawna, gdyż potrzebuje

pomocy przy noszeniu obrazów? A może tylko z nerwów? Może bała się, że Diego każe jej się wynosić, i nie życzyła sobie mieć świadka, a może myślała, że uzna ją za dziecko, jeżeli przyjdzie z siostrą? Tak czy inaczej, skradałam się za nią i prawie ją dogoniłam. Staralam się zachowywać jak najciszej, choć, prawdę mówiąc, Frida była zbyt zatopiona w myślach, by mnie zauważyć. Niedostrzeżona ukryłam się za drzwiami.

Diego stał na rusztowaniu. Z miejsca, gdzie stałam, widziałam tylko ogromny zadek, zwieńczony główką wielkości orzeszka. Frida zbliżyła się do niego bez wahania.

- Diego! - zawołała. - Zejdź, proszę! Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Po głowie chodziły mi wstrętne myśli. Miałam nadzieję, że Diego walnie ją pędzłem w głowę i powie, żeby się odczepiła. Miałam nadzieję, że na nią napluje. To były okropne, małoduszne życzenia, ale bardzo się rozłościłam, że Frida nie pozwoliła mi pójść ze sobą na to spotkanie. Stałam obrażona w swojej kryjówce i czekałam, co się stanie. Ale nic się nie stało. Diego spojrział na Fridę, uśmiechnął się i pracował dalej. Wiele młodych dziewcząt przychodziło przyglądać się, jak maluje. Był do tego przyzwyczajony, wręcz to uwielbiał, ale nie mógł przerywać pracy za każdym razem, gdy pojawiała się przed nim ładna buzia. Dobra nasza, pomyślałam. Po prostu ją zlekceważy.

Lecz nasza Frida nigdy się nie poddawała.

- Chcę ci coś pokazać! - zawołała.

Nie przerywając malowania, Diego obrzucił ją spojrzeniem, rozumie pan, o co chodzi. Zlustrował ją od stóp do głów. Lubił młode, świeże dziewczęta i choć Frida nie była... jakby to powiedzieć... w konwencjonalny sposób ładna - kulała i miała wąsik - cechował ją swego rodzaju bezwstyd, który sprawiał, że podobała się wielu mężczyznom.

- Słuchaj - powiedziała - nie przyjechałam tu flirtować. Musimy poważnie porozmawiać. Przywiozłam kilka swoich obrazów i chciałam prosić cię o opinię.

Po chwili dodała:

- Jestem Frida Kahlo. Poznaliśmy się przed laty w Prepie.

Czy rozpoznał w niej dziewczynkę, która dawno temu, w amfiteatrze, stawiała czoło Lupe Marin? Lombardo Toledano nieustannie narzekał na Fridę Kahlo, może więc jej nazwisko utrwaliło się w zakamarkach mózgu Diega? A może zapamiętał ją z przyjęcia u Tiny Modotti? Tak czy inaczej, po kilku kolejnych wezwaniach zszedł z rusztowania z nieoczekiwanym wdziękiem, niczym hipopotam balansujący na linie.

- Nie przyszłam tu dla żartu - powiedziała. - Chcę usłyszeć, co sądzisz o moich pracach. Muszę zarabiać na życie, ale nie wiem, czy mogę zostać zawodową malarką. Jeśli okaże się, że nie mam talentu, wolę nie tracić czasu i czym prędzej zająć się czymś pożytecznym.

Diego udał, że przygląda się obrazom, choć, moim zdaniem, zerkał głównie na Fridę.

Miasto wciąż huczało po jego niedawnym rozstaniu z Lupe Marin. Nie wziął rozwodu, nie miał z nią bowiem ślubu cywilnego, a w porewolucyjnym Meksyku nie uznawano ślubów kościelnych. Zaczęło się od tego, że Diego zaczął afiszować się z Tiną, toteż Lupe doszła do wniosku, że ma dość jego romansów i nie chce dłużej być pośmiewiskiem całego Mexico City. Kiedy więc Diego wrócił z Rosji, gdzie pojechał malować fresk ku czci Armii Czerwonej, usłyszał, że ma się wynosić do diabła. Nie było rady; rozzłoszczona Lupe przypominała tygrysicę. Jednak odepchnięty Diego szybko stanął na nogi i znalazł skwapliwe pocieszenie w ramionach Any, Marii, Neli, Marty, Rosalfitede, itede. Oczywiście, dowiedziałam się o tym wszystkim znacznie później, kiedy zaprzyjaźniłam się z Lupe.

Jeden rzut oka na prowokacyjnie wypięte cycki Fridy przekonał Diega, że warto wdać się w rozmowę. Długo patrzył na obrazy - lub na coś innego...

- Mam ich o wiele więcej - powiedziała Frida. - Gdybyś w niedzielę przyjechał do mnie do domu... Mieszkam w Coyoacan, Avenida Londres 126.

- Masz talent - rzekł w końcu Diego. - Szczególnie podoba mi się ten autoportret.

Nie wiem, czy mówił szczerze, czy po prostu chciał okazać uprzejmość - w końcu Frida była przecież młodą damą. Potem powiedział coś jeszcze, czego nie dosłyszałam, gdyż pochylił głowę, a ja stałam dość daleko. Uznałam jednak, że powiedział jedynie:

- Z chęcią zobaczyłbym twoje prace, dziewczynko, ale w weekendy bywam zajęty.

W końcu był sławnym malarzem, otoczonym tysiącami przyjaciół, a poza tym należał do ścisłego kierownictwa partii komunistycznej i wciąż chodził na ważne zebrania i wiece.

Frida podziękowała mu i pożegnała się, po czym ruszyła w stronę mojej kryjówki. Diego zaproponował, że pomoże jej nieść obrazy, lecz powiedziała, że da sobie radę. No chyba - wcale nie życzyła sobie, by ją odprowadzał, bo wówczas mógłby zobaczyć, że ona spotyka się ze mną w cukierni naprzeciwko.

Dogoniłam ją w połowie korytarza.

- Co ty tu robisz? - zapytała ostrym tonem. - Mówiłam, żebyś kupiła sobie ciastko i zaczekała na mnie w cukierni.

- Owszem, ale nie zaczekałam. No i co z tego?

- Masz, weź te płótna - zarządziła, podając mi dwa najcięższe obrazy.

- I co powiedział?

- Przecież wiesz. Podśluchiwałam.

- Nie słyszałam zbyt dobrze - skłamałam. W rzeczywistości wszystko świetnie słyszałam, z wyjątkiem ostatniego zdania.

- Powiedział, że uwielbia moje obrazy, że autoportret jest znakomity, że jestem jedną z najbardziej utalentowanych malarek, jakie poznał, i że z radością odwiedzi mnie w niedzielę, żeby obejrzeć pozostałe prace.

- Naprawdę?

Ponieważ podkoloryzowała pierwszą część wypowiedzi, doszłam do wniosku, że kłamie również w kwestii odwiedzin. Diego zapewne znalazł jakiś uprzejmy wykręt, żeby jej nie urazić. Nie

przyszło mi do głowy, że taki wielki artysta, jak Rivera, zechce jechać kawał drogi do Coyoacan, żeby obejrzyć obrazy dwudziestojednoletniej pannicy.

Jak to, Frida miała wówczas osiemnaście lat? Nic podobnego, miała lat dwadzieścia jeden. Proszę nie zapominać, że po wypadku wypadła z obiegu na ponad rok, więc po prostu jeden rok sobie odliczyła. W sumie twierdziła, że ma już trzy lata mniej, niż miała w istocie. Jeżeli zatem czytał pan gdzieś, że była osiemnastolatką, to dlatego, że nie mówiła dziennikarzom prawdy.

Proszę wyobrazić sobie moje zdumienie, gdy w niedzielę w naszym domu zjawił się ni mniej, ni więcej, tylko wielki Diego Rivera we własnej osobie! Frida, ubrana w kombinezon, siedziała wysoko na drzewie, ja zaś drzemałam w cieniu, wtem patrzymy, a tu człap, człap, człap, ulicą toczy się znajomy grubas. Włożył na tę okazję czystą koszulę i spodnie, tylko trochę zachlapane farbą, miał też marynarkę i swój zwykły szerokoskrzydły kapelusz. Palił okropnie śmierdzące cygaro, którego zapach mimo wszystko podobał się Fridzie.

- Czy tutaj mieszka señorita Kahlo? - zapytał.

- To ja - odparłam ze zwykłej przekory.

Frida rzuciła we mnie gałązką, która wylądowała tuż przy jego kajakach - to znaczy stopach.

- Ja jestem tą senioritą, której szukasz - powiedziała, nie przedstawiając mnie. - Tamta to druga señorita Kahlo. Chodź, wejdźmy do domu, pokażę ci swoje obrazy.

Tego dnia Diego nie zabawił długo. Obejrzał obrazy, które Frida przygotowała, lecz nie znam jego opinii, siostra bowiem wyraźnie dała mi do zrozumienia, że chce go mieć tylko dla siebie i nie życzy sobie mojego towarzystwa. Pomyślałam jednak, że gotów pochwalić obrazy Fridy, nawet jeśli nie uzna ich za dobre, bo to wielki czaruś, który powie dosłownie wszystko, żeby dziewczyna wskoczyła z nim pod kołdrę. Frida musiała dojść do tych samych wniosków, albowiem kiedy wyszli z domu, poprosiła go:

- Powiedz mi szczerze, co sądzisz. Nie próbuj mi pochlebiać; nie chcę tracić czasu na coś, czego nie robię dobrze.

I zaprosiła go na kolację. Odmówił, lecz obiecał, że za tydzień znów przyjedzie.

Mami nie była zadowolona. Nie dość, że Frida przystąpiła do komunistów i zadawała się z osobami pokroju Tiny Modotti

- wariatki, której wydawało się, że jest fotografką - to teraz zaprzyjaźniła się z tłustym starym malarzem, uważającym się za skarb narodowy. W katolickim, drobnomieszczańskim umyśle Mami Diego istniał jedynie jako przerośnięty ateista.

Dotrzymał słowa i i przyjechał w następną niedzielę po południu, lecz tym razem Frida i ja byłyśmy odpowiednio ubrane na jego przyjęcie - ja wystąpiłam w prostej bluzce i spódnicy, ona w męskim garniturze, który odziedziczyła po Albercie Lirze, gdy ten z niego wyrósł. W butonierce miała goździk identycznej barwy, co jaskrawa szminka na ustach oraz lakier pokrywający jej drakuliczne paznokcie. Taki sam goździk wpięła w długie włosy, które zaczesła gładko do tyłu niczym tancerz argentyńskiego tanga. Jej zdeformowaną nogę skrywały spodnie, jednakże, co osobliwe, do kompletu włożyła maleńkie jedwabne pantofelki, jakby chcąc zwrócić uwagę na swoje kalectwo. Nie wyobraża pan sobie, jak kobieco wyglądała - kobieco i uwodzicielsko; nie do wiary, ile uroku dodawał jej męski strój. Ja byłam trochę zdenerwowana

- w końcu w naszym salonie miał zasiąść Diego Rivera, żywa legenda - lecz Frida ani na chwilę nie straciła zimnej krwi.

Jego wkroczenie przypominało najazd obcych wojsk - najpierw koń trojański brzucha, potem stopa niczym okręt wojenny, obszarpane szańce ramion, usta jak świeże mięso, obwisłe policzki, liczne podbródki, wielkie nozdrza, następnie druga stopa-krażownik, a na końcu wypchane siedzenie (opuszczony bunkier?, pusty magazyn?), słowem, cała armia niezbornych części ciała, którymi pomimo pozornie odmiennych funkcji rządziła ukryta, wewnętrzna dyscyplina. Wydał mi się odpychający.

Mami poprosiła Diega, by usiadł. Opadł na fotel, zamasyście machając ramieniem jak ogromny, toporny taran, i oczywiście natychmiast zawadził o srebrny serwis do herbaty, jedną z nielicznych

ocalających pamiątek lepszych czasów. Naczynia gruchnęły o podłogę z wściekłym łomotem, niczym zbroja złożona z dziesięciu tysięcy kawałków. Jednak Diego nic a nic się nie przejął. Rozstawił szeroko nogi, by pomieścić na kolanach gargantuiczny brzuch, i uśmiechnął się przepraszająco do Inocencii, która miotła się, usiłując podnieść z posadzki dzbanuszek na śmietankę i rozsypane kostki cukru. W jaki sposób ów niezdarny zlepek nieskoordynowanych komponentów mógł być wielkim malarzem? Nie mogłam w to uwierzyć. Miałam uczucie, że coś obcego wtargnęło w zacisze naszego domu. Ale Frida zdawała się niczego nie zauważać.

Zerkając na Diega spod rzes, założyłam nogę na nogę i skromnie obciągnęłam na kolanach kwiecistą spódnicę. Słodka Cristina. Taka urocza. Frida śmiała się hałaśliwie; wspominała jakiś figiel Cachuchas ze szkoły, który opisywała z najdrobniejszymi szczegółami. Diego zwrócił ku niej nieruchomą twarz, podobną do pyska nosorożca, i nagle uśmiechnął się, rozchylając mięsiste, obleśne wargi. Roztaczał wokół siebie lekki zapach potu i terpentyny.

- I wtedy stary pan Bayer, nauczyciel angielskiego - mówiła Frida - podniósł blat biurka i ujrzał wytworne porcelanowe naczynie, pełne psiego gówna. Nie macie pojęcia, poczerwieniał jak majtki kokoty!

- Frida! - przywołała ją do porządku Mami.

Ale Diego był oczarowany. Uśmiechał się coraz szerzej; wyglądał, jakby z jego twarzy powoli opadały łuski, z trudem odrywające się od skóry. Nie przypominał już nosorożca, a pod pancerzem jego cera była gładka i delikatna niczym skórka świeżego owocu. Rozparty w miękkim fotelu, wyglądał teraz jak ogromna, przejrzała śliwka, która lada chwila pęknie i opryska zebranych lepkiem, słodkim sokiem. Wiele lat, ba, dziesięcioleci później zdałam sobie sprawę, że obrazy Fridy, przedstawiające popękane, soczyste, dojrzałe melony i owoce mango, gotowe, zda się, wylać na widza swoją zawartość, były w istocie potretami Diega.

- Frida, to obrzydliwe - mruknęłam świętoszkowato.

Oczy Diega nie spoczywały już na Fridzie, o nie. Teraz patrzył na mnie. Poczułam jego wzrok na kostkach, kolanach i udach. Nerwowo poruszyłam się na krześle.

Wówczas, mięsisty i ośliniony, spojrzał mi prosto w oczy i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Od łokci do uszu przeszył mnie raptowny dreszcz i nagle poczułam się obnażona, jakbym siedziała naga na oczach wszystkich - Diega, Fridy, Mami, Papy, Inocencji. Instynktownie uniosłam dłoń do piersi, próbując się osłonić, ale wtedy twarz Diega znów przeciął uśmiech, lubieżny, jak mi się zdawało. Odwróciłam wzrok. Poczułam pieczenie pod powiekami.

Frida paplała coś o kole młodych komunistów, o równości, o nowym Meksyku, w którym rządzą robotnicy i chłopcy, o wstrzymaniu inwestycji zagranicznych i o rychłym końcu imperializmu jankesów. Diego znów odwrócił się ku niej, wręcz pożerając ją wzrokiem. Niech pan nie zapomina, że był bohaterem rewolucji, narzędziem gniewu ludu. Jednak nie umiał długo skupić się na sprawach pozamalarskich, więc po chwili najwyraźniej zapomniiał o masach - tak, stanowczo o nich zapomniiał - i zamiast skupić się na rewolucji, jał mierzyc mnie wzrokiem od stóp do głów. Mnie, nie Fridę, tylko mnie. Nawet nie zadał sobie trudu, by robić to ukradkiem. Czy naprawdę moi rodzice nic nie dostrzegali? Siedzieli przecież tuż obok. A Frida? Czy opowiadanie pochłonęło ją tak bardzo, że nie zdawała sobie sprawy, co się dzieje? Nie mam pojęcia. Nigdy nie pojęłam, jak mu się to udało, myślę jednak, że przyglądanie się młodym, pięknym dziewczynom przychodziło mu w sposób tak naturalny, że umiał się na nie gapić, nie zwracając niczyjej uwagi. A może pozostali po prostu nie chcieli tego dostrzec... a może... a może wszystko sobie wyobraziłam.

Taki był początek. Od tej chwili Diego przyjeżdżał do nas co niedziela - nader burżuazyjne zaloty, jak na dwoje tak zaciekłych komunistów. Wręczał Mami bukiet albo bombonierkę, po czym siadał w salonie i rozmawiał z Papą o sytuacji politycznej. Chodził z Fridą na spacerunki wokół *plaża*; wyglądali prawie jak staroświecka

para zakochanych, z tą różnicą, że on był w stroju roboczym, ona zaś w dżinsach i czarnej bluzce, z wpiętym emblematem sierpa i miota. Oboje mieli obsesję na punkcie polityki. Na jednym z fresków w Ministerstwie Edukacji Diego przedstawił Fridę jako działaczkę komunistyczną w otoczeniu partyjnych dygnitarzy, ubraną w roboczą koszulę z czerwoną gwiazdą na kieszeni. Frida twierdziła, że przyciąganie między nimi miało wręcz elektryczny charakter. Opowiadała, że kiedyś, gdy szli ulicą o zmierzchu, około piątej, udało im się sprawić, że zapłonęły latarnie - podobno Diego delikatnie objął ją w tali, a w chwili gdy ich usta się zetknęły, zajaśniało światło. Czy to możliwe, czy to jedynie kolejny wymysł Fridy? Wedle jej słów, iskrzyło między nimi takie napięcie, że mogliby oświetlić całe miasto. Sądzę zresztą, że nie ograniczali się do pocałunków; sądzę, że wymykali się do mieszkania Diega i pieprzyli się jak szaleni. Wiem, że na orgiach Tiny oddawali się najdzikszyms ekscesom, jednak w Coyoacan zachowywali się niczym przejrzystoskrzydłe anioły, chociaż wyglądali raczej jak orangutan i wróbel.

Niewątpliwie Diego był bez pamięci zakochany w mojej siostrze. Będę jednak szczerą - kiedy się pojawiałam, nie odrywał ode mnie wzroku. Czy mi to pochlebiało? Pewnie, że tak. W końcu mowa o sławnym Diegu Riverze, malarzu i bohaterze rewolucji meksykańskiej; poza tym, pomimo swej tuszy, Diego miał w sobie coś, czemu nie umiałam się oprzeć. Zresztą, kto wie, może chodziło właśnie o jego tuszę? Był taki zmysłowy - mięsisty i zmysłowy. Chciało się go dotknąć, zatopić zęby w tych zwałach cielska. No i ta jego reputacja... Nie, nie chodzi mi o jego reputację jako artysty... to znaczy, nie tylko o nią. Chodzi mi o jego reputację kochanka. Spał z tyloma kobietami, przynajmniej krążyły takie pogłoski. Fascynowało mnie to, nie mogłam się powstrzymać i wciąż się zastanawiałam - czy Diego dawał tym dziewczynom coś, czego ja nigdy nie zaznałam? Czy istotnie umiał coś, czego nie umieli inni mężczyźni? A w dodatku patrzył i mówił do mnie w taki sposób, jakby naprawdę mu na mnie zależało, jakby naprawdę mnie podziwiał, jakbym nie była jedynie przedmiotem, posiadającym atrybuty niezbędne, by zaspokoić jego żądze. Kiedy go lepiej poznałam, nigdy już w jego towarzystwie nie czułam się „tą drugą”. Może nie odznaczałam się taką błyskotliwością jak Frida, lecz

mogłam być sobą, Cristiną, młodą kobietą, posiadającą nie tylko piękne ciało, ale także własne myśli i opinie. Diego opowiadał mi o komunizmie, o swoim pobycie w Paryżu, o Picassie, Juanie Gris i poecie André Bretonie. Mówił mi o freskach widzianych we Włoszech i o podróży do Rosji, a także o swoich próbach zaciągnięcia się do wojska podczas pierwszej wojny światowej. Innymi słowy, traktował mnie jak prawdziwą, żywą osobę i dlatego pewnie się zakochałam... Nie! Nie to chciałam powiedzieć. Nie zakochałam się w nim, przynajmniej nie wtedy, kiedy dopiero zalecał się do Fridy, gdyż byłam zakochana w kim innym. Bardzo kochałam swojego narzeczonego, mieliśmy zaraz się pobrać, i faktycznie, pobraliśmy się w tym samym roku 1928. Choć zatem flirt z Diegiem sprawiał mi przyjemność - owszem, przyznaję, że z nim flirtowałam - nie było między nami nic poważnego, ponieważ wkrótce miałam zostać panią Cristiną Kahlo de Pinedo.

Pomimo utyskiwań Papy na brak pieniędzy rodzice urządzili mi prawdziwe wesele. Mami w końcu się ocknęła i zaczęła działać, jak przystało na porządną meksykańską matkę panny młodej; trzęsła się nad stanem koronek przy sukni i wysyłała niezliczone fotografie do działu towarzyskiego miejscowej gazety. Uroczystość wypadła dokładnie tak, jak sobie życzyła - jej najmłodsza córeczka ubrana w białą suknię wzięła ślub w kościele. Zjawili się wszyscy nasi znajomi, choć z przyczyn finansowych nie mogliśmy urządzić zbyt hucznego wesela. Jednak pomimo oszczędności jedzenia było w bród - Mami, Inocencia i ja całymi dniami przygotowywałyśmy *burritos*, *enchiladas suizas*, *tamales*, *chiles relenos*, *em-panadas*, *mole ceuiche*... Dostarczono całe beczki *pulque* i sangrii, rozmaite rodzaje *pasteles*, *dulce de coco*, *arroz con leche*. Pomagała nam Frida, która uwielbiała gotować, kilka razy zjawily się również Maty i Adri.

Odbył się także ślub cywilny, gdyż wymagało tego meksykańskie prawo. Podczas ceremonii Pinedo prezentował się jak należy, wyglądał bardzo sztywnie, chociaż odniosłam wrażenie, że jest nieobecny duchem. Być może peszyła go obecność Fridy i Diega oraz ich przyjaciół artystów, których uważał za infantylnych degeneratów. Zwłaszcza Diego wzbudzał jego lekceważenie - popatrzcie tylko, paradytuje taki, udaje robotnika, a tymczasem ma dziesięć razy więcej forsy niż ktokolwiek z nas, samochód i wielki dom z pracownią. Pinedo miał Diega za oszusta, chyba słusznie.

Zamieszkaliśmy w małym domku przy ulicy San Cristóbal, w pobliżu domu rodziców. Zanim zdażyłam się obejrzeć, zaszłam w ciążę i w 1929 roku urodziła się Isolda - najrozkoszniejszy pod słońcem, bystrooki dzidziuś. No, pomyślałam, nareszcie zrobiłam coś tak, jak należy. Widzi pan, spośród moich sióstr tylko ja miałam dziecko.

Mami coraz bardziej martwiła się związkiem Fridy i Diega. Nieważne, że Diego uchodził za wielkiego malarza - Mami w ogóle nie dbała o sprawy sztuki. Nie, chodziło o to, że Diego to komunista, poza tym był za gruby i - przede wszystkim - za stary. Miał już czterdzieści jeden lat, o dwadzieścia lat więcej niż Frida, i uchodził za niechluję i kobieciarza.

Mami przejęła się do tego stopnia, że napisała do Alejandra, błagając go o interwencję. Ale Alejandro spotykał się z nową dziewczyną i szczerze mówiąc, sędzę, że z radością pozbył się mojej siostry. Stosunki między nimi przypominały grę w balero, gdzie Frida była kubkiem, Alex zaś - piłeczką. Za każdym razem, gdy on próbował się wyrwać, ona płakała, piszczała i próbowała go ściągnąć z powrotem. Teraz Alex ostatecznie przeciął wiążący ich sznurek i nie zamierzał ponownie dać się złapać. Zresztą, moim zdaniem, Frida nie chciałaby do niego wrócić, nawet gdyby ją o to poprosił. Zbyt wiele satysfakcji sprawiała jej rola dziewczyny wspaniałego Riverę. Chodziła na przyjęcia, na których spotykała wybitnych ludzi i jako towarzysza Diega zwracała powszechną uwagę. Czuli się ważni i nie zamierzali z tego rezygnować.

Przez cały ten okres malowała jak szalona. Muszę oddać Riverze sprawiedliwość - nigdy nie usiłował jej zniechęcić. Niektórzy sławni ludzie trzymają żony w klatkach niczym ozdobne ptaki i nie

pozwalają im rozwijać własnych zainteresowań. Ale Diego doceniał talent Fridy i nakłaniał ją do pracy. Nie, nie chodzi o to, że udzielał jej lekcji.

- Nie zamierzam jej przytłaczać - mówił ojcu. - Nie chciałbym jej narzucić swojego stylu.

Ale bardzo ją wspierał, czym wzbudził jej ogromną wdzięczność. Godzinami siedziała obok niego na rusztowaniu i przyglądała się, jak maluje. W ten sposób się uczyła.

Namalowała także i mój portret, na którym wyglądam, jakbym kij połknęła, taka jestem poważna i sztywna. Z boku, jak żywa, wychyla się ku mnie gałąź drzewa, które wyraźnie pragnie mnie dotknąć, w tle zaś kuli się inne samotne drzewo. To dziwny obraz - płótno, zda się, przekracza granice ramy, moja postać wypływa z obrazu do rzeczywistego świata. Istotnie - niekiedy mam wrażenie, że znalazłam się w celi, która jest dla mnie za mała, z której się wyrywam, mimo iż wszyscy usiłują mnie powstrzymać.

Mniej więcej w tym samym czasie Frida namalowała również portret Adri. Nie podoba mi się ten obraz, Adri wygląda na nim jak wredna stara belferka. Owszem, powiedziałam „stara” - stara jak ja obecnie. Ile pan daje mi lat? Nie, niech pan nie zagląda do karty, niech pan po prostu zgadnie. Mam lat pięćdziesiąt pięć, ale czuję się jak stulatka. Adri groźnie patrzy z portretu, niczym nauczycielka pragnąca kogoś przyłapać na gorącym uczynku. W wydekoltowanej sukni, obnażającej ramiona i podkreślającej jej ogromne piersi, wygląda majestatycznie i imponująco. To osoba, której nie należy się sprzeciwiać - dziwne, gdyż Adri wcale taka nie była. Frida namalowała również wiele portretów dzieci sąsiadów oraz córek i synów znajomych. Uwielbiała dzieci i była dobrą ciotką dla moich pociech.

A zatem Frida i Diego stali się nierozłączni. Mami nadal nie przepadała za Diegiem, ale zaczynała pojmować, że jest bardzo

szczodry i ma dość pieniędzy, by utrzymać Fridę oraz całą naszą rodzinę. Proszę nie zapominać, że Papa nadal usiłował spłacić rachunki za leczenie Fridy i że groziła nam utrata domu. Pewnego dnia ojciec rzekł do Diega:

- Wygląda na to, że interesujesz się moją córką.

Diego zaśmiał się swoim głębokim, gardłowym śmiechem.

- A jak pan sądzi? Że przyjeżdżałbym co niedziela do Coyoacan, gdyby była mi obojętna? Że nie mam nic lepszego do roboty? Oczywiście, że się nią interesuję. Dlatego tu bywam.

- Niełatwo z nią wytrzymać - zwierzył się Papi. - Cristi jest pogodniejsza - dodał, patrząc na mnie. Jak zwykle odwiedziłam rodziców z moją córeczką, Isoldą.

Diego uśmiechnął się do mnie.

- Tak, wiem. Frida to prawdziwy mały demon, ale bardzo ją kocham.

- Cóż - powiedział Papa - ostrzegałem cię.

- Rozumiem - odparł Diego. - Zostałem ostrzeżony.

- I jeszcze jedno - dodał Papa. - *Und* jeszcze jetno. Ona dużo kosztuje. Są rachunki od lekarza.

Opowiedział Riverze o chorobie Fridy i o jej wypadku, podkreślając, że zapewne do końca życia będzie potrzebowała opieki medycznej.

- Chodźmy - rzekł Diego - porozmawiamy.

I zamknęli się w gabinecie Papy, żeby obgadać szczegóły. Nie zaprosili mnie, bym z nimi poszła, poza tym musiałam nakarmić Isoldę, więc nim się zorientowałam, już ustalono termin ślubu. Odbył się 21 sierpnia 1929 roku.

Frida musiała prześcignąć mnie we wszystkim, prawda? Owszem, to ja dobrze wyszłam za mąż i urodziłam piękne dziecko, ale to nie ja zostałam zbawczynią rodziny. Skądże. Rodzinę ocaliła Frida - lub raczej Diego. Zrobiłam wszystko, co należy, ale nie udało mi się wyciągnąć ich z otchłani długów - długów, w które popadli z powodu Fridy, z powodu jej chorób i wypadków. Nie, nie chciałam tego powiedzieć. Oczywiście, że nie ponosiła za to

winy. Ale, mówiąc szczerze, ogromne koszty jej leczenia pochłaniały każdy grosz zarobiony przez Papę, który przecież nie zarabiał wiele. Gdyby nie Diego, utracilibyśmy dom przy ulicy Londres. Diego spłacił dług hipoteczny i nie tylko uratował dom, lecz pozwolił Mami i Papie nadal w nim mieszkać; później, kiedy mąż mnie zostawił, zamieszkałam w nim także i ja z Isoldą i maleńkim Antoniem. Wszyscy wiele zawdzięczamy Riverze. Gdyby Frida... Gdyby Frida za niego nie wyszła, nie wiem, co by się z nami stało.

Ślub był huczny, tak przynajmniej słyszałam. Nie mówię, oczywiście, o ceremonii w urzędzie stanu cywilnego, lecz o weselu, które potem urządzili. Nie poszłam na te uroczystości - ani ja, ani Mami, ani żadna z sióstr. Mami nie aprobowała gości, których zaprosili Frida i Diego, miała im też za złe brak księdza. Prawdę mówiąc, tak pomstowała na młodą parę, że Maty, Adri i ja nie odważyłyśmy się jej sprzeciwić. Gdyby któraś z nas wyszła owego dnia z domu i pobiegła na imprezę Fridy, byłby to dla Mami nie lada policzek. Niech pan pamięta, że Maty po wielu latach z trudem odzyskała względy Mami.

Papa jednak poszedł.

Ślub, dobre sobie! Frida i Diego po prostu wpadli na chwilę do magistratu, żeby w obecności sędziego powiedzieć swoje „tak”. To mi dopiero rewolucja, antyklerykalne, ateistyczne zasady! Z pewnością oboje upajali się swoją niezłomnością, pryncypialną rezygnacją z księdza. Biedna Mami. Tak czule opiekowała się Fridą podczas choroby, a teraz Frida bez skrpułów wyrzuciła tradycję na śmietnik i wzięła pogański ślub, choć wiedziała, że w ten sposób bardzo rani matkę.

Nie włożyła nawet sukni ślubnej. Nie, suknia ślubna była zbyt drobnomieszczańska. Frida zamieniła ceremonię ślubu w polityczną wypowiedź, deklarację solidarności z ludem, i pożyczyła strój od pokojówki. Od pokojówki! Wystąpiła w spódnicy, bluzce i *rebozo* - to rodzaj chusty, jaką noszą ubogie kobiety meksykańskie. Gdyby przynajmniej włożyła ładny i nowy ludowy strój tehuański, który mogła kupić na targu! Nie, ona wołała ubrać się w stare

szmaty, pożyczone od córki Inocencji, i jestem przekonana, że uważała się za bardzo sprytną, bardzo radykalną. A może chciała po prostu upokorzyć Papę za to, że nie mógł jej zafundować takiego ślubu jak mój? Wypchała czymś bucik i włożyła grube pończochy, by nikt nie dostrzegł, że kuleje - zawsze świetnie tuszowała swoje ułomności - a ponadto, dla większego efektu, przez całą uroczystość nie przestawała palić. Na zdjęciu opublikowanym w gazecie następnego dnia ma w ustach papierosa, zupełnie jak jakaś kurwa. Pan wybaczy, ale właśnie tak wyglądała. Mami omal nie zemdląca. Diego włożył zwykły garnitur bez kamizelki.

- To był żart - powiedział mi później Papa. - To był szart! Co za sprafa, co za sprafa, czy można taką sprafę traktować poważnie?

Kiedy już sędzia Mondragón wypowiedział sakramentalne słowa, ogłaszające Diega i Fridę mężem i żoną, całe towarzystwo przeniosło się do domu Andresa Hernestrosy, zaprzyjaźnionego z nimi pisarza. Henestrosa, obdarzony pięknym głosem, zawsze śpiewał na przyjęciach, zwłaszcza kiedy miał nieźle w czubie. Należał do paczki Tiny Modotti, więc to daje panu o nim wyobrażenie. A zatem poszli do niego wszyscy, z wyjątkiem Papy, który wrócił do domu.

Opowieści o weselnej orgii u Henestrosy krążyły całymi miesiącami. Podobno ktoś się upił i nasikał w doniczkę, a ktoś inny zwymiotował na kanapę. Jakiś pijany gość macał Lupe Marin między nogami - co zresztą wcale jej nie przeszkadzało - inny gość palił opium, a jeszcze inny zwariował pod wpływem heroiny. Ja nie byłam na weselu, bo musiałam zająć się dzieckiem; Isolda bardzo kaszłała i nie chciałam zostawiać jej pod opieką niani. Ponadto odniosłam wrażenie, że Frida nie życzyła sobie, bym pokazywała się wśród jej rozwydrzonych znajomych, i zwyczajnie nie zostałam zaproszona. Widzi pan, ci ludzie zaliczali się do elity, do arystokracji świata sztuki - choć podobno w Meksyku po rewolucji miało już nie być arystokracji.

Frida opowiedziała mi, co się działo na przyjęciu, i przyznaję, że szczegółowo wypytałam ją o wszystko. Zżerała mnie ciekawość; nigdy nie brałam udziału w czymś takim i bardzo chciałam się dowiedzieć, jak to wygląda. Kobiety miały krótkie włosy, napomadowane i zaczesane do tyłu, oraz

męskie zakłady; w środowisku Fridy wciąż jeszcze panował lesbijski styl, choć gdzie indziej wyszedł już z mody. Tina Modotti przyszła w czerwonej, skąpej sukience--koszulce, z rozpuszczonymi włosami, które zmysłowo pieściły jej ciało. Nie powinna była przychodzić - w przyjęciu brała udział wściekle zazdrosna Lupe, która nienawidziła Tiny od czasu, gdy ta pozowała do aktów na freskach Diega w kaplicy Chapingo. Lupe przypisywała Tinie winę za rozpad jej małżeństwa z Diegiem, podbiegła więc do niej i uderzyła ją w twarz.

- Dziwka! - wrzasnęła. - Dlaczego nie wrócisz tam, skąd przyjechałaś, do swojej cholерnej Kalifornii czy innych Włoch!

Tina istotnie urodziła się we Włoszech i zanim przyjechała z Westonem do Meksyku, długo mieszkała z nim w Kalifornii.

Kiedy Lupe już skończyła z obrażaniem Tiny, wzięła się do Fridy.

- Patrzcie! - rozdarła się, zadzierając Fridzie spódnice. - Drewniane nogi! Przecież to wykałaczk!

Przypomniałam sobie, jak dziewczynki w szkole dokuczały Fridzie, skandując: „Kulawa Frida! Kulawa Frida!”, i zrobiło mi się żal siostry.

- Oto nogi, które Diego teraz bierze do łóżka zamiast moich! - zawołała Lupe, po czym podniosła suknię i obnażyła swoje wspaniałe kończyny.

Nadal czuła się związana z Diegiem - w końcu mieli ze sobą dwoje dzieci - i choć twierdziła, że już go nie kocha, nie mogła znieść myśli, iż znalazł sobie kogoś nowego.

Diego zachowywał się okropnie. Upił się tequilą, po czym zaczął strzelać do przedmiotów - drzew, lamp, luster, wazonów, kieliszków. Podziurawił kulami dom Henestrosy i nawet nie zaproponował mu, że zapłaci za szkody, a kiedy Hugo Leffert, dziennikarz,

nie pamiętam z jakiej gazety, usiłował odebrać mu broń, Diego odstrzelił mu mały palec! Frida, która na ogół uważała wybryki Diega za urocze, tym razem zrozumiała, że sytuacja wymyka się spod kontroli. W końcu to było jej wesele, a tymczasem Diego, zamiast się nią zajmować, strzelał z pistoletu, łapał kobiety za tyłki, wpadał na ściany i tłukł Henestrosie porcelanę.

- Zachowujesz się jak dzikus - oznajmiła.

Diego oburzył się. Za kogo ta dwudziestojednoletnia pannica się uważa, zapytał, że ośmiela się dyktować mu, co ma robić?

- Za twoją żonę, ot, za kogo! - odcięła się Frida.

- Odejdź ode mnie! Idź stąd! - ryknął Diego niczym zraniony lew.

- Doskonale! - krzyknęła Frida. - Idę!

Mimo późnej pory dotarła jakoś na Avenida Londres w odległym Coyoacan i zasnęła na tym samym łóżku, w którym spała od dzieciństwa.

Następnego dnia, gdy przyszłam odwiedzić rodziców, zastałam ją we łzach.

- Nigdy do niego nie wrócę - łkała. - Nigdy! Zamieszkać z tobą i pomogę ci wychowywać Isoldę!

Lecz za kilka dni Diego po nią przyjechał i tak zaczęło się ich wspólne życie.

ROZDZIAŁ 14

Końce i początki

Powiadają, że jestem samotnicą. Powiadają, że nie lubię ludzi. Ale czy można mnie o to winić po tym wszystkim, co przeszłam? Od czasu gdy Frida odeszła... to znaczy, od kiedy umarła... czuję się bardzo samotna. Nie widuję nawet własnych dzieci. Nie interesują się mną. Nikt już się mną nie interesuje. Teraz, kiedy nie ma już Fridy, mam wrażenie, jakbym nigdy nie istniała. Jakbym była kimś tylko dopóty, dopóki stałam u jej boku - ja, „ta druga siostra Kahlo”, ta głupia, która nigdy niczego nie dokonała. Ale ja przynajmniej żyję, przynajmniej wciąż oddycham.

Nie wiem, czemu opowiadam o tym właśnie panu. Dlaczego bombarduje mnie pan pytaniami? Zaczyna mnie to drażnić.

Chce pan usłyszeć o małżeństwie Fridy, prawda? Czy nie tak pan powiedział? Proszę nie zapominać, że ja też byłam zamężna, choć pożycie nam się nie układało. Prawdę mówiąc, od samego początku sprawy przybrały zły obrót. Sądziłam, że robię wszystko jak należy, toteż zaraz po narodzinach Isoldy ponownie zaszłam w ciążę. Tak właśnie powinny postępować dziewczęta, prawda? Dostarczać dziadkom wnucząt. Żadnej z moich sióstr się to nie udało, sądziłam więc, że zostanę królową w ulu Kahlo - w końcu ja jedyna umiałam produkować dzieci. Myślałam, że chociaż tym razem zostanę ulubienicą rodziny. Ale chyba Mami czuła się bardzo wyczerpana kłopotami ze zdrowiem Fridy, gdyż najwyraźniej dla mnie już nie starczyło jej energii.

Diego i Frida zamieszkali przy ulicy Reforma, pod numerem 104, w budynku w stylu francuskim, takim, jakie budowano pod rządami

Dfaza, gdy sądzono, że to, co europejskie, jest najlepsze. Dom należał do eleganckich i stał przy eleganckiej ulicy, bowiem Riverę uważano za skarb narodowy - w końcu fakt, że Diego i Frida utożsamiali się z masami ludowymi, nie oznaczał, że musieli żyć w takich warunkach jak prosty lud. Diego, który zawsze interesował się archeologią, zgromadził w tym domu setki prekolumbijskich figurek, w tym i posązek mężczyzny siedzącego okrakiem na wężu, a właściwie na gigantycznym penisie. Ha! Diego uwielbiał takie rzeczy, wyjaśnił mi zresztą, że w kulturze Majów Quiche wąż był symbolem płodności. Widzi pan, właśnie o to chodzi - Diego wszystko mi wyjaśniał. Nie sądził, że jestem zbyt głupia, by cokolwiek zrozumieć; on jeden traktował mnie tak, że czułam się ważna i piękna, czułam, iż naprawdę istnieję.

W ich domu nieustannie było pełno ludzi. Oczywiście, mieli służącą - choć uważali się za komunistów, nadal trzeba było ich obsługiwać. Chodzi o to, że wszyscy zatrudniali służbę, nawet po rewolucji. Pomimo deklaracji radykałów, że wszyscy ludzie są równi i nikt nie musi się nikomu kłaniać, Indianie nadal pchali się do miast, a ich kobiety zatrudniały się jako sprzątaczkki za równowartość kilku centów dziennie. Zresztą teraz, po kilkudziesięciu latach, wciąż jest tak samo. Rzecz jednak w tym, że nikt nie stawał się antyrewolucjonistą tylko dlatego, że posiadał służbę. Osoba, która sprzątała czyjeś gówna i wylewała po kimś nocnik, nie była przez to ani trochę gorsza. Po prostu taką wykonywała pracę, a jej chlebodawca miał - no, nie wiem... To trochę skomplikowane.

A więc Diego i Frida mieli służącą imieniem Margarita, wprowadził się do nich także malarz Siqueiros, jego żona oraz tłum innych komunistów, nie pamiętam już jakich. To było tak dawno temu, a poza tym proszę nie zapominać, że musiałam zajmować się dzieckiem. Pamiętam jedynie, że wszędzie kręciło się mnóstwo ludzi, bo oprócz osób na stałe mieszkających w domu Diega i Fridy zawsze ktoś się u nich zatrzymywał. Spano na podłodze w jadalni i w salonie, na kanapach i pod stołami panował tłok. Z początku Fridę to bawiło niczym wielka zabawa albo wycieczka.

- Wszyscy jesteśmy jak bracia i siostry - opowiadała. - Pracujemy razem i pomagamy sobie. Ja gotuję, Andrea zarządza domem, Edit robi zakupy spożywcze... - Andrea i Edit były to przyjaciółki

Fridy, także komunistki. -1 nie muszę się martwić, kiedy się gorzej czuję, bo zawsze zastąpi mnie któraś z dziewcząt.

Jednak po pewnym czasie urok nowości zbladł i sytuacja zaczęła Fridę męczyć.

- Do diabła, jakżebym chciała, by się wynieśli, abym mogła w spokoju pieprzyć się z mężem!

Szkoda, że nie przenieśli się do mnie - nie pieprzyłam się z mężem i przydałoby mi się towarzystwo.

Dlaczego nie sypiałam z mężem? Dlatego, że gdy tylko zaszłam w ciążę, Pinedo uznał, że wyglądam jak mleczna krowa, i nim się obejrzałam, zaczął balować całymi nocami i rznąć córki sąsiadów.

Po pewnym czasie komuniści jednak wynieśli się z domu Diega. Naraził się partyjnym bossom i choć pełnił funkcję sekretarza generalnego meksykańskiej partii komunistycznej, zaczęto go oskarżać o konszachty z nowym, silnie antykomunistycznym rządem. Widzi pan, poglądy rządzących przesunęły się ku prawicy; ogólnoświatowa depresja sprawiła, że kraj miał coraz mniej pieniędzy i władze nie śpieszyły się, by wydawać drogocenne pesety na głodujących Indian albo robotników. Poza tym wielu ludzi sądziło, że cele rewolucji zostały osiągnięte i że pora zaprzestać walki. Niesłusznie. Gołym okiem widać było, że masy ludowe żyją w nędzy, a bogacze nadal wszystkim trzęsą. Biedacy uczynili z Diega swe bożyszcze, bo w swych obrazach oddawał cześć prostym ludziom i ukazywał ich cierpienia; jednak dygnitarzom partyjnym nie wystarczały obrazy. Żądali bezwzględnego zaangażowania, ich zdaniem bowiem Diego grał w koci-koci łapci na obie strony.

Diego uwielbiał rolę marksistowskiej supergwiazdy. Uwielbiał hołdy tłumów, nie był jednak - jak to się mówi? - ideologiem, człowiekiem idei. Nie widział nic złego w przyjmowaniu zamówień od antykomunistycznego rządu. Śmiał się z tego.

- A co mnie to obchodzi, skoro płacą mi za to, bym ich wykpiwał na swoich obrazach? Co w tym zdrożnego, że biorę od tych świń pieniądze, by walczyć o zapomniane boże dzieci?

Rzecz wszakże w tym, że Diego nie był uważany za dobrego członka partii. Nie popierał ślepo inicjatyw partyjnych i miał wielu przyjaciół wśród niekomunistów. Poza tym uczestnictwo w zebraniach, słuchanie przemówień, głosowania nie bardzo mu odpowiadały. Chciał robić wszystko po swojemu; uważał, że może zjawić się na marksistowskim zjeździe, kiedy mu się spodoba, rzucić kilka żartów, wychylić kilka kieliszków, a wszyscy będą jedli mu z ręki. Twardogłowym stalinowcom wcale się to nie podobało. To byli poważni faceci i nie działali w ten sposób. Chcieli, by Diego stosował się do zasad, a gdy odmówił, postanowili się go pozbyć.

Chwileczkę... znów mi się wszystko myli. Mógłby pan odnieść niewłaściwe wrażenie. Trudno to wyrazić... Nie chodzi o to, że Diego w głębi serca nie czuł się marksistą. To był dobry komunista. Wierzył w równość i we wszystko, w co wierzyć należało, w piękno i siłę ludu. Naprawdę sądził, że czyni dobro, ukazując na swoich freskach idee partii. Chce powiedzieć, że robił wszystko, by pomóc rewolucji, realizując jej cele za pomocą pędzla. I czynił to całkiem szczerze, lecz równocześnie był pragmatykiem; nie miał nic przeciwko temu, by całować w tyłki konserwatystów i innych bogatych dupków, jeżeli dzięki temu mógł nadal edukować swoich ukochanych chłopów, rozumie pan? Rząd Callesa, który uchodził za reakcyjny, wciąż dawał mu zlecenia, na przykład na freski w Pałacu Narodowym, a Diego je przyjmował, co sprawiło, że komuniści powzięli przekonanie, iż jest dwulicowy. Byli to... no, jak to się mówi... puryści, toteż uznali Diega za oportunistę i zdrajcę.

Zdawał sobie sprawę, że zamierzają go wyrzucić z partii. Wie pan, co zrobił? Poszedł na zebranie partyjne z wielkim pistoletem w dłoni. Przykrył go chustką i położył na stole, po czym w trakcie długiego i pokrętnego przemówienia oskarżył sam siebie o współpracę z burżuazyjnym rządem i oficjalnie wykluczył się z partii.

Następnie zrobił przerwę i rozejrzał się po sali; sprawdził, kto pluje ze złości, kto patrzy nań z niedowierzaniem, a kto zamarł bez ruchu, jakby grzechotnik ukąsił go w jaja, a gdy się upewnił, że wszyscy są dostatecznie wstrząśnięci, podniósł pistolet i roztrzaskał go o krawędź stołu. Kawalki rozprysły się po sali - bo widzi pan, nie był to prawdziwy pistolet, tylko model z gliny!

- Tym razem naprawdę śmiałem się ostatni - przechwalał się Diego, kiedy wybrałam się z Isoldą z rzadkimi odwiedzinami do miasta. - Szkoda, że nie widziałyście ich min! Ha! Sądzieli, że mogą wyrzucić Diega Riverę! Nikt nie może wykluczyć Diega Riverę, chyba że Diego Rivera sam się wykluczy!

Nieustannie zerkał na mnie kątem oka, sprawdzając, jak odbieram jego opowieść. Śmiałam się tak bardzo, że omal nie pękłam. Od dawna już nie mogłam sobie pozwolić na swobodne zachowanie, a ponadto podobał mi się efekt, jaki moja wesołość wywierała na Diegu. To było tak, jakbyśmy tańczyli, nie dotykając się nawzajem, jakbyśmy wykonywali dziki, sugestywny taniec, po którym, wyczerpani, padaliśmy sobie w ramiona - nadal się nie dotykając. Trudno to wyjaśnić, lecz ta chwila, ten śmiech dzielony z Diegiem, podnieciły mnie. Poczułam, że kręci mi się w głowie, że oblewa mnie rumieniec.

Frida nic nie zauważyła.

- Ja też odeszłam! - oznajmiła, wznosząc pięść do góry. - Solidarność!

- Solidarność! - zatrąbił Diego. Lecz wciąż patrzył na mnie kątem oka.

Jednak, prawdę mówiąc, Diego robił dobrą minę do złej gry. Bez partii czuł się zagubiony, w dodatku, odchodząc, utracił wielu dobrych przyjaciół - na przykład Tina nie chciała już mieć z nim do czynienia. Ponadto niedawno objął stanowisko dyrektora w Akademii San Carlos, lecz gdy wszyscy wokół obrócili się przeciwko niemu, został zwolniony. Zaczął więc pracować jeszcze więcej niż poprzednio i mam wrażenie, że chciał w ten sposób zagłuszyć uczucie przykrości. Malował freski w Pałacu Narodowym,

w Ministerstwie Edukacji Publicznej oraz w Ministerstwie Zdrowia, od którego zaczęło się całe zło.

Siedzieliśmy w kawiarence w Coyoacan, nie pamiętam, gdzie dokładnie. Właściwie nie pamiętam nawet, czy Frida i Diego byli już po ślubie, ale chyba właśnie się pobrali. Frida gryzmoła na serwetce sprośne rysunekzki, z których zaśmiewał się zachwycony Diego; oboje mieli obsesję na punkcie narządów rodnych. Frida paliła jednego papierosa za drugim. Ja również paliłam; dym przyprawiał mnie o mdłości, bo byłam w ciąży, lecz mimo to nieustannie zapalałam taniego, gorzkiego, meksykańskiego papierosa, jednego z tych, po których ma się wrażenie, że zaraz pękną płuca. (Teraz palę tylko jasny, amerykański tytoń). Co jakiś czas Diego sięgał pod stół, usiłując pogłaskać mnie po nodze. Wsuwał mi palce pod sukienkę i próbował dotknąć mego krocza, aż wreszcie musiałam odwrócić się bokiem i założyć nogę na nogę. Przywyczałam się już do jego wybryków, ale nigdy nie wiedziałam, jak zareaguje Frida. Czasem, widząc, jak Diego flirtuje z innymi kobietami, po prostu chichotała, lecz kiedy indziej wpadała w szał. Nie chciałam, żeby się na mnie wściekła, więc paliłam i śmiałam się, jak gdyby nigdy nic.

W owym czasie Diego pracował nad freskami w Ministerstwie Zdrowia, które przedstawiały sześć ogromnych aktów, alegorie Czystości, Wiedzy, Siły, Umiaru, Życia... i czego jeszcze? Umiaru?... nie, to już mówiłam... aha, Zdrowia. Wyglupialiśmy się we troje, kiedy nagle Frida wykrzyknęła:

- Hej, Diego, czemu nie wykorzystasz Cristi w swoim fresku? Jest w ciąży i teraz ma naprawdę wielkie cycki!

- Frida! - wykrztusiłam z trudem.

Co miałam powiedzieć? Po prostu odjęło mi mowę.

Rzecz w tym, że istotnie wyglądałam bardzo zmysłowo. Jak już wspomniałam, mąż nie zwracał na mnie uwagi, lecz na ulicy mężczyźni oglądali się za mną i szeptali: „Psst! Psst! *Lleuame a Eden, mi amor, lleuame al Paraiso!*”. „Zabierz mnie do Edenu, kochanie, zabierz mnie do raj!” . Miałam pełne, kragłe, miękkie ciało, które mężczyznom kojarzy się z uległością. Ta myśl że mogliby zrobić ze mną,

co zechcą - doprowadzała ich do szaleństwa. Nie chodziło o to, że byłam ładna, że miałam szerokie biodra lub gładką skórę, lecz o to, że przypominałam wielką przytulankę, którą można do woli ugniatać lub położyć się na niej jak na poduszce. Ich zdaniem, byłam podatna.

- Cristi! - Diego aż się zakrztusił. - Coś podobnego, nigdy bym na to nie wpadł! Świetny pomysł!

Nie wpadłby, akurat! Lustrował mnie wzrokiem od pierwszego spotkania, tyle że wtedy pragnął Fridy, więc nie bardzo mógł uganiać się także i za mną. Frida wiedziała, że Diego zadaje się z innymi kobietami nawet w okresie narzeczeństwa, ale nie zniosłaby świadomości, że ma romans z jej własną siostrą. Macanki pod stołem to jedno, lecz cokolwiek więcej... A teraz proponowała, bym mu pozowała. Kpiła ze mnie, czy co? Próbowwała mnie zgorszyć? Chyba po prostu lubiła igrać z ogniem, doprowadzać ludzi do ostateczności. Wiedziała, że Diego zazwyczaj łądował w łóżku ze swymi modelkami, zawsze usiłowała go na tym przyłapać, a kiedy jej się udało, wpadała we wściekłość. Teraz natomiast udawała, że pozowanie nago nie ma nic wspólnego z seksem, że chodzi wyłącznie o sprawy zawodowe. Przecież wiedziała, że moje ciało podoba się Riverze. Wciąż mnie zaczepiał, flirtował ze mną, robił prowokujące uwagi. Po co zatem wpychała nas oboje w podejrzaną sytuację? Chyba dlatego, że pasjonowały ją takie gry. Co więcej, oznajmiła, że wybierze wszystkie modelki do fresków w Ministerstwie Zdrowia. Czy naprawdę zamierzała udostępnić swemu chutliwemu mężowi cipy własnych najlepszych przyjaciółek, po to, by zobaczyć, co z tego wyniknie?

- Opowiedz mi o fresku - poprosiłam go, żeby zyskać na czasie. Nie chciałam udzielać natychmiastowej odpowiedzi, nie chciałam przyznać, że to znakomity pomysł. Co by się stało, gdybym potem zmieniła zdanie?

- To cykl alegorii - odpowiedział.

Musiałam mieć minę, jakbym usłyszała coś po chińsku, wyjaśnił bowiem:

- Postaci, które reprezentują pewne idee.

Diego umiał wytłumaczyć wszystko w taki sposób, że nie czułam się jak idiotka. Nie mówił do mnie jak do głupiej, nie uważał, że koniecznie muszę znać słowo, które definiował. Po prostu... no, wie pan... naturalnym tonem powiedział: „Postaci, które reprezentują pewne idee”.

- Sześć nagich postaci - ciągnął dalej - oraz ornamenty. Na przykład dłoń trzymająca snop dojrzałego żyta, tak dojrzałego jak ty. Dojrzałego i zmysłowego - dodał, głaszcząc mnie po brzuchu. - Będziesz doskonała.

Uderzyło mnie słowo „nagich”. Wiedziałam, że Diego maluje akty, lecz wymówił to słowo tak, jakby widział na wylot przez moją bluzkę. Frida uwielbiała chodzić nago i malować się nago, ale ja miałam mniej doświadczenia w tej dziedzinie i wciąż hołdowałam staroświeckim zasadom Mami. Diego nie uważał nagości za coś niemoralnego, według niego ludzie zostali obdarzeni ciałami, które mogli okrywać albo nie. Kochał piękne obiekty - w tym piękne kobiece ciała - i zapępiał nimi swoje obrazy. Malował wiele nagich kobiet i sypiał z wieloma kobietami, albowiem kochał także seks. Ale nie malował aktów dlatego, że były seksowne, lecz dlatego, że widział w nich cudowne i ciekawe formy. A ponadto często nagość coś dlań oznaczała - na przykład bujne i kształtne ciało, takie jak moje, mogło reprezentować płodność, mizerne zaś - nieszczęście.

Nie bardzo wiedziałam, czego chcę. Diego patrzył na mnie w taki sposób... czułam, że kiedy raz się przy nim rozbiore... czułam, że sesja w pracowni nie zakończy się zwykłym: „Dziękuję za współpracę i *adios*”. Czułam, że... że wszystko może się zdarzyć.

- Sądzę, że będzie z ciebie bardzo dobra modelka - rzekł Diego, poważniejąc znienacka.

Zdjął dłoń z mojego uda; chyba chciał dać mi przez to do zrozumienia, iż nie zamierza mnie uwodzić tylko dlatego, że się przy nim rozbiore. Nic już nie rozumiałam. Nagle stał się uroczystry, wręcz odległy, gdy tymczasem nie ulegało wątpliwości, że pragnie wtargnąć w moje ciało niczym lemiesz w świeżą, wilgotną bruzdę.

Frida wciąż mnie nakłaniała:

- No, zgódź się. Jesteś dostatecznie ładna. Znacznie ładniejsza niż ja.

Wydaje mi się, iż podniecała ją wizja, że obnażę się przed Diegiem. Prawie zawsze przyglądała mi się przy pracy. Ja jednak myślałam tylko o tym, że oboje będą stać i gapić się na mnie, kiedy będę zupełnie naga, że przeżyję jakby gwałt zbiorowy dokonany za pomocą wzroku, że poczuję ich spojrzenia na moim ciele, na moich sutkach i udach. Że będzie to tym bardziej nieznośne, że... to okropne, co powiem, w końcu Frida była moją siostrą... ale proszę nie zapominać, że lubiła także dziewczyny. Poczułam, że się czerwienię. Powiadają, że ciężarne kobiety nie podniecają się łatwo, ale to nieprawda. Myśl, że czworo oczu będzie mnie dotykać, ugniatać moje ciało, sprawiła, że zakreśliło mi się w głowie, jakbym miała gorączkę.

Tej nocy czekałam na powrót swego męża ze ściśniętym gardłem. Po raz pierwszy od wielu miesięcy naprawdę go pożałowałam. Przyszedł jak zwykle pijany, śmierdzący burdelem, ale mnie było wszystko jedno. Rzuciłam się nań z taką furją, że sądziłam, iż na zawsze da sobie spokój z dziwkami, a przynajmniej - tak myślałam - zapamięta naszą miłość długo po przebudzeniu. Lecz wkrótce okazało się, że się myliłam. Kiedy było po wszystkim, po prostu zsunął się ze mnie jak kawał betonu i spadł... w próżnię, przez łóżko, przez podłogę... spadł do środka ziemi niczym kłoc bez życia... spadł tak daleko, że nie mogłam go dosięgnąć, choćbym nie wiem jak się starała. Czasami tylko dobiegał mnie jego głos... jakby z otchłani, z odległości miliona mil... mamrotał coś o kłótniach, w które się wdał, o długach, o kobietach. O rzeczach, które nie miały z nami nic wspólnego.

- Absolutnie - mówiła Frida. - Będzie z niej wspaniała modelka. Wygląda tak... urodzajnie! Jak piękne drzewo, obsypane dorodnymi owocami. No, Cristi! Powiedz, że się zgadzasz!

- Nie wiem - odparłam. - Muszę się zastanowić. Co powie na to mój mąż?

Lecz wszyscy troje wiedzieliśmy, że nic nie powie, a jeśli nawet coś powie, to nie będzie to miało najmniejszego znaczenia. Wielu mężczyzn czuje odrazę do ciężarnych żon, lecz mimo to nie potrafi znieść myśli, że mogłyby się znaleźć w ramionach innego mężczyzny. Ale Pinedo... Nie chodzi o to, że nie był zaborczy - raczej o to, że prawie od samego początku uznał, że nasze małżeństwo jest skazane na klęskę. Poddał się temu, co nieuniknione... temu, co on uznał za nieuniknione. Sądził, że Frida i cała ta paczka to degeneraci, a Diega wręcz nie znosił. Kiedy malarz pokojowy pije i chodzi na dziwki, to w porządku, to normalne. Ale arysta malarz, który przez cały dzień przygląda się gołym babom, to rzecz niezdrowa, zgoła perwersja. Diego, a tym samym Frida, kojarzyli mu się z zepsuciem, a ponieważ ja byłam blisko z Fridą, Pinedo doszedł do wniosku, że jestem do niej podobna, że lada chwila zacznę robić to samo co ona.

- Dziwki! - ryczał. - Ty i te twoje siostry, i Tina, i Lupe, wszystkie jesteście takie same! Kocice w rui!

Zaczął mnie zdradzać, kiedy zaszłam w ciążę z Isoldą. Twierdził, że nie może patrzeć na mój wzdęty brzuch, że robi mu się od tego niedobrze.

- A kto sprawił, że jestem taka rozdęta, co? - pytałam. - Może sama zrobiłam sobie dziecko? To twoja robota!

Przez jakiś czas po narodzinach Isoldy imponowało mu odgrywanie roli dumnego papy. Wie pan, takiego samca, którego żona rodzi dziewięć miesięcy po ślubie. Ale gdy zaszłam w ciążę po raz drugi, po prostu obraził się na mnie. Stał się nieznośny. Przyciskał mnie do ściany i warczał:

- To nie moje dziecko! Kto ci je zrobił?

Nie wyobraża pan sobie, jak dotknęły mnie te słowa. Pinedo zachowywał się tak, jakby nie mógł znieść mojego widoku. Wiedziałam też, że kiedy dowie się, że pozuję Riverze do obrazu, nie powie ani słowa, bo po prostu spodziewa się tego. Spodziewa się, że upadnę, niczym... no, wie pan, niczym Ewa w raju. Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że sądził, iż już upadłam.

Jak pan myśli, do której postaci pozowałam? Byłam Wiedzą! Wydaje mi się, że Diego zakpił sobie, wybierając do tej roli mnie, Cristinę, głupią siostrzyczkę! Przedstawił mnie siedzącą ze skromnie spuszczonego wzrokiem i ściśniętymi kolanami, z kwiatusem w ręku. Frida powiedziała, że kwiat symbolizuje kobiecy seks, otwiera się bowiem co dzień niczym kobiecy narząd płciowy, niewykluczone jednak, że paplała, co jej ślina przyniosła na język. Z boku fresku widnieje drzewo, po którym pełźnie wąż. Frida mówiła, że właśnie wąż namówił Ewę do zjedzenia owocu z Drzewa Wiadomości, po czym Ewa zrozumiała, że jest naga i poznała, co to seks. A jednak, pomimo tych wszystkich erotycznych skojarzeń, obraz nie należy do szczególnie seksownych. Wiedza nie jest zbyt uwodzicielska. Po prostu siedzę sobie i patrzę na kwiat.

Pozowałam również do postaci Życia, alegorii na suficie. Wyglądam, jakbym leciała albo unosiła się w powietrzu, życie bowiem obejmuje całą przyrodę, wszystko, co przedstawiają pozostałe alegorie. Prawdę mówiąc, Diego malował mnie leżącą płasko na plecach.

Pozowanie nago okazało się mniej przykre, niż się obawiałam. Już wkrótce przestałam się wstydić. Diego zachowywał się nader rzeczowo i profesjonalnie, czym mnie bardzo zaskoczył - sądziłam, że przez cały czas będzie ze mną flirtował, ale to nastąpiło dopiero później. Przypuszczalnie trzymała go w ryzach obecność Fridy oraz fakt, że byłam w ciąży i naprawdę bardzo się denerwowałam. Początkowo patrzył na mnie tylko po to, by skorygować pociągnięcia pędzla. Nie miałam bynajmniej uczucia, że pożera mnie wzrokiem.

Prawdę mówiąc, spodobała mi się ta praca. Pozowałam mu do dwóch najważniejszych alegorii, Wiedzy i Życia, a musi pan pamiętać, że działo się to w okresie, gdy Pinedo traktował mnie jak śmieć i bez przerwy upokarzał. Czasem, po pijanemu, robił się naprawdę nieprzyjemny, kiedy indziej zaś po prostu siedział i się dąsał. Zaczynałam podejrzewać, że nie zostanie ze mną nawet do narodzin dziecka, czułam się bezradna i zrozpaczona, lecz dzięki

pozowaniu zdałam sobie sprawę, że jednak coś znaczę. Nie mogłam być zupełnie do niczego, skoro docenił mnie wielki Diego Rivera. Zresztą wkrótce Pinedo zaczął odgrywać coraz mniejszą rolę w moim życiu. Nie zwracałam uwagi, czy jest, czy go nie ma, czy upił się, czy nie... po prostu przestałam się przejmować. Moje myśli pochłaniał Diego.

Ukończywszy freski w Ministerstwie Zdrowia, Diego poprosił mnie, bym pozowała mu na stałe. Zostałam jego ulubioną modelką, zwłaszcza że po urodzeniu Antonia odzyskałam doskonałą figurę. Robiłam dla niego coś, czego nie mógł robić nikt inny, a Frida... to dziwne, ale Frida nie lubiła, kiedy Diego malował ją nago. Sama malowała swoje akty, ale prawie nigdy nie pozowała mężowi, może z powodu swej kulawej nogi i krzywych pleców. Mówiłam już panu, że Frida była mistrzynią przeistoczeń i na własnych obrazach świetnie tuszowała swoje niedoskonałości, nigdy natomiast nie miała pewności, w jaki sposób przedstawi je Diego. A może w ogóle chodziło o coś innego - może Frida czerpała swoistą przyjemność z patrzenia, jak pozują mu inne kobiety, z kuszenia losu? Prawie zawsze była obecna na rusztowaniu, lecz, o dziwo, jej obecność w pewien sposób dodawała mi sił. Albowiem zaczęło we mnie narastać uczucie - bardzo niepokojące uczucie, choć wciąż powtarzałam sobie, że nie robię nic złego. Jakże mogłabym zrobić coś złego, kiedy żona Diega

- moja własna siostra! - stała tuż obok mnie?

Modelka pozująca malarzowi nie odczuwa skrępowania, bo jego praca stanowi swego rodzaju barierę. Chcę powiedzieć, że modelka znajduje się w pracowni w pewnym celu, pomaga artyście w pracy, nie stoi tam tylko po to, żeby mu sprawić przyjemność. Fakt, że malarz jest ubrany, również jest pewną przeszkodą

- a przynajmniej tak sobie wmawiałam.

Fridę zajmowało urządzenie nowego domu. Nigdy pan nie zgadnie, z kim chodziła na zakupy - z Lupe Marin! Lupe pomogła jej wybrać naczynia, obrusy i materiał na zasłony, innymi słowy, odegrała wobec Fridy rolę Mami. Mami wciąż nie znosiła Diega,

a poza tym Coyoacan i Mexico City dzieliła spora odległość, więc koniec końców zostawiła Fridę samej sobie. Chyba Mami rozczarowała się wszystkimi swymi córkami, choć ja, Bóg mi świadkiem, bardzo się starałam.

Lupe nauczyła też Fridę przygotowywać nadzwyczajną *mole poblano*, ulubioną potrawę Diega. Bardzo się ze sobą zaprzyjaźniły. To dziwne, ale Frida zawsze doskonale żyła z kochankami Rivery; może w ten sposób zatrzymywała go przy sobie? Zamieniając rywalki w sojuszniczki, zyskiwała swoistą pewność, że jej nie zdradzą i raz na zawsze dadzą spokój jej mężowi. Niestety, w moim wypadku ta strategia nie zdała egzaminu, prawda? W końcu komu Frida mogła ufać bardziej niż własnej siostrze?

Zasłony nie służyły Fridzie zbyt długo, gdyż wkrótce ona i Diego przeprowadzili się do Cuernavaca. Może zna pan amerykańskiego ambasadora nazwiskiem Dwight Morrow? Spodobały mu się prace Diega i zamówił u niego fresk do pałacu Cortesów. Diego zawsze pomstował na Amerykanów, na to, że wyzyskiwali Meksyk, wywożąc stąd surowce naturalne, i że potraktowali nas jak kretynów, którzy nie odróżniają butelki whisky od świńskiego ucha. Ale gdy Amerykanie zaproponowali mu forszę, przyjął ją bez wahania. Między innymi z takich powodów potępiali go komuniści.

Akurat urodził się Antonio, gdy Frida i Diego przenieśli się do domu Morrowa w Cuernavaca. Świetnie się złożyło; ambasador właśnie wyjechał na urlop i Diego bez przeszkód podjął pracę nad freskami Cortesów w rezydencji, która, zdaniem Fridy, należała do luksusowych. Miałam zbyt wiele zajęć przy dziecku, by pojechać i ją obejrzeć, ale nie dziwię się, że Diego przyjął zaproszenie Morrowa. Lubił komfort.

Frida, która po ślubie na jakiś czas zaniechała malowania, spędzała większość czasu, obserwując męża przy pracy i wybierając dlań modelki. Ale w Cuernavaca bardzo się nudziła. Nie miała tu nic do roboty oprócz obsługiwania Diega i wydawania nieustannych przyjęć, zaczęła więc malować dla zabicia czasu. I wtedy - stało się! Nastąpiło wydarzenie, na które wszyscy czekaliśmy,

wielka, zdumiewająca przygoda, kamień milowy w dziejach świata, coś, o czym Frida marzyła od lat dziewczęcych - moja siostra zaszła w ciążę!

Miała urodzić dziecko Diega, tak jak to przepowiedziała dawno temu.

Co też pan mówi?! Oczywiście, że się ucieszyłam! Wszyscy byliśmy bardzo przejęci. W końcu czyż Mami nie tęskniła za kolejnymi wnukami? A Papa - chociaż nie przepadał za dziećmi, jestem pewna, że na widok potomstwa Fridy zgłupiałby z radości. Nie, nie jest tak, jak pan myśli, umierałam z chęci zostania ciotką! Umierałam! Żadna z pozostałych sióstr nie zrobiła mi tej przyjemności, a teraz nareszcie uczyniła to Frida! Wreszcie bylibyśmy typową meksykańską rodziną, z mnóstwem wnuków, babć, prababć, ciotek i siostrzeńców!

Rzecz jasna, ciąża Fridy była wyjątkowa, bo wyjątkowe było wszystko, co jej dotyczyło. Kiedy ja zaszłam w ciążę, rodzina ucieszyła się, lecz nikt specjalnie się tym nie przejął; w końcu Cristina to normalna kobieta o piersiach niczym bukłaki, które w każdej chwili gotowe są do karmienia, oraz udach, które lada chwila rozpostrą się jak skrzydła. Spodziewali się, że wydam na świat zdrowe dziecko, a ja ich nie zawiodłam. Oczywiście, po narodzinach Isoldy okazali należyte zadowolenie, a gdy urodził się Antonio, pierworodny syn i dziedzic, radość była jeszcze większa. Widzi pan, przed urodzeniem Fridy Mami powiła chłopczyka, który jednak zmarł na zapalenie płuc; Antonio, jako jedyne dziecko płci męskiej, był kimś wyjątkowym, toteż ja również poczułam się wyjątkowo jako ta, która dała mu życie.

Ale Frida, o, to całkiem co innego! Kiedy oznajmiła, że będzie miała dziecko, wszyscy oszaleli - wszyscy oszaleliśmy - gdyż bardzo pragnęliśmy, by spełniło się marzenie Fridy, żeby zostać matką. Nawet poszliśmy razem do kościoła, by zapalić świece Najświętszej Paniencie: Mami, Maty, Adri i ja, a także nasze przyrodnie siostry z pierwszego małżeństwa Papy, Maria Luisa i niezwykle pobożna Margarita, która później została zakonnica.

Gdy Frida odkryła, że jest w ciąży, natychmiast przeprowadziła się do Coyoacan i zamieszkała w swoim dawnym pokoju. Dzięki temu Mami mogła się nią należycie zająć, przynosić jej rosół, wygładzać pościel i zmieniać kwiaty, zupełnie jak za dawnych dobrych czasów. Frida wymagała specjalnej opieki i nawet mnie zmuszono, bym ją obsługiwała, mimo że sama niedawno urodziłam synka.

Lecz wówczas stało się coś strasznego. Lekarz powiedział Fridzie, że płód się przekreślił i leży w niewłaściwej pozycji, główką do góry. Niewykluczone zatem, rzekł doktor, że w miarę wzrostu dziecka będzie ono więzło coraz bardziej w łonie matki i poród okaże się niemożliwy. Oczywiście, mógł się zdarzyć cud, płód mógł się odwrócić, lecz nawet wówczas komplikacji nie dałoby się uniknąć. Podczas wypadku macica Fridy uległa poważnemu uszkodzeniu i nie wiadomo nawet, czy jest w niej dość miejsca na prawidłowy rozwój maleństwa.

Byliśmy wstrząśnięci. Frida bez przerwy płakała - i ja też. Naprawdę.

- Co ja mam robić, Cristi? - pytała nieustannie.

Obie wiedziałyśmy, co powinna zrobić, lecz nie chciałam być tą osobą, która jej o tym powie.

- Porozmawiaj z Diegiem - powiedziałam. - W końcu to on jest ojcem.

Czy sądziłam, że Diego naprawdę coś doradzi, czy też po prostu byłam okrutna? Wie pan, czasem trudno rozeznąć się we własnych pobudkach. Pinedo z pewnością nie udzielił mi żadnego wsparcia przy narodzinach Antonia. A taką miałam nadzieję, że znów mnie pokocha! Przecież dałam mu syna - syna, którego pragnie mieć każdy Meksykanin! Lecz stało się inaczej - nie zamienił się w wymarzonego, czułego, troskliwego ojca, ale po prostu mnie opuścił.

- Co to za kobieta, która będąc w ciąży, pozuje nago dla takiego zwyrodnialca, jak Diego Rivera? - krzyczał.

A potem w kółko pytał, skąd ma wiedzieć, czy dziecko jest jego. Wciąż do tego wracał, aż wreszcie spakował walizkę i tyle go

widziałam. Mężczyźni nie przywiązują się do swego potomstwa, | prawda? Są jak iguany albo inne gady, zapładniają jajo i zapomi-

nają o wszystkim. Weźmy na przykład naszego Papę. Owszem, nie odszedł od nas, ale czy kiedykolwiek nas kochał? Czy kiedykolwiek kochał którąkolwiek ze swych córek oprócz Fridy?

Frida rzeczywiście próbowała pogadać z Diegiem o dziecku, jego jednak zbyt pochłaniało rżnięcie amerykańskiej asystentki, Ione Robinson, by zechciał zwrócić uwagę na swoją żonę. Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, by Diego w ogóle kiedykolwiek interesował się ciążami Fridy. Uważał macierzyństwo za kobiecą sprawę, coś w rodzaju menstruacji, coś, co go specjalnie nie dotyczy. Pamięta pan, opowiadałam panu o synku, którego zostawił w Paryżu? Kiedy chłopiec umarł, Diego przyznał bez ogródek, że od początku nie życzył sobie, by Angelina miała dziecko. I wcale nie był zadowolony, gdy urodziła się córeczka Mariewny, Marika. Także Lupito i Ruth, dwoje dzieci, które miała z nim Lupe Marin, doznały od Fridy znacznie więcej serdeczności niż od rodzzonego ojca. W istocie Diego upatrywał w dzieciach wyłącznie źródło kłopotów, nic więc dziwnego, że gdy Frida wyznała mu, iż jest w ciąży, potraktował ją niezbyt wyrozumiale.

Większość mężczyzn życzy sobie, by ich kobiety rodziły, w ten sposób bowiem dowodzą swojej męskości. Nie oznacza to bynajmniej, że chętnie zajmują się potomstwem; ale przynajmniej pragną jego narodzin. Diego natomiast, który najbardziej chciał | sam być dzieckiem Fridy, zwyczajnie obawiał się, że prawdziwe

dziecko mu w tym przeszkodzi. Frida rozpieszczała go, gotowała mu posiłki, dbała o jego ubrania, gruchała do niego, przynosiła mu obiad, kiedy pracował, przyglądała się, kiedy malował, a przede wszystkim cierpliwie znosiła jego romanse. Oczywiście, czasem ogarniała ją zazdrość; wtedy krzyczała, awanturowała się, rzucała przedmiotami i darła na nim ubranie. Ale w końcu godziła się z sytuacją i nawet udawała, że się nią bawi.

- Co mnie to obchodzi - mawiała - dopóki Diego wraca do swojej *mamita*.

Nazywała go swoją ranita - zabusią albo *saporana* - ropuszką. Uwielbiała go nawet wtedy, gdy ją unieszczęśliwiał, on zaś był tak zarozumiały i samolubny, iż nie dostrzegał, że ją rani. A może robił to celowo, by udowodnić, że ma nad nią władzę? Tak czy inaczej, Diego wyraźnie dał do zrozumienia, że nie obchodzi go, czy Frida urodzi dziecko, cóż więc miała począć? Zwróciła się do mnie.

Lekarz nie przeprowadził zabiegu samodzielnie. Wezwał specjalistkę od skrobanek, staruchę o powykręcanych dłoniach i łagodnych oczach. Starucha podała Fridzie manzanillę z jakimś dodatkiem na rozluźnienie, po czym kazała mi trzymać ją za rękę, a sama wsadziła jej między nogi kawał drutu. Frida długo krwawiła, a gdy już było po wszystkim, rozplakała się na mojej piersi - jednak, szczerze mówiąc, sędzę, że odczuła ulgę.

Skąd ten wniosek? Przecież właśnie powiedziałam panu, że umierała z chęci posiadania dziecka. Świadczył o tym choćby fakt, iż wiecznie wyszukiwała sobie obiekty do przytulania, różne pieski, małpki i lalki. Miała całą kolekcję lalek, które ubierała i rozbierała, czesała i karmiła, które kładła do łóżka i zabierała do lalczynego szpitala, kiedy zachorowały, czyli, no wie pan, zepsuły się. Ale ma pan rację - lalka ogromnie różni się od dziecka. Lalka niczego nie wymaga, można ją odłożyć i wyjechać na wakacje - i lalka nie stanie się rywalką o względy własnego męża.

Panie Boże, przebacz, nigdy nikomu tego nie mówiłam - to pan poruszył ten temat - lecz w głębi serca jestem przekonana, że podobnie jak Diego, moja siostra wcale nie chciała mieć dzieci. Sędzę tak pomimo jej hysterii po stracie płodu. Pomimo wszystkich tych obrazów, przedstawiających puste macice. Pomimo łez. Pod wieloma względami Frida bardzo przypominała Diega; chciała zawsze być ośrodkiem wydarzeń, a dziecko sprowadza człowieka do poziomu... hm, niewolnicy. Kiedy chce jeść, trzeba wstać i je nakarmić. Kiedy siusia, trzeba zmienić mu pieluchę. To ono, nie matka, gra pierwszoplanową rolę. Frida nie zniosłaby tego na dłuższą metę, ponieważ tak jak Diego, sama chciała być dzieckiem.

Otóż to - Frida pragnęła być dzieckiem Diega, Diego zaś chciał być dzieckiem Fridy. Wciąż gaworzyli ze sobą, a on wymyślał dla niej czułe określenia, na przyktód *Frisita chicuitita*, mi *niñitapreciosa* - Fridusieńka, moja drogocenna dziewczynka - oraz inne głupoty. Niemożność urodzenia dziecka znów przywracała Fridzie status ofiary, a ofiara jest zawsze na pierwszym planie. Tego właśnie chciała Frida - żeby wszyscy rozczulali się nad nią i mówili *pobrecita Fñdita*, Fridusia biedactwo. Mogła to jeść łyżkami.

Nie, oczywiście, że nie byłam zazdrosna. Przecież urodziłam dwoje dzieci, prawda? Tylko ja zdołałam dać rodzicom wnuki, czyż nie? Wcale jej nie zazdrościłam. Po prostu żałowałam jej. Tak jak wszyscy.

Sądzę, że pierwsze lata, spędzone z Diegiem były dla niej bardzo trudne. Ta samowolna, skupiona na sobie dziewczyna musiała teraz grać rolę oddanej żony wobec mężczyzny równie egocentrycznego, jak ona sama. Zaczęła stale nosić ludowe stroje z Tehuany - długie barwne spódnice i koronkowe bluzki. Jak już mówiłam, moda ta po rewolucji zapanowała w całym Meksyku, ale Frida zamieniła ją nieledwie w fetysz. Mówiła, że chce w ten sposób okazać swoją solidarność z wieśniakami, ale chodziło o coś więcej. Żartuje pan? Frida w niczym nie przypominała chłopki. Z tymi jaskrawo pomalowanymi paznokciami, zabójczym makijażem i wymyślnymi fryzurami? Uważa pan, że chłopskie kobiety mają czas spletać włosy w miliony warkoczyków i ozdabiać je różnokolorowymi nitkami? Frida godzinami stała przed lustrem, wręcz kochała się sobie przyglądać. Jeżeli odcień lakieru choć trochę odbiegał od ideału, malowała paznokcie od nowa. Jeżeli wstążki niezbyt pasowały do stroju, rozpuszczała włosy i ponownie je zaplatała. A spódnice, a halki? Musiały być wyprasowane dokładnie tak, jak należy. Doprowadzała pokojówki do szaleństwa. Nie, nie chodziło bynajmniej o solidarność z Indianami. Frida szukała własnego stylu. Uwielbiała, gdy ludzie oglądali się i gapili na jej stroje. Skąd wiem? Ponieważ bez przerwy o tym mówiła. „Na przyjęciu u amerykańskiego ambasadora wszyscy uznali, że

moja suknia jest śliczna!", „Kiedy wkroczyłam na bal u Cabellów, zebrani spojrzeli na mnie i zaczęli bić brawo!".

Nie zadawaliśmy się już z Tiną Modotti i jej paczką. Tina nie tylko przestała się do nas odzywać; jej zachowanie wykraczało poza zwykłą obojętność. Posunęła się do tego, że odcięła się od nas na jakiejś dużej imprezie partyjnej, przy okazji krzycząc: *Viva Mexico!* No, rzeczywiście, nie „nas" potępiła, tylko „ich", Fridę i Diega - w końcu, czemuż by miała potępiać mnie? Na tę wyjątkową okazję włożyła obcisłą suknię w narodowych barwach Meksyku, a jej zdjęcie ukazało się w gazecie. Co za przesada! Piękna kobieta, istotnie, szkoda że kompletna wariatka.

Cóż, wie pan doskonale, że Tina miała skłonność do dramatyzowania. Zanim związała się z Edwardem Westonem i została fotografką, była aktorką w Kalifornii. Pewnie widział pan robione przez nią zdjęcia, te wszystkie wymięte, poszarpane róże, które, jej zdaniem, przedstawiały dusze robotników zmiażdżonych przez kapitalizm, albo nagie druty telefoniczne ciągnące się donikąd. Na swój sposób była równie wielką artystką, jak Frida. Przynajmniej ja tak uważam.

Właściwie, kiedy się nad tym zastanowić, nic dziwnego, że wykluczenie (czy wystąpienie) Diega z partii wprawiło Tinę w taką furję. W owym czasie Tina żyła z Juliem Antoniem Mellą, wysoko postawionym komunistą kubańskim, na którego dokonano zamachu. Szedł z Tiną ulicą, gdy wtem bum! - ktoś władował w niego serię kul. Tina próbowała uciec, lecz schwytano ją i oskarżono o współudział w morderstwie. Jednak nic jej nie udowodniono.

Kim byli sprawcy? Nie wiem. Pewnie rządowi siepacze. Byli to ci sami „oni", których mamy na myśli, mówiąc: „Zapowiadają na jutro deszcz". Ale co to ja mówiłam? Aha, Tinę zwolniono, ale wokół sprawy zrobił się wielki szum i wiele osób się ośmieszyło. Jakże można było tak maltretować biedną Tinę, biedną, śliczną Tinę, z jej wielkimi tragicznymi, ciemnymi oczami i fryzurą na pazia? W ramach zadośćuczynienia zaproponowano jej posadę oficjalnego fotografa przy Muzeum Narodowym Meksyku, ona

jednak kazała wszystkim iść do diabła. Nasza Tina była wielką idealistką. No i naiwniaczką. Nigdy nie umiała zamknąć się w porę, toteż ponownie ją aresztowano, tym razem pod zarzutem terroryzmu. Tina terrorystka, dobre sobie! Spędziła w więzieniu tylko kilka tygodni, ale to ją wykończyło. Została wyrzucona z kraju, co musiała strasznie przeżyć, gdyż bardzo kochała Meksyk. Krążyły pogłoski, że wyjechała do Moskwy, gdzie pracowała dla Stalina, jednego z bohaterów Fridy. Tina w stalinowskiej tajnej policji! Wróciła do Meksyku na początku lat czterdziestych i wkrótce zmarła, podobno na atak serca. Kto chce, niech wierzy.

Taka jest historia naszej przyjaciółki Tiny. To znaczy, naszej byłej przyjaciółki, bo Tina odwróciła się od nas, kiedy Diego rozstał się z partią. Frida jednak niezbyt się tym przejęła, Tina bowiem już nie była jej potrzebna. Teraz oboje z Diegiem zabiegali co sił o względy bogatych Amerykanów, przed którymi wygłaszali komunistyczne tyrady, co jednak nie przeszkadzało Fridzie w opychaniu się kawiozem i dziarskim udawaniu rdzennej Indianki.

' Być może nie jestem sprawiedliwa. W końcu Diego musiał przyjmować wszystkie zamówienia, prawda? Artysta jest zależny od ludzi wpływowych, a on przynajmniej wykorzystywał pieniądze zepsutych gringos, aby popierać sprawę robotników. A Frida poprzez noszenie ludowego stroju komunikowała wytwornym damom: „Słuchajcie, muszę się z wami zadawać, bo potrzebuję waszych pieniędzy, ale nie myślcie sobie, że do was należę. Nie porzuciłam swego ludu”. Tak, zapewne tak właśnie było.

Diego obrywał z każdej strony. Na przykład w Prepie uczyło już bardzo niewielu idealistycznych radykałów, a ludzie, którzy po nich nastali, uważali freski Diega za obrzydliwe do tego stopnia, że grupa prawicowych gówniarzy skrzyknęła się i je zniszczyła. Jednak Diego nie należał do ludzi, którzy dają się łatwo stłamsić; tak długo włąził w dupę nowemu ministrowi edukacji w rządzie Callesa, że załatwił sobie kilka niezłych zleceń rządowych. Niestety, to ostatecznie zepsuło mu opinię wśród komunistów. Nazywali go *comunista*

de *salón*, salonowy komunista, kanapowy rewolucjonista, i nic przestali go opluwać, mimo że już nie był członkiem partii.

Tymczasem rząd zaczął dobierać się do lewicowców - niektórzy zostali zamordowani, innych wtrącono do więzienia. Przyjaciele Diega - Orozco i jego grupa - wynieśli się do Kalifornii, więc Diego też zaczął się rozglądać za wyjściem z sytuacji.

Nietrudno było je znaleźć. Diego uchodził za gwiazdę wśród meksykańskich muralistów i wszystkie amerykańskie grube ryby prześcigały się w składaniu mu propozycji. Pomimo że przedstawiał ludzi takich, jak John D. Rockefeller, w postaci skrzywionych, monstrualnych krwiopijców, ci na wypródki wpychali mu pieniądze za malowanie obrazów na budynkach będących ich własnością. Właściwie to dość śmieszne. Zapewne ludzie ci uważali, że są tak potężni, bogaci i sprytni, iż nie muszą czuć się zagrożeni przez freski Diega, na których robotnicy wymachiwali flagami z sierpem i młotem. A może chcieli w ten sposób udowodnić, że nie są tacy źli, że współczują masom, których krwawicą się żywili, stwarzając im podle warunki pracy i płacąc żałośnie mało.

A zatem w listopadzie 1930 roku Frida i Diego wyruszyli do San Francisco. Pamiętam, że pomagałam Fridzie się pakować, że składałam jej marszczone spódnice i szale, udając, że ogromnie się cieszę ze względu na nią i Diega. Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, co bez niej pocznę. Nigdy dotąd nie rozstawałyśmy się na dłużej niż kilka tygodni.

- Och, będziesz się świetnie bawić - powtarzałam. - Poznasz tylko ciekawych ludzi!

Ale w środku umierałam. Kiedy Pinedo mnie porzucił, wraz z dwojgiem dzieci wprowadziłam się ponownie do domu rodziców. Mami traktowała mnie z góry i przebierając paciorki różańca, nieustannie komentowała moją smętną sytuację. Miałam wrażenie, że jestem głuptakiem, zwyczajną dziewczyną, której nie udało się zrealizować nawet takiej zwyczajnej rzeczy, jak małżeństwo. Papa patrzył przeze mnie na wylot, jak na osobę przezroczystą, obecną, ale niewidzialną. Czy była to złość, czy tylko obojętność? Maty,

która odwiedzała nas niemal codziennie, rozmawiała wyłącznie z Mami, obecnie swoją wielką sojuszniczką. Przychodziła też Adri, lecz mimo ruchu i zgiełku, mimo gości, służby oraz, oczywiście, moich własnych dzieci, czułam się nieopisanie samotna. Przyzwyczaiałam się, że Frida była zawsze u mego boku, że dzieliła ze mną swe najtajniejsze myśli. A poza tym martwiłam się jej delikatnym zdrowiem, a także jej stosunkami z Diegiem, który bywał dla niej niesłychanie przykry. W Stanach Zjednoczonych nie miała siostry, do której mogłaby uciec.

Dla nas obu zaczynało się nowe życie - nowe życie bez siebie. Bałam się, co się z nami stanie, szczególnie z nią, czułam się tak, jakby ktoś zrywał mi paznokieć, jakby wyszarpywał mi kęs żywego ciała.

CZĘŚĆ II

ROZDZIAŁ 15

Krainy cudów

Po niespełna sześciu tygodniach od wyjazdu Fridy dostałam od niej pierwszy list. Chce pan go przeczytać? Proszę bardzo. Niech pan spojrzy, nazywa mnie Kity - to imię wymyśliła specjalnie dla mnie.

San Francisco, 28 listopada 1930

Moja kochana Kity, Jakżebyś cierpiała, widząc, jak Twoja biedna siostra jest traktowana w tym okropnym miejscu, w Mieście Świata. Ależ z tutejszych mieszkańców hipokryci. Czuję się się niczym małpa w cyrku; muszę chodzić na wszystkie przyjęcia i obiady, które wydają na cześć Diega, po czym siedzę w kącie i udaję, że niezmiernie mnie interesują ich głupie rozmowy. Ostatnio byliśmy z wizytą u państwa Reginaldostwa Bakerów. On jest prezesem banku i być może zamówi u Diega obraz. Ona przechwalała się swoją nową, błyszczącą cygarniczką.

- Zobacz, moja droga, jaka długa! - powtarzała. - Najdłuższa, jaką udało mi się znaleźć! Jest na niej szesnaście brylantów!

- Nie taka znów długa - odparłam. - Krótsza niż kutas mojego męża!

Pani Reginaldowa zaczerwieniła się niczym papryka, a pozostali goście zamarli, jakby nie dowierzali własnym uszom. Diego ryknął śmiechem, lecz później ostrzegł mnie, że powinnam uważać, co mówię przy tych ludziach, bo są nam bezwzględnie potrzebni. Złości mnie. Najpierw zachowuje się tak, jakby moje

riposty go zachwyciły, a potem narzeka, że wszystko psuje. „Nie zapominaj - powiada - że nie możemy wrócić do Meksyku, gdyż tamtejszy rząd nigdy mi nie wybaczy, że jestem komunistycznym bohaterem walczącym o dobro ludu. Mogą mnie nawet zabić. A może tego chcesz, Frido? Wtedy mogłabyś uciec z tym prawnikiem gringo, który się kręci koło ciebie. Ale nie licz na to, ty suko! To pedał!”.

Nie wiem, co mu się stało, ale od przyjazdu tutaj zrobił się strasznie zazdrosny. Bez przerwy mnie oskarża, że strzelam oczami do jakichś facetów, a ja często nie mam pojęcia, o kogo chodzi. W gruncie rzeczy sędzę, że najbardziej przeszkadza mu, kiedy mówię coś śmiesznego, co zwraca powszechną uwagę. Nie lubi pozostawać w cieniu i chce, żebym znała swoje miejsce. No to będę je znała; nie odstąpię go na krok i będę udawać oddaną żonkę, bo w tym ogromnym, wstrętnym Mieście Świata nie mam gdzie się podziać i najchętniej wybiegłabym z domu i skoczyła z jednego z tych mostów, którymi mieszkańcy San Francisco się tak chlubią.

Muszę Ci powiedzieć, że nas, Meksykanów, jest tutaj mnóstwo. Większość to robotnicy rolni, którzy zbierają pomarańcze albo cebulę. Tu rośnie dosłownie wszystko, Kity, wszystkie rzeczy, które tak lubisz. Czująbyś się tu jak w raju. Oczywiście, awokado nie smakuje tak jak u nas, a tutejsze cytryny są suche, a nie soczyste i cierpkie. W każdym razie ci Meksykanie, którzy nie znaleźli zatrudnienia przy zbiorze owoców, na ogół pracują jako służący. Bogaci Amerykanie odnoszą się do nich bardzo źle, a co najokropniejsze, w głębi duszy sądzą, że wszyscy jesteśmy podludźmi. Czuję, że uważają nas za coś gorszego, bo mamy ciemną skórę, chociaż kłaniają się w pas Diegowi jako słynnemu artyście, który potrafi genialnie wpasować fresk w przestrzenie o najdziwniejszych kształtach. Diego wykorzystuje elementy architektoniczne, czyniąc z nich część projektu - ale pewnie to dla Ciebie zbyt fachowe, kochanie? Chcę tylko powiedzieć, że choć pozornie są dla nas mili, w głębi duszy nami gardzą.

Nie wiem, w jaki sposób mogą traktować służbę jak gówno, a równocześnie emablować Diega, jakby był Jezusem Chrystusem z paletą. W końcu wszyscy jesteśmy Meksykanami, nie? Rozumiesz, droga Kity, co znaczy „emablować”? To znaczy „nadskakiwać” albo „podlizywać się”.

Diego jest bardzo zajęty. Będzie malował fresk w Klubie Śniadaniowym Giełdy San Francisco oraz w Kalifornijskiej Akademii Sztuk Pięknych. Mieszkamy w wielkim studio rzeźbiarza Ralpa Stackpole'a przy Montgomery Street. Gości tu także inne małżeństwo, Lucile i Arnold Blanch - on jest rzeźbiarzem, ona malarką. Jednak unikam rozmów z nimi, bo mogłabym się zapomnieć i powiedzieć coś, co ich zdenerwuje, a przecież mogą nam jeszcze kiedyś być potrzebni!

Kończę, najdroższa Kity. Mam nadzieję, że ten list nie był dla Ciebie zbyt nużący. Pocałuj ode mnie Mami i Papę, Maty i Adri, oraz, oczywiście, maleńkiego Toño i Isoldę. Kocham Cię i bardzo za Tobą tęsknię.

Frida

Nie, myli się pan całkowicie. Nie czułam żadnej satysfakcji. Dlaczego miałabym się cieszyć, że Diego źle traktuje moją siostrę?

Ludzie pchali się, by podejmować Diega, zapraszali go na przyjęcia i pikniki na wsi, zabrali go nawet na mecz futbolu amerykańskiego. Frida twierdziła, że to idiotyczny sport. Poza tym Diego wygłaszał prelekcje. W owych czasach wielu Amerykanów dotkniętych wielkim kryzysem przekonało się do komunizmu, więc gdy Diego mówił o roli artysty w przywracaniu sprawiedliwości społecznej, na jego wykłady ściągало mnóstwo najrozmaitszych ludzi - intelektualisci, artyści, robotnicy. Frida również w nich uczestniczyła - milcząca, kochająca żona, drobna i śliczna. Sumiennie grała swoją rolę.

Przysyłała nam pocztówki przedstawiające gaje pomarańczowe, fioletowe wzgórza, niekończące się mosty, pełne wdzięku i majestatu. Przysyłała wspaniałe jedwabie z chińskiej dzielnicy, z których

szyla niezwykle tehuańskie stroje. Przysłała mi nefrytowe kolczyki, widzi pan? Zawsze trzymam je w tym pudelku, razem z jej listami. Ale czy była szczęśliwa? Niech pan rzuci okiem na ten list.

San Francisco, 1 lutego 1931

Najdroższa Kity,

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze. Wspaniale się bawię, pomimo że to ponure miejsce. Jest tu mnóstwo biedaków, nie tylko Meksykanów, lecz także ogromnie wielu białych, którzy godzinami stoją w kolejce, żeby dostać choć parę okruchów chleba. A tymczasem ludzie na Telegraph Hill mieszkają w pałacach i codziennie jedzą kawior oraz przepiórcze jaja. Jednak pomimo tych okropieństw codzienna egzystencja dostarcza mi wielu przyjemności.

Diego pracuje nad freskiem dla Giełdy, więc mam mnóstwo czasu, by włóczyć się i poznawać miasto. Uwielbiam jeździć kolejką linową w górę i w dół; niektóre ulice są tak strome, że wydaje mi się, jakbym wchodziła na ścianę, a gdybym się odwróciła i spojrzała w dół, spadłabym niczym szklany ornament i rozprysła się na tysiące kawałków. Kiedy wagonik rusza, wstrzymuję oddech i zmuszam się, żeby nie zamykać oczu. Najpierw trochę się bałam jeździć tramwajem ze względu na swój wypadek sprzed lat, ale teraz przejażdżki zapierają mi dech w piersiach. Czuję się jak na kolejce górskiej w wesołym miasteczku. Uwielbiam też włóczyć się po chińskiej dzielnicy. Dzieci Chińczyków są takie śliczne, wszystkie wystrojone w kolorowe ubranka, fioletowe, pomarańczowe, różowe i czerwone, zupełnie jak cukierki, aż chciałoby się je zjeść!

Kiedy idę ulicą, wszyscy przystają, żeby popatrzeć na moje piękne tehuańskie spódnice. Nigdy nie widzieli nic podobnego. Obcy ludzie podchodzą, żeby ze mną porozmawiać, a ja odpowiadam im po angielsku, którym posługuję się coraz płynniej. Nie uwierzyłabyś własnym oczom, widząc, jak Twoja siostra papie w języku gringos. Oto moje ulubione wyrazy: kutas, gównno, cipa, dupa oraz faworyt wszechczasów: pierdolić. Powtarzaj je po kilka razy w ciągu dnia, kochanie, a będziemy mogły porozmawiać, kiedy wrócę. Nie mogę ćwiczyć rozmówek z przyjaciółmi Diega, wszyscy bowiem

pragną mówić tylko z nim, choć on nie zna angielskiego. Ja po prostu stoję obok, milczę i uśmiecham się.

Trudno mi długo chodzić, bo prawa stopa znowu mi dokucza. Nie wiem, co się z nią dzieje. Zachowuje się niczym łódź, pragnąca odpłynąć w sobie tylko wiadomym kierunku. Wykręca się na zewnątrz, a zmuszanie jej, żeby robiła to, co chcę, bywa tak męczące, że czasem po prostu rezygnuję. Ale się staram! Kochanie moje, mam dla was wspaniałą wiadomość! Poznałam tu słynnego lekarza, doktora Leo Eloessera, który jest pewien, że będzie mógł mi pomóc. To przemiły człowiek. Namaluję jego portret, gdy tylko znowu zdołam wziąć się do pracy. Obejrzał moje plecy i orzekł, że cierpię na poważną skoliozę. (To oznacza skrzywienie kręgosłupa, kochanie). Powiedział mi również, że wypadł mi dysk międzykręgowy; to bardzo zła nowina, ale na szczęście medycyna poczyniła tu wielkie postępy, więc jeśli doktor Eloesser zgodzi się mnie operować, będę jak nowa. I wtedy będę się ścigać z Tonitem do parku i z powrotem!

Zgadnijcie, kogo jeszcze tu spotkałam! Cristi, nie uwierzysz - Edwarda Westona, wielkiego fotografa, tego, który tak długo był kochankiem Tiny. Jego osoba zawsze mnie ciekawiła, Tina tyle o nim opowiadała. Kiedyś wyznała mi, że był wrażliwy jak płatek róży i namiętny jak huragan. (Widzi pan, tu Frida narysowała delikatne płateczki róży i dmuchające wiatrem obłoki o ognistych oczach!) Nie wiedziałam, co z tego wyniknie, zwłaszcza że Diego też rznął Tinę, ale wyszło wspaniale, kochana, bo między dwoma panami, Westonem i Diegiem, natychmiast powstało cudowne napięcie. Weston jest bardzo przystojny i ma nader zmysłowe spojrzenie. Flirtował ze mną najbezwstydniej, a Diego musiał to znosić. Weston zrobił mi zdjęcie z Diegiem, nie mogę się doczekać, kiedy je zobaczysz.

W zeszłym miesiącu pojechaliśmy do Nowego Jorku, stolicy świata, wszechświatowego domu wariatów, bo w tamtejszym Muzeum Sztuki Nowoczesnej otwiera się wystawa Diega. Amerykanie całowali go w „policzki” na lewo i prawo - oczywiście, nie chodzi mi o policzki na twarzy. Pokazał kilka portretów Zapaty i obrazy reformy rolnej, wszystkie ogromnie marksistowskie, oni zaś wprost jedli mu z ręki. Wyobraź sobie ochy i achy tych wysztafirowanych wieźm w długich sukniach z brokatu, sztywnych jakby kij połknęły, które nagle udają przyjaciółki cierpiącego chłopstwa. Bardzo lubią wspierać sprawę ludu, bo dzięki temu czują się mniej winne z powodu swoich pudli w brylantowych tiarach i limuzyn Daimler Benz ze złotymi okuciami. Ach, to poczucie winy Amerykanów! Widać je wszędzie: w tym, jak uwielbiają rubaszość sztuki meksykańskiej i jak udają, że nie widzą, iż Diego i ja nie mamy białej skóry. „Moja droga, spójrz tylko na te soczyste postacie! Jakie to żywotne! Jakie autentyczne! Jakie szczerze!”. „Tak, i popatrz na tę małą żoneczkę Rivery! Czyż nie wygląda cudownie w swoim uroczym tubyleczym stroju?”. Nie rozmawiałam z żadną z nich. Trzymałam się blisko Diega, pozwalając, by paplał po francusku, nieświadom, że nikt nie rozumie ani słowa z tego, co mówi.

Ci Amerykanie mają okropny gust. Powinnaś była widzieć, co miała na sobie Alice Bricker, która po wernisażu zaprosiła nas do swego apartamentu - absolutnie szpetną, drapowaną suknię w bladoróżowym kolorze, z falbankami na ramionach i ogromną kokardą na tyłku. Wyglądała jak pięćdziesięcioletnia uczennica. A jej przyjaciółka, pani Fitch, odziana w wielowarstwowy, luźny piżamo-garnitur, przypominała chodzący gmach Chryslera!

Wyobrażasz sobie, najdroższa Kity, jak mnie wyczerpuje to chodzenie po przyjęciach. Wszyscy chcą nas poznać; bez przerwy podróżujemy i codziennie widzę coś nowego. Weźmy taki Empire State Building, pomnik nowoczesności! Diego wręcz go uwielbia, a i ja zapragnęłam jeszcze raz wziąć ślub, wysoko, na najwyższym piętrze! Teraz, po powrocie do San Francisco, na domiar złego musimy brać udział w ważnych wiecach politycznych, gdyż ludzie tutaj po prostu czczą Diega, po prostu za nim przepadają.

Och, Kity, kochanie, dlaczego Cię okłamuję? Wcale nie jest cudownie. Diego znika na całe dni, zgadujesz dlaczego, prawda? Twierdzi, że zbiera materiały do nowego fresku, ale wiem, że szuka ich wyłącznie między nogami swojej nowej modelki, olśniewającej, wysportowanej, białoskórej Wenus, Helen Wills. To znana mistrzyni tenisa, która pozuje mu do alegorii stanu Kalifornia. Diego wszędzie za nią jeździ - rzekomo musi zobaczyć ją w działaniu, aby wyczuć płynność jej ruchów. Rzeczywiście, widział ją w działaniu, nie ma co! Mogę sobie wyobrazić, co się dzieje podczas sesji: „Zdejmij bluzkę, kochanie, i powtórz serwis! Tak, dobrze, a teraz podnieś ręce i odwróć się do mnie. A teraz zdejmij majteczki i pokaż mi swego loba!”. Szkoda, że nie zobaczysz, jak wygląda jej akt - unosi się na suficie niczym uskrzydłona leśna nimfa lub Artemida, bogini księżycy. Ale mnie najbardziej przypomina oskubanego sępa.

Mężczyzna taki jak Diego musi mieć swoje rozrywki, ale rzecz w tym, maleńka Kity, że czuję się bardzo samotna. Gdybyś tylko mogła do mnie przyjechać z Isoldą i maleńkim Tonitem! Diega zawsze otaczają jacyś ludzie - asystenci, studenci, wielbiciele, dobiegacze. Wszyscy mu nadskakują i nikt nie zwraca uwagi na Twoją biedną bliźniaczkę. To znaczy, oczywiście, że się mną zajmują - Diego mnie przedstawił i wszędzie mnie zapraszają - ale tylko dlatego, że jestem panią Rivera, a nie dlatego, że cokolwiek ich obchodzi. Staram się być dla nich miła, zwłaszcza dla osób takich jak Al Bender, znany kolekcjoner dzieł sztuki, który nie tylko załatwił Diegowi wizę, lecz kupił wiele jego prac. Dzięki takim ludziom utrzymujemy się przy życiu. Ale ja ich właściwie nie interesuję, jestem tylko dodatkiem, żoną Diega, kimś na przyczepkę. Szczerze mówiąc, nie znoszę tych gringos o twarzach jak niedopieczone bułki i skórze niczym owsianka.

Droga Kity, jak ja to wszystko wytrzymam? Wiem, że mi nie odpiszesz, jednak postaraj się zapamiętać wszelkie nowiny, żebyś po moim powrocie mogła mi wszystko, ale to wszystko opowiedzieć, żebyśmy razem przeżyły wszystkie ważne chwile, przy których mnie nie było. Ucałuj ode mnie gorąco Mami i Papi, oraz moją kochaną siostrzeniczkę i siostrzeńca.

Kocham Cię bardzo

Frida

To prawda, że nigdy jej nie odpisywałam. Pisanie listów niezbyt dobrze mi szło, a poza tym miałam mnóstwo zajęć przy dzieciach. Z jednej strony było mi jej żal, ale z drugiej, myślałam sobie, cóż, nareszcie posmakuje, co to znaczy być „tą drugą”. Owszem, przyznaję, że świadomość, iż Frida choć raz nie jest ośrodkiem zainteresowania, sprawiała mi niemałą satysfakcję. Przeżywałam właśnie zły okres, mieszkałam u Mami z dwojgiem dzieci i praktycznie nie miałam życia towarzyskiego.

Niech mnie pan źle nie rozumie - nie chciałam, żeby Frida cierpiała. Wiadomość, że stopa znów jej dokucza, wcale mnie nie ucieszyła. Lecz spójrzmy prawdzie w oczy - mimo narzekań Frida bawiła się świetnie, chodziła na przyjęcia, spotykała fascynujących ludzi, jeździła kolejką linową, zwiedzała chińską dzielnicę, robiła wypadki do Nowego Jorku. Nie wszyscy zwracali na nią uwagę, no i co z tego? Nadal miała mnóstwo uciechy. Ale potem zaczęłam myśleć o czymś - o kimś - innym. O Helen Wills.

Nigdy jej nie widziałam, nawet na zdjęciu, ale nie potrafiłam wybić jej sobie z głowy. Sprężysta i wysportowana, o włosach jak światło księżycy odbite w migotliwym morzu. Białoskóra, lecz dużo przebywająca na powietrzu. Ciekawe, czy jej cera, wygładzona kosztownymi kremami, ma barwę piasku czy jasnego drewna? Wyobraziłam ją sobie, jak ubrana tylko w czapkę i tenisówki trenuje bekhendy i woleje, jak unosi ramiona, eksponując rozkoszne piersi, jak obraca się, podkreślając giętkość talii, jak wyskakuje w serwisie ku czystemu, błękitnemu niebu Kalifornii, podczas gdy Diego pięści ją wzrokiem. Promienny uśmiech, błyszczące oczy, lśniące, równe zęby, jak to zwykle u gringo.

I Diego, oblizujący się, przelękający nerwowo ślinę w zachwyconym oczekiwaniu, produkujący jeden szkic po drugim. A gdzie dystans pochłoniętego pracą artysty?

Nienawidziłam Helen, nie za to, co robiła Fridzie, lecz za to, co robiła mnie.

Ale co mi właściwie robiła?

Po tym liście Frida długo nie pisała. Zaczęła znów malować, miała bowiem dużo czasu, a nie mogła często wychodzić z domu ze względu na nogę. Jej portret Eloessera należy, moim zdaniem, do najgorszych; model wygląda na nim jak tania kukielka z głową za dużą w stosunku do tułowia i przylepioną byle jak gumą arabską. Frida namalowała także Evę Fredrick, czarnoskórą kobietę o twardych, wysoko osadzonych policzkach i zaokrąglonym ciele. Frida lubiła czarnych. Mówiła, że przypominają jej Indian - są piękni, inteligentni, o bogatej kulturze, całkowicie lekceważonej przez wyższe sfery. Jednak mój ulubiony portret z tego okresu przedstawia Luthera Burbanka, człowieka, który przeprowadzał eksperymenty na roślinach. - Frida wyobraziła go jako roślinę o mocnej łodydze, rozgałęzionych korzeniach i dorodnych zielonych liściach. Oprócz tego namalowała coś w rodzaju sceny weselnej ze sobą i Diegiem w rolach głównych; nad nowożeńcami unosi się wstęga z napisem obwieszczającym: „Mój ukochany mąż Diego”, niczym na staroświeckich obrazach, widywanych na hacjendach. Widzi pan, coraz lepiej odgrywała oddaną żonę. Diego to, Diego tamto... Proszę tylko rzucić okiem.

San Francisco, 15 sierpnia 1931

Najdroższa, kochana Kity, Będę się skracać, bo przygotowuję się do wielkiej wystawy. Mojej własnej wystawy, dasz wiarę? W Nowym Jorku! Od ostatniego listu tyle się zdarzyło. Lato jest tu urocze, ale nie

zdołałam tak często chodzić na wzgórza, jak bym chciała, bo stopa okropnie mi dokucza. Nieszczęsne kończyny Twojej biednej bliźniaczki sprawiają jej tyle kłopotów! Jakże pragnęłabym być zdrowa i piękna jak Ty! Diego i ja pracujemy jak wariaci, zwłaszcza ja, moja wystawa bowiem otwiera się za tydzień. To ogromnie podniecające! Tu, w San Francisco, wszyscy szaleją za moimi obrazami, każdy chce kupić choć jeden! Z trudem nadażam z realizacją zamówień, bo muszę także znaleźć czas na życie towarzyskie. O wiele lepiej radzę sobie na amerykańskich przyjęciach, choć właściwie ich nienawidzę, kochanie, bo *gringos* to straszni nudziarze. Większość z nich ma osobowość niczym gotowany biały ryż, a skoro już o tym mowa, nikt tu nie ma pojęcia o gotowaniu. Jedzą wyłącznie krwiste, czerwone mięso, od którego chce się rzygać, wystarczy na nie popatrzeć.

W zeszłym tygodniu byliśmy na kolacji u państwa Jerome'ów Pattisonów, bardzo ważnych mecenasów sztuki, którzy kupili już trzy obrazy Diega i może nabędą jeszcze jeden. Ona miała na sobie wążutką jedwabną koszulkę, mniej więcej trzy rozmiary za małą, a na to narzutkę z powłóczystej organdy. Pewnie sądziła, że dzięki temu wygląda eterycznie, choć w rzeczywistości przypominała mi pranie powiewające na wietrze. Zebrani marudzili coś o prawach robotników i innych rzeczach, na których się nie znają, a ja siedziałam, nudząc się jak mops, i popijałam wino, aż wreszcie powiedziałam z przejęciem:

- Wiedzą państwo, pewien mężczyzna miał bardzo poważny kłopot.

Przestali rozmawiać i wpatrzyli się we mnie, spodziewając się jakiejś wypowiedzi na temat smutnej doli bezrobotnych.

- Tak - ciągnęłam - bardzo poważny.

Wszyscy wlepili we mnie wzrok. Kąciki ust Diega zadrgały; wiedziałam, że usiłuje powstrzymać śmiech.

- Poszedł więc do apteki i powiedział do sprzedawczynie: „Mam kłopot i chcę porozmawiać z aptekarzem”.

„Ja tu jestem aptekarzem - odparła - ale może mi pan wszystko powiedzieć. Skończyłam chemię i jestem zawodowo przygotowana. Ta apteka należy do mnie i mojej siostry”.

„Hm - rzekł mężczyzna. - Chodzi o to, że ciągle mam wzwód”.

„Ciągle ma pan wzwód? Hm, rozumiem”.

Wyobraź to sobie, Cristi. Wszyscy patrzyli na mnie i chichotali. Pili od wielu godzin i znajdowali się już w pół drogi do krainy Bachusa. Nawet Diego mimowolnie zaczął się śmiać.

„Może mi pani coś na to dać?” - zapytał mężczyzna.

„Chwileczkę - odparła aptekarka - naradzę się z siostrą”.

Tutaj, droga Cristi, zrobiłam przerwę, żeby zwiększyć napięcie.

- Pani aptekarz znikła na dobrą chwilę - powiedziałam po chwili - po czym wróciła i oznajmiła:

„Cóż, skonsultowałam się z siostrą i możemy odstąpić panu dwie trzecie interesu oraz jedną trzecią zysków!”.

Towarzystwo ryknęło śmiechem. Gdybyś ich widziała, Kity! Wszyscy zaczęli opowiadać sprośne kawały, nawet ta pani Pattison o twarzy jak owsianka. Ja również opowiadałam jeden dowcip za drugim, a Diego siedział i patrzył na mnie rozpromieniony. Po powrocie do domu nie złażał mnie jak zwykle za sianie zgorszenia wśród jego wytwornych dobroczyńców, lecz wziął mnie w ramiona i powiedział, że jestem najlepszą rzeczą, jaka mu się kiedykolwiek przytrafiła. Tak bardzo go kocham, Kity, bardziej niż życie. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, kiedy mogę sprawić mu radość. To doświadczenie nauczyło mnie, że na wszystko jest odpowiednia pora. Jeżeli zaczekam ze świętuszaniem, aż słuchacze wleją w siebie dość alkoholu, będą mi jedli z ręki. Od tamtej pory przyjęcia stały się znacznie zabawniejsze. A ponadto, co również ma znaczenie, odkąd Diego ukończył fresk, jest spokojniejszy i ma dla mnie więcej czasu. Może jakoś przeżyję tę kalwarię, droga Kity. Tęsknię za Wami tak okropnie, że nawet sobie nie wyobrażasz. Proszę, wspomnij w modlitwie swoją siostrzyczkę.

Kocham Was Frida

Oczywiście, Frida nie pisała prawdy. Nie zasypano jej zamówieniami. Prawie nic nie sprzedała w San Francisco, a jej wystawa w Nowym Jorku okazała się kompletną klęską. Diego wszystko mi opowiedział. Ale nigdy nie przyznałam się, że o tym wiem. Przecież ją kochałam i musiałam chronić.

W tym momencie moje wspomnienia trochę się płaczą. Mam wrażenie, że pod koniec 1931 roku - a może był to już rok 1932 - Frida i Diego wyjechali do Detroit. Diego dostał ogromne zamówienie od ważnego amerykańskiego przedsiębiorcy, wie pan, od Forda, tego, który produkuje samochody. Nie, nie od Henry'ego Forda. Zamawiający nazywał się Edsel Ford - swoją drogą, dziwne imię. Diego kiedyś kupił Fridzie samochód Forda, a potem kupił mi taki sam. I ten Ford chciał, żeby Diego namalował freski sławiące przemysł samochodowy, co bardzo Diegowi odpowiadało, bo mógł ukazać ludzi przy pracy, robotników o brudnych twarzach i napiętych mięśniach, przemysł, masy, proletariatu i jego szlachetny trud. *Viva Marks! Viva Zapata!* Diego kochał maszyny, mechanizmy, wszystko, co nowoczesne, wszystko, co postępowe. Co to właściwie za imię - Edsel?

A więc przyjechali do Detroit i natychmiast udali się do hotelu Wardella, gdzie można zamieszkać w apartamencie z pokojówką i pralnią, lecz który pozwala także gościom prowadzić własną kuchnię i przyrządzać własne posiłki. Frida nie znosiła amerykańskiego jedzenia. Uparła się, że będzie gotować meksykańskie potrawy, gdyż, jej zdaniem, wszystko w kuchni gringos smakuje jak mokry tynk. Wprowadzili się do tego eleganckiego hotelu z całym dobytkiem - farbami Diega, tehuańskimi sukniemi Fridy, wielkimi jak okręty butami Diega, apteczką Fridy, wódą Diega.

- Wiecie, dlaczego to taki dobry hotel? - zapytał ich Bill Regginer, który zajmował się zdobywaniem pieniędzy dla Detroit Art Institute.

- Dlaczego? - zaciekał się Diego.

- Bo nie przyjmują Żydów.

Regginer uważał, że powiedział coś niezwykle śmiesznego. Sądził, że prezentuje im żart dla wtajemniczonych.

Lecz Frida poczuła się tak, jakby ktoś wbił jej nóż w gardło.

- Nigdy nie przestają nas prześladować - opowiadała mi później. - Nigdzie nie można przed tym uciec.

Kłątwa Guillerma Kahlo, ot co.

I wie pan, co zrobił Diego? Poszedł do dyrektora i powiedział:

- Słyszałem, że nie przyjmujecie tu Żydów.

Mówił po francusku i Frida musiała tłumaczyć jego słowa.

- Tak jest - oznajmił dyrektor. - W końcu to jeden z najlepszych adresów w Detroit. Musimy dbać o wysoki poziom.

- No cóż, w takim razie Carmen i ja musimy się wyprowadzić, bo oboje jesteśmy Żydami.

Diego zaczął nazywać Fridę „Carmen”, ponieważ nazizm nabierał rozpędu i niemieckie imię niedobrze brzmiało. W każdym razie szczeka dyrektora opadła tak, że musiała chyba stuknąć o podłogę. Diego uchodził za największego artystę na świecie i hotel, w którym mieszkał, bardzo zyskiwał na prestiżu.

- To niemożliwe... - wyjąkał nieszczęśnik.

- Ależ tak! - zaśmiał się Diego. - Idziemy na górę i pakujemy się, chyba że zmienicie zasady!

- Właściwie to nie są zasady... po prostu...

Diego zapędził gościa w kozi róg i z przyjemnością patrzył, jak się wije.

- To znaczy, to nie są moje zasady... - bąkał dyrektor. - Będę musiał uzgodnić., uzgodnić... wie pan, zarząd...

- Więc niech pan uzgadnia, lecz jeżeli nie zmienicie zasad do wieczora, jutro już nas tu nie będzie.

Cóż, trwał kryzys, a hotel potrzebował gości, których mogłoby ściągnąć nazwisko Diega Rivery. Skończyło się na tym, że zarząd nie tylko zmienił zasady, ale obniżył cenę apartamentu z 185 na 100 dolarów miesięcznie. Diego uznał to za swoje zwycięstwo nad uprzedzeniami rasowymi.

Niedługo później oboje zostali zaproszeni na kolację w domu Edsela Forda.

- Były tam same suki z atlasowymi tamponami, zadzierające nosy do księżyca - opisywała później to wydarzenie Frida.

Siedzieli przy stole i rozmawiali nie wiadomo o czym. Może o tenisie - Helen Wills właśnie zdobyła mistrzostwo Stanów Zjednoczonych w singlu kobiet. A może o ostatnim filmie Chaplina albo Gary Coopera. Frida bez przerwy robiła uwagi:

- Widziała pani Światła *wielkiego miasta*? Ja pieprzę! - a gdy damy z towarzystwa bladły, dodawała: - Czyżbym powiedziała coś niewłaściwego? Chyba tak się mówi, kiedy coś jest fantastyczne? A może to słowo brzmi: „Świetnie”? Wie pani, nie mówię zbyt dobrze po angielsku.

Tak czy inaczej, byli na przyjęciu u Forda, który był znany ze swej nienawiści do Żydów i który później, w czasie wojny, donosił Niemcom. Nagle rozmowa ucichła i wówczas Frida z głupia frant zapytała:

- Och, Edsel, słyszałam, że ty też jesteś Żydem. Podobno twoja matka jest Żydówką z Brooklynu? Może pan sobie wyobrazić, co się działo.

Innym razem Frida wraz z Diegiem witała gości na uroczystości w Instytucie Sztuki. Miała na sobie jedwabny strój z Tehuany, mnóstwo biżuterii i pierścionki na każdym palcu. Damy z towarzystwa podchodziły do niej i mówiły na przykład:

- Och, uwielbiam prace pani męża - albo: - Jesteśmy zachwycone, że pani i pan Rivera zechcieliście nas odwiedzić - na co Frida odpowiadała wylewnie:

- Och, dziękuję bardzo, pieprz się! - a potem tłumaczyła się słodkim, nieśmiałym głosem: - Och, sądziłam, że tak się mówi! Myślałam, że to znaczy: „Pani jest bardzo miła”. Tak mi powiedział mąż. Niedobry Diego, chce mi narobić wstydu!

Ale jeśli pan sądzi, że Frida dobrze się bawiła w Detroit, to jest pan w błędzie. Stopa bolała ją coraz bardziej, a co gorsza, na wiosnę zaszła w ciążę. Dlaczego „co gorsza”? Ponieważ znajdowała się w obcym kraju, gdzie wszystko było obce - ludzie, język,

jedzenie, reakcje na ciężarną kobietę. W Meksyku kobieta w ciąży może polegać na matce, siostrach, pokojówkach. Gdybym była z Fridą, zaopiekowałabym się nią, nie spuszczałabym jej z oka niczym nieustępliwy jastrząb, kazałabym słuchać poleceń lekarza, który zabronił mojej siostrze pić i chodzić na przyjęcia. Ale ona przecież musiała być ośrodkiem wydarzeń, a poza tym od nikogo nie przyjmowała poleceń. Diego przez cały czas pracował - musiał ukończyć freski dla Forda. Frida nie znosiła samotności, więc wychodziła, forsowała się i... Oto list z końca maja.

Detroit, 30 maja 1932

Kochana siostró,

Nie wiem, od czego zacząć ten list. Chciałabym napisać, że wszystko układa się wspaniale, ponieważ spodziewam się dziecka. I tak jest rzeczywiście! Jestem w ciąży! Powinnam szaleć ze szczęścia, ale och, moja najdroższa Cristi, tak strasznie się męczę. Dręczą mnie dziwne myśli, śnią mi się niesamowite, przerażające stworzenia, smoki o skrzydłach niczym nietoperze i dziobach jak papugi, które syczą i skrzeczą, atakują mnie i porywają moje dziecko z kołyski. Pragnę wrócić do domu, ale nie ma szans, by Diego ukończył swoje freski przed końcem września. Dziecka spodziewam się w grudniu - rzecz jednak w tym, że chcę wracać natychmiast. Nikt tutaj nie umie się mną zaopiekować, a Diego nie wykazuje ani odrobiny zainteresowania. Kiedy mam mdłości, a mam je prawie bez przerwy, lub kiedy boli mnie noga, on wypada wściekły z mieszkania, trzaskając drzwiami. „Skoro musiałaś zająć w ciążę - ryczy - to teraz sobie radź!”. Wciąż na mnie warczy, nieustannie ma zły humor. Nie widuję go całymi tygodniami. Mówi, że sypia w Instytucie Sztuki, żeby nie tracić czasu na poranne dojazdy, ale kto to wie, gdzie naprawdę sypia i z kim!

Och, Cristi, nienawidzę tego ponurego miasta. Przypomina suterene w czynszówce, a poza tym jest tutaj tak gorąco, że szczury i karaluchy skwierczą na chodnikach. Chciałabym

umrzeć! Módl się za mnie, kochana Cristi. Komuniści nie wierzą w Boga, ale może On i tak przyjdzie mi na ratunek. Twoja kochająca siostra

Frida

Nękało mnie nieokreślone przecucie. Tym razem urodzi, myślałam, urodzi małego Diega, Dieguita. Nigdy nie wątpiłam, że to będzie chłopiec. Ukochany wnuczek Mami, ósmy cud świata. „Boże, nie pozwól mi umrzeć, nim ujrzę dziecko Fridy” - zawodziła Mami. Bo wie pan, była bardzo chora. Lekarz powiedział jej, że ma raka, wiedziała więc, że może nie dożyć narodzin wnuka. Oczywiście, istniał jeszcze Tonito, ale to był mój syn, a ten nowy byłby dzieckiem Fridy. Wszyscy tak się nią zachwycali: „Mimo takich przeciwności!”, albo: „Ta mała Frida jest taka waleczna, taka dzielna!”.

Owszem, przyznaję, bardzo mnie to drażniło. Frida siedziała sobie w Stanach Zjednoczonych, gdzie grała rolę niesfornej acz uroczej żonki Diega Rivery, zadawała się ze śmietanką towarzyską i świetnie się bawiła - a tak, chociaż pisała co innego - ja zaś tkwiłam w Coyoacan, usiłując wychować dwoje dzieci, i jeszcze musiałam zajmować się Mami. No, pomyślałam, koniec, ciąża podetnie jej skrzydła. Nie będzie już uchodzić za krucyfiks, świętego Graala i kuśkę ministranta w jednej osobie, przestanie udawać Jezusa Chrystusa w pizamie koloru lawendy. Nie można być ośrodkiem życia towarzyskiego i równocześnie pielęgnować noworodka. Będzie musiała siedzieć w domu i opiekować się dzieckiem. Biedna Frida, kręgosłup i stopa rzeczywiście przysparzały jej okropnych cierpień, a ciąża na pewno zaostriżyła wszystkie problemy zdrowotne. Żal mi było siostry, oczywiście, że tak. Ale ja także czułam się udręczona. Z trudem wytrzymywałam z Mami nawet w najlepszych latach, a Mami chora stała się wprost nieznośna. Pigułki, lekarze, baseny, wymioty jak dzień długi. I narzekania, nieustanne narzekania. Och, gdyby Frida wróciła, jęczała Mami, od razu byłoby lepiej, gdzie jest jej ukochana Frida? Wszystko to ogromnie mnie wyczerpywało. Byłam młoda, prag-

nęłam się wyrwać z klatki, ale nic z tego - dni mijały, a ja tkwiłam w domu z Mami. Proszę zrozumieć, robiłam to chętnie, kochałam moją matkę, należała jej się moja troska i opieka. Pytam jedynie: dlaczego Frida nie sądziła, że też jest matce coś winna?

Frida straciła dziecko, zanim dotarł do mnie jej list. Pewnej nocy zaczęła krwawić - oceany krwi, wyspy skrzepów. Diego w szpitalu spazmował - pomnikowy Rivera okazywał pomnikową udrekę. Przepraszam, nie chciałam być przykra. Nie wątpię, że naprawdę czuł ból, jednak nie z powodu dziecka, którego nigdy nie pragnął. Nie, w popłoch wprawiała go myśl, że Frida istotnie mogłaby przenieść się do raju i zostawić go samego w owym zasikany, zaropiałym mieście. „Perfumowane *caca* - mówiła o Detroit Frida - wymiociny przystrojone pietruszką”.

Wróciwszy do zdrowia, wściekle zabrała się do malowania. Jestem pewna, że sprawiało jej to nie lada trudność, gdyż nie była osobą zorganizowaną. Zaczynała jakieś przedsięwzięcie, ale wystarczyło powiedzieć: „Chodźmy na zakupy” albo: „Zagrajmy w karty”, albo: „Odwiedzmy dziewczynki Solizów na naszej ulicy”, a całkiem zapominała o pracy. Ale tym razem narzuciła sobie harmonogram. Malowała cały ranek, po czym zanosila Diegowi obiad do Instytutu, bo oczywiście domagał się enchiladas i mole, a nie potraw z trocin i wyschniętej farby. Gotowała mu posiłki w przeddzień wieczorem, jak dobra, poczciwa żona. Jadła obiad razem z nim, on zaś zmiatał tortille swoim gadzim językiem i przez cały czas ją łajał. Ogarniał go coraz podlejszy nastrój i krytykował wszystko - oczywiście, nie jej malarstwo ani stroje, ale inne rzeczy. Po co znowu zaszła w ciążę? Czemu bez przerwy biegła po lekarzach? Kiedy wreszcie przestanie narzekać na palec u nogi?

Cały czas rysowała płody, dokładnie tak jak za pierwszym razem. Szkicowała martwe dzieci, roniące matki. Chyba właśnie wtedy poważnie zabrała się do kolekcjonowania lalek. Zawsze je lubiła, zgromadziła spory zbiór, ale teraz popadła w obsesję. Nie tylko je ubierała i rozbierała, ale chrzcila je (choć była komunistką), uczyła je pacierza, a gdy umierały, urządzała im pogrzeby. Rozumie pan,

wiele z nich umarło. Owijała je w szal lub prześcieradło i składała do grobu; nie wiem, ile lalek gnije do tej pory w ziemi na dziedzińcu hotelu Wardell. Oto jej kolejny list:

Detroit, 8 lipca 1932

Uwielbiana siostrzyczko,

Nawet nie wiesz, jak ja tu cierpię. Diego całymi dniami pracuje i nie poświęca mi ani chwili. Nadal jest wściekły, że znów zaszłam w ciążę, i karze mnie, nie wracając na noc do domu. Nie tylko sypia ze wszystkimi ładnymi modelkami i studentkami w Instytucie, lecz obnosi się ze swoimi romansami, wystawiając mnie na pośmiewisko Detroit. Och, Cristi, po co ja jeszcze żyję? Rozpaczliwie pragnę dziecka, lecz na każdą wzmiankę o tym Diego wpada w szal i zaczyna rzucać przedmiotami. Wczoraj omal nie trafił mnie w głowę mosiężnym lichtarzem. Kiedy przekracza próg, to jakby w mieszkaniu rozpętała się burza. Czasem myślę, że byłoby lepiej, gdyby spędzał noce w ramionach tych blond idiotek. Maluję, aby zapomnieć, ale ból jest bardzo przejmujący.

Jestem chora, Cristi. Wciąż krwawię i okropnie pali mnie stopa. Szkoda, że nie mogę jej uciąć! Ach, jakżebym chciała wrócić do domu! Ty i Inocencia zajęłybyście się mną, tylko wy mnie kochacie. Diego wcale mnie nie kocha.

Proszę, powiedz temu staremu *picaro*, Panu Bogu, że musi mnie pilnować. Ciebie posłucha, bo Ty masz czyste serce - mnie pewnie nie, bo zawsze byłam czarną owcą.

Zegnaj, kochanie. Odliczam dni do chwili, gdy się znów zobaczymy.

Z miłością, Twoja oddana siostra

Frida

Życzenie Fridy spełniło się. Na początku września zatelegrafowałam do niej, żeby przyjeżdżała natychmiast. Mami była umierająca.

ROZDZIAŁ 252

Lament żałobny

Frida żaliła się swej nowej przyjaciółce, malarce Lucienne Bloch, która była asystentką Diega i córką szwajcarskiego kompozytora Ernesta Blocha. Z początku Frida jej nie znosiła i nawet obraziła ją na jakimś przyjęciu, lecz gdy zorientowała się, że Lucienne nie zamierza iść do łóżka z jej mężem, stały się nierozłączne. Głos Fridy monotonicznie zawodził:

- Diego nie chce mieć dzieci, Lucienne. Muszę to przyjąć do wiadomości, po prostu nie chce i nie zamierza znowu mnie zapłodnić, tak mi powiedział, po prostu, użył słów, które kaleczą jak siekiera, i to w moim stanie, jestem taka wyczerpana, wyobrażasz sobie, moja droga, cały dzień maluję, wciąż na nogach, i na dodatek nadal krwawię. Ale muszę się czymś zajmować, Lucienne, myśleć o czymś innym niż dziecko, strata dziecka, jakaś ty dobra, że przyjechałaś ze mną aż do Meksyku. To ważne, żeby mieć wokół siebie przyjaciół, którzy naprawdę nas lubią, mają podobne zainteresowania, dlatego tak cię kocham, Lucienne. Jak sądzisz, Mami wyzdrowieje, prawda? Kamienie żółciowe to przecież nic strasznego? Można je wyciąć, tak powiedział lekarz, ale Mami ma ich mnóstwo, ponad setkę, tak ją osłabił ten rak, przecież nie umrze, prawda, Lucienne? Boże, ja tego nie wytrzymam, najpierw dziecko, a teraz to, Mami tak się o mnie troszczyła, kiedy byłam chora. Jestem wciąż niezdrowa, Lucienne, moja noga, ból jest nie do wytrzymania, i plecy też, kto się mną zaopiekuje po jej śmierci? Kiedy wyobrażam ją sobie, jak leży pod ziemią, bezwładna i zimna, jak robaki wwiercają się w jej czaszkę i wiją gniazda w nozdrzach,

kiedy widzę ją bez powiek, widzę jej zmierzwione, matowe włosy niczym suche wodorosty wychodzące z głowy, skórę odchodzącą od czaszki, kiedy widzę piersi bez sutków, opuszczone łono, gnijący seks, to okropne, Lucienne, to jakby ktoś pocierał mi krzyż lodem. Diego chudnie, Lucienne, postanowił się odchudzić i dlatego jest wciąż zły. Ciska we mnie przedmiotami - pędzlami, papierosami, popielniczką, naładowanym pistoletem, ale to nie on, to przez tę dietę, on nie zdaje sobie sprawy, co robi. Kocha mnie i da mi dziecko, bo wie, że tego potrzebuję, potrzebuję dziecka, rozumiesz to, Lucienne, prawda? Umrę, jeśli nie urodzę dziecka. Czasem nie chce mi się żyć, ale kocham Diega i to daje mi siłę, Lucienne. Nikt tego nie rozumie, tylko ty. Czymże jestem, Lucienne? Zardzewiała, zniszczoną rurą. Wybebeszonym, pustym domem... Próbowałam nie słuchać.

- Och, kochanie, nie wiem, czemu wciąż płaczę. Zupełnie nad tym nie panuję, Lucienne, praca to jedyna rzecz, która mi pomaga, ale tutaj nawet nie wezmę pędzla do ręki, tyle się dzieje, a Diego został sam w tym kraju bez serca, biedny Diego, bardzo mi go żal, moja biedna żabusia, nie masz pojęcia, jaka to udreka, kochanie...

Zamknij się! - pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno. Miałam ochotę zacisnąć palce na jej gardle. Wróciła pożegnać się z matką. Wszyscy wiedzieliśmy, że to koniec; rak drażył wnętrzności Mami nie wiadomo od kiedy, a teraz groziła jej operacja woreczka żółciowego, której, zdaniem lekarza, prawdopodobnie miała nie przeżyć. Brakowało jej odporności. Nie wiem, co czułam w owym momencie, słysząc jednostajny jęk Fridy. Może po prostu chciałam, żeby to się skończyło. Żeby Mami zwinęła się jak najszybciej, a Frida wróciła do Detroit. Nie, oczywiście, że tego nie chciałam. Ale czułam się taka pusta w środku. Bezsenne noce, baseny, buliony, lekarstwa, kojące słowa: „Oczywiście, że nas nie zostawisz, Mami. Nigdzie się nie wybierasz. Zanim się obejrzysz, będziesz gonić Rufinę ze ścierką, jak dawniej. I zatańczysz na weselu Isoldy". Najgorsze było to, że według Mami, nic nie robiłam jak

należy. Nigdy nie była zadowolona. Kiedy posiałam jej żółtą pościel, żądała niebieskiej. Kiedy wstawiłam stokrotki do wazonu na toaletce, życzyła sobie goździków. To choroba; wiedziałam, że choroba wpływa na jej świadomość i każe jej mówić obrzydliwe rzeczy, ale mimo to byłam bardzo zmęczona.

Właśnie odebraliśmy Fridę z dworca w Mexico City. Samochód, nie pamiętam już czyj, prowadził mąż Maty; Paco i Maty nie mieli samochodu, z pewnością nie należał do nich. Frida siedziała z tyłu z Lucienne Bloch, którą wzięła ze sobą, gdyż - jak twierdziła - była za słaba, by podróżować sama. Nie rozstawały się i czasem zadawałam sobie pytanie, czy nie są kochankami. „O, ja biedna - jęczała Frida - ja biedna, ja biedna, ja biedna”. Czułam, że zaczyna mnie boleć głowa.

Problem polega na tym, powtarzała Frida, że jest wyczerpana. Ona wyczerpana! Czy ma pan pojęcie, co to znaczy opiekować się chorym na raka? Maty mi w niczym nie pomagała, zbyt pochłaniało ją urządzenie gniazdka - przyszywanie falbanek do zasłon, haftowanie prześcieradeł i tym podobne zajęcia. Dostała od Mami wiele mebli z domu rodziców, a poza tym sama kupiła kilka podrabianych antyków. Frida twierdziła, że Maty ma okropny gust, zbyt drobnomieszczański, ale co to właściwie Fridę obchodziło? W końcu Maty urządziła własny dom. Nie miałam też wiele pożytku z Adri, bo ta z kolei nie mogła znieść widoku choroby. Uciekała nawet, gdy zwymiotował kot, zostawiając sprzątaninę na mojej głowie. A kiedy Mami robiła pod siebie, Adri po prostu głupiała. To ja mieszkałam z rodzicami i to ja musiałam troszczyć się o Mami, pilnować, by zażywała lekarstwa, siedzieć przy niej, czytać jej na głos, opowiadać najnowsze filmy, na przykład *Annę Chńsń* z Garbo w roli głównej. W Stanach wcześniej wyświetlano ten film, ale ja obejrzałam go dopiero teraz. Musiałam również obsługiwać Papę i upewniać się, czy je posiłki, gdyż potrafił kilka dni obywać się bez jedzenia. A jeszcze miałam dwoje dzieci... A więc przyznaję, czułam rozdrażnienie, to nie Frida bowiem miała prawo skarżyć się na zmęczenie, tylko ja.

Koniec nastąpił 15 września, dwa dni po operacji. Byłam z Mami sama. Wcześniej odwiedził ją ksiądz i udzielił ostatniej posługi. Delikatnie zamknęłam jej oczy, włożyłam czarną suknię, zarzuciłam na ramiona czarny szal i poszłam zawiadomić Fridę.

Kiedy tylko mnie zobaczyła, pojęła, że Mami nie żyje.

- Stało się, prawda? - zapytała i natychmiast zaczęła wrzeszczeć jak zarzynane prosię:

- Mami! Moja ukochana mama! Mami, weź mnie ze sobą!

O Boże, o Boże, o Boże, jak mogłeś mi to zrobić! Jak mogłeś mi zabrać moją świętą mamusię?

Lekarz dał Fridzie tabletkę, a Lucienne i ja położyłyśmy ją do łóżka. Potem poszłyśmy powiadomić Maty, Adri oraz Margaritę i Marię Luisę, bo chociaż Mami nie była ich prawdziwą matką, już dawno wybaczyły jej, że oddała je do klasztoru. Ale nie powiedziałyśmy nic Papie. Jeszcze nie. Był taki kruchy. Bałyśmy się, że ta wiadomość sprowokuje atak, który mógłby go zabić. Dopiero następnego dnia, wspierane przez lekarza i kleryka, bardzo łagodnie powiadomiłyśmy go, że jego żona odeszła.

- Idź - rzekł do kleryka. - Zajmij się wszystkim. Wiesz, co robisz. Powiedział tylko tyle, lecz już do końca życia błąkał się po domu niczym czyścicowa dusza.

Inocencia, Margarita - nasza siostra przyrodnia, która w końcu została zakonnica - i ja umyłyśmy i ubrałyśmy Mami. Jakże maleńkie wydawało się jej zwiędłe ciało, wyciągnięte na łóżku! Taka monumentalna za życia, taka subtelna po śmierci. Choroba odcisnęła ślad na jej obwisłych piersiach i wychudłych ramionach, wszędzie - z wyjątkiem ud i narządów rodnych, zda się, należących do znacznie młodszej, zdrowszej kobiety. Jak to być może, zastanawiałam się, że schorzenie nie dotknęło pewnych części jej ciała? Zupełnie jakbym widziała dwie osoby, jedną już w stanie rozkładu, drugą wciąż dobijającą się o miejsce przy stole.

Na pogrzebie Frida zachowywała się jak opętana. Odegrała scenę z filmu *Żegnaj, mój poeto*, w którym Catalina Trueba w roli piętnastoletniej dziewczyny przygląda się pogrzebowi brata, zabitego

przez brutalnego obszarnika. Zawodzeniom i lamentom nie ma końca, po czym następuje ogólne zamieszanie i bohaterka wpada do otwartej mogiły. Frida, co prawda, nie skoczyła do grobu Mami, choć krzyczała i łkała niczym Maria Magdalena; mimo wszystko nie udało się jej zagrać tak, jak to zrobiła Catalina Trueba.

- Boże jedyny! - sarknęłam w końcu. - Panuj nad sobą. Wszyscy jesteśmy w żałobie. Ludzie patrz!

- Ty zimnokrwista suko! - wysyczała. - Nie masz pojęcia, co czuję! - I podjęła swoje wrzaski: - Mamiii! Mamiii! Kocham cię! Weź mnie ze sobą!

- To idź! - szepnęłam wściekła.

Wiem, co pan myśli. Sądzi pan, że ze złości wymyśliłam plan... plan zemsty na Fridzie, że chciałam ją ukarać, ale wcale tak nie było. Zdenerwowałam się, nie przeczę, musi pan jednak zdawać sobie sprawę, że przeżyłam ogromnie napięcie. Kiedy umiera matka, człowiek nagle staje się sierotą. Nawet dorosła kobieta traci równowagę po śmierci matki, zwłaszcza gdy mieszkały w tym samym domu. Kolana się pod nią uginają, jakby dopiero uczyła się chodzić. I choćby obiecywała sobie, że kiedy matka umrze, zrobi tyle rzeczy... zatańczy z Indianinem, wyrzuci brzydką fioletową kape, rozbije francuski porcelanowy wazon w salonie - ten z dwoma amorkami - weźmie sobie matczyne zakiet, wykończony futrem, wepchnie siostrę w błoto... to kiedy nagle może zrobić to wszystko, wcale nie czuje się wyzwolona, wręcz przeciwnie, ma wrażenie, że ona wciąż ją obserwuje i ocenia. Matka jest obecna, choć jej nie ma. Jej oczy są otwarte, choć zamknięte. A zatem kobieta spycha te wszystkie zbuntowane myśli w najciemniejszy zakątek mózgu, gdzie ich miejsce, i choć czasem uwalnia je dla zabawy, już zawsze odczuwa przy tym niepokój.

W ciągu czterech czy pięciu następnych tygodni Frida doskonale odgrywała rolę oddanej córeczki. Uniknęła brudnej roboty, nie musiała porać się z zamętem, jaki wywołała choroba Mami. Przyjechała na sam koniec i teraz obie z Lucienne bawiły się w wybawicielki Papy - parzyły mu herbatę, zabierały go na spacer,

rozśmieszały historyjkami o cudownych przyjęciach, na których bywały w Detroit i Nowym Jorku. Właściwie te opowieści były dość zabawne. Frida opowiadała o tym, jak pocałowała taksówkarza w policzek, gdy nauczył ją pierwszej zwrotki Gwiazdzistego *sztandaru*, który właśnie uznano za oficjalny hymn Stanów Zjednoczonych. Była to piosenka o psie!

- Zobacz tam ogon psa, jak powiewa wśród wzgórz...*

Coś w tym rodzaju. Nie bardzo rozumiałam tekst i Frida też nie, ale brzmiał bardzo śmiesznie, kiedy go śpiewała.

- Cóż, hymn o psie, czemuż by nie - śmiała się. - To bardzo demokratyczne! Niech żyje psi ogon!

Lecz w środku Frida przeżywała udrękę. Miała ściągniętą i napiętą twarz, jakby czuła nieustanne, bolesne wzdęcie, oczy zaś - wilgotne i zaczerwienione. Słyszałam, jak płacze, zamknięta sama w pokoju. Nie wątpię, że jej rozpacz była szczera. W końcu oprócz śmierci Mami musiała sobie poradzić z niedawną utratą dziecka. Rzecz w tym, że nie tylko ona czuła się nieszczęśliwa.

- Wiesz, Cristi - powiedziała do mnie, gdy jechałyśmy do Mexico City, skąd odchodził pociąg do Stanów - to dobrze, że zabrałam ze sobą Lucienne, bo nie bardzo o mnie dbałaś.

Każdy nerw w moim ciele zjeżył się, gotów do ataku.

- O co ci chodzi, Frida? Kazałam Inocencii przygotować *mole poblano* specjalnie dla ciebie.

- A na co mi *mole poblano* Inocencii! Sama robię lepsze.

- Słuchaj, Frida - rzekłam. - To mnie wiele kosztowało. Robiłam, co mogłam.

- Wiem, kochanie, wiem. Jesteś wyczerpana, jak my wszyscy. To nieważne. W końcu, skoro masz dzieci, to nie mogłaś poświęcać mi wiele czasu.

Dałam spokój. Nie odezwałam się słowem. Ale znowu zaczęła.

Frida przekręca pierwszy wers hymnu USA: Oh I say, can you see, by the dawn's early light..., który można przetłumaczyć: „Zobacz tam, w brzasku dnia, jak powiewa wśród zórz...” (przyp. tłum.).

- Tyle tylko, że...

- Że co?

- No wiesz, przeszłam tyle z Diegiem i tak podupałam na zdrowiu, że właściwie nie mam już energii. Mogłaś przynajmniej...

- Miałaś dość energii, żeby urządzić sceny na pogrzebie - odcięłam się.

- Sceny? Cristi, czułam najgłębszy żal!

- Wszyscy czuliśmy najgłębszy żal, ale tylko ty błaznowałaś jak Catalina Trueba.

- O Boże, jakże mnie ranisz, Cristi.

- Ranisz ją, Cristina - wtrąciła się jej przyjaciółka cienkim głosem, z tym swoim szwajcarskim akcentem, który sprawiał, że wydawało się, jakby miała usta pełne flegmy.

Frida wybuchnęła płaczem.

Poczułam się okropnie. Biedna Frida. W końcu była chora. W końcu właśnie straciła dziecko. W końcu podróż bardzo ją zmęczyła. W końcu Diego traktował ją jak śmieć. Wiedziałam o tym wszystkim.

- Przepraszam - powiedziałam.

Pochyliła się i wzięła mnie za rękę. Dojeżdżaliśmy do dworca.

Pociąg do Teksasu powoli wypełzał ze stacji niczym ogromna gąsienica ze szklą i metalu. Pomachałam odjeżdżającym na pożegnanie i poczułam się straszliwie samotna.

ROZDZIAŁ 17

Na rozstajach

Pamiętam to ze szkoły: „Nie może złego owocu dobre drzewo wydawać”. To z Ewangelii według Św. Mateusza. Przez lata wiele o tym myślałam, ponieważ ja wydałam złe owoce. Przecież tak pan uważa, prawda? Pan i wszyscy inni. Chociaż... Nie, ma pan rację. Wydałam złe owoce, to jasne, ale jak do tego doszło? Bardzo chciałabym wiedzieć. Przecież byłam takim niewinnym dzieckiem, nie bardzo rozumiałam, co się dzieje - przynajmniej tak mi się wydaje. Nie miałam złych zamiarów, nie uświadamiałam sobie, co robię. Chociaż nie... oczywiście, że sobie uświadamiałam, ale nie miałam pojęcia, dokąd to zaprowadzi. Żadnego pojęcia. Nie wiedziałam, że nasze życie nigdy już nie będzie takie samo, że wszystko ulegnie zniszczeniu, że Frida się załamie. Być może na tym polegało całe zło. To znaczy, na tym, że ani przez chwilę nie zastanowiłam się, iż trzeba będzie zapłacić - albowiem wszystko, co robimy, ma swoją cenę. Może powinnam była zdać sobie z tego sprawę. A może kłamię.

Frida wróciła do Stanów. Sprawy potoczyły się fatalnie; freski w Detroit wywołały wiele zamieszania; zostały uznane za komunistyczne, powstały bowiem ku czci robotników, toteż wielu Amerykanów potraktowało je jak atak na amerykański styl życia, na kapitalizm. Poza tym widniały na nich akty nagich kobiet, Amerykanie zaś są pruderyjni i uważają nagie ciała za obrzydliwe. Tak powiedziała mi Frida. Opowiadała, że Amerykanie nie lubią nawet dotykać własnych ciał i dlatego do kąpieli używają ściereczek. Księża katoliccy i duchowni protestanccy, najbardziej pruderyjni

ze wszystkich, jak jeden mąż potępili pracę Diega, który na domiar złego zawsze przedstawiał kler jako chciwe świnie. Grożono nawet zniszczeniem fresków, lecz grupa robotników skrzyknęła się, by ich bronić. Diego poczuł się wspaniale - znów był bohaterem ludu, a jego nazwisko pojawiło się w gazetach. Nie tylko popierał robotniczą sprawę - on b y ł sprawą.

Nie, Frida do mnie nie pisała. Wściekła się na mnie. Ale kiedy wrócili, słyszałam, jak bez przerwy rozmawiali o tych wydarzeniach. On został uznany za bohatera, rycerza w lśniącej zbroi, krzyżowca, głównego aktora, więc siłą rzeczy ją, Fridę, wykreowano na główną aktorkę u jego boku. Nietrudno mi wyobrazić sobie, co się działo, jak chciwie spijali wszystkie przejawy zainteresowania.

Skończywszy pracę w Detroit, przenieśli się do Nowego Jorku, gdzie Diego miał wykonać freski na budynku RCA. Cieszył się tak wielką sławą, że ludzi, którzy chcieli obserwować go przy pracy, wpuszczano na miejsce tylko za biletami, da pan wiarę? Codziennie poniżej jego grubego tyłka - jednak coraz chudsze z racji diety - zbierały się tłumy i z zapartym tchem patrzyły, jak portretuje chciwych biznesmenów, wyzyskiwanych, uciemnionych robotników, chłopów, wyrobników, nauczycieli, matki... wszystkich obywateli, zjednoczonych w marksistowskim raju. Moje wspomnienia są trochę zamazane, gdyż, jak mówiłam, Frida już do mnie nie pisała.

Żeby się streszczać: w Nowym Jorku Diego napotkał te same problemy, co w Detroit. Wiele osób oburzało się, że najpierw bierze pieniądze od Rockefellerów za malowanie obrazów, po czym ukazuje amerykańskich kapitalistów w postaci świń i złodziei. Bądźmy szczerzy, Rockefellerowie byli książętami kapitalizmu - a tu Diego pokazał, że ci książęta żyją z krwawicy całej reszty społeczeństwa. Mówiono, że prace Diega są niemoralne i bluźniercze, nie tylko z powodu nagich kobiet, lecz także dlatego, że komuniści nie wierzą w Boga. Z tego powodu również Mami nigdy nie lubiła Diega. Frida przywiozła artykuły prasowe, wedle których freski Rivery sprowadzały się wyłącznie do komunistycznej propagandy,

tak wiele w nich było czerwonych flag, czerwonych koszul i i czerwonych chust. Nie rozumiałam tych komentarzy, lecz Frida przetłumaczyła je dla mnie na hiszpański. Frida miała wielkie zdolności językowe, wie pan. Co za bystra dziewczyna. I jaka utalentowana. „Czemu nie możesz być taka jak twoja siostra?”

- zwykła pytać Mami. A kiedy nie mówiła tego głośno, to przynajmniej tak myślała. Zapomniała już, że kiedyś uznała Fridę za dziwkę i lesbijkę.

Nie trzeba być geniuszem, żeby pojąć, że skoro wynajmuje się artystę komunistę, to skutkiem będzie komunistyczny obraz. Być może Nelson Rockefeller był geniuszem finansowym, ale ja uważam, że to bałwan. Samodzielnie postanowił, że przeznaczy część rodzinnej fortuny - którą, zdaniem Diega, zdobył, wyzyskując pokolenia ciężko pracujących biedaków - na wykonanie fresków, przedstawiających Nowe Lepsze Jutro. Więc niech pan sam powie

- skoro ktoś zleca komunistycznemu malarzowi namalowanie Nowego Lepszego Jutra, to czego się spodziewa? Co ten artysta namaluje? Przebrane za gmach Chryslera damy z towarzystwa, wymachujące cygarniczkami błyszczącymi od brylantów, czy robotniczy raj?

Diego wciąż malował, a Frida... cóż, niezbyt dobrze wiem, co robiła Frida. Z pewnością nie malowała. Moja siostra malowała tylko wtedy, gdy nie miała nic innego do roboty, a w Nowym Jorku znalazła masę atrakcji. To wielkie miasto, gdzie jest mnóstwo wielkich sklepów, więc chodziła z Lucienne na zakupy. Są tam kina, więc chodziła z Lucienne do kina. Diego nie chodził z nimi; dla Diega istniała tylko praca, praca, praca. Frida uwielbiała tanie magazyny, gdzie wyszukiwała najrozmaitsze skarby - wiszące szklane kolczyki w kształcie ptaszków, plastikowy grzebień malowany w różnobarwne kwiaty, popielniczkę z syrenką siedzącą na krawędzi, paskudny szal w brązowo-żółte pasy, tak ohydny, że niemal ładny, urządzenie do obierania pomarańczy bez rozcinania skórki, obrazek Betty Boop, majteczki, na których nadrukowano dni tygodnia w języku angielskim. Część rzeczy - które zresztą

przywiozła do Meksyku - Frida ukradła, nie z braku pieniędzy, lecz dlatego, że uważała kradzieże w tanich sklepach za świetną zabawę. „A co to za różnica? - pytała. - W końcu wszyscy posiadacze są bogaci”. Podarowała mi kilka takich tandetnych drobiazgów.

A poza tym chodziła na przyjęcia, bowiem mimo swego rzekomego poparcia dla robotników i nienawiści do osób z towarzystwa miała bardzo wielu znajomych w wyższych sferach. Uwielbiała, gdy otaczali ją mądrzy, potężni ludzie, którzy nadskakiwali jej, bo była żoną wielkiego Diega Rivery. Kpiła z nich, ale bardzo lubiła z nimi przestawać, ponieważ dzięki nim czuła się ważna. Kupowała wytworne tkaniny, z których szyła olśniewające kreacje na owe bankiety (chwilowo zrezygnowała z tehuańskich strojów). Poznawała też innych artystów - malarzy, rzeźbiarzy, fotografików. Nie wiem, co robili, o czym rozmawiali, gdy się spotykali, ale zapewne udawali lepszych niż reszta świata. I pewnie grali w *cadav-re exquis*. Zna pan to? Frida mnie nauczyła. Składa się kartkę papieru, o tak, i pierwszy gracz rysuje na niej górną część ludzkiej postaci, po czym zawija ją w taki sposób, żeby drugi gracz nic nie widział. Następny gracz rysuje środek, a kolejny - dół sylwetki. Na końcu rozprostowuje się kartkę i patrzy, co wyszło. Lucienne zachowała niektóre rysunki. Są niezwykle śmieszne, głównie dlatego, że Frida zawsze rysowała coś sprośnego - głowę, która wyglądała jak wielki penis, z jajami w charakterze obwisłych policzków, piersi kapiące od mleka, rozwarte kobiece nogi z palcem wetkniętym w środek. Boki zrywać. Graliśmy w to z Diegiem, kiedy wrócili do Meksyku.

Ale nie mogła się nieustannie bawić, bo atmosfera wokół fresku robiła się coraz bardziej napięta. Tłum zaczął zachowywać się wrogo i Rockefeller musiał wystawić strażę. I wtedy, oczywiście, Diego dodatkowo pogorszył sytuację. Dawno się przyzwyczaił, że ludzie o niego zabiegają, więc był pewien, iż wszystko ujdzie mu na sucho. Bądź co bądź, Rockefeller nie przestał mu się podlizywać nawet wtedy, gdy politycy i księża ostrzegli go, iż Diego kpi z jego

wielkoduszności. Diego zapewne powiedział sobie: „Co mi tam, mam za sobą masy, popierają mnie grube ryby, mogę robić, co mi się żywnie podoba”. I na samym środku fresku namalował portret Lenina.

Tego było za wiele nawet dla Nelsona. Kazał Diegowi zamalować portret, lecz ten odmówił. I jak pan myśli, co zrobił Rockefeller? Zwolnił Diega! Tak po prostu! Zapłacił, ile był mu winien, i wykopał go za drzwi. A potem kazał zniszczyć freski. Nie ja uchodzę tu za inteligentną, ale zawsze sądziłam, że w kapitalistycznym kraju decyduje ten, kto ma pieniądze. Człowiek, który nas najął, może nas również wyrzucić z pracy. Rockefeller chyba nie należał do najbystrzejszych - dość długo trwało, zanim się zorientował - ale gdy pojawił się, o co chodzi, buch! Klamka zapadła! Diego uznał, że może robić, co zechce, jest przecież wielkim Rivera, Jezusem Chrystusem na wrotkach, ale w ten sposób można doprowadzić kogoś do ostateczności - i rzeczywiście, Rockefeller nie wytrzymał.

Z pewnością nie stało się nic strasznego, ale to wystarczyło, by Diego znalazł się na pierwszych stronach gazet. Podniósł się ogólny rwetes; wszyscy ważniacy przybiegli na ratunek biednemu, pokrzywdzonemu Riverze. Proszę, oto bronił prawa robotników do przejęcia rządów nad światem, a te skąpe dzikusy ze Standard Oil pokazały mu, gdzie jego miejsce! Ale nie zamierzał się z tym pogodzić, o nie! Zamierzał się bronić. Nie ze względu na siebie, lecz na swe ukochane masy ludowe. Znow był bohaterem na białym koniu, niczym Cyd z wierną Szimeną u boku.

Może nie jestem sprawiedliwa. W końcu proszę sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy się pracuje nad czymś dniami i nocami, po czym jakiś nic nierozumiejący kretyn przychodzi i zaczyna się rządzić. Coś podobnego, żeby jakiś bezmózgi Amerykanin tak traktował Diega, który naprawdę wierzył w to, co robił...

Frida broniła Diega ze wszystkich sił. Znow zaczęła nosić stroje z Tehuany i rozdawała ulotki na rogach ulic. Chodziła na zebrania. Udzielała wywiadów. Publicznie obraziła Rockefellera, choć gdy tylko minął pierwszy szum, zmieniła kurs i ponownie zaczęła

włazić mu w dupę. Nie była głupia, wie pan. Wiedziała, gdzie stoją konfitury. Gdyby mnie pan pytał - choć nikt tego nie uczynił, ani wtedy, ani teraz - prawda jest taka, że czuła się w swoim żywiole.

- Amerykanie są strasznie głupi - powiedziała mi kiedyś. - Tak łatwo ich nabrać. Wystarczy zgrywać małą, biedną Meksykaneczkę, delikatną i bezbronną, którą spotkała straszna krzywda, bo wszyscy obrócili się przeciw jej mężowi, a zaczynają jeść ci z ręki. Następnego dnia w gazecie ukazuje się artykuł: „Prześliczna pani Rivera, taka młoda i świeża, jest ogromnie zobowiązana pani i panu Rockefellerom za ich dotychczasową dobroć, jednak nie pojmuje, co mogło spowodować nagłą zmianę nastawienia wielkiego filantropa, któremu tak ufała”. I raz, dwa, wszyscy cię żalują i przechodzą na twoją stronę.

Tak mówiła o Amerykanach.

- Wiesz, są okropnie moralni, okropnie przyzwoici. Zawsze chcą postąpić jak należy i wciąż dręczy ich poczucie winy - z powodu sukcesów, jakie odnieśli, ich bogactwa, sposobu, w jaki potraktowali Meksyk. Wystarczy znaleźć właściwy sznurek, a łatwo nimi manipulować.

Lecz po jakimś czasie sytuacja zaczęła ją męczyć. Prawa stopa dokuczała jej coraz bardziej, niekiedy Frida wręcz nie mogła nią poruszać. Wszyscy ruszyli na pomoc Diegowi, ona zaś musiała siedzieć w domu z uniesioną nogą albo moczyć się w wannie, gdyż pogoda stała się duszna nie do zniesienia. Chciała wracać do kraju, lecz Diego zaangażował się w kolejny projekt, nie pamiętam już o co chodziło, a kiedy nie pracował, rznął jakąś modelkę, studentkę lub wielbicielkę. Słowem, on był zajęty, a ona samotna. Chyba właśnie wtedy namalowała obraz zatytułowany *Tam wisi moja suknia*. Ukazuje on Nowy Jork podzielony na dwie części, zamożną i ubogą, między którymi, dokładnie pośrodku, wisi wśród drapaczy chmur jedna z tehuańskich sukienek Fridy. Jak mi później Frida wyjaśniła, miało to oznaczać, że właściwie jej tam nie było. W listach, które słała do swej przyjaciółki Isabel Campos,

pytała o nowiny, ale przede wszystkim wyśmiewała się z naśladowujących ją Amerykanek. Zaczęły one nosić stroje z Tehuany, lecz ze swymi blond lokami i dużymi, kanciastymi sylwetkami wyglądały w nich wprost idiotycznie. Isabel pokazała mi te listy, jednak nie od razu, a dopiero po wielu latach. Do mnie Frida nie pisała i na wszelkie wieści musiałam czekać całymi miesiącami.

Aż wreszcie wrócili. Diego skończył dzieło, nad którym pracował, i wraz z Fridą wsiadł na statek do Hawany, a następnie do Meksyku.

Owszem, ucieszyłam się na jej widok. Tęskniłam za nią, tęskniłam okropnie. Przypominałyśmy płatki kwiatu - kiedy się wyrwie jeden, cały kwiat jest zniszczony. Ale... jakże mam to wyjaśnić? Panowało między nami napięcie. Oczywiście, przeprosiłam ją za to, co powiedziałam na pogrzebie Mami. Ucałowała mnie i odparła, że rozumie, iż byłam zdenerwowana, a więc mogłam mówić rzeczy, których naprawdę nie chciałam powiedzieć.

- Po prostu nie wiesz, jak słowa mogą ranić, Cristi. Jesteś niczym mała dziewczynka. Mówisz różne rzeczy, nie zastanawiając się nad nimi, nie zważając na konsekwencje.

A potem uśmiechnęła się do mnie, jakbym była niegrzecznym dzieckiem, jakbym nie pojęła ani słowa z jej wypowiedzi.

Oboje stali się nieznośni, zarówno Frida, jak i Diego. Ona znów zaszła w ciążę, co ani trochę go nie ucieszyło. I tak był w podłym nastroju wskutek przykrych doświadczeń w Stanach oraz konieczności powrotu do Meksyku. Pomimo wszystko w Stanach uchodził za gwiazdę, a gwiazda w bogatym kraju to całkiem co innego niż w biednym. Kryzys trwał, lecz elity balowały coraz huczniej, przynajmniej tak mi się wydawało, i rząd meksykański znów zamówił u Diega jakieś freski. Nie zmniejszyło to jednak jego przygnębienia, a ponadto dieta, którą stosował w Detroit, wyczerpała go, stał się niespokojny i złośliwy. Bez przerwy chorował, bo zbyt szybko tracił na wadze, a to fatalnie oddziaływało na jego to czy tamto - bolał go brzuch, cierpiał na skurcze jelit, gruczoły miał

w rozsypce. A może to nie była prawda? Może chciał jedynie mieć pretekst, aby gderać? Wiem tylko, że utyskiwał bez przerwy.

I wtedy Frida jeszcze pogorszyła sytuację, zachodząc w ciążę. Diego wpadł w furję. Nie dość, pomstował, że zmusiła go do powrotu i zajmowała się wyłącznie swoją nogą, to teraz na domiar złego dała sobie zrobić bachora. Po co do tego dopuściła, skoro wiedziała, że on nie chce mieć dziecka? Skoro wiedziała, że go nie donosi? Po prostu domagała się uwagi, powiedział. Już dwukrotnie próbowała i dwukrotnie się nie udało, ale nadal upierała się, by narażać siebie i całe otoczenie na udrękę kolejnego poronienia.

- To nie fair - zawodził. - To nie fair, co mi robi ta kobieta. Wzbudzał współczucie. Był takim dzidziusiem, że nie umiał sam

o siebie zadbać. A teraz, gdy Fridę znów pochłoneły sprawy jej macicy, nie miała już czasu ani energii dla męża. Całymi tygodniami Diego nie mógł zabrać się do pracy. Nie umiał zmusić się nawet, by podnieść pędzel. Albo się dąsał, albo z byle powodu wpadał w szał i rzucał przedmiotami - pędzlami, talerzami, butami. Kiedyś cisnął o ścianę klatką, w której siedziała papuga. Trudno jednak go o to winić - po prostu czuł się nieszczęśliwy, a ciągle skargi Fridy, jej boląca stopa i poranne mdłości straszliwie działały mu na nerwy.

Otrzymał kilka dużych rządowych zamówień, ale owładnęła nim dziwna niemoc.

- No, spróbuj - namawiałam go. - Przynajmniej coś zrób. Namaluj mniejszy obraz, żeby się wciągnąć do pracy. Skoro nie czujesz się na siłach, by zacząć fresk, to chociaż ustaw sztalugi.

Nie odpowiadał.

- Będę ci pozowała - szepnęłam, starając się, by zabrzmiało to uwodzicielsko.

- Nie umiem już malować - jęknął. - Nigdy nie umiałem. Wszystko, co zrobiłem, to gówno.

Roześmiałam się tylko.

- Co za szczęście, że zniszczyli freski na gmachu Rockefellera - jęczał. - Były do dupy. W Detroit też do dupy. Wszystko do dupy.

- Słuchaj - rzekłam - przestań! Zachowujesz się jak dwulatek. Obraził się.

- Dlaczego kobiety zawsze mówią mężczyznom, że są dziecinni? - zapytał w końcu. - Nie traktujesz mnie poważnie. Mówię ci, Cristina, że jestem oszustem. Nie wielkim artystą, tylko zwykłym hochsztaplerem, i nigdy już niczego nie namaluję, bo nie zamierzam żyć w kłamstwie. Nie zniosę tego. Chyba się zabiję.

- Słuchaj - powiedziałam - na początek spróbuj czegoś małego. Czegoś łatwego. Nie zaczynaj od historii całej planety, tylko namaluj mango albo arbuza, albo mnie, jak mnie Pan Bóg stworzył.

Ale nie zwracał uwagi na moje słowa. Odwrócił się i wlepił wzrok w ścianę.

- No, Diego. - Łagodnie położyłam mu dłoń na ramieniu. - No, chociaż spróbuj.

Płakał. Łzy ciekły mu po policzkach cienką strużką. Nie udawał, naprawdę cierpiał. Biedak. Otarłam mu podbródek skrajem chusty.

- Poczujesz się lepiej, kiedy znowu zaczniesz malować - szepnęłam. - Jesteś szczęśliwy, tylko kiedy pracujesz. - Może masz rację. - Oparł głowę na moim biodrze, wtulając twarz w spódnicę, ja zaś lekko pogłaskałam go po głowie.

- Biedny Diego. Biedaczek, *pobrecito*

- Pod jednym warunkiem - rzekł, nie zmieniając pozycji. Jego głos był stłumiony i ledwie go słyszałam. - Jakim?

- Będziesz mi pozować.

- Oczywiście! Przecież obiecałam, prawda?

Nie przywiązywałam do tego wagi; tyle razy już mu pozowałam. Byłam jego ulubioną modelką i z przyjemnością myślałam o tym, że znowu nią zostanę. Uwielbiałam to zajęcie, czułam się wtedy bardziej kobieca, wyjątkowa. A poza tym nie miałam nic lepszego do roboty. W moim życiu nic się nie działo. Antonio miał cztery lata i nie potrzebował mnie tak jak przedtem, o każdej porze dnia i nocy, ponadto niania Polinesta i pozostałe pokojówki doskonale

się nim opiekowały. Tak samo jak Frida, lubiłam się bawić, chodzić na przyjęcia, spotykać się z przyjaciółmi, ale kłopoty z mężem i choroba Mami sprawiły, że nie zdążyłam zasmakować żadnej z tych rzeczy. Pozowanie dla Diega będzie przyjemnością, pomyślałam. Poczuję się znowu kimś, kto ma własne życie i może dokądś pójść od czasu do czasu. Wszystko będzie jak kiedyś.

- Z radością będę ci pozować, Diego. Tylko powiedz, gdzie i kiedy.

- Jutro - odparł rzeczowym tonem - u mnie w domu.

Diego i Frida mieli niecodzienną sytuację mieszkaniową. W dzielnicy San Angel, na rogu ulic Palmas i Altavista, Diego wybudował dwa domy, połączone kładką. Sam zajmował większy, różowy, Fridzie zaś oddał mniejszy, niebieski. W domu Diega mieściła się olbrzymia pracownia; w domu Fridy za pracownię służyła sypialnia, którą dzięki ogromnemu oknu widokowemu zalewał cudowny potok światła. Frida uwielbiała ten pokój. Wstawiła doń łóżko okryte kapą, którą sama wyhaftowała, nad łóżkiem zaś wznosił się drewniany baldachim, gdzie przyczepiała ozdobne bibułkowe kwiaty. Sypialnię, jak i resztę domu, Frida urządziła *a lo mexicano*; było tam mnóstwo połączonych luster, ludowej ceramiki, papug z papier-mâche, papierowych wieńców i kolorowych kafelków, a tu i ówdzie dyndały szkielety, jakie sprzedają na ulicach Mexico City na Wszystkich Świętych. Słowem, dom Fridy był taki jak ona sama - wyzywający, barwny i piękny, lecz również trochę upiorny.

Tak czy inaczej, ów osobliwy układ mieszkaniowy zapewniał obojgu małżonkom oddzielną przestrzeń do pracy i wypoczynku - inaczej mówiąc, pozwalał im żyć ze sobą tak, by się nie pozabijali. Często jadali razem posiłki, czasem też sypiali ze sobą, choć nie zdarzało się to często, bo lekarz zabronił Fridzie seksu w obawie przed utratą dziecka. Diego, który z początku trochę się zmartwił, szybko pocieszył się z dziewczętami, nadal ustawiającymi się doń w kolejce.

Zjawiłam się u Diega około południa. Nie spał już od wielu godzin; zazwyczaj zaczynał pracę nad freskami o świcie, więc

przywyczail się do wczesnego wstawania. Dawno zdążył ustawić sztalugi i przygotować farby na starym talerzu kuchennym, którego używał jako palety.

Powitał mnie zdawkowo. Odniosłam wrażenie, że spieszo mu zacząć, więc postawiłam torbę i zapytałam, co mam robić.

- Przygotowuję studia do fresków w Akademii Medycznej - powiedział. - Zaczniemy od alegorii Zdrowia. Będiesz w tej roli doskonała, Cristina. No wiesz, sprawność, wigor, dobre samopoczucie, te rzeczy. Rozbierz się i stań tutaj.

Spełniłam jego prośbę.

Wy tłumaczył, że chce, bym uniosła ramię i wykonała stanowczy krok do przodu. Kiedy pokazywał mi pozycję, musnął ręką moją pierś. Zesztywniałam, lecz on odwrócił się, jakby nic nie zauważył.

Po około półgodzinie poprosiłam o przerwę. Od dawna nie pozowałam, wyszłam z wprawy, a poza tym pozycja była męcząca.

- Dobrze - zgodził się Diego - ale nie możesz robić przerw co dziesięć minut. Mamy dzisiaj wiele roboty. Zrzuciłam lekki szlafrok, który zawsze nosiłam, kiedy mu pozowałam, i udałam się do kuchni, aby zrobić kawę. - Czekaj - powiedział nagle. - Zostaw to.

Stał w drzwiach i wpatrywał się we mnie. Jego spojrzenie było inne niż zwykle, promieniowało niezmierną czułością; nigdy nie widziałam, żeby patrzył tak na kogokolwiek z wyjątkiem Fridy.

- Nie robić kawy?

- Zdejmij to - szepnął, wskazując szlafrok. - Chcę na ciebie patrzeć, chcę widzieć, jak się ruszasz.

Miał schrypnięty głos. Wiedziałam, o czym myśli, to było oczywiste. Odwróciłam się i spojrzałam mu w oczy, po czym zrzuciłam szlafrok, pozwalając, by opadł na ziemię. Diego uśmiechnął się i centymetr po centymetrze zaczął przyglądać się mojemu ciału, jakby nigdy przedtem go nie widział. Było mi wszystko jedno. Nie czułam wstydu. Od dawna tak nikt na mnie nie patrzył i rozkoszowałam się każdą chwilą.

Zrobił krok w moją stronę. Patrzyłam, jak się zbliża, ale się nit; cofnęłam. Byłam podniecona i każdy nerw w moim ciele stał na baczność. Diego położył dłoń na mojej piersi i lekko potarł brodawkę kciukiem, po czym przyciągnął mnie do siebie. Poczułam, że od podeszew stóp do czubka głowy przeszywa mnie dreszcz. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, by dotykał mnie, gdzie zechce. Miał rozkosznie delikatne palce, ciało zaś - wrażliwe i zmysłowe.

Wreszcie zrzucił z siebie ubranie. Nie, to nieprawda. Tak mogłabym rzec, gdybym streszczała artystyczny film, ale rzeczywistość wyglądała całkiem inaczej. Diego nie mógł niczego z siebie zrzucić, bo po prostu był za gruby. Znowu zaczął tyć, odkąd lekarz powiedział mu, że umrze ze złości, jeśli tego nie zrobi. Nie umiał nawet rozpiąć koszuli, bowiem zza brzucha ledwie widział jej skraj. Niezdarnie przebierał palcami przy guzikach, aż wreszcie ujęłam jego ręce, położyłam sobie na biodrach, po czym rozpięłam mu koszulę do końca i przesunęłam palce po jego piersi.

Wybuch-nęliśmy śmiechem.

- Ależ świnia ze mnie! - parsknął.

- I owszem! - potwierdziłam kpiąco.

Skóra Diega była dziecinnie biała i miękka, z rzadkimi siwiejącymi włosami na otłuszczonej piersi.

- Wyglądasz jak dziewczyna!

- Ty też, Cristi! - odparł i pocałował mnie w czoło. - Młoda, zmysłowa, piękna dziewczyna.

Przywarł do mnie.

- Bardzo cię potrzebuję - dyszał. - Potrzebuję cię.

- Nie będziesz mnie miał, jeżeli nie zdejmiesz spodni! - szepnęłam w odpowiedzi, dźgając go palcem w brzuch.

- Ach, z tym będzie pewien problem, chyba że pomożesz mi rozpiąć sprzączkę.

Zacząłam walczyć ze sprzączką, co nie było łatwe, gdyż tonęła pod zwałami sadła. Żeby ją uwolnić, musiałam wciąż odpychać gąbczasty brzuch Diega.

- Wciągnij brzuch i przytrzymaj! Inaczej nie wyjmę z dziurki tego metalowego bolca.

- Ha! Wiem wszystko o bolcach w dziurkach!

- Naprawdę prosiak z ciebie! - Pocałowałam jego rozdęte brzuszysko. - W jaki sposób się rozbierasz, kiedy mnie nie ma?

- Frida mi pomaga.

Frida. Dźwięk tego imienia wywołał głuchoe tępięcie - gdzie? W moim mózgu? W brzuchu? W sumieniu? Moja siostra, Frida. Zamierzałam się kochać z jej mężem. A tak, Frida. W pokoju pojawił się jej niewyraźny obraz... śmiejącej się... płaczącej... a potem zniknął. Ale jej głos... wciąż słyszałam jej głos... odległy, cichy, bezcielesny. „Cristi! Moja kochana siostrzyczka!”. I oskarżycielki syk. Diego nic nie zauważył.

Frida, Frida, zawsze Frida. No i co z tego? Ona była tam, a ja tu. Czasami bywała też tutaj, no i co? Diego najwyraźniej nie dostrzegał problemu, a ja zbyt dobrze się bawiłam, żeby przestać.

Zaprowadził mnie na kanapę w drugim końcu pracowni. Kochanie się z nim było jak miód, słodkie i sycące. Długo czułam jego smak. Nie wiem, o czym myślałam. Nie pamiętam. Pewnie o niczym.

Tak to się zaczęło. Niewinnie. Diego miał tyle romansów, a teraz miał jeden więcej, jaka to różnica? Frida wiedziała o Lupe i o Tinie, wiedziała o tej babie Wills i o wszystkich studentkach. Twierdziła, że nie wierzy w głupie drobnomieszczkańskie wyobrażenia na temat małżeństwa.

- Przecież po ślubie się nie umiera - powiedziała kiedyś. - Nadal się żyje, oddycha i nadal się pożąda.

Chociaż okropnie się awanturowała za każdym razem, gdy Diego znalazł sobie kogoś nowego do łóżka, w końcu zawsze się z tym godziła. Akceptowała sytuację, ba, twierdziła wręcz, że Diego potrzebuje urozmaicenia i że jego zdrady nic nie znaczą, dopóki ją, Fridę, kocha najbardziej. Wciąż na niego narzekała, ale nie decydowała się odejść, prawda?

- Diego to człowiek nienasycony - wyjaśniła mi kiedyś, gdy była w bardziej tolerancyjnym nastroju. - Nigdy nie ma dość. Cieszy się

światem oraz jego przyjemnościami i pragnie zaspokoić wszystkie swoje zachcianki. Odbierz mu to - i co zostanie? Jeszcze jeden tłusty, nudny, ascetyczny rysownik. Odbierz mu to, a zabijesz w nim polot, zabijesz artystę! Rozumiesz, kochanie, co znaczy słowo „ascetyczny”?

W każdym razie na ogół zaprzyjaźniała się ze swymi rywalkami i czyniła z nich sojuszniczki, więc ostatnie słowo należało do niej, nie do Diega. Toteż, szczerze mówiąc, nie martwiłam się zbytnio tym, co Frida sobie o nas pomyśli.

Mogę powiedzieć jedno - Diego był cudownym kochankiem. Nie tylko dupczył jak księżę, ale rozmawiał ze mną i mnie słuchał. Opisywał swe studenckie lata w Hiszpanii, wyznając przy okazji, że nie cierpi Hiszpanów, bo nie mają wyobraźni - nieliczni dobrzy artyści, tacy jak Picasso czy Gris, uciekli do Francji, a ponadto hiszpańscy najeźdźcy zdziesiątkowali nasz lud. Widzi pan, traktował mnie poważnie. Opowiadał mi także o podróży do Włoch i o mozaikach w Rawennie:

- Podróżowałem tylko z chlebakiem. Miałem jedynie pędzle i farby, kilka par skarpetek i bieliznę na zmianę. Po tygodniu śmierdziałem jak nieboskie stworzenie!

Tak mówił, a ja mu uwierzyłam, bo Diego niezbyt lubił się kąpać. Opisywał, jak mozolnie wędrował przed siebie, robiąc szkice w Mediolanie, Weronie, Wenecji i Bóg wie gdzie. I choć minęło tyle lat od chwili, gdy leżałam w jego ramionach i słuchałam tych historii, nadal pamiętam, co mówił o Picassie - mianowicie pojmował, że to genialny artysta, ale nie przepadał za nim.

- Sporo się nauczyłem od tego skurwysyna - opowiadał, jednak Picasso działał mu na nerwy. Zbyt usilnie pchał się na piedestał, zbyt natrętnie grał rolę mistrza oczekującego, że młodszy padną przed nim na kolana. - Ten palant ani przez chwilę nie pozwalał nam zapomnieć, że to on tu rządzi, a my możemy co najwyżej go naśladować.

Ale Diego nie chciał się zaliczać do epigonów Picassa i - jeśli chce pan znać moje zdanie - z tego właśnie powodu tak się nie znosili. Byli zbyt do siebie podobni - dwa potężne samce, dwa

byki, nieustannie rywalizujące o to, który dalej nasika. Być może Diego odrobinę zazdrościł Pablowi; koniec końców, Picasso uchodził już za gwiazdę, a Diego dopiero zaczynał. W każdym razie, kiedy Diego opuszczał Europę, aby wrócić do Meksyku i malować freski dla Vasconcelosa, powiedział Picassowi:

- Kubizm umarł, *uiejo*. Twoje koślawe panienki nic ludziom nie mówią. Nazywasz sam siebie komunistą, ale nie masz pojęcia o języku ludu.

- Zawsze byłeś *cabrón* i świnią - odparł Picasso, nie podnosząc głowy znad roboty.

I tak się rozstali.

Diego opowiadał mi to wszystko, a ja się uczyłam. Kubizm, malarstwo Lombardczyków, Franz Hals - o tym wszystkim dowiedziałam się, słuchając Diega. Jasne, że przesadzam. Oczywiście, że nie leżeliśmy w łóżku, rozmawiając o Picassie i kubizmie! Przed wszystkim tusza Diega sprawiała, że uprawianie miłości wymagało odeń wielkiego wysiłku. Po stosunku zupełnie opadał z sił, jak dziurawy, gumowy ponton, który z nagłą wiotczeje - pffft! Tak wyglądała miłość z Diegiem: wdech, orgazm, chrap! Wdech, orgazm, chrap! Ale nigdy nie traktował mnie jak idiotki. Rozmawiał ze mną, tyle że nie w łóżku. Przy innych okazjach.

I słuchał. Opowiadałam mu wszystko - jak koleżanki dokuczały nam z powodu żydowskiego pochodzenia Papy, i jak Fridzie zawsze udawało się uzyskać, co chciała. O Pinedzie i o tym, jaka byłam nieszczęśliwa, kiedy mnie opuścił. Nieważne, mówiłam, że Pinedo był parszywym, oślizłym dziwkarem i, zdaniem Fridy, lepiej mi było bez niego; kiedy zostawia nas ktoś, kogo się kochało i w czyją miłość się wierzyło, to jakby się traciło kawałek siebie. No i opowiadałam o dzieciach, o tym, że Isolda czasem najwyraźniej kochała Fridę bardziej niż mnie, ponieważ „ciocia Frida” w swoich strojach z Tehuany, z upiętymi wysoko warkoczami, wydawała się piękniejsza ode mnie. Staralam się jednak nie mówić o nich zbyt wiele - wiedziałam, że Diega niezbyt interesują dzieci, a poza tym macierzyństwo Fridy nadal stanowiło dlań czuły punkt.

Diego był szczodry, wie pan? Dawał mi różne rzeczy. Najpierw małe, żeby Frida nie zauważyła - złotą spinkę przedstawiającą boga Chac Moola, album malarstwa impresjonistów francuskich z małymi baletniczkami w delikatnych barwach albo maszynę do pisania. Po co mi maszyna do pisania? Wtedy nie wiedziałam o tym, ale Diego zamierzał zatrudnić mnie jako swoją sekretarkę. Tak jest. Zostałam jego sekretarką i dzięki temu mogliśmy przebywać razem. W końcu taki ważny człowiek jak Diego nie mógł się obywać bez pełnoetatowej, dyspozycyjnej pomocy biurowej, prawda? Pokazywaliśmy się wszędzie, nawet publicznie. Nawet pod jej nosem. Zawsze mu towarzyszyłam - Cristi, proszę, zapisz telefon pana Pereza, Cristi, sprawdź, co mam jutro do załatwienia. Cristi okazała się niezbędną, rozumie pan? Ale kiedy Diego podarował mi maszynę do pisania, pomyślałam, że po prostu uznał ją za piękną, z tą wielką, czarną ramą i lśniącymi klawiszami o białych literach. Współczesna rzeźba, tak o niej mówił, poemat na cześć techniki. Diego uwielbiał wszelkie maszyny. Potem zaczął mi dawać większe przedmioty, ale na razie obdarowywał mnie drobiazgami, które mogłam ukryć w swoim pokoju w Coyoacan, w domu, gdzie mieszkaliśmy razem z Papi.

Frida wciąż nas odwiedzała. Zjawiała się, rozmawiała z Papą i bawiła się z Isoldą oraz Tonitem. Stroiła Isoldę w prześliczne tehuańskie suknie i marszczone przybrania głowy, po czym uruchamiała gramofon i tańczyła z nią na patio. Ale rzadko wchodziła do mojego pokoju i nigdy nie zobaczyła maszyny do pisania.

Jak się dowiedziała? Nie jestem pewna. Może powiedziała jej Petronila, pokojówka Diega, która swobodnie wchodziła do pracowni podczas naszych sesji malarskich. A może Diego jej powiedział? W końcu wcale się tego nie wstydził, przynajmniej na początku. Dla niego kwestia seksu nie miała nic wspólnego z moralnością. Mężczyzna ma jeden organ, a kobieta drugi, do którego ten męski doskonale pasuje, więc jeśli oboje mają na to ochotę, mężczyzna wsadza swój organ w organ kobiety. O co ten cały szum? Niewykluczone zatem, że któregoś ranka Diego oznajmił:

- Wiesz, Frida, wczoraj, kiedy rznąłem się z Cristi, przyszedł mi do głowy świetny pomysł na lewą część fresku w Akademii Medycznej.

A może po prostu uświadomiła to sobie; nasza Frida miała sokoli wzrok, a ponadto coś w rodzaju szóstego zmysłu.

Tak czy inaczej, któregoś ranka jak gdyby nigdy nic wpadła na jedną z naszych sesji. Niezapowiedziana - w końcu to był także jej dom. Czemu miałyby się zapowiadać? Zwykle około drugiej jadła z Diegiem obiad w jego ogromnej kuchni, poza tym oczywiście miała dostęp do wszystkich pokoi. Ale ostatnio przestała przychodzić nawet na główny posiłek, gdyż przed dwoma miesiącami usunięto jej wyrostek robaczkowy. Blizna nadal ją bolała, a i ciąża dawała się we znaki - Frida czuła się wciąż zmęczona, bolała ją stopa, bolały ją plecy, wszystko ją bolało. Nękały ją mdłości i czasem ledwie się poruszała. Niekiedy nie mogła nawet wstać z łóżka i spędzała cały dzień w pościeli, użalając się nad sobą. Większość czasu przebywała w domu, w swoim niebieskim pudełku po drugiej stronie kładki.

Kiedy przyszła, miała dziwną minę. Między mną a Diegiem nic się akurat nie działo, po prostu pozowałam, a on po prostu malował. Nie zostaliśmy przyłapani, jak to mówią, na gorącym uczynku. Mimo to oczy Fridy rzucały płomienie, a język poruszał się niczym u węża.

Nie odezwała się ani słowem. W szarych spodniach i lawendowej bluzce wyglądała oszałamiąjąco. Stała tuż przede mną, bardzo blisko, tak blisko, że myślałam, iż jej oddech osmalił mi skórę. Nie musiała nic mówić. Wiedziałam, że ona wie, i wiedziałam, że czuje się bardzo dotknięta. Cóż mam powiedzieć? Zraniłam ją. To było oczywiste. Jej spojrzenie poraziło mnie jak piorun i poczułam, że zamieniam się w kupkę stęchłego popiołu.

- Frida... - wymamrotałam.

Odróciła się ode mnie. Diego malował jakby nigdy nic, jakby Frida była jakąś muchą lub gzem, przerywnikiem irytującym acz nieistotnym.

Patrzyła na niego.

- Za wcześnie na jedzenie - powiedział w końcu. - Jeszcze nie skończyłem.

Nie odpowiedziała. Znow odwróciła się ku mnie, zrobiła krok do tyłu i zmierzyła mnie wzrokiem, patrząc na moje ciało jak na krowie łajno. Potem okrążyła mnie, wciąż pilnie mi się przypatrując. Czułam się niczym niewolnica na targu - jak naga indiańska niewolnica, jak kurwa wystawiona na sprzedaż. Ona sprawiła, że tak się poczułam. Moja siostra. Potem obróciła się na pięcie i wyszła.

Spodziewałam się, że Diego powie coś uspokajającego: „Nie martw się, Cristi” albo nawet: „Zraniliśmy ją, Cristi, musimy z tym skończyć”. Ale nie powiedział nic. Po prostu malował dalej, jakby nic się nie stało.

Po tym zdarzeniu nie chciałam już z nim chodzić do łóżka, nie chciałam nawet więcej pozować. Wymyślałam wykręty, aby nie przyjeżdżać do pracowni. „Diego, muszę iść z synkiem do lekarza”, „Diego, moja przyjaciółka, Ana Maria Quintano, urządza Pierwszą Komunię swojej córki i obiecałam jej pomóc zrobić dwieście burritos”.

Błagał mnie. Wstępne szkice, tłumaczył, muszą zostać ukończone przed przystąpieniem do pracy nad freskami i nie może zmienić modelki w pół drogi. Proszę cię, Cristi, jeszcze tylko kilka dni. Proszę cię, Cristi, dopóki się trochę nie pozbieram. Proszę cię, Cristi, inaczej w ogóle nie będę w stanie malować. Proszę cię, Cristi, przecież to ty mówiłaś, że muszę znow zacząć pracować, a teraz mnie porzucasz. Ale o Fridzie nie wspomniał ani słowem. Ani słowem nie wspomniał o tym, cośmy jej zrobili. No cóż, w końcu dopiął swego. Chciałam z nim zerwać, ale mi na to nie pozwolił.

- No dobrze, Diego - zgodziłam się w końcu. - Będę ci pozować, ale już nigdy nie będę z tobą spać. Nie mogę znieść tego, co robimy Fridzie.

Spodziewałam się, że powie: „A tak, Frida. Musimy o niej porozmawiać”, ale tylko przytaknął:

- Dobrze, po prostu pozuj. O nic więcej nie proszę.

Frida znów grała męczennicę. Świetnie jej to szło, jak pan wie - święta Justyna, przytulona do krzyża, kiedy płomienie liżą jej stopy. Lecz zamiast robić karczemne sceny, na co byłam przygotowana, spoglądała na świat oczyma zbitego szczeniaka. Stopa bolała ją bardziej niż kiedykolwiek i wydawało się, że potrzebna będzie operacja, ponadto doktor orzekł, że należy usunąć ciążę, która zagraża wątlemu zdrowiu Fridy. Co prawda, Frida nie twierdziła, że to wszystko przeze mnie, ale i tak czułam się winna, kiedy na mnie patrzyła. Co gorsza, Diego nie podjął jeszcze pracy nad freskami w Akademii Medycznej, toteż w ogóle nie mieli pieniędzy.

- Ty głupia dziwko! - mruczałam pod nosem. - Wyzwij mnie od kurew, od zdrajczyń, ale oszczędź mi tej żalobnej miny!

Nie mogłam tego znieść. Zbity psiak. Ofiarne jagnię. Chciałam umrzeć, nie wytrzymałam naporu swoich uczuć. Ale to nie ona była winna, lecz Diego. Dlaczego dałam się mu schwytać w sieć? Bezrozumna mucha, oto czym się stałam. Bezrozumna mucha, którą nagle wessano w lepki jedwabisty labirynt i omotano śmiercionośną nicią. Miałam wrażenie, że coś dusi mnie na śmierć, ściska i dławi. Przysięgłam, że nigdy więcej nie pozwolę mu się dotknąć.

Lecz któż oparłby się wielkiemu Riverze? Z początku zachowywał się poprawnie. Malował, nic nie mówił, był serdeczny, lecz profesjonalny. Odzyskał moje zaufanie i osłabił moją czujność.

Pewnego wieczoru, kiedy skończyliśmy pracę i zdążyłam się ubrać, wziął mnie za rękę i pociągnął do kuchni.

- Proszę, zostań i przegryź coś ze mną - poprosił. - Petronila robiła *empanadas*.

Wyglądał jak skarcony uczeń. Nie miałam serca mu odmówić. Jedliśmy w milczeniu. Wydawało się, że nie umie znaleźć odpowiednich słów. Pogłaskałam jego dłoń.

- Biedny Diego.

- Cristi, jestem taki samotny.

- Biedna zabusia - mruknełam, mając nadzieję, że zabrzmiał to sarkastycznie.
- Bardzo cię potrzebuję, Cristina. Nie chciałam znów dać się złapać.
- Nie mogę zawieść Fridy - rzekłam stanowczo. Chyba. - Już raz ją skrzywdziliśmy. Proszę, nie róbmy tego ponownie.

Teraz on trzymał mnie za rękę. Poczułam, że lekko wzmacnia uścisk.

- Miała skrobankę - powiedział.
- Wiem. Biedna Frida, okropnie cierpi.
- Tak - zawahał się. - Ale po co wciąż zachodzi w ciążę? Wie, że nie zdoła donosić dziecka. Dla mnie to głupie, głupie i samolubne.
- Jak to samolubne? Chce dać życie dziecku.
- Nigdy się jej to nie uda, a teraz mnie też nic nie daje. Lekarz powiedział, że na razie koniec z seksem. Musi wyzdrowieć, a potem czeka ją operacja stopy. Kiedykolwiek do niej pójde, zawsze jest tak samo - nie chce mnie, nie może, jest zbyt pochłonięta własnym bólem. Cristi, przecież ona uwielbia cierpieć. To dlatego bez przerwy zachodzi w ciążę - żeby móc się poczuć nieszczęśliwą i unieszczęśliwiać wszystkich wokół. Dla niej to największa przyjemność. Ale wiesz co, Cristi? To nie ma najmniejszego znaczenia, bo ja chcę ciebie. Potrzebuję cię, Cristi. Kochałem cię od początku, od pierwszego razu, gdy cię ujrzałem, gdy przyjechałem do Fridy, do domu waszych rodziców.

Ile to trwało? Może rok, może trochę dłużej. Powiem panu tyle: nigdy nie czułam się tak bardzo kobietą, jak wówczas, gdy Diego i ja zostaliśmy kochankami. Był mi całkowicie oddany. Rozmawiał ze mną, malował mnie, zabierał mnie w różne miejsca, nie wstydził się mnie. Kiedy miał pieniądze, dawał mi prezenty. Kupił mi piękny apartament przy ulicy Florencia, w najlepszej dzielnicy Mexico City. Kupił mi nawet samochód. W owym czasie niewiele kobiet w Meksyku umiało prowadzić, więc należałam do wyjątków. Gdy jechałam ulicą dwukolorowym packardem, ludzie oglądali

się za mną. Przyjemnie było na mnie patrzeć, kiedy rozpuszczałam włosy na wietrze. Wszyscy tak mówili. Jeździłam do Papy do Coyoacan i zabierałam go na przejażdżki za miasto. Uwielbiał to. Nareszcie uchodziłam za dobrą córkę - za córkę, która coś osiągnęła. Przecież byłam ulubioną modelką sławnego Diega Rivery! Na fresku w Pałacu Narodowym, przedstawiającym współczesny Meksyk, Diego umieścił mnie w samym środku. Stoję zmysłowa i krągła, z lekko wysuniętym biodrem i dwojgiem dzieci u boku. W dłoniach trzymam jakiś komunistyczny dokument, manifest albo deklarację robotniczych praw. Znajduję się na przedzie, a Frida stoi za mną i wygląda jak harcerka, nie, pardon, jak młoda komunistka.

Frida się wściekła na wieść, że Diego i ja znów jesteśmy razem. Pluła jadem: „Zraniłaś mnie, Cristina! Jak mogłaś! Ty zmijko!”. Lecz najczęściej po prostu mnie ignorowała, jakbym w ogóle nie istniała. Wchodziła do pomieszczenia, całowała Diega, Pape, Tonita i Isolditę, nawet Petronilę, a następnie udawała, że mnie nie widzi. Kiedy na jakimś przyjęciu ktoś o mnie pytał, wzruszała ramionami, jakby nie wiedziała, o kim mowa, choćbym stała o dwa kroki dalej. Cóż, niewiele mnie to obchodziło. Miałam Diega. Ona miała złamany kręgosłup, bolącą stopę i puste łono.

Wyprowadziła się z domu Diega do mieszkania przy Avenida Insurgentes w Mexico City.

- Pomogę ci się spakować - zaproponowałam.

Zamiast odpowiedzi fuknęła i odwróciła się do mnie plecami. Miałam dość jej humorów, jej hysterii, jej operacji, jej bólów, jej skarg, jej ciąży i jej skrobanek. To ja odniosłam sukces - chciałabym, żeby do pana to dotarło. Byłam kobietą Diega Rivery. Byłam adorowana, piękna, urodziłam dwoje dzieci. A ona nie potrafiła nawet donosić płodu.

Diego nadal ją kochał. Wiedziałam o tym. Wiedziałam, że widuje się z nią niemal codziennie. Wiedziałam, bo mi o tym powiedział.

- Czuje się lepiej! - mówił. - Kochaliśmy się dzisiaj jak szaleni! Była wspaniała!

Mówił to, żeby mnie zdenerwować. Nie wierzyłam mu. To nie mogła być prawda, ponieważ Frida była chora. Ale uwielbiał wzbudzać mój gniew. Kochał rozgrywać nas jedną przeciwko drugiej; był w siódmym niebie, kiedy kobiety biły się o niego i robił wszystko, żeby rozniecić ich wrogość. Kupił do mojego mieszkania śliczne czerwone fotele z imitacji skóry, po czym poszedł i kupił Fridzie taki sam komplet w kolorze niebieskim. Odgadł, że się o tym dowiemy i skoczmy sobie do gardeł.

- Ja tylko próbuję być sprawiedliwy! - tłumaczył się z uśmiechem niewiniątka.

Dolewać oliwy do ognia, rozdmuchiwać konflikt, niech siostry rozszarpią się nawzajem! Czy przyjmował zakłady, która z nas wykończy drugą? Wie pan, że mnie to nie obchodziło? Bawiłam się świetnie.

A pan? Sądzi pan, że zachowywałam się samolubnie? Sądzi pan, że postępowałam okrutnie?

Pewnie, że tak. Oczywiście. Biedna Frida. Przeżywała piekło, potrzebowała mnie. Ja jednak byłam zbyt zajęta przejażdżkami nowym samochodem i flirtowaniem z każdą parą portek w zasięgu wzroku. Cieszyłam się swoją pozycją najnowszej faworyty Diega Rivery. Co w tym złego? Pragnęłam tylko odrobiny szczęścia, odrobiny radości. W końcu to ona przez całe lata biegła z przyjęcia na przyjęcie, spoufalala się z ważniakami i objadała się kawiozem! No, to teraz przyszła moja kolej! Poznawałam gwiazdy filmowe, osoby takie jak Dolores del Rfo! Znanych polityków, nawet Lazara Cardenasa! I tylu innych! Spotykałam ich na przyjęciach i mówiłam im horrendalne rzeczy, trzepocząc rzesami pod nosami ich żon. Zupełnie tak jak Frida, przynajmniej tak mi się wydawało. Z początku zwyczajnie chciałam jej udowodnić, że mężczyzna może mnie pokochać. Owszem, raniłam ją, ale co z tego? Niech sama zakosztuje tego, czym karmiła innych, tak wtedy myślałam.

Ale później zaczęłam się zastanawiać. Dotarło do mnie, że zdradzam własną siostrę, że wbijam jej nóż w serce. Kto wie,

pytałam, czy kiedykolwiek zdołam posklejać to, co zniszczyłam. Zaczęłam myśleć, że nic już między nami nie będzie takie jak przedtem. Nie mogłam tego znieść. Przestałam chodzić na przyjęcia. Siadywałam przy oknie, piłam i płakałam. Czasem uciekałam do łazienki i całymi godzinami moczyłam się w wannie. Traciłam poczucie czasu; tak łatwo mogłam ześliznąć się pod wodę i głęboko odetchnąć. I byłoby po wszystkim - już nie stałabym na drodze Fridy do szczęścia. Wyobrażałam sobie, że podcinam sobie żyły i patrzę, jak krew wycieka ze mnie i rozplywa się w wodzie pełnej mydlin. Wyobrażałam sobie, że wchodzę do morza, trzymając w prawej ręce drobne paluszki Isoldy, a w lewej dłoń maleńkiego Toña. Szłam i szłam, zanurzając się w łagodnych falach, które przykrywały najpierw małego, potem Solditę, potem zaś moją szyję, uszy, oczy, aż wreszcie całkiem mnie pochłaniały. Z brzegu dobiegało wołanie Fridy: „Cristi, proszę cię! Nie odchodź! Nie zostawiaj mnie samej! Przynajmniej nie zabieraj dzieci! Są wszystkim, co mam!”. Suka! Wszystkim, co o n a ma? Nawet w moich rojeniach myślała wyłącznie o sobie!

W końcu zdałam sobie sprawę, jak strasznego zamętu narobiłam. Jak to się stało? Przede wszystkim Frida wyprowadziła się z domu Diega i zamieszkała sama, co stanowiło krok dość radykalny. Wyraźnie usiłowała z nim zerwać. Nie jestem zawodowym psychiatrą jak pan, ale widziałam, że walczy o wolność. Oznajmiła, że będzie się utrzymywać z malowania i że Diego już nie jest jej potrzebny. Kłamała, rzecz jasna, kłamała sama sobie i nam wszystkim. Albowiem widywała się z nim codziennie. Codziennie! Wcale nie przecięła pępowiny. Ale nie chciała być od niego zależna finansowo i żeby to udowodnić, urządziła w mieszkaniu małą pracownię i wzięła się do malowania. Poszła nawet do prawnika, Manuela Gonzaleza Ramfreza, znajomego jeszcze z Prepy, jednego z Cachuchas, żeby wystąpić o rozwód. Nie sądziłam, że się do tego posunie. Przeraziłam się.

Frida zmieniała się, a przyczyną zmiany było to, co zaszło między nami. Zrobiła się bardziej niezależna, zupełnie jakby rozwodziła się nie tylko z Diegiem, ale i ze mną. Nie spałam po nocach. Leżałam, gapiąc się w ciemność, i rozmyślałam o tym, że wszystko zniszczyłam. Czułam się strasznie nieszczęśliwa.

Ale stało się coś jeszcze, co ostatecznie mi uświadomiło, jaką byłam świnią, jak straszną krzywdę jej zrobiłam. Chodzi o obraz, który namalowała mniej więcej w tym czasie, zatytułowany Kilka draśnięć. Praca ta powstała pod wpływem artykułu prasowego na temat mężczyzny, który brutalnie zamordował swoją kochankę - zadał jej wiele ciosów nożem i zostawił leżącą w kałuży krwi, a gdy policja go aresztowała, powiedział: „O co tyle hałasu? To tylko kilka draśnięć!”. Obraz Fridy ukazuje zabójcę z zakrwawionym nożem w ręce, stojącego nad poranioną kobietą, leżącą na pryczy. To niesłychanie brutalny obraz, naprawdę. Jednak... to okropne, wstyd się przyznać... kiedy zobaczyłam go pierwszy raz, wybuchnęłam śmiechem! Chcę powiedzieć, że w swej upiorności przypominał melodramaty meksykańskie, wie pan, filmy, w których oszukany mąż zabija swoją żonę, jej kochanka, matkę, ojca, siostrę, dzieci, psa i wszystkie sztuki bydła na dokładkę! Nie mogłam przestać się śmiać, łzy ciekły mi po twarzy, próbowałam się pohamować, ale bez skutku.

- W porządku, Cristi - powiedziała cicho Frida. Na jej ustach wykwitł mały, cierpiętniczy uśmiezek. - Rzeczywiście, na swój sposób to śmieszne.

Bardzo ją to zabolalo. A mordercą na obrazie bylam ja, wiedzialam o tym. Diego i ja.

Kochałam ją. Diego też ją kochał. Kochaliśmy ją oboje. Kochaliśmy ją bardziej niż siebie nawzajem. Diego przysparzał jej cierpień, ale potem szczerze rozpaczał. Naprawdę. Nienawidziliśmy się za to, że ją ranimy. Ale nie mogliśmy przestać.

Nie rozstaliśmy się. Nauczyłam się pisać na maszynie, co prawda niezbyt wprawnie, ale nadal pracowałam jako sekretarka Diega i nadal mu pozowałam. Frida wiedziała, że jesteśmy kochankami. Co takiego miała w sobie, że sprawialiśmy jej ból, mimo że wcale tego nie chcieliśmy? Dlaczego potraktowałam ją tak okrutnie?

Zupełnie jakbym była w pułapce... w pułapce jakiegoś automatyzmu, który nie pozwalał mi panować nad czynami.

Czy kiedykolwiek mi przebaczyła? Twierdziła, że tak. Kiedy już wszystko minęło, oznajmiła, że dla niej sprawa jest zamknięta. Mówiła, że miłość, jaką czuje do mnie i do Diega, jest silniejsza niż wszelkie przeciwności. Ale wiedziałam, że między nami nigdy już nie będzie jak dawniej.

W końcu nie przeprowadziła rozwodu, znalazła sobie natomiast kochanka w osobie sławnego japońskiego rzeźbiarza, a potem kolejnego, i jeszcze jednego. Sypiała z mężczyznami i kobietami, ze studentem uczelni artystycznej, z asystentką Diega, z kelnerem od Sanborna, z młodym działaczem politycznym, z tancerzem gościnnie występującego zespołu zarzueli, z pielęgniarką, którą poznała w szpitalu. Zagłuszała swoje smutki seksem i odgrywała się na Diegu. Skutecznie. Diega nie obchodziły kochanki Fridy, sądził nawet, że związki lesbijskie są interesujące, bądź co bądź, wszystkie kobiety w jego kręgu je miały. Ale mężczyźni to co innego. Diego nie mógł ścierpieć myśli o Fridzie w łóżku innego mężczyzny. Dlatego też Frida za każdym razem pilnowała, żeby Diego się dowiedział. Na przykład namówiła swego kochanka rzeźbiarza, by wynajęli razem mieszkanie, po czym zamówiła meble, które zostały dostarczone do domu Diega.

- Och! - powiedziała. - Pewnie dostawca się pomylił i dostarczył je pod niewłaściwy adres!

Widzi pan, robiła to po prostu, żeby go zranić.

Dlaczego ludzie, którzy się kochają, muszą się tak zadreczać? Proszę, niech pan spróbuje na to odpowiedzieć. To jest pańskie zajęcie. Ja wiem jedno - nigdy nie przestałam kochać Fridy. Bez względu na to, jak okropne krzywdy jej wyrządzałam, wciąż ją kochałam. Proszę zapisać: Cristina Kahlo kochała swoją siostrę, Fridę.

ROZDZIAŁ 18

Punkt zwrotny

Dolores del Rio była najbardziej olśniewającą kobietą, jaką w życiu spotkałam. Widziałam wszystkie jej filmy, łącznie z pierwszym, *Joanne*, w którym grała zaledwie maleńką rolę, lecz nawet wówczas odznaczała się niewiarygodną tajemniczością i gracją, po prostu stworzona została na gwiazdę. Miała tyle lat co my, może rok czy dwa więcej, lecz stanowiła dla mnie wzór doświadczonej, dojrzałej kobiety. Było w niej coś wytwornego, szyk wyniesiony z edukacji w eleganckiej francuskiej szkole, z domu, gdzie pieczeń wołową jedzono na porcelanowej zastawie, a w holu wisiały portrety prababek w kryzach na szyi.

Opowiadała mi, że jej ojciec, dyrektor banku w Durango, podczas rewolucji nawiał z Meksyku i osiadł w Stanach Zjednoczonych. Co prawda, w naszym domu wszyscy popierali Zapatę, lecz kiedy poznałam Lolę - tak ją nazywaliśmy - jej przeszłość nie miała już znaczenia. Mogłyśmy śmiać się z różnic politycznych, mogłyśmy się zaprzyjaźnić - i rzeczywiście, zostałyśmy przyjaciółkami. Uwielbiałam ją. Z domu nazywała się Dolores Asunsolo y López Negrete, nazwisko zaś del Rio przyjęła po mężu, za którego wyszła bardzo młodo, w wieku zaledwie piętnastu lat. Nie wyczytałam tego w jakimś filmowym czasopiśmie, opowiedziała mi to wszystko sama.

Proszę sobie wyobrazić... Pojechaliśmy do Xochimilco, bo Diego i Frida z grupą przyjaciół postanowili urządzać piknik w tamtejszych pływających ogrodach. Oprócz Dolores była z nami Lola Alvarez Bravo, znakomita fotografka, która zrobiła

Fridzie tyle pięknych zdjęć, jej mąż Manuel, Lucienne i... zaraz, zaraz... aha, jeszcze Jean van Heijenoort, francuski matematyk, późniejszy sekretarz Trockiego, a także inne znane osoby, na przykład tancerka Nicolasa Larrubia de la Barca. No i wśród tych znakomości - ja.

Siedzieliśmy w wielkiej płaskodennej łodzi na pych, typowej dla Xochimilco, wie pan, nazywają je *trajineras*. Przy pychu stał prześliczny młody chłopiec o brązowej skórze i lśniących oczach, zielonych niczym cukierki miętowe - istny potomek chutliwego konkwistadora i indiańskiej księżniczki. Łódź gładko i równo sunęła po wodzie kanału obrzeżonego topolami. Zdobiły ją wszelkie możliwe kwiaty - storczyki, chryzantemy, hibiskusy, goździki

- których woń, zmieszana z zapachem chili i wilgotnej ziemi, przyprawiała o zawrót głowy. Byłam pijana ze szczęścia, upajałam się chwilą, aromatem, bujną zielenią, rozkosznym letnim wietrzykiem oraz Lolą. Wyglądała porywająco. Nawet jej uśmiech oszałamiał. Na rufie dwóch gitarzystów, przebranych za *charros*, meksykańskich kowbojów, grało *La Palome*, *La Ciudad de Jauja*, *Cielito Lindo* i tym podobne utwory. Krople wody, resztki niedawnego deszczu, błyszczały na płatkach kwiatów i liściach drzew, i choć gęste *alamos* wzdłuż kanału zasłaniały nam widok, wyczuwaliśmy, że las żyje - oraz słyszeliśmy koncert niewidzialnych ptaków, świerszczy i żab.

Zabraliśmy ogromne metalowe pojemniki z mnóstwem jedzenia: chili, *mole poblano*, *enchiladas rojas*, *enchiladas verdes*, *tamales*, przesmażaną fasolę i szafranowy ryż, stosy tortilli, pomidory, cierpkie czarne oliwki, *guacamole*, oraz butelki wina, tequili, rumu i whisky. Zrobiłam też sangrię, słodką i mocną, pełną nasączonych alkoholem owoców, którymi można się upić, po prostu je jedząc. Siedziałam z głową wspartą na ramieniu Loli - Dolores del Rio

- i słuchałam, jak opowiada o Hollywood. Jej głos brzmiał dziwnie obco - nigdy go nie słyszałam, gdyż dotychczas grała prawie wyłącznie w niemych filmach: *Całe miasto mówi*, z Edwardem Everettem Hoytonem, *W gore rzeki*, z Walterem Pidgeonem,

i *Sława za wszelką cenę*, w którym odtwarzała rolę francuskiej wieśniaczki imieniem Charmaine. Tych filmów było tak wiele...

- W Hollywood mówią, że nie wyglądam na Meksykankę - powiedziała.

I mnie się tak zdawało. Jej usta, umalowane ciemnofioletową szminką, wydawały się całować powietrze. Robiły wrażenie ogromnie zmysłowych, aż miało się ochotę ich dotknąć.

- Więc dotychczas udawało mi się grać śniade francuskie dziewczynki. Ale teraz, kiedy wprowadzono filmy mówione, kto wie, co to będzie?

Kto wie, co to będzie? Ależ wszyscy wiedzieliśmy, co będzie. Lola doskonale zniosła nastanie kina dźwiękowego. Po prostu na plakatach określano ją jako Hiszpankę - producenci sądzili, że to bardziej podniecająca narodowość niż meksykańska - i obsadzano w rolach, w których jej akcent nie miał znaczenia. Właśnie ukończyła pracę nad filmem *Lecąc do Rio* z Fredem Astaire'em i Ginger Rogers. Kto wie, co będzie? Niestety - ja nie wiedziałam, choć powinnam była... powinnam była dostrzec, na co się zanosi.

Lolą zachwycali się wszyscy, była bowiem pierwszą meksykańską aktorką, która zrobiła tak sensacyjną karierę w Hollywood. Oczywiście, przed nią również kilku innym aktorom niemal się to udało, na przykład Ramónowi Novarro, a przedtem Antoniowi Moreno. Lecz tylko ona olśniła gringos, ona jedyna przeszła do legendy. A poza tym miała dużo szczęścia, podobnie jak Frida, bo udało się jej związać z mężczyzną, który... Nie, nie twierdzę, że jednej albo drugiej brakowało talentu. Obie zostały obdarzone fenomenalnymi zdolnościami, ale nie da się zaprzeczyć, że poparcie silnego mężczyzny jest bardzo pomocne; ja nigdy nie wykazałam pod tym względem sprytu. W każdym razie, kiedy ojciec Loli zwiął do Stanów, porzucając w Meksyku Lolę i jej mamę, dziewczynka nauczyła się mówić po francusku i tańczyć flamenco, które cieszyło się wielką popularnością wśród córek bogaczy. Rzecz jasna, matka Loli starała się jak najszybciej wydać ją za męża, albowiem ładna dziewczyna w domu to jak plaster miodu na

pikniku - przyciąga rozmaite owady. A zatem w wieku lat piętnastu Dolores poślubiła Jaime Martmeza del Rio, prawnika i posiadacza ziemskiego starszego od siebie o dwadzieścia lat, który uchodził za świetną partię. Miesiąc miodowy młoda para spędziła w Europie; podróżowali przez dwa lata, zwiedzili Londyn i Paryż, opalali się w Cannes. Gdy powrócili do Meksyku, przyjaciel doskonale ustosunkowanego Jaime, malarz Adolfo Best Maugad, przedstawił go znajomym amerykańskim filmowcom, między innymi reżyserowi Edwinowi Carewe. Potem sprawy potoczyły się gładko: Carewe załatwił Loli pierwszą rolę w filmie, państwo del Rio przenieśli się do Hollywood, a resztę pan zna.

Siedziałam w łodzi, przymknąwszy oczy, słuchając jej głosu o brzmieniu marimby. Była wniebowzięta. Przed kilku laty rozwiodła się z del Rio i niedawno wyszła za mąż po raz drugi, za reżysera Cedrica Gibbonsa, z którym teraz spędzała w Meksyku spóźniony miesiąc miodowy. Między nami mówiąc, ciężki jest los gwiazdy filmowej - wciąż w rozjazdach, brak czasu na zwykłe, ludzkie sprawy, na odpoczynek czy wakacje, nie można nawet bezkarnie się upić.

Przed chwilą skończyliśmy jeść i służąca, którą traktowano jak równą - choć i tak musiała sprzątać - zbierała naczynia, ulubione kamionki Fridy, ciężkie, wiejskie, z indiańskimi wzorami. Zabrzączały filiżanki; druga służąca nalewała gęstą, aromatyczną kawę, której zapach mieszał się z wonią hibiskusa i dzikich storczyków. Ptaki śpiewały jak szalone, świerszcze grały pełną parą, wokół wrzało bujne, boskie życie. Fulang-Chang, ulubiona małpka Fridy, jazgotała w klatce, w której ją zamknęto, by nie wybrała wolności na gałęzi. Czułam się cudownie. *Trajinera* mknęła po wodzie, dziobem rozgarniając płatki i liście; barwy dnia, róże, fiolety i zielenie, ciemniały, nabierając głębi wieczoru.' A ja siedziałam wśród tych wszystkich cudów i opierałam głowę na ramieniu Dolores del Rio!

Wciąż słyszę jej słowa - mówi o Gene Raymondzie, z którym grała w *Lecąc do Rio*:

- Już grają ten film w Radio City Music Hall... kochani, musicie go zobaczyć.

Frida nie wie, na czym się skupić. Otwarcie flirtuje z Lolą, pokazuje ładne zęby, wgryza się sugestywnie w miąższ banana, dyskretnie pociąga z piersiówki, którą wszędzie nosi. Pije koniak.

Nieustannie. Frida teraz nieustannie pije. Równocześnie jednak fascynuje ją krocze chłopca pchającego łódź; co jakiś czas cicho woła go po imieniu, wtedy chłopak zmienia pozycję, a wówczas Frida wpatruje się w wypukłość między jego nogami. Kończy jeść banana, wyjmując cienkie, małe cygaro, bardzo eleganckie i stylowe, zapala je i ssie lekko, patrząc Loli prosto w oczy.

Diego dźwiga się z siedzenia obok Jeana van Heijenoorta i bardzo, bardzo ostrożnie przemieszcza się na ławkę naprzeciwko mnie i Loli. Nie śmie stanąć prosto - boi się, że łódź zakołysze się jak miotana sztormem, on zaś z pluskiem wypadnie na zewnątrz, a gigantyczne chlapnięcie wyrzuci ryby z wody niczym ptaki. Posuwa się więc w kucki, kurczowo chwytając się kolejnych ławek, aż wreszcie z ulgą sadowi jeden ogromny pośladek, a potem drugi. Podciąga stopy i siada twarzą do mnie... nie... twarzą do Loli. Obdarza ją swoim szerokim, wilgotnym, przewrotnym uśmiechem, a ona odwzajemnia mu się tym samym. Jej mąż nie wybrał się z nami, został u teściowej. Może gnębi go zemsta Montezumy?

Diego gapi się na Lolę, ja zaś napotykam wzrok gondoliera. Robię prowokacyjną minkę, a młody człowiek puszcza do mnie oko, uśmiecha się i odwraca twarz. Ma około dwudziestu lat, jego ciało, wyćwiczone w pracy, jest muskularne i sprężyste. Widać, jak napina uda pod cienkim płótnem spodni. Wtem Diego ostro odwraca głowę ku mnie - jego poruszenia są gwałtowne i nerwowe jak u żaby - przyłapując mnie na zabawie z chłopcem. To przecież niewinne głupstwa - ukradkowy uśmiezek, odęcie ust. Ale Diego mrocznieje, wykrzywia szyderczo wargi, cofa stopę i z rozmachem kopie mnie prosto w kostkę. Ból jest tak silny, że muszę zacisnąć zęby, aby nie krzyknąć, elektryczny wstrząs przeszywa mi biodro, w oczach stają łzy.

Lola zdaje się nic nie widzieć. Jean tłumaczy jej, że staliniści źle zrozumieli idee Trockiego. Byłoby cudownie, peroruje, gdyby Trocki znalazł schronienie w Meksyku; zawsze chciał tu zamieszkać i dokończyć dawno zaczęta biografię Lenina. Teraz być może jego życzenie się spełni. Jean właśnie po to przyjechał, aby poczynić odpowiednie przygotowania. Pochyla ku Loli jasną głowę, mówi o Trockim z pasją i zaangażowaniem. Lola jednak słucha go z nieobecną miną, jakby myślała o swoim następnym filmie.

Frida natomiast widzi wszystko.

- *ImbetiU* - syczy do Diega, lecz ten tylko parska i oblizuje górną wargę.

Frida chwiejnie przedostaje się na naszą stronę gondoli, siada przy moim boku i obejmuje moje ramiona, następnie bierze mnie za rękę i całuje ją. Mam ochotę ukryć twarz na jej piersi jak mała dziewczynka, ale nie mogę, więc z całych sił powstrzymuję łzy, przygryzam wargę i słucham tego, co Jean paple o Trockim.

Diego przejawia zainteresowanie rozmową, bo Trocki to jeden z jego bohaterów. Pyta Jeana, gdzie zatrzyma się Trocki po przyjeździe do Meksyku, i proponuje mu Casa Azul - dom Papy i mój! - oczywiście gdyby udało się przemycić zbiega do kraju. Nagle zaczynam nienawidzić Diega, a Fridę kocham bardziej niż kiedykolwiek.

Do miasta wracamy już po zmroku. Diego i pozostali przespali się w samochodzie i teraz chcą iść na tańce.

- Jestem zmęczona - oznajmiam. - Wracam do domu.

Ale nikt nie chce nawet o tym słyszeć. Wpychają mnie do samochodu - mojego samochodu! - i zmuszają, bym pojechała do lokalu w robotniczym *barño*, słabo oświetlonej *cantina*, gdzie spoceni robotnicy pijapulgue albo piwo i palą papierosy skręcane z trocin. Spoglądają na nas nieruchomo, mają mokre wąsy i czapki naciągnięte na czoła. Mówią bardzo cicho, jakby szykowali spisek, czasem w mętym świetle jedynej żarówki błyska czyjś złoty ząb. Wydaje mi się, że widzę scenę z trzeciorzędnego meksykańskiego filmu. Pośrodku sali jest skrawek wolnej przestrzeni, dwa na trzy

metry, służący za parkiet do tańca. Ale żaden z gości nie tańczy - wszyscy są mężczyznami.

Diego decyduje, że usiadziemy przy stoliku w pobliżu bufetu, gdzie panuje duszące gorąco. Lola siada naprzeciwko niego, on zaś wpatruje się w nią zwierzęcym wzrokiem. Chyba spędzą tę noc razem. Frida patrzy na mnie z miną, która mówi: „Teraz sama widzisz, jak to jest”, ale nie zwracam na nią uwagi.

Dlaczego czuję się zaskoczona? Wszyscy wiedzieli, że Diego sypia z każdą babą, która się nawinie. Dlaczego sądziłam, że będzie mi wierny, skoro nie umiał dochować wierności nawet jedynej kobiecie, którą naprawdę kochał?

Zaraz, muszę pomyśleć... Jean siedział obok Loli, a ja z drugiej strony, obok Diega. Frida prezydowała u szczytu stołu. Zamówiła rum, lecz zanim go przyniesiono, pociągnęła z piersiówki kilka łyków koniaku.

Jean chciał tańczyć i zwrócił się do Loli.

- Zatańczymy? - zaproponował, biorąc ją za rękę. Diego wstał i porwał mnie ze sobą.

- Nie mam ochoty na taniec - powiedziałam.

Prosiłam, żeby dał mi spokój, ale siłą wyciągnął mnie na zniszczony parkiet.

- Czyż Lola nie jest piękna? - szepnął mi do ucha. Dyszał ciężko i śmierdział alkoholem.

- Bardzo piękna - odparłam.

- Czy jej dupa nie jest wspaniała?

Od kilku godzin miałam ochotę się rozplakać i teraz poczułam, że nie zdołam dłużej powstrzymać łez, ale jakoś się opanowałam.

- Owszem.

- Uważasz, że powinienem dziś się z nią przespać? Nie odpowiedziałam.

- No, powinienem? - nalegał, przyciskając mnie mocniej.

- Proszę bardzo. Baw się dobrze.

- Pewnie, że będę się dobrze bawił, lepiej niż z innymi. Próbowалаm go odepchnąć, dusiłam się.

- Może Frida też się z nią prześpi. Cóż za rozkoszny pomysł! One obie razem, takie piękne i zmysłowe. Dwa splecione kobiece ciała, możliwości aż zapierają dech!

Milczałam.

- Wiesz, cieszę się, że Frida kocha kobiety. Dzięki temu jest zajęta i może się jakoś rozładować. Tańczyłam w milczeniu, pragnąc nade wszystko, żeby pozwolił mi wrócić do stolika. Chciałam usiąść.

- Na kogo tak patrzysz?

- Co? Na nikogo nie patrzę.

- Ależ tak. Patrzysz na tamtego chłopaka.

- Zwariowałeś, Diego. *Estas loco*.

- Nie mów tak do mnie, ty suko! Poniżasz mnie przed tymi ludźmi! Widziałam, że jest pijany.

- Uspokój się, Diego - powiedziałam. - Na nikogo nie patrzę. Nie bądź głupi, mi *amor*. Nie mam już siły flirtować.

- A na dokładkę kpisz sobie ze mnie - warknął. Odsunęłam się trochę od niego i rozejrzałam po sali. Lola i Jean

zatracili się w rytmie tańca, lecz Frida nas obserwowała, a szyderczy uśmieszek na jej twarzy zamienił się w grymas niepokoju.

- Nie wygłupiaj się - szepnęłam ponownie. Chciałam, żeby się opamiętał.

- Suka! Nie udawaj, widzę, że robisz słodkie oczy do tego gówniarza w kraciastej koszuli - wręcz wysyczał słowa: *ese pedacito de mierda*.

- Nie, Diego, przysięgam.

Miałam dość jego pretensji, ale chciałam go jakoś uspokoić. Bałam się, że wyjmie pistolet i zacznie strzelać. Już się to zdarzało. Po chwili znowu zaczął.

- Patrzysz na tego faceta za moimi plecami, wiem o tym, czuję to! Ściszyłam głos najbardziej, jak umiałam.

- A to cię w ogóle obchodzi? - wyszeptałam. - Jakie to ma znaczenie, że patrzę na innych mężczyzn, skoro masz zamiar pieprzyć się z Lolą?

Następnych kilka chwil pamiętam w mdląco zwolnionym tempie. Zobaczyłam, jak unosi rękę, która zawisa nad jego głową niczym zwierzę, niezależna istota, gotowa do ataku, dzika, drapieżna, sprężona. Zobaczyłam, jak opada szybko i mocno, ale nie skojarzyłam tego ruchu z okropnym trzaskiem i bólem w szczękę. Moje usta wypełniły się krwią, poczułam jej smak. Bałam się, że zaraz zwymiotuję. Nogi się pode mną ugięły, straciłam równowagę, lecz oto obok pojawiła się Frida, która chwyciła mnie i podtrzymała.

- *Bruto!* - krzyknęła do męża.

Pamiętam, że zawiozła mnie do swojego mieszkania, lecz potem obraz się zamazuje. Okłady... ciepłe, zimne, nie przypominam sobie... łyk alkoholu... potok łez... i Frida, trzymająca mnie w ramionach niczym dziecko. - Biedna Cristi, biedna, biedna Cristi - powtarzała. - *Pobrecita Cristinita. Pobre muñequita.* Głaskała mnie po twarzy wierzchem dłoni.

- Nie sądz, Cristinita, że on cię nie kocha, tylko dlatego, że trochę ci przyłożył - rzekła czule. - I nie sądz, że cię nie kocha, tylko dlatego, że sypia z innymi. Taki już jest, Cristi. To artysta.

Od czasu gdy związałam się... gdy zaczęłam romansować z Diegiem, Frida nabrała doń dystansu. Nie chodzi o to, że już go nie kochała. Kochała go bardziej niż kiedykolwiek, ale walczyła o samowystarczalność. Diego miał wielu przyjaciół, podejmował u siebie sławne osobistości, trockistowskich dostojników, prezydenta Lazara Cardenasa, a także pisarzy, takich jak Amerykanin John Dos Passos, i cały świat filmowy. Ale Frida powoli zyskiwała własnych znajomych, ponadto zdobyła pewien rozgłos jako malarka i coraz więcej ludzi chciało ją poznać. Gazety pisały o niej już nie tylko dlatego, że była żoną wielkiego Diega Rivery, ale dlatego, że była artystką. Tego pragnęła - panowania nad własnym życiem. Nie chciała być wyłącznie kobietką Diega, dążyła do uzyskania odrębnej tożsamości. Gdy z powrotem wprowadziła się do niebieskiego pudełka obok jego domu, prowadziła już oddzielne życie. Odzyskała kontrolę; ból dał jej siłę, ból, który jej sprawiłam, wiążąc

się z Diegiem. Ten romans stanowi! punkt zwrotny, nie tylko dla niej, lecz także i dla mnie, bo kiedy się skończył, przepełniał mnie taki żal i poczucie winy, że chciałam jedynie wynagrodzić Fridzie krzywdę. Poświęciłam resztę życia, usiłując zadośćuczynić za to, co jej zrobiłam. Ale wybiegam naprzód.

Sądzę, że Frida chętnie by mi przebaczyła, lecz skrzywdziłam ją zbyt dotkliwie. Czuła wielki gniew i choć próbowała go ukryć, mimowolnie okazywała mi wrogość na tysiąc sposobów. Jednak wówczas, gdy pocieszała mnie w swoim mieszkaniu, poczułam, że być może wszystko się między nami ułoży, że może Frida mi przebaczy. Od tamtej pory robiłam, co mogłam, by ponownie mnie pokochała. Zająłam się jej leczeniem. Liczyłam jej pigułki, których brała tak wiele - pigułki zmniejszające opuchliznę stopy, pigułki na sen, wciąż pigułki, pigułki, pigułki. Robiłam jej masaże i przygotowywałam kąpiele lecznicze. Kochałam ją ogromnie i strasznie przeżywałam krzywdę, jaką jej wyrządziłam. Owej nocy, leżąc w ramionach Fridy, słuchając, jak usiłuje mnie uspokoić, przekonać, że Diego wciąż mnie kocha, poczułam, że naprawdę jej na mnie zależy. Przysięgłam sobie, że zrobię wszystko, by ułatwić jej życie i ukoić jej ból. I być może rana zagoiłaby się, gdyby nie Trocki.

Diego uwielbiał Trockiego, który był dlań wzorcem. Oto romantyczny bohater, walczący o pewien ideał, został źle zrozumiany i odrzucony przez własny lud. Stalinowcy go nienawidzili i sądzę, że Diego, który również został odrzucony przez bardziej - jak to się mówi? - bardziej ortodoksyjnych komunistów meksykańskich, utożsamiał się z nim. Namalował kilka portretów Trockiego, jeden w nowojorskiej siedzibie trockistów, drugi na fresku w Rockefeller Center. Teraz zaś, kiedy Jean i międzynarodówka komunistyczna walczyli o wydostanie Trockiego z Europy, Diego dostrzegł szansę awansu do roli jego wybawiciela.

Trocki nie mógł pozostać w Europie, bo miał tam zbyt wielu wrogów. Również w Meksyku atakowali go zwolennicy Stalina,

Siqueiros zaś, fanatyczny zwolennik Józefa Wissarionowicza, na każdym kroku wściekle obrzucał go błotem. Zresztą celem Siqueirosa stał się nie tylko Trocki, ale i Diego, który rzekomo zaprzedał się gringos, malując obrazy dla bogatych amerykańskich turystów.

Kiedy wreszcie przemycono do kraju Trockiego i jego żonę Natalię... zaraz, to musiało być w 1937 roku... Diego przywiózł ich oboje do Casa Azul w Coyoacan. Przechowywanie Trockiego było niebezpieczne, co tym bardziej podniecało Diega, który uwielbiał ryzyko, uwielbiał, kiedy coś się działo. Biedny Papa - zupełnie nie rozumiał, o co chodzi, nie wiedział, kim jest Trocki, i nieustannie pytał:

- Czy ten biedak zajmuje się polityką? Czy obecnie zajmowanie się polityką czymś grozi?

Cóż mam powiedzieć o Lwie? Miał niewiarygodne oczy - niczym ogromne, niezgłębione jeziora. Można się było w nich zatracić, roztopić się w ich błękitach. Pochłaniały człowieka i sprawiały, że zapominał o bożym świecie. Nosił okulary, których szklkretowe oprawki stanowiły linię brzegową jezior, gdzie wszystko zamieniało się w brąz i złoto. Niektórzy ludzie brzydko wyglądają w okularach, lecz okulary Lwa przykuwały uwagę i wciągały patrzącego w owe tajemnicze oczy, uwodząc go i paraliżując, wsysając i pożerając. Trocki miał w sobie ogromną intensywność. Chodził żołnierskim miarowym krokiem, patrząc wprost przed siebie, z wysoko uniesioną głową i wysuniętym podbródkiem. Czasem wydawało mi się, że nawet mnie nie dostrzega, po czym odwracał się z nienacką, puszczał oko, a czubki jego wąsów i siwej brody drżały od powstrzymanego śmiechu. Do wszystkiego, co robił, żywił stosunek wręcz obsesyjny. Bez przerwy pracował. Godzinami dyktował sekretarce przygotowywaną biografię Lenina, jednocześnie szykując wystąpienie na wymagowanym procesie, w którym odparłby zarzuty stawiane mu przez przeciwników. Podczas pracy nie odrywał wzroku od papieru, jedyną zaś osobą, która mu nie przeszkadzała, była Frida.

To dzięki Trockiemu Frida wróciła do Diega - dzięki Trockiemu i hiszpańskiej wojnie domowej. Wszyscy bardzo przeżywalismy

konflikt republikanów i faszystów w Hiszpanii. Frida brała udział w akcjach propagandowych oraz w niesieniu pomocy sierotom wojennym i dzieciom żołnierzy antyfaszystów. Wojna sprawiła, że wróciła do polityki, co odświeżyło więź między nią i Diegiem. A kiedy Trocki przyjechał do Meksyku, okazało się, że Diego potrzebuje jej bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Z powodu diety ciężko się rozchorował i zaczął mieć kłopoty z nerkami, oczami i Bóg wie czym jeszcze. Pomimo bolącej stopy Frida była w znacznie lepszej formie, toteż opieka nad Trockimi jej przypadła w udziale.

Bardzo jej to odpowiadało. Uroczą, dowcipną Frida! Piękna gospodyni, olśniewająca rozmówczyni. Znow znalazła się w świetle rampy, gdzie uwielbiała przebywać. A gdy dziennikarze odkryli miejsce pobytu Trockiego, fotoreporterzy nigdy nie mieli dosyć jej zdjęć. O, tu pozuje do fotografii w tehuańskim stroju z falbankami, a tutaj w szykownym kostiumiku w stylu Chanel. Krążyła wokół Lwa, obsługiwała mu, pilnowała, by posiłki mu smakowały: „Towarzyszu, macie dość papieru do pisania?” albo: „Towarzyszu, potrzebny wam dodatkowy koc?”, albo: „Może każę kucharce przygotować wam herbatę ziołową i *pastelitos de almendra*?”. Wprost wyłaziła ze skóry. Ponieważ chodziło o bezpieczeństwo gościa, musiała bardzo uważać na służbę i najczęściej przyprowadzała do sprzątania swoje osobiste pokojówki. „Towarzyszu, Euse-bia zrobiła przepyszne *chi/es uellenos*, specjalnie dla was, wiemy, że wam smakują”. Natalia, która cierpiała na malarię, przez większość czasu przebywała w swoim pokoju - jakie to dogodne, prawda? - i towarzysza Trockiego zabawiała Frida. A ponieważ Trocki nie mówił po hiszpańsku, rozmawiali o polityce w sekretnym języku angielskim, toteż przeważnie nie wiedziałam, o co chodzi. Zresztą, prawdę mówiąc, na ogół Frida zachowywała się, jakbym nie istniała. Zazwyczaj tłumaczyła mi jedynie głupie, nieistotne drobiazgi.

- No, czego się dąszasz, Cristinita - mówiła na przykład. - Po prostu spytałam Lwa, czy nie ma ochoty na herbatę.

Zupełnie jakby byli tylko we dwójkę.

Czułam się dotknięta. Po incydencie z Lolą sądziłam, że Frida naprawdę mi przebaczyła i wszystko wróci do poprzedniego stanu. Ale teraz znowu wsiadła na wysokiego konia, zachowywała się, jakby była księżniczką Azteków, a ja - jakąś cholerną niewolnicą. Ale nie chowałam się po kątach, patrząc, jak moja siostra gra komedię. O, nie. Widzi pan, ja byłam kierowcą Lwa Trockiego, a to oznaczało, że spędzałam z nim długie godziny w samochodzie.

I najpierw zaczął uwodzić mnie - Lew, napalony starszy pan o pięknych oczach. Szkoda, że nie widział pan, jak szczerzył do mnie zęby, kiedy wpełzał do samochodu i siadał na przednim siedzeniu. Nie siadał z tyłu niczym milioner albo gwiazda filmowa, nie, siadał obok mnie, tak blisko, jak tylko mógł. Ostrożnie wyjeżdżałam na drogę, ruszałam przed siebie i zazwyczaj już po kilku chwilach czułam jego rękę na kolanie. Kiedyś złapał mnie za udo, o tutaj, poniżej krocza. *Vlrgen madre*, ależ mnie przestraszył! Straciłam panowanie nad kierownicą i przez moment myślałam, że wpadniemy na kaktus wielkości słupa telefonicznego, ale opanowałam się na tyle, że zdołałam zahamować. Jednak w środku trzęsłam się jak galareta i byłam trochę wilgotna... no, rozumie pan, o czym mówię. To było straszne, lecz również bardzo śmieszne.

Miał nader bezpośrednie podejście do kobiet. Zdaję sobie sprawę, że w międzynarodówce komunistycznej uchodził za półboga, ale zabierał się do rzeczy tak prymitywnie! Prawdę mówiąc, szczerze żałowałam jego żony. Biedna Natalia wciąż na coś chorowała; miała ponad pięćdziesiąt lat, i ja, osoba niespełna trzydziestoletnia, uważałam ją za zgrzybiałą staruszkę. Jej twarz pokrywały zmarszczki, a gdy patrzyła w lustro, zalewała się łzami i spoglądała na mnie ze smutną miną, jakby miała zaraz umrzeć z żalości.

- Jesteś taka młoda - skarżyła się - nic dziwnego, że on... - wzdychała, nie kończąc zdania.

Frida zawsze mawiała:

- Ludzie powinni robić, co chcą. I ty też, Cristi. Po prostu rób, na co masz ochotę, i nie przejmuj się cudzymi opiniami.

Jednak uważałam, że Trocki zachowuje się nieładnie, szczypiąc mnie w tyłek i wykonując pod moim adresem sprośne gesty w obecności swojej żony. Nie wiedziałam, jak się zachować. Z jednej strony wcale nie chciałam się z nim kochać, z drugiej jednak był ważnym człowiekiem, genialnym i ogromnie sławnym. Przyznaję, że myśl, by pójść do łóżka z przedmiotem uwielbienia milionów ludzi, trochę mnie podniecała. Trudno odmówić komuś takiemu!

Miewał najdziwaczniejsze pomysły. Pewnego dnia ni z tego, ni z owego oznajmił:

- Wiecie, w wypadku pożaru nie wiedziałbym, co robić. Musimy zrobić próbny alarm przeciwpożarowy.

Mówił po angielsku i Frida, przetłumaczywszy jego słowa, natychmiast parsknęła śmiechem.

- Alarm przeciwpożarowy? Lew, co ci przyszło do głowy? Wszyscy z wyjątkiem Natalii i Lwa pokładali się z uciechy.

- To bardzo poważna sprawa - wyjaśnił Trocki. - W Związku Radzieckim omal nie zginąłem w pożarze. Ludzie Stalina usiłowali spalić mój dom. Skoro to mogło zdarzyć się tam, może do tego dojść i tutaj. Mam wielu wrogów. Musimy stworzyć plan.

- Nie sądzę, by to był dobry pomysł - odezwał się Jean. - Nie możemy dopuścić, żebyś biegał po ulicy w Coyoacan. To równie niebezpieczne jak pożar.

Ale Trocki się uparł. Nalegał i nalegał, niczym kropla wody drażąca skałę, kap, kap, kap, dopóki nie zmęczył przeciwnika.

- Słuchajcie - powtarzał - przećwiczmy to chociaż raz, żebyśmy wszyscy wiedzieli, co robić, gdy coś się stanie. Wymyśliliśmy więc, że w razie pożaru należy uciekać przez mur ogrodowy.

Kilka dni później Lew wpadł wieczorem do domu, krzycząc:

- Pali się! Pali się!

Wybiegliśmy na patio. Panowały egipskie ciemności i nie bardzo widzieliśmy, dokąd biegniemy. Frida wciąż się potykała, aż wreszcie Diego złapał ją wpół i przerzucił przez mur.

Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, Lew chwycił mnie za rękę.

- *Vamos!* - wymamrotał.

Było to jedno z niewielu hiszpańskich słów, które znał.

- *Vamos!* - powtarzał nerwowo. - *Vamos! Vamos!*

Dawał mi znaki, żebym za nim pobiegła, lecz na środku ulicy przystanęłam.

- Czekaj, co się dzieje?

- Twój dom - wydyszał, zasapany. - *Vamos a tu casa!*

Po czym zrobił jednoznaczny gest. Zrozumiałam, o co mu chodzi; alarm przeciwpożarowy stanowił jedynie pretekst, by odciągnąć mnie od innych i namówić do pójścia do mego domu przy ulicy Aguayo, gdzie moglibyśmy kochać się bez przeszkód.

Zaczęłam się śmiać, on jednak najwyraźniej traktował rzecz bardzo poważnie.

- *Vamos, vamos* - popędzał, klepiąc mnie lekko po tyłku, jakby gonił opornego osiołka.

Nie bardzo wiedziałam, jak się zachować. Nie zaprzeczam - kusiło mnie, by ulec. W końcu czułam się okropnie po tym, jak potraktował mnie Diego. Chociaż Lola wyjechała do Stanów, ja zaś byłam niemal pewna, że nie spała z Diegiem, tylko niewinnie z nim flirtowała, między mną a nim wszystko się zmieniło. Nie mogłam się już uważać za kobietę Diega - należałam do rzeszy osób, z którymi miał romans. Gdybym przespała się z Trockim, cóż to byłby za sukces! A jaka zabawa! Spójrzmy prawdzie w oczy - jako młoda, wolna dziewczyna lubiłam się bawić. Trocki to był ktoś, a poza tym miał mnóstwo wdzięku. Ale... istniała jeszcze Natalia. Zdradziłam już własną siostrę, jakże mogłam teraz zdradzić Natalię? Milczałam niepewnie.

Ale już było za późno. Dogonił nas Jean, zbliżali się strażnicy, trzymając latarnie w rękach.

- Lew, czy to ty?

- Towarzyszu Trocki!

Jak się okazało, nie musiałam podejmować decyzji. Frida uczyniła to za mnie. Pomocna Frida - następnego dnia od rana kręciła się wokół Trockiego niczym koliber wokół kwiatu

wiciokrzewu. Szczebiotała „Lew to” i „Lew tamto”, błyskała ostrymi, kocimi zębami i wierciła tyłkiem. Przynosiła mu herbatę, tortille z musem z awokado - potrawę, którą pokochał - słodczyce i owoce. Stawała na głowie, żeby się przypodobać. Bezustannie trajkotała po angielsku, a ja czułam się wykluczona - czego, oczywiście, chciała najbardziej. Patrząc na nią, obie, Natalia i ja, pojmowałyśmy doskonale, dokąd wszystko zmierza.

Chciała się odegrać na mnie i na Diegu. Sądziłam, że mi wybaczyła, ale po prostu czaiła się, wyczekując stosownej chwili, by zadać cios. Zamierzała mnie ukarać za romans z Diegiem, a najlepszym sposobem okazało się odciągnięcie ode mnie Trockiego. Wówczas nie ja, lecz ona zostałaby kobietą bohatera, ona byłaby gwiazdą, ona zajęłaby honorowe miejsce! A ponadto dałaby Diegowi nauczkę - mogła mu wiele wybaczyć, ale nie to, że zakochał się we mnie. Czyż istniał lepszy sposób, aby się na nim zemścić, niż zdradzenie go z człowiekiem, którego czcił?

Frida i Lew zachowywali się jak para uczniaków. On pisał do niej liściki i wkładał je do książki, którą wręczał jej na dobranoc. Wkrótce Frida zrobiła się bezczelna, znacznie śmielsza niż ja w tej samej sytuacji. Chichotała przy obiedzie i przez stół posyłała Trockiemu pocałunki. Trzymali się za ręce i całowali z języczkiem pod nosem Natalii. On szczypał ją w tyłek, ona zwracała się do niego mi *amor*. A potem zapytała, czy pozwolę im spotykać się w moim domu. W moim domku na ulicy Aguayo!

Cóż miałam powiedzieć? Nigdy nie umiałam Fridzie niczego odmówić. Jednak zawahałam się.

- W ten sposób wyrównamy rachunki z Diegiem - nalegała. - Przecież tak cię skrzywdził, zadając się z tą Lolą.

Spojrzałam na nią. Miałam już pewność, że między Diegiem i Lolą nic nie zaszło, a owego wieczoru w *cantina* Diego po prostu chciał mi dokuczyć. Jean powiedział mi później, że kiedy wyszłam z Fridą, Diego po prostu odwiózł Lolę do domu jej matki.

Frida zdała sobie sprawę, że nic w ten sposób nie wskóra, zmieniła zatem taktykę.

- Uderzył cię, Cristi - powiedziała. - To brutal. Czemu mamy godzić się na jego awantury? Pokażemy mu, że nie ma nad nami władzy!

Ustałam. Do tego sprowadza się moja opowieść: ustałam. Zabierałam Fridę i Lwa niby to na przejażdżkę, po czym zostawiałam ich pod moim domem, żeby mogli być sami. Robiłam wszystko, czego zapragnęła Frida, zupełnie jak w dzieciństwie. Siedząc i czekając w samochodzie, wyobrażałam sobie, jak się kochają, tak jak kiedyś wyobrażałam sobie Fridę i Alexa. Czy sprawdzał się w łóżku? Było coś perwersyjnego w tym związku starca z niespełna trzydziestolatką. A jednak myśl o seksie z człowiekiem, którego idee wstrząsnęły światem, miała w sobie pewną atrakcyjność. Oczyma duszy widziałam, jak obejmuje dłońmi jej piersi, jak gładzi jej ciało, plecy, talię, łuk bioder... To mogłam być ja.

Jaką rolę grałam w tym spektaklu? Byłam kierowcą. Statystką.

Romans nie trwał długo i skończył się z początkiem lipca. Frida nie kochała Lwa, chciała jedynie udowodnić, że potrafi go uwieść, a przy okazji ukarać swego męża i siostrę. Wkrótce romans utracił świeżość i Frida przestała interesować się kochankiem. Kiedy minie pierwszy dreszcz podniecenia, cóż to za przyjemność sypiać z artretycznym abuelito o kwaśnym oddechu?

- Lew, odchodzę - oznajmiła po prostu. - Wyjeżdżam. Muszę się wyrwać. Zaproсили mnie przyjaciele z Veracruz.

Nawet nie usiłowała zrobić tego z wdziękiem. Po prostu cześć i spadaj. Skończyła z nim. Właściwie na razie skończyła z nami wszystkimi.

Czy Trocki bardzo przeżył rozstanie? Nie sądzę. Myślałam, że teraz, kiedy Frida usunęła się z drogi, znowu zajmie się mną, ale tak się nie stało. Nie przejęłam się zbytnio; znudził mnie już sam Trocki, jego Międzynarodówka, śledztwa, komisje, wścibscy dziennikarze czający się za drzwiami Casa Azul. Wszystko mnie nudziło. Zresztą Lew stęsknił się za Natalią i po wyjeździe Fridy widywałam ich, ręka w rękę spacerujących po ogrodzie. Gdyby kto mnie pytał, uważam, że była jedyną kobietą, którą naprawdę kochał.

Za to Diego dowiedział się o romansie Fridy - o co jej przecież chodziło, wychodziła ze skóry, żeby ta wiadomość doń dotarła. Zrobił Trockiemu karczemną awanturę, nazwał go Judaszem, kupą gówna, *chingado di mierda*, ale w gruncie rzeczy nie mógł sobie pozwolić na długotrwały gniew. I tak miał już na pieńku ze stalinistami, nie chciał zrobić sobie wroga jeszcze z Lwa Trockiego. Skończyło się na tym, że panowie się pogodzili, może nie zostali przyjaciółmi, ale przynajmniej zaczęli ze sobą rozmawiać. W listopadzie Frida przysłała Trockiemu podarunek - swój autoportret, a jakże! Wyglądała na nim tak bezwstydnie, jak w Casa Azul. Piękna, uwodzicielska Frida ze szkarłatną szminką na ustach i pomalowanymi paznokciami, z purpurowym goździkiem w dłoni i czerwoną wstążką w czarnych włosach; memento namiętności, jaką się obdarzali - albo zwykła przekora.

ROZDZIAŁ 19

Moja siostra, artystka

Stanik jest rozerwany - nie rozcięty, lecz rozerwany od ramienia po pas, obnażając... no, niech pan zgadnie, co? Krągłą, dorodną pierś? Skądże, uważa pan, że co to jest, groszowe romansidło? Nie, obnażone są wnętrzności modelki, bo jej ciało również rozcięto, ukazując żyjące, bijące serce. Pulsujące i tryskające krwią, albowiem przecięto również naczynia, tętnice, które zieją pustką niczym gęby pozbawione języka i donikąd nie prowadzą, z wyjątkiem jednej - ginie ona za plecami modelki, biegnie po obrysie falbaniastej bluzki i wdzięcznie opada na mlecznobiałe fałdy spódnicy, gdzie dziewczyna chwyta ją w szczypce chirurgiczne. Ciach! Ciach! Krew wycieka z tętnicy i kapie na spódnicę. Trochę krwi wsiąka w tkaninę, reszta ścieka strumyczkiem, tworząc kałużę na podłodze; zda się, skrzepy nadal pulsują, krople płyną w rytmie uderzeń serca, jednak lepka ciecz nie ma gdzie się podziać, więc zbiera się w załamaniu tkaniny i spływa w stronę obrąbka, plamiąc suknię, a plamy zlewają się w jedno ze szkarłatnymi haftowanymi kwiatami, ledwie się od nich odróżniając - płatki, krople, wstążki, łodygi, listki, wszystkie stanowią część delikatnie utkanego wzoru.

Przecież prosił pan, bym opisała swój ulubiony obraz. To dziwne, że pyta pan o to dopiero teraz. Niewiele rozmawialiśmy o pracach Fridy. Trudno powiedzieć, by jakiś jej obraz mi się podobał; zbyt dobrze wiem, kiedy każdy z nich został namalowany i dlaczego, i co oznacza. Wszystkie są cudowne, ale na niektóre ledwie mogę patrzeć. Ten, o którym mówiłam, nazywa się *Dioie Fridy* i jest

duży, niemal kwadratowy. Namalowała go mniej więcej w okresie, o którym mowa, około 1939 roku. Jeszcze zanim zginął Lew.

Obraz ukazuje dwa wizerunki Fridy, Fridę we własnym towarzystwie. Jedna Frida trzyma za rękę drugą, gdyż Frida może trzymać za rękę tylko samą siebie. Czy to, co mówię, ma sens? W owych czasach ona i Diego oddalili się od siebie, chociaż Diego cały czas wspierał jej próby malarskie. „To najlepsza żyjąca portrecistka” - mawiał, a potem traktował ją jak śmieć. Całymi dniami się do niej nie odzywał albo szedł do niej i zamykał się w łazience. Robiła mu cudowne obiady, których nie chciał jeść - sałatę *nopales*, pieczeń wieprzową, *guacamole z chipotles*, a na deser te małe ciasteczka maślane, które zwiemy *lenguas de gato*, same ulubione potrawy Diega. On jednak wołał siedzieć na sedesie.

Na obrazie obie Fridy siedzą sztywno, jakby połknęły kij, ale ich nieruchome twarze to maski, pod którymi kryje się wielki ból. Widzi pan, w taki sposób chciała się przedstawić - jako osobę silną, rozwijającą się, dającą sobie radę w życiu pomimo wszystkich przeciwności. Niezlomna Frida! Ale widać, że cierpi, albowiem jest rozdarta na dwoje. Jedna Frida ma na sobie strój z Tehuany, zdobiony koronkową falbanką. To Frida Meksykanka, prawdziwa ja mojej siostry, i na tym wizerunku jej serce pozostaje nietknięte. „Tu jestem taka, jaką Diego kochał” - powiadała. Druga Frida, ta z rozciętym sercem, ma na sobie staromodną suknię, być może ślubną. „Tu jestem taka, jaką Diego porzucił”. Frida tehuańska trzyma maleńki portrecik Diega, z którego do serc obu Frid prowadzi owa tętnica czy żyła, lecz Frida niekochana przecina ją. Obie postaci to Frida, Frida, która usiłuje się uwolnić, zerwać więzy. Choć jednak przecięła żyłę, nadal cieknie z niej krew

- niepowstrzymana miłość Diega.

Czasem myślę, że obraz *Dwie Fridy* przedstawia nie tylko Fridę, ale i mnie. Ja jestem tą drugą dziewczyną, niekochaną i ładną

- albowiem jedna z postaci jest ładniejsza od drugiej. Frida trzyma mnie za rękę, ja zaś wyglądam na silną i odważną. Niezlomna

Cristina! Mam wrażenie, jakby moja siostra namalowała zupełnie inny obraz, niż sądziła. Czy to możliwe?

Jak to, dlaczego najbardziej lubię ten obraz, skoro sprawia mi tyle bólu? Przecież nie powiedziałam, że to mój ulubiony obraz. Powiedziałam tak? Cóż, pewnie dlatego, że dostrzegam w nim własne uczucia. Chodzi o to, że wyraża on nie tylko cierpienie Fridy, lecz także i moje emocje, nie tylko serdeczność, jaką czułam wobec siostry, lecz także moją świadomość odrzucenia. Ten obraz wprawia mnie w smutny nastrój - podobnie jak zasmucają nas fotografie zmarłych ludzi, bez względu na to, czy się ich lubiło, czy nie - bo dzięki niemu przeżywam ponownie okres, gdy doświadczałam życia bardzo intensywnie. Owszem, to boli, ale cierń, który owe wizerunki wbijają mi w serce, stanowi przypomnienie, że kiedyś żyłam.

Kariera Fridy nabrała impetu. Wydawało się wręcz, że po romansie z Trockim Frida musi malować, żeby zatracić się w pracy. Diego, który traktował ją obrzydliwie, mimo to organizował jej wystawy. Nigdy nie chciała wystawiać swoich prac, przynajmniej tak twierdziła, ale on zawarł umowy z kilkoma galeriami i zanim się obejrzała, otwierała już wystawę w gnojówce, zwanej przez nas Mexico City. Pod tym względem miała szczęście - miała Diega. Miała Diega nawet po tym, jak zdradziła go z Trockim. Co musi zrobić kobieta, żeby mężczyzna był jej aż tak oddany?

Straszliwie cierpiała z powodu stopy. „Diabelskie kopyto” - nazywała ją.

- Diabeł znów bierze mnie na tortury - mawiała. - Wiesz, chyba za karę dał mi swoje kopyto, którejs nocy zakradł się do mojej sypialni i przyczepił je do tej marnej nogi. Szkoda, że mnie przy okazji nie zerznął! To dopiero byłoby pieprzenie, co, Cristi? Sprośny stary cap! Wyobraź sobie te rogi, wyrastające prosto z czaszki! Pewnie dupczy... pewnie dupczy jak sam diabeł!

I wybuchwała śmiechem. Lecz był to śmiech wymuszony, chciała bowiem dać do zroumienia, że chociaż cierpi, stara się być dzielna.

Pomimo ciągłych narzekania nie przestawała malować.

- Nie wiem, po co ktokolwiek miałby kupować moje prace

- opowiadała wszem i wobec. - Jestem pewna, że każdy woli kupić obraz Diega. Moje obrazy są kupowane tylko dlatego, że jego dzieła są za drogie.

Oddana żoneczka, malująca wyłącznie dla przyjemności; sztuka dla sztuki, nie dla pieniędzy. To wszystko odbywało się na pokaz - gdyby naprawdę nic nie sprzedała, mogłaby powiedzieć: „Och, nigdy nie traktowałam malowania poważnie. To tylko hobby”. Sądzi pan, że tego nie dostrzegałam? Nie jestem taka głupia, jak się na ogół uważa. Znałam Fridę lepiej niż własną kieszeń i wiedziałam, że gra komedię, żeby zachować godność, na wszelki wypadek. Głupie, prawda? Jakżeby mogła nic nie sprzedać? W końcu była żoną wielkiego Diega Rivery.

O romans Fridy z Trockim Diego postanowił obwiniać Trockiego. Pogodził się z Fridą, przynajmniej na jakiś czas, i wówczas załatwił jej sprzedaż czterech obrazów znanemu amerykańskiemu aktorowi, Edwardowi G. Robinsonowi. Widział pan jego rolę w *Małym Cezarze*? Ja widziałam, ale nigdy nie poznałam go osobiście. Prawdziwe nazwisko Robinsona brzmiało Emmanuel Goldenberg, wiedział pan o tym? To żydowskie nazwisko, Goldenberg. Dlaczego gwiazdy filmowe zawsze występują pod pseudonimem? Pewnie dlatego, że w kraju jankesów ludzie mają mnóstwo uprzedzeń. Tak czy inaczej, wiadomość o sprzedaży dostała się do gazet i zaczęto zwracać większą uwagę na malarstwo Fridy. Chyba mniej więcej w tym czasie do Meksyku zjechał André Breton, wie pan, ten francuski poeta. Udało mi się go poznać; to była ważna postać, ojciec surrealizmu. Frida i Diego wszędzie go wozili, on zaś orzekł, że prace Fridy są kwintesencją surrealizmu. Tak się właśnie wyraził - kwintesencja surrealizmu. Powiedział, że dzięki łączeniu meksykańskich motywów ludowych i twórców fantastycznych Frida stała się surrealistką, że jest jedną z nich.

Ale Frida nie znosiła Bretona. Był okropnie sobą przejęty i bez przerwy wygłaszał na pozór głębokie zdania, które w rzeczywistości okazywały się bzdurą. „Surrealizm tak doskonale łączy w sobie

świat przeżyć świadomych i nieświadomych, że sny i codzienna rzeczywistość stają się nierozróżnialne, a realność zamienia się w surrealistyczną", i tak dalej. Tak często słyszałam, jak powtarza to zdanie, że nauczyłam się go na pamięć. „Surrealizm tak doskonale łączy w sobie świat przeżyć świadomych i nieświadomych...”

- a cóż to miałyby znaczyć? Dla nas, Meksykanów, śmierć, duchy i sny stanowią część codzienności, co w tym niezwykłego? Najświętsza Pani z Guadelupe jest równie realna jak kwiaciarka na rogu; podobnie szkielety tańczące z okazji Święta Zmarłych i urzędnik stawiający stempel w dowodzie tożsamości. „Nadęty bałwan” - mówiła o Bretonie Frida i miała rację. Ale obie uwielbiałyśmy jego żonę, Jacqueline, kobietę figlarną, mądrą i ciepłą, malarzkę, podobnie jak Frida.

- Cristina, chérie, musicie obie z siostrą przyjechać do Paryża!

- powtarzała.

Widzi pan, Breton zgodził się zorganizować we Francji wystawę obrazów Fridy.

Ale ja nie mogłam nigdzie pojechać. Frida miała jechać sama, najpierw do Nowego Jorku, na wystawę swoich prac w galerii Juliana Levy'ego, przyjaciela Diega, a stamtąd do Europy.

Było to najgłośniejsze wydarzenie dekady. Maty, Adri i ja zaproponowałyśmy, że urządzimy przyjęcie pożegnalne, ale Frida nie chciała o tym słyszeć.

- Moje drogie, Diego życzy sobie, żeby było naprawdę hucznie. Zapraszamy absolutnie wszystkich, poczynając od Trockich, a kończąc na prezydencie Cárdenasie.

Lázaro Cárdenas był nowym idolem Diega. Zamiast zamieszkać w pałacu prezydenckim w Chapultepec, pozostał w swoim własnym małym domku. Koniec, oznajmił, z przyjmowaniem poleceń od partyjnych bonzów. Teraz prezydent będzie słuchał ludu, a Meksyk powróci do idei rewolucji. Nie wiem, czy w ogóle można ufać politykom, ale Cárdenas zdobył zaufanie Diega i rzeczywiście miał dość odwagi, by nacjonalizować towarzystwa naftowe, co oznaczało narażenie się Amerykanom. Pan zapewne

nie jest w stanie go docenić, lecz naród meksykański uznał go za nowego bohatera, półboga. Wszyscyśmy go podziwiali, nawet ja. W tamtych czasach wierzyłam we wszystko, co mi mówiono. Tak czy inaczej, na przyjęciu na cześć prezydenta republiki nie można podać *enchiladas* zrobionych przez własną siostrę, choćby prezydent ów twierdził, że jest zwykłym *campesino*. Sprawę wzięła w swoje ręce Lupe Marin, wielka Lupe, najbardziej okrzyczana organizatorka przyjęć po tej stronie Rio Bravo, która wynajęła zawodowego kucharza i cały personel kuchenny. No i bardzo dobrze.

Lupe i jej pracownicy przeszli samych siebie. Niekończące się półmiski faszerowanej papryki *chayote* w sosie orzechowym, *enchiladas verdes*, *enchiladas rojas*, wieprzowina duszona w *pulque*, *mole poblano*, ryż w barwach Meksyku, czyli zielony, biały i czerwony, wszelkie możliwe desery - mus z pigwy, ciasteczka migdałowe, kokosowe kulki, owoce i sery - oraz, jakżeby inaczej, tequila, poncz z grenadyny, sangria i wino. Poszłam na to przyjęcie, chociaż czułam się marnie i wciąż nie mogłam normalnie jeść. Widzi pan, ja też niedawno przeszłam operację - usunięto mi woreczek żółciowy.

- Doprawdy, kochanie, jesteś nieświeża jak zwiotczały kutas - szepnęła mi Frida do ucha.

- A ty z tą swoją koślawą nogą i krzywymi plecami jesteś pogięta niczym modernistyczna rzeźba - zagruchałam w rewanżu.

A może wcale tak nie powiedziałam, tylko pomyślałam.

Politycy i damy z towarzystwa wychodzili ze skóry, by chociaż zbliżyć się do honorowego gościa. Wszędzie kręcili się aktorzy i aktorki - Armendariz, który grał z Lolą w filmach *Maria Candelaña* i *Flor Silvestre*, Maria Félix, Sara Garcia, Carlos López Moctezuma, który występował z Cantiflas w *El gendarme desconocido*, oraz Paulette Godard. (Paulette narobiła nam później trochę kłopotów, jak również Maria Félix). I w środku tego wszystkiego - ja, wymieniająca z Sarą Garcfą przepisy na *mole poblano*. Jak pan sobie zapewne wyobraża, na przyjęciu roilo się od dziennikarzy,

skupionych zwłaszcza wokół Fridy. Frida, wielka gwiazda. Na sporządzonej przez nią liście gości zaproszonych na nowojorski wernisaż znajdowali się między innymi Rockefellerowie, Lu-ce'owie, Alfred Stieglitz oraz Lewis Mumford. Rzucała nazwiskami niczym końskim łajnem.

- Wie pan, podczas pobytu w Nowym Jorku będę malowała portret Clare Boothe Luce, a George Grosz, ten artysta, obiecał pokazać mi swoją pracownię. Nie, Diego nie żywi urazy do Rockefellerów, oboje chcielibyśmy zobaczyć się z Johnem i Nelsonem. O, tak, Dom na Wodospadzie! Przyjęłam już zaproszenie Franka Lloyd Wrighta i Edgara Kauffnana, żeby go obejrzeć. Fotografik Nikolas Murray ple ple Meyer Shapiro ple ple (dobrze być trochę Żydem, kochanie) Conger Goodyear ple ple Dorothy Hale ple ple (będę malowała jej portret, kochanie) Sigmund Firestone ple ple ple ple ple.

Na dworcu kolejowym urządzili z Diegiem niezłe przedstawienie. Wrócili do dziecinnego gaworzenia:

- Moja bezcenna żabusia! Jak sobie poradzi beze mnie?

- Mi niñita chiauita. Jeśli czegoś ci będzie trzeba... czegokolwiek. ...

Łzy, łzy, morze łez.

- Ach, kochany Dieguito, pobue bebito, pobue *ranita*.

- Fridusia, Friduchita, wiem, że odniesiesz ogromny sukces. Moja bebita *linda*.

Tylko niektórzy z nas wiedzieli, jak niewiele dzieliło tych dwoje błaznów od rozwodu. Z dala od świateł reflektorów i wzroku dziennikarzy syczeli na siebie niczym uliczne kocury.

Wreszcie odjechała. Z tej podróży nie napisała do mnie ani jednego listu, choć pisała do Maty i Adri. Zadawałam sobie pytanie, co jeszcze mam zrobić, żeby ją zadowolić? Co mam zrobić, żeby mi przebaczyła?

ROZDZIAŁ 20

Kawałki

Dorothy Hale nie żyje. Roztrzaskała się na miazgę o chodnik przed Hampshire House, luksusowym apartamentowcem w Nowym Jorku, gdzie mieszkała. Szpilki we włosach pozostały nietknięte, szwy - proste, bukiecik żółtych różyczek - starannie przypięty do czarnej aksamitnej sukni, lecz prawa strona czaszki zamieniła się w lepłą masę krwi, kości i brudu. Odłamki czaszki lepią się do jej policzka, gorsu, asfaltu i kamieni eleganckiej budowli, którą zwała domem. Co się czuje, kiedy stojąc na parapecie, robi się krok w przód i spada, spada w dół? A może nagle pożałowała owego fatalnego kroku i zapragnęła się cofnąć? Czy szamotała się w powietrzu? Czy próbowała chwycić się gzymsu lub balkonu? Czy się modliła? Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi... Bądź wola Twoja? A może zadawała sobie pytanie, czy taka jest wola Boska? Komuniści nie wierzą w Boga, wie pan. Powiadają, że religia to opium dla mas, choć pewien jezuicki ksiądz wyjaśnił mi kiedyś, że wszystko im się pomieszało, że jest zupełnie inaczej - to komunizm jest opium intelektualistów. Czy Dorothy była komunistką? Nie sędzę. Większość nowojorskich przyjaciół Fridy trudno zaliczyć do komunistów, raczej przeciwnie. Przypominali bogate szakale - całymi dniami bawili się i oblizywali tłuste łapy. O tak, wydawali z siebie komunistyczne odgłosy, gadali o wyzwisku proletariatu, ale w istocie byli *comunistas de salón*, kanapowymi komunistami. A Dorothy to po prostu dziewczyna z towarzystwa, przyzwyczajona do pieniędzy, która po śmierci męża wpadła jak śliwka w gówno. Jej mąż,

malarz Gardiner Hale, robił portrety ludzi ociekających szmałem i słono sobie za nie liczył.

Uroda Dorothy zwała z nóg. Poznałam ją, kiedy przyjechała do Meksyku jako chórzystka Ziegfeld Follies. Była porażająco piękna ze swymi czarnymi włosami, karnacją niczym lody waniliowe i posagową twarzą, dlatego Gardiner się z nią ożenił. Kupili dom na południu Francji, tuż przy plaży, i urządzali przyjęcia w wielkim stylu. Bywały u nich wszystkie grube ryby, ludzie, których Frida nazywała *cacas grandes*. Lecz Gardiner zginął w wypadku samochodowym i Dorothy została sama - ze śliczną twarzą, śliczną figurą i bez grosza przy duszy. Po tych wszystkich przyjęciach, urządzanych na Rivierze dla Picassa i innych sułtanów wysokiej sztuki, po prostu nie mogła znieść ubóstwa. On – mówię o jej mężu - był i nagle przestał istnieć, zamienił się w masę trzewi

i skróconego metalu, a ona nie chciała iść do pracy, nie chciała być biedna. A zatem przestała myśleć i poszukała *La Pelona*. Czy mocno zacisnęła powieki, czy też umarła z szeroko otwartymi oczami? Czy istotnie skończyła tak, jak namalowała ją Frida, na chodniku, ze źrenicami wlepionymi w gapiów i strużką krwi ciekącą z ucha? Jak się czuła, nurkując w powietrzu, wiedząc, że na końcu jej ciało roztrzaska się niczym kryształowy wazon, a odłamki czaszki rozprysną się na wszystkie strony? Że krew siknie na ulicę, popłynie ze zmiążdżonego tułowia, plamiąc buty i ubrania przechodniów? Czy odskoczą, by płyny ustrojowe nie zniszczyły im strojów? Czy uciekną przerażeni? Czy choćby się wzdrygną? Czy ktokolwiek spróbuje pozbierać kawałki?

W przeddzień swego postępu Dorothy Hale wydała przyjęcie. Wszyscy tam byli - Bernard Baruch, Isamu Noguchi, Constantin Alajalov, który projektował okładki dla „New Yorkera”... dosłownie wszyscy. Frida wyszła wcześniej, bo następnego ranka miała zacząć pracę nad portretem Dorothy, zamówionym, gdy kilka lat przedtem poznały się w Meksyku. Teraz, kiedy Frida znalazła się w Nowym Jorku, zamierzała dotrzymać obietnicy i umówiła się z Dorothy na ów październikowy dzień 1938 roku, nazajutrz po

przyjęciu. Jednak pojawił się pewien problem - Dorothy nie miała czym zapłacić. Odkąd Gardiner zostawił ją bez grosza, zebrała po znajomych i opłacała czynsz za wytworny apartament na dachu z pieniędzy, które, aczkolwiek niechętnie, dawała jej Clare Boothe Luce. Z początku Frida zamierzała zerwać znajomość z Dorothy: „Straszna z niej nudziara, kochanie, bez przerwy tylko skarży się na swego pecha”. Fridy nie interesowało słuchanie o cudzych cierpieniach. Jednak Bernie Baruch przyrzekł, że zapłaci za portret, a Fridzie zależało, żeby być w poprawnych stosunkach z jego towarzystwem. Przypomniła sobie zatem, że jako dobra komunis-tka nie powinna wcale dbać o pieniądze. „Nie musisz mi płacić, kochanie”. „Ależ nalegam”. „Nie, naprawdę”. „Nalegam!”. „No dobrze, ale tylko dlatego, że naprawdę przyda mi się kilka baksów”. Frida usiłowała wybić się na finansową niezależność i nie chciała o nic prosić Diega.

A więc tamtego dnia, nazajutrz po przyjęciu, Dorothy miała zacząć pozowanie. Widzę ją, jak odsuwa zasłonę i otwiera okno swego wytwornego nowojorskiego mieszkania. Frida puka do drzwi.

- Kochanie, mogę wejść? Przyszłam cię malować.

- Przepraszam cię, kochanie, ale jestem zajęta popełnianiem samobójstwa.

Dorothy stoi na krześle w pantoflach na wysokich obcasach, zapinanych na paseczki. Balansując na parapecie, patrzy z góry na miasto i spowijającą je mgiełkę - drapacze chmur, okna biurowców, a niżej samochody, taksówki, handlarze, ludzie pędzący na zakupy oraz urzędnicy wielkości lalek. Wreszcie bierze głęboki wdech i robi krok w nicość... spada... spada coraz prędzej... poddaje się ciemnej słodczy śmierci, słodkiej, słodkiej ciemności.

Czy ja kiedyś o tym myślałam? Tak, myślałam. Czyż wszyscy o tym nie myślą? Frida zastanawiała się nad tym bez przerwy. Nadal dochodziła do siebie po rozstaniu z Diegiem, nadal miała kłopoty ze stopą. W chwilach największego cierpienia przyrządzała sobie koktajl z alkoholu i środków przeciwbólowych, aby nie odczuwać bólu choćby przez kilka godzin. I zdarzało się to coraz częściej.

- Kiedyś wrzucę te cukiereczki do ćwiartki wódki i wypiję ją duszkiem - mówiła mi niejednokrotnie. - I adiós, Frida, żegnaj, mała suczko. Niewielka to strata dla świata. I tak nie umiałaś malować!

Po śmierci Dorothy Hale Clare Boothe Luce poprosiła Fridę, by pomimo wszystko namalowała portret zmarłej, dostarczyła nawet kilku fotografii. Pani Luce zamierzała zapłacić za obraz i podarować go matce Dorothy jako swego rodzaju hołd, piękną pamiątkę po córce. Ale Frida zrobiła rzecz skandaliczną, naprawdę gorszącą i okrutną. To do niej podobne - umiała być niezwykle bezwzględna. Namalowała śmierć Dorothy Hale! Tak, chcę powiedzieć, ową chwilę, gdy Dorothy popełnia samobójstwo! Ukazała Dorothy lecącą głową w dół, spowitą obłokami, które rozciągają się poza obraz, z pantoflem, który spada jej ze stopy, z ramionami wyciągniętymi przed siebie, jakby chciała uchronić się przed upadkiem. A na pierwszym planie widać postać martwej już Dorothy, leżącą na ziemi, z oplątanymi suknią nogami i szeroko otwartymi oczyma. Pełno tam krwi, krew leje się na napis umieszczony z boku obrazu, który pierwotnie informował, że ufundowała go pani Luce, ale ta kazała Fridzie go zmienić; krew zdaje się tryskać nawet na podłogę, pod nogi widza. Zupełnie jakby widz znajdował się w tej samej przestrzeni, co Dorothy, prawie czuć woń bukietu przy jej gorsie, można wręcz dotknąć dłonią jej stopy.

Pisały o tym wszystkie gazety w Meksyku, nie o samobójstwie, to nikogo nie obeszło, lecz o obrazie Fridy. Wszystkim nam było wstyd. To znaczy, ja na pewno się wstydziłam. Jak mogła zrobić coś takiego biednej matce, która właśnie straciła dziecko, swoją piękną córkę? Frida, ty dziwko, dlaczego tak postąpiłaś? Po co namalowałaś ten obraz? Z czystej podłości czy też chciałaś ściągnąć na siebie uwagę? Jak wtedy, gdy byłyśmy dziewczynkami, kiedy ukradłaś mi jasnowłosą lalkę z porcelanową twarzyczką i szmacianym korpusem, i zostawiłaś ją na łóżku Mami z rozwartymi nóżkami, a obok położyłaś szmacianego osiołka z pyszczkiem na jej... no, wiesz na czym? Może w tym obrazie wcale nie chodziło

o Dorothy, tylko o ciebie? To nawet ma sens, prawda? W każdym dramacie zawsze musiałaś grać główną rolę, zawsze musiałaś być tragiczną ofiarą. Czy kobieta spadająca wśród obłoków to istotnie Dorothy Hale, czy to ty, Frida? Ból Fridy, rozpacz Fridy, to Fridy, tamto Fridy, Frida... Frida... Przepraszam, nie wiem... nie wiem już, co się ze mną dzieje. Proszę poczekać... gdzieś tu miałam chusteczkę... Po prostu... Po prostu nigdy do mnie nie pisała. Ani razu, przez cały ten czas, kiedy jej nie było. Nie przysłała nawet pocztówki. Dlaczego nie przysłałaś mi choćby pocztówki, Frida? Wiem, że nadal wściekałaś się o Diega, ale tak cię kochałam, tak za tobą tęskniłam, byłam tutaj taka samotna. Dlaczego nie mogłaś mi przebaczyć? Adri i Maty dostawały od ciebie listy, pokazywały mi je. Pisałaś w nich o swoim nowym kochanku, fotografie Nikolasie Murrayu. Pisałaś, że jest bardzo przystojny.

I w dodatku Węgier. Ale jego osoba mnie nie ciekawiła, nie pragnęłam go poznać. Wcale a wcale. Nie chciałam już nigdy rywalizować z Fridą - a poza tym, właściwie nie mogłam się z nią równać.

Termin wystawy Fridy w nowojorskiej galerii Juliana Levy'ego został wyznaczony pod koniec 1938 roku, na krótko przed wybuchem wojny w Europie. W październiku Frida wyruszyła więc do Nowego Jorku, skąd miała wyjechać do Francji. Pamiętam, że wszyscy czuliśmy się nieswojo, nie wiedząc, co zrobią Niemcy. Papa miał rodzinę w tym kraju, tymczasem zaczęły krążyć najrozmaitsze pogłoski, na przykład o podkładaniu bomb w żydowskich domach. Do Meksyku zaczęły przyjeżdżać całe grupy Żydów, którzy nie dostali się do Stanów Zjednoczonych wskutek ograniczeń wprowadzonych przez Amerykanów. Ktoś opowiedział Papie, że Niemcy wyrwali jego krewnej dziecko, małą dziewczynkę, ukrywającą się pod spódnicą matki, i jęli podrzucać ją niczym rzutkę w strzelaniu do celu, w górę i w dół, w górę i w dół. Widzę to w wyobraźni - dziewczynka krzyczy, matka też, oni zaś podrzucają małą ostatni raz, bardzo, bardzo wysoko. Dziecko wydaje się płynąć w górę w zwolnionym tempie, po czym hitlerowiec

bierze karabin - matka cały czas patrzy - i starannie mierzy, więc matka usiłuje go powstrzymać i szarpie go za ramię. Hitlerowiec odpycha ją, matka pada na ziemię, lecz kiedy próbuje się podnieść, hitlerowiec strzela do niej. Przed chwilą żyła, a teraz jest martwa. Tymczasem dziewczynka nie porusza się już w zwolnionym tempie, nie, spada w dół jak kamień i roztrzaskuje sobie czaszkę. Ona przed chwilą też jeszcze żyła.

A teraz Frida wybierała się do miejsca, gdzie dzieją się takie okropieństwa - najpierw do Nowego Jorku, ale potem do Europy. Oczywiście, nie groziło jej... to znaczy, Mami była katoliczką, a Żydem zostaje się przez matkę, Fridzie nie groziło więc, że dopadną ją hitlerowcy. A poza tym Frida była znaną malarką, ważną osobą, nie jakąś tam zwykłą panią Rivera. Nie istniało żadne ryzyko. Nikt nie zaczepia sławnych ludzi.

Pamiętam wyjazd Fridy do Nowego Jorku. To musiał być październik, bo szykowaliśmy się do *el dia de los muertos*, Święta Zmarłych, kiedy czcimy tych, którzy odeszli, albowiem Jezus Chrystus, odnosząc cudowny triumf nad śmiercią, trzeciego dnia zmartwychwstał, nieśmiertelny, aby nigdy już nie doświadczyć cierpienia. Pamiętam, że przygotowywałyśmy na święto czaszki z cukru, a także szkielety i skrzyżowane piszczelki, ozdobione również cukrowymi, różnobarwnymi kwiatami. Moje dzieciaki uwielbiały ssać te czaszeczki, słodkie, białe paluszki, zebra i piszczelki. Ha! Założę się, że pan sądził, iż nie znam określenia „piszczel”. Jakże mogłabym go nie znać, mając kulawą siostrę?

Frida szykowała się do podróży. Jej małżeństwo trzepotało się niepewnie niczym pijany bąk, nie spodziewałam się zatem, że Diega zainteresuje wystawa żony; w końcu przez ostatnich kilka miesięcy oboje romansowali, z kim popadło. A tu raptem Diego zaczął się gorączkowo krzątać, zupełnie jakby miał fajerwerk w dupie. Uznał, że nic nie jest dość dobre dla kochanej Fridusi, skontaktował ją z ważnymi osobami, pomógł ułożyć listę gości na wernisaż itede. André Breton napisał notkę do katalogu, a galeria rozreklamowała całe wydarzenie, jakby Frida była co najmniej

gwiazdą filmową. W gazetach pojawiły się artykuły, a czasopismo „Vogue” poświęciło jej rozkładówkę. Frida pojawiała się wszędzie, zupełnie jak Duch Święty - to w stroju z Tehuany na tle obrazu *Co dafa mi woda*, to znów wyfiokowana niczym gwiazda filmowa obok malowidła Fulang-Chang i *ja*. A więc, jak pan widzi, nie tylko każdy obraz Fridy był jej autoportretem, lecz na wszystkich fotografiach Frida pojawiała się dwukrotnie - raz na zdjęciu, raz na fotografowanym obrazie. Dwie Fridy za cenę jednej! Frida, Frida, wszędzie Frida! Przy oknie! Obok krzesła!

Na obrazie *Moi dziadkowie, rodzice i ja* Frida sportretowała Papę. Mogła go już ujawnić - prawdę mówiąc, w Nowym Jorku zapanowała wręcz pewna moda na żydowskość. Ze względu na zbliżającą się wojnę i ogólną sytuację sprawa Żydów nabrała rangi słusznej politycznie. Spotykały ich takie straszne nieszczęścia, straszniejsze niż umiano sobie wówczas wyobrazić, Frida zaś świetnie potrafiła z tego wycisnąć wszystkie korzyści. Amerykańska lewica w dużej mierze składała się z Żydów, wielu Żydów działało również w środowisku artystów i ludzi kupujących obrazy, ludzi z forszą, których przyjaźni i wsparcia Frida bardzo potrzebowała. A zatem po prostu stała się Żydówką - osobą egzotyczną, Mek-sykanką, lecz również jedną z nich. Przypadły jej najlepsze części obu światów. Nowojorczyków urzekła owa nieznana istota, którą mogli uznać za swoją, ten cudownie upierzony ptak, tak znajomy, a jednak obcy. To bardzo ułatwiało sprzedaż obrazów, nieprawdaż? Spryciara z tej Fridy. Była bardzo sprytna i zręcznie się sprzedawała. Wszędzie wokół pojawiały się ogłoszenia i zapowiedzi wielkiej wystawy Fridy Kahlo (Rivera).

Zapytałam, dlaczego w reklamie wykorzystuje nazwisko Diega.

- Zawsze mówiłaś, że pragniesz, by doceniano cię za to, co sama zrobiłaś, że nie chcesz być znana jako *la señora de Rivera*.

- To pomysł Levy'ego - odparła. - Levy'ego i Bretona. Tak w każdym razie powiedziała po powrocie do domu.

- Nalegali, by w zapowiedziach znalazło się nazwisko Diega.

- Ach, tak? A ty nie mogłaś temu zapobiec? Nie mogłaś ich przekonać, żeby tego nie robili, że to kwestia twojej dumy zawodowej?

- Nie, kochanie, oczywiście, że nie. Julien prowadzi ten interes dla pieniędzy, a nazwisko Diega Rivery ściąga klientów.

- Owszem, ale twoje prace są naprawdę dobre. Diego mówi, że malujesz lepiej niż on. Nie musisz się czepiać jego rękawa!

Spojrzała na mnie, jakbym chciała jej ukraść jedwabne pończochy.

- Wiesz, jacy są ci *gringos*, moja droga - oznajmiła w końcu. - Dla nich wszystko sprowadza się do pieniędzy.

- No, a ta wystawa w Mexico City, Fridita? Ta, którą miałaś przed wyjazdem do Nowego Jorku? Wszystkie informacje podkreślały, że naprawdę nazywaś się Frida Kahlo de Rivera.

Zaczęła parskać i wiercić się nerwowo, więc nie podtrzymałam tematu. W końcu cóż to za różnica? Nade wszystko zależało mi na tym, aby się z nią pogodzić.

W maju napisała do domu, że nowojorska wystawa odniosła ogromny sukces i że sprzedała wszystkie obrazy.

- Spójrz na to! - Maty wpadła z krzykiem do mojego domu, trzymając w dłoni list od Fridy. - Nasza mała siostrzyczka wzięła Nowy Jork szturmem!

Prawdę mówiąc, to ja byłam najmłodsza w rodzinie, ale mniejsza z tym.

Zaczęłam czytać słowa napisane turkusowym atramentem na kartce ozdobionej rysunkami owoców, kwiatów i liści kaktusa.

Kochana Maty, nie uwierzysz, ale wszyscy tutaj są zakochani w Twojej Fridusi. Uwielbiają mnie do tego stopnia, że kupili absolutnie wszystkie obrazy. Alfred Stieglitz chciał nawet kupić pukiel moich włosów, a pani Rockefeller niemal ściągnęła mi suknię z grzbietu! Ależ nie, powiedziałam jej, moje tehuańskie stroje nie są na sprzedaż. Nienawidzę, kiedy *gringos* noszą indiańskie ubrania. Nie rozumieją ich znaczenia i symboliki. To czyni z naszej rodzimej kultury coś tandetnego, nie uważasz,

kochanie? Lecz w końcu zgodziłam się zamówić taką suknię specjalnie dla niej. Musiałam, kochanie. Jest dla mnie bardzo miła.

- Znowu jej się udało! - zaśmiałam się. A może i nie, pomyślałam. Może przesadza? Nie byłby to pierwszy raz. Lecz jeśli jednym z celów jej podróży było przecięcie więzów łączących ją z Diegiem, to z pewnością zdołała tego dokonać.

Kochanie, uwiodłam chyba wszystkich mężczyzn w Nowym Jorku. No, może pominęłam jakiegoś policjanta, rzeźnika albo ucznia, ale doprawdy, robiłam, co mogłam. Posłuchaj tylko, co zdarzyło się w Domu na Wodospadzie. Słyszałaś o nim, prawda, Maty? To wspaniały dom, zaprojektowany przez sławnego amerykańskiego architekta, Franka Lloyd Wrighta.

Każdy człowiek w życiu Fridy musiał być kimś sławnym - fotografikiem, aktorem, filantropem, architektem.

Dom znajduje się w Pensylwanii, w cudownym, prześlicznym miejscu, zwanym Bear Run, gdzie pełno jest drzew, strumieni i zwierząt (w tym także rodzaju ludzkiego, poczekaj, aż Ci opowiem!). Pomysł Wrighta polegał na tym, by wtopić architekturę w przyrodę - jestem pewna, że rozumiesz, o co chodzi, Maty, Cristi jakoś nigdy nie umiała tego pojąć, jest okropnie ociężała, nie sądzisz? - a więc wznosił budynek na skale nad wodospadem. Dom stoi na kilku tarasach, podwieszonych nad krawędzią skały w samym środku lasu. Możesz sobie zatem wyobrazić, że kiedy jego właściciel, Eddie Kaufman, zaprosił twoją biedną Fridusię w odwiedziny, była wprost przerażona. Wyobraź sobie, że nagle znajdujesz się wśród przyrody - wiewiórki biegają tam i sam, lisy wyskakują zza krzaków, Maty, daję słowo, że z domku gościnnego słyhać, jak pieprzą się zające! (Proszę spojrzeć, tu narysowała, jak jeden zajac skacze na grzbiet drugiego). Wieczorem zasypia się przy graniu świerszczy, szumie liści poruszanych wietrzykiem, a co najlepsze, huku i plusku wodospadu. Kiedy latem wygląda się przez okno, widzi się Swi;it jakby po raz pierwszy - gałąź wygiętą niczym egzotyczna rzeźba, kroplę deszczu (pozostałość po wieczornym sikaniu świętego Piotra!) lśniąca na drżącym płatku, drzewo niby kapłan wyciągające ramiona ku doskonałości nieba. To fantastyczne, jak

Wrightowi udało się połączyć beton, szkło i stal i stworzyć rzeźbę, w której można mieszkać! Podwieszane tarasy obejmują skałę, dając takie poczucie siły! Czułam się bezpieczna, jakbym leżała w ramionach prawdziwie ukochanego mężczyzny.

W dalszej części listu opisywała poszczególne części domu, betonową przystań, balkony, salon z ogromnymi oknami widokowymi, kręte, pełne niespodzianek schody. Zwłaszcza te schody są bardzo istotne. Chwileczkę, przeczytam panu, co było dalej:

Kochanie, nie uwierzysz, co się stało. Przede wszystkim muszę Ci wyznać, że Edgar Kaufman, jego syn (także Edgar) oraz Julien są szalenie we mnie zakochani, ja zaś flirtuję ze wszystkimi trzema. No i pewnej nocy Julien i Edgar senior postanowili rozstrzygnąć spór raz na zawsze. Każdy z nich czekał, aż ten drugi pójdzie spać, zamierzając przekraść się do mojego pokoju po podwójnych schodach. A ja leżałam sobie w łóżku i zakładałam się sama ze sobą, który wygra - doprawdy, Maty, śmiałam się do rozpuku! Najpierw słyszałam, jak Eddie otwiera drzwi i skrada się po schodach. Ale Julien wychodził ze swego pokoju, więc Eddie w popłochu uciekał na dół, czekał jednak na korytarzu, by rywal wiedział, że jest obserwowany. Wtedy Julien wracał do siebie, zamykał drzwi i cała komedia zaczynała się od nowa. No i w końcu Julien się poddał, lecz jak sądzisz, kto czekał na niego, gdy w końcu wrócił do pokoju? Ja! W czasie gdy czuwał na schodach, próbując przechytrzyć Eddiego, przekradłam się do niego, zdjęłam ubranie i wskoczyłam mu do łóżka!

Wkrótce wyjeżdżam do Paryża. Uwierz mi, mała, byłoby naprawdę świetnie, gdyby nie mój kręgosłup. Jakby diabeł

siedział mi na karku, gdziekolwiek pójdę. Po prostu wczepia się we mnie ostrymi pazurami i wbija je coraz głębiej i głębiej. Napiszę do Ciebie z Paryża. Kupić Ci jakieś perfumy?

A teraz, doktorze, proszę spojrzeć na to.

Szpital Amerykański Paryż, 15 lutego 1939

Droga Maty!

Przyjechałam do tego podziemnego świata tydzień temu i od tej pory Szatan (przebrany za Bretona) pokazuje mi swoim sukubom i inkubom (to znaczy, oczywiście, swym kumplom surrealistom) niczym nową zabawkę. Nie chodzi o to, kochanie, że mnie nie lubią. Wręcz przeciwnie, kochają mnie, lecz tylko dlatego, że sądzą, iż jestem jedną z nich. André mówi, że jestem esencjonalną surrealistką, surrealistką *par excellence*, esencjonalną, pojmujesz, mała? Myśli, że rozcinam się na pół i pokazuję swój ból, ponieważ jestem pod wpływem jego głupiej doktryny. Najbardziej podoba mu się mój obraz *Co dała mi woda*. Uważa, że pełno w nim symboli życia i narodzin, które przysły do mnie we śnie - a przecież ja tak widzę na jawie! Co bowiem dostrzegam, pływając w morzu swej własnej realności? Moją chorą stopę. Mamę i Papę. Kochankowi trupy. Szkielety i płody. Moje ciało. Chac Moola. Wieżowiec wyrzucany z wulkanu. Starą suknię z Tehuany. Splątana roślinność. Ci kretyni po prostu nie rozumieją, że my, Meksykanie, inaczej widzimy rzeczywistość. Dla nas życie i śmierć są związane; ta gówniana planetka i nirwana to jedno i to samo, kochanie. To, co im wydaje się dziwne, dla nas jest najzupełniej normalne. Do tych *grandes cacas* surrealizmu po prostu nie dociera, że poruszamy się między światem materialnym a eterycznym równie łatwo, jak żaba przechodzi z wody na ląd.

Nie uwierzysz, jak się mną tutaj przejmują, chociaż więc uważam, że to gówniarze, przyznaję, że świetnie się bawię.

Pablo jest niesłychany, obsypuje mnie podarkami i wszędzie zaprasza. Na wiosnę Picasso organizuje wielką wystawę i bardzo chce, żebym została do tej pory, ale ja nie mogę się doczekać powrotu do Nowego Jorku i spotkania z Nickiem. Jednak spotkałam tutaj fascynujących ludzi - poetę Paula Eluarda i malarza Maksa Ernsta (pewnie nigdy o nich nie słyszałaś, ale tutaj są bardzo sławni) - i oczywiście projektantkę mody, Elbę Schiapparelli. Tak jej się spodobały moje suknie z Tehuany, że postanowiła zaprojektować coś podobnego dla paryżanek! Widziałam szkice - suknia oczywiście jest rozkoszna, ale idea stroju tehuańskiego d *la pañsienne* wydaje mi się idiotyczna. Byłam na kilku zebraniach trockistów (nie mówcie Diegowi, wciąż jest wściekły na Lwa). Ale niewiele mam czasu na działalność polityczną, najdroższa Maty, gdyż w marcu otwiera się moja wystawa, a ja nawet nie mogę się nią zająć, znowu jestem chora, tym razem na zapalenie nerek. I muszę tkwić uziemiona w okropnym amerykańskim szpitalu. Co prawda, jest to podobno najlepszy szpital w Paryżu i lekarze są cudowni, bez przerwy trzęsą się nade mną, ale ja marzę tylko o tym, by się stąd wyrwać.

Szczerze mówiąc, okropnie tęsknię za Nickiem. Pamiętasz go, prawda? To Nikolas Murray, fotografik i mój największy przyjaciel, najbardziej dynamiczny, najwspanialszy mężczyzna, jakiego spotkałam, a te jego wulkaniczne, węgierskie oczy! Cóż to za kochanek! I jaki artysta! Powinnaś zobaczyć zdjęcia, które mi zrobił. Rozumie mnie, jak mało kto; fotografuje moją istotę, Maty. Moją duszę. Chcę powiedzieć, że dociera do mej wewnętrznej jaźni, do mej pasji i bólu. Wie, jak na mnie patrzeć. Och, najdroższa Maty, moja słodka siostrzyczko, czy możesz sobie wyobrazić, co znaczy pozowanie dla takiego artysty? Diego byłby bardzo zazdrosny, gdyby wiedział, jak kocham Nicka.

Maty, najdroższa, wybacz, ale nie będę mogła Ci kupić perfum, o które prosiłaś. Po pierwsze, mam tak mało pieniędzy! Musiałam wyprowadzić się z mieszkania Bretona do hotelu,

ponieważ naprawdę potrzebuję opiekunki, u niego zaś po prostu nie ma miejsca na dodatkową osobę. Byłam tak chora, że nie mogłam nawet wstać, mniejsza już o zakupy, a po wyjściu ze szpitala nadal będę wymagała opieki. Rozumiesz, co piszę, prawda, Maty? Muszę oszczędzać pieniądze, te kilka groszy, które mam, żeby zadbać o swoje zdrowie. Właściwie nic nie kupiłam dla siebie, z wyjątkiem dwóch lalek do kolekcji. Są naprawdę śliczne - jedna jest blondynką z niebieskimi oczami, druga ma ciemne włosy. To jedyne rzeczy, jakie tu nabyłam, Maty kochana - tylko te dwie laleczki, żeby dotrzymywały mi towarzystwa. Twojej siostrzyczce będzie smutno samej w Meksyku bez jej najdroższego Nicka.

Ucałuj wszystkich ode mnie i nie smuć się zanadto swoim pieskiem. Lepiej jest umrzeć, niż tak bardzo cierpieć. Biedactwo. Jeżeli sprawisz sobie następnego, nie pozwól Isoldzie go tarmosić.

Escuinclas mają bardzo delikatne kości.

Uściski i ucałowania

Twoja Frida

Ani razu mnie nie wspomniała. Ani razu nie napisała „pozdrów ode mnie Cristi”, ani „ucałuj Cristi”, ani nawet „nie mów tej suce Cristi, że do Ciebie napisałam”. Nic, ani słowa. Ani jednego słowa do siostry, która ją rozpieszczała, pielęgnowała i kochała. Ani słowa.

Z Paryża przyszedł jeszcze jeden list, tym razem adresowany do Adriany. Nie mam kopii, ale pamiętam, że był z marca i że Frida opowiadała w nim o zakończonej właśnie wystawie. Oprócz jej obrazów, pisała, pokazano także prace innych autorów, przeważnie śmieci - *cachiuaches*. Dała Adri do zrozumienia, że stanowczo ona uchodziła za gwiazdę, jednak już wcześniej zaczęłam podejrzewać, iż bywalcy galerii nie uwielbiali Fridy tak, jak chciałaby sądzić. Dlaczego tak pomyślałam? Po pierwsze, Frida zawsze przesadnie podkreślała swoje osiągnięcia, po drugie, prasa meksykańska opublikowała wreszcie recenzje z wystawy w Nowym

Jorku. Okazało się, że inaczej niż twierdziła Frida, nie wszystkie obrazy zostały sprzedane, a wystawa wcale nie odniosła finansowego sukcesu. Później zresztą wyszło na jaw, że pod względem sprzedaży wystawa w Paryżu była prawdziwą klęską. Niestety, Breton zatytułował wystawę *Mexique*, co po francusku oznacza Meksyk. *Novedades Mexicanas* byli przekonani, że Francuzi, jako zatwardziali nacjonałiści, gardzą każdym zagranicznym artystą. Może gdyby artystka była Niemką albo przynajmniej Włoszką, ale Meksykanka? Z pewnością połowa Francuzów nie wie nawet, gdzie leży Meksyk, i nie umiałyby znaleźć go na mapie. Cóż, tak powiadali *Novedades Mexicanas*, ale kto wie? Może nazwisko de Rivera nic tam nie znaczyło? A może malarstwo Fridy nie jest znów takie... Ponadto musi pan wziąć pod uwagę, że obawiano się rychłego wybuchu wojny i panowało ogólne napięcie. Chodzi o to, że człowiek srający w portki ze strachu, że Niemcy zbombardują jego dom i zabiją jego i jego dzieci, nie jest zainteresowany oglądaniem wizerunków azteckich bogów i martwych ptaków pływających w wannie.

Po opuszczeniu Paryża Frida miała jeszcze jechać z wystawą do Londynu, ale zmieniła zdanie. Była pewna, że Europa lada moment eksploduje, a poza tym bardzo chciała zobaczyć się z Nickiem. Tak nam powiedziała po przyjeździe do domu, skąd pod koniec marca wyruszyła do Nowego Jorku, na spotkanie ukochanego.

Zamykam oczy i co widzę?

Widzę ogromną, przepastną kuchnię o ścianach wyłożonych lśniącymi, bialo-niebieskimi meksykańskimi kafelkami. Widzę kotły i czajniki bulgocące na ogniu. Słyszę odgłos gotowania, bul-bul-bul, i czuję aromaty *mole*, *albóndigas eon chipotle*, *caldo de camarón*. Widzę szeroki, solidny, drewniany stół, zastawiony czerwono-białymi, ręcznie malowanymi naczyniami z Guanajuato, czerwono-żółtymi półmiskami z Puebla, kamionkowymi miskami o falistych brzegach z Oaxaca. Widzę sałatkę z awokado, *nopal* i pomidory, widzę *chilaquiles*, skwarki wieprzowe, stosy tortilli,

owinięte w luźno tkane, czerwone serwetki, zdobione kunsztownym, niebieskim, żółtym i zielonym indiańskim haftem. Widzę dwie kobiety, młode, szczupłe, prawie identyczne, niemal bliźniaczki. Pracują razem w milczeniu - jedna sieka paprykę, druga miesza sos pipidn. Obie mają posępne miny i są zwrócone do siebie plecami. Jedna siostra zdradziła drugą. Na podłogę pada cień, w pomieszczeniu brak radości.

Lecz gdy na patelni skwierczy cebula, gdy w klatce na patio świergoce papuga, kiedy masło w bano *de Maria* topnieje, a pijana mucha przelatuje z parapetu na stół, jedna siostra zaczyna bardzo cichutko nucić, druga zaś słucha i mimowolnie lekko się uśmiecha. Pora zabrać się do deserów. Czas na słodycz. Jedna siostra zaczyna mieszać ciasto w ogromnej dzieży w kwiaty, druga dodaje czekoladę w tym samym rytmie. Cień stopniowo się unosi, jakby ktoś uchylił okiennicę. Cukier zamienia się w syrop, a siostry śpiewają dziecięcą piosenkę:

Arroz eon leche, me quiero casar con una señorita de este lugar

Słodki ryżu na mleku, Chcę się ożenić Z miłą panienką ... Z tej okolicy...

Jedna siostra chichocze wysokim głosikiem, dźwięcznym niby maleńki dzwoneczek. Druga siostra pochyła ku niej głowę, uśmiechnięta.

Arroz eon leche, me quiero casar con una señorita de este lugar que sepa coser,

que sepa bordar, que sepa la tabla de multiplicar.

Słodki mleczny ryżu, Chcę się ożenić Z miłą panienką ... Z tej okolicy, Która umie tkać, Która umie szyć, Która zna na pamięć Tabliczkę mnożenia.

Pierwsza siostra odkłada łyżkę i odwraca się ku drugiej. Na jej twarzy jaśniejcie ciepły, wybaczący uśmiech. Wyciąga rękę, a druga siostra ją ujmuje. Stoją przez chwilę, ściskając się za ręce. Potem pierwsza siostra przyciąga drugą do siebie i mocno ją obejmuje. Druga siostra kładzie głowę na ramieniu pierwszej, a na jej powiece pojawia się łza. Cień znika. Kuchnię wypełnia potok światła.

Ale tak się nie stało, prawda, Frida? To tylko fantazja, marzenie, które pielęgnowałam przez całe życie. Przyszła pora, by się obudzić ze snu.

ROZDZIAŁ 21

Niewolnica i pani

Byłam niewolnicą mojej siostry. Najbardziej unizony peon nie służyłby tak wiernie swojej pani. Byłam jej sprzątaczką, popychadłem, sekretarką, kierowcą i pielęgniarką. Robiłam dla niej wszystko. Proszę posłuchać, opowiem panu, co się stało po wyjeździe Fridy z Paryża, wtedy pan zrozumie.

Proszę sobie wyobrazić osobę bardzo chorą, samą w nieznanym miejscu, którego nienawidzi, którego język jest jej obcy, którego mieszkańcy wydają się śliscy. Osoba ta zmusza się, żeby wyjść z pokoju. W końcu jest gwiazdą, publiczność na nią czeka, lecz czuje się tak osłabiona, że jedynie siłą woli wbija się w ubranie i przypina kwiat do kapelusza. Zorganizowano dla niej przyjęcie. Musi iść, to otwarcie jej wystawy, *Meñque*. Osuwa się na siedzenie samochodu i pozwala zawieźć do galerii. Wszyscy już są, zjawił się cały błyszczący światek - intelektualiści, damy z towarzystwa, aktorzy, politycy - wielcy *cacas*, których jedno słowo potrafi pomóc w karierze albo ją złamać. Artyści - prawdziwi lub niedoszli - prześlizgują się między nimi, łypią na tłuściochów mogących zafundować im wystawę, mechanicznie rozciągają naoliwione szczęki w sztucznym uśmiechu. Ona zaszywa się w kącie - dręczy ją ból, poza tym marnie mówi po francusku. Zna słowa *salaud, conasse, ta gueule*, swoje ulubione przekleństwa, ale nie umie poprowadzić rozmowy, więc nawet nie próbuje. Zatapia się we własnych myślach. Wkrótce opuści to wstrętne miasto, da sobie spokój z Londynem i pojedzie prosto do Nowego Jorku.

W Nowym Jorku mieszka on. Ona nie jest już taka młoda, ma przeszło trzydzieści lat, kto wie, czy dożyje czterdziestki. Wszystko podpowiada jej: chwytaj chwilę! Biegnij do kochanka! Taki wspaniały mężczyzna, iskrzący i płomienny. Wystarczy jej, że zamknie oczy, a widzi jego kanciasty podbródek, szerokie czoło, czuje zapach jego wody kolońskiej i ciepło oddechu. Na samą myśl o nim jej ciało topnieje niczym gorący wosk. Wyobraża sobie, jak on szepcze po węgiersku: „Chodź, kochanie, będziemy się pieprzyć”. Dla niej brzmi to jak egzotyczny wiersz, starodawne zaklęcie. Nawet w chorobie - zwłaszcza w chorobie - wspomnienie jego palców na udach rozpala ją do białości.

Jej węgierski kochanek, jej cudowny Cygan - nie widziała go od trzech miesięcy, lecz w myślach wciąż go pieści i przytula.

Aż wreszcie leci do niego. Samolot unosi ją przez Atlantyki... Nieważne, że zamiast kregosłupa ma potrzaskaną wieżę, nieważne, że maleńkie demony wpijają w jej biodra szpony ostre niczym głód - jest wolna duchem i pędzi ku niemu.

I oto znajduje się w jego mieszkaniu. Przepelnia ją miłość i namiętność. Wszystko jest takie, jak zapamiętała - popielniczka Lalique'a na stoliku do kawy, lekko spłowiałe od słońca zasłony koloru mięty, fotografia, którą zrobił im obojgu. W gablotce leży medal olimpijski zdobyty z drużyną szablistów, a ściany korytarza pokrywają zdjęcia przyjaciół - Marthy Graham, Edny St. Vincent Millay, Eugene'a O'Neilla, T.S. Eliota. Na podłodze walają się egzemplarze „Dance Magazine” i „Vanity Fair” z jego reportażami. Wszystko jest dokładnie takie jak przedtem, z wyjątkiem jednego: on już jej nie chce.

On już jej nie chce.

Ona jest kaleką o krzywych plecach, niesprawnej nodze i paskudnym usposobieniu. Ból sprawia, że staje się drażliwa i gniewa się o byle co. Wszystkiego się czepia i wciąż szuka zwady. Jej zdrowie wisi na włosku. Nie może kochać się jak akrobatka. Nick szuka młodej, zdrowej kobiety, giętkiej, płodnej panienci, chętnej do zabaw i eksperymentów. Postanowił ożenić się z kimś innym. Żegnaj, Frida.

Nie wiedziała, co się święci. Została kompletnie zaskoczona. On był zaręczony i pragnął, aby zniknęła z jego życia. Mogła jedynie spakować walizki i wrócić do domu.

W kwietniu 1939 roku Frida wróciła do Meksyku.

- Nie mogłam dłużej siedzieć w Nowym Jorku - powiedziała. - Za bardzo za wami tęskniłam.

Kłamała. Nie tęskniła za nami, tylko za Diegiem, to znaczy, jeśli w ogóle tęskniła za kimkolwiek. Ale czekało ją kolejne rozczarowanie. Diego wcale się nie ucieszył z jej powrotu. Wrócił do Lupe Marin, a wkrótce miał się związać z Paulette Goddard.

Tak, z tą Paulette Goddard, aktorką. Ale proszę poczekać, znów zanadto wybiegam do przodu.

Frida cicho płakała, ocierając oczy haftowaną chusteczką, która kiedyś należała do Mami. Siedziałyśmy przy stole w kuchni w Casa Azul, przy którym jako dzieci jadałyśmy tortille i *guacamole*. Frida zachowywała się melodramatycznie, bardzo mnie irytowała, ale postanowiłam jej darować. Byłam jej to winna - potrzebowała mnie, a ja zrobiłam coś okropnego i teraz bardzo chciałam naprawić stosunki między nami.

Chciałam zapytać, czemu tak długo do mnie nie pisała, ale nie zapytałam.

- Nawet kiedy byłam z Nickiem - mówiła - cały czas myślałam o Diegu. To znaczy, kochałam Nicka, przyznaję, ale nie przestało mi zależeć na Diegu, zawsze go kochałam, Cristi.

Wiedziałam, że mówi prawdę, bo ja też nie przestałam kochać Diega. Nieważne, co robiłam - szykowałam lekarstwa dla Papy, cerowałam spódniczkę Isoldy, grałam w karty - Diego zawsze był w moich myślach. Myślałam o nim, kiedy budziłam się w nocy, kiedy pisałam list na maszynie. Nawet kiedy trzęsłam tyłkiem na parkiecie jakiejś mrocznej knajpy - co ostatnio nie zdarzało się często - Diego wyłaniał się z cienia, znikał i znów się pojawiał.

Od czasu do czasu natykałam się na niego u Loli Bravo. Niekiedy Maty prosiła, bym zaniósła mu przysłane przez Fridę wycinki z prasy nowojorskiej. Czasem potrzebował moich usług jako

sekretarki lub chciał, żebym gdzieś go zawiozła. Zazwyczaj gawędził ze mną trochę; opowiadał, jakie nowiny otrzymał od swojej Fridity, relacjonował jej ostatnie wyczyny - nie z mężczyznami, rzecz jasna - albo mówił o próbach, które podejmował, aby jej prace obejrzał jakiś wpływowi amerykański krytyk.

- Simon Weintraub napisze o niej artykuł. Mnie nie może odmówić! Jest mi winien pieniądze!

Widzi pan, nadal ją kochał, mimo że nie mieszkali razem, mimo że bez przerwy się kłócili, mimo że traktował ją jak śmieć. Łączyło ich głębokie, serdeczne przywiązanie i nic nie mogło tego zmienić. Diego nie dbał już o mnie, chociaż był dla mnie bardzo dobry. Kupował mi prezenty - srebrny świecznik, zabawki dla dzieci, jedwabny szal, srebrny grzebień. Kiedyś przyniósł Isoldzie plakat filmowy ukazujący Tita Guizara w *Alid en el Rancho Grande*. Ale między nami wszystko się zmieniło. Nasza zdrada, krzywda, jaką wyrządziliśmy Fridzie, zalegała cieniem niczym ohydny upiór, przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Sądzę, że jemu przeszkadzało to znacznie mniej. Seks oznaczał dlań radość i zabawę. W sposób naturalny zmierzał do przespania się z każdą kobietą, którą spotkał na swej drodze. Niektórzy ludzie, mijając psa, nie mogą się oprzeć, by go nie pogłaskać, inni muszą powąchać każdy napotkany kwiatek, a Diego miał podobny odruch w stosunku do kobiet. Dlatego też nie czuł się tak nieszczęśliwy, tak winny jak ja. Może przestałam go interesować - w końcu wokół rosło tyle innych kwiatków - lecz wiem jedno: z pewnością nadal zależało mu na Fridzie.

A przecież, gdy Frida wróciła do kraju, Diego nie czekał na nią z otwartymi ramionami w ciepłym łóżku. Nie, Diego mieszkał z Lupe Marin.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, gdzie osiadzie Frida po powrocie. Czowała się zbyt słabo, żeby mieszkać sama. Wyglądała jak kupa korzeni wyrwanych z ziemi i ledwie chodziła. Chociaż nie pisała do mnie, obie wiedziałyśmy, że nikt nie otoczy jej taką opieką, jak kochająca siostra, niemal bliźniaczka. Maty wzięłaby ją

do siebie, gdyby nie jej kłopoty domowe, ale Frida wolą mieszkać ze mną i ze swoją ulubioną siostrzeniczką i siostrzeńcem. Potrzebowała pielęgniarki, a ja przecież zajmowałam się Papą, cóż więc za różnica, czy wylewałam jeden nocnik, czy dwa? Nabrałam wielkiej wprawy w przygotowywaniu lekarstw i liczeniu pigułek. Umiałam robić zastrzyki jak zawodowa pielęgniarka, a termometr wsadzałam w tyłek z szybkością błyskawicy. Cóż, przyjechałam Fridę do Casa Azul i umieściłam w jej dawnym pokoju razem z kolekcją lalek, kościotrupem z papier-mache i łóżkiem pod baldachimem.

W dzień po jej przybyciu zjawił się Diego, jednak nie sam, lecz w towarzystwie Lupe i swej nowej asystentki, Irene Bohus. I Paulet-te Goddard.

Trzymali się z Lupe za ręce jak dzieci.

- Patrz, kochanie, cośmy ci przynieśli - powiedziała Lupe i wyjęła z torby wielobarwny drewniany naszyjnik. Składał się z malowanych paciorków i maleńkich rzeźbionych papug - różowych z zielonymi skrzydłami, niebieskich z żółtymi, czerwonych z fioletowymi.

Frida porwała go chciwie i zarzuciła na szyję, udając, że jest zachwycona. Ale kątem oka śledziła, jak Diego bawi się palcami Lupe, jak opiera jej dłoń o swoje biodro, jak pozornie ukrywa swoje gesty przed Fridą, lecz wyraźnie chce, by je zauważyła.

Irene skromnie stała obok. Wtedy nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, że Diego zdradza Lupe z Irene.

Paulette Goddard przysiadła na poręczy fotela i uśmiechała się promiennie, ale nie odezwała się ani słowem. Nie mówiła dobrze po hiszpańsku, możliwe nawet, że czuła się nieswojo. Na ekranie zachowywała się wyzywająco, lecz w rzeczywistości była cicha jak myszka, przynajmniej dopóki nie poznała kogoś lepiej. Tak, mówię o tej Paulette Goddard, jasnowłosej hollywoodzkiej bogini, gwiazdzie wielu komedii. Widziałam je wszystkie: *Dzisiejsze czasy*, *Ghost Breakers*, *Second Chorus* - to był musical - i kilka lat później *Dziennik panny służącej*, *Mąż idealny*, i co jeszcze? - aha, *The Torch*... Pan też lubi jej filmy? A który najbardziej? Ja uwielbiałam

Meża idealnego, to bardzo śmieszny film. Może mi pan nie uwierzy, ale Paulette często mnie odwiedzała, wręcz zaprzyjaźniła się ze mną. Przychodziła do mojej kuchni i częstowała się kawą i ciasteczkami kokosowymi. A więc widzi pan, że poznałam paru aktorów. Może nigdy nie byłam znaną artystką, tak jak Frida, ale miałam sławnych przyjaciół. Kto mógł wiedzieć, że Diego niedługo zdradzi z Paulette zarówno Lupe, jak i Irenę!

To okrutne, że Diego postanowił zjawić się z całym stadkiem kobiet. Pocałował Fridę w usta i przez chwilę się nad nią rozczulał, ale prawie nie pytał o wystawy. Wiedział już, że zrobiły klape, być może więc, w pewnym sensie, starał się być miły. Nie chciał zmuszać Fridy do przyznania, że musiała spakować większość obrazów i przywieźć je do kraju. Nie chciał skupiać uwagi na tym, że zamiast zarobić fortunę, straciła mnóstwo pieniędzy. Rzeczywiście, zachował się okrutnie, dając do zrozumienia, że teraz jest z Lupe. Ale taki już był.

Frida od razu się zorientowała, że Diega i Lupe coś łączy, zapewne też od razu podejrzewała, że Irenę jest jakoś w to zaangażowana. Mniej więcej wtedy namalowała swój autoportret w cierniowym naszyjniku, jakby odpowiedniku Jezusowej korony cierniowej. Święta Frida, cierpiąca na krzyżu.

Jestem niesprawiedliwa. Naprawdę cierpiała - cierpiała okropnie. Najpierw utraciła Nicka, a teraz Diega. Dlatego też postanowiłam porządnie się nią zająć - była strzępem człowieka, a ja czułam się samotna. Potrzebowała mnie w takim samym stopniu, jak ja jej.

Nie złościło mnie, że muszę ją obsługiwać. No, może trochę, w końcu to normalne, że czasem czujemy się wykorzystywani, ale wiedziałam, jak jestem jej potrzebna. Na owym etapie mojego życia nie było ze mną najlepiej. Nie całkiem jeszcze przyszedł do siebie po operacji woreczka, a ponadto miałam pod opieką dwoje małych dzieci. Isolda skończyła dziesięć lat, a w tym wieku dziewczynki ogarnia duch przekory, toteż bez przerwy się kłóciłyśmy. Kiedy kazałam jej włożyć niebieską sukienkę, oczywiście

wolała żółtą. Kiedy prosiłam, by została z dziadkiem, koniecznie chciała bawić się w parku. A kiedy się na mnie złościła, biegła do Fridy, która pozwalała jej na wszystko.

Tia Frida, da Frida, da Frida... *Tia* Frida przez cały boży dzień. Ciocia Frida jest dowcipna i mądra! Ciocia Frida maluje jak marzenie. Ciocia Frida jest piękna i nowoczesna. Ciocia Frida pali amerykańskie papierosy. Ciocia Frida zna tylu ważnych ludzi. Ciocia Frida gotuje lepiej niż ty. Ciocia Frida pozwala mi używać swoich kosmetyków. Ciocia Frida dała mi ten pierścionek. Ciocia Frida naprawdę mnie kocha. Biedna ciocia Frida, okropnie bolą ją plecy. Okropnie boli ją noga. Okropnie boli ją biodro, bolą ją nerki, boli ją stopa boli ją głowa bolą ją oczy bolijąkostkabolijamied-nicabolijapalec. Nie mogłam już tego słuchać, ani od Fridy, ani od mojej własnej córki!

Chociaż muszę przyznać, że jeżeli ja przeżywałam czyściec, to Frida przechodziła piekło.

Pozwoli pan, że opowiem o Irenej Bohus.

Nie olśniewała urodą. Należała do dziewcząt, z którymi Diego sypiał, bo po prostu były pod ręką. Pochodziła z Węgier, miała grube kości i włosy do ramion, ciasno ściągnięte w chmurę loków na karku, niczym Andrea Palma w filmie *Disñnto amanecer*. Ale Irenę nie była tak piękna jak Andrea. Przyjechała do Meksyku uczyć się malowania fresków i mieszkała w pracowni Diega.

Tego dnia, gdy Diego zjawił się w pracowni z Lupe, Irenę i Paulette, Fridę zaczęły boleć plecy, poszła więc do swego pokoju się położyć. Po chwili i my podążyliśmy za nią - przyjmowanie gości w łóżku nie było dla Fridy niczym niezwykłym. Pod koniec życia weszło jej to w zwyczaj, zwłaszcza po amputacji, kiedy wstawanie sprawiało jej wielką trudność. Ale o tym opowiem innym razem.

Lupe, Diego i ja stanęliśmy przy dosuniętym do ściany łóżku, Irenę zaś przysiadła w nogach, spoglądając na Fridę z uwielbieniem. Ludzie byli urzeczeni Fridą, toteż Irenę, mimo iż sypiała z Diegiem, zakochała się we Fridzie i pragnęła, by Frida też ją

pokochała. Wielka Frida Kahlo! Za ledwie dwudziestoletniej dziewczynie musiała wydać się wspaniała niczym gwiazda filmowa.

Lupe robiła piorunujące wrażenie w obnażającej ramiona bluzce koloru wina i luźnych białych spodniach. Jej czekoladowe oczy lśniły, a podbródek miała arogancko uniesiony, zupełnie jakby pozowała nago adorującemu ją uczniakowi. Frida wszakże nie dała się zaćmić - włożyła suknię z Tehuany z mnóstwem falbanek i wpięła we włosy czerwone i białe róże. Na wszystkich jej palcach lśniły pierścionki, na ogół tandetne - fałszywe szmaragdy, rubiny, diamenty, szafiry i tym podobne - ale sprawiające wrażenie niesłychanego bogactwa. Frida zazwyczaj nosiła na siekaczach dwie złote protezy, ale dziś włożyła koronki z diamentami, nadające jej wygląd azteckiego bóstwa. Zdjęła ortopedyczne buty, lecz poza tym była całkowicie ubrana, wręcz wystrojona, i siedząc na kołdrze, rozprawiała o Paryżu:

- Myślę, że są wspaniałymi kucharzami, ale jedzą głównie ślimaki i mrówki w tłustych sosach. Doprawdy, mi *amor* - zwróciła się do Lupe - przyzwoite tortille są nieosiągalne.

- A widzisz? Powinnam była z tobą pojechać! Robiłabym ci pyszne *mole poblano*

- Kochanie, co ty wygadujesz! Miałam zapalenie nerek, a poza tym byłaś zbyt zajęta pieprzeniem się z moim mężem. - Frida zaśmiała się i zaciągnęła papierosem.

Lupe zachichotała, ale wyraźnie była zbita z tropu. Diego i Irenę spojrzeli na siebie ukradkiem. Nic bym nie zauważyła, gdyby Frida nie zadrwiła:

- Wiesz, kochany, źródło, z którego czerpie zbyt wiele dzbanów, szybko wysycha.

Nie zrozumiałam.

Diego wybuchnął śmiechem i długo nie mógł przestać.

- A wiesz - powiedział - dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie.

- Nie martw się o mnie, mój drogi, na razie mi się nic nie urwało i zamierzam odwiedzić wszystkie źródła na świecie.

- Błysnęła diamentami w szerokim, złowieszczym uśmiechu, niczym dzikie, egzotyczne zwierzę, cesarski jaguar.

Diego zmienił się na twarzy i spojrzał na nią z kwaśną miną. Nie lubił, gdy mu przypominano, że Frida sypia z kim popadnie, zupełnie tak jak on.

Irenę zaczęła wiercić się niespokojnie.

- Kochana dziewczynka - mruknęła Frida. - Może byś jutro przyszła sama, bez tych wszystkich nudnych ludzi, a ja nauczę cię gotować *enchiladas tapatias*? Powinnaś opanować jakąś sztukę, zanim wrócisz do swego kraju.

W rzeczywistości Irenę wyjechała znacznie później z powodu wybuchu wojny.

Wtedy zorientowałam się, że Diego sypia z Irenę; Frida znów zaczęła stosować dawne sztuczki. Pamięta pan? Mówiłam, że zawsze usiłowała się zaprzyjaźnić z dziewczynami Diega, gdyż wówczas stanowiły dla niej mniejsze zagrożenie. Czasem nawet udawało jej się odciągnąć je od niego. Traktowała je tak życzliwie, że zaczynały czuć się winne i przestawały się z nim zadawać.

Lecz ani Lupe, ani Irenę, ani Frida nie wzięły pod uwagę, że Paulette wprowadziła się do luksusowego zajazdu San Angel, dokładnie naprzeciwko pracowni Diega!

Zamiast jednak następnego dnia udzielić Irenę lekcji gotowania, Frida przyrządziła dla niej i Diega wytworny obiad i kazała mi go zawieźć do pracowni. Właściwie wcale go nie przygotowała, tylko zleciła gotowanie Gracieli. Tak, Graciela to była nasza służąca, pomoc kuchenna, Inocencia bowiem już dawno zmarła.

A więc wstawiłam koszyk do samochodu i pojechałam.

Dzień był ciepły, lecz pochmurny. Powietrze cuchnęło gnijącymi warzywami. Po ulicach krążyło mniej przechodniów niż zazwyczaj i, zda się, wszystko zmieniło miejsce. To znaczy, owszem, na rogu, pod szyldem Lavanderia Olmedo, nadal mieściła się pralnia, obok niej zaś garaż, po którego podłodze wały się pokryte smarem narzędzia. Mechanicy grzebali w jakimś samochodzie, a na ścianie za nimi wisiał ten sam od lat plakat z rozebraną dziewczyną.

Poznałam sprzedawcę gazet stojącego obok wózka z wodą sodową i sprzedawcę losów opartego o ścianę budynku. A jednak poczułam się zdezorientowana, jakbym znalazła się w obcym mieście, w innym czasie, lub jakbym zmierzała w niewłaściwą stronę. Wszystko wyglądało tak samo, lecz nic nie wyglądało znajomo. Miałam wrażenie, że powinnam zawrócić do Coyoacan i zacząć podróż od nowa. Dojechawszy do skrzyżowania, nie wiedziałam, czy skręcić w lewo, czy w prawo, choć przecież jechałam tą drogą setki razy.

Pod pracownią Diega zaparkowałam zbyt daleko od krawężnika, lecz nie potrafiłam zrobić tego lepiej. Zostawiłam samochód i wzięłam koszyk mocno pod pachę. Wciąż mi się wydawało, że zaraz go upuszczę i wtedy wszyscy będą na mnie wściekli - Diego, Frida, może nawet Irene.

Drzwi otworzyła mi służąca, stara Indianka, której nie widziałam przedtem. Gdzie podziła się znajoma pokojówka Petronila? Kobieta przede mną przypominała obszarpaną kupę łachów. Wyglądało na to, że wcale się mnie nie spodziewała, ale na szczęście pozwoliła mi wejść do środka. Uznałam, że Diego pewnie zapomniał uprzedzić ją, iż przyniosę mu obiad.

I oto ich ujrzałam - mistrza i jego uczennicę, tak zatopionych w pracy, że wręcz nie dostrzegli mojego przybycia. Oboje malowali jedną modelkę, wyciągniętą nago na kanapie w tej samej pozie, w której niegdyś Diego malował mnie jako boginię, Chimalmę, świętą matkę najbardziej czczonego boga Azteków. Ale tym razem bogini była jasnowłosa, długonoga, białokremowa, o cudownie pełnych piersiach - innymi słowy, doskonała.

- Cześć, Diego - powiedziałam.

Diego odwrócił się ku mnie, ale przedtem wymienił znaczące spojrzenia z pozostałymi i zrobił taką minę, jakby właśnie pierdnął na własnym ślubie.

Co się tu działo? Co oznaczały te spojrzenia? Pozornie miałam do czynienia z całkiem zwyczajną sytuacją - artysta i jego uczennica malowali akt. Ale pod gładką powierzchnią oceanu wybuchają wulkany, a drapieżne ryby pożerają się nawzajem.

Paulette podniosła się wolno z kanapy, lecz bynajmniej nie śpieszyła się, by narzucić szlafrok. Poruszała się z gracją tancerki - wciągnięte pośladki, płaski brzuch, wdzięcznie falujące ramiona, niewielkie, kontrolowane kroczki. Diego patrzył na nią wzrokiem głodnym, lecz nie zachłannym. Widać było, że już zdążył nacieszyć się jej ciałem, że zaspokoił najbardziej palący apetyt. Na razie czuł się syty; później zapewne zechce więcej.

Z drugiej strony, Irenę spoglądała łączywie na ciało Paulette, niczym dziecko na tacę pełną beżów. Czyżby oboje kochali się w Paulette? Czyżby Diego przyglądał się obu kobietom, kiedy to robiły? A może widzem była Irenę? Może miałam tu do czynienia z niekonwencjonalnym trójkątem? Najwyraźniej Diego i Paulette byli kochankami, Diego i Irenę też byli kochankami, ale co prócz tego łączyło tych troje? I jakie miejsce zajmowała w tym Lupe?

Wracalam do domu jeszcze bardziej oszołomiona niż przedtem. W pobliżu San Angel skręciłam w niewłaściwą stronę i straciłam masę czasu, kręcąc się w kółko po okolicy. Normalnie trafiłabym stamtąd do Coyoacan z głową w worku, ale tego dnia świat wypadł z formy.

Nieustannie zadawałam sobie pytanie: czy powinnam opowiedzieć Fridzie o Paulette? Teraz, kiedy postanowiła zdobyć przyjaźń Irenę, może powinnam ją uprzedzić, że należy zmiękczyć Paulette? Jakże Frida miała nadażyć za Diegiem? Uwodził te dziewczyny szybciej, niż ona zwabiła je pod swoje opiekuńcze skrzydła. Postanowiłam, że nic jej nie powiem.

Na razie miałam ważniejsze problemy. Jak wytłumaczę półtoragodzinne spóźnienie? Jak wyjaśnię, że zabłądziłam, jadąc z jednego znajomego miejsca do drugiego, na drodze, którą znałam jak własną sypialnię? I że zapomniałam przygotować popołudniową porcję lekarstw?

Okazało się jednak, że nie musiałam nic nikomu wyjaśniać. Papa nadal był półprzytomny po środku nasennym, który dostał rano; Graciela podała mu obiad i położyła go do łóżka. Czekala go, jej zdaniem, długa, przyjemna sjesta.

Frida miała zbytnio w czubie, by interesować się godziną mego powrotu. Całe rano chlała; pociągała z butelki już wtedy, gdy Graciela siekała cebulę do *comida* dla Diega i Irene, głowa opadała jej coraz niżej, aż wreszcie osunęła się na łóżko. Zażyła więcej środków przeciwbólowych niż zwykle - na plecy, na nogę, na stopę, a teraz dodatkowo na grzybiczą infekcję palca. Doktor Ovando, specjalista, zapisał jej jakieś proszki i kazał ograniczyć malowanie, bo całodzienne trzymanie pędzla w rękę jej szkodziło. Dlatego też nie pokroiła cebuli na obiad, zamiast malować popijała i nieustannie zażywała tabletki, aż w końcu zrobiła się przykra, potem wpadła w histerię, a potem straciła świadomość.

Sądziłam, że romans z Paulette Goddard przeminie, jak wszystkie inne związki Diega. Co za różnica, myślałam, czy Frida dowie się o nim, czy nie? Po prostu kolejny wyskok niewarty wzmianki, a Frida była w fatalnej formie fizycznej i psychicznej.

Ale wtedy zaczęły się plotki. Diego uwielbiał popisywać się swymi kobietami, toteż pojawił się na premierze filmu *Sólo para ti* z Paulette uwieszoną na jego ramieniu, cały w skowronkach, z maślanymi oczami. Działo się to w obecności tuzinów dziennikarzy; zdjęcie Diega pojawiło się we wszystkich gazetach, a jego nazwisko we wszystkich nagłówkach: **SŁYNNY MALARZ FRESKÓW I AMERYKAŃSKA GWIAZDA FILMOWA... RIVERA I GODDARD RAZEM NA PREMIERZE... BLOND PIĘKNOŚĆ ZAKOCHANA W DIEGU RIVERZE!... OŚ HOLLYWOODZKO-MEKSYKAŃSKA!**

W innych okolicznościach Frida jakoś by to zniosła, ale po zerwaniu z Nickiem i klęską wystaw w Paryżu i Nowym Jorku ta kropla przelała czarę goryczy.

Ledwie wiadomość ukazała się w gazetach, a już Lupe zapukała do naszych drzwi.

- Nie przeszkadza mi, że sypia z tobą! - wybuchnęła. - W końcu jesteś jego żoną! Ale ta amerykańska krowa zagrała na nosie nam obu!

Frida zaczęła płakać. Nie zrobiła sceny, nie dostała ataku hysterii, po prostu cicho szlochała, ocierając oczy starą haftowaną

chusteczką Mami. Wyraźnie bardzo cierpiała. W jej bólu nie było cienia udawania ani fałszu. Wiem, że powie pan, że sama ściągnęła na siebie nieszczęście - przecież zdradziła Diega z Nickiem. Ale ucieczka do Nowego Jorku i romans z Murrayem wydarzyły się tylko dlatego, że czuła się straszliwie opuszczona i zrozpaczona.

A kiedy związek z Nickiem się skończył, wróciła do męża, prawda? Chora i przygnębiona przyjechała do domu, do Diega. On jednak nie zaoferował jej moralnego wsparcia i serdeczności, lecz zachował się jak gówniarz. Owszem, przyjeżdżał z prezentami, ale nigdy nie dał jej siebie. A ta sprawa z Paulette po prostu wykończyła Fridę. Paulette była zbyt seksowna, zbyt piękna, zbyt jasnowłosa, dlatego sędzę, że Frida uznała, iż nie może z nią rywalizować. Podobnie jak nie potrafiła uprawiać akrobacji w łóżku z Nickiem, nie umiała tego robić z Diegiem, i świadomość, że nie jest w stanie sprostać fizycznym potrzebom swego męża, dobijała ją, po prostu ją niszczyła. A teraz, kiedy Diego jeszcze rozgłosił wszem i wobec swój związek z Paulette, Frida załamała się zupełnie. Ireńę to co innego, Ireńę się nie liczyła, była zwykłą asystentką w pracowni, ale Paulette? Któż mógłby konkurować z Paulette Goddard!

Dziewiętnastego września 1939 roku Frida wystąpiła o rozwód, który sfinalizował się na początku następnego roku.

Ścięła włosy - zawsze tak robiła, gdy przeżywała z Diegiem poważny kryzys. W ten sposób wyrażała swój ból, można wręcz powiedzieć, że w ten sposób go karała, albowiem Diego kochał jej włosy.

A więc, jak pan widzi, Frida nie miała już nikogo z wyjątkiem kochającej siostry. Któż by się nią opiekował lepiej ode mnie? Któż bardziej ją kochał? Musiałam żyć dla niej - ja, Cristina, jej siostra, przyboczna i niewolnica.

ROZDZIAŁ 22

Powiązania

Nazywał się Ramón Mercader i sprawił, że poczułam się lekka, płynna, wiotka niczym meduza unosząca się w ciepłej wodzie, poddająca się kaprysom łagodnego prądu. Kiedy uśmiechał się do mnie, przypominałam sobie rzeczy, o których nie myślałam od lat - maleńką plażę w pobliżu Cozumel, gdzie jako dziecko bawiłam się na piasku odurzona wonią solanki. Ale teraz nie byłam już dzieckiem, lecz istotą bezforemną, przezroczystą i uległą, ufnie powierzającą swój los żywiołom, bóstwom dobrym i łaskawym.

Przy żadnym innym mężczyźnie tak się nie czułam. Nawet nie chodziło o to, w jaki sposób do mnie mówił, lecz w jaki sposób mnie słuchał - jakby naprawdę interesowało go to, co mam do powiedzenia. Zadawał mi pytania, chciał wiedzieć, co sądzę i co wiem. Był hiszpańskim komunistą i oczywiście należał do przyjaciół Fridy. Poznała go w Paryżu, więc kiedy przyjechał do Meksyku, zaglądał do nas od czasu do czasu, jednak nie tak często, jakbym sobie życzyła.

Nie zostaliśmy kochankami, choć bardzo tego żałuję. Wyobrażałam sobie, że jest księciem, na którego czekałam, hiszpańskim konkwistadorem, który uwozi piękną dziewczę Azteków ku zachodzącemu słońcu, aby dać początek nowej rasie Metysów. Ramón wyraźnie nie miał czasu na miłość, zbyt pochłaniała go polityka. A jednak wciąż miałam wrażenie, że się kochamy, gdyż w rozmowie oddawał mi się całkowicie, jak żaden inny z moich mężczyzn.

Był człowiekiem zmagającym się ze światem. Rzecz jasna, rozmawialiśmy o partii, do której miał stosunek namiętny. Zaprzętały go takie tematy, jak Trocki, Diego, przyszłość stalinizmu,

pytanie, czy Sowieci wytrzymają hitlerowską ofensywę i czy Ameryka weźmie udział w wojnie. Nigdy nie traktował mnie z góry i - inaczej niż Diego albo Frida - nie sypał banalnymi stereotypami. Obcując z nim, czułam, że wszystko, co mówi, płynie prosto ze środka, z jego jaźni. Przemyslał wiele spraw i samodzielnie wyciągnął wnioski, toteż każde słowo, które wypowiadał, pochodziło z niezgłębionego oceanu jego ducha.

Poetycko mówię, no nie? Podobało się panu? „Niezgłębiony ocean ducha”. Tak właśnie mówił Ramón, takich używał określeń: „Ach, Cristinita, te prawdy wydobyłem z niezgłębionego oceanu mego ducha”. Uwodził za pomocą słów, a ponadto jako Hiszpan miał cudowny iberyjski akcent - *gratias* zamiast *gracias*, *cotesz* zamiast *coces*. Ha! Słyszając jego rozkoszną kastylijską wymowę, zaczynałam chichotać, prawdę mówiąc, czasem w ogóle nie wiedziałam, o czym mówi, ale to nie miało znaczenia - omdlewałam na sam dźwięk jego głosu.

Frida nie umiała być sama. Zawsze musiała przebywać w otoczeniu ludzi, którzy ją adorowali i chwalili. Po rozwodzie wysiała tony zaproszeń, a nasz dom zamienił się w hotel, do którego tłoczyły się znane osobistości, aby uzyskać audiencję u cesarzowej. Byli wśród nich ludzie znani i fascynujący, gwiazdy, które dorównywały blaskiem Fridzie. No, prawie. Kiedy odrosły jej włosy, zaczęła przyjmować gości ubrana w koronkowy strój, z upierścienionymi dłońmi, z głową przystrojoną w koronę z kwiatów hibiskusa. Dzielna Frida. Skrzywdzona żona. Cierpiąca ofiara. Kaleka skrywająca ból. Teraz stała się obiektem podziwu już nie tylko ze względu na stan zdrowia - „Co za odwaga, przyjmować gości, tak bardzo cierpiąc”, ale także z powodu stanu cywilnego - „Co za odwaga, występować samotnie, bez Diega!”. Była zjawiskiem niespotykanym w Meksyku - kobietą rozwiedzioną. Nie tylko kobietą żyjącą samotnie, bez mężczyzny, bo wiele z nas spotkał taki los, ale kobietą pracującą, prawdziwą towarzyszką, która na siebie zarabia i udziela się społecznie.

Wygrywała rolę dzielnej towarzyszki aż do znudzenia. Głowa do góry, wzrok jasny, uśmiech na ustach, żart na końcu języka.

Czasem, podczas kolejnego przyjęcia, siedziała w kuchni i dowcipkowała ze służbą - „Widzicie, *companeros*? Nie czynię rozróżnień!”. Kiedy ktoś pytał: „Gdzie Frida?”, odpowiedź często brzmiała: „Łuska kukurydzą!”, „Obiera ziemniaki!”, „Miesza ciasto!”. I bez względu na odpowiedź, wierna brygada admiratorów reagowała chórem ochów i achów.

Muszę przyznać, że uwielbiałam te przyjęcia. Uwielbiałam, gdy porywał mnie wir zdarzeń, choćby tylko z tego powodu, że byłam siostrą Fridy Kahlo. Czasem zresztą o tym zapomniałam - to znaczy, czasem przestawałam o tym myśleć i po prostu dobrze się bawiłam. W końcu wszyscy traktowali mnie bardzo miło. I byłam kimś, częścią grupy. Należałam do nich. Tylko dlaczego wciąż miałam uczucie, że muszę to udowadniać?

Jedyną osobą, która nie potrzebowała dowodu, był Ramón Mercader.

- Twoja siostra - rzekł kiedyś do mnie - to niezła polityczna komediantka, prawda?

Nie zrozumiałam, ale wstydziłam się do tego przyznać. Ramón zdał sobie sprawę, że nie wiem, o co mu chodzi, lecz zamiast złośliwie ze mnie zakpić, jak zwykła to czynić Frida.

- „Boże, Cristina, nie wiesz nawet co znaczy «komediantka»?” - po prostu ciągnął dalej:

- Właściwie, Cristinita - powiedział cicho - wolę osoby takie jak ty, które nie obnoszą się ze swymi poglądami.

Pojęłam.

- Frida się nie obnosi, ona naprawdę wierzy w komunizm

- zaprotestowałam.

Uśmiechnął się i pogłaskał mnie po policzku. Miałam ochotę ucałować jego dłoń. Mówił o życiu zgodnie z przekonaniem, o wyrażaniu siebie w codziennej egzystencji, o monumentalnej pracy zwykłych ludzi. Nic mnie to nie obchodziło. Pragnęłam tylko, by mnie dotykał; jego słowa obmywały mnie niby ciepła, wonna kąpiel.

A potem, któregoś dnia, Ramón Mercader zniknął. Wyglądałam go przy każdej towarzyskiej okazji, na każdym komunistycznym

wiecu, ale po prostu rozplynał się w powietrzu. Miałam wrażenie, że usycham niczym kwiat na pustyni. Nikt nic o nim nie wiedział, nie mogłam odnaleźć jego adresu, nie miał telefonu. Zamachy polityczne nie należały w Meksyku do rzadkości, toteż każdego dnia z obawą i nadzieją sprawdzałam, czy w gazetach nie pojawi się jego nazwisko. Przygotowałam się na to, iż któregoś dnia zobaczę nagłówek **HISZPAŃSKI KOMUNISTA ZASTRZELONY**. Ale nawet jeśli Ramón zmarł, to wiadomość o tym nie trafiła do gazet.

Frida nic nie zauważyła. Otaczało ją wielu przyjaciół i jeden hiszpański komunista więcej czy mniej nie robił różnicy. W rzeczywistości, mimo pozorów beztroski, Frida była w marnej formie, ale nie miało to związku z Ramónem. To rozwód tak na nią wpłynął. Nie mogła znieść faktu, że nie jest już żoną Diega.

Wiedziałam, co mam zrobić. Musiałam zapomnieć o swojej miłości. Musiałam wypchnąć Ramona z pamięci i zająć się siostrą. Przełknęłam zatem łzy, zagryzłam wargi - dzielna Cristi - i poszłam zobaczyć się z Paulette Goddard.

Wbrew temu, co pan myśli, kochałam siostrę i nie mogłam patrzeć, jak zżera ją rozstanie z Diegiem, jak trawi jej zdrowie i niszczy jej odporność, niczym grzyb zżerający żywą tkankę. To było okropne. Pomimo rozwodu Frida nadal przejmowała się sprawami Diega, nieustannie się o niego martwiła. Całymi dniami zastanawiała się, czy Diego przestrzega diety, czy przysłano koszule, które zamówił w Nowym Jorku, czy Irenę daje mu dupy - przepraszam, ale takiego języka używała Frida. Ciekawe, pytała, czy Diego naprawdę kocha Paulette? I co z Modestą? Modesta była jedną z modelek Diega, niebywale zmysłową Indianką, którą malował nago, z włosami splecionymi w warkocze.

Diego i Frida nadal się widywali - prowadziła jego rachunki! Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale to prawda. Diego nie miał głowy do liczb i jego interesów zawsze pilnowała Frida - kto zapłacił, kto był mu winien pieniądze, jakie miał przychody i rozchody. I kontynuowała tę usługę, zupełnie jakby się nie rozeszli. A kiedy nie mogła przebywać u jego boku, z niepokojem

odchodziła od zmysłów. Co Diego teraz robi? Co je, pije, myśli? Miała obsesję na tym punkcie.

Z pozoru jak zwykle zadziorna i pełna życia, w środku całkiem zmarniała. Dlatego postanowiłam wybrać się do Paulette; zamierzałam powiedzieć jej, jaką krzywdę wyrządza Fridzie. Nie oczekiwałam, że się tym przejmie, ale chciałam, żeby wiedziała. Paulette należała do kobiet, które zawsze muszą być związane z kimś sławnym. Żyła już z Charliem Chaplinem, z którym zresztą w końcu się pobrali. Uwielbiałam Charlie Chaplina - był uroczy i wzruszający, zwłaszcza w *Dzisiejszych czasach*. Ten film lubiłam najbardziej. A zatem, myślałam sobie, skoro może mieć takich facetów, jak Charlie, po co potrzebny jej Diego? Czemu nie da mu spokoju? Miała wszystko - pieniądze, urodę, sławę. Próbowwała nawet dostać główną rolę w *Przeminęło z wiatrem*. Chciała grać Scarlett. Nie zagrała.

Rozumiem, że to nie była jej wina, że to Diego uganiał się za nią. Ale moja siostra zaczęła wyglądać jak wyżęta ścierka i musiałam podjąć jakieś kroki. Na ulicy Frida zachowywała się niczym gwiazda filmowa, ktoś w rodzaju Rity Hayworth - machała do wielbicieli, wołała: *Hola, cuate! Hola, mi amor!*, zalotnie puszczała oko, a na widok ładnego chłopca oblizywała się, jakby dostrzegła soczyste mango - ale potem wracała do domu i chlęła bez umiaru, po czym padała nieprzytomna jak kupka nieszczęścia i szmat mokrych od wina. Owszem, umiała wziąć się garść przy okazji przyjęć i występów publicznych, lecz w samotności się załamywała. Czuła się dobrze tylko wtedy, kiedy malowała. Na szczęście tego roku malowała bardzo wiele. Oczywiście same autoportrety. Frida z małpką, z czerwoną niczym krwawe cięcie wstążką na szyi. Frida w męskim garniturze, zawieszona w pustce, z krótko obciętymi włosami i nożyczkami w ręku. Na tym obrazie wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć, walają się kosmyki, pasma włosów - na kolanach, na dłoniach, na krześle, na ziemi. Kiedy go zobaczyłam, przeraziłam się. Przedstawiał autodestrukcję, kawałki Fridy, zwiedłe, martwe strzępy mojej siostry, rozrzucone po świecie niczym śmieci.

Poszłam do Paulette. Z powodów, których nie mogłam się domyślić, jezdnią przed hotelem San Angel była zamknięta dla ruchu, więc zaparkowałam w bocznej ulicy. Recepcjonista zapowiedział Paulette moją wizytę:

- *Señoñta* Kahlo!

Lecz po chwili uświadomił sobie, kim jestem.

- Czy pani jest krewną Fridy Kahlo, żony Diega Rivery? - zapytał.

- To moja siostra.

- Ta Frida Kahlo?

- Tak.

- To pani siostra?

- Przepraszam, ale bardzo się śpieszę.

Ale nie musiałam się śpieszyć; Paulette bynajmniej nie paliła się, by otworzyć drzwi.

- *Un momento!* - zawołała. - *Un momento! Un momento!* - powtórzyła kilkakrotnie.

Ktoś z nią jest, pomyślałam. Jakiś facet. Diego zdradza z nią Irenę i Fridę, a ona zdradza jego z jakimś wschodzącym producentem filmowym. Ale kiedy wreszcie mnie wpuściła, nie dostrzegłam śladów czyjejkolwiek bytności. Żadnych przepelnionych popielniczek, żadnych kieliszków, wepchniętych dla niepoznaki za poduszki kanapy, żadnych znaczących zapachów.

Bałam się, że mimo zapowiedzi recepcjonisty Paulette może mnie nie poznać; na przyjęciach nie poświęcała mi wiele uwagi. A co, jeśli pomyśli, że jestem jakąś miłośniczką kina, która odkryła jej adres i teraz ją nęka? Ale uśmiechnęła się i zaprosiła mnie do środka. Uznałam, że to dziwne, iż nie obsługuje jej co najmniej jedna pokojówka - bądź co bądź, była to słynna Paulette Goddard!

Wyglądała nieziemsko i eterycznie; niemal oczekiwałam, że zaraz uniesie się nad ziemię. Miała na sobie błękitny sweterek i nienagannie nałożoną szminkę koloru begonii. Jej wilgotne oczy były szeroko rozwarłe, a perfumy - chyba francuskie - przywodziły na myśl jaśmin, miód i ambrozję.

Ucałowała mnie w policzek, lecz nie poczułam do niej takiej sympatii, jak do Loli. Nie odniosłam wrażenia, że darzy mnie przyjaźnią, byłam tylko osobą na doczepkę. Brakowało jej meksykańskiego ciepła, zachowywała się jak anioł, odległy i niedotykalny. Wiem - przedtem twierdziłam, żeśmy się przyjaźniły, ale to nieprawda.

Podeszła do okna i wyjrzała. To też wydało mi się dziwne. W końcu przed chwilą przyszłam; gdyby ktoś odwiedził pana w pokoju hotelowym, porzuciłby go pan, żeby spojrzeć przez okno? Uznałam, że pewnie szpieguje Diega, próbuje sprawdzić, co robi z Irene. Ale przecież ani ona, ani Frida nigdy nie wykazywały ani odrobiny zazdrości o asystentkę Diega, którą zlekceważyły jako dolegliwość bez znaczenia, coś w rodzaju muchy albo komara.

Paulette przygryzła wargę, nie rozmazując szminki - kiedy ja przygryzam wargę, zawsze muszę potem poprawiać makijaż - i powiedziała po angielsku coś, czego nie zrozumiałam. Uśmiechnęłam się, ale w duchu jęknęłam - jakże jej wytłumaczę, o co mi chodzi?

- *Un momento!* - zawołała i zaczęła biegać po pokoju, jakby czegoś szukała. Wyglądała na zdenerwowaną i wciąż zerkąca przez okno. W końcu sama podeszłam do okna, ale na ulicy nikogo nie było, przynajmniej nikogo nie dostrzegłam.

- Proszę posłuchać - powiedziałam po hiszpańsku, w jedynym języku, jakim władam - to nie jest wizyta towarzyska. Muszę z panią porozmawiać o czymś bardzo ważnym.

Skinęła głową, jakby rozumiała.

- *Un momento!* - powtórzyła.

Podniosła słuchawkę telefonu i warknęła coś, co brzmiało jak polecenie, znów po angielsku. Po kilku chwilach do drzwi zastukał kelner pchający wózek z kawą i słodyczami. Dziwna pora na desery, pomyślałam; mniej więcej za godzinę Graciela poda *meñenda* na patio w naszym domu. Paulette podziękowała kelnerowi i oddaliła go, po czym sama wciągnęła wózek do pokoju. Jankeskie obyczaje, pomyślałam.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Proszę posłuchać - zaczęłam znowu - nie przyszłam tu w odwiedziny, muszę porozmawiać z panią o mojej siostrze. Rozumie pani, co mówię?

- Si', si' - odparła. - *Comprendo perfectamente.*

Ale najwyraźniej była zaabsorbowana czymś innym.

Rozzłościłam się. Uważa się za zbyt ważną, żeby ze mną mówić, pomyślałam. Sądzi, że jestem jedną z wielbicielek, śliniących się admiratorek, które na premierach wybijają szyby, żeby się do niej zbliżyć. Otworzyłam usta, by wyjaśnić, że chodzi o Fridę, o to, że czuje się nieszczęśliwa i skrzywdzona, ale gestem nakazała mi milczenie.

Czekałam, nic nie mówiąc, ze wzrokiem wlepionym w Paulette. Wzbierał we mnie gniew.

Nagle jej twarz wykrzywiło przerażenie. Podbiegła do okna, po czym rzuciła się do telefonu.

- *Que pasa?* - zapytałam.

- Diego - szepnęła do słuchawki. Usłyszałam słowa „niebezpieczeństwo”, „Trocki”, „policja”, „morderstwo”.

W końcu i ja podeszłam do okna. Co się stało? Ulica wyglądała zupełnie inaczej. Poczułam, że lodowacieją mi palce. Wszędzie było mnóstwo policji, dziesiątki mundurowych policjantów, którzy otaczali kordonem pracownię Diega. Zamierzali wziąć dom szturmem! Niektórzy wyciągnęli broń - czyżby uważali Diega za Pancho Villę? Rzeczywiście, czasami nosił pistolet i pyskował, jakby był babcią Lenina we własnej osobie, ale przecież nigdy nikogo nie zabił. Owszem, przechwalał się, że brał udział w rewolucji radzieckiej i ma na swoim koncie wielu zwolenników cara, ale to bzdury. „Ukrywałem się w piwnicy, gdy wtem zauważyłem sobolowe futro hrabiego Aleksandra Kaminowa, więc odbezpieczyłem broń i bum!” - ale to nic nie znaczyło, to tylko samochwalstwo... jak wy to nazywacie? - chełpliwość.

O co więc chodziło?

- *Que pasa?* - zapytałam ponownie.

- Trocki.

Z początku nie skojarzyłam. To znaczy, wiedziałam, że usiłowano zgładzić Lwa i Natalię, ale nie rozumiałam, co to ma wspólnego z pracownią Diega. Paulette, gestykulując jak szalona, usiłowała mi coś wyjaśnić. „Diego”, „niebezpieczeństwo”, „Trocki”, „policja”, „morderstwo”. Jak na aktorkę, pomyślałam, niezbyt skutecznie przekazuje informacje. Powtarzała te pięć słów w najrozmaitszych kombinacjach, aż wreszcie zaczęłam pojmować.

Nie znam się specjalnie na polityce, ale wiedziałam, że Lew ma wielu przeciwników. Dlatego w ogóle przyjechał do Meksyku - wydano go ze Związku Radzieckiego. Nie zgadzał się ze Stalinem; twierdził, że Stalin chce mieć we wszystkim ostatnie słowo, ale w rzeczywistości nie rozumie spraw takich, jak industrializacja. Stalinowi nie podobało się, że Lew wytyka mu błędy, więc wydalili go z kraju. Dopiero przebywając za granicą, Trocki miał szansę rozpowszechnić swe antystalinowskie idee, bo w kraju wrogowie oskarżyli go o spisek i nasłali nań agentów. Diego natomiast wściekał się na Trockiego z innego powodu - nadal miał mu za złe romans z Fridą. Kiedy więc meksykańscy antytrockiści zaczęli mówić o zabiciu Lwa, Diego był pierwszym, który zadeklarował: „Rozwalę łeb temu skurwielowi! Ten palant zdradził sprawę!”. Były to czasy, gdy Diego jeszcze usiłował uchodzić za stalinistę.

Nie interesowałam się polityką, a poza tym Ramón Mercader twierdził, że w gruncie rzeczy Diego nie ma pojęcia, o czym mówi. Ramón uważał go za politycznego oportunistę, który zawsze popiera zwycięzcę. I rzeczywiście, kiedy tendencje antystalinowskie w partii wzięły górę, Diego ponownie został trockistą. Już to panu mówiłam - Diego był wielkim artystą, ale w sprawach polityki przypominał ogromny, nadęty balon, pierdzący rozgrzanym powietrzem. A już jego konflikt z Lwem miał charakter wybitnie osobisty, nie polityczny. A przynajmniej nie wyłącznie polityczny.

Ale Diego popełnił wielki błąd, rozgłaszając wszem i wobec, że rzuci Trockiego sępom na pożarcie, kiedy bowiem ktoś naprawdę próbował zabić Trockiego i Natalię, Diego natychmiast stał się podejrzany. Któż lepiej nadaje się na sprawcę zabójstwa niż

człowiek, który od miesiący oznajmia, że to zabójstwo popełni? Dlatego policja przybyła Diega aresztować i dlatego Paulette dzwoniła do pracowni - żeby go ostrzec.

Ale prawdziwym sprawcą zamachu wcale nie był Diego, lecz malarz David Alfaro Siqueiros, artysta, który wraz z Jose Orozco dementem wsparł zapoczątkowany przez Diega ruch muralistów. Dla Davida polityka zawsze miała większe znaczenie niż sztuka. Malował, żeby przekazać masom dobrą nowinę, ale nigdy nie traktował malarstwa jako celu samego w sobie. Wojownik przeważał w nim nad artystą i jestem pewna, że gdy otworzył ogień do Trockiego i Natalii, nie dbał o to, czy przeżyje, czy nie. Prawdę mówiąc, śmierć za Stalina byłaby dla Davida zaszczytem, męczeństwem na wzór świętego Marcina. Okazało się wszakże, że nie dane mu było umrzeć przy próbie zamordowania Trockiego. Policja rzeczywiście go aresztowała, ale jako kolega prezydenta Cardenasa przed upływem roku został zwolniony i wysłany do Chile, żeby tam malować freski. Ale proszę poczekać, chcę panu opowiedzieć, jak skończyło się moje spotkanie z Paulette.

Stałam obok niej przy oknie. Drżała ze strachu. Nie wyglądała już na bezcennego, wzniosłego i niedostępnego anioła, wzlatującego do nieba - była realną kobietą, zakochaną w Diegu. Objęłam ją w pasie i tak, złączone biodrami niczym bliźnięta syjamskie, stałyśmy i czekałyśmy, co się stanie.

W końcu z zaplecza pracowni Diega wyjechał samochód. Za kierownicą siedziała Irene.

Policjant kazał jej zatrzymać wóz i wysiąść; najwyraźniej zadawał jej jakieś pytania, Irene jednak wyglądała na spokojną, wręcz obojętną. Policjant obszedł samochód dokoła, otworzył bagażnik, poszturchał leżące tam płótna malarskie i zatrzasnął klapę. Następnie otworzył tylne drzwi wozu i powtórzył operację, aż w końcu dał znać Irene, że może jechać. Ruszyła, powoli minęła kordon policji i zniknęła nam z oczu.

Po kilku sekundach rozległa się seria wystrzałów - siły porządkowe otworzyły ogień do pracowni, z której okien dobył się dym.

Wydałam z siebie krzyk zdolny rozłupać kamień.

- *Virgen santisima!* Diego! Diegooo! Nikt nie mógł wyjść żywy z takiego ataku. Paulette wybuchnęła śmiechem. Spojrzałam na nią, zdetonowana.

- *Diego es... esta bien* - wykrztusiła. Śmiała się tak bardzo, że aż się zachłystywała. Przypominała Paulette, jaką widywałam na ekranie - komediantkę, śmieszkę.

- *Estd en el coche*. Nic nie rozumiałam.

- *En el coche... en automóvil... eon Irene*.

Jej palce, wskazujący i środkowy, przemaszerowały po wierzchu drugiej ręki, jakby pokazując kogoś uciekającego.

Jak to, Diego był w samochodzie z Irene? Oprócz niej w samochodzie nie było nikogo, sama widziałam, jak policjant go przeszukiwał!

- Pod płótnami! - zakrzuszyła się Paulette, usiłując złapać oddech. Jej dłoń, zamieniona w małe zwierzątko, wlała pod stos serwetek.

- Schowany! Schowany! *Ocultandose!*

Nie mogłam uwierzyć. Udało im się! Irene, ostrzeżona przez Paulette, ocaliła skórę Diega!

Dokąd pojechali? Paulette nie chciała mi tego powiedzieć. Pobiegnęła do sypialni i wrzuciwszy kilka rzeczy do podręcznej torby, pośpiesznie wypchnęła mnie z apartamentu.

Po paru dniach zjawiała się w Coyoacan i oznajmiła, że Diego czuje się doskonale. Oboje z Irene ukrywają się, a ona, Paulette, codziennie zawozi im jedzenie - nie tylko tortille i *frijoles*, lecz smakołyki, kawior, pasztety, boeuf bourguignonne, szampana i ciastka - oraz dostarcza Diegowi ubrania na zmianę. Mamy się nie martwić, Diego żyje jak w raju, skaczą koło niego dwie kobiety i dostaje więcej eklerów, niż jest w stanie zjeść. Paulette zachichotała. Diego ma przyjaciół na stanowiskach, dodała, którzy załatwią mu potajemny wyjazd z kraju. Otrzymał zamówienie na fresk w San Francisco Junior College i zabiera ze sobą Irene oraz Paulette.

Frida była urzeczona i wstrząśnięta zarazem. Diego został uratowany i należało to uczcić. Jednak nie dość, że wyjeżdżał

z Meksyku do Kalifornii, to jeszcze jechała z nim Paulette i ta utrapiona Irene Bohus.

Niedługo później meksykańskie gazety zamieściły fotografie całej trójki, lądującej w San Francisco. „Śliczna Paulette - rozwodził się Diego dla prasy - ocaliła mi życie. To mój anioł stróż, moja bogini. Warto przejść przez piekło, aby znaleźć schronienie pod jej cudownym skrzydłem”.

Przez jakie piekło musiał przejść Diego? - dopytywali się dziennikarze. Co spowodowało jego nagły wyjazd z kraju? Jednak on nie puszczał pary z ust. „Diego Rivera odmawia wyjaśnień, w jakich okolicznościach uciekł z Meksyku” - trąbił „El Pregonero”. O ileż bardziej frapująca stawała się jego przygoda w aurze tajemnicy! Rozumie pan? Diego - bohater, Diego - człowiek-zagadka.

Dwa lata później Paulette rozwiodła się z Charliem Chaplinem i nim atrament zdążył wyschnąć na orzeczeniu, związała się z Burgessem Meredithem. A nie mówiłam? Niektórym kobietom zawsze udaje się złapać właściwego faceta.

Po wyjeździe Diega zdrowie Fridy znacznie się pogorszyło. Nawet oddychanie stało się dla niej ciężką harówką. Lekarze uznali, że skrzywiony kręgosłup miażdży Fridzie płuca, i kazali jej nosić urządzenie, które miało wyprostować plecy.

- Jeżeli nie zabije mnie choroba, to z pewnością dokonają tego lekarze - sierdziła się. - To świństwo kurewsko mnie uwiera!

Wspominano również o kolejnej operacji, ale za co? I skąd miałam wziąć siłę, żeby potem zająć się Fridą? Papa, którego stan bardzo się pogorszył, także potrzebował opieki. Musiałam również poświęcić trochę uwagi córce i synowi - zwłaszcza synowi. Miał energię małego parowozu i męczyło mnie nawet patrzenie na niego.

Zaczynało się lato, dni stawały się coraz dłuższe i przyjemniejsze, ale Frida nieustannie biadoliła. Napisała do Diega długi, płaczliwy list, pełen dzieciennych wyrażeń i szczegółowych opisów narzędzi, które lekarze wymyślili tylko po to, by ją torturować, ilustrowany dosadnymi szkicami urządzeń wyposażonych w kły i pazury do rozdzierania ludzkiego ciała. W odpowiedzi otrzymała od Diega list,

który zamiast ociekać współczuciem, radośnie relacjonował ogromne postępy poczynione w pracy nad freskiem. Diego malował go publicznie w ramach programu „Art in Action” organizowanego przez międzynarodową wystawę Golden Gate i wciąż otaczali go wielbiciele, „bystrzy młodzi ludzie”, „rozkoszne gringas”, „urocze miłośniczki sztuki”, „obietujące studentki”. Co prawda, Irene wyprowadziła się z jego pracowni, ale kręciło się przy nim mnóstwo dziewcząt. No i oczywiście była jeszcze Paulette. Pisał, że jako temat pracy wybrał panamerykanizm, w którym ukaze portret własny i swego anioła stróża, swej bogini, patrzących sobie w oczy z uwielbieniem. Ona, jasna i lodowata niczym królowa śniegu, i on, ciemny, namiętny, rozogniony starzec, mieli symbolizować miłość pomiędzy obiema Amerykami. Pamiętam, że w owym czasie Diego zaprzestał dociekań, czy jest pro-, czy antystalinistą i jał propagować ideę wszechamerykańskiej solidarności. Sprawy tej łatwo było bronić, podobała się tłumom. W końcu wszyscy kochają kochanków. Ale Frida nie chciała słuchać o Paulette. Frida chciała, by Diego pisał o tym, jak bardzo za nią tęskni.

- To wygląda na piękny pomysł, przyjaźń między narodami i tak dalej - powiedziałam, usiłując podnieść Fridę na duchu, sprawić, by spojrzała na świat bardziej optymistycznie.

- Wygląda na kompletne gówno. Daj mi się napić, co, mała? Nie chciałam; przed chwilą podałam jej demerol i bałam się, że

źle zareaguje na alkohol. Poprzedniego wieczoru reakcja była bardzo gwałtowna; Frida straciła przytomność na podłodze, a Gracieli i mnie omal nie pękły grzbiety, kiedy kładłyśmy ją do łóżka. Wprawdzie schudła, lecz mimo to ważyła swoje, a narzędzie tortur przykręcone do jej szyi jeszcze komplikowało nam zadanie.

- Wypiłaś już dwa kieliszki i jeszcze tę małą fiolkę z Bóg wie czym - zaprotestowałam.

- No, Cristi Kity, Cristi Kity. No, bądź miła.

- Raczej nie.

- Dawaj, ty suko! Albo zrób mi zastrzyk morfiny!

Ktoś głośno zastukał do drzwi wejściowych. Graciela wyszła z kuchni, wycierając ręce w fartuch.

- Twoim wielbicielom wydaje się, że mogą tu wpadać przez całą noc - syknęłam.

Byłam wykończona i nie miałam nastroju, by wdzięczyć się do gości Fridy.

Ale Frida nie zainteresowała się, kto przyszedł.

- Daj mi morfinę, ty suko! Ten ból jest nie do zniesienia! No, proszę, Kity Kity Kity. Nie kochasz mnie już? Podaj morfinę swojej małej siostrzyczce, dzidzi chce cukierka, dzidzi chce cukierka, dzidzi chce...

Zapadała w drzemkę; jej słowa brzmiały niewyraźnie, niezrozumiale.

- Otwierać! - zagrział zza drzwi męski głos.

Rozległo się walenie, ogłuszający huk, jakby ktoś uderzał w drzwi kolbą karabinu. Graciela zadygotała.

- Otwierać!

- Otwórz drzwi, zanim je wyważą! - wrzasnęłam do Gracieli, która zamarła bez ruchu jak sparaliżowana.

Isolda wystawiła głowę z kuchni, gdzie wałkowała z Gracielą ciasto. Zadrzałam, widząc jej niepokój, który wstrząsnął mną bardziej niż dobijanie się do drzwi.

- *Que pasa, Mama?*

Jej oczy miały błagalny wyraz, jak u topionego kotka.

Frida rozkleiła powieki, odsłaniając dwie długie wąskie szparki. Jej twarz była ściągnięta niczym piastka. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz nie mogła poruszyć językiem i tylko zabełkotała.

Nie wiedziałam, co robić; zazwyczaj to nie ja podejmowałam decyzje.

Graciela ocknęła się i otworzyła drzwi. Do domu, odpychając ją na bok, wpadła grupa mężczyzn, sześciu czy siedmiu policjantów, wymachujących pałkami i pistoletami. Graciela wydała okrzyk ostry niczym cięcie w głowę i przysadzisty gliniarz o rozplaszczonym, bliznowatym nosie uderzył ją łokciem w brzuch, aż zacisnęła wargi, by nie jęknąć.

- Frida! - szepnęłam rozpaczliwie. - Frida!

Frida otworzyła szeroko oczy, ciężko stanęła na nogi i wpatrzyła się w bydlaka, który uderzył Graciełę. Całe zamieszanie wyraźnie ją otrzeźwiło.

- O co tu chodzi? - zawołała. Nadal mówiła niewyraźnie, zważywszy jednak, w jakim stanie była przed chwilą, okazywała zdumiewającą przytomność umysłu.

- Jesteś aresztowana.

Ogromny, mięsisty mężczyzna o śniadej skórze szarpnięciem przyciągnął ją ku sobie i zacisnął kajdanki na jej przegubach. Skrzywiła się.

- Co się dzieje? - Tym razem jej głos trochę zadrżał. Płakałam. Przysadzisty mężczyzna, który uderzył Graciełę, wykręcił mi ręce.

- Zostawcie ją i powiedzcie, co się dzieje! - domagała się Frida.

- *Putá comunista!* - warknął inny policjant, żylasty osobnik o kręconych włosach. - Komunistyczna kurwa! Jesteście aresztowane za morderstwo!

- Morderstwo?! - Frida wybuchnęła śmiechem. - A kogo niby miałybyśmy zamordować, ty kretynie? My! Trzy kobiety, zajęte robieniem *enchiladas* i chiles renelios.' Przyjrzyj się dobrze, mały, widzisz tu jakichś morderców?

Gliniarz trzepnął ją w twarz. Frida zalała się krwią, która pociekła jej za kołnierz ortopedyczny na szyi. - Przysłali siedmiu oprychów, żeby zaaresztować trzy kobiety, w tym jedną inwalidkę? Tchórze pierdolone!

Tym razem gliniarz uniósł pięść i starannie wycelował. Cios trafił Fridę tuż poniżej oka i powalił ją na ziemię. Przez chwilę zwijała się w konwulsjach, po czym ucichła, ale została tylko ogłuszona i kiedy policjant zwrócił się ku mnie, ocknęła się i spróbowała usiąść.

- Zostawcie ją! - wybełkotała. - Zostawcie moją siostrę!

W mojej piersi wezbrała fala miłości - choć słaba i bezradna, Frida walczyła, żeby mnie chronić, jak ranna lisica, warcząca na myśliwego, który zagraża jej małym. Lecz równocześnie poczułam

ukłucie niechęci. Dlaczego zawsze musiała urządzać przedstawienie? Dlaczego zawsze musiała odgrywać bohaterkę? Policjant zamachnął się, jakby chciał kopnąć ją w usta.

- Frida, na litość boską, zamknij się! - wrzasnęłam.

- Właśnie - mruknął gliniarz.

- Uspokój te bachory! - warknął śniady osobnik. Najwyraźniej zirytowały go przerażone piski Isoldy i Antonia. Przypomniały mi się historie o hitlerowcach, którzy mordowali dzieci po prostu dlatego, że ich płacz działał im na nerwy.

- Wszystko w porządku, kochani! - zawołałam, usiłując wziąć się w garść. - Wszystko będzie dobrze. Teraz bądźcie cicho. Bardzo, ale to bardzo cicho.

Ale pomimo wysiłków, by zachować spokój, wybuchnęłam spazmatycznym płaczem.

Żyłasty gliniarz chwycił mnie za ramię. Jedną ręką pchnął mnie na ścianę, drugą zaś otworzył drzwi. Następnie wyprowadził mnie na zewnątrz do policyjnej suki. Wciąż słyszałam histeryczny płacz Isoldy i Antonia. Po kilku sekundach poczułam, że wałą się na mnie Graciela i Frida, wrzucone do furgonetki niewidzialną ręką. Za kierownicą zasiadł otyły mężczyzna i uruchomił silnik. Zwróciłam uwagę, że miał na szyi znamię, nieregularną, brzydką myszkę, niczym pajak z długimi nogami.

- Moje dzieci! - krzyknęłam. - Nie mogę zostawić ich samych!

- Weźcie mnie, a ją zostawcie! - błagała Frida. - Ktoś musi się nimi zająć! To ich matka! Zostawcie ją!

Ale furgonetka już wyjechała na ulicę.

- Przynajmniej zostawcie Gracielę! - prosiła Frida. - Przecież ona o niczym nie wie! Pozwólcie jej zostać i nakarmić dzieci!

I znów ogarnęły mnie sprzeczne emocje. Pomyślałam, że Frida jest aniołem - przynajmniej powinnam tak myśleć, tego spodziewałaby się po mnie każda rozsądna osoba. W końcu Frida chciała się dla mnie poświęcić: „Weźcie mnie, ją oszczędźcie!”. I robiła to dla moich dzieci. Jednak w jej zachowaniu było coś z męczennicy, coś, co mnie rozdrażniło.

Łkałam i płakałam tak gwałtownie, że omal się nie rozpadłam. Miałam wrażenie, że szaleje we mnie burza, która miota mną na wszystkie strony i w szalonym wirze unosi pigułki Fridy, obrazy Diega, wałek do ciasta Gracieli, lalki Isoldy.

- Muszę się pomodlić - szepnęłam, kiedy odzyskałam oddech. A Frida, chociaż komunistka, powiedziała:

- Ależ módl się, a ja pomodłę się z tobą. *Dios te salve Maria, llena er es de gracia...*

Przyznaję się - podczas tych strasznych lat modliłam się bez przerwy. Wiem, że to niezgodne z naukami komunizmu, ale jakoś musiałam. Dzięki modlitwie nie czułam się samotna. Uspokajałam się. Teraz jestem starą kobietą, porzuconą przez wszystkich, nawet przez pana Boga. Teraz już się nie modlę, bo i po co? Bóg mnie nie wysłucha. A niby dlaczego miałby to zrobić?

Na posterunku zaprowadzono nas do ciemnego pokoju i trzymano tam nie wiadomo jak długo. Cały czas myślałam o dzieciach, które zostały same w domu. Graciela nie zdążyła nic przygotować na kolację. Co będą jadły?

W końcu zjawilo się trzech policjantów. Zapalili światło, wyprowadzili Fridę i Gracielę do innych pomieszczeń, po czym wrócili. Dołączył do nich mężczyzna w czarnym garniturze. Byłam mokra od potu i chciałam siusiu, a mężczyzna przypominał mi babcię po kądzieli oraz wychowawczynię ze szkoły elementarnej, pannę Caballero, osoby wredne i autorytarne. Wiedziałam, że nie pozwoli mi skorzystać z toalety.

Lew Trocki został zamordowany, powiedział mężczyzna. Czy coś o tym wiem?

Zadrzałam. Lew nie żyje? Wiedziałam o zamachu na jego życie, ale to wydarzenie miało miejsce wcześniej, przed trzema miesiącami. Zresztą wyszedł zeń cało - obojgu z Natalią udało się stoczyć z łóżka, w które przez okno trafiła seria kul. Sądziłam, że aresztowanie Davida zamkneło sprawę.

- Gdzie byłaś wczoraj wieczorem?

- Z kim?

- Kto cię widział?

Ktoś zaczął się na Trockiego, powiedział mężczyzna, i uderzył go w głowę szpikulcem do lodu. Szpikuliec trafił w skroń i wbił się głęboko w mózg, w szare komórki, w ten cudowny, genialny mózg, źródło tyłu teorii i idei. Jednak owej nocy trysnęła zeń tylko krew - gejzer krwi, który zalał twarz Trockiego, jego kołnierzyk, brodę i śmieszne szylkretowe okulary. Lew nie żył! Lew, który biegł ulicą, krzycząc: „Pali się!”, który kochał mnie i Fridę, który zdradził Diega! Lew Trocki, mężczyzna, który tylekroć siedział obok mnie w samochodzie, skończył ze szpikulcem do lodu wbitym głęboko w czaszkę. Zrobiło mi się słabo, ogarnęły mnie mdłości, poczułam, że wzbierają we mnie potoki rzygowin. Chciało mi się sikać, poczułam się tak, jakby ktoś wbijał szpikulce do lodu w mój własny mózg, w gardło, w brzuch.

- Mamy powody sądzić, że jesteście w to zamieszane.

- Dlaczego? - wyszeptałam.

- Bo przyjaźniłyście się z jego mordercą. Wiemy, że istniały między wami powiązania.

- Kto jest mordercą?

- Jak to, nie wiesz?

- Nie.

- Ktoś, kto często jadał u was obiady.

- Mnóstwo ludzi jadało u nas obiady.

- Ramón Mercader. Nie zrozumiałam.

- Ramón Mercader.

Poczułam, że po nodze spływa mi ciepła strużka. Poczułam, że u mych stóp tworzy się kałuża, że buty robią się mokre. W pokoju rozniósł się zapach moczu. Wszystko pociemniało, jakby ktoś powoli gasił światło.

Nie pamiętam, co działo się potem, oprócz tego, że bez przerwy wołałam: „Kto nakarmi moje dzieci? Kto się nimi zajmie?”.

Trzymali nas ponad dwanaście godzin, a potem wypuścili.

Frida zachowywała się nieznośnie. Jęczała i zawodziła, zupełnie jakby tylko ona straciła przyjaciela. Zupełnie, jakby Ramón Mercader tylko ją zdradził.

- To wina Diega! - wrzeszczała.

- Dlaczego?

- Bo gdyby Diego nie sprowadził Lwa do Meksyku, to wszystko by się nie stało!

Zadzwoiła do Diega.

- Idiota! Kretyn! - wrzeszczała w słuchawkę, po czym z łkaniem opadła na łóżko.

Podczas następnych tygodni popadła w głęboką depresję. Stan jej zdrowia błyskawicznie się pogarszał. Lekarze uznali, że cierpi na gruźlicę, zaostrzoną jeszcze urazem kręgosłupa, i nalegali na operację. Jednak doktor Eloesser, stary przyjaciel Fridy z Kalifornii, napisał, że, jego zdaniem, jej choroba to nie gruźlica, i zaproponował, by przyjechała do San Francisco. Z pewnością medycyna jest tam na wyższym poziomie niż w Meksyku. A poza tym Diego tęsknił za nią i zamartwiał się jej zdrowiem. „Przyjeżdżaj - nalegał. - Zmiana dobrze ci zrobi”.

Miałam nadzieję, że pojedzie. Byłam zbyt wyczerpana, żeby się nią zajmować. Śmierć Lwa sprawiła, że utraciłam resztkę sił, a poza tym Papa czuł się fatalnie. Wystarczy, że jestem pełnoetatową pielęgniarzką jednej osoby, myślałam. Nie mogłam opiekować się także Fridą.

Pod koniec lata moja siostra opuściła Meksyk. Twierdziła, że nie radzi sobie bez Diega. Musiał do niej wrócić. Wiedziała, że się nie zmieni, że zawsze będzie musiała się nim dzielić z innymi kobietami, ale była gotowa zapłacić tę cenę.

Ósmego grudnia 1940 roku, podczas skromnej, prostej uroczystości w Kalifornii, Diego i Frida pobrali się ponownie. Nie pojechałam. Nie zostałam zaproszona i, prawdę mówiąc, wcale mnie to nie obeszło. Znudziły mi się już błazeństwa tych dwojga. Zachowywali się niczym dwoje rozkapryszonych dzieci, a ja byłam wykończona.

ROZDZIAŁ 23

Zepsute lalki

Człowiek, który przeżył wojnę, nigdy jej nie zapomni. Wciąż dręczą go wspomnienia - dziecko z urwaną głową, leżące na ulicy, muł o niesamowicie rozwartych oczach, z którego wypływają wnętrzności. Potoki, strumienie krwi. Piszczące dzieci, wrzeszczące niczym prosięta prowadzone na rzeź. Zamazane obrazy palców, nóg bez stóp, wykreconych ramion, zmiażdżonych czaszek... Ogarnęły mnie mdłości.

- Frida! Frida, coś ty zrobiła?

Rozszarpany korpus, rozdarte, bezpłciowe krocze, wyrwana rączka.

- Frida! Dlaczego to zrobiłaś? O co chodzi?

Kłaki włosów, strzępy koronek, mała parasolka, kawałek falbanki. Szlochając, miotała się po pokoju. Podniosłam maleńką rączkę i ukryłam ją w dłoni.

- Biedactwo - szepnęłam. - Biedactwo.

Do kogo należała ta delikatna kończyna? Do blondyneczki o smutnych niebieskich oczach? Do ciemnowłosej piękności w krynolinie?

- Frida!

Cała kolekcja została zniszczona, rozbita, podarta na strzępy - meksykańska lalka-rewolucjonistka w amunicyjnym pasie, francuska nastolatka w ślicznym kapelusiku, Indianka z warkoczami i dzieckiem przytroczonym na plecach, malowane porcelanowe dzidzie o nieskazitelnym uśmiechach i nieruchomych oczach. Mnie zaś stanęły przed oczami przerażające wizje dzieci rozstrzelanych na kawałki, które widziałam w czasie rewolucji. A teraz

toczyła się wojna w Europie i te straszne rzeczy znowu się powtarzały! Śliczne młode dziewczęta w organdyńowych sukniach wisiały jak szmaty na ogrodzeniach z drutu kolczastego - dziewczęta, których usta jeszcze przed chwilą drżały, a policzki były wilgotne od łez. Lalki, prawdziwe, żywe lalki.

Tutaj miałam do czynienia ze sztucznymi lalkami o lakierowanych buziach. Jak to się stało, że moja siostra potraktowała je tak brutalnie i bezwzględnie? Jakie demony kazały jej zniszczyć uwielbiane lalki, które kochała jak dzieci? Miałam wrażenie, że tracę rozum. Byłam dosłownie półżywa.

- Frida!

Od czasu śmierci Papy zachowywała się nieobliczalnie. Czasem śmiała się i wołała radośnie: „Hej, cuate, chodź tutaj i przytul się do mnie! Co powiesz na szklaneczkę tequila i partyjkę kart?“, „Hej, *manita*, chodźmy na zakupy! Kupimy sobie pierścionki na każdy palec albo jakiś ładny, malowany rupiec!“. Ale potem zaczynała pić i nikt nie umiał jej powstrzymać, a kiedy próbowałam, robiła się napastliwa: „Ty suko! Chciałabyś mi zabronić wszelkiej zabawy!“, i rzucała przedmiotami o ściany. Nie dawała się kontrolować; wóda w połączeniu ze środkami przeciwbólowymi doprowadzała ją do szaleństwa.

A kiedy Papa umarł, sytuacja jeszcze się pogorszyła. To ja dbałam o niego, odmierzałam lekarstwa i wlewałam je w jego spierzchnięte usta. To ja dla rozrywki czytałam mu listy od starych przyjaciół. To mi dopiero rozrywka! Żydzi gnili w obozach; gazety specjalnie o tym nie pisały, ale z listów dowiadywałam się wszystkiego. Tłumy żydowskich uciekinierów podążały z Niemiec przez Francję do Hiszpanii, gdzie Franco gwarantował im bezpieczeństwo przejazdu. Dlaczego? Diego twierdził, że Franco to potwór, sojusznik Hitlera i Mussoliniego, a teraz ten potwór chronił Żydów? Papa nie wiedział, dlaczego Franco tak postąpił, lecz błogosławił go za to. Właściwie Papa nie uważał się już za prawdziwego Żyda, ale... Większość uchodźców trafiała do Stanów Zjednoczonych, a ci, którym się nie udało, jechali do Argentyny lub do Meksyku.

Papa zadreślał się myślami o krewnych, o ludziach, których nie widział przez całe dziesięciolecia lub zgoła wcale, zastanawiał się także, czy Stany przystąpią do wojny. Wreszcie w 1941 roku zmarł.

W okresie poprzedzającym jego śmierć Frida używała życia - dupczyła się z Nikolasem Murrayem w Nowym Jorku, bratała się z surrealistami w Paryżu lub grała panią de Rivera w San Francisco. Ja zajmowałam się ojcem i ja się nim opiekowałam, gdy tymczasem ona żyła tak jak chciała. A jednak Papa, umierając, chciał widzieć właśnie ją, i to ona zwariowała, kiedy już było po wszystkim.

Proszę nie podejrzewać ironii. Uchodziła za ulubienicę ojca i jego śmierć okropnie nią wstrząsnęła. Proszę też nie zapominać, że niedawno przeszliśmy koszmar w związku z morderstwem Lwa. Jedna tragedia tuż po drugiej - to było dla niej za wiele. A poza tym jej zdrowie gwałtownie się załamało. Dolegało jej dosłownie wszystko, kręgosłup, stopa. Co prawda, po powrocie ze Stanów znów wprowadziła się do domu Diega, ale przez większość czasu mieszkała ze mną. Nieustannie pisała do doktora Eloessera: „Z biodrem lepiej, ale żołądek w proszku. Szyja mnie już nie boli, ale hydraulika przestała działać. Stan głowy się poprawił, lecz kręgosłup przypomina jedno z narzędzi wymyślonych przez hiszpańską inkwizycję”.

Zadzwoiła do Eloessera.

- Co za kretynka ze mnie! W swoim ostatnim liście zapomniałam napisać o czymś bardzo ważnym. Trawienie mi się zatkało jak meksykański ściek i muszę nieustannie burkać.

- Bekać! - poprawił ją Diego.

Diego i ja siedzieliśmy w salonie, trzymając się za ręce. Po raz pierwszy od bardzo dawna fizycznie okazał mi serdeczność, ale pewnie sądził, że wolno mu to zrobić, skoro Frida znajduje się tuż obok. Któż mógłby posądzić nas o coś niestosownego? Oboje słuchaliśmy, co Frida mówi w słuchawkę. Nie rozumiałam nawet połowy jej słów, więc poprosiłam Diega, żeby tłumaczył mi co lepsze kawałki. Powiedział, że nie ma lepszych kawałków, że mowa jest tylko o bekaniu.

- Bekaniu? - zapytałam. Diego zmarszczył brew.

- Jestem malarzem, nie tłumaczem - powiedział, udając surowość, w końcu jednak przełożył kilka zdań swoją kulawą angielszczyzną.

- Cały czas boli mnie brzuch - mówiła Frida - i jeśli nie burkam, to czuję, że zaraz eksploduję jak fajerwerk.

- Nie bekam! - wrzasnął Diego. - Już ci mówiłem!

- Kto mówi lepiej po angielsku, ty czy ja? - odcięła się Frida. Uważała, że jej angielszczyzna jest bez zarzutu.

- Odbija ci się! - krzyknął doktor Eloesser w słuchawkę tak głośno, że nawet ja go usłyszałam. Zanosił się od śmiechu. - Oboje się mylicie! Nie mówi się „burkać” ani „bekać”, tylko „odbijać się”! Frida czuje się strasznie, kiedy jej się nie odbija!

Jak już mówiłam, nie znam angielskiego zbyt dobrze, ale po tej rozmowie na zawsze zapamiętałam to słowo. Odbijać się, odbijać, odbijać! Jak doktor Eloesser to znosił? To nieustanne gadanie o odbijaniu? Jak lekarze znoszą te wieczne opowieści o gazach, gównie i wymiocinach? To chyba najgorsza praca, jaką można sobie wyobrazić.

Ale pan jest lekarzem innego rodzaju. Pan nie musi słuchać o funkcjach fizjologicznych.

Tak czy inaczej, tego dnia, kiedy Frida zniszczyła swoje lalki, była w okropnym nastroju. Zupełnie jakby Pan Bóg nagle odwrócił się na pięcie i ją opuścił. Patrząc na nią, odnosiłam wrażenie, że znalazłam się w podziemnym tunelu bez wejścia i wyjścia.

- Frida! - szepnęłam, głaszcząc ją po głowie. - Fridusia, twoje śliczne dzidzie!

- Koniec z dzidziusiami - załkała. - Koniec! Nigdy nie będę miała dziecka.

Obie wiedziałyśmy, że mówi prawdę. Pogodziła się z tym dawno temu i już nawet nie udawała, że chce mieć dziecko. Nie miała czasu na macierzyństwo, była zbyt sławna i zbyt zajęta. Zamach na Trockiego oraz rozwód i powtórne małżeństwo z Diegiem uczyniły

z niej gwiazdę. Wszystkie gazety dobijają się o wywiad z nią, zewsząd sypały się zamówienia.

- Powinnaś częściej się rozwodzić i ponownie brać ślub - powiedziałam jej. - Zyskują na tym interesy.

Nie uznała tej uwagi za śmieszna, ale z całą pewnością uśmiechała się do obiektywu za każdym razem, gdy przy drzwiach pojawiał się jakiś dziennikarz. Była rozrywana, a ja nie narzekałam. Dobrobyt Fridy to był mój dobrobyt. Szczodrze dzieliła się pieniędzmi. Kupowała mi ubrania. Przynosiła zabawki Isoldzie i Antoniowi. Z rozkoszą odgrywała rolę ulubionej, szlachetnej, wielkodusznej siostry. Dlatego wypadek z lalkami tak mnie zdumiał. Sądziłam, że stan Fridy się polepsza, że nareszcie wzięła się w garść. Niedawno poproszono ją o wykonanie cyklu portretów kobiet, które miały największe znaczenie dla historii Meksyku. Frida nazwała je „karaluchy”. W jej przekonaniu zwyczajne meksykańskie kobiety były znacznie ciekawsze i „bardziej zębate”, to znaczy odporniejsze. Tymczasem zamówiono u niej wizerunek Josefy Ortiz de Domihuez, która, jak wie każde dziecko, jest bohaterką walk o niepodległość Meksyku, oraz siostry Juany Ines de la Cruz, sławnej poetki i zakonnicy prowadzącej badania naukowe. Portrety kilku podobnych pań miały zawisnąć w sali jadalnej Pałacu Narodowego, a Frida napisała do doktora Eloessera, aby zdobył jej informacje o „karaluchach”. Widzi pan więc, to Frida zarabiała na życie. Wraz z dziećmi stanowiłyśmy rodzinę, w której ja grałam rolę matki, Frida ojca, Diego zaś był chutliwym wujkiem, zjawiającym się od czasu do czasu.

Jestem tylko niewykształconą kobietą i w dodatku głupią, ale moim zdaniem incydent z lalkami nie miał nic wspólnego z dziećmi. Być może presja związana z zamówieniem na portrety nałożyła się na inne troski Fridy, a może chodziło o to, że Diego nadal leciał na wszystkie spódniczki, które mu się nawinęły.

- Wiem, że muszę zaakceptować obecność innych kobiet w jego życiu - powiedziała kiedyś Frida, nie pamiętam już do kogo. Pewnie do kogoś ważnego, skoro użyła sformułowania „innych kobiet”, a nie „innych bab”.

Ale potem, gdy znalazłyśmy się same, wybuchnęła:

- Cristi, jego seryjne dziwkarstwo mnie dobija! Dobija! Nie zniosę tego dłużej!

Powiedziała „seryjne dziwkarstwo”. Takich dokładnie słów użyła. I miała rację - Diego faktycznie był seryjnym dziwkarzem, pierdolonym seryjnym dziwkarzem! Przepraszam, nie chciałam być wulgarna.

Nie wiem, czy pan rozumie, co to znaczy, gdy mężczyzna krzywdzi kobietę w taki sposób... kiedy twierdzi, że ją kocha, a potem upokarza... Niedługo po powtórny ślubie z Fridą Diego związał się z Marią Felix. Malował ją, chadzał z nią na wernisaże, ich zdjęcia ukazywały się w gazetach i zanim się obejrzałyśmy, zaczął mówić o kolejnym rozwodzie.

- Oczywiście, że kocham Marię - wyznał reporterowi. - Wszyscy ją kochają.

To prawda. Od czasu, gdy Maria wystąpiła w filmie Fernanda de Fuentes *Doña Barbara*, zaczęto ją postrzegać jako dziką, seksowną kusicielkę. Cały Meksyk zakochał się w Marii, pożeracze męskich serc. Dopiero później, gdy zagrała dzielną nauczycielkę, stawiającą czoło brutalowi terroryzującemu miasto, stała się bohaterką narodową, no, wie pan, wielką patriotką, zwolenniczką rewolucji.

- A Frida? - zapytał reporter.

- Będę musiał od niej odejść - oświadczył Diego z prostotą. - Źle wpływam na jej zdrowie.

Przedstawił siebie jako bohatera, człowieka gotowego ponieść ofiarę. Owszem, miał zamiar rozejść się z Fridą, ale dla jej własnego dobra. Bardzo ją stresował, wyjaśnił, a przecież lekarze kazali jej unikać stresu. W rzeczywistości po prostu się nią znudził. Piła coraz więcej i przebywanie z nią nie było zbyt przyjemne. Bądź co bądź, kobieta, która śmierdzi wymiocinami i śmiercią, nie może uchodzić za wampę. Rzyganie nie zachęca do miłości. Diego jednak miał rację co do jednego - istotnie, źle wpływał na jej zdrowie.

Obiecała mi, że przestanie pić, i nawet napisała do doktora Eloessera, że pić przestała. Ale wszędzie znajdowałam puste szklanki

i butelki. Pila, by zagłuszyć ból ciała, lecz pila także, by stłumić ból duszy. Zachowanie Diega dobijało ją, postanowiła zatem sama się zniszczyć, a lalki - małe Fridy- stanowiły jakby jej przedłużenie. Zabiła swoje dzidzusię, swoje marzenie o przyszłości. Myślę zresztą, że w owej chwili Frida zaczęła pojmować, że dla niej przyszłości już nie ma.

Przez jakiś czas sądziłam, że La Esmeralda coś zmieni. Słyszał pan o La Esmeraldzie, prawda? To szkoła artystyczna, założona przez Ministerstwo Edukacji w latach czterdziestych, chyba w 1942 roku. Boże, to już dwadzieścia lat... Frida została w niej zatrudniona jako wykładowca. W La Esmeraldzie uczyło wielu sławnych artystów i Diego, który wykładał tam kompozycję malarską, uznał, że Fridzie dobrze zrobi przebywanie w otoczeniu młodzieży. W końcu zawsze lubiła dzieci.

Istotnie, kochała dzieci i bez przerwy je malowała. No, może nie bez przerwy, na ogół bowiem malowała samą siebie, ale lubiła dzieciaki, to prawda.

Czasem z nią chodziłam, po prostu do pomocy. Byłam obecna pierwszego dnia lekcji; przydźwigałam za nią płótna, po drodze zaś wspominałam ów dzień, dawno temu, kiedy wiozłam obrazy Fridy z Coyoacan do miasta, aby mogła je pokazać Diegowi.

Szkoła mieściła się przy ulicy Esmeralda. Frida nic nie wzięła ze sobą, ani jednej książki, żadnej reprodukcji, którą mogłaby pokazać uczniom. Nie jestem wykształcona i niezbyt się na tym znam, ale wydawało mi się, że nauczyciel powinien jakoś przygotować się do lekcji, a przynajmniej zastanowić się, co będzie robił pierwszego dnia. Lecz Frida najwyraźniej nie przywiązywała do tego wielkiej wagi.

Budynek był tak nowy, że aż kręciło się w głowie. Opary ze świeżo otwartych puszek żywicy, terpentyny i tempery oszołamiały, zwały się z nóg, łącząc się w jedną, straszliwą, lecz upajającą woń. Poczułam lekkie mdłości, ale i podniecenie. To miejsce urzekało! W każdym kącie krył się jakiś sekret - sala, gdzie robiono mozaiki z maleńkich płytek w jaskrawych barwach, wysypanych z worka niczym klejnoty azteckiego wodza, komody *trompe d'oeil*, intar-sjowane tak kunsztownie, że wydawały się otwarte, nawet gdy

były zamknięte, cudowny ołtarz z figurkami z lakierowanego papier-mache w żywych, rdzennie meksykańskich barwach różu, żółci, turkusy i lawendy.

Wszędzie rozlegał się szmer rozmów skupionej w grupkach młodzieży, przypominający odgłos silnika, pracującego na wolnych obrotach. Uczniowie pochodzili głównie z robotniczych rodzin, byli córkami i synami ulicznych handlarzy i pokojówek. Lekcje i przybory otrzymywali za darmo, więc znalazło się wśród nich nawet kilkoro dzieci chłopskich. Mieli zaledwie po szesnaście, siedemnaście lat, a najmłodszy wyglądał na czternaście. Dostrzegłam też kilka - choć niewiele - dziewcząt.

Frida ich zaskoczyła. Wkroczyła do klasy ubrana w białą marszczoną suknię z Tehuany, zdobioną różowymi i czerwonymi wstążkami, we włosach miała czerwone, żółte i różowe róże, pierścionek na każdym palcu. Wcale nie wyglądała na osobę, która miała uczyć młodych ludzi brudnego malarskiego fachu. Jedna z dziewcząt podeszła do niej i zmierzyła ją wzrokiem. Mogła mieć około szesnastu lat, lecz zachowywała się jak czterolatka popisująca się nową parą butów.

- Zawsze uczyli mnie mężczyźni, nigdy kobieta - oznajmiła, wypluwając poszczególne słowa niczym kęsy tytoniu.

Frida odrzuciła głowę i roześmiała się.

- Nie jesteś nauczycielką! - wysyczała dziewczyna. - Nawet mój instruktor rysunku, Feliciano Pena, mówi, że żadna z ciebie nauczycielka!

Frida popatrzyła na nią serdecznie.

- Masz rację - odparła wesoło. - W ogóle o co chodzi z tym nauczaniem? - Perlisty śmiech Fridy padł pod stopy dziewczyny niczym garść klejnotów. - Przysięgam, że nie mam pojęcia, jak prowadzić lekcje! Nauczysz mnie?

Dziewczynka osłupiała.

- Jak się nazywasz, kochanie?

- Fanny.

- Fanny, i jak dalej?

- Fanny Rabinovich.

Dużo później, kiedy ta dziewczynka zasłynęła portretami dziecięcymi, świat ją poznał jako Fanny Rabel.

- No cóż, Fannycita, zostaniesz jedną z moich *muchachitas*. Jako moja uczennica musisz nauczyć mnie prowadzić lekcje, ponieważ, droga Fanny, naprawdę nie wiem, jak się to robi! To co, moja kochana? Nauczysz mnie, jak się uczy?

Frida całkowicie rozbroiła dziewczynkę. Miała swoisty dar, umiała być tak ciepła i zabawna, że ludzie stawali się bezbronni. Fanny wciąż stała jak sparaliżowana.

- Nie? A więc kto z was nauczy mnie prowadzić lekcje? Nikt nie odpowiedział, lecz dały się słyszeć nieśmiałe chichoty. - No, skoro tak, to chyba pozwolę wam robić, co chcecie. Co wy na to? Bo z pewnością nie będę wam mówić, co macie robić.

I znów wybuchnęła śmiechem.

Uczniowie gapili się na nią w zdumieniu. Chłopiec w obszarpanej białej koszuli niezręcznie przestąpił z nogi na nogę, inny uczeń, ubrany w poncho, z wąsem zadziwiająco bujnym jak na swój wiek, nerwowo pociągnął się za ucho. W końcu, jeden po drugim, zaczęli śmiać się razem z nią.

Dotrzymała słowa. Naprawdę pozwoliła im robić to, na co mieli ochotę, właściwie nie uczyła ich rysunku. Zamiast tego pokazała im, jak mieć oczy otwarte na świat. Namawiała ich, by malowali to, co znajduje się w ich domach - dzbanki, kwiaty, miotły, szmaty. Nauczyła ich doceniać urodę otoczenia, jego *mexicanidad*, meksy-kańskość. Pozwalała im samodzielnie wybierać tematy i pracować w swoim własnym tempie. Nigdy nie mówiła: „Narysuj to w ten sposób. Kopiuuj z tej książki. Wzoruj się na mojej pracy”. Nigdy nie podpowiadała: „Przerysuj tę stronę”. Umożliwiała im rozwinięcie własnego stylu. „Rysujcie to, co widzicie - mówiła. - Rysujcie to, co czujecie”. Pragnęła, by tworzyli wizerunki świata, który jest im bliski.

- Chcę być waszą przyjaciółką - powtarzała nieraz. - Zabierzmy się więc do pracy, a nauczycie mnie więcej, niż ja was nauczę. Znacznie więcej, bo ja właściwie nic nie wiem o nauczaniu.

Żaden z uczniów nigdy dotąd nie słyszał, by tak mówiła osoba dorosła, a tym bardziej osoba mająca władzę. Uwielbiali ją, pozwolili jej się uwieść bez reszty. Wielka Frida Kahlo została ich przyjaciółką!

Ona też pokochała te dzieci. Uczyła je zupełnie inaczej niż ktokolwiek inny. Czasem, gdy byli zajęci malowaniem w klasie, wołała nagle:

- Och, jakie to nudne! Wyjdźmy na ulicę! Tam znajdziemy prawdziwe piękno i barwy Meksyku! Chodźcie, dzieciaki! Bierźcie szkicowniki!

I wyruszali na wyprawę do slumsów, aby godzinami przyglądać się bieleźnie schnącej na sznurku - barwnym płóciennym spódnicom, chustom *rebozo*, majtkom i koszulom - albo psu sikającemu pod murem, albo kaktusowi w doniczce.

Czasem chodzili do pulquerii, gdzie pili i przyglądali się innym pijącym, słuchali muzyki gitarowej i śpiewali pieśni z pijanymi byłymi rewolucjonistami, których Frida nazywała towarzyszami, choć nie zapraszała ich na wytworne przyjęcia z Dolores del Rio i prezydentem Cardenasem. Czasem zjawiała się w szkole z kosztami przysmaków - *em-panaditas*, *flautitas*, smażonej dyni, ciasteczek kokosowych.

To była biedna młodzież i koszt przysmaków starczał na długo. Kosz przysmaków coś znaczył.

Jednak po kilku miesiącach Fridę znużyło jeżdżenie do La Esmeraldy. Oboje z Diegiem mieszkali w Casa Azul w Coyoacan i codzienna długa droga do miasta była dla niej bardzo wyczerpująca, poza tym bolały ją plecy.

- Świetnie - rzekł Diego. - Przestań tam jeździć.

- A moi *muchachitos*?

- Niech przyjadą tutaj!

Czy naprawdę ich lubiła, czy też po prostu uzależniła się od ich przywiązania? Guillermo Monroy nazywał ją chodzącym kwiatem. To był biedny chłopiec, syn cieśli, i sądzę, że oszałamiała go świadomość, iż wielka Frida Kahlo zwróciła nań uwagę.

Ha, myślałam sobie. Szkoda, że nie widzi, jak jego chodzący kwiat rzyga w toalecie. Szkoda, że nie widzi, jak schlany chodzący kwiat pada twarzą w *aroz eon polio*. Ale potem się zastanowiłam. „Czemu jestem taka wredna? - zapytałam sama siebie. - Czemu jestem niesprawiedliwa?“. Przecież w głębi serca wiedziałam, że chociaż Frida jest istotą samolubną, daje tym dzieciakom tyle, ile może.

- Nie potrafię ich porzucić - powiedziała mi. - Potrzebują mnie. Uwielbiają mnie.

I rzeczywiście ją uwielbiali. Ale czy potrzebowali? Oni byli jej potrzebni, ale czy ona była potrzebna im?

- Frida, jesteś taka piękna, pozuj dla nas!

- Frida, naucz nas rewolucyjnej piosenki!

- Frida, chodź z nami na zebranie młodych komunistów! Fridita, Friducha, Fridfsima, jak dzień długi. Nadali sobie nazwę

Fridos.

Z początku co dzień przyjeżdżało do nas dziesięcioro lub dwanaścioro Fridos. Rozstawiali sztalugi w ogrodzie i całe rano malowali. Frida ich karmiła, dostarczała im farb i płócien, a w czasie gdy oni tworzyli obrazy rozkwitających hibiskusów, dojrzałych arbuźów, figlujących małą i pękających dzbanków, sama malowała kolejne Fridy. Malowała swoje emocje, swój ból, Fridę osaczoną przez demony, Fridę ze szkieletem wczepionym w mózg, Fridę z Diegiem pośrodku czoła niczym z wszystkowiedzącym okiem, Fridę zrozpaczoną, Fridę z korzeniami wyrastającymi z brzucha, Fridę z pękającym kręgosłupem, Fridę we łzach, Fridę przebitą gwoździami, Fridę wypatroszoną, Fridę boginię, Fridę Chrystusa, Fridę królową rzeczy widzialnych i niewidzialnych.

O Boże, Boże! Wszędzie tylko Fridy i Fridos, zupełnie jak w jakiejś świątyni ku czci Santa Fridy. Nawet pisali dla niej muzykę, naprawdę! Guillermo Monroy napisał piętnastozwrotkowe *corrido*: „Dofia Frida de Rivera, nasza uwielbiana nauczycielka...“, la la la i tak dalej. Tylko proszę mi nie kazać tego śpiewać! W świątyni roiło się od oddanych wyznawców, a ja byłam główną kapłanką, rozumie pan? Byłam mistrzynią kultu, papieżycą, cholerną kapłan-

ką religii najświętszej panienki, boskiej świętej Fridy Kahlo de Rivera, albowiem to ja opiekowałam się nią, podawałam jej lekarstwa, karmiłam ją i kąpałam. To ja słuchałam jej wynurzeń, kołam jej ból, znosiłam jej błazeństwa i awantury, jej picie i rzyganie na podłogę w łazience, jej narzekania, jęki i depresje. Żadna kapłanka żadnej religii nie poświęcała się bóstwu do takiego stopnia, jak ja poświęciłam się świętej Fridzie.

Proszę odejść. Nie chcę już o tym mówić. Proszę, doktorze... proszę już iść.

No, dobrze. Skończę opowiadać, ale potem, na litość boską, niech pan idzie.

Powoli uczniowie zaczęli się wykruszać. Coyoacan leżało zbyt daleko. Większości z nich nie chciało się podejmować tak długiej podróży. A poza tym Frida właściwie nie oceniała ich prac. Och, może czasami, ale niezbyt często. Czasem oboje z Diegiem wychodzili do ogrodu i rzucali kilka uwag, niczym książęta ciskający psom ochłapy, ale nie wszystkim dzieciakom to wystarczało. Chciały mieć nauczycielkę z prawdziwego zdarzenia, więc odeszły. Być może zresztą się mylę, może wcale nie o to chodziło. Być może przestali przyjeżdżać, bo nie stać ich było na bilet lub nie mieli dość energii. Nie wiem, czemu zrezygnowali. W końcu zostało ich tylko czworo - Arturo Garda Bustos, Guillermo Monroy, Arturo Estrada i Fanny Rabinovich.

Od czasu do czasu przyjeżdżał ktoś jeszcze - mniej więcej piętnastoletni chłopak nazwiskiem Carlos Sanchez Ahumada, wspaniały chłopak o orlim nosie, wysokim czole i ciele młodego azteckiego wojownika. Och, powinien był go pan widzieć w przepasce na biodrach, z piórami we włosach, unoszącego rękę i napinającego mięśnie, jakby miał zaraz cisnąć włócznią! Był murarzem jak jego ojciec i wyćwiczył się, dźwigając kamienie.

Frida od razu się nim zainteresowała.

Zapraszała go do swego pokoju, gdzie miała rozstawione sztalugi. - Carlos, chodź, zobacz, jak maluję portret doñi Rosity - powiedziała pewnego ranka.

Pozostali udali, że nie słyszą.

- Chciałabym poznać twoje zdanie. Naprawdę, kochanie, chciałabym wiedzieć, co myślisz. Uczę się od swoich uczniów tak samo, jak oni uczą się ode mnie!

Nikt nie odezwał się słowem. Wszyscy wiedzieli, że Frida ma niekonwencjonalne gusta. To była jedna z rzeczy, która tak w niej fascynowała - całkowita pogarda dla konwencjonalnej moralności, moralności ich matek, moralności katolickiej. Uważali, że niezwykle upodobania Fridy są wyrazem jej oddania sprawie komunizmu. Niech diabli porwą drobnomieszczaństwo, i tak dalej. Tyle że te dzieciaki nie należały do klasy średniej, lecz do biedoty, i zostały wychowane na takiej właśnie moralności, której teraz Frida grała na nosie. No cóż, taką ją akceptowały. Kochały swoją świętą Friditę.

Jednak jej zainteresowanie Carlosem trochę ich zaskoczyło. Wszyscy sądzili, że ma chętkę na Fanny. I być może mieli rację - w końcu jedno nie wykluczało drugiego.

- Carlitos, mi *amor*, chodź i zobacz ten portret.

- *Si*, doña Frida.

- Ile razy mam ci mówić, Carlitos! Nie mów do mnie w ten sposób! Jestem twoją przyjaciółką, kochanie, nie starą ciotką dewotką.

- Sf, doña Frida.

Objęła go w pasie i położyła mu głowę na ramieniu. Zachichotała, a jej śmiech popłynął ku czubkom drzew i zmieszał się ze świergotem ptaków.

Puściła do Carlosa oko i oblizła wargi.

- Carlitos, mi *amor*!

Chłopak wbił wzrok w swoje sandały. Frida wzięła go za rękę i zaprowadziła do sypialni. Patrzyłam na tę scenę, stojąc w drzwiach kuchennych.

Wyłonił się po godzinie z rozczochranymi włosami, rozpiętą koszulą i przekrzywionymi portkami z samodziału. Pozostali nadal malowali. Carlos wrócił do pracy i nie odrywał wzroku od płótna.

Frida oparła się o ścianę patio. Jej oczy błyszczały, na wargach igrał złośliwy uśmiezek.

- Jest niemożliwy - zwierzała mi się tego wieczoru. Siedziałyśmy w kuchni, łuskając groszek. - Cały czas myśli, że patrzy nań jego *mamacita*. Ona oraz Najświętsza Panienka z Guadalupe! Nie można nawet dotknąć go w krocze, bo zaraz pojawia się cały tłum świętych - Santo Tomas, San Ignacio, Santa Teresa, Santa Rosa - i cały chór aniołów! Wszyscy lustrują każdy nasz ruch, poczynając od jego sąsiadki, pani Hortigosy, a kończąc na papieżu! - Zaśmiała się perliście. - Cholera, ależ gówno ładują tym dzieciakom do głowy!

Rozzłościłam się. Użyła słowa „lustrować”, którego nie znałam. Spojrzała na mnie, jakby oczekiwała, że wyrażę współczucie.

- Ale w końcu dał się przekonać - zachichotała, włożyła palec wskazujący do ust i zaczęła go ssać z szelmowską miną. - Kiedy są młodzi, zrobią wszystko, czego się od nich zażąda.

Ogarnęła mnie fala mdłości. Carlos był niewiele starszy od mojego syna Antonia.

Musiała zauważyć niesmak malujący się na mojej twarzy, bo zapytała:

- Czy coś się stało?

- Nie - skłamałam. - Nic.

- Cieszysz się razem ze mną, prawda, Cristi? Jej głos brzmiał przejmująco szczerze.

- Oczywiście, Frida.

- Tak bardzo cię kocham, Cristi. Wiedziałam, że mówi serio.

- Ja też cię kocham - szepnęłam.

Moje serce krwawiło. Zagryzłam wargę i wyszłam z pomieszczenia. Dlaczego nie mogłam jej akceptować takiej, jaką była? Dlaczego jej wybryki doprowadzały mnie do szału?

Niedługo potem Carlos Sanchez Ahumada zniknął. Nie tylko przestał przychodzić do Casa Azul, ale całkowicie porzucił La Esmeraldę. Dlaczego? Nie wiem. Nikt go nie szukał i nikt nie pojechał do niego, żeby się dowiedzieć.

Co? Nie, oczywiście, że nie! Nie miałam z tym nic wspólnego! Nigdy nic nikomu nie powiedziałam, aż do tej chwili, a teraz to już i tak nie ma znaczenia.

Tyle lat minęło! A poza tym przez ten czas nikt o nim nie wspominał; temat Carlosa należał do tabu, tak jak temat dzieci. Z Fridą po prostu nie rozmawiało się o pewnych sprawach. Zupełnie jakby nie istniały, jakby uległy zatarciu dlatego, że nie życzyła sobie o nich mówić.

Jestem stara. Jestem starsza niż stara. Nie chcę więcej wspominać, chcę tylko, żeby pan sobie poszedł.

Dobrze, opowiem, ale jeszcze tylko trochę. Musi pan zrozumieć, jestem zmęczona.

Wiem, że to samolubne z mojej strony. Tyle razy oceniałam Fridę zbyt surowo. Tyle razy niechętnie odnosiłam się do jej osiągnięć. Przyznaję, że zachowywałam się ohydnie, okrutnie. Nienawidzę się za to, ale czasem nie umiałam się powstrzymać. Czasem była tak irytująca, tak zajęta własną osobą, że miałam ochotę ją zabić. Nie, to oczywiście nieprawda. Ale skupiała się na sobie do tego stopnia, że przypominała małża, który tak ciasno wypełnia muszlę, iż nie ma już miejsca na nic innego. Weźmy, dajmy na to, otwarcie knajpy La Rosita.

Nie zna pan La Rosity? To *pulquería* na rogu ulic Aguayo i Londres, niedaleko naszego domu, przygnębiająca dziura z brudną podłogą i krzywymi stołkami. Niektórzy Fridos uczyli się u Diega sztuki malowania fresków i Frida zdobyła dla nich pozwolenie na dekorację ścian zewnętrznych La Rosity. Twierdziła, że dzięki temu zyskają cenne doświadczenie. Sam pomysł nie był nowy - chcę powiedzieć, że ściany takich lokali na ogół były pomalowane. Zdołyły je proste rysunki, niemal graffiti, na ogół nawiązujące do nazwy danego lokalu, na przykład na ścianach pulquerii El Cacto widniało mnóstwo kaktusów. Czasem malowidła te przedstawiały wydarzenia polityczne, bohaterów rewolucji lub sceny z historii konkretnego miasta - na przykład, we wszystkich pul-queriach w San Pablo Guelato w prowincji Oaxaca spotykało się

portrety słynnego prezydenta Benita Juareza, który urodził się w tym mieście. W pewnym momencie rząd postanowił nawet, że lokale należy oczyścić, a ich ściany - pobielić, ale Frida i Diego sprzeciwili się temu. Twierdzili, że owe rysunki to prawdziwa sztuka ludowa, piękna, autentyczna i nieskrępowana. Pomysł Fridy polegał na tym, by udostępnić uczniom La Rositę do wprawiania się w malarstwie ściennym. Mówiła, że będą to tylko próby, lecz równocześnie ich prace miały przyczynić się do odrodzenia sztuki ludowej, z której wywodziły się oryginalne graffiti w pulqueriach.

Tak więc wszyscy pomaszerowali do La Rosity - Fridos oraz kilkoro uczniów Diega, zwanych Dieguitos. Pracowali całymi dniami. Fanny namalowała małą dziewczynkę i mnóstwo róż, gdyż nazwa lokalu mogła oznaczać imię dziewczęce albo „małą różyczkę”. Frida i Diego odwiedzali ich od czasu do czasu i służyli komentarzem. Aż w końcu w lipcu praca została skończona.

Który to był rok? Chyba 1943, tak, jestem prawie pewna. To wtedy pojawił się film *Distinto amanecer*. A zatem, kiedy nowe freski w pulquerii były już gotowe, Frida kazała wydrukować afisze - bardzo zabawne, z obrazkami róż i mnóstwa ludzi pijących *pulque* - oraz ogłoszenia o pieczeniu mięsa i wspaniałym obiedzie, zakrapianym najlepszą pulque w Meksyku. Wyglądało to tak, jakby zawiadamała o otwarciu bardzo ważnej wystawy. Kazała rozlepić te afisze wszędzie, na placykach i na głównym rynku. Kazała je powiesić nawet na ścianach kościołów i rozesłała je do gazet oraz do najważniejszych, najbardziej wpływowych osób w Mexico City.

Jak pan sobie zapewne wyobraża, skończyło się to cyrkiem, istną paradą znakomitości.

- Dios mio. - wykrzyknęła Frida. - Nie przypuszczałam, że dojdzie do czegoś podobnego!

Ależ oczywiście, że się spodziewała - przecież dzięki niej to się zdarzyło. Bądź co bądź, dziennikarze przybiegali pędem na każde przyjęcie wydawane przez Fridę i Diega Riverę. A Frida dołożyła starań, by zostali w porę zawiadomieni. Sprawiała, że otwarcie stało się wydarzeniem.

Concha Michel, znana piosenkarka ludowa, zaśpiewała słynną *Delgandinę* o dziewczynie, która nie chce zostać kochanką ważnego bossa. Guillermo wykonał swoje cholerne *corrido* na cześć ukochanej nauczycielki malarstwa. Salvador Novo, przyjaciel Fridy ze starych czasów w Prepie, obecnie zaś wybitny poeta, recytował swoje wiersze. Padre Esteban, proboszcz naszej parafii, pocałował ją w policzek, matka jednej ze studentek ucałowała jej dłoń, a wszyscy dziennikarze całowali ją w dupę.

Radośnie rozbrzmiewała gitara, wszędzie kręciły się śmiałe nastolatki i rozbawione dzieci. Bezzębna staruszka, kręcąc biodrami i odrzucając głowę, z wigorem tańczyła ze swym wnuczkiem jarandę. Nawet psy zdawały się szczekać w rytm muzyki, ganiając się między grupami tancerzy i wzbudzając wesołość małych chłopców. Uczennice przywdziały stroje z Tehuany - szerokie, falbaniaste spódnice, koronkowe bluzki, wstążki i róże we włosach - i wyglądały jak Fridy w miniaturze. Zaraz pewnie zaczną utykać, pomyślałam.

Powietrze przenikała woń pieczonego mięsa, duszonej guawy, puree z dyni i sera oraz słodkich ciasteczek. A także najlepszej *pulque* z Ixtapalapa, której sam aromat wystarczał, by się upić. Frida, bogini obfitości. Ludzie myśleli, że to ona zapłaciła za wszystko, chociaż rachunki pokrył głównie Diego i kilku szczodrych przyjaciół. Kto mógł, jadł, pił i cieszył się cudowną *mexicanidad* owej chwili, Frida zaś była królową baśniowej krainy, w której przez jedno popołudnie wszyscy dobrze się bawili i wszyscy - od gubernatora do syna cieśli - mieli co jeść.

Lola del Rfo, moja stara przyjaciółka Lola, która głaskała mnie po głowie w Xochimilco, stanęła na krześle i pogratulowała Fridzie jej wkładu w kulturę meksykańską, po czym zeskoczyła i gorąco ją uściskała. Diego bił brawo, Frida rozpromieniła się. Trzasnęły aparaty fotoreporterów. Zdjęcia z pewnością ukażą się w jutrzejszych gazetach, pomyślałam i uśmiechnęłam się do Loli. Patrzyła obok mnie. - Lola - szepnęłam, ale miałam wrażenie, że mnie nie ma.

Wszyscy tańczyli i ja też tańczyłam, lecz jakby we śnie; unosiłam się i opadałam niczym balonik na sznurku. Byłam obecna, jednak

widziałam wszystko z daleka - zgaszone barwy, miękkie czerwienie, zielenie i żółcie z wyraźnym ziarnem, jak na złej jakości filmie. Czułam, że jestem na zewnątrz, że patrzę na wszystko z nieba, do którego się unoszę niczym drżąca, upierzona istota.

Jedyną osobą, która nie tańczyła, był Benjamin Peret, nauczyciel francuskiego w La Esmeralda, drobny mężczyzna o matowych włosach, opadających powiekach i wiotkich nadgarstkach. Właśnie przyjechał z Paryża i wyraźnie dawał nam do zrozumienia, że choć podziela rewolucyjny zapał Meksykanów, nie zamierza nigdy nawet zbliżyć się do prawdziwego Meksykanina. Jako dobry komunista kochał całą ludzkość, ale dezynfekował ręce po każdym kontakcie z *campesino*.

Diego gestem zachęcił go, by przyłączył się do tańczących.

- *Vamos, compañero. Zatańczymy zapateado*. Peret przeraził się.

- Mais non! - Wzdrygnął się niczym chudy kogut, który właśnie połknął robaka o paskudnym smaku albo sznurek, bo wziął go za robaka. - Mais non! - Dziwnie szarpnął głową, a jego oczy zrobiły się wielkie i okrągłe. - Nie wiem, jak to się tańczy, Diego.

- *Vamos*, Benjamin - nie przestawał go namawiać pijany Diego, mrugając doń i kiwając, jakby miał do czynienia ze wstydliwym dziewczęciem.

- Nie, Diego. Nie umiem, nie umiem! Nagle twarz Diega pociemniała.

- To ja cię nauczę! - warknął i wyrwał z kabury pistolet, który zawsze nosił na biodrze.

Zgromadzeni odsunęli się na boki. Matki złapały dzieci za rączki i szybko je wyprowadziły. Diego wycelował w stopy Pereta.

- Non! - załkał Francuz. - Non, Diego! - Już niemal płakał. Diego strzelił i Peret podskoczył na jednej nodze. Diego znów

strzelił, a Peret stanął na drugiej nodze. Diego strzelał, Peret zaś przeskakiwał z nogi na nogę, nagle nabrawszy zwinności.

- Teraz już umiesz! - ryknął Diego. Wciąż strzelał, a Francuz wciąż tańczył *zapateado*.

Tłum zebrany na patio pulquerii eksplodował śmiechem, ale biedny Benjamin przetykał łzy i pociągał nosem.

Frida podeszła z tyłu do Diega i delikatnie otoczyła go ramieniem w pasie.

- Chodź, kochanie - poprosiła. - Wystarczy. Diego pozwolił się udobruchać.

Wyjęła mu broń z ręki i przytuliła się do niego. On odebrał jej pistolet, wsunął go do kabury i oboje zaczęli tańczyć.

Przyprawiali mnie o mdłości. Ile razy mogłam oglądać ten sam film? Pora zmienić repertuar. Pora zmienić rolę.

Tamtego wieczoru Frida przetańczyła wiele godzin. Jak zdołała tego dokonać? Wiedziałam, że zdenerwowało ją zachowanie Diega i że straszliwie bolały ją plecy i stopa, ale jakoś dawała sobie radę. Czy sprawiły to litry *pulque*, którą w siebie wlewała, czy też podniecenie sukcesem? A może zbyt liczyła się ze spojrzeniami innych ludzi, by pozwolić sobie na słabość? A może zanim zaczęło się przedstawienie, zażyła większą dawkę środków przeciwbólowych?

Umierała. Jej ciało rozpadało się, gniło na moich oczach, a jednak proszę, tańczyła.

- Nalejcie mi jeszcze! - wołała co jakiś czas i ktoś podbiegał do niej z kolejną szklanką *pulque*.

Wystarczyło, że poprosiła. Wystarczyło, że otworzyła usta, a zawsze znajdował się ktoś gotów spełnić jej prośbę. Cały świat leżał u jej stóp. Cesarzowa Frida. Grała tę rolę niczym Bette Davis.

Przyznaję, że byłam wściekła. Brzydziło mnie jej skupienie na sobie, udawanie dzielnej małej inwalidki. Lecz jednocześnie czułam się winna, gdyż znaczna część jej bólu wynikała z tego, co ja jej zrobiłam. Nie potrafiłam przestać o tym myśleć. Zdradziłam własną siostrę; kochałam ją bardziej niż kogokolwiek na świecie, a jednak ją zdradziłam. Wśród wszystkich strasznych rzeczy, które przytrafiły się Fridzie, moja nielojalność zaboląła ją najbardziej, bowiem należałam do rodziny. Tak to jest u nas, Meksykanów. Każde dziecko od dnia narodzin uczy się, że nie może ufać nikomu oprócz członków własnej rodziny. Widzi pan zatem, że zerwałam

uświęcone więzy. Gdyby nie to, być może sprawy potoczyłyby się inaczej. Być może nie wystąpiłaby o rozwód. Czułam, że muszę zrobić coś, aby ulżyć jej cierpieniu, nawet jeśli oznaczało to, że do końca życia będę jej niewolnicą.

Patrzyłam, jak Frida obraca się coraz szybciej, widziałam jej zaróżowioną twarz i falującą pierś. Śmiała się wesoło, wirowała od jednego partnera do drugiego, przytupywała, klaskała, kręciła biodrami. I umierała z powodu pękniętego kręgosłupa, gnijącej nogi, złamanego serca.

Nagle zaczęła się przeobrażać. Nieoczekiwanie, bez ostrzeżenia, Frida, którą ujrzałam przed sobą, nie była już Fridą. Zamieniała się w swój własny szkielet. Zamiast twarzy, piersi, stóp zobaczyłam pozbawionego ciała kościotrupa, ubranego w tehuański strój, roześmianego, rozkołysanego, wirującego, tupiącego w rytm muzyki, z czaszką sterczącą ponad strojną suknią, skrywającą nagie pizszczele.

Zobaczyłam, że oni wszyscy - Diego, Lola, Guillermo, Fanny, Salvador Novo, Concha Michel - zamienili się w szkielety. Diego, który przed chwilą przytupywał i kręcił piruety z wdziękiem niesłychanym jak na kogoś tej tuszy, był teraz czaszką upiornie szczerzącą zęby ponad gigantycznym, rozklekotanym kadawrem. Lola w eleganckiej fioletowej sukni i sandałkach, Lupe Marin w białej bluzce z obnażonymi ramionami, *campesinos* w portkach, koszulach i *huaraches* z samodiału - same szkielety. Nawet subtelna Fanny o delikatnych, europejskich kościach policzkowych, nawet Benjamin podskakujący niczym kogut na skraju patio, wszyscy zamienili się w nagie czaszki i kościste torsy.

Chciało mi się krzyczeć, lecz właściwie po co? Kto by mnie usłyszał? Byłam niewidzialna.

Pomysł z La Rositą okazał się tak udany, że Frida otrzymała mnóstwo dalszych propozycji dla swoich Friditos. Wykonali fresk w pralni publicznej z ogromnymi wizerunkami wszystkich praczek i odnieśli wspaniały sukces. Na wystawę w Pałacu Sztuk Pięknych w 1945 - albo 1946 - roku przygotowali pracę, która wzbudziła wielkie kontrowersje ze względu na lewicowe motywy. Nie

pamiętam wszystkich przedsięwzięć, ale wiem, że Frida bardzo pomagała tym dzieciakom, załatwiała im pracę, urządzała wystawy. Zaczęli o niej myśleć jak o drugiej matce - i popełnili błąd. To był początek końca.

Jak pan chyba wie, w Meksyku obchodzimy Dzień Matki 8 grudnia, w święto Niepokalanego Poczęcia. Pewnego razu uczniowie Fridy postanowili dać jej prezent na Dzień Matki i stworzyli małą kolekcję swoich obrazów. Fanny namalowała scenę macierzyństwa, matkę i dziecko, oczywiście, nie tę Matkę i Dziecko. Inny uczeń namalował rodzinę rewolucjonistów - ojca, matkę, syna i córkę - w ubogich wieśniaczych strojach i *huaraches*, z pasami na amunicję skrzyżowanymi na piersiach. Jeszcze inny wykonał scenę narodzin, inspirowaną obrazem Fridy *Moje narodziny* sprzed ponad dziesięciu lat. Były to niewielkie obrazy, prawie miniatury, chodziło bowiem o to, by Frida mogła je powiesić razem na ścianie w pracowni jako hołd swoich duchowych dzieci. Przyjechali wcześniej rano, przywożąc podarunki oraz ogromny bukiet kwiatów - róż, orchidei, margerytek, goździków, hibiskusów - przystrojony barwną wstążką. Do bukietu dołączyli własnoręcznie namalowane życzenia z napisem: *Naszej drugiej matce*, i podpisali się pod spodem.

Najwyraźniej sądzili, że sprawią Fridzie przyjemność. Wiedzieli, jak bardzo chciała mieć dzieci - a przynajmniej często mówiła, że chciałaby mieć dzieci.

Fanny z szerokim uśmiechem wręczyła bukiet Fridzie.

- *Maestra* - wyszeptała przejęta.

- *Nasza adorada maestra* - powtórzył niby echo Guillermo Monroy.

Frida stała jak sparaliżowana, gapiąc się na młodych ludzi. Jej usta poruszały się, lecz nie dobywał się z nich żaden dźwięk.

Monroy chyba nic nie zauważył. Usiadł i przygrywając sobie na gitarze, zaczął zawodzić następne *corrido*, które napisał dla Fridy. Pamiętam zeń jedynie słowa *segunda madre*, druga matka. Stanowiły część powtarzającego się refrenu: „Jesteś drugą matką dla dzieci, które cię kochają”. Albo coś w tym rodzaju.

Usta Fridy zadrżały. Spodziewałam się, że powie coś kąśliwego, zapali papierosa i popatrzy w przestrzeń, jakby nie zwróciła uwagi na ich głupi prezencik. Spodziewałam się, że przyjmie cyniczny ton i znudzony wygląd. Ale ona podziękowała im grzecznie i oznajmiła, że czuje się niezdrowa, więc będą musieli odłożyć uroczystość na inny raz.

- Ależ *maestra* - zaprotestowali. - Przyjechaliśmy autobusem kawał drogi z miasta.

- Przykro mi, moi kochani - szepnęła Frida. - Wybaczcie, ale nie mogę.

- Idioci! - zawyła, gdy tylko odeszli. - Głupi skretyniali gówniarze! Co oni sobie wyobrażają, nazywając mnie matką? Nie jestem ich matką! Nie jestem niczyją matką! Nie chcę ich prezentów! Nie chcę ich współczucia! Nie chcę być niczyją drugą matką! Zabierz stąd to gówno! Zabierz to natychmiast!

Złapała nóż i wbiła go w śliczną matkę z dzieckiem Fanny. Pocięła na strzępy wszystkie obrazki bez wyjątku, po czym zabrała się do kwiatów. Zaatakowała je, jakby były ludźmi, dziećmi. Odrywała im delikatne główki, szarpała liście, łamała kruche łodygi. Nieprzytomna z wściekłości chwytiała je zębami, gryzła na miazgę i wypluwała. W jej wytrzeszczonych oczach widoczne były tylko białka. Wrzeszczała i łkała na przemian:

- Kretyni! Dupki! Idioci! Nie jestem waszą pieprzoną matką! Nie jestem waszą kurewską matką, wy kurewskie niedorozwoje! Zabierajcie swoje bukieciki! Zabierajcie swoje gówniane obrazki! Nie jestem waszą matką, słyszycie! Nie mam dzieci i wy nie jesteście moimi dziećmi!

Wyła, skrzeczała, awanturowała się jak wariatka. Wyobrażam sobie, że tak samo szalała i złorzeczyła tego dnia, kiedy zniszczyła lalki. Ochrypła od wrzasku, padła wreszcie na łóżko i rozsłochała się.

Widzi pan zatem, że nie mogłam jej zostawić. Czasem mówiłam sobie: „Nie zniosę tego dłużej. Muszę wyrwać się z tego domu”. Ale Frida mnie potrzebowała i musiałam być jej niewolnicą do końca.

ROZDZIAŁ 24

Agnus Dei

Poniedziałek, 12 lipca 1954 roku. Noc jest czarna jak całun, ale na dworze wciąż pokrzykują dzieci. Może niosą staremu *pulque* albo tortille od ciotuni. Nie ma księżyca, choć powinien się już pojawić. Señora Mayet, pielęgniarka, właśnie dała Fridzie trochę soku z marchewki. Frida się krztusi - nienawidzi tego soku, ale musi coś jeść. Pani Mayet porusza się cicho, wprawnymi rękami unosi głowę Fridy i lekko przyciska jej kubek do ust. Ostry śmiech na ulicy rozdziera ciemność, po czym następuje cisza, oleista i lepka niczym smoła.

- No, Fridusiu - mówi Diego - wypij do dna.

Nikt się nie odzywa. Señora Mayet nalega, by Frida wypiała sok i przechyla kubek tak, by płyn pociekł jej do ust. Wstają i masują siostrze kark. Zza okiennic dobiega szuranie stóp, które wkrótce cichnie. Ktoś idzie za swoimi sprawami. Zamknij oczy, Frida. Zamknij oczy. Już niedługo. Frida zamyka oczy i zasypia.

W zeszłym tygodniu, pomimo zakazu doktora Farilla ze względu na bronchit, poszła na demonstrację komunistyczną.

- Moje płuca są jak kamienie, Cristi, ostre kamienie, które wrzynają mi się w pierś!

- To użyj rozumu, Frida, i nie idź!

Ale i tak wgramoliła się na fotel inwalidzki.

- To już nie potrwa długo, *pelona*.

Wykrzywiła się do lustra i spróbowała wbić we włosy więdnącą czerwoną różę. Kwiat upadł na podłogę, roniąc po drodze luźne,

melancholijne płatki, przypominające krople krwi. Odwróciłam wzrok.

- Nie mogę się uczesać, Cristi.

- Cóż, ja ci nie pomogę. Nie musisz wychodzić. Odeła się.

- Nie ma znaczenia, czy mnie uczeszesz, czy nie. I tak będzie padało. Właściwie już pada.

I zawiązała chustkę na rozczochranych włosach, co wyglądało, jakby nad jej twarzą zawisła masa pajęczyn, okrytych białym płótnem.

Popołudnie było paskudne, zimne i mokre; czułam się niczym kupka piasku owinięta w ociekającą wodą prześcieradło. Ale Frida po prostu musiała iść. To miało być wielkie wydarzenie, występ obowiązkowy. Wszyscy powinni ujrzeć Fridę z uniesioną pięścią, krzyczącą: *Americanos! Asasinos!* Protestowaliśmy przeciwko CIA, przeciwko temu, że CIA odsunęło od władzy Jacoba Arbenza - Arbenza, prezydenta Gwatemali, wybrańca ludu, który nie chciał służyć interesom kapitalistów. Tak przynajmniej twierdziła Frida, choć mnie wydawało się, że oboje z Diegiem często służyli interesom kapitalistów, zwłaszcza kiedy brali pieniądze od grubych ryb w Chicago i Nowym Jorku. W każdym razie Frida pojawiła się na demonstracji, wykrzykując hasła: „Precz z gringos! Jankesi, wynocha z Gwatemali! Mordercy! Rzeźnicy!”. Wyglądała jak wróbelek, krucha, znużona, blada, z wytrzeszczonymi oczami. Jej głos niósł się niewiele dalej niż końce chustki, ale przecież liczył się wizerunek, symbol. Zostało jej mało czasu, by umocnić legendę. Ludzie zachwycali się nią: „Cóż za solidarność! Waleczna Frida, całkiem jak Joanna d'Arc! Całkiem jak Benito Juarez! Całkiem jak La Guera Rodrfiguez!”. Reporterzy Ignęli do niej niczym muchy do miodu. Już widziałam te nagłówki:

FRIDA KAHLO

MIMO CHOROBY SOLIDARYZUJE SIĘ Z MASAMI.

Kto? La Guera Rodrfiguez? To była bohaterka wojny o niepodległość z Hiszpanią. Nigdy pan o niej nie słyszał? W Meksyku zna ją każdy uczeń. Poszliśmy więc zaprotestować, chociaż wołałam

zostać w domu. To znaczy, wolałam, by Frida została w domu. Dlaczego? Bo ją kochałam. Bo umierała. Jeśli będzie mi pan przerywał, nigdy nie skończę tej historii, a bardzo bym chciała ją skończyć, panie doktorze, gdyż pragnę, aby pan wreszcie poszedł i dał mi święty spokój. Po powrocie padła na łóżko jak nieżywa i zaczęła błagać o demerol. Udałam, że nie słyszę. Szlochała histerycznie: „Demerol! Demerol!” - zupełnie jakby to było jedyne słowo, jakie umiała wymówić. Poszłam do łazienki umyć twarz. Wypadł mi wyczerpał. Kiedy wróciłam, Frida leżała na łóżku z laską w garści i tłukła nią powietrze. - Demerol!

Nie miałam siły się sprzeciwić, ale wtrąciła się pani Mayet.

- Nie - rzekła stanowczo. - Dałam jej lekarstwo podczas demonstracji. Żadnych więcej środków przeciwbólowych. Żadnych zastrzyków. Żadnych proszków.

- Tak, señora Mayet - przytaknęłam.

Ale gdy tylko wyszła z pokoju, zrobiłam Fridzie zastrzyk demerolu.

Godzina 23.29. Isolda na palcach zagląda do pokoju. Wyrosła na młodą kobietę, szczupłą i wiotką niczym piórko. - Czy *tia* Fridita zje trochę rosołu?

- Nie, kochanie, zasnęła pół godziny temu.

- Pójdę i poczytam sobie.

- Dobrze, idź. Jutro poczuje się lepiej.

Pijak brnie ulicą, zawodząc *Amapola*. Gdzieś szczeka pies, tylko raz. Od strony La Rosity dobiega śmiech dwóch mężczyzn. Pielęgniarka wróciła i drzemie w kącie, a jej oddech przypomina podmuchy wiatru na pustyni. Diego wygląda prześcieradło Fridy i całuje ją w czoło.

- Powinnaś się przespać - mówi do mnie.

- Nie, Diego. Ty się prześpij, ja z nią posiedzę.

Odsuwam firankę i patrzę w nocne niebo. Zza chmur lekko połyskuje zielonkawy księżyc. Za oknem tuli się para kochanków; wyczuwam ich bardziej, niż widzę. Podejrzewam, że dziś dadzą początek nowemu życiu.

Wtorek, 13 lipca 1954 roku. Północ.

Wtorek trzynastego to dla nas pechowy dzień, doktorze, coś jak piątek trzynastego w waszym kraju. Frida pogwizduje niczym stary miech, ale wciąż śpi. Głowa Diega opada na jego podbródki - gąbczaste poduszeczki, wsparte na dziecinnej piersi. Wracam do okna i znów odsuwam firankę. Nie będę spać - nie, nie dzisiaj. Czekam na właściwy moment. Kuśtykając, przechodzi stary człowiek, ale nie podnosi oczu i nie napotyka mego wzroku. Zatopiony we własnych myślach, pozostaje nieświadomy, że wewnątrz domu, obok którego przechodzi, ktoś właśnie umiera. Odchodzę od okna i siadam w nogach łóżka.

- Diego!

Diego kiwa głową i cicho chrząka jak prosiak.

- Diego, ona śpi. Możesz już iść. Podnosi powieki, jakby miał pod nimi sól. - Co?

Czuję jego kwaśny oddech.

- Wracaj do pracowni, jeśli chcesz. Ona śpi.

Mrużąc oczy, Diego wpatruje się w zarys postaci Fridy. Jej ręka leży bezwładnie na kołdrze, pierś podnosi się i opada spazmatycznie. - Możesz wracać, Diego. Ja z nią zostanę.

- Myślisz, że prześpi całą noc?

- Tak, chyba będzie spokojna.

Diego zgina kolana i dźwiga się do pozycji stojącej.

- Nie będziesz miała mi za złe?

- Są tu Isolda i pani Mayet. Manuel jest w drugim pokoju. Pamięta pan Manuela, prawda, doktorze? Starego sługę Papy? Wrócił i zamieszkał z nami, zanim Papa umarł.

- Adiós, mi *amor*. - Diego pochyla się i całuje Fridę w czoło. Wygląda, jakby się wahał. Nie bardzo chce odejść. Ociąga się przy łóżku, gładzi jej palce. W końcu bierze kurtkę i kapelusz.

- Zacznie padać, zanim dotrzesz do pracowni - mówię.

Wzrusza ramionami.

W drzwiach przytula moją dłoń do policzka, jakby owo dotknięcie mogło powstrzymać go od płaczu. Ma zmęczoną twarz. Usta mu drżą. W kąciu jego oka pojawia się łza, która wzbiera, spływa niczym strumyk w bruzdę obok nosa i kapie na podbródek. Ból, który czuje, przeszywa mi serce.

Ale biorę się w garść i powściągam uczucia. Przypominam sobie różne rzeczy. Jakże on ma prawo teraz zalewać się łzami żalu - on, który siedem lat temu gził się z Marią Felix?

Rio *Escondido* wszedł na ekrany w 1947 roku. Ach, cóż to był za cudowny film! Komuniści go uwielbiali. Maria Felix została piesz-czoszką całego Meksyku dzięki swej roli Rosaury Salazar, nauczycielki, która miała odwagę sprzeciwić się potężnym złym ludziom i zwyciężyła. Wkrótce zaczęto utożsamiać Marię z Rosaurą i uznano ją niemal za świętą. Ludzie kupowali jej fotografie i czasem nawet modlili się do niej.

Maria Felix była oszałamiająco piękną kobietą o bujnych kształtach. Wszystkiego miała dużo. Chodziła na przyjęcia w sukniach bez ramiączek, podkreślających jej wdzięki. Wylegiwała się przy basenach w skąpych kostiumach plażowych, zwieszając z leżaków długie, gładkie nogi. Nosiła długie, rozpuszczone włosy barwy czekolady i ślazu, wręcz nieodparcie zapraszające, by zanurzyć w nich palce. Tłumy kochały ją, bo wyobrażała Ewę i zarazem Przenajświętszą Panienkę, Boga i diabła w jednej osobie. Na portrecie, który namalował jej Diego, sprawia wrażenie, jakby się modliła albo zatopiała w rozmyślaniach. Mimo spuszczonego oczu wygląda niezwykle uwodzicielsko z opadającymi na nagie ramiona włosami, które światło rozjaśnia na samym czubku głowy. Wygląda jak Magdalena.

A gdziekolwiek udała się Maria, tam podążał za nią Diego, jakby był dodatkiem do niej. Fotreporterzy bez przerwy robili im zdjęcia - na przyjęciach, wernisażach, konferencjach prasowych. Maria śmiała się, posyłała wszystkim całusy i mówiła o patriotyzmie. Diego mówił o rozwodzie z Fridą.

A Frida? Żartowała. Ponieważ Diego od pewnego czasu groził, że ją zostawi, zdążyła przygotować sobie scenariusz. Kiedyś jakiś dziennikarz spytał:

- Co pani sądzi o Diegu i Marii Felix?

- Ach, cóż, lubi się z nią pieprzyć - odparła Fnda. - No i co z tego? Sama bym się z nią chętnie pieprzyła!

Widzi pan, próbowała pokazać wszystkim, że nie przejmuje się dziwkarstwem Diega - nie dlatego, że jej na nim nie zależy, lecz dlatego, że podziela jego popędy. Nadal stanowili parę, sugerowała tyle że teraz nie byli już mężczyzną i kobietą, lecz dwoma facetami *macho* na Iowach. Niech pan spojrzy na jej autoportrety, doktorze. Są coraz bardziej męskie. Pewien dziennikarz spytał:

- O co tu chodzi? Na tym obrazie wygląda pani jak mężczyzna! Frida odpowiedziała na to:

- Naprawdę? Tak pan sądzi? A wie pan, jak poznałam Diega.' Oboje chodziliśmy z tą samą dziewczyną!

Innym razem, na przyjęciu w ambasadzie amerykańskiej, Fnda odciągnęła na bok srebrzystowłosą damę z towarzystwa i szepnęła jej do ucha:

- Proszę posłuchać, powiem pani coś w sekrecie. Diego nie jest ojcem Lupity, córeczki Lupe Marin. Kobieta wyglądała na zachwyconą, że ktoś powierza jej pikantną tajemnicę.

- Wie pani, kto naprawdę jest ojcem dziewczynki? - ciągnęła Frida, puszczając do mnie oko. - Ja!

- Słuchajcie! - zawołała do tłumów zebranych w apartamencie hotelowym Eddiego Kaufmana. Eddie przyjechał do Meksyku i zaprosił wszystkich na ogromne przyjęcie w hotelu Moctezuma.

- Słuchajcie! Wiedzieliście, że Eddie, Diego i ja byliśmy na "Titanicu", kiedy zaczął tonąć? Kaufman, prawdziwy dżentelmen bohater, krzyknął, że najpierw trzeba ratować kobiety i dzieci. Ale Diego sam popędził do szalupy, wrzeszcząc: „Pieprzyc kobiety i dzieci!”. A wiecie, co ja zrobiłam? Zastanowiłam się przez chwilę i zapytałam: „Myślisz, że jest na to czas?”.

Zdumienie. Zgorszenie. Okrzyki. Gwizdy. Huraganowy śmiech. Serce mi pękało. Moja siostra grała przedstawienie niczym marionetka na sznurku, niczym tańczący kościotrup, taki, jakimi szarpia uliczni lalkarze w Święto Zmarłych. Hop hop krok w prawo hop hop krok w lewo. Gdziekolwiek byliśmy, pozwalala, by tłum pociągał za sznurki. Straciła na wadze, a jej twarz zrobiła się ostra i koścista. Przez większość czasu była tak pijana lub odurzona lekami, że nawet nie potrafiła równo się uszminkować i malowała sobie makabryczne, szerokie usta. Pragnęłam wziąć ją w ramiona i powiedzieć: „Przestań, Frida!”. Nie mogłam znieść, że stała się ich zabawką, rozrywką. Chciałam zabrać ją do domu, pocałować i położyć do łóżka. Moja biedna, kochana siostrzyczka. Chciałam powiedzieć: „Niech ci dadzą spokój, Frida! Pozwól, bym odwiozła cię do domu, abyś umarła w spokoju!”. Ale ona musiała grać swoją rolę, do końca musiała być gwiazdą.

Tego wieczoru, gdy opowiedziała dowcip na przyjęciu u Eddiego Kaufmana, oboje z Diegiem odwieźliśmy ją do Coyoacan. W drodze powrotnej zachowywała się histerycznie, łkając i śmiejąc się na przemian. Jej wykrzywiona bólem twarz przypominała buzię wypranej i wyżętej lalki. Diego natychmiast wrócił do San Angel. Pielęgniarka Fridy - señora Mayet jeszcze u nas nie pracowała - przygotowała jej lekarstwo, lecz kiedy pochyliła się, by je podać, Frida wyciągnęła rękę i złapała ją za krocze. Kobieta tylko parsknęła:

- No, panienko Frido, proszę wziąć lekarstwo!

- Dawaj te pigułki i dawaj cipkę, ty głupia suczko! Pielęgniarka tylko się roześmiała i uderzyła Fridę po palcach,

jakby karciała niegrzeczne dziecko. Frida chwyciła laskę i spróbowała wsadzić ją między nogi kobiety.

- No, kiciu - zagruchała. - Podnieś sukienkę, pokaż Fridzie, co tam masz!

Nie mogliśmy zatrzymać żadnej pielęgniarki na dłużej, bo Frida nieustannie je napastowała. Wszystkie uciekały po tygodniu czy dwóch - wszystkie, z wyjątkiem tej jednej, która podzielała skłon-

ności Fridy. Jestem pewna, że oprócz demerolu i barbituranów dostarczała Fridzie także przyjemności ręką. Ale w końcu i ona nie wytrzymała jej awantur i odeszła. Nie pamiętam, ile pielęgniarek przewinęło się przez nasz dom. Przychodziły i zaraz odchodziły - przychodziły, gdyż Diego proponował doskonałą pensję, a także dlatego, że uważały za zaszczyt wylewanie nocnika po wielkiej Fridzie Kahlo, odchodziły zaś, bo miały dość walenia laską po grzbiecie i łapania za cipę. Wtedy to ja musiałam głaskać Fridę po główce i trzymać ją za rączkę.

- Daj mi zastrzyk, mała Kity! - żebrała.

- Nie, Frida, jeszcze nie pora.

- No, Kity. Daj mi demerolu. Daj mi kodeinę, opium, atropinę, cokolwiek!

Nie mogła przyjmować zwykłej morfiny, jedynie demerol, który jest lekiem syntetycznym.

- Proszę cię, Kity. No, Cristi Kity. Dałabyś, gdybyś mnie kochała!

- Nie mogę, Frida. Spróbuj zasnąć.

- Nie zasnę bez lekarstwa. No, Kity, zrób mi zastrzyk.

Nie mogłam patrzeć na jej ciało. Ale ona przewracała się z trudem na brzuch, zadzierała koszulę, więc co miałam robić?

- Znajdź miejsce!

- Nie ma już miejsca!

- Znajdź!

Dygotała i krzyczała, a ja bałam się, że dostanie jakiegoś ataku, więc ustępowałam. Znajdowałam maleńki skrawek nietkniętej skóry, robiłam zastrzyk i po chwili się uspokajała.

2.51 nad ranem. Jej oczy są szeroko otwarte. Zrobiłam szparę w zasłonach, gdyż lękam się siedzieć sama w całkiem ciemnym pokoju. Jej źrenice błyskają niczym noże w odbitym świetle.

- Gdzie Maty? - Już dawno poszła do domu. Idź spać, Frida.

Ale noga nie pozwala jej zasnąć. Boli ją noga, której nie ma, ta, którą jej obcięto. Przeszywający, przenikliwy ból, powiada. Sztylet w łydce.

- Demerol!

Ale jeszcze nie pora, a ja nie mogę odstąpić od zasady, bo w drzwiach pojawia się pani Mayet. Przyszła sprawdzić, co się dzieje.

- Dlaczego pani nie śpi, panienko Frido?

- Dobrze wiesz, czemu nie śpię, ty głupia cipo! Boli mnie, okropnie mnie boli! Daj mi demerolu! Señora Mayet zapala lampę i mierzy Fridzie temperaturę.

- Niech pani idzie do łóżka, panno Cristino. Zostanę z nią przez resztę nocy.

- Nie, nie trzeba, ja z nią posiedzę.

Nie ufa mi. Podejrzewa, że nie stosuję się do zasad. Podejrzewa, że łamię reguły, kiedy nie patrzy. Próbuję rozwiązać jej wątpliwości.

- Nie jestem śpiącą, señora Mayet. Jeszcze trochę tu posiedzę, niech pani się położy.

- Tak, señora Mayet. Proszę iść spać. Siostra się mną zajmie. Głos Fridy brzmi silniej, niż można by oczekiwać. Pielęgniarka waha się, lecz jedynie przez chwilę.

- Panienko Cristi, tylko proszę nie podawać jej żadnych lekarstw.

- Dobrze, señora Mayet.

- Wyłącznie kompres na czoło, jeśli zajdzie potrzeba. Ale żadnych leków.

Frida nie odzywa się ani słowem.

- Proszę obiecać, że w razie potrzeby mnie zawołacie.

- Oczywiście, señora Mayet.

Pielęgniarka gasi światło. Słyszymy jej kroki na patio. Słyszymy szum spuszczonej wody w toalecie. Cisza. Dwie, cztery, pięć, dziesięć minut.

- Cristi, ja już nie mogę.

Ledwie słyszę jej błagalny, rozpaczliwy głos.

- Wiem, kochana.

Napełniam strzykawkę i robię zastrzyk. Jej dłoń muska moją, jej palce w podzięcie usiłują uściskać moje. Po chwili zamyka oczy i wszystko cichnie.

Pięć lat temu Frida spędziła dziewięć miesięcy w Hospital Ingles. Wtedy zaczęto mówić o amputacji. Miała kłopoty z krążeniem, szerniały jej dwa palce u nogi i lekarze oznajmili, że wdała się gangrena. Gangrena - to znaczy, że ciało gnije, rozkłada się tak powoli, że człowiek nawet tego nie zauważa, aż pewnego dnia budzi się częściowo martwy. Fridzie trzeba było usunąć oba palce.

Maty i ja odwiedzałyśmy ją codziennie, Adri - co drugi dzień. Diego wynajął w szpitalu pokój, żeby być przy niej. Jego romans z Marią dobiegł już końca, ale nawet kiedy trwał - chcę, żeby to było absolutnie jasne - Diego kochał Fridę. Zawsze ją kochał, tak samo jak ja. Krzywdziliśmy się nawzajem, ale kochaliśmy się.

Operowano jej także kręgosłup. Nie pamiętam wszystkich szczegółów. Postanowiono zrobić jej przeszczep kości, ale skończyło się to fatalnie. Po operacji założono Fridzie wstrętny, ciężki gorset, żeby nie mogła się ruszać, przez co rana nie goiła się jak należy i niebawem na plecach utworzył się ropień. Wdała się infekcja, powodując smród tak potworny, że przyprawiał nas o mdłości. Maty uznała, że Frida śmierdzi jak zdechły pies, a ja - że jak pierdnięcie świni. To okropne, co powiem, ale musiałam powstrzymywać wymioty za każdym razem, gdy wchodziłam do jej pokoju w szpitalu. Proszę sobie wyobrazić, jak musiała się czuć Frida, zawsze taka wybredna w kwestii strojów, uczesania, biżuterii. Proszę sobie wyobrazić, co czuła, widząc, że odór jej ran odpycha od niej ludzi.

- Zrób to, Cristi - błagała. - Wystarczy duża dawka demerolu.

Ale ja uprosiłam lekarza - nazywał się Juan Farill - aby ją ocalił, aby dał jej mocniejszy środek przeciwbólowy. I modliłam się, przyznając. Albowiem, pomimo twierdzeń Fridy, że kościół katolicki to gówno, że katolicyzm jest zły, modliłam się, bo nie wiedziałam, co jeszcze mogę robić.

Teraz nigdy się nie modlę, chociaż czasem bardzo bym chciała.

Zrobiono nowy gorset, z otworem, żeby ropa mogła wypływać. Ale ciało Fridy przypominało gnojówkę. Rany się nie goiły. Wciąż

śmierdziała jak padlina, a jednak... nie mogłam... wiedziałam, że pragnie umrzeć, ale była moją siostrą i kochałam ją.

Ustawiono w jej pokoju sztalugi i przytwierdzono je do łóżka, żeby mogła malować, leżąc. Ludzie przychodzili na nią popatrzeć. Diego przyprowadził Indianina Huichol w barwnym kostiumie, żeby dla niej pozował - przystojnego młodzieńca o pięknych rysach, długich włosach, miedzianej skórze i równych białych zębach. Ach, jakiż widok stanowił w swym szerokoskrzydłym kapeluszu z dzwonkami, haftowanej chuście, krótkiej czerwonej pelerynce i sukiennym pasie wspaniałej roboty! Miał mnóstwo bransolet i wymyślną, tkaną torbę na ramię. Frida była w siódmym niebie - ona w pierścieniu na każdym palcu, malowanym gorsecie, wiszących kolczykach, on obwieszony ozdobami. We dwoje stanowili feerię barw i wzorów. Przez jakiś czas stanowił jej ulubioną zabawkę. Ale miała też inne.

Na przykład kolekcję czaszek przyozdobionych kwiatami i wstążkami, które opatrzyła naszymi imionami. Ja byłam uśmiechniętą czaszką z cukru i kolorowych galaretek, ona - czaszką z sierpem i młotem, w przybraniu różowych kokard i falbanek. Martwa Cristina, martwa Frida, życie i śmierć, wesołość i makabra.

Lubiła przyjmować gości. Ja oczywiście wciąż u niej siedziałam - ja, Maty i Diego - ale nie ograniczała się wyłącznie do rodziny. Gromadzili się przy niej lekarze i pielęgniarki, a goście nie mieścili się w pokoju: Maria Felix - która, rzecz jasna, została przyjaciółką Fridy - Lupe Marin, Isolda i Antonio, Fanny i pozostali Fridos, oraz starzy znajomi z Prepy, na przykład Adelina Zendejas, przychodząca niemal codziennie. Byli wśród nich politycy i poeci, aktorzy i dzieci z sąsiedztwa, nawet La Reyna wpadła raz czy drugi. Diego zdobył skądś projektor i pokazywał filmy z Flipem i Flapem, czasem też tańczył, a Adelina przygrywała mu na tamburynie. Przynosiłam całe kosze jedzenia, a Frida śmiała się i opowiadała sprośne dowcipy:

- Dlaczego wdowa miała czarną podpasękę? Dlatego, że tam najbardziej odczuwała brak męża!

Promieniowała radością i nadzieją - dopóki miała widownię. Ale gdy nikogo przy niej nie było, bez końca słyszałam:

- Wypoleruj mi paznokcie! Uczesz mnie! Przynieś mi lusterko! Znajdź mój pierścionek!

Miała srebrny pierścionek z turkusowym ptakiem *quetzal* i wbiła sobie do głowy, że jeśli go zgubi, kolejna część jej ciała zgnije i odpadnie, dajmy na to palec u nogi lub ręki albo płatek uszny.

Kiedy odpowiadałam:

- Paznokcie, Frida? Powinnaś teraz odpocząć! - robiła się przykra.

- Nie mów mi, co powinnam, grubasie. Zaraz tu przyjdą moi znajomi, nie chcę, by mnie widzieli w tym stanie!

Perspektywa samotności przerażała ją, bez przerwy musiała być otoczona ludźmi, w centrum uwagi. Od tego zależało jej zdrowie, a zatem polerowałam jej paznokcie, czesałam ją, wplatałam we włosy jedwabne kokardy i kwiaty. Wyglądała pięknie, muszę to przyznać - pięknie mimo choroby, która drażyła jej ciało, zżerała ją żywcem. Kiedy zaś tłum przyjaciół się pojawiał, zaczynało się nieustające przyjęcie, istna *alegria*, z jedną różnicą - Frida umierała. Wszyscy o tym wiedzieli, lecz pozwalali się pocieszać i zwodzić jej sztucznie dobremu nastrojowi. A gdy sobie już poszli, Frida ścisnęła mnie za rękę i zebrała:

- Zrób to, Kity, moja kochana. Zakończ moje cierpienia. Jednak kiedy została wypisana z Hospital Ingles i odesłana do domu, z wdzięcznością rzuciła się w wir życia. Bawiła się do utraty tchu pomimo wózka inwalidzkiego, pomimo ugniatającego ciała gorsetu. Z uśmiechem na twarzy i papierosem w ustach podążała z przyjęcia na przyjęcie i otaczała się gwiazdami, takimi jak Josephine Baker, Concha Michel, Maria Felix. Ale nie Lola. Frida i Lola pokłóciły się. Frida ni z tego, ni z owego posłała Loli obraz, a z nim rachunek. Czasem tak robiła, kiedy potrzebowała forsy - nieproszona posyłała znajomym obrazy i kazała im za nie płacić. Ale Lola odmówiła udziału w grze. Nie wystawiła czeku i zwróciła podarunek. Skończyła z Diegiem i nie potrzebowała już ani jego,

ani Fridy. I to byi koniec znajomości - ale co z tego? Na co komu Dolores del Rio? Przecież obcowaliśmy z wielkimi poetami, jak Carlos Pellicer, malarzami, jak doktor Atl, fotografkami, jak Lola Alvarez Bravo. No i z mnóstwem gwiazd filmowych - Frida potrzebowała gwiazd, bo chciała świecić najjaśniej.

Musiała robić wszystko na wielką skalę... jak to się mówi? Z rozmachem. Robiła przyjęcia z rozmachem, cierpiała z rozmachem, nawet żałobę nosiła z rozmachem. Po śmierci Stalina spazmowała z rozpaczy; szkoda, że pan nie widział, jak łkała i kwiliła do dziennikarzy i fotoreporterów. Nie sugeruję bynajmniej, że jej zaangażowanie nie było szczere. Było absolutnie szczere. Zawsze chciała poznać Stalina, ale zmarnowała okazję, a teraz czuła, że wymknęło jej się coś cennego, że świat się od niej oddala. Skoro więc nie udało jej się go spotkać za życia, postanowiła zbliżyć się doń za pośrednictwem sztuki. Namalowała portret podwójny, swój i Stalina. To portret w portrecie; po jednej stronie stoją sztalugi z portretem Józefa Wissarionowicza, wielkim, dominującym, po drugiej stronie zaś siedzi Frida w czerwonym tehuańskim stroju. On jest duży, ona mała, on jest dziełem sztuki, ona żywą kobietą. On jest jej dziełem, lecz i na odwrót - ona bez niego byłaby żarliwą komunistką, oświeconą intelektualistką, którą przecież jest. On odwraca się od niej, ona patrzy na widza, jakby pozując do fotografii. Frida i Stalin, razem, a jednak nie razem.

Sztuka trzymała ją przy życiu. Przetwarzanie bólu w piękno pomagało jej znaleźć sens, nadawało cel cierpieniu. Ozdabiała swoje gipsowe gorsety, owe narzędzia tortur, czyniąc z nich urodziwe przedmioty. Malowała na nich młoty i sierpy, gwiazdy i kwiaty, ptaki i niemowlęta. Na jednym namalowała płód i kiedy go nosiła, czuła się tak, jakby nosiła dziecko.

3.47 nad ranem. Jak długo jeszcze do świtu? Każdy miesiąc w moim ciele drży. Mój umysł wrze niczym garnek *mole*. Jestem czystą elektrycznością. Dzisiaj zadośćuczynię za grzechy. Frido najdroższa, wzlecisz jak orzeł, dgui/a! Ktoś jest na ulicy. Odsuwam

zasłonę i dostrzegam Marca Antonia, piekarza. Ledwie go widać, ale poznaję jego krępe ciało, kosmyki włosów do ramion i utykający krok. Jako chłopiec dostał kulę w kostkę i teraz całymi dniami stoi na zniekształconej stopie i piecze chrupiące bułeczki oraz placki. Na *Dia de los Muertos* robi Chleb Umarłego, a na Objawienie Najświętszej Marii Panny piecze *rosca de Reyes* z dodatkiem cynamonu, anyżu i rodzynek. Podobnie jak my wszyscy nauczył się lizać rany i żyć dalej. Sombrero ma naciągnięte na oczy dla ochrony przed wilgocią. Skąd on wie, dokąd iść? W ciemności nie widzę jego stóp, ale słyszę szuranie sandałów o mokrą ziemię. Niedługo pojawi się Ana Teresa, smażąca tortille, i przebiegnie lekkim krokiem niczym spłoszona kura. Niedługo cienie znikną i na dachy domów wpełźnie świt. Już jest jutro.

Kwiecień 1953 - w zeszłym roku, a wydaje się, że wieki temu. Frida leżała w łóżku, zupełnie jak teraz, ale słońce już od dawna stało na niebie. Miała zamknięte oczy i ziemistą twarz.

Tak, to był pierwszy tydzień kwietnia 1953 roku. Podbródek Fridy utracił gładką linię; moja siostra liczy już czterdzieści sześć lat, nie dwadzieścia, ale służba nadal traktuje ją jak rozkapryszone dziecko. Obrazów nie ma, zapakowano je i odesłano kilka dni temu. Frida zwiesza dłoń bezwładnie za krawędź łóżka, trzyma w niej zapalonego papierosa, lecz się nie zaciąga. Utykając, wchodzi doktor Farill i siada obok łóżka. Frida lubi go, gdyż jest kaleką, tak jak ona, i porusza się o kulach. Doktor ma łysą czaszkę, krągłą twarz, krzaczaste brwi i poczucie humoru.

- Cześć, ślicznotko - mruczy.

- Czołem, przystojniaku - mówi Frida, nie otwierając oczu. Skąd ona wie, że to on? Frida wie wszystko.

- Czy moja opasła siostra dała panu coś do jedzenia?

- Nie, ale na pewno coś mi da. Cristi bardzo się o mnie troszczy.

- Nie za dobrze, mam nadzieję. - Głos Fridy zabarwiony jest sarkazmem. Lekko zabarwiony, nie ociekający.

Pokój pachnie chili, bzem, alkoholem i moczem. Kiedy Farill zaczyna badać Fridę, wychodzę, choć mnie o to nie prosi. Nie dba o to, czy zobaczę, jak ugniata i miętosi jej posiniaczone ciało.

Dzwoni telefon. To Maty, jest w galerii. Mówi, że dziennikarze już przybyli i oblegają wejście. Jak pszczoły, powiada. Jak pszczoły tłoczące się do ula.

Doktor Farill mówi, że Frida ma gorączkę i lepiej, żeby nigdzie nie szła.

- Rana się nie goi - tłumaczy. - Wdała się infekcja. Przeszczep kości się nie udał i kręgosłup Fridy jest w strasznym

stanie. Moja siostra całymi nocami płacze z bólu.

- Nie może iść - powtarza Farill. - Nie może chodzić, nie da rady nawet stać.

- Pieprz się - mówi Frida. - Pójdę. W drzwiach staje Diego.

- Pieprz się - mówi. - Ona pójdzie.

Od dawna wyczekiwała tej chwili - otwarcia swojej wystawy w Galeria de Arte Contemporaneo Loli Alvarez Bravo. Jedynej wystawy indywidualnej, jaką urządzono jej w Meksyku, i drugiej w całym jej życiu.

- Niech pan słucha, doktorku - zwraca się Frida do Farilla. Jej głos jest miękki, rozbawiony. - Nie mogę dzisiaj umrzeć. Niech pan powstrzyma La Pelonę, przynajmniej aż skończy się wernisaż.

Ale Farill kręci głową. Będzie ją straszliwie boleć, musiałby zaaaplikować jej niebezpiecznie dużą dawkę leków. A nawet wtedy nie do pomyslenia jest, by godzinami trzymała się na nogach. Nawet siedzenie może okazać się niemożliwe.

- Nie, Frida - mówi. - Nie mogę na to pozwolić.

Stoi obok łóżka z baldachimem, opierając dłoń na słupku.

- Wynocha, ty pieprzony kutasie! - Frida rzuca mu w twarz zapalonego papierosa, ale jej rękami brak siły. Papieros odbija się od marynarki lekarza i pada na podłogę.

Na znak Diega Farill wychodzi z nim do przedpokoju.

- Daj spokój, Juan - mówi Diego. - Musi być jakiś sposób.

- Nie! - wrzeszczy Frida. - Nie będziecie o tym decydować beze mnie! Nie będziecie mnie traktować, jakbym już nie żyła! Wracajcie tu natychmiast i wymyślimy coś razem!

Znowu dzwonek, znowu Maty. W galerii urywa się telefon, wola, wszyscy chcą wiedzieć, czy Frida przyjdzie. Obrazy już wiszą, personel przyczepia podpisy. Dostawcy przynoszą świeże kwiaty i szampana. Otwarcie zaplanowała Lola Alvarez Bravo i ze swym artystycznym talentem zamieniła je w wydarzenie iście hollywoodzkie.

- Ale ludzie chcą wiedzieć, czy Frida czuje się dość dobrze, by przyjść - powtarza Maty. - Bez Fridy... Wiesz, wszyscy chcą ją zobaczyć.

Przed kilkoma tygodniami Frida rozesłała zaproszenia, wie pan, takie małe książeczki, jakie robią poeci, żeby dać je przyjacielom, biedni poeci, którzy nie mają pieniędzy na drukarza. Książeczki z barwnego papieru z ręcznie napisanymi wierszami, związane sznurkiem lub wstążką. Frida zrobiła ich całą masę, setki.

- To moja uroczystość! Dla mnie! - wrzeszczy na Juana Farilla, swego ulubionego lekarza, wrzeszczy przenikliwie niczym jastrząb spadający na ofiarę.

Ale Farill ani myśli ustąpić. Przywyczaił się do jej krzyków. Jak my wszyscy, z wyjątkiem Diega, który nie znosi hysterii i może dlatego teraz rzadziej tu zagląda. Ostatnio całe dni spędza w pracowni w towarzystwie swojej marszandki, Emmy Hurtado, pięknej Emmy o włosach koloru czekolady. Któż z nas mógł wiedzieć, że w końcu ci dwoje się pobiorą?

- Zabierzcie stąd tego kutasa! - drze się Frida. - Żaden pierdolony doktor nie będzie mówił, co mi wolno, a czego nie!

W rzeczywistości uwielbia, kiedy Juan Farill nią komenderuje. Po prostu dzisiaj nie może ustąpić.

Awantura ją wyczerpała. Teraz jest cicho. Farill i Diego poszli sobie, ale Diego obiecał wrócić za godzinę. Czeszę jej włosy, rozczesuję splecione loki i spletam w warkocz, który upinam na

głowie i przystrajam różami i wstążkami. W uszy wpinam jej długie, wiszące kolczyki. Ma na sobie barwną bluzkę w haftowane, kolorowe, geometryczne wzory.

Adri krząta się po domu. Co jakiś czas zerka na ulicę. Co jakiś czas dzwoni telefon, teraz też.

- To Maty! - woła Adri. - Mówi, że na otwarcie czekają setki ludzi. Nie może zapanować nad dziennikarzami. Chcą wiedzieć, czy Frida się zjawi.

- Powiedz jej, żeby ich jakoś powstrzymała! - mówię.

- Każ jej powiedzieć, że jeszcze nie wiadomo, czy przyjdę - uśmiecha się Frida. - Przynieś mi lusterko - żąda.

Podaję jej lusterko, ale jest tak słaba, że nie może utrzymać go w ręku. Wchodzi Adri, niosąc bulion wołowy.

- Zjedz to, a potem się prześpij - proponuje.

Ale Frida nie może spać. Nie umie się rozluźnić. Adri karmi ją łyżeczką, a ja masuję jej dłonie.

- Gdzie podziewa się Diego? - dopytuje się Frida co chwila.

- Przygotowuje wszystko. To trochę skomplikowane - odpowiadam.

W rzeczywistości Diego poczynił wstępne przygotowania już kilka dni temu.

- Przyjechali! - krzyczy Isolda z drugiego pokoju.

Wchodzi Diego z dwoma sanitariuszami, którzy ostrożnie przenoszą Fridę na nosze.

- Delikatnie... delikatnie.

- A gdzie Juan? - chce wiedzieć Frida.

- Pojedzie z tobą karetką.

Pracownicy szpitala stawiają nosze w drugim pokoju. Zjawia się kilku silnych mężczyzn, którzy lekko jak zabawkę podnoszą łóżko z baldachimem, bez demontażu umieszczają je na ciężarówce stojącej na zewnątrz, po czym odjeżdżają.

- Pokrop mi kark wodą kolońską - prosi Frida.

- I tak już pachniesz jak cieplarniany kwiat - śmieje się Adri.

- Jeszcze trochę - nalega Frida. - Śmierdę jak śmierć.

Adri i ja patrzemy po sobie. To prawda. Cuchnie śmiercią.

Wracają sanitariusze. Biorą nosze i umieszczają je w karetce zaparkowanej przed domem.

Kawalkada czeka na sygnał. Będzie to produkcja w hollywoodzkim stylu - światła! kamera! kręcimy!

- ambulans szpitalny z wyjąca syreną i eskortą motocyklistów. Frida uśmiecha się.

- Lola pięknie z zazdrości! - szepcze.

Ambulans rusza. Motocykliści zapalają silniki. Frida Kahlo w asyście kochającego męża Diega Rivery oraz sióstr Adriany i Cristiny sunie ulicami Mexico City do słynnej galerii Loli Alvarez Bravo w modnej Zona Rosa. Na miejscu panuje tłok. Dziennikarze jeden przez drugiego łokciami przepychają się do wejścia. Fotoreporterzy manipulują przy obiektywach. Lecz gdy sanitariusze wynoszą Fridę z karetki, zdumionym dziennikarzom sprzęt wypada z rąk. Wielka Kahlo znów dokonała cudu! Szczeka opada! Zjawiła się na wernisażu na noszach! Diego szczyrzy zęby. Farill kuśtyka obok, zaciskając usta. Frida wita gości w pozycji poziomej, uśmiechając się przez zęby. Tak, to uśmiech męczennicy, ale jest naprawdę szczęśliwa. To być może najszczęśliwszy moment jej życia. Sanitariusze wnoszą ją do galerii i umieszczają na łóżku ustawionym na środku sali, z baldachimem i w ogóle. Wielbiciele ustawiają się w kolejce, podchodzą po jednym, całują jej palce, wygłaszają pochwały i komplementy. Niektórzy zaniemówili pod wrażeniem jej królewskiej obecności. Leżąca w łóżku Frida w otoczeniu adoratorów, znakomitości, dziennikarzy i fotoreporterów istotnie wygląda jak królowa, jak wspaniała cesarzowa Azteków. A mnie ogarnia głęboka radość, poczucie wewnętrznej satysfakcji. Nikt na mnie nie patrzy, nikt ze mną nie rozmawia, nikt mnie nie fotografuje, żaden reporter nie pyta mnie o zdanie. Ale przynajmniej pomogłam Fridzie osiągnąć to wszystko.

4.05 nad ranem. Pierwsze światło brzasku migoce nad horyzontem niczym niepewny kochanek. Gdzieś wesoło świergoce ptak, ciesząc się wstającym słońcem. Dzisiaj będzie inaczej niż wczoraj. Nie spadnie deszcz. Trzech albo czterech robotników miarowym

krokiem maszeruje ulicą. Niosą narzędzia; pewnie idą do pracy na szóstą. Być może muszą jechać kawał drogi do miasta - znużeni mężczyźni, którzy przez cały dzień ciężko harują, żeby zarobić peso lub dwa, za mało, by wyżywić rodzinę. Frida ma rację. To niesprawiedliwe. Jest mi ich żal. Nie widzą mnie, nawet nie wiedzą o moim istnieniu ani o istnieniu Fridy. Znają tylko swe obolałe grzbiety, ciekące sufity, puste brzuchy dzieciaków. Są zajęci swymi myślami. Ciekawa jestem, czy któryś z nich chciałby umrzeć. Słyszę na ulicy męskie głosy, ale nie rozróżniam słów. O czym rozmawiają ci robotnicy, których kochamy tak namiętnie, lecz nie możemy pojąć? Co to znaczy, „być jak oni”?

- Cristi!

Obudziła się. Jej język porusza się ciężko i jest lepki.

- Cristi!

- Tak, kochanie. Spróbuj zasnąć.

- Boli...

- Wiem, kochanie, wiem.

- Niech ona tu nie przychodzi.

Ale już za późno. Pani Mayet stoi w drzwiach.

- Obudziła się, señora Mayet.

Pielęgniarka zapala słabe światelko na toalecie i wyjmuje z zamkniętej torby ampułkę demerolu.

- Proszę cię, Mayet, tym razem daj mi podwójną dawkę. Tak okropnie mnie boli.

Frida połyka słowa i pani Mayet udaje, że nie rozumie. Napętnia strzykawkę i wkluwa igłę.

- Nie może pani dać jej więcej, señora Mayet? Bardzo cierpi. Pielęgniarka patrzy przeze mnie na wylot, gasi światło i wychodzi z pokoju.

W zeszłym roku, niedługo po wspaniałej wystawie w galerii Loli Alvarez Bravo, obcięli Fridzie nogę. Biedna noga. Była tak krzywa i skurczona, że wyglądała niczym zwiotczałe prącie Diega. O konieczności zabiegu powiedział mojej siostrze doktor Farill.

- Tym razem nie jeden palec, ale cała noga, aż do kolana. Była u nas akurat Adelina Zendejas, stara przyjaciółka Fridy.

- Nie!!! - przenikliwy, ogłuszający krzyk Fridy zatrzymał ruch na ulicy, strącił z nieba samoloty, rozstrzaskał dzwony kościelne i zabił kilka dzikich pustynnych kotów.

- Nie! - zadrżały mury w całym Coyoacan, a w pulquerii na rogu wszystkie malowidła opadły ze ścian na podłogę.

- Nie! - Gongorina, suka *escuincla*, poroniła cały miot, a w kościele na *plaza* gipsowy posąg Najświętszej Paniienki odwrócił się tyłem do zebranych i zapłakał prawdziwymi łzami.

- Nie!!!

Ale nie można było nic zrobić. Diego siedział na łóżku i gładził ją po włosach.

- Fridusia - szeptał. - Mi Friducha. Adelina zagryzała wargi.

- Będzie dobrze, Frida - powtarzałam. - Tak wiele już zniosłaś. Frida zamknęła oczy i długo milczała. Wtem uniosła powieki.

- Co to za płacze? - ucięła. - Co to za grymasy? Przecież zawsze byłam kulawą Fridą!

Zaczęła skandować starą piosenkę z naszych szkolnych lat: *Frida Kahlo, pata de palo, un pie bueno, el otro malo*.

Rozpłakałam się. Płakałam więcej niż ona. Ona malowała Fridę z okaleczonymi stopami, lecz także tryskające życiem melony, banany i owoce drzewa chlebowego. Ale ja nie umiałam malować, mogłam tylko płakać. Frida mnie pocieszała. Tak, panie doktorze - ona pocieszała mnie.

- Po co mi ta paskudna łapa? - pytała. - I tak już nie działa! Nie poniesie mnie tam, dokąd zechcę! Niech ją utną! Ale to była gra. Wewnątrz krzyczała, krzyczała w milczeniu, krzyczała na swój ohydny los, który odebrał jej to, czego naprawdę pragnęła: taniec, sztukę, miłość, wzlot.

- Nie martw się, Cristi - powiedziała. - Dopóki tu jestem, kocham życie, a kiedy przyjdzie pora odejść, odejdę z radością.

Spojrzałam jej w oczy.

- Obiecay mi tylko jedno, Cristi - dodała. - Gdyby La Pelona zbyt się ociągała, dopomóż jej trochę. Popchnij ją, żebym nie musiała cierpieć... bez potrzeby.

Nie odpowiedziałam.

- Obiecay - szepnęła, końcami palców kreśląc kółka na wierzchu mojej dłoni. - Obiecay.

Patrzyłam na swoją drżącą rękę i milczałam.

- Ona umrze - powiedział mi Diego.

- Tak - odparłam. - Więcej już nie zniesie. Tym razem naprawdę umrze.

Kiedy przyszła pora operacji, pojechałam z nią do szpitala, jak wiele razy przedtem. Lekarz kazał jej zrobić protezę.

- Nie będę tego nosić - oznajmiła. - Uwiera i jest brzydka.

- Włóż ją, mi *amor* - namawiał Diego. - Zabiorę cię na tańce!

- Idź zatańczyć z Emmą Hurtado, ty pieprzony skurwysynu! Ostatnio Diego już otwarcie żył z Emmą.

Ale zamiast zabrać nową dziewczynę na tańce, zamówił buty dla swojej żony - śliczne czerwone trzewiczki z dzwoneczkami, buty, które mogła włożyć na sztuczną nogę. Kiedy przychodzili goście, unosiła spódnicę ponad kostki i chwaliła się nimi.

- To trzewiki do tańca - mówiła. - Diego zaprosi mnie do nocnego klubu!

Po czym śmiała się i puszczała oko.

- Będę kręcić tyłkiem i flirtować z chłopakami, żeby wzbudzić jego zazdrość! A skoro o tym mowa, to nie przepuszczę i dziewczętom!

Ale Frida już nie tańczyła. Prawdę mówiąc, ledwie mogła stać. Głównie siedziała w wózku i malowała, to znaczy w dobre dni, chociaż pracowała coraz niechlujniej. Nie panowała nad sobą. W złe dni piła brandy z butelki i paliła papierosy, od których śmierdziało jej z ust. W końcu ja stałam się jedyną osobą, którą jeszcze znosiła przy sobie, ale czasem musiałam spędzić noc w swoim mieszkaniu w mieście.

Pewnego dnia spalam u siebie w Casa Azul, gdy obudziło mnie walenie w drzwi. Manuel był niczym ranny wilk:

- Coś się stało panience Fridzie! Nie mogę jej dobudzić! Leżała w kałuży wymiocin i gówna, a język zwisał jej z ust

niczym małe, istniejące niezależnie zwierzątko. Zgnieciona pościel piętrzyła się na podłodze, jakby Frida obawiała się ataku z jej strony i w desperacji ją odepchnęła. W pokoju panował nieznosny smród, wszędzie leżały rozrzucone buteleczki po lekarstwach. Widocznie chowała je pod poduszką i teraz opróżniła w orgii samozniszczenia. Zadzwoiłam do Farilla do domu.

- Frida popełniła samobójstwo!

- Gdzie była pielęgniarka?

- Skąd, do cholery, mam wiedzieć! Proszę natychmiast przyjechać!

Ale nie umarła. Pędem zawieziono ją do szpitala i poddano płukaniu żołądka, co ocaliło jej życie. Wtedy właśnie przyszła do nas pani Mayet. Diego postanowił, że potrzebna nam pielęgniarka na stałe, w pełnym wymiarze godzin, nie tak jak dotychczas, na przychodne. Ktoś musiał bez przerwy czuwać nad Fridą. Przez cały czas. Jednak nawet po zatrudnieniu pani Mayet tym kimś nadal byłam ja, jej siostra, bo, prawdę mówiąc, nikt nie wytrzymał przebywania z nią w dzień i w nocy, za żadne pieniądze.

Mówiłam już panu - Fridę interesowało tylko jedno. Nie, nie komunizm, nie ciężka dola robotników. Nie sztuka, nie freski jako sposób edukacji mas, nie twórczość, nie sklep, w którym można kupić najlepsze farby olejne. I nie seks - nawet nie seks. Jedyłą rzeczą, jaka naprawdę fascynowała Fridę, była Frida. Mówiono, że jestem głupia. Mówiono, że nigdy naprawdę nie rozumiem, co się dzieje. Ale byłam dostatecznie bystra, by zrozumieć, że Frida Kahlo wiodła życiowy romans ze sobą samą i nikt - ani Diego, ani ja - nie mógł zastąpić Fridy w sercu Fridy. Podczas dni i miesięcy po amputacji nogi Frida się załamała. Utraciła część siebie i czuła się brzydka, uszkodzona, zniszczona, skażona. I nade wszystko

pragnęła o tym opowiadać. Urzekła ją własne cierpienie. Była w żałobie po utraconej kończynie i chciała, żeby świat się do niej przyłączył. Ale któż miał ochotę jej słuchać? Kogo interesowały analizy każdego skurczu i drgnienia? Kogo oprócz lekarzy? W końcu im płacą za słuchanie, no nie? A zatem otoczyła się lekarzami, jedynymi ludźmi, którzy podzielali jej obsesyjne zainteresowanie gnijącym ciałem. Prowadziła niekończące się zamiejscowe rozmowy z doktorem Eloesserem. Kiedyś marzyła, że zostanie lekarzem, a teraz mogła bez reszty poświęcić uwagę medycynie.

Aż zjawił się lekarz, który naprawdę chciał wysłuchać tego, co miała do powiedzenia, nowy rodzaj lekarza, nowinka, zabawka - psychiatra. Niech pan tylko pomyśli, psychiatra! Pański kolega! I Frida znowu stała się gwiazdą, gwiazdą nowego typu - pierwszą kobietą w Meksyku poddaną psychoanalizie.

A teraz ja przechodzę psychoanalizę, prawda, doktorze? Dlatego tu pana przysłali, no nie? Żeby pogrzebał pan w moim mózgu, dowiedział się, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam? Tak, doktorze? Ale to już się nie liczy - to znaczy fakt, że jestem ósmą, dziesiątą czy piętnastą osobą w Meksyku, poddawaną psychoanalizie. To nieważne. Ważne, żeby być pierwszą. Ja nie ustanowiłam żadnego rekordu, jestem tylko zwyczajną pacjentką.

Czy naprawdę mnie pan słuchał przez cały ten czas? Jeżeli tak, to wie pan, dlaczego to zrobiłam. Zrobiłam to, bo ją kochałam. I nadal ją kocham.

430 nad ranem. O tej godzinie, tuż przed świtem, pan Bóg zazwyczaj odprawia swe czary. To dziwne, ale w miarę jak wycofuję się w siebie, do tajemnej fortecy mojej duszy, zyskuję coraz intensywniejszą świadomość otoczenia. Zmysły - wyczulone, rozbudzone - odbierają wszystkie sygnały: bezgłośny lot owada, brzęczenie moskita unoszącego się nad żywym ciałem, zarys łóżka, niesamowitą rzeźbę, jaką tworzą więdnące liście bukietu, smród opróżnionych, lecz wciąż brudnych nocników, krew krążącą w moich żyłach, urywany oddech Fridy, równe kadencje mojego wdechu. Frida jęczy i mruczy coś niezrozumiale. Jeszcze żyje.

Siadam na łóżku. Wyczuwam ruch pod jej zamkniętymi powiekami. Świt rodzi się z trudem. Wąły srebrny promyk liże krawędzie odsuniętej zasłony. Frida mamrocze:

- ... boli... cierpię... nieznośnie... tańczyć... Tańczyć?

Dobry Boże, racz jej dać odpoczywanie.

- Cristi...

- Wiem, kochana...

- Cristi, nie zgadniesz, kogo widziałam.

- Spróbuj odpocząć, kochanie...

- Księżniczkę Fridę Zorafdę! Cristi, od lat jej nie widziałam! Głowa Fridy płonie. Sięgam po kompres i kładę go na jej czole.

- Miała taki sam czysty głos jak przedtem, niczym dźwięk dzwoneczków. „Czy to ty, księżniczko Frido Zorafdo?” - zapytałam. A ona zaśpiewała, jak wtedy:

Ukrywam się w twojej głowie! Otwórz teraz drzwi! Już nic więcej ci nie powiem, A więc uwierz mi!

Więc podeszłam do okna i chuchnęłam na szybę, a kiedy się zamgliła, narysowałam palcem drzwi. Poczułam, że wylatuję przez te drzwi, wznoszę się nad równiną, docieram do mleczarni w Pinzón i przelatuję przez sam środek szyldu, przez literę „o” w słowie Pinzón.

- I miałaś na sobie swój perkalowy fartuszek?

- Byłam ubrana w koszulę nocną, Cristi. Tę, którą mam na sobie, z białej koronki z wysokim stanem. I w moje czerwone trzewiki z dzwoneczkami.

- A co miała na sobie księżniczka?

- Była starą kobietą, jak ja. Ale miała dużą białą kokardę, taką samą, jakie nosiłyśmy, gdy byłyśmy dziewczynkami, oraz długą czerwonopomarańczową szatę, wykończoną fioletową plecioną taśmą, ozdobioną cekinami, koralikami i okrągłymi lusterkami

wielkości monet, zupełnie jak kiedyś. Tylko zamiast filcowych botków z zadartymi noskami miała na nogach czerwone trzewiki z dzwoneczkami, takie jak moje. „Tańcz” - powiedziała, ale ja nie chciałam. „Nie mogę” - odparłam. Nalegała dalej, więc zaczęłam kuśtykać, to w tę stronę, to w tamtą, a ona podążała za mną wdzięcznie jak mały balonik.

I Zorafda powiedziała Fridzie, że jest urocza i że ma śliczną, koronkową koszulę nocną, aż Frida rozpłakała się z radości.

- Chcę do niej wrócić, Cristi. Chcę zostać z nią na zawsze. Zajmie się mną, kochanie, i ty już nie będziesz musiała pracować.

- Chętnie się tobą zajmuję, Frida.

- Ale to dla ciebie zbyt wielki ciężar. Jesteś mną wyczerpana.

- Nie, Frida, skądże, z chęcią to robię!

- Kocham cię, Cristi, ale pora, bym poszła za księżniczką Fridą Zorafdą. Pomóż mi ją odnaleźć. Proszę, pomóż mi. Tak strasznie boli...

Wstaję i odsuwam zasłony. Świt wreszcie zepchnął na bok ciemność. Widzę oczy Fridy, te piękne, brązowe oczy pod brwiami niczym ptaki w locie.

- Nie zniosę dłużej bólu, Cristi. Pod poduszką jest buteleczka...

Sięgam pod poduszkę i wyciągam małą brązową fiolkę laudanum i kroplomierz lekarski. Zdejmuję z fiołki zakrętkę i napełniam kroplomierz. Frida uśmiecha się do mnie. Całujemy się po raz ostatni. Potem spokojnie, czule umieszczam czubek kroplomierza pod jej językiem i miarowo naciskam, uwalniając lekarstwo kropla po kropli.

Od Autorki

Powieść *Frida* jest dziełem literackim. Większość przedstawionych w niej wydarzeń i postaci zrodziła się w mojej wyobraźni, choć jej ramy stanowią prawdziwe epizody z historii Meksyku i biografii Fridy Kahlo. Nie znalazłam na przykład dowodów, że Frida zniszczyła swoją kolekcję lalek lub że uwiiodła piętnastoletniego ucznia szkoły La Esmeralda (albo jakiegokolwiek nieletniego). Podobnie, choć biseksualność Fridy znajduje liczne potwierdzenia, Leticia Santiago jest wyłącznie wytworem mojego umysłu. Wielu biografów wspomina także o młodszej siostrze Fridy, Cristinie, ja jednak postanowiłam wymyślić ją na nowo jako wrażliwego świadka życia artystki.

Przez długie lata ostatnie dni życia Fridy spowijała mgła tajemnicy. W 1953 roku usiłowała się zabić, wiele osób sądzi także, iż jej śmierć w 1954 roku była skutkiem samobójstwa. Nic nie wskazuje na to, że Cristina, która zmarła 7 lutego 1964 roku, w jakiś sposób się do niej przyczyniła.

Pisząc *Fńdę*, chciałam nie tyle udokumentować życie Fridy Kahlo, ile uchwycić istotę jej osobowości. Ciekawiło mnie zwłaszcza, jak może czuć się niepozorna siostra osoby tak wyjątkowej. Rywalizacja między Fridą a Cristiną Kahlo o względy Diega Rivery istotnie miała miejsce, a jej psychologiczne konsekwencje pozostawiają wiele pola do interpretacji. Interesowały mnie także ogólniejsze problemy stosunków międzyludzkich - a w szczególności nasza zdolność do krzywdzenia innych osób, nawet tych, które szczerze kochamy.

Informacje na temat Fridy Kahlo czerpałam z wielu źródeł, zarówno oryginalnych, jak i wtórnych. Listy Fridy (*Cartas apasionadas*, wyd. Martha Zamora, San Francisco, Chronicle Books, 1995) oraz jej dziennik (*Diary of Frida Kahlo: An Intimate Self-Portrait*, New York, Harry N. Abrams i Mexico, D.F., La Vaca Independien-te, 1995) dostarczyły mi wglądu w osobowość artystki (aczkolwiek listy zamieszczone w powieści są zmyślane). Wiele dowiedziałam się także z biografii Hayden Herrery (*Frida*, New York, Harper and Row, 1983) oraz z badań Raquel Tibol (*Frida Kahlo: Una vida abierta*, Mexico, D.F., Oasis, 1983), Raudy Jamis (*Frida Kahlo*, Mexico, D.F., Diana, 1987), Marthy Zamory (*Frida Kahlo: The Brush of Anguish*, San Francisco, Chronicle Books, 1990), Sarah M. Lowe (*Frida Kahlo*, New York, Universe, 1991), J.M.G. Le Cezio (*Diego y Frida*, Mexico, D.F., Diana, 1995) oraz Terri Hardin (*Frida Kahlo: Modern Master*, New York, Smithmark, 1997). Kolejnym źródłem informacji był zbiór ulubionych przepisów kulinarnych Fridy, *Frida's Fiestas*, zgromadzony przez Guadalupe Riverę (córkę Diega Rivery i Lupe Marin) i Marie-Pierre Colle (New York, Clarkson Potter, 1994), natomiast książka *Drawing the Line* (London, Verso, 1989) Oriany Baddeley i Valerie Fraser znacznie poszerzyła moje zrozumienie twórczości artystek latynoamerykańskich.

Życiu i twórczości Diega Rivery poświęcono wiele pozycji. Szczególnie pomocna okazała się książka jego własnego pióra *My Art, My Life* (New York, Dover, 1960) oraz biografia autorstwa Bertrama D. Wolfe'a *The Fabulous Life of Diego Rivera* (Chelsea, MI, Scarborough House, 1969).

Mój mąż Mauro nie szczędził mi słów otuchy i niezłomnej wiary w całe przedsięwzięcie, za co chciałabym mu podziękować. Pozostaję również wdzięczną dłużniczką Hermanna Lademanna z The Overlook Press za jego bezcenne uwagi redaktorskie; powieściopisarki Janice Eidus za jej błyskotliwe uwagi; oraz mojej agentki, Anny Ghosh z firmy Scovil, Chichak, Galen.